

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

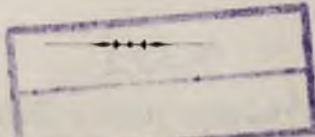
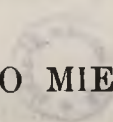
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 230.

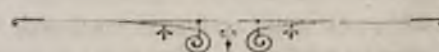
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1898. — Tom III.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1898.

WARSZAWA

BIBLIOTEKA

4620

1898. 3

II.



30.000,-

Дозволено Цензурою.

Варшава 14 Июли 1898 года

X-14332
4620 / II

1898 3.

WARSZAWA

Adres Biblioteki ulica Wesoła Nr. 14

1898

Dr. Henryk Struve

(Zarys 35-letniej działalności, jako profesora i pisarza.)

I.

Jako sekretarz zarządu b. Szkoły Głównej, otwartej w końcu roku 1862, znałem wszystkich jej profesorów: z lekarzami przeniosłem się do niej z b. Akademii Medyko-chirurgicznej, a tu czekały mnie teraz znajomości nowe, bliższe zawodowi, jakiemu się i ja już od lat dziesięciu, po za obowiązkami utylitarnemi, poświęcałem. Niebawem pojawili się filologowie, historycy, a między nimi jeden filozof, który zaciekał mnie najbardziej. Miałem zawsze wielką do filozofii słabość, której już i przedtem złożyłem kilka dowodów. Nie jako wyłączny przedmiot czciciel i hodowca, lecz jako partyzant literacki, podziwiałem jej adeptów, i dlatego niezmiernie ciekawy byłem jej przyszedłemu w naszym najwyższym zakładzie naukowym przedstawiciela.

Jakoż, w lutym 1863 roku, zjawił się w moim gabinecie młody człowiek, wysokiego wzrostu, szczupły, wysmukły, wyglądający raczej na studenta, niż na profesora, i z dobrotliwym uśmiechem na ustach podał mi rękę, wymieniając swoje nazwisko: Henryk Struve. Porozumieliśmy się w kilka minut. Został mnie nad rozłożoną książką Litrego: „Comte et la philosophie positive“. Spojrzał i zapytał:

— Pan zagłębia się w te rzeczy?

Mnie właśnie toż samo względem niego ciążyło na ustach zapytanie, bo od kilku lat zaglądając do Comte'a, a zarazem do Moleschotta i Büchnera, widziałem na co się zanosi w świecie zasad filozoficznych i byłem prawie pewnym, że młody adept, powracający z Zachodu, będzie zwolennikiem nowego prądu filozoficznego, którego pierwsze powiewy już do nas się potrosze dostawały. Zagadniony też przez niego, nie odpowiedziałem wprost, lecz, chcąc sobie grunt przygotować, zapytałem nawzajem:

— A pan?

— Ja muszę to znać, ale z tem nie sympatyzuję.

— Dlaczego? zapytałem, — uradowany w duchu.

— Oni, to jest Comte i Littré, usiłują Boga wycofać ze świata, ja zaś świat widzę wypełniony Bogiem.

— Czyż nauka może brać w rachunek sympatyje osobiste? Wszak ona polega na dowodach?

— Tych ja w pozytywizmie, co do samej filozofii, nie widzę, a przekonań własnych wyrzec się nie mogę. Pozytywizm, to negacya filozofii.

Nie poruszaliśmy dalej kwestyi tej w szczegółach, ale ja wiedziałem odrazu z kim mam do czynienia. Odtąd pozostawaliśmy z sobą w ciągłym stosunku, który dozwolił mi bliżej poznać w Struvmie i uczonego, i człowieka, szanować w nim obu, podziwiać niezachwianność zasad, wytrwałość w pracy i nadzwyczajną ścisłość w zadokumentowywaniu wszystkiego, z czemkolwiek występował publicznie.

Zbliżenie to, oprócz poznania prac profesora, wtajemniczyło mnie w niektóre szczegóły prywatne jego życia, w okoliczności natury poufnej, a jednak nie pozbawione wpływu na jego działalność publiczną, zatem, uświadomieniu podległe.

Przodkowie Struvego pochodzą ze Szwajcaryi, gdzie dotąd, w kantonie Aargau, istnieje zamek Struvenburg, z herbem tejże nazwy. Jeden z nich, na początku XVI wieku przesiedlił się do Niemiec, a już wnuk jego, Jerzy-Adam (um. 1692), był radcą sądowym i prezesem rządu w Wejmarze (ob. Kryszt. Hier. Rosta „Stemma inclytæ gentis Struvianæ“, w Budziszynie, 1774 r.). Prawnuk tegoż, a rodzony dziad profesora, autor różnych pism politycznych, między innymi „Coup d'oeil sur l'état politique de l'Europe“ z r. 1806, urodził się w Ratyzbonie a umarł Karlsruhe (1828). W licznie rozrodzonej rodzinie tej odznaczało się wielu pracowników na niwie umysłowej, w Niemczech, Szwajcaryi i Rossyi, jako lekarze, historycy, prawnicy, astronomowie.

Co do ojca naszego profesora, ten, po ukończeniu Akademii leśnej w Aschaffenburgu, żonaty z hollenderskiego rodu panną de Witte, urodzoną w Poznaniu i doskonale mówiącą po polsku, osiedlił się w Królestwie Polskiem r. 1827, za namiestnictwa ks. Zajączka, i dzięki znajomości z nim, odrazu wszedł do rządowej służby leśnej. Pierwiastkowo czynnym był przy zakładaniu zwierzynca w Skierniewicach, a ostatecznie piastował najwyższy urząd leśniczy, Intendenta lasów rządowych w Królestwie Polskiem. Jako urzędnik, zatem i poddany tutejszego kraju, po złożeniu odpowiednich dowodów, uzyskał od miejscowej Heroldyi potwierdzenie rodowego tytułu szlacheckiego, wraz z herbem Struve (ob. „Spis szlachty polskiej Kr. Pol.“, wydany przez Heroldyę w r. 1851; oraz hr. Dunina Borkowskiego „Spis nazwisk szlachty polskiej“, we Lwowie, 1887 r., str. 425). Uzyskawszy emeryturę, ośiadł i po latach dziewiętnastu umarł r. 1886 w Gąsiorowie (gub. Kaliska), którego był właścicielem na prawach wieczystej dzierżawy rządowej.

Syn jego, spadkobierca imienia i majątku, Henryk Struve, urodził się tamże, dnia 27 czerwca 1840 roku. Jeżeli się godzi wysnuwać pewne wnioski z teoryi dziedziczności, nie trudno było-by wpływ jej okazać na naszym profesorze. Widzieliśmy z powyższych przytoczeń, że najbliżsi jego wstępni oddawali się pracy naukowej; widzimy również, że, o ile on z miejsca urodzenia, a jak się dowiemy później, z wychowania, z wpływów otoczenia, jednym słowem z wyboru i serca, Polakiem jest od stóp do głów, o tyle krew, rasa, religia wreszcie, świadczą o jego pochodzeniu germańskiem: skąd poszło, że Henryk Struve, wytwór obojga żywiołów, urodzony Polak, dziedzic umysłów oddających się nauce, zajął się nauką; pracował dla Polski, ale pracował po niemiecku, to jest: z zaparciem się, z planem z góry obmyślonym, ze ścisłością, cierpliwością i systematycznie, tak, jak właśnie pracują uczeni niemieccy.

Początkowe wychowanie odbywszy w domu rodzicielskim, uczęszczał następnie, pomiędzy rokiem 1849 a 1852, do gimnazjum gubernialnego w Warszawie, pod oschłym kierunkiem ówczesnego dyrektora, bar. Kaulbarsa. Resztę kursu odbył w gimnazjum Piotrkowskiem, które z listem pochwalnym ukończył 1858 roku. Przyjemne z tej ostatniej uczelni wspomnienia zaznaczył w „Kłosach“ (r. 1876 n. 550), w życiorysie kochanego przez uczniów dyrektora, Karola Beithela, o którym mówi z wielkiem uznaniem i wdzięcznością, nie szczędząc z kądiną chlubnych słów całej ówczesnej zwierzchności szkolnej (nucz. Olszański, Zieliński, Dębicki, Panceram i in.), która, przy zamiłowaniu swego powołania i celu, światłym wykładem, roztropnością

i taktem, umiała sobie zjednać serca młodzieży, dbając jednocześnie o uprawę jej umysłu i charakteru. Niekępowani w swych skłonnościach i upodobaniach szlacheckich, uczniowie klas wyższych, z milczącym przyzwoleniem zwierzchności, zawiązali między sobą rodzaj stowarzyszenia literackiego, którego zadaniem było zdawać sprawę z przeczytanych dzieł, wypracowywać rozprawki, dysputować. Słowem używać owoców samodzielności własnej na podstawie zasiewów szkolnych. W gronie tych ruchliwych kolegów, oprócz pr. Struvego, spotykamy kilka znanych już dziś, a nawet głośnych nazwisk, jak: Bronisław Grabowski (sławista), Mściśław Trepka (ekonomista), historyk, ś. p. Adolf Pawiński, i inni, pracujący w kraju lub za granicą.

Skończywszy gimnazjum w 18 roku życia, dla dalszej nauki zawodowej nie miał się tak dalece za czem obejrzeć w kraju. Wprawdzie istniała już wtedy (rok 1858) w Warszawie Akademia Medyko-Chirurgiczna, ale nie do tej specjalności zwróconą była skłonność Struvego. Umysł z natury kontemplacyjny, lubiący niejako rozglądać się w nieskończoność, z sobą poniekąd przyniósł swoje powołanie, któremu chciał pozostać wiernym. Młodemu, żyjącemu przeważnie uczuciem, śmieje wydawać się mogło, że jego wewnętrznym aspiracyom, sięgającym ostatecznych zagadek moralnych świata, najprędzej i najskuteczniej zadość uczyni teologia, i na tę-to naukę padł jego wybór pierwotny. Stosunki rodzinne tak ojca, jako i matki,—przy względzie, oczywiście, i na rozgłosną znakomitość wykładu,—wskazały mu drogę do Niemiec, dokąd też, zaraz po odbyciu nauk w kraju, wyjechał i zapisał się na wydział teologiczny w Tubindze, na ten sam wydział, przez który przechodzili filozofowie: Schelling, Hegel, Vischer, Zeller, Köstlin, Sigwart i wielu innych, lecz teologami nie pozostali.

Coś podobnego zdarzyć się miało i Struveniu. Nie poprzestając na słuchaniu wykładu przedmiotów teologicznych u najcelniejszych profesorów, uczęszczał on też i na kurs filozofii Fichtego (syna), a przedmiot nierównie więcej go zadowolił. I nic dziwnego: teologia wychodzi z dogmatu i ogranicza się ściśle jednym kręgiem danego Kościoła, niewolno jej wątpić, ani przeczyć, jest to nauka dla tych, którzy już znaleźli światło, pragną je tylko rozszerzyć i uporządkować, nauka dla serca. Filozofia szuka sobie dogmatu, każdą myśl, każde spostrzeżenie, waży na szali umysłowej, poddaje ostrożnym sądom, gmach swój buduje z cegiełek, własną znoszonych ręką, i biada jej, jeśli popełni jeden błąd w układzie: wyrośnie na nim tysiąc innych, jak w matematyce, przez jedną fałszywą liczbę; cała budowa odstąpi od linii zakreślonej u podstaw i albo runie, albo się skoszlawi. Filozofia przytem nie zna ograniczeń żadnych; materyałem, zdobyczą, własnością

jej, jest wszystko, czego dotknie zmysł lub umysł: doczesność, skończoność, również jak bezmiar. To właśnie przedmiot dla umysłów krytycznych a kontemplacyjnych, czujących się w nieskończoności, w otoczeniu wiekuistej zagadki. To też, nie zrywając zrazu jeszcze z teologią, młody adept czuł się bardziej przyciąganym przez filozofię, aż już w roku następnym zupełnie do niej przyłgnał, co mu było tem łatwiej, że i w osobisty stosunek wszedł niebawem z Emanuelem Fichtem, którego system filozoficzny dla umysłu, pełnego podbudzeń idealnych, a jednak krytycznie rachującego się z rzeczywistością, musiał mieć niewypowiedzianą ponętę, zwłaszcza odkąd myśliciel niemiecki wszystkie żywioły podstawowe, zawarte w swych poprzednich dziełach czysto-metafizycznych, konsekwentnie roztaczać począł w zastosowaniu do doświadczenia i świata, co właśnie przypadło na niedługi czas przed przybyciem Struvego do Niemiec (System der Ethik, r. 1851—3; Anthropologie, r. 1856), a zakończyło się kapitalnem dziełem „Psychologie, als Lehre vom bewussten Geiste des Menschen, oder Eutwickelungsgeschichte des Bewusstseins“. Mówimy tu z pewnym naciskiem o Fichcie i wymieniamy niektóre jego dzieła, gdyż, ile dostrzedz mogliśmy przez porównanie, są to z naszym uczonec dwa umysły, barwą usposobień zbliżone, sympatyzujące z sobą w zasadach, na ideał zarówno wrażliwe. Mogłbym nawet powiedzieć więcej: Struve, lubo po Fichcie i z jego porady słuchał na innych uniwersytetach niemieckich wielu innych sławnych mistrzów, jak: Ulrici, Fechner, Drobisch, Fortlage, Kuno Fischer, przeważnie psychologów, jednak w pracach naszego ziomka, o ile odbija się wpływ jakiś, to najbardziej Em. Fichtego.

Syt nauki uniwersyteckiej, wzmocnionej zwiedzeniem najważniejszych muzeów i galeryi po głównych ogniskach Europy, od Niemiec aż do Włoch, młodzieniec 22-letni przystąpił do egzaminu w uniwersytecie Jenajskim, r. 1862 i pozyskał tamże stopień doktora filozofii, po obronie rozprawy „Zur Entstehung der Seele“.

Dyplom doktorski, piękna to rzecz, ale po tem co? W Niemczech jest wielu doktorów filozofii, którzy przecież wcale nie są filozofami; ale Struve był filozofem nietylko z dyplomu, lecz z powołania, z wewnętrznego poczucia, z potrzeby duchowej,—i tylko filozofem. Gdyby nie to, jako młodzieniec zamężnego domu, niekoniecznie potrzebujący zarobkować, mógł-by był sobie powrócić do domu, gospodarować na ojcowskim zagonie, bawić się, nawet w filozofię, i używać życia w pełni, bez trudów i trosk. Ale nie takie były myśli młodzieńca, którego pierś płonęła świętym ogniem wiedzy, a ramiona poczuwały skrzydła. Nie myślał on rozstać się z nauką na progu uniwersytetu, ale piąć się coraz wyżej; tylko jak to zrobić, co z sobą począć?

Miał on w Niemczech stosunki niepospolite. Dzięki pokrewieństwu obojga rodziców, pozyskał wstęp na dwory panujących. Bywał u księcia Schwarzburg-Sondershausen, który go nawet bardzo polubił i uprosił na towarzysza swego najmłodszego syna, ks. Leopolda, młodego poety; bywał na dworze króla Wirtemberskiego, którego minister, Schlejer, był właśnie krewnym ojca Struvego. Z najsłynniejszymi profesorami utrzymywał przyjazne stosunki osobiste, domowe, dzięki listom polecającym i własnym zaletom towarzyskim. W takich okolicznościach nie było-by dlań rzeczą zbyt trudną znaleźć miejsce, odpowiednie pragnieniom umysłowym, ale sprzeciwiło się temu serce, ciągnące go do kraju ojczyźnego.

Dobrej woli sprzyjało na ten raz szczęście, a szczęściem tem była zaprowadzona u nas w r. 1861 reforma szkolna, która właśnie w roku 1862, to jest, kiedy Struve tylko co otrzymał stopień doktorski, wydała Szkołę Główną. Nieznany nikomu, obcy Warszawie, z którą zerwał jeszcze od niższych klas gimnazyalnych, nie wiedząc, gdzie się obrócić, bo i rodzice zamieszkiwali w Piotrkowie, bez żadnych protekcji, bez zabiegów przedwstępnych, z dyplomem doktorskim i rozprawą habilitacyjną w ręku, udał się wprost do naczelnego zwierzchnika oświaty, Krzywickiego, następnie do rektora Szkoły Głównej, Mianowskiego, i został przyjęty przychylnie. W związku swym, Szkoła Główna pośród ciała naukowego nie miała jeszcze filozofów urzędowych: rozprawę więc oddano do oceny dwom światłym mężom, mianowicie dr. Chałubińskiemu i prof. Plebańskiemu, a nadto polecono mu napisać w ciągu dni kilku inną, po polsku, do wyboru. Napisał więc „O stanowisku Arystotelesa w historii filozofii, mianowicie ze względu na jego metafizykę i logikę“.

Jest to rozprawa, kreślona wprawdzie dorywczo, pobieżnie (gruntowności, w ciągu dni kilku, żądać nie było można), rozprawa, jaką człowiek, obeznany z rzeczą, zdolny był-by nawet zaimprovizować, ale niemniej uchwyciła ona główne zarzysy nauki wielkiego mistrza ze Stagiry, mianowicie co do jego metafizyki. Stawia go naprzód autor w przeciwieństwie do Platona i wykazuje dla postępów nauki wyższość metody nad poprzednikiem. Idealizm Platona unicestwił niemal świat zmysłowy, dla niego życie rzeczywiste posiadają tylko *idee*, których rzeczy zmysłowe stanowią jedynie mdły i znikomy obraz. Arystoteles podnosi świat zmysłowy, a stojąc na stanowisku zupełnie odwrotnem od poprzednika, dowodzi, że tylko przez przyznanie rzeczywistego bytu zjawiskom zmysłowym dochodzimy do ogólnych o nich idei, które w każdym razie są niczem innym, jeno abstrakcją, wyrazem pewnego prawa. To punkt pierwszy. Arystoteles, obalając, że tak powiem, radykalny idealizm Platona, nie staje się sam jednak radykalnym materya-

listą, ale, dostrzegając w świecie zarówno myśl, jak materję, dąży do pogodzenia obojga i wykazania właściwych im funkcji. I od niego też właściwie dopiero rozpoczyna się to godzenie, to poszukiwanie jedności, przeniesione aż do ostatnich posterunków filozofii; rozpoczyna się owa *metafizyka*, badanie tego, co istnieje *poza fizykę*. Jest to ta, tak nazwana przez samego twórcę, „filozofia pierwsza“ — he proté filozofia, — tak chlubnie, zdaniem autora, odznaczająca Arystotelesa.

Ale ten był twórcą jeszcze innej nauki, t. j. logiki. I tę w głównych punktach jej całokształtu nieźle zarysował autor, jak na treściwy szkic, tylko zdziwiła nas przygana (str. 43), że mistrz swą logikę „oderwał od bytu zewnętrznego“, że w niej myśl oddzielił od treści, coby wyniosło na to, że rozbiierał myślenie samo bez przedmiotu myślenia, jak to później uczynił np. Hegel. Logika Arystotelesa jest wprawdzie formalną, czyli kreśli ona sposoby, jakimi myśl zdrowa prawidłowo działa, aby wydawać sądy i wyprowadzać prawidłowe wnioski, ale żeby była oderwaną od treści bytu zewnętrznego, tegośmy w Organonie nie dostrzegli nigdy, tembardziej, iż mistrz ciągle się tam zwraca do mowy, a mowa wszak już wyraża treść. I p. Struve, snadź później sam zmienił zdanie, pisząc bowiem świeżo o Arystotelesie (Wielka Encyklop. Illustr. t. V, str. 150), wracając mu niejako honor, powiada: „Logika A-sa... jest pełną *teorią poznania*, mającą na oku rozbiór nie tylko formalnej prawidłowości myślenia, lecz stosunku form myślenia do rzeczywistego bytu i ich doniosłości dla istotnego poznania rzeczy, na co zwolennicy tak zwanej formalnej logiki uwagi już nie zwracają“. Teraz jesteśmy w zgodzie, co tem mi przyjemniej że mamy za sobą pewne powagi, jak: Ritter, Trendelenburg, Zeller.

Rozprawa ta treścią swą łączy się niejako z następującą zaraz, jako lekcya wstępna, p. t.: „Wywód pojęcia filozofii“, które też razem wydrukował autor (Warsz. 1863). Celem tej rozprawy jest wyznaczenie stanowiska filozofii wśród innych nauk, określenie jej punktu wyjścia i charakteru, przedmiotu, którym się ona zajmuje, słowem: dokładna, wszechstronna i wyczerpująca definicya. Naturalnie, do takiej definicyi nie przychodzi autor odrazu, ale krok za krokiem zbiera rysy składowe. Powiada nasamprzód: filozofia jest nauką „wolną“, „ma bowiem prawo i obowiązek samodzielnie rozważyć i naznaczyć sobie swój zakres, swe zadanie i cel“ (Ib. str. 3, 4). Po takim określeniu wchodzimy nieco w labirynt pytań. Co to jest nauka „wolna“, jakby w przeciwstawieniu do innych, niewolniczych, przymusowych, i które to są te nauki? Zapewne te, których metodę obwarowywa i ogranicza sam przedmiot, np. chemia, albo historia i t. p. Ależ są to nauki specjalne; niewolnicze przedmiotu, to prawda, lecz niewolnicze z wyboru, mające dom własny i gospodarujące w nim dowolnie, na

mniejszą lub większą stopę, a zarówno, jak dla filozofii żąda autor, samę sobie naznaczające „zakres, zadanie i cel“. Nauka bez przedmiotu, to coś istotnie, jak człowiek bez domu: ma on przed sobą i dla siebie cały świat, tylko nie posiada własnego kąta. Miałoby tak być z filozofią? Oh nie! Po kilku objaśnieniach i polemice, przeprowadzonej z sensualistami, autor dociera do wyводу, że „filozofia jest nmysłowością, mającą samą siebie za przedmiot poznania“. Znalazł się więc przedmiot, ale tym przedmiotem była-by umysłowość sama. Do tej konkluzji autor doszedł dowodzeniem, przeciw szkołom sensualistycznym i materyalistycznym, że umysłowość stanowi świat sam w sobie samoistny, odrębny od zmysłowości, a więc podający się pod badanie odrębnym metodom, z materyału czysto umysłowego, i z nim niejako utożsamiał filozofię.

Ale tu właśnie spotkał się ze szkopułem. To oderwanie filozofii od świata zmysłowego groziło popadnięciem w Platonizm, przeciwko któremu tylko co występował w rozprawie poprzedniej. Wreszcie musiał mieć na względzie i tę okoliczność, że lubo sensualiści przesadzili, umysłowość czyniąc niejako wychowanką, a co większa, tworem zmysłów, odbierając jej energię własną, wewnętrzną, zmysłami, niby prostymi narzędziami, się posługującą; to wszakże bez pomocy zmysłów, a właściwie mówiąc, bez możności doświadczenia, umysłowość ta kuso by wyglądała, chociaż istnieć-by i grę na własną rękę prowadzić mogła (ob. sprawozdanie moje w „Kłosach“, r. 1879: „Istota o jednym zmyśle“). Z drugiej strony, i taż umysłowość nasza nie występuje samoistnie, lecz zawsze w związku z materyą, czyli ze zmysłowością. Trzeba zatem tę ostatnią uwzględnić, czyli zawrócić do Arystotelesa i nawet rozprawić się z Kantem. Prawda, że my świata zewnętrznego nie jesteśmy zdolni poznać takim, jakim on jest sam w sobie, tylko takim, o jakim nam dają wyobrażenie zmysły, a umysł rozstrzyga; ale pojęcie takie uznać za fałsz, za niebyt, i sądowi nawet umysłu co do tego pojęcia zaprzeczyć, było-by to już nietylko sceptycyzmem, lecz solipsyzmem, powstrzymującym wszelkie rozumowania, obozwardniającym myśl i myślenie. Obstaje więc autor za doświadczeniem zmysłowym, przyznaje, iż jemu tylko, lubo jedynie w formie podmiotowej, zawdzięczamy pewną grupę pojęć, istniejących w naszym umyśle, skąd wynika, że człowiek, jako istota umysłowo-zmysłowa, musi się kierować wskazówkami obu żywiołów. Na tej zasadzie definicya jego uzupełnia się w ten sposób: Filozofia jest to nauka, mająca za przedmiot umysłowość samą w sobie, oraz tęż umysłowość ze względu na zmysłowość. Czyli świat idealno-realny.

Wywód ten, jakkolwiek napisany konsekwentnie i z powołaniem się na wysokie powagi, nie tyle interesującym jest ze względu na do-

niosłość akademicką, ile jako, w danej chwili, program i nić kierownicza przyszłego profesora przy wykładzie wielkiego przedmiotu. Takiego kierunku umysłów, takich zasad i dążności oczekujecie ode mnie! zdawał się mówić młody adept do zwierzechności i do młodzieży akademickiej, z głębokiem przekonaniem i siłą. Program ten, jak widzieliśmy, unika skrajności między idealizmem i materializmem, uwzględnia każdą z tych doktryn w pewnej mierze; ale, umysłowość biorąc za główny żywioł filozofii, tem samem idealizmowi nadaje pierwszeństwo. Od programu tego dr Struve nie odstąpił ani na krok przez lat trzydzieści pięć, i dlatego, jako na rzecz znamiennej, na rozprawę tę, mieszczącą go w zarysach, obowiązani byliśmy zwrócić uwagę.

Snać podobało się to stanowisko młodego uczonego, gdyż, na podstawie dwóch przedtem złożonych rozpraw, uzyskał d. 8 lutego 1863 r. nominację na p. o. adjunkta przy katedrze filozofii w Szkole Głównej, ze skromną pensją 600 rubli rocznie; a po odbyciu, dnia 14 t. m., lekcji wstępnej, mającej za przedmiot ów wywód pojęcia filozofii, rozpoczął wykład logiki, poprzedzony wstępem psychologicznym, trzy razy tygodniowo. Właściwym profesorem filozofii miał być znany pedagog i pisarz, Feliks Jezierski; ale i tu szczęście sprzyjało Struvementu. Jezierski w r. 1864 zrezygnował z katedry, tak, iż Struve, zostawszy sam panem placu, otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego, jedynie odpowiedzialnego za powodzenie katedry,

Był to zaszczyt niepospolity dla 24-letniego młodzieńca, ale nie miał przechodzący jego siły. Wszak on, zaskoczony niespodziewanie, sam zaledwie powstawszy z ławy uniwersyteckiej, nie miał czasu do zaopatrzenia się w rynsztunek wykładowy, do zgromadzenia materiału. Poczucie godności i odpowiedzialności, zapal zawodowy, idea obowiązku, przewyciężyły wszystko. Zapomniał, że jest młodym, wyrzekł się nietylko wszelkich przyjemności i rozrywek, ale nawet potrzeb nie stykających się bezpośrednio z obowiązkiem, zamknął się z myślą swoją i książką, nie miał innych dróg, prócz tej, która prowadzi *per angusta ad angusta*. Wszystkie godziny życia, z krótkim wytchnieniem, w ciągu przeszło sześcioletniej działalności w Szkole Głównej, zajmowała mu praca i tylko praca, oprócz innych podbudzeń wewnętrznych, zachęcana ogólnym nastrojem ówczesnego społeczeństwa, które nadzwyczajnem współczuciem otaczało nowe instytucje, przewidując w nich, i jak się pokazało, nie bez słuszności, błogie dla siebie owoce, jakie dzisiejsze dopiero pokolenie pełnymi garściami zbiera z prac ówczesnych wychowawców najwyższej instytucji, owoce, jakimi darzą nas: Sienkiewicz, Prus, Chmielowski, Baudouin, Kryński i tylu innych. Trudno, ażeby młody człowiek, jakim był wówczas Stru-

ve, nie dał się porwać wirowi pracy, rozbrzmiewającej na punktach, przedsiębranej gorączkowo a zachęcanej i z góry i z dołu.

Pod takimi bodźcami zabrał się do pracy Struve zaraz po swej lekcji wstępnej, a w następnym półroczu nie tylko godziny wykładu pomnożył do sześciu tygodniowo, lecz w krótkim stosunkowo czasie piśmiennie opracował dla zakładu dziewięć przedmiotów filozoficznych, mianowicie: logikę, ze wstępem psychologicznym; wstęp do filozofii; encyklopedyę nauk filozoficznych; psychologię, poprzedzoną wstępem antropologicznym; historię filozofii greckiej; historię filozofii nowszej; metafizykę, estetykę i etykę. Pierwszy z tych kursów jest litografowanym, inne pozostają dotąd w rękopismie. Oprócz wykładów, urządził ze studentami rozprawy, zw. „disputatoria“, po dwie godziny tygodniowo, polegające na roztrząsaniu złożonych wcześniej wypracowań, a przez profesora przejrzanym i starannie objaśnionym. Ci, którzy brali udział w tych wielce pouczających ćwiczeniach (a w liczbie ich byli i głośniejsi już dziś działacze, jak: Andrychewicz Wład., Baudouin Jan, Godlewski Mścisław, Golberg Henr., Grabowski Bron., Kryński Adam, s. p. Malinowski Lucyan, Roszkowski Gustaw, Strasburgier Karol, ś. p. Sulimierski Filip, i inni)—ci poświadczyć mogą, iż prof. Struve nie narzucał nikomu apodyktycznie swych filozoficznych przekonań, niczyjej nie krępował samodzielności, przyjmował owszem do dysputy opinie najprzeciwniejsze, żądając jedynie gruntownie naukowego ich uzasadnienia.

Niezależnie od wykładów, jednocześnie z nimi, podjął pr. Struve pracę filozoficzno-literacką, która-by objęła, ile być może najdokładniejszy, obraz rozwoju myśli filozoficznej w Polsce. Zamiar ten był podwójnie wdzięcznym. Nasamprzód czynił on zadość synowskiemu uczuciu autora dla tej ziemi, która go wydała i okazała się dlań tak hojną; powtóre, jako uczoneму, praca ta przedstawiała grunt niejako dziewiczy, wielce nęcący dla duszy i przedsiębiorczości pioniera. Nie możemy pominąć tu milczeniem faktu, że w tym właśnie czasie (r. 1863) F. Krupiński, w dodatku do tłumaczenia historii filozofii Schweglera, pierwszy rzucił zarys dziejów filozofii w Polsce, ale był to tylko szkic pobieżny i nader cząstkowy; w każdym razie, mógł on mieć zasługę zapoczątkowania: Struveniu zaś chodziło o co innego, o całą ewolucyę myśli filozoficznej u nas, od pierwszych jej przebrzasków. W tym zamiarze cały czas wolny od bezpośrednich zajęć przesiadywał on w bibliotekach publicznych w Warszawie, odwiedził bibliotekę krakowską i inne, dla poznania się z materiałami do historii logiki w Polsce, poczynienia wyciągów, notat; zadaniu temu poświęcał czas wakacyjny na wsi, tak, iż w końcu okazał się tej pracy cenny rezultat. Od r. 1868 do 1870, zaczęły wychodzić zeszyty,

które utworzyły książkę o 290 stronicach, p. t. „Wykład systematyczny Logiki“ i t. d. tom I, część wstępna. Ponieważ Struve wykład w Szkole Głównej od tego właśnie przedmiotu rozpoczął, nic dziwnego, że przyszło mu na myśl system swój i wiedzę spożytkować w ogólniejszy sposób, literacki; że zaś jednocześnie pracował i nad filozofią w Polsce, więc umyślił z teoretycznym wykładem logiki połączyć w jednej książce, mianowicie u wstępu, świeżo zebrany plan. Nie wynikało to ani z koniecznej potrzeby, ani ze zwyczaju przyjętego przez uczonych; nie znamy ani jednego compendium logiki, lub innej gałęzi filozofii, opatrzonego tak olbrzymim wstępem historycznym, jak ten, który obejmuje książka pr. Struvego: zazwyczaj autor poprzestaje na zaznaczeniu stanowiska swego systematu wśród innych, głównie społecznych lub ostatnich, i koniec. Nasz autor, pisząc w odmiennych warunkach i dla innej publiczności, daleko mniej świadomej dziejów umysłowości, uznał za stosowne na mocniejszym gruncie historycznym osadzić swą pracę, tak, iż ten tom pierwszy, z małym wyjątkiem, stanowi właściwie dopiero dziejowy obraz początku, postępu i ruchu przedmiotu, w czem dzieje nasze zajmują miejsca najwięcej, bo z połową dzieła.

Wśród rozmaitych odmian, jakie przybierała nauka logiki, począwszy od Arystotelesa, zależnych od ogólnego poglądu wyższych myślicieli na naturę i zadanie filozofii, wśród rozmaitych zdań o logice, przynajmiej jej królewskie berło w państwie duchowem, lub głoszących, że ona zgoła na nic się nie zdała, wyrodziła się potrzeba uzasadnienia racji jej bytu. Dla pr. Struvego racja ta nie ulega, zdaje się, wątpliwości; chodzi mu tylko o rozwiązanie kwestyi, czy logika jest nauką, czy sztuką myślenia, głównie zaś o oznaczenie natury jej i zakresu. Rozważywszy w tym względzie zdania cenniejszych filozofów, scharakteryzowawszy przeobrażenia, jakim nauka ta uległa, raz traktowana jako czysto formalna, a więc ograniczona do rozważania samego tylko mechanizmu myślenia, bez względu na przedmiot (Kant), drugi raz jako metafizyczna, zatem podstawiająca się na miejsce zasad i praw rzeczywistości, czyli bytu, i utożsamiająca niejako byt z myślą (Hegel), autor przechyla się ku idealno-realnemu kierunkowi filozofii, godzącemu myśl z rzeczywistością, ideję z bytem realnym, i według tego podaje logikę, jako „naukę, mającą za przedmiot zasady dochodzenia i poznawania prawdy“. Jest to określenie o tyle dobre, że nie tylko trafnie wyobraża naturę myśli, skierowanej do poznawania czegoś, co nie jest koniecznie myślą samą, ale i nie czyni żadnych ograniczeń w rozległości funkcji, jak to zrobił np. Mill, ścieśniając kompetencję logiki do samego wnioskowania; bo, ażeby można wnioskować, trzeba mieć wnioskować z czegoś, z jakiegoś sądu o rzeczy; a iżby

mieć sąd o rzeczy, trzeba naprzód mieć o niej jasne pojęcie,—do jakiegoż pojęcia, do jakiego sądu przyjść można bez logicznego myślenia? Na tych dwudziestu kilku stronicach, na których autor nasz w chaosie zdań, często wprost sprzecznych, usiłuje porządkować pojęcie i uzasadnić istotę, oraz zadanie logiki, składa on zarazem dowód nietylko samodzielnego na rzecz poglądu, ale i nadzwyczaj wszechstronnego i głębokiego odczytania się w przedmiocie. Na tem też uzasadnieniu zadania logiki kończy się cała niemal w tym tomie część teoretyczna. Zauważyć tylko można, że wbrew głuchemu określeniu filozofii, jako nauki o umysłowości samej w sobie, które podał w swej lekcji wstępnej, tu, chociaż mimochodem, przyszedł do wcale wyraźniejszego i konkretnego jej zdeterminowania, mówiąc: „Filozofia ma na celu zbadanie ogólnych zasad i istoty wszystkiego, co uderza umysł człowieka, a zatem: szczególnie zbadanie ogólnych zasad i istoty trzech przedmiotów, nad którymi ludzkość od wieków się zastanawia, t. j. człowieka, natury i Boga“. Tym sposobem autor, aż tak jasno wskazując zadanie jej i zakres, oczywiście zobowiązujące go nietylko w wykładzie logiki samej, ale i całokształtu filozofii, porównał tę naukę z innymi, i daremnie w „Wywodzie pojęcia filozofii“ odróżnił ją od nich nazwą „wolnej“; różnica tu zachodzi tylko w punkcie zapatrywania się na przedmiot i w metodzie traktowania, ale ten przedmiot zarówno danym jest tu i tam; co więkza, nawet przedmiot ten sam: zarówno bowiem jak filozofia, człowiekiem zajmuje się antropologia i historia, naturą fizyka i chemia, Bogiem teologia.

Erudycya, której autor „Logiki“ nie dla czczego popisu, lecz dla wyjaśnienia rzeczy pośród powag, nie szczędzi na pierwszych kartach dzieła, tembardziej wydatnie przy rysie historycznym tej nauki, do którego, przerywając wykład teoretyczny, natychmiast przystępuje i na którym kończy. Dzieje powszechne logiki, od Arystotelesa i nieco wcześniej, przypuszczam, mogły go niebardzo utrudzić: rzeczy tych słyszymy obszerny i doskonały wykład na uniwersytetach, otrzymujemy wskazówki, z konieczności zaglądamy do tekstów, kiedy biblioteki napraszają się same obfitością i wyborem dzieł; chociaż i tu dostrzegłem sporo własnych, zatem nowych, poszukiwań autora, odnoszących się do Scholastyki, a samo opracowanie, treściwe, wszakże pełne, wybornie co do ważności objawów i wpływów ustosunkowane, stanowiące przejrzysty ruch tej nauki w całym świecie obraz, jakiego do owej pory nie posiadała literatura nasza, stanowiło-by już samo przez się niemałą zasługę autora, gdyby nawet oddzielnie wyszło, jako samoistna broszura. Nie idzie jednak ono, co do zasługi, w porównanie z częścią, poświęconą dziejom logiki w Polsce. Tu już żaden uniwersytet nie mógł przyjść z pomocą, nie istniała jeszcze „Bibliografia“ Estrejchera;

samemu sobie trzeba było szukać nici przewodniej, wskazówek,—i co do materiału bibliograficznego, znalazł je autor w Bentkowskim, Wiszniewskim, tudzież w dziele Sołtykowicza „O stanie akademii krakowskiej“ (r. 1810). Obracając całym, najtroskliwiej w tym przedmiocie zebrany, materiałem literackim, aż do spólczesnego sobie „dodatku“ Fr. Krysińskiego do przekładu Schweglera, i oddając każdemu z piszących, co mu się należy, nie może jednak zamilczeć autor że: „jak historia filozofii wogóle, tak i historia filozofii w Polsce, nie znalazła dotąd należytego obrobienia“, pod tem zaś *należytem* rozumiejąc opracowanie sumienne, krytyczne i prawdziwie filozoficzne.

I sam też pr. Struve, zebrawszy nareszcie dostateczny materiał drukowany, jaki istniał do jego czasu, nie podejmuje się podobnego, co do całej filozofii, opracowania (które-by wreszcie i niedość właściwie przyczepionem było do zamkniętego w sobie wykładu logiki), ale ogranicza się do treściwego przedstawienia rozwoju samej logiki u nas. Wyszedł jednak z pod jego ręki obraz, pełniejszy od zapowiedzianego: logika tak się wikła z całokształtami, że, mówiąc o jednej, niepodobna nie zaczepić o drugie, a jak się raz zaczepi, to i odczepić trudno. Ta też część pracy pr. Struvego wygląda mi raczej nie na historję logiki w Polsce, ale na umiejętną próbę dziejów filozofii u nas, tembarziej, iż autor z góry obmyślił podział i granice wytyczne pięciu okresów logicznych, poczynając od Grzegorza z Sanoka, żadnemu nazwisku nie przepuszczając. Między innemi, ze zdziwieniem na słupie granicznym spotkałem nazwisko Sierocińskiego. Był to sobie nauczyciel języka polskiego, gramatyk, z ukształceniem filozoficznym, ale nic więcej. Bez żadnego pomysłu samodzielnego, napisał przygodnie dwa podręczniki logiczne: jeden przerobił z Kisewettera, drugi z Trętowskiego. Były to zapewne jakieś płonki na ugorującej wówczas zupełnie niwie nauki, ale zeszcły one bezużytecznie. W gimnazyach logiki wówczas nie uczono, a w kursach dodatkowych Sierociński logiki nie wykładał, więc i podręczników swych nie miał kiedy i gdzie spożytkować: wykładał ją tam Smaczniński, ale z własnego kursu. Pr. Struve użył więc tego nazwiska, zapewne tylko w braku innych, dla oznaczenia czasu po roku 1831, niż jakiegoś charakterystycznego zwrotu.

Bądź co bądź, ta część książki pr. Struvego stanowi pierwszą i istotną podstawę do utworzenia dziejów filozofii w Polsce; materiał tam jest obfity, chronologicznie uporządkowany, nawet krytycznie oceniony. Nikt go jednak od wyjścia książki w r. 1870 nie dotknął, aby rami jego rozszerzyć, objawy na tle społecznem i w zestawieniu z innemi objawami życia politycznego i umysłowego przestawić, tak, że zdaje się on oczekiwać pod tym względem na rękę samego autora. Ocze-

kuje również na dokończenie i sam „wykład systematyczny Logiki“, którego tu mamy pierwsze zaledwie litery.

Rzecz nie do pojęcia. Pomimo wszelkich ułatwień w nabywaniu książki (wychodziła zeszytami), pomimo wzmózonego ruchu umysłowego, pomimo treści tak żywo obchodzącej ukształconego Polaka, książka nie miała nabywców. W ciągu czterech lat sprzedano jej kilkadziesiąt egzemplarzy, co pokryło zaledwie dziesiątą część kosztów wydania, i wcale nie zachęcało do drukowania dalszego ciągu. Dlatego tak się stało, może zobaczymy później.

Niepowodzenie książkowe, pierwszy objaw gorczy, jakiego profesor Struve w zawodzie swoim miał doznać, nie wytrąciło mu jednak pióra z ręki, tylko zmienić on musiał formę. Widząc, że społeczność nasza nie jest jeszcze przygotowana do nabywania wiedzy w tomach, poszedł za przykładem innych i począł podawać jej wiedzę w lekkich dawkach, jak się to robi z dziećmi o wątłych organizmach. Wydawał rozprawy, miewał odczyty publiczne, pisywał artykuły do czasopism. Już w r. 1864 wyszły dwie jego rozprawy: jedna „O psychologicznej zasadzie teorii poznania“, druga „O temperamentach“. Dalej wydrukował odczyty publiczne „O pięknie i jego objawach“, „O estetycznym wychowywaniu kobiety“, „O emancypacji kobiet“. Oprócz treści właściwej, wszędzie tam tkwi podstawa idealna, a raczej idealno-realna, jego zasadnicze wyznanie wiary; a najbardziej się ono uwydatniło w książce „O istnieniu duszy i jej udziale w chorobach umysłowych“ (r. 1869).

Ażeby jednak właściwie ocenić tę książkę ze stanowiska współczesnego, należy przypomnieć współczesny stan umysłów. Profesura Struvego, poczęta w r. 1863, pojawiła się w warunkach wyjątkowo osobliwych, i ani sam profesor, ani nikt przypuszczać nie mógł, iż od pierwszej chwili żeglugi zawieje mu wiatr prosto w oczy, a statek odrazu natrafi na szkopyły. Przynosi on z sobą na katedrę przekonania konserwatywne, odpowiadające, zdaje się, całemu duchowemu nastrojowi krain; aż tu niebawem, pod jego nogami wybucha reakcja radykalna.

Walka klasyków z romantykami, daleka od burzliwego w Niemczech okresu „Sturm und Drang“, odbywała się u nas na tępe szable i trwała bardzo krótko. Pierwszy raz dopiero, skutkiem gwałtownej reakcji po roku 1863, wystąpiła osobliwsza zaciętość przeciwko idealizmowi za materjalizmem. Wystąpiła ona ze szkół, zupełnie tak samo i z podobną butą, jak przed kilku laty owa, która akcyę swą rozpoczęła na innem polu. Idealizm zawiódł, zdradził; trzeba go się pozbyć i zastąpić nową doktryną, wprost odwrotną. Skąd się tam dostała ta myśl do umysłów, zaledwie poczy-

nających myśleć? Była to, przypuszczam, jakaś migracja z za granicy, jak wreszcie u nas wszystkie kierunki umysłowe i literackie, dzięki temu, iż nigdy, a przynajmniej zbyt mało, miewaliśmy imponujących i szlachetnych, wielkich powag naukowych. W danej chwili zwłaszcza, t. j. przed r. 1863, społeczeństwo nasze, jak ziemia od księżyca, dalekiem było od tego, by rozróżnić jakieś systematy i doktryny, a tembardziej brać je za prawidło życia, działania, za podstawę do rozumowań. O walkach filozoficznych, jakie już od ćwierci wieku coraz goręcej brzmiały na Zachodzie, o jakimś wkraczającym w dziedzinę myśli neomaterializmie i pozytywizmie ogół nasz jeszcze w pierwszych latach siódmego dziesiątka wieku nie wiedział nic zgoła, prócz może kilku z upodobania śledzących bieg spraw filozoficznych, do których i ja należałem. Ja też pierwszy, jeśli się nie mylę, pobudzony nowym ruchem starego atomizmu, pisząc o „Epikureizmie“, potrafiłem pobieżnie o Meleschotta, Büchnera i Vogta (Bibl. Warsz. r. 1861, tom III str. 497—8), ale wątpię, aby ta wzmianka jakiegokolwiek miała następstwa, tem bardziej, iż umysły czem innem wówczas były zaprzątnięte. A jeżeli kto u nas przyczynił się do zachwiania wrażeniami pozostałemi po filozofii Kremera i Tyszyńskiego (modyfikowany Heglizm) oraz do uświadomienia, co się dzieje gdzieindziej na polu filozofii nowej, to człowiek nowy, zgoła nieznany a głęboki i mocno samodzielny: Franciszek Krupiński.

Już pierwsza jego obszerna rozprawa „Przyszłość filozofii“ (Bibl. Warsz. r. 1864, t. I), wytykająca braki różnych wielkich systematów, karcąca „umidła metafizyczne“, domaga się reformy przedmiotu. Dla niego „filozofia jest umiejętnem i systematycznym poznaniem *rzeczywistości*“, a stąd wnioski jej tem będą pewniejsze, im mocniej oprze się ona „na wypadkach wszystkich nauk, rzeczywistość uprawiających“. Jeżeli one zajmują się niejako ciałem jej, filozofia sięga do jej duszy, do wnętrza, pojmuje rzeczywistość nie w rozjednostkowaniu, lecz w całości, śledzi ona wszędzie „przyczynę, istotę, wewnętrzność, siłę ducha, a tem samem zakres jej jest nieograniczony“. Ponieważ zaś filozofia jest umiejętnem poznawaniem rzeczywistości, a do tej należy zarówno materya, jako i duch, dzieli się ona tedy na filozofię materyi wogóle i filozofię ducha.

Z określeń tych, szeroko rozwiniętych co do treści, zakresu, metody i celu filozofii, wynika naprzód potępienie wszelkiej filozofii spekulacyjnej, a priori wyrokującej o rzeczywistości, jaką jest natura, człowiek i Bóg; a co za tem idzie: zależność jej od poprzedniego poznania wszystkich umiejętności realnych, czyli zależność metafizyki od fizyki, więc spekulowanie na podstawach nie apriorystycznych, dzielących zgóry rzeczywistość na materyę i ducha. Niemniej

ważnym jest jego postulat, wyłączający wszelką bez gruntu realnego spekulację, jako czężą frazeologię, a wymagający dla filozofii ścisłych podstaw doświadczalnych. Odbił on niejako w rozprawie swej ten właśnie ruch ku realizmowi, jaki się wówczas na Zachodzie odbywał, tylko ruch ten przeszedł daleko po za postulat jego rozprawy. Autor utrzymał w nim jeszcze „metafizykę“ w dziedzinie filozofii, dla ducha ustanowił dziedzinę osobną: wszystko to niebawem, wyrugowane, poszło na pośmiewisko; realizm obrócił się w czysty materyalizm, a metafizykę uważać u nas zaczęto za pewną odmianę obłąkania.

W każdym razie, rozprawa była programowa, i jako taka, mogła dać do myślenia, lecz tylko ludziom, mającym pewne obeznanie się z przedmiotem, i tacy tylko mogli w niej dostrzedz ukrytą minę pod idealizmem. A lubo profesor Struve (Wykład syst. Logiki, str. 28) wspominając o tej rozprawie, powiada: że „autor potępia kierunek idealno-realny... bez wszelkiej znajomości dzisiejszego stanu filozofii i prac głównych przedstawicieli powyższego kierunku“, ja nie mogę tego zdania podzielać. O kierunku idealno-realnym, jako o swoistej doktrynie, nie mówi Fr. Kr. ani słowa, potępia zaś jedynie spekulację bez podstaw realnych, czyli, poprostu mówiąc, bez gruntownego wykształcenia się w naukach specjalnych, odróżniając przez to filozofowanie od filozofii; powtóre, złożył on w tej rozprawie dowód znajomości, nie powiem, szczegółowo kierunku idealno-realnego, bo jak rzekłem, nie mówi o nim, ale znajomości ducha i podstaw wszelkiej filozofii spekulacyjnej.

Nie zdaje mi się jednak, aby rozprawa ta bezpośrednio przyczyniła się do rozbudzenia jakiegoś wrogiego przeciw idealizmowi nastroju między młodzieżą szkolną, wśród której nasamprzód wszczął się jakiś ruch materyalistyczny i bezwyznaniowy, z początku jako szmer, a stopniowo doszedł aż do zuchwale i namiętne wygłaszanych haseł. Początku tego ruchu szukać należy gdzieindziej, mianowicie: we Lwowie. Tam-to wychodził nasamprzód od r. 1868 przekład dzieła Buckle'a „History of civilisation in England“, dokonany przez Władysława Zawadzkiego. Buckle, samouk, przejęty duchem pozytywizmu Comte'a, według tegoż ducha usiłował przerabiać historię powszechną w kierunku zupełnie materyalistycznym, formy i postęp cywilizacji warunkując klimatem, żywnością, glebą, ogólnymi zjawiskami przyrody, a do pewnych stron rozwoju społecznego stosując metodę, zapożyczoną z chemii. Dzieło tego historycznego deterministy, tworzącego wreszcie i pod wpływem takiego bazarza statystycznego, jak Quetelet, bardzo się rozchodziło i po Warszawie, rozchwytywane przez młodzież, żadną nauki i nowości. Poparcie temu kierunkowi najusilniej dawał, wychodzący także we Lwowie, „Dziennik Literacki“, który w r. 1865

i 1866, pod piórem Kazimierza Chłędowskiego, tudzież Stefana Pawlickiego, z całą gorliwością propagował ultramateryalistyczne teorie Moleschotta, Büchnera i Vogta (ob. „Zarys najnow. liter. polskiej“ Chmielowskiego, r. 1897). Wszystko to, naturalnie, obiegało po rękach młodzieży i przedostawało się do Warszawy, przyjmowane gorąco, i na takie-to czasy trafił konserwatyizm filozoficzny pr. Struvego.

Za dostrzeżeniem pierwszych oznak faktycznych tego przełomu na korzyść materjalizmu, komuż bardziej przystało, niż profesorowi filozofii, przewodnikowi umysłów, poszukujących nauki i prawdy, zabrać głos kierowniczy? Głos ten dra Struvego dał się też istotnie słyszeć w powołanej wyżej rozprawie: „O istnieniu duszy“ (rok 1867). poświęconej wykazaniu istnienia w organizmie i obok niego samodzielnego i duchowego pierwiastku, zwanego duszą. Rozprawa ta, stawiająca kwestyę psychologiczną na gruncie duchowym, miała, naturalnie, za zadanie rozstrzygnąć i co do gruntu całej filozofii. Dzieli się ona, jak i z tytułu widać, na dwie części, dość luźnie z sobą związane: pierwsza udowodnić usiłuje niecielesny pierwiastek duszy; druga odnosi się wyłącznie do udziału tego pierwiastku w chorobach umysłowych. Rozdział ten wynikał z przyczyny szczególnej. Dla bliższego poznania wzajemnego stosunku między ciałem i duszą, pr. Struve, korzystając z zaproszenia do udziału w rozprawach o chorobach umysłowych, przez rok niemal przysłuchiwał się im w psychiatrycznym oddziale Towarzystwa Lekarskiego, i ze swojego punktu zabierał głos. Po roku takich studyów wystąpił tamże z własną rozprawą „O istocie i ostatecznej przyczynie chorób umysłowych.“ Rozprawa ta, odczytana na plenarnem posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego, nie miała powodzenia; bez dyskusyi żadnej, prezes, w imię nauki, zaprotestował przeciw wywodom prelegenta. Stąd następuje wywiązana się polemika w „Klinice“ (r. 1767, n. 19) o filozoficzne poglądy Virchowa, których nasi ówczesni przyrodnicy, jak się pokazało, wcale prawie nie znali; co nie jest znowu zbyt dogodnem dla powołujących się na powagi, jako na argumenta, gdyż Virchow (cytata pr. Struvego w „O istn. duszy“, str. 27), między innemi powiada: „Z chwilą, gdy się pokazuje, iż podłożem świadomości *nie może być pojedynczy organ ciała*, ze stanowiska nauki nie nadmienić nie można przeciwko zdaniu, iż obok materyi istnieje w człowieku pewną, niematerialną, eteryczną, czysto duchową istotą, której zasadniczą własnością jest świadomość. Myśl ta była dla mnie powodem, że czysto materjalistyczny pogląd na świadomość, jako na prostą funkcję mózgu, uznałem za samowolny, a przyjęcie osobnej duszy, jakkolwiek transcendentálne, uważam za prawdopodobnie uprawnione. I jeszcze teraz, pomimo repliki Vogta, nie mogę się prze-

konać, aby takie stanowisko było fałszywem, lub sprzecznem w sobie“. Jeżeli powaga uczonego, który, jak to trywialnie mówią, zęby zjadł na materializmie, służyć może za argument, dotychczas wszakże niezachwiany, to niechże się materializm ma na baczności.

Z zamkniętego ogniska sporów zapragnął profesor wytoczyć rzecz przed szerszy ogół publiczności, i wtedy-to pierwotną rozprawę o udziale duszy w chorobach umysłowych uzupełnił poglądem na całość pierwiastku duchowego, i wydał w osobnej książce. Nie jest to żaden traktat apriorystyczny, ale raczej rzecz więcej żywotna, dyskusya, w której chodzi o wykazanie, że nauki przyrodnicze, zwłaszcza fizyologia, na podstawie osiągniętych dotąd rezultatów badań, nie może i nie ma prawa sprowadzać duszy do funkcyi czysto organicznej i utożsamiać ducha z ciałem. Po dowody zstępuje autor, naturalnie, do samychże nauk przyrodniczych, czyli własną bronią zwalcza przeciwnika. Stąd też, cały traktat przyjmuje charakter nie dogmatyczny, ale raczej polemiczny. Gorąco bierze do serca sprawę, aby „wykazać sprzeczność materializmu z naukami przyrodzonymi... mającemi właśnie dać nam poznać nieskończoną liczbę zjawisk, których bez uznania samodzielnego pierwiastku duchowego w człowieku wytłómaczyć niepodobna“. Zwraca się głównie do młodzieży lekarskiej i rad-by ją przekonać, „iż poglądy idealne na człowieka nie są bynajmniej sprzeczne ani z ich nauką, ani z ich zawodem“.

Ażeby uzasadnić samoistność pierwiastku duchowego w człowieku, autor wyprowadza na front *świadomość*, jako jedyny fakt niezaprzeczalny, pewnik (z wyjątkiem chyba sceptyków *à outrance*), jedyny, od którego rozpoczyna każda psychologia. Jest to fakt, świadczący, iż człowiek wie o sobie, czuje się jestestwem samoistnem w rozróżnieniu od jestestw innych, przyczyną działań własnych, oraz zupełną jednością w sobie, pomimo różnych objawów. Na fakt świadomości zgadzają się wszyscy, bez różnicy doktryn. Różnice ukazują się dopiero, gdy chodzi o źródło, czy podstawę świadomości. Gdyby psychologia dowodnie wyprowadziła wprost ten fakt z samego ustroju cielesnego, rzecz skończona; zamilknąć-by musiały wszelkie protesty na rzecz duchowości. Ale ażeby tego dowieść, potrzeba-by przekonać, że fakt świadomości, skupiający *w jednej* myśli wszelkie objawy psychiczne, opiera się na fizycznym ześrodkowaniu podstaw, myśl taką wydających, czyli na organie, ześrodkowującym wszystkie nerwy. Tymczasem przywodzi autor całe szeregi zapewnień, wybranych z najcelniejszych fizyologów współczesnych, które poświadczają, że takiego organu centralnego nerwów w organizmie niema, ale są tylko ośrodki nerwowe, do pewnych organów zastosowane, od siebie niezależne, zatem organicznego związku nie stanowiące; że nawet mózg sam nie jest bynajmniej *jednym*

organem, ześrodkowującym układ nerwowy, lecz tylko zbiorem różnorodnych i samodzielnych organów. Skoro więc w ustroju fizycznym człowieka panuje sama różność, bez żadnej ześrodkowanej jedności, jakim sposobem, jaką drogą, na mocy jakiego prawa, mógł-by ten ustrój fizyczny dać podstawę dla tej, tak wydatnej, *jedności*, jaką stanowi *świadomość*? Wniosek, iż daje ją pierwiastek iuny, w skutek czego wali się cała budowa materyalistyczna, oparta na utożsamieniu fizycznego i psychicznego życia człowieka.

Chwytają się też materyaliści różnych środków dla utrzymania swej zasady: między innymi, ni stąd, ni zowąd, z rozprawy, uciekają się do nowej siły, jeszcze mało zbadanej, i dowodzą, że proces mózgowy, wydający myśli, jest procesem elektrycznym. Aliści znowu występuje szereg fizyologów, między innymi autor przytacza i naszego Majera, dowodzących fałszu tego przypuszczenia. Szczególniej charakterystycznym jest tu zdanie, wcale nie stronne, bo wielce sympatyzującego z materyalizmem, dra Ludwiga (Lehrbuch der Physiologie), co do czucia. Dowodzi on, że każde czucie łączy się z czemś zupełnie osobliwym, t. j. wyobrażeniem; nigdy bowiem nie uczuwamy bodźca nerwowego w samym mózgu, lecz zewnątrz mózgu, a to u wszystkich zmysłów i w pewnej odległości; te zaś „dodatki“, towarzyszące w każdym razie czuciom, „nie mogą być, jak się zdaje, wyjaśnione przez samo podbudzenie nerwowe“. Skąd pochodzi ta niemożność, objaśnia dalej fizyolog: „Zważywszy bowiem, że czucia, wynikłe z tego samego stanu podbudzenia, u ludzi różnych usposobień umysłowych miewają coś świętego, że przy snach, odurzeniach, chorobach umysłowych itp., bez odpowiedniego pobudzenia nerwów zdarzają się bardzo żywe czucia, zwane marzeniami, wizjami, hallucynacjami, prawie wyznać należy, iż czucie o tyle jest od nerwów niezawisłem, że dla pojawu jego bodziec nerwowy wcale nie jest niezbędnym, i że wskutek tego nerwy stanowią tylko *jeden* z powodów, mogących wywołać czucie. Jeżeli zatem chcemy wykazać warunki czucia, należy koniecznie wykryć, na czem polega ów „dodatek“, zjawiający się w mózgu, a podbudzony do czucia, *to zaś jest właśnie rzeczą niemożliwą*.“

Niemożliwą, rozumie się, dla fizjologii; ale skoro w ustroju ludzkim, według świadectwa samych fizyologów, istnieją takie „dodatki“, od narządu ustroju niezależne, obce, zatem psycholog uprawnionym jest odnieść je do innego pierwiastku, który od wieków wiecznych nazywa się duszą.

W taki-to sposób, rozpatrując mnogi багаż fizjologiczny, obracając się w jego sprzecznościach, zdaniach na wiatr rzuconych, sam z siebie autor, jako niefizyolog, nie stawia żadnej tablicy systematycznej, krytyce tylko poddając, co mówią inni, obraca wszystko, co

znajdzie, na korzyść istnienia duszy samodzielnej i niematerialnej. Nie jest i nie może być nikt, a tembardziej profesor uniwersytetu tak naiwnym, ażeby wzbraniał przyrodnikom zajmować się objawami psychicznymi z punktu fizyologicznego, skoro dusza tak ściśle połączoną jest z ciałem; ostro tylko występuje on przeciwko wnioskowi nieuprawnionemu, w rodzaju np.: „myśl jest wydzieliną mózgu, jak mocz wydzieliną nerek, jak żółć wydzieliną wątroby“, wnioskowi, dążącemu do uważania człowieka za prostą, bezduszną maszynę, których-by dzisiaj nikt nie poważał się wysuwać. Każdy przyrodnik, odnośnie fizyolog, jako determinista, powinien wiernym być swojej metodzie, ogłaszanej za jedyną prawdziwą, a która dopuszcza tylko wnioski bezpośrednie; sam sobie winien, jeśli od danego faktu przeskoczy do pustej przestrzeni, by bawelnianym taranem rozbijać odwiecznych zasad gmach, nieraz zlepiiony krwi ludzkiej najszlachetniejszym cementem.

Umiejętna polemika ta, wyzywająca cały świat materialistyczny, przeszła bez echa; nikt nie podniósł rękawicy. Jedni zgadzali się na poglądy profesora, więc milczeli: ci, co radzi-by mu się byli sprzeciwie, milczeli również, do podjęcia naukowego oręża niezdolni. Traktat prof. Struvego zajął w literaturze stanowisko akademickie wobec nieprzyjaciela, który ogółowi zdawał się być jeszcze za górami i którego pochod wtajemniczeni tylko w usposobienie młodzieży przeczuwali bliżej.

Wcale dopiero nieakademickie wrażenie, obok wyżej powołanych produkcji lwowskich, wywołał traktat wspomnianego już tu Fr. Krupińskiego, o „Szkołe Pozytywnej“, ogłoszony w „Bibliotece Warszawskiej“, w r. 1868. Przedstawiał on metodycznie i dorazowo rzecz zupełnie u nas nową. Przedstawiał ją napozór obiektywnie, lecz w tak przyjaźnym oświetleniu ze względu na wartość naukową doktryny, że w jednej chwili utworzył cały legion pozytywistów *in partibus*. Pozytywizm, uroczyście wyprowadzający Boga ze świata, jak za poruszeniem laski czarodziejskiej, zualazł zwolenników mnóstwo; z drugiej strony wywołał i przeciwników (w bardzo małej liczbie), którzy upatrywali w nim roszczenia nieuzasadnione i niebezpieczne i nie wahali się poważnie zajrzeć mu w oczy. Nic to jednak nie pomogło. Nowość, wspomagana chroniczną u nas skłonnością do naśladowania obczyzny, zrobiła swoje.

Jednocześnie rozeszła się wieść o teorii Darwina—wieść głucha, nie wykład, jak „Szkoły pozytywnej“ — błakająca się z ust do ust, a posługująca do pozowania na wolnomyślność. Wprawdzie nikt z pozujących wyobrażenia nie miał o naukowych podstawach ewolucjonizmu (prócz kilku może ludzi, z młodym prof. Strasburgerem na czele), ale każdy zwolennik głosował za pochodzeniem człowieka od małpy,

i była to może jedyna wiadomość, jaką, i to fałszywie, z teorii Darwina wysnuto. Nie przeszkadzało to plwać na stare przesady, popisywać się słówkami, powyrywanemi z traktatów materialistycznych, głosić zerwanie z tradycją, moralność niepodległą, uprawiać bezwyznaniowość i tym podobne idee postępowe, dopóki w całym tem *hocus pocus*, po wyszumieniu fermentu i odpadnięciu szumowin, poważniejsi z grona i zdolniejsi nie wzięli w ręce rzeczy, aby ją na porządniejsze tory wyprowadzić.

Jakież mogło być w tym rejwachu położenie profesora filozofii, wyznawcy idealizmu, duszonego z jednej strony przez pozytywizm, z drugiej przez Darwinizm, łatwo odgadnąć.

II.

W połowie roku 1869 Szkoła Główna zamienioną została na Uniwersytet, z wykładem w języku rosyjskim; część profesorów odpadła i natomiast weszli profesorowie Rosyianie, część pozostawiono z dozwoleniem wykładu w języku polskim przez lat dwa, po których upływie zobowiązać się mieli wykładać po rosyjsku, albo z katedry ustąpić. W liczbie pozostawionych znalazł się i prof. Struve, który warunek podpisał. Skutkiem tego trzeba się było wziąć do pracy nad językiem, prawie nieznanym sobie, i znajomość jego wydoskonalić do zrównania z wysokością wykładanego przedmiotu. Praca to była niemała i wymagająca pośpiechu, tembardziej, iż za inny warunek położono, ażeby profesorowie, nieposiadający stopnia doktorskiego, wydanego przez który z uniwersytetów rosyjskich, w ciągu tych dwóch lat tymczasowości postarali się o taki stopień, na podstawie złożonej rozprawy i po jej obronie w danym uniwersytecie. Trzeba więc było jednocześnie prowadzić wykład z katedry, uczyć się języka, układać rozprawę, tłumaczyć ją na język rosyjski i przygotować się w tym języku do obrony.

W tym ostatnim celu wybrał się do Moskwy, i tam, wraz z rodziną, zamieszkał na czas od września 1869 do kwietnia 1870 roku. Przyjął sobie do domu nauczyciela, aby nabrać biegłości w mowie, i przy jego też udziale zamierzył tłumaczyć rozprawę. Był to tenże sam, znany nam już traktat: „O istnieniu duszy“, tylko skrócony,

w zmienionej formie, do dySSERTACYI uniwersyteckiej zastosowanej, i przy zmienionym tytule.

Publiczna obrona tej rozprawy odbyła się dnia 13/25 marca 1870 roku, i zaraz też uniwersytet przyznał profesorowi Struwemu stopień doktora filozofii. Przeciwno niemu z całą zajadłością rzucili się miejscowi przedstawiciele kierunku materyalistycznego, jak: prof. Usow, jakiś p. Aksakow i inni; wydawali broszury, pisali artykuły po dziennikach postępowych, na co Struve raz tylko ryczałtem i obszerniej odpowiedział w miesięczniku „Rus. Wiestnik“. Natomiast, świetność obrony, obszerna wiedza filozoficzna, jaką przy niej okazał, taktowne znalezienie się wobec studentów, wrogo także z razu przeciwko niemu usposobionych, bardzo życzliwie ku niemu zainteresowały konserwatywistów. Nie mieli oni wpośród siebie szermierza zasad idealnych, przynajmniej takiego, który-by ze stanowiska nauki oddziaływał przeciw rozpanoszonemu wśród inteligencji i młodzieży materyalizmowi. Stąd powstała myśl zatrzymania naszego profesora przy tamecznym uniwersytecie, którą popierał sam kurator, jak również ówczesny minister oświaty, Tołstoj. Otoczono go uprzejmościami towarzyskimi, zapewniało odpowiednie uposażenie, ale Struve z równą uprzejmością podziękował i wrócił do Warszawy w kwietniu 1870 roku, na swe skromne stanowisko profesora nadzwyczajnego.

Echa jednak jego powodzeń moskiewskich odbiły się i tutaj. Po roku (w kwietniu 1871) mianowano go profesorem zwyczajnym, i następnie też nie szczędzono odznaczeń. W zajęciach tylko nastąpiła zmiana, połączona z nowym ustrojem. Bez względu na język wykładowy, uległ zmianie i sam program przedmiotu, którego wykład ograniczony został do: logiki, psychologii i historii filozofii, przez co i godziny wykładu zredukowano z sześciu na trzy tygodniowo. Takie rozczłonkowanie równało się prawie ruinie całokształtu, wykład taki dałby się zastąpić podręcznikami. W każdym razie, jakżeż dalekim był ten program ustawowy od zakresu, który prof. Struve wyznaczał filozofii, jako nauce, poświęconej badaniu świata, człowieka i Boga. Ażeby więc ocalić ten całokształt, rozłożył on historię filozofii na dwa kursy roczne: starożytnej i nowożytnej, pierwszy z nich rozpoczynając wstępem do filozofii, oraz encyklopedyą nauk i szkół filozoficznych. Mógł przez to krytycznie uzasadnić pogląd swój na filozofię wogóle i jej kierunki, a zarazem wykład logiki i psychologii uzupełnić encyklopedycznym wyłożeniem zasad metafizyki, etyki i estetyki. Plan ten jednak, ratujący do pewnego stopnia honor katedry, wymagał nowego opracowania kursu, co też znowu więcej niż rok zabrało czasu profesorowi, tak, iż w połączeniu z obowiązkowemi z urzędu publikacyami

przeszkadzało mu do pracy literackiej na niwie ojczyściej, do której powrócił dopiero w roku 1873.

Lecz zmienił już ich formę. Losy „Wykładu Logiki“ nauczyły go, że z publicznością naszą nie można było wówczas jeszcze poczynać książkami; postanowił zatem rozszerzać światło filozoficzne artykułami popularnymi po czasopismach, z uwzględnieniem przedewszystkiem kwestyi bieżących. Objął współpracownictwo w „Wiek“ zaraz od jego założenia, i od roku 1873 zasilał go cennymi sprawozdaniami z ruchu filozoficznego przez lat dwadzieścia. „Wiek“, pod kierunkiem pierwotnego założyciela, prof. Lewestama, chętnie otwierał kolumny dla rzeczy ściślej naukowych; nie szczędził też tam pióra Struve, poświęcając je obszernym rozprawom o wydawnictwach współczesnych lub rozbiorem dzieł epokowych. Tu się ukazała jego wyczerpująca krytyka książki Taine'a „O inteligencji“, „O mechanice mózgu“ Meynerta, o „Estetyce“ Lempkego, z uwzględnieniem całej literatury artystycznej; rozprawy: „O filozofii Jana Śniadeckiego“, „O teorii jestestw organicznych Jędrzeja Śniadeckiego“, „O filozofii słowiańskiej“, „O najnowszym materyalizmie“, „Filozofia syntetyczna i jej krytycy“, „Nauka o społeczeństwie, jako organizmie, rozpoznana ze stanowiska filozofii natury“ i inne. Kiedy zaś „Wiek“ przybrał kierunek bardziej społeczny, z ograniczeniem czysto naukowego, już tylko sporadycznie pisywał w nim Struve, ale z tematów nie mniej poważnych i przy poważnem opracowaniu, jak: Salomon Majmon, żyd polski, filozof; O filozofii Schopenhauera; Metafizyka pesymizmu; Matematyka i poznanie świata; rozbiór: „Historii psychiatrii w Polsce“, A. Rotheho, i inne drobniejsze. Podobne prace jednocześnie zamieszczał w „Bibliotece Warszawskiej“ i w „Ateneum“, zawsze pierwszeństwo dając rzeczom krajowym, lub w danej chwili na kraj oddziaływającym, stanowiącym przedmiot współczesnego zainteresowania umysłów. Tym sposobem, oprócz Spinozy (z okazji 200-lecia), Schopenhauera i Hartmanna (Philosophie des Unbewussten), znalazły się uwagi nad nowowschodzącymi pisarzami w zakresie filozofii: Ochorowiczem, Chmielowskim, Pawlickim, Rubczyńskim, Lutosławskim; a oprócz tego luźne rozprawy, ze stanowiska autora roztrząsające znaczenie nowych prądów filozoficznych, czy to z okazji jakiegoś szczególnego objawu współczesnego, czy z historii powszechnej filozofii. Nie potrzebujemy dodawać, że w pracach tych, głównie charakteru krytycznego, autor zawsze wiernym pozostał swym pierwotnym w filozofii zasadom idealnym, szczerze uwzględniającym zdobycze, osiągnięte na doświadczalnym polu rzeczywistości, a nawet coraz bardziej się do tych zasad przywiązywał.

Nie dosyć na tem. W tymże samym okresie, t. j. poczynając od roku 1873, ukazywać się zaczynają pierwsze jego prace z zakresu

Estetyki, a to dzięki współpracownictwu w „Kłosach“, gdzie od rozprawy estetyczno-krytycznej nad Siemiradzkiego „Jawnogrzesznicą“ (rok 1874, n. 445 i nast.), prowadził „przegląd artystyczny“ aż do zamknięcia tego cennego czasopisma. W „Przeglądzie“ tym zwraca wprawdzie autor uwagę na ogólny ruch malarski i rzeźbiarski, ale zajmują go głównie rzeczy najwydatniejsze w kraju i za granicą, a więc: Matejko, Siemiradzki, Gottlieb, Gierymski, Piloty, Meisonier, Munkaczy i inni. Daje całkowite oceny, jak: Al. Lessera (w „Kłosach“), Tegazza (w sprawozd. z Tow. zach. szt. pięk. za rok 1897). Oprócz tego zwraca się i do sztuki dawnej, opisując Rafaela, Leonarda, Murilla. Są to już nie przeglądy, ale studia, oparte na nowych żywiolach krytyki estetycznej, w których zarówno zasady Winckelmanna, jak i Taine'a, znajdują swoje odbicie, a przecież odznaczające się myślą samodzielną. Niezależnie od malarskiej, prowadził też w „Kłosach“ przez czas jakiś kronikę teatralną; ale ta, wymagająca raczej tonu felietonowego, nie odpowiadała usposobieniu profesora, który nawykł do akademickiego sposobu traktowania rzeczy, i porzucił też ją po kilku latach. Natomiast napisał w „Tyg. Ill.“, z roku 1877, bardzo dobrą charakterystykę Hamleta, poprzedzoną poglądem na całą tragedję Szekspirowską.

Słowem, działalność literacka prof. Struvego w tym przeszło 15-letnim okresie, obok prac katedralnych, brcszur, pisanych po niemiecku i drobniejszych artykułów, była różnostronną i niezwykle płodną. Z temi jego pracami załatwiliśmy się sunmarycznie, nie wymieniając wszystkich, aniśmy dotknęli ich rozbiorem, bo na to trzeba-by napisać książkę; wspomnieliśmy jednak o nich na świadectwo rozległej działalności profesora po-za obrębem pracy obowiązkowej. Nieco tych porzucanych rozpraw, głównie z zakresu estetyki, wyszło wprawdzie w wydaniu zbiorowem, roku 1892, p. t.: „Sztuka i Piękno“. Ale to niedosyć. Pozostała, i to największa a najważniejsza, część tej rozproszonej pracy tyloletniej, w której spoczęła myśl autora i stosunek jej do społeczności, do ducha czasu, cząstkę tegoż stanowiąca, nie powinna pozostawać na zawsze zamkniętą w pieczarach redakcyjnych.

Podczas tej ruchliwej, wytrwałej pracy publicystycznej, prof. Struve, stojąc na stanowisku konserwatywnem, nie dziw, że nie zadawał obozu, nazywającego się postępowym. Niezadowolenie to objawiało się już od roku 1868, nietylko w kole Towarzystwa Lekarskiego, o czem wspomnieliśmy wyżej, ale przeważnie w organie młodej prasy, który nawet wystąpił z otwartym, wypunktowanym a wielce radykalnym programem swych zasad, wrogim wszystkiemu, co tchnęło idealizmem lub spekulacją filozoficzną. Był on w swoim prawie, z którego korzystają wszystkie społeczeństwa oświecone: czemuż nie

mają się ścierać myśli i przekonania? Lecz w tym razie nie było to starcie się myśli, ale napaść jednostronna; nie wystąpiła nauka przeciw nauce, wiedza przeciw wiedzy, godność przeciw godności, ale jakieś przycinki, przygryzki, podrywiania—nie chcę tu używać wyrazu popularnego, a jedynie malującego ton, którym przemawiały te, jak je ktoś nazwał, bezimienne naukowe „pisklęta“, ton, który mógł drażnić, zniechęcać męża nauki poważnej, ale utrudniał, jeśli nie uniemożliwiał obronę. Nie bronił się też wcale, tylko na zaczepki odpowiadał nowemi rozprawami, w których ani na krok, gwoli popularności, od zasad swych nie odstąpił. Były one u niego nabytkiem nie tylko wiedzy książkowej, lecz dorobkiem całego życia duchowego; głęboko się też zrosły z jego świadomością, uczuciem, myśleniem i wolą, z całą istotą moralną. Inny, mniej głęboko przejęty, mniej ufny i wytrwały, salwując spokój osobisty, był-by ustąpił z pola, jak to niegdyś uczynił Fredro po krytyce Goszczyńskiego; lecz Struve, wierząc niezachwianie w ostateczne prędkiej lub później zwycięstwo swych zasad, z całym spokojem ducha, wolny od wszelkiej drażliwości, dał się nasamprzód wykrzyczeć przeciwnikom, odcinając się tylko przy okazji i w ostateczności, o ile tego wymagała konieczność nauki i jego stanowiska profesorskiego wobec uczącej się młodzieży, bez tej kłótniwej domieszki polemicznej, charakterowi jego przeciwnej, a więcej dbalej o dojęcie przeciwnikowi, niż o zwycięstwo prawdy. Ze swej strony więc nie zaczepiał obozu pozytywistycznego, a jeśli się z poważniejszymi przedstawicielami młodej prasy, jak: Chmielowski, Ochorowicz, rozprawiał, czynił to zawsze z godnością, obiektywnie, dla samej nauki, bez osobistych wyskoków. Ta praca ciągła a spokojna, prowadzona zarówno na katedrze, jak w literaturze, mająca na celu rozszerzenie zasad idealizmu w jego kierunku konstrukcyjnym, przeciw destrukcyjnym i negacyjnym dążnościom pozytywizmu, zwłaszcza jego pierwszej karykatury warszawskiej, okazała się też w skutkach swych pożyteczną; bo chociaż przekonania pozostały po dziś dzień przekonaniami, ale wypowiedają się z godnością, jakiej wymaga nauka, warcholstwo ustało i rozprawy wzajemnie się udostępniły.

Kilkakrotnie już wspominaliśmy, że prof. Sruve, w filozofii, nie jest bynajmniej idealistą skrajnym, co tem mniej usprawiedliwia wymierzone przeciw niemu pociski zwolenników materyalizmu. Przeciwnie, zawsze i wszędzie żąda on krytyki, pragnie, aby idealizm opierał się na gruncie życiowym, realnym, aby filozofia jak najprędzej notowała i wyzyskiwała wyniki umiejętności szczegółowych. Tym sposobem, osobne miejsce w umysłowości wyznaczając filozofii, nie unieruchomia jej, lecz pragnie jej postępu, utrwalenia, większej rękojmi pewności, tak, jak architekt pragnie dla swej sztuki zastosowania naj-

większych udoskonalen w technice budowlanej. Tę samą zasadę i tę samą wymagalność stosuje on i do estetyki, którą, za przykładem myślicieli greckich i późniejszych niemieckich, podciągnął pod badania filozoficzne. Tej zasady trzymał się on i w swych studyach, częściowo zebranych w roku 1892 (p. w.), częścią rozproszonych, tudzież w „Estetyce barw“, wydanej w roku 1886. Dążeniem jego w działalności krytycznej na polu artystycznym było zawsze wyzwolenie sądu czytelnika z pod owego samowolnego subiektywizmu, który za postawę do oceny dzieł sztuki bierze swój przypadkowy nastrój indywidualny, z pominięciem gustu, wyrobionego pod wpływem kultury estetycznej, a więc dobrowolnych zasad kierowniczych, oraz głębszej znajomości rozwoju sztuki i dążeń artystycznych czasu. W różnicy od wielu innych, sztukę w jej naturze pojmuje prof. Struve, jako udowodnienie rzeczywistości ideałów, czyli jako pracę przygotowawczą do ich istotnego urzeczywistnienia w życiu; mniema on, iż każda jednostka ludzka, na pewien stopień kultury wyniesiona, ma swoje ideały, jako cele działalności, na których urzeczywistnieniu, zdaniem jej, polega polepszenie warunków bytu i rozwoju ludzkości. Poezya i sztuka przyczyniają się do wytwarzania takich ideałów, a według nich przekształcając dane rzeczywistości, usiłują wykazać, jaką drogą dochodzi się do urzeczywistnienia treści idealnej. Zasady swe i poglądy na naturę, oraz na przeznaczenie sztuki najgruntowniej wyłożył autor w artykule „Estetyka“, pomieszczonym w „Wielkiej Encyklopedyi“ Sikorskiego, w r. b. Jest to znowu ten sam pogląd idealno-realny, jakiego się prof. Struve trzyma w filozofii wogóle: pogląd różny zarówno od naturalizmu, który rad odtwarzać jedynie to tylko, co jest, nie zaś to, co ktoś widzi poza istnieniem rzeczywistości co do treści i formy, jak i od jednostronnego idealizmu, zrywającego związek z życiem rzeczywistym.

Na złe czasy ze swym poglądem na sztukę trafił prof. Struve, jak wogóle z całą swą zasadą filozoficzną, która, jak widzieliśmy, odrazu postawiła go na stanowisku wojującym, gdzie musiał z zapartym oddechem bronić każdej swej myśli, każdej piędzi gruntu, na którym stanął i na który całą chmarą, częstokroć brutalną, walił radykalizm. Tak było z filozofią, tak było ze sztuką. Prof. Struve patrzył na nią przez pryzmat twórców szesnastego wieku, olbrzymów, którzy z obsługi sztuki uczynili kapłaństwo, jak Dante i Michał-Anioł, i stąd ciągle utrzymywali związek jej z niebem. Odtąd sztuka się coraz bardziej sekularyzowała, związek się naruszał, aż upadła na ziemię, by szukać sobie samodzielności: ziemia, to mój świat! powiedziała sobie, razem z filozofią i moralnością. Zbyt wielu już było zwolenników tego nowego poglądu nawet i u nas, aby on nie miał zderzyć się z zasadą estety-

czną prof. Struvego, zgoła akademicką. Radykalizm w sztuce lekceważy jej kulturę historyczną, jak i wogóle wszystko, co było, wszelką estetykę i ograniczenie; dla niego n'ema wzorów, niema praw ani prawideł, jest tylko indywidualność, a naprzeciw niej natura. Ponieważ zaś w naturze niema nic ani małego, ani brzydkiego, ale jest tylko rzeczywistość, prawda; więc w naturze jej szukając, sztuka znajduje objawy wszystkie sobie równoważne, jako prawdziwe, i z takimi tylko ma do czynienia: temat, motyw literacki, pomysł, nic jej nie obchodzi, a ideał, to kłamstwo. W ten sposób pojmowana sztuka przestaje być narzędziem społecznym, a staje się światem, zamkniętym w sobie, w którym panuje dążność do jak największego rozwinięcia i udoskonalenia środków technicznych, celem odtworzenia zjawisk natury, przy najściślejszem zachowaniu indywidualności artysty.

Rzecznikiem tego kierunku estetycznego był we Francyi Véron, u nas stał się nim Witkiewicz, malarz, a zarówno literat, w zdaniach swych absolutny, o stylu ciętym, gwałtownym. Wyznawca Vérona i zapewne zwolennik Zoli, jako malarz, chętnie szukał „dokumentów“ w naturze, że zaś ówczesny sprawozdawca artystyczny w „Kłosach“ odezwał się z naganą o wyborze pewnych tematów, zrobił sobie w malarzu-literacie wroga. Mimo to prof. Struve, niezrażony, jak zwykle, gwałtownymi krytykami, prowadził swój referat dalej, i zaniechał sprawozdań dopiero po zamknięciu „Kłosów“.

W każdym razie, ten 15-letni okres działalności publicystycznej i krytycznej pięknie i pożytecznie zapisał się na kartach życia prof. Struvego, ale go nie wyczerpał. Równoległe z publicystyką, prowadził on dalej swe studia specjalnie filozoficzne, wszystkich prac jego stanowiące podstawę. Śledził postęp i rozgałęzienie przedmiotu, czytał dużo, metodą kartkową notował fakta z literatury filozoficznej, gromadził sobie systematycznie materiały historyczny i bibliograficzny. Zbierał przytem troskliwie materiały do dziejów filozofii w Polsce, dla uzupełnienia tego, co w zastosowaniu do logiki podał w pierwszym tomie jej „Wykładu“. Nie czekając, aż zdola wykończyć, w odpowiedniej architekturze, cały gmach historyczny, z uzbieranego materiału podawał częściowo niektóre ustępy do „Ateneum“, „Wieku“, „Kłosów“ (p. w.); ale za najważniejszy rezultat tych zajęć uważamy jego krytyczne wydanie (od 1877 do 1880 roku) wszystkich dzieł Kremera, z dodaniem obszernego życiorysu, stanowiącego osobną książkę o 170 stronicach ścisłego druku. Jest to pomnik, jaki zasłużony u nas, niepospolity badacz tajemnic ducha, filozof i estetyk, a przytem jeden z najgodniejszych ludzi, otrzymał z rąk pokrewnego mu duchem myśliciela. Pomimo, że oprócz jego „Listów z Krakowa“, a zwłaszcza „Po-

dróży do Włoch“, nikt już wtedy u nas Kremera nie czytał, nie sądził prof. Struve, ażeby autor „Wykładu systematycznego filozofii“, którego pierwsze zarysy podał jeszcze w roku 1835, w Kwartalniku naukowym, p. t.: „Rys filozoficzny umiejętności“, pozostać miał w zaniebaniu: zebrał więc skrzętnie cały jego 40-letni dorobek umysłowy z druku i rękopisów, w listach prywatnych przeskubał tajemnic myśli, i wtedy, pracę tę uporządkowawszy aż do najmniejszego artykułu po rok 1876, z pomocą materyalną wydawcy „Kłosów“, oddał na użytek publiczny. W dołączonym do tego wydania życiorysie przegląda cały człowiek, w swym rozwoju umysłowym, w zasadach kierowniczych życia, w metodach filozoficznych i ich następstwach, rozebranych krytycznie. „Życie i prace Józefa Kremera“, to jedna z najlepszych monografii, jakie posiada piśmiennictwo nasze, a chronologicznie wyprzedza ona te nieocenione monografie wielkich pisarzy (Żmichowska, Kraśzewski, Mickiewicz), jakimi dotąd Chmielowski wzbogaca nasz literacki panteon. Prof. Struve, śmiało to rzec można, dał pierwszy wzór, jak się to zbiera dzieła zasłużonych mężów, i jak się wartość ich w danym czasie i okolicznościach ocenia. Z tego życiorysu dowiadujemy się nie tylko, co Kremer pisał i jak pisał, ale mamy rozłożony przed oczyma początek kierunku jego filozofii, wpływ szkół berlińskich, stosunek do doktryny Hegla, której Kremer całkowicie przyjął metodę, a usiłował dojść przez nią do zgoła innego rezultatu, ominąć panteizm i uchwycić Boga osobistego, którego pojęcie nosił zawsze w umyśle i sercu, a co mu się ostatecznie nie udało. Biograf usiłuje wykazać, ile, obok metody Heglowskiej, znajduje się własnej myśli i samodzielności Kremera w jej zastosowywaniu, ile razy rozchodzi się ze swym mistrzem i własne wysnuwa wnioski: wgłębienie się w obu pisarzy, opracowujących z jednakowego punktu rzecz jedną, „fenomenologię ducha“, porównania między nimi, jakie czyni prof. Struve, dowodzące wszechstronnej kompetencji, a ściśle już specjalne, wielce są pouczające dla czytelnika, śledzącego rzecz z punktu specjalnego, a dla przyszłego historyka filozofii stanowią pożądaną wskazówkę. Czuł dobrze i sam Kremer, że dwa tomy jego „Wykładu systematycznego filozofii“, zawierające fenomenologię, logikę, filozofię natury i ducha, nie wystarczyły do głównego zadania, to jest do ustanowienia jasnego pojęcia o Bogu osobistym, jako o żywotnej inkarnacji (jeśli tak godzi się wyrazić) abstraktu; rozumiał, że z dotychczasowego przedstawienia rzeczy jeszcze ktoś, przy dobrej woli, pomimo wszelkich zastrzeżeń autora, może sobie wyprowadzić panteizm (np. jedna z zasad: Bóg w duchu ludzkim przychodzi do samopoznania—jako nieunikniona konsekwencya trzech stanów: tezy, antytezy i syntezy), martwiło go to i nosił się też z myślą dopełnienia „wykładu“ osobną księgą teozofii, ale już to, czy dla

braku sił, osłabionych wiekiem, czy dla innych okoliczności, do skutku nie przyszło ¹⁾. Człowiek uczciwy i skrupulatny, czuł nawet pewien rodzaj wyrzutu, że pozostawił rzecz niedociągniętą, a mogącą przez to opacznie myśł jego i założenie przedstawić; stąd też napisał przed samą śmiercią (r. 1875) niby testament, broszurkę „O najważniejszym zadaniu filozofii w obecnym czasie“, za zadanie wyznaczając jej tępienie materyalizmu, jako wroga, podkopującego nie tylko najzbawienniejsze wogóle zasady społeczne, ale nawet, jak u nas, podstawy bytu narodowego. Wszystko to należycie wyjaśnił, wyrozumował, ocenił prof. Struve we wspomnianym „życiorysie“, śledząc Kremera, jako ucznia, następnie jako profesora, pisarza, filozofa, a zwłaszcza estetyka, z tej strony najpopularniejszego u nas.

W sferę działań, mających na celu popularyzowanie dziejów filozofii naszej, wchodzi także rozprawa prof. Struvego o Kraszewskim „w stosunku do filozoficznych dążności swego czasu“ (Książka jubileuszowa, r. 1880), przyczynek, pożyteczny dla każdego, ktokolwiek kiedyś o znaczeniu Kraszewskiego pisać będzie. Dla wyczerpania szczegółów co do pracy wyłącznie nad historią naszej filozofii, wskazać tu musimy dwa jeszcze traktaty, sporządzone z celem, za który społeczność nasza obowiązana być powinna autorowi. Ażeby z naszym ruchem myśli filozoficznej obeznać światłą publiczność niemiecką, napisał on pierwszy traktat: „Die philosophische Literatur der Polen“, zamieszczony w trzech zeszytach „Philos. Monatshefte“ z r. 1874; oraz drugi „Die polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie“, zamieszczony w „Archiv für Gesch. der Phil.“ z roku 1895, przedstawiający zbiór prac, dokonanych u nas od najdawniejszych czasów nad historią filozofii, tak powszechną, jak swojską (Sprawozdanie z tego daliśmy w „Bibliotece Warszawskiej“ w roku 1896).

Działalność ta na polu krytyki i historii, jakkolwiek pożyteczna, nie mogła zadowolnić profesora, który przychodził przecie do wytwarzania sobie samodzielnego poglądu na przedmiot i wynajdywał fund a-

¹⁾ Jeśli wolno mówić o własnym w tych sprawach udziale, przypomnę, że jeszcze w roku 1860, a więc na lat 21 przed krytyką prof. Struvego (v. Tyg. Ill., tom I, str. 110), ten sam zarzut uczyniłem Kremerowi, w krótkim życiorysie, wykazując, że wywód jego w „Logice“ nie obala panteizmu, i zapytując: „jakim sposobem tenże sam punkt wyjścia i też same drogi doprowadzić-by mogły do innych celów?“ (panteizm Hegla i personalizm Kremera). W liście, do mnie z tego powodu pisanym, na nieszczęście zaginionym, Kremer przyznaje to, i jednocześnie oznajmia, iż weźmie się jeszcze do pracy, aby rzecz tę stanowczo rozstrzygnąć, co jednak, jak wiemy, nie nastąpiło.

menty, służyć mające za podwalinę własnego systematu. Pracował nad przedmiotem, postępował z duchem czasu i biegiem nauki, przyszedł do nowych poglądów, i chciał-by też wypróbować ich wartość przez poddanie pod opinię znawców. U nas tego uczynić nie mógł, bo czuł nstawicznie grunt kierunkowi swemu nieprzyjazny; zwrócił się więc znowu do klasycznej ziemi filozofii, do Niemców, gdzie wszystkie kierunki mają rację bytu i równouprawnienie: znajdują zarówno rzeczników, jak przeciwników, i gdzie filozofów krytykują nie przygodni literaci, ale filozofowie z powołania i uzdolnienia. Tam się tedy, a mianowicie do „Philos. Monatshefte“, udał z traktatami specjalnemi, jak: „Psychologisch-metaphysische Analyse des Begriffs der Freiheit“, r. 1874; „Psychologisch-metaphysische Analyse der Grundgesetze des Denkens“, 1876; „Zur Psychologie der Sittlichkeit“, 1882.

W traktatach tych, obok próby co do rozwiązania zagadnień, odnoszących się do konieczności, wolnej woli, myślenia i moralności, zamierzył głównie autor dać przykład ścisłego zastosowania metody psychologiczno-metafizycznej, polegającej na rozbiórce objawów psychicznych i ich wzajemnego do siebie stosunku, jako faktycznych czynników realnych, dla określenia czynników bytowych, czyli metafizycznych, wchodzących w skład tychże objawów. Albowiem, jak z rozważania zjawisk fizycznych, oraz ich właściwości, dochodzimy do pewnych wniosków metafizycznych, jako to: do pojęć czy to materii, czy siły, lub wreszcie energii, jako podkładu tych zjawisk, wyjaśniającego ich przyczynę i początek; tak samo postąpić należy i względnie do odrębnych zgoła zjawisk psychicznych, a więc wyszukać ich podkład. Nie dość tu poprzestać na głuchem, nieokreślonym pojęciu duszy; lecz należy sobie zdać sprawę z ogólnych czynników bytowych, czyli metafizycznych, które, za pośrednictwem owych zjawisk faktycznych, ujawniają swe własności i prawa, a przez to przyczynić się mogą do oparcia naszego światopoglądu na podstawach empirycznych, doświadczalnych. Kiedy u nas, w owym czasie, rozprawy tego rodzaju podały-by tylko pochop do szyderstw pozytywistycznych na temat „przywidzeń“, „mrzonek metafizycznych“, „zupełnego braku naukowości“, i tym podobnych, jakich nasłuchać się musieli wszyscy niematerialiści, a między nimi i prof. Struve; z zadawalniającem zdziwieniem, a zapewne dla niego zaszczytnem, widzimy, że jeden z najpozytywniejszych myślicieli niemieckich, Ernest Laas, podniósł znaczenie powyższych rozpraw naszego uczonego i uwzględnił ich odnośne poglądy w dziele swem: „Kants Analogien der Erfahrung“ (str. 347 sq.). Nie zgadza się z nim wprawdzie co do niektórych szczegółów, ale uznaje samą metodę rozbioru zjawisk psychicznych w celach metafizyki.

Już z tytułu wykładu w b. Szkole Głównej, do którego zapewne wcielił poglądy, świeżo pracą myśli własnej zdobyte, oraz na podstawie zebranych materyałów, mógł-by był prof. Struve opracować i wydać kurs „metafizyki syntetycznej“. Słyszeliśmy nawet w swoim czasie, prywatnie, że ma zupełnie gotowe niektóre jej rozdziały, jak: o przyczynowości, o materyi i t. p., a opracowane na podstawie najnowszych wyników nauk przyrodniczych. Ale nie było-by dla kogo wydawać wówczas tej pracy publicznie. Ogół-by tego nie czytał, a do oceny, prócz pozytywistów i Darwinistów, zatem z zasady samemu kierunkowi przeciwnych, nikt-by kompetentny nie stanął. Po śmierci Kramera, w roku 1875, nie było, oprócz Struvego, profesorów filozofii Polaków: Straszewski ubiegał się dopiero o katedrę; we Lwowie wykładał filozofię Czerkawski, z powołania pedagog, który się zawodowo filozofią nigdy nie zajmował; Pawlicki znikł z horyzontu warszawskiego, w Rzymie oddany teologii; niegdyś koryfeusz, Cieszkowski, zamilkł zupełnie. Jednakże, mając rzecz prawie gotową, nic dziwnego, że autor chciał ją w jaki-bądź sposób spożytkować. Obmyślił więc dla wyników swej pracy myślowej w tym kierunku formę, ile być może popularną, dostępną, przynętą; wziął się do przerobienia jej na sposób pogadankowy, i zamiast „metafizyki syntetycznej“, wydał w r. 1876 „Syntezę dwóch światów“.

Przedewszystkiem, co tutaj oznacza i do czego się ściąga wyraz: synteza? A toż-to postulat całego życia filozoficznego naszego profesora. Hegel przy każdym zjawisku widział antytezę, jako przejście konieczne do stanu doskonalszego, ogólniejszego, w syntezie, która była znowu tezą dla nowej antytezy i syntezy, i tak bez końca, aż nieprzerwany łańcuch takich tez. antytez i syntez, wprowadzonych w logikę, doprowadzić miał do idei Boga; a Bóg, naodwrot, rozbitý na takie trójki, ukazywał się w stworzeniu. Wiadomo, że ten system, zadziwiający swą kunsztownością, z nadzwyczajnym artyzmem przeprowadzony, jako Idea iszcząca się we wszechświecie, olśniewający umysły swą architekturą i konsekwentnością, konsekwentnie też w ostatnim wyrazie wybuchnął jako panteizm, i runął pod pociskami zarówno konserwatywistów, jak postępowców. Nie tak też rozumie swoją „syntezę“ prof. Struve. Z góry, na samym frontonie swej miniaturowej budowy, stosuje on odrazu swój postulat do „dwóch światów“, które widzi, przypuszczam pozornie, rozdzielonemi, albo które tylko myśl ludzka przy badaniu rozdzieliła. A jakież-to są te dwa światy? Jak chcecie: symbolicznie—niebo i ziemia; filozoficznie—idealizm i realizm; metafizycznie,—duch i materya. W tem rozdzieleniu upatruje on nieporozumienie, przyczynę waśni filozoficznych; pragnie więc wykazać, iż między temi

światami niema rozdziału rzeczywistego, i ukazuje ich zgodność, nawet jedność, jeśli nie tożsamość, w każdym razie łączność źródłową.

Już nie jako obiektywny myśliciel, ale jako poeta, zakochany w swym ideale, jako wieszcz ludzkości, cierpiący jej boleściami, żale rozwodzi autor nad tem rozdzieleniem, które w ostatnich czasach przepaść wykopało pomiędzy dwoma na świat poglądami. Dawny Boga poszukiwał w świecie; nowy zeń usuwa, zastępuje Boga przez przyrodę, ducha przez materję, wolność i samodzielność przez konieczność. Po której teraz stronie mamy stanąć, my, zwykli śmiertelnicy?.. „Czy się mamy dać żywcem pogrzebać pod gruzami starego świata i w podziemnych ciemnościach ogryzać własne ciało, póki nie zginiemy do szczytu; czy też z ostatnim zasobem energii wystąpić do walki na życie i śmierć z duchem nowych czasów, bronić do upadłego sztandarów starej wiary?“

Autor woli to drugie, no, i dał tego dowód. Odpycha on zarówno mistycyzm, dla którego duch jest istotą wszechbytu, jak i materjalizm, który materję czyni twórczynią wszechświata, nawet duchowego; nie myśli nawet o Kartezyańskim podziale na dwa odrębne światy: myśli i ciała. Ani wyłączności, ani rozdziału; ani monizm, ani dualizm; ale zgodność, zjednoczenie, synteza. Tylko zachodzi mała trudność, jak dowieść tej zgody.

Przed tą trudnością nie cofa się autor. Duchem jest wszystko, co czuje, myśli i działa. I nie są to przecież owe abstrakcje: pod temi określeniami, jako substrat rzeczywisty, istnieją twory żyjące, które czują, myślą i działają, i mają tego świadomość. Duch zatem nie jest to tylko nazwa dla pewnych zjawisk, czegoś, co nie jest nim samym, lecz istnością realną, osobą. — A teraz, czem jest materya? Według określenia tych, jak ich autor nazywa, „sztukmistrzów, którzy na scenę świata wyprowadzają dziecianną walkę szkieletów z duchami“, materję ma być wszystko, co *nie* czuje, *nie* myśli, *nie* działa. Ale to fałsz. Jakiem prawem ktoś o istocie obcej, w której wnętrzu, w treść, ani zajrzeć zmysłem, ani się umysłem wdrzeć nie może, rozstrzygać śmie, czy ona czuje, myśli i działa, albo nie? Jeżeli u jakich istot spotykamy dostępne naszym zmysłom, lub umysłowi, objawy, podobne do naszych, mamy zupełne prawo przyznawać w nich pierwiastki duchowe; jeżeli zaś nie, to nas nic nie upoważnia do zaprzeczenia w nich pierwiastków, które istnieć *mogą*, tylko w sposób dla naszych spraw dzeń niedostępny. Przecież to i nauka nowoczesna odróżnia już energię potencjalną od żywej, obie posiadające jednakowe czynniki, z tą tylko różnicą, że druga ma je w ruchu, a pierwsza w spokoju. Za materjalny czynnik uważamy naturę; potrzebujemyż rozszerzać się nad tem, że ona *przemawia* do nas, jako całość, jak przemawia np. muzyka,

językiem tajemniczym, którego nie znamy głosek, ale rozumiemy raczej ducha. Otóż i wydarł nam się wyraz, wprawdzie tylko popularny, który nam tłómaczy myśl profesora Struvego. Nietylko on nie przystaje na odmówienie materji uczucia, myśli i działania, ale nawet utrzymywać rad, że i ona jest uduchowioną; tylko nikt tego oczywiście nie dostrzeże w rozczłonkowaniu, w kawałku czegoś, rozbieranym *ad hoc*, lecz musi się wpatrzeć w całość, w jej budowę, piękność, harmonię prawa i życia. „Wtedy przyznasz, — powiada do człowieka — że poza tą zewnętrzną powłoką świata, którą materją nazywamy, może żyć i działać duch, nieskończenie wyższy od twego; że rozbiór kilku atomów istnienia, oderwanych sztucznie od związku z całością, nie daje ci żadnego prawa zaprzeczać istnieniu życia wewnętrznego, ducha, odmawiać mu uczucia, myśli i woli“.

Nie to zatem stanowi materję, co jest przymiotów tych pozbawione, ale to, co nam stawia opór, co tamuje naszą działalność, co zmuszeni jesteśmy odróżnić od nas samych i przeciwstawiamy naszemu wewnętrznemu istnieniu, jako istnienie zewnętrzne, — słowem, co dla *ja* jest *nie ja*, a ogranicza *moje* czucie, myśl i wolę. Poza wrażeniem oporu i ograniczenia materji niema.

Ale teraz największy szkopał, i musimy uważnie wyciskać myśl autora, aby jej nie spaczyć i nie podać fałszywej interpretacji, tak blisko bowiem prowadzi on tę myśl ścieżką, wiodącą po samej pochyłości panteizmu, że można-by ją mimowolnie w przepaść jego wtrącić. Owóż, ten świat, utożsamiany przez nas z materją, to nie materya, ale sam duch Boży, w formie dla nas widomej i dotykanej, cielesnej; natura jest ducha tego ciałem. Boga nie szukać gdzieś za gwiazdami, niewiadomo gdzie, w niebie oddzielnem od świata, w abstrakcyi; Bóg jest wszędzie, Stwórcą w stworzeniu. Pomiedzy duchem Bożym i duchem ludzkim niema przepaści, wypełnionej jakąś materją grubą, nazwaną światem: natura, to tylko między dwojgiem linia matematyczna, idealna. Ponieważ ta natura nie jest mną, więc ona mnie ogranicza, stawia mi opór (stąd nazywam ją materją), ale ja, stykając się z nią, stykam się bezpośrednio z duchem Bożym, którym jest ona przejęta tak, jak ja myślą moją, czuciem i wolą ciało moje przenikam. Różnica w tem, że gdy ja, jako istota ograniczona, mam inne istoty i świat cały zewnątrz siebie, Bóg, jako istota bezwzględna, ma wszystko w sobie, w sferze wewnętrznej swego istnienia, i nic go nie ogranicza. Oto pojęcie materji. Nie jest ona samym Bogiem, ale formą istności wzajem się ograniczających, myślą Boga, istniejącą w nim samym.

Stanęliśmy o włos od panteizmu, ale tego włosa nie przekroczymy. Wszak każdy z nas swe uczucia, myśli i chcenia odróżnia od *samogo siebie*? Jeżeli myśli o Bogu lub świecie, toż jeszcze przez to nie sta-

je się ani Bogiem, ani światem, ani ta myśl nie wyczerpuje całego jego istnienia; nad wszystkimi wreszcie jego myślami, uczuciami, czynami, panuje w nim *świadomość*, która je z sobą łączy, a jaźń jego od nich odróżnia. Tak właśnie rzecz ma się z Bogiem. Świat, ze wszystkim, co zawiera, jest dopiero jedną tylko myślą w duchu Bożym, i Bóg sam w sobie odróżnia się od świata, jako od tej swojej myśli, i posiada świadomość, której nie wyczerpuje świat, jako jeden tylko objaw Jego ducha, Jego wewnętrznego życia. Świadomość Jego różni się od świata tak, jak i nasza świadomość różni się od myśli naszej o świecie. Bóg bezwzględnie panuje nad wszystkim, co w Jego duchu, z Jego woli żyje i działa, ale może też myśl swą obdarzyć pewną samoistnością, odgrodzić innemi myślami i pozwolić, aby się samodzielnie, swobodnie rozwijała w granicach, przez inne myśli Boże ściśle określonych. Stąd ta realna wszechobecność ducha Bożego w każdym zakątku świata materialnego nie narusza zgoła ani istnienia odwiecznej Jego świadomości, ani też bytu jestestw samoistnych.

Jest to zasadnicza myśl tego traktatu o „syntezie“, uzupełniona jeszcze wynikami, płynącemi z tej treści, jako to: uzasadnieniem wolnej woli oraz pięknem, obrazem przedstawieniem rozwoju ludzkości, w którym autor nawet skrajne wywody nauk biologicznych obraca na korzyść swej tezy, a wbrew doktrynom pesymizmu widzi w pochodzie ludzkości ciągły postęp ku lepszemu, przyszłość coraz lepszą zapowiadający. Nie znamy rękopisu jego „metafizyki syntetycznej“, ale w obecnym traktacie widzimy spopularyzowane, a w wielu razach gorąco, poetycznie skreślone myśli, stanowiące treść owych niemieckich, językiem specjalnym napisanych, rozpraw z „Philos. Monatshefte“, o których mówiliśmy wyżej, mianowicie pod względem zastosowania do metafizyki punktu wyjścia psychologicznego. Argumenty, których autor, nawet za pośrednictwem analogii poetycznych, używa, wyobrażają tu essencję całego dotychczasowego rozwoju filozofii, wszystkich jej szkół, a zwłaszcza streszczają one krytyczny pogląd na metodologiczne i metafizyczne podstawy zarówno idealizmu, jak realizmu, panteizmu i materializmu. Pomijając takiej miary myślicieli przeszłości, jak Arystoteles, Leibniz i Kant, wśród filozofów nowszych poprzednikami jego w tym kierunku byli szczególnie: Fichte młodszy, Ulrici, Lotze, Trendelenburg, Fechner, Ueberweg i inni. Tylko, po dobrem zbadaniu mocniejszych i słabszych stron ich argumentacji, mógł autor nasz wspólną z nimi zasadę idealnego realizmu przeprowadzić konsekwentniej i wszechstronniej, tak w zakresie krytycznej teorii poznania, jak metafizyki i filozofii dziejów ludzkich. Najnowszy, a wielce pouczający zwrot takiego badacza, jak W. Wundt, zdaje się popierać

cały kierunek myśli i pracy filozoficznej naszego profesora od pierwszego przebłytku samodzielności.

„Synteza dwóch światów“ była u nas przez pewne grono przyjęta z zapalem. Kraszewski zwłaszcza, w „Kłosach“ z roku 1876, № 558, w szeregu pochwał oświadczył, że jest to „najwięcej mówiąca, najpiękniejsza formą, najzdrowsza myślą, najrozumniejsza i zarazem najserdeczniejsza z książek, jakie się oddawna ukazały u nas“. Nie mniej gorącym i hojnym w pochwałach był bezimienny autor artykułu w № 61 „Kur. Codz.“ z tegoż roku, równie jak Lewestam w „Wieku“ № 73, oraz kilku innych. Za to krytycy nowego kierunku przyjęli tę książkę z lekceważeniem, które wywołało odpowiedź autora w „Wieku“, pod tytułem: „Filozofia syntetyczna i jej krytycy“, gdzie autor mocniej jeszcze uzasadnia swoje poglądy. Ze wszystkich prac prof. Struvego „Synteza“ najwięcej wywołała zainteresowania; znacznego jednak wpływu na ogół, kierowany w inną stronę przez nowe doktryny, zdaje się, nie wywarła.

Zajęty wciąż artykułami do pism peryodycznych, w dziewięć lat dopiero po wydaniu „Syntezy“, a mianowicie w roku 1884, napisał prof. Struve, po ks. Dębickim, jako jej dopełnienie, traktat „O nieśmiertelności duszy“.

Traktat ten ma przed sobą, rozbierany już tu, inny „O istnieniu duszy“, ale trzy te traktaty, wzięte razem, nie stanowią trylogii, nie zająbiają się o siebie, mogą się tylko wzajem na siebie powołać. Oczywiście, ażeby wykazywać „nieśmiertelność“ duszy, trzeba mieć nasamprzód przekonanie o jej „istnieniu“. W odnośnym traktacie fakt odrębnego istnienia wykazany został tylko przypuszczalnie, na podstawie *świadomości*, której środkami, czerpiącemi moc swą z fizjologii, *dotąd* nie objaśniono, przeciwnie, przyznano się do niemocy; a chociaż fizjologia nie wyrzekła jeszcze swego ostatniego słowa co do materialnych źródeł myśli, czucia i woli, choć nad tem zapamiętałe pracuje wciąż, w dzisiejszym stanie wolno jest źródło to odnieść do wolnego pierwiastku i nazwać go duchowym. Na tej zasadzie, można też nad tym pierwiastkiem spekulować dalej. Tym sposobem autor w traktacie „o nieśmiertelności“, przechodząc przez „syntezę“, która uduchowia cały świat z jego zjawiskami realnymi, ma już podstawę gotową w traktacie „o istnieniu“.

Trojakię jego argumenty: psychologiczne, metafizyczne i moralne, zbyt stanowczo zowią się dowodami; są to raczej wskazówki, straż, broniąca twierdzy nieśmiertelności, obleganej i szturmowanej ze wszęch stron przez wskazówki przeciwnie. Nikt nie odpowiada płaskiemu empirykowi, który zaprzecza istnieniu duszy, na tej podstawie, iż żaden jeszcze anatom w ciele jej nie odkrył, a nieśmiertelności zaprze-

cza dlatego, że żaden nieboszczyk z tamtego świata z manifestem nie wrócił. Ale sceptykowi poważnemu można, z zakresu psychologii, postawić odwieczną i powszechną, zatem realną, wiarę w istnienie pozagrobowe, regulujące nawet względy i stosunki życia przedgrobowego; można przytoczyć również powszechnie tkwiące w umysłach pojęcie nieskończoności, do którego umysł, wobec rozważania samych rzeczy skończonych, przyjść-by nie mógł, gdyby nie działał w nim samym czynnik nieskończoności, reflektujący byt nieskończony: ale otóż i wszystko, czego dostarczyć może dziedzina psychologiczna. Nie są to właściwie dowody, lecz analogie. Ważniejszą analogię stanowi argument metafizyczny, i to wyprowadzony z fizyki. Dość mieć sobie uzasadnioną duchowość wszechbytu, jak tego dowodzi „synteza“, i jak o tem przebąkują już niektórzy realiści ¹⁾. porównać ją z prawem przemiany materii i zachowania siły, aby prawo to rozciągnąć i do niezatracałości, zatem do nieśmiertelności duchowego pierwiastku w człowieku. Szeroko też prawem tem posługuje się prof. Struve, lecz wyprowadzający się zeń wniosek jeszcze go nie zadawalnia. Tu dopiero jeżą się trudności, na które i zwraca uwagę autor, i nie zwraca. Cóż stąd, istotnie, że, w moc tego prawa, dusza ludzka nie ginie? Wszak nie ginie i ten dymek z mojego papierosa, przy którym piszę. Połączy się on z cząstkami powietrza, i może kiedy zabłyśnie lżą w czyjś oku. A co będzie z duszą moją po ulotnieniu się z ciała, jak dym z papierosa? Czy, zachowując swą siłę, ulegnie przemianie materii, wcieli się w ogół nieśmiertelnych pierwiastków bytu? Rozumie to autor doskonale, że, z natury swojej, wiecznie istnieć może w przyszłości tylko to, co odwiecznie już istniało w przeszłości. Nie to więc drzewo, które dziś zazielenia się przede mną,—ono prędzej lub później zginie,—ale drzewo to, nie w tej, to w innej postaci trwać będzie, nie tu, to owdzie; tak samo z każdym objawem, z każdą formą, z każdą substancją, z każdym gatunkiem istnień materialnych, dopóki i wszystkie one w potoku czasów nie zginą, aby wytworzyć nowe substancje, nowe typy, nowe gatunki. Cóż więc istnieje wiecznie i niezniszczalnie? W duchu wywodów prof. Struvego, we wszystkich trzech traktatach, w ten sposób istnieje tylko prazasada wszystkiego, jeden prototyp twórczy, od którego wszystkie inne byty pochodzą: Bóg. Dusza ludzka, jako byt pochodny, z mocy istnienia swego zginąć nie może, ale może zmienić formę; prawo zachowania siły od tego losu jej nie ochrania. Jest ona

¹⁾ „Do ostatniego wniosku dochodzi też wielu przyrodników naszych czasów, nawet Haeckel, uznający działanie pewnych psychicznych czynników w najelementarniejszych pierwiastkach bytu“. (Struve, „O nieśmiertelności duszy“, str. 33).

o tyle bytem, w doczesności swej niedoskonałym, że nawet jedynego świadectwa swego bytu: świadomości własnej, nie posiada bezwzględnie (sen, letarg, omdlenie, obłąkanie).

Gdyby na tem poprzestać, to, przyjąwszy za dowód wszystkie z trzech traktatów wywody, doszli-byśmy, względnie do nich, prawdopodobnie do przekonania, że dusza ludzka rzeczywiście nie ginie, ale, opuszczając ciało, w którym przychodzi do swej indywidualnej świadomości, rozchodzi się gdzieś we wszechbycie, jak gaz w przestworach materialnych wszechświata. Ale nie o to chodzi autorowi, i dlatego nie może on poprzestać na argumentie, zaczerpniętym z zakresu obcego filozofii, z zakresu fizyki, z prawa o zachowaniu siły. Przyjmuje on je, lecz niem się nie zadawalnia, gdyż jemu chodzi nie o nieśmiertelność we wszechbycie, lecz o nieśmiertelność indywidualną, jednostkową, człowieka, o istnienie indywidualne jego zagrobowe, i to stosownie uwarunkowane, a w tem fizyka nie ma już nic do czynienia. Zwraca się więc w tym celu do innego rzędu motywów, wyłożonych w dawniejszej jeszcze rozprawie: „Zur Psychologie der Sittlichkeit“ (Phil. Monatshefte, 1882). do motywów z zakresu moralności; dusza bowiem, zdaniem jego, o tyle tylko może być nieśmiertelną, „o ile w niej przejawiają się odwieczne czynniki samej Istoty bytu (Boga), i o ile ona te czynniki w sobie przechowuje, pielęgnuje i rozwija“,—zatem czynniki moralne. Przedewszystkiem więc uzasadnia autor fakt, że pojęcie moralności, jako obowiązków i przeznaczeń życiowych, bez względu na różnice wartościowe w czasie i miejscu, jest faktem integralnym natury ludzkiej, powszechnym i trwałym, z którego powstaje sumienie i ideał moralny, ulegające prawom rozwoju i postępu. Pojęcie to i ten postęp tłómaczyć można tylko działaniem u nas Rozumu najwyższego, zasadniczą spójnością naszego bytu indywidualnego z Istotą bytu. Ponieważ zaś my, istoty pochodne, posiadając charakter porządku fizyczno-moralnego, działamy swobodnie, bez przymusu, ale i bez automatyzmu, działamy więc albo zgodnie z Rozumem najwyższym, albo wbrew jemu. Stąd wynika możliwość zła, która jednak wątleje pod przewagą czynników Rozumu, jak świadczą dzieje powszechnie, i ludzkość posuwa się coraz dalej ku spełnieniu swego moralnego ideału. Jesteśmy więc niejako współpracownikami Ducha nieśmiertelnego, i jako tacy, nieśmiertelnymi, a bez wiary w nieśmiertelność nic-by nas do tych zadań nie upoważniało. Z takiego też pojęcia wynikają inne jeszcze motywy, popierające byt zagrobowy, oparte na podstawie sprawiedliwości, jak: odpowiedzialność wobec samodzielności, nagrody i kary, odszkodowania za cierpienia niewinne, i t. p.; ale są to już motywy drugorzędne. Tak szeroko rozprowadzona w trzech traktatach nauka o wszechświecie, w duchu filozofii idealno-realnej, wynika z jednej

tylko psychologicznej przesłanki: istnienia duszy, oddzielnej od organizmu fizycznego.

Od wykończenia traktatu „O nieśmiertelności“, t. j. od roku 1884, prof. Struve coraz mniej używał pióra na artykuły przygodne i sporadyczne po czasopismach, czując potrzebę systematycznego skupienia wyników swej tyloletniej pracy, oraz należytego spożytkowania zebranych materyałów. Nie wyrzekł się jednak zajęć pobocznych. Z jednej strony przewodniczył wydawnictwu „Biblioteki filozoficznej“, z pomocą Kasy Mianowskiego; z drugiej pisuje artykuły fundamentalne, istne monografie, do „Encyklopedyi Wychowawczej“, tudzież do „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“, aż zbiera się nareszcie na wydanie w roku 1896 swego kapitalnego dzieła p. t.: „Wstęp krytyczny do filozofii“ (wyd. drugie, r. 1898).

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA RZYMSKA.

Będąc przed kilka dniami w Neapolu, dokąd mnie ściągnęło bogate archiwum Tornerych, zawierające ciekawe materyały do Soboru Trydenckiego, do panowania Zygmunta Augusta, Walezego i Batorego, zrobiłem wycieczkę do grobu Jakóba Leopardgo, którego rocznicę urodzenia Włochy w tym roku obchodzić będą. Smętny śpiewak z Recanati, kochający się w Nerynie i Sylwii, umarł w Neapolu, więc tam został pochowany. Z przedmieścia Mergolliny, jadąc ku Pauzylippo, mija się tunel wykuty w skale, kościółek Piedigrotta, słynny z święta N. M. Panny, konkursów na pieśni, i dojeżdża się, już za miastem i jego czarującą zatoką, do małego kościoła miejscowości Fuorigrotta, na drodze do Pozzuoli, gdzie w portyku kościoła wmurowany jest pomnik poety z prowincyi, położonej nad Adryatykiem, z t. z. „*Marche*.” Leopardi urodził się w tym samym roku, co nasz Adam Mickiewicz; niezadługo święcić będą na całym półwyspie jego pamięć, tymczasem zaś ukazują się nowe opracowania, rozbiory jego działalności poetyckiej; z jednej strony kult entuzjastyczny, nieraz przesada, z drugiej zimny skalpel nauki, szukającej nowych widnokręgów dla stosowania swoich zasad, zabierającej się do anatomii jego biednego, schorzałego ciała, tak, że nawet któryś z fizyologów i psychologów, chcąc wyrzec własne słowo, znalazł w nim cechy „zwyrrodniałego”!

Jakób Leopardi, jak powiedzieliśmy, urodził się w Recanati w prowincyi Ancony, niedaleko Loretto i Sinigalii, w d. 29 czerwca 1798 r. z hrabiego Monalda i Adelajdy Leopardich. Pierwsze nauki odbył w domu pod kierownictwem duchownych, ale już mając lat dziesięć, wątpi i zdolny chłopiec okazywał wyjątkowe zdolności do języków klasycznych, tak, że sam przewertował książki biblioteki swego ojca i w młodym jeszcze wieku wydał kilka studyów nad autorami klasycznymi; przyczem, w skutek rozczytania się w starożytnych klasykach, nabrał tej wytwornej formy literackiej, która uderza w jego późniejszej twórczej działalności, zarówno w wierszach, jak i prozie.

Urodziwszy się geniuszem poetyckim, po filologii wziął się do lyryki. Wyobrażenia i szlachetny zapał zwróciły jego myśli ku nowożytnym Włochom, ku ojczyźnie. Jakąż była ona wtedy? Półwysep italski był naówczas mozaiką, w której rządy małych państweczek obalały nowe idee, rozsiane przez rewolucyę francuską, niezależność i wolność, pielęgnowane odtąd w tajemnicy, jako ideał narodowy, przez sektę karbonarów; ciemnota, bieda i zepsucie w ludzie, polityczne rozbieżności — taka była chwila, kiedy Leopardi wysyłał swój wiersz „Do Włoch“, gdzie wspominał Termopile i wielbił męstwo bohaterów:

O! venturose e care e benedette
L'antiche età, che a morte
Per la patria correa le genti a squadre...

Potem, w wierszu na pomnik Dantego, skarży się na hańby, na wojny, które zasmuciły Italię, tak, że jej pozostała, jako jedyna chluba i pociecha, tylko sztuka:

Sempre vivete o care arti divine
Conforto a nostra sventurata gente!

W ówczesnych utworach zwraca się do matek, do kobiet, od których ojczyzna spodziewa się odrodzenia. Z tem wszystkiem, główną cechą talentu poetyckiego u Leopardiego jest pesymizm, w miłości, w pojęciu życia, świata, w stosunku do ludzi, pesymizm chorobliwy, szkodliwy, który mu u swoich rodaków wyrobił nazwę „króla boleści“, a u niektórych krytyków, zbyt może skrajnych, przydomek poety „nihilisty.“ Leopardi całe życie był chorym, a urodził się ułomnym, tylko serce było gorące i pozostało wiecznie młodem.

Pierwszą podróż odbył w r. 1822, do Rzymu, gdzie pracował w bibliotece Barberini, przy porządkowaniu greckich rękopisów.

Największy rozgłos dały mu jego pieśni, w których wyśpiewał zbolełą duszę. W stosunku do swego umysłu, Leopardi zestarzał się bardzo wczesnie, choć sercem pozostał młodym.

Stąd powstało rażące przeciwieństwo, jakie upatrywał w życiu, i to go zrobiło nieszczęśliwym. „Wszystko jest nicością“, oto bolesny okrzyk, jaki wydobywał się z głębokich przepaści, które badał myślą. Szczytne ideały ludzkości będą dlań tylko pustemi słowami i ułudą. Pamiętać jednak trzeba, że Leopardi poznał życie jedynie pod szatą boleści. Jego skargi nie były konsekwencją serca suchego lub zmęczonego, ale płynęły z serca świeżego, spragnionego uciech, i to zwłaszcza tych, jakie daje miłość, tak, że gdy z jednej strony świat jego rozmysłu rozsypywał się w nicość, świat jego serca owity był w najśłodsze, męczące tajemnice pożądań i snów. Miłość, czarodziejskie słowo, które wstrząsało jego nerwami rozgrzewając dziewicze serce, dawała mu skrzydła wiecznej młodości. Jego miłość była zawsze pierwszą miłością. Takim jest w poemacie „Pierwsza miłość“, w „Consalvo.“

Ale mają słuszność ci, co go zowią pesymistą; przesadzają, jeśli go piętnują jako „zwyrodniałego“. Narzekać, przeklinać, zamknąwszy się we własnej boleści, bez zaczerpnięcia w niej siły do oporu, stać się jałowym w rozpacz, nie widząc nic, prócz nicości wszystkiego, ujdzie może poecie; ale biada narodowi, poddającemu się przygnębieniu, zamiast pielęgnowania energii swojej i entuzjazzmów.

Odpowiedzialnym za swoje bóle nie jest, gdyż przyszedł na świat chorym, poznał życie tak, jak je poznają dzieci, urodzone i chowane w więzieniu, znające życie tylko pod postacią kraty więziennej. Myśl o swojej ułomności (gdyż był do tego garbuskiem) wprowadzała go w rozpacz, i dla tego idea ta niezmiennie, fatalnie, tkwi na dnie każdej innej myśli. W jednym z listów swoich spowiada się nawet szczerze, otwarcie, z tej goryczy, jaka mu serce przepelnia. Kilka dni temu — pisze on do przyjaciela, Giordaniego—zanim się położyłem, otworzywszy wieczorem okno mego pokoju i widząc piękne, czyste niebo, piękny księżyc na niebie, czując łagodny powiew powietrza, słysząc jakieś pszczekające zdaleka, ujrzałem w myśli dawne obrazy, uczulem dziwne wzruszenie. Zacząłem więc krzyżeć, jak opętany, błagając litości u przyrody, której głos, zdawało mi się, że słyszę, po tak długim czasie...“ (Epistolario).

Rzym z pomnikami swemi nie oderwał go od tej myśli miłości, która była jego jedyną prawdziwą potrzebą. „Nie znam żadnego lepszego zajęcia na świecie (pisze on do brata), jak kochać się. czy to na wiosnę, czy jesienią, i pewnem jest, że rozmawiać z ładną dziewczyną dziesięć razy jest więcej wartem, niż obchodzić wkóło, jak ja to robię, Apollina Belwederskiego, albo Venus Kapitolińską“... Tak, jak Mickiewicz, bawiący w Rzymie, wspomina ciągle, myśli o swojej ojczyźnie—

wygnaniec—tęsechni, wzdycha za nią,—tak i Leopardi, z powodu ułomności i choroby, wygnaniec z krainy miłości, myśli o niej, jak o dalekiej ojczyźnie. Jego miłość jest więc nostalgią, pożądaniem, które nie będzie spełnionem. Jeśli powiada, że „wszystko jest nicością“, sam sobie przeczy, gdyż serce tego się wypiera. Z drugiej znów strony, Leopardi miał duszę, pełną szlachetnej dumy, więc nie znosił żadnego upośledzenia i upokorzenia; stąd poszło więc, że pogardzał sławą, że się zamknął we własnej goryczy, stawiając się ponad sławę, chwałbę ludzi i świata, nie bez pogardy dla nich, tworząc sobie życie z „pogardy pogardy i wyśmiewania wyśmiewań“... Być może, iż do tego skrajnego pesymizmu doprowadziło go, od młodych lat, poczucie własnej wyższości w rodzinnem, małym prowincjonalnem Recanat'.

Zapewne, jest coś chorobliwego w poezjach włoskiego romantyka o formach nieraz klasycznych. Oderwany od świata codziennego, tworzy on sobie obrazy, zastępujące mu rzeczywistość. Siła tych obrazów, wytworów fantazyi, jest jednak tak wielka, iż, na razie, nie dostrzega się, że są urojeniami.

Kochanki, których opiewa przedwczesną śmierć, są podobno tylko widziadłami; Neryna, Sylwia, żyły wiele więcej w wyobraźni poety, niż w rzeczywistości. Ożywiając one postacie boskim tchnieniem sztuki, stawia je na zewnątrz siebie, tworzy z uich prawdziwe, dotykalne postacie, nieśmiertelne pomniki poezyi; poza niemi, poza sztuką, miłością, pozytywne życie traci wszelką wartość, tylko, że u innych, razem z młodością, ulatują sny i obrazy miłości. W miarę, jak nasze ciało przechodzi przez stopniowe, ciągle przeobrażenia, wchodzi w drugi okres: życia pozytywnego, gdy, według ludzkiego przeznaczenia, kończy się czas snów, a rozpoczyna praca, okres czynów. Przejście to widocznem jest np. u Mickiewicza, kiedy bawi w W. Ks. Poznańskiem i Dreźnie, w r. 1832, szamocąc się pomiędzy bezczynnością, poezją, a czynem.

Drugi ten okres nie nadszedł dla Leopardiego, poeta pozostał młodym. Jego serce zatrzymało się w osiemnastym roku, a ciało i umysł w trzydziestym już podupadły: w „pieśniach miłości“ obrazowi kobiety towarzyszy zawsze obraz młodości i śmierci; w Sylwii i Nerynie Jakób Leopardi śpiewa swoją miłość, młodość utraconą i bliską śmierć, czyli, że miłość i śmierć są syntezą pieśni miłosnych poety. Tej jego ułomności, jego boleści, Włochy zawdzięczają poematy: *Consalvo*, *Sylwia*, *Wspomnienia* (*Ricordanze*), *Miłość i Śmierć* i *Aspazję*.

Pomiędzy innemi, Leopardi napisał także *Dyalog prozą* p. t. „*Kopernik*“, fantastyczny dramatyczny obraz, humorystyczną poetyczną *allegoryę*, wydaną niedawno powtórnie w druku (u Zanichellego w Bolonii) z powodu obchodu czterechsetnej rocznicy urodzin wielkiego

astronoma w d. 19 lutego 1873 r., w uniwersytecie bolońskim, którego Mikołaj Kopernik, jak wiadomo, był uczniem. W pierwszej scenie, w rozmowie pomiędzy Pierwszą godziną a Słońcem, to ostatnie oznajmia nieodwołalne postanowienie nie ruszać się więcej z miejsca: „Jestem już zmęczone tem nieustannem wędrowaniem, aby przyświecać tym głupcom, którzy żyją na kupie błota, tak drobnej, że ja, co mam dobry wzrok, nie mogę jej dojrzeć“... „Niech się Ziemia stara o moją łaskę, niech się ruszy, bo ja niczego od niej nie potrzebuję i szukać jej nie będę.“ Takimi są mniej więcej słowa Słońca, wypowiedziane z lekceważeniem czy pogardą dla naszej planety i jej mieszkańców, w których odnajdujemy spleenowate usposobienie naszego romantyka. Na zarzuty, jakie Godzina stawia, tłumacząc Ziemię, stojącą w miejscu, Słońce odpowiada: „Najlepszy i najpewniejszy sposób byłby znaleźć poetę, czy filozofa, któryby namówił Ziemię, aby ruszyła z miejsca; a jeśliby się ociągała, siłą ją wypchnął“... W drugiej scenie znajdujemy Mikołaja Kopernika na dachu swego domu, wpatrującego się, w nocnej porze, przez lunetę, w sklepienia niebios, wyczekującego wschodu Słońca. Alesłońce, zgodnie z tem, cośmy poprzednio wyrzekli, ani myśli wschodzić, nie pokazuje się, czeka na podróż Ziemi. Zjawia się natomiast, z szelestem skrzydeł wielkiego nocnego ptaka, ostatnia Godzina, nie ostatnia godzina życia, ale dawnego systemu planetarnego. Godzina ta wzywa Kopernika do Słońca, przynosi go na skrzydłach swoich. Dyalog pomiędzy astronomem i Słońcem stanowi zakończenie obrazka, nie przeznaczonego zresztą na scenę, ale naśladowanego widocznie zestarożytnych dyalogów, i daje nam sens moralny poetycznego utworu. Wstrzymał słońce, ruszył ziemię. Kopernik, skromny kanonik warmiński, przyznaje się przed Światłością co do trudności, jakie napotka, ale Słońce odpowiada: „Jeśli Ziemi nie przekonasz, to ją zmusi“ — Jak najchętniej, Najjaśniejszy! ale nie jestem ani Herkulesem, ani nawet Rolandem, tylko kanonikiem. — Ziemia dotąd trzymała pierwsze miejsce w świecie, stojąc nieruchomie, nic nie robiąc, tylko oglądając się wkoło... uważa się za cesarzową świata. — Boję się, że będę spalony żywcem, jak feniks. — Słońce uspakaja Kopernika: Pozwól, abym ci po raz ostatni przepowiedział... Powiadam ci, może po tobie oberwie się komu, co pochwali twoje dzieło, ale żebyś ty miał cierpieć, w to nie wierzę. Jeśli chcesz być pewnym, książkę, jaką o tem napiszesz, ofiaruj Papieżowi. Tym sposobem nawet kanonii nie stracisz. —

Kopernik obiecuje pójść za radą Słońca — i obrazek się kończy.

W r. 1834 Leopardi osiedlił się ostatecznie w Neapolu, szukając pod łagodnem niebem, nad zatoką, ulgi w chorobie, trapiącej jego ciało. Tutaj zaprzyjaźnił się z Antonim Ranierim. Tutaj też umarł

młodo, w czerwcu 1837 roku. Z powodu zbliżającej się rocznicy jego obchodu, ukazało się obecnie sporo nowych prac o poecie, którego Włochy stawiają w pierwszym rzędzie lirników swoich. Jozue Carducci, profesor literatury w Bolonii i sam poeta, otrzymał nawet polecenie od ministerjum oświaty, aby wydał resztki jego pism, dotąd drukiem nie ogłoszonych. Umierając, Leopardi zapisał, czy oddał, wszystkie rękopisy swoje przyjacielowi Ranieremu, którego spadkobiercy odziedziczyli je po nim. O prawo własności co do tych pism powstał spór prawny w rodzinie Ranierich; rękopisy zostały złożone w depozycie w kasie zastawniczej (Monte della Misericordia) w Neapolu, gdzie-by jeszcze były długo oczekiwały końca procesu, gdyby nie odręcznerozporządzenie króla Humberta, nakazujące, aby ze względów użyteczności publicznej zostały wywłaszczone na korzyść narodu i ogłoszone z powodu stulecia.

Z tem wszystkiem, o ile wiem — gdyż rękopisy złożone są obecnie w bibliotece Casanatense w Rzymie — to, co będzie ogłoszone, nie da podobno już nic takiego, co by stanowiło wartość pierwszorzędną, ale za to pozwoli bliżej jeszcze poznać myśliciela i człowieka, gdyż główną wartość literackiej spuścizny stanowią poufne notatki, uwagi kreślone i zawarte w ogromnym tomie. Są to myśli, obserwacje, rozmowy, roztrząsania z dziedziny filozofii, literatury, polityki, wcielane do książki od lat młodości. Nie wszystko tam jest dojrzałem, zwłaszcza o ile pochodzi z pierwszych lat, niejedno już spożytkowane w utworach, więc zadanie kommissyi, mającej wydać pozostałości pism, polegać będzie na tem, aby wybrać z tej encyklopedyi urywków to, co wyda się godnem jego pamięci. Jedną z rzeczy wartościowych będzie „Dyaryusz jego pierwszej miłości“; wreszcie może ukaza się w osobnem wydaniu listy, pisane do Leopardiego, a jest ich około dwustu. W Recanati żyje potomek rodziny poety, hr. Jakób Leopardi, mający jeszcze niektóre niewydane rękopisy swego stryja.

Centralny komitet obchodowy w Recanati ogłosił program uroczystości, które trwać będą aż do 20 września r. b., w trzechodstępach: pierwszy, od 4-go lipca do 28-go sierpnia, przeznaczony jest na pielgrzymkę do grobu poety pod Neapolem; drugie dwa odbędą się w Recanati, gdzie, od wielu już lat, na głównym placu stoi pomnik poety. Będzie tedy wystawa pamiątek po nim, kongres lekarski, pochód uroczysty do domu, gdzie się urodził, z mowami, illuminacją, koncertem, odczytani, konkursem strzeleckim i t. d.

W uniwersytecie rzymskim, t. j. w t. z. Sapienzy, zostanie wmurowana marmurowa tablica na jego cześć; Carducci wyda w jesieni obszernie studjum nad poetą; rzeźbiarz Monteverde ofiarował popiersie brązowe dla miasta Recanati, a nawet, jak głoszą, autor „Rycerskości

wieśniaczej“, Piotr Mascagni, zajmujący obecnie posadę dyrektora liceum muzycznego imienia J. Rossiniego, w pobliżkum Pesaro, ułożył na tę okoliczność poemat symfoniczny na orkiestrę, poświęcony J. Leopardemu, temu Byronowi, czy też Heinemu Italii.

*

*

*

Inną jeszcze rocznicę miały obchodzić Włochy, Włochy katolickie, w roku bieżącym. Kładę umyślnie nacisk na charakter klerykalny, katolicki, obchodu, gdyż nikt tak nie wziął do serca tej czterechsetnej rocznicy, jak duchowni florency, a za nimi, za Zakonem OO. Dominikanów, poszli wszyscy teologowie i zakonnicy półwyspu. W dniu 23 maja r. b. upłynęły cztery wieki od chwili, kiedy na głównym rynku we Florencyi, zwanym della Signoria, spalony został na stosie dominikanin, Hieronim Savonarola, zachowało się dotąd we Florencyi kilka obrazów, nieznanego malarza z wieku XV, w kilku kopiach, z wariantami, gdzie przedstawiona jest ponura scena spalenia słynnego kaznodziei. Widzimy na nich pałac z wieżą, Palazzo vecchio, Loggię, zwaną dei Lanzi, rusztowanie z szubienicami i stośem, i męczeństwo trzech braci zakonnych, malowane a tempera, lub olejno; Savonarola i jego dwaj towarzysze przywiązani są do słupów żelaznemi naszyjnikami i mają ręce z tyłu związane. Zaburzenia natury socyalistycznej, jakie w maju r. b. zaniepokoiły Medyolan, Florencyę, Neapol i inne mniejsze miasta półwyspu, nie dozwoliły święcenia smutnej rocznicy, jak było zamiarem komitetu florenckiego, na którego czele stoi J. Em. kardynał Augustyn Bausa, miejscowy arcybiskup, więc obchód został odłożony do innej chwili, gdy stan oblężenia będzie zniesiony nad Arnem i kiedy zgromadzenia publiczne dozwolone zostaną.

Do uroczystości florenckich przyłączy się także Ferrara, miejsce rodzinne sławnego zakonnika.

Katolikom włoskim chodzi nie tyle o rehabilitacyę Savonaroli, który już dawno został zrehabilitowany i to niedługo po męczeńskiej śmierci, ile o wyjaśnienie jego stanowiska, postawienie go w prawdziwym świetle, ustalenie prawdy, gdyż florencki zakonnik jest jedną z postaci historycznych, najczęściej skrzywionych w sądzie, jaki się o nim, o jego życiu utworzył, dzięki zwłaszcza pisarzom przeciwnym kościołowi, niemieckim protestantom, którym nie tyle chodziło o prawdę, ile o pozyskanie go do szeregu poprzedników Marcina Lutra. Tym sposobem Savonarola chwieje się w dziejach tak, jak niektórzy pisarze (nie

mówię oczywiście o katolickich) przedstawiają, pomiędzy „poprzednikiem Lutra“, inicjatorem chrześcijańskiej reformy, mistrzem prawdziwego postępu, obrazobórcą Odrodzenia, człowiekiem, mającym widzenia, niespokojnym, prorokiem i męczennikiem za święte ideały — a zakonikiem gorącego, ascetycznego ducha katolickiego.

Najdalej poszli, najgrubszy błąd, wbrew prawdzie historycznej, popełnili Niemcy, kiedy stawiali pomnik M. Lutrowi w Wormacyi; Savonarola bowiem znalazł się tam jako jedna z postaci, otaczających niemieckiego reformatora, niejako ścielący przed nim drogę. Zaraz też, w r. 1869, jako protest Włoch katolickich przeciw krzywdzie, wyrządzonej dominikaninowi, utworzył się we Florencyi komitet, celem wystawienia mu pomnika w kościele Ś-go Marka, we Florencyi, którego był przeorem. Nie napróżno, jak zauważył sprytnie jeden z włoskich pisarzy, posąg Savonaroli w pomniku Wormackim odwrócony jest plecami do posągu Lutra: w tem ustawieniu, bezwiednie, wcieliło się zupełne przeciwieństwo — pomiędzy duchem, jaki ożywił surowego dominikanina, a apostatą z Eisleben. Pierwszy byłby żywcem spalił drugiego.

Pomieszanie pojęć, czy też raczej poprostu niedostateczna znajomość przedmiotu, przechodząca z książki do książki, sprawiła też, że w samych Włoszech, przeciwnicy kościoła, masonerya, chcieli koniecznie obchodzić czterechsetną rocznicę na swój sposób, upatrując w Savonaroli pierwszego wolnomyśliciela nowszych czasów... Tymczasem, niema nic fałszywszego, jak oba pojęcia, wyżej zaznaczone, mające niby służyć za podstawę do apoteozy. Zdawało-by się nawet, jakoby niektórzy pisarze protestancy pragnęli zaciemnić prawdę, walcząc przeciw Kościołowi, próbując przywłaszczyć sobie postać, która-by się ich była wyparła — dzięki niejasności, mgłę rozmaitych sądów, jakie ją otaczały. Jak reforma protestancka — i sam np. Luter — próbowali wyzyskać bolesną jego śmierć i kilka odezwań się przeciw Watykanowi, wykrzyk sumienia katolickiego, widzącego zbliżającą się burzę, wzywającego do prawdziwej reformy, która-by nie dopuściła była do buntu Lutra; tak i obecnie masonerya włoska zamierzała posłużyć się braciszkiem Ś-go Dominika, aby zeń utworzyć sztandar przeciw Stolicy Apostolskiej. Gdyby niemieccy twórcy pomnika w Wormacyi kierowali się prawdą, powinni by czemprędzej zdjąć Savonarolę z otoczenia Lutra, jego, co w walce, jaką aż do śmierci prowadził za wiarę katolicką, miał zawsze za hasło wojenne: Niech żyje Chrystus i Kościół rzymski! Znalazł się przecie we Włoszech mason, i to jeden z filarów sekty, poeta boloński, o którym miałem powyżej sposobność mówić z powodu obchodu Leopardiego, Jozue Carducci, który otwarcie wypowiedział przekonanie, iż Savonarola winien być zostawiony katolikom, jako niezaprzeczone ich

własność. Należy bowiem wiedzieć, iż włoska masonerya, w widokach politycznych, chcąc na własną rękę, zarówno we Florencyi, jak i Ferrarze, święcić rocznicę spalenia na stosie, zaprosiła Carducego do urzędzenia odczytu okolicznościowego, jednem słowem dążyła do tego, aby stworzyć drugiego Giordana Bruno, choć podobieństwo pomiędzy nimi jest bardzo luźne, całkiem powierzchowne. Giordano Bruno, bohater pomnika na placu dei Fiori w Rzymie, postawionego przed laty dziesięciu, na przekór papieżstwu, przez masoneryę włoską, spalony został na tem miejscu, za bunt przeciw Watykanowi i, jako człowiek najgorszego życia, był lichą figurą, nie mogącą mieć pretensyi do apologii i nie mówię już do pomnika. Myśl, jaka kierowała autorami tego pomnika, była hasłem: Bez Boga! Dlatego też, kiedy włoska masonerya postanowiła uczcić pamięć Savonaroli uroczystym obchodem we Florencyi i Ferrarze, aby go wyzyskać w imię polityki antyklerykalnej, dzienniki katolickie półwyspu, rewindykując florenckiego przeora dla siebie i dla swego stronnictwa, wskazywały na Giordana Bruna, jako na osobę historyczną, która jedynie służyć może za sztandar dla dzisiejszych wrogów Watykanu. Chodziło więc o wydarcie z rąk przeciwników chorągwi, niesłusznie zagarniętej, a zmazanie pozoru winy, nie ciężącej na Kościele.

Więcej niż kiedykolwiek (jeśli weźmiemy w rachubę tych, co zaraz po śmierci dominikanina bronili jego sławy, i tych, co w nowszych czasach bronili jego pamięci), toruje sobie dzisiaj drogę przekonanie, krytycznie uzasadnione, że Savonarola był, w gruncie rzeczy, niezachwianym katolikiem, pełnym świętobliwej gorliwości, uczniem Ś-go Tomasa z Akwinu, reformatorem obyczajów, znakomitym kaznodzieją. Byli zresztą także i katolicy, potępiający mnicha, jako niebezpiecznego fanatyka, buntującego się przeciw władzy kościelnej, człowieka gwałtownego, potępiający go w czambuł. Ci także zmuszeni są dzisiaj cofnąć większą część swoich zarzutów, oceniać go łagodniej, sprawiedliwiej, a nadewszystko życzliwiej.

Ogólaj upadek moralności, obyczajów we Włoszech zaraził był także Kościół rzymski; wiemy o tem dobrze, znamy panowanie Aleksandra VI Borgii, kronikę skandaliczną rzymską, przedajność dworu i otoczenia papieskiego. One-to były pobudką do reformy protestanckiej, one w Polsce przygotowały grunt pod „nowinki“. Trzeba czytać listy Zygmunta Augusta do kardynała Al. Farneseego (znajdujące się w rękopiśmie w archiwum Farnesych w Neapolu), abymieć wyobrażenie o zgrozie, jaką niejednokrotnie — nawet już w czasach poprawy stosunków kościelnych — wywoływały rozporządzenia Kurii Apostol-

skiej, o ile dotyczyły zarządu dyecezyami polskimi, boć i wtedy tra-
 fiały się wypadki, że osoby podejrzanej wartości uzyskiwały beneficya
 w kancelaryi papieskiej, na szkodę i krzywdę interesów polskich. Kiedy
 np. niejaki Aleksander Skultet uzyskuje, zapewne nieprawą drogą, ka-
 nonikat warmiński, syn Zygmunta Starego pisze piorunujący list do
 kardynała protektora Polski, Farnese'go, objaśniając go, że oddanie tej
 kanonii heretykowi, człowiekowi złemu, wywołało w Polsce zgorznie-
 nie. „Jeżeli go uważacie za tak dobrego człowieka, trzymajcie go sobie
 w Rzymie“, woła mąż Barbary Radziwiłłówny, „ja nie pozwolę, aby jego
 noga na polskiej ziemi powstała“... W XV wieku było nierównie gorzej,
 wtedy bowiem demoralizacya, zepsucie, doszły były punktu kulmina-
 cyjnego, co zresztą dotyczy zwłaszcza stosunków świeckich. Wszystko
 to kwitło pod szatą fałszywej starożytnej kultury: zamiłowanie
 Piękna i sztuki, i co tam Odrodzenie z sobą przyniosło, zamiłowanie
 przepychu, bogactw, chciwość, zmysłowość, rozboje, morderstwa
 i t. d. Florencyja i Rzym były wtedy gniazdami zepsucia, pierwsza,
 jako Rzeczpospolita, więcej z nazwiska niż w rzeczywistości, w ręku
 bogatych Medyceuszów. Uczeni i artyści, nadzwyczajnie cenieni, słu-
 żyli za wspaniałe ramy do ponurego obrazu życia miejskiego. W takiej
 to chwili moralnego bezrzędu, ukazał się człowiek asceta, twardy, za-
 cięty mówca, pod habitem dominikanina. Hieronim Savonarola urodził
 się w r. 1452 w Ferrarze, siedem lat spędził w klasztorze w Bolonii, po-
 czem wstąpił do klasztoru Ś-go Marka we Florencyi, gdzie z czasem
 został przeorem. W walce z zepsuciem, nawołując do powrotu do pier-
 wotnej chrześcijańskiej prostoty, pobożności, poświęcił całą swoją gor-
 liwość z kazalnicy. Gromił przepych Odrodzenia, życie nieprzykładnych
 księży, wskazując na pierwotne czasy Kościoła, kiedy to: „kielichy były
 z drzewa a prałaci ze złota“, gdy tymczasem, według jego wyrażenia,
 Kościół miał teraz kielichy złote, a prałatów z drzewa. „Twoje grzechy,
 o Florencyo! twoje grzechy, o Rzymie! twoje grzechy, Italio! są powo-
 dem twoich klęsk!...“, woła on, innym razem, z ambony. Chciał ustano-
 wie Rzeczpospolitą ewangeliczną, opartą na sprawiedliwości i miłości,
 nie miał szczególniejszych uprzedzeń dla formy rządu, utrzymywał na-
 wet w teoryi, że rząd, oparty na ludzie, jest dobry, arystokratyczny jest
 lepszy, ale najlepszym jest królewski, monarchiczny. Przed jednym
 rządem wzdryga się tylko, przed rządem tyrauna. „On-to żąda bezwie-
 dzy politycznej u poddanych, uciemnia silnych iludzi wzniosłych uczu-
 ć, chce zamknięcia zgromadzeń obradujących, szpiegowania mężczyzn
 i kobiet, duchownych i świeckich, spodlenia ludu, obciążenia go podat-
 kami; schlebia duchowieństwu, o ile znajdzie je złem, najemnikom nie
 szczędzi łask, a gościnności i zaszczytów cudzoziemcom („Reggimento
 di Firenze“). Jako przeciwieństwo do powyższego obrazu, stawił

ideał w „Civitas Dei“, ugruntowanej na religii, uciechę ludu w śpiewach i psalmach. Pomimo całego swego mistycyzmu, posiadał to, co dziś nazywa się zmysłem praktycznym w odczuwaniu potrzeb i niedoli ludu. Przeciw kapitalistom-lichwiarzom, wyzyskiwaczom klas pracujących, ustanowił Dom Zastawniczy, nazwany we Włoszech: *Monte di Pietà*. Byłby życzył mniej pompy w ceremoniach kościelnych, a więcej prostoty i podniosłości ducha, piorunował przeciw nieobyczajnym drukom i obrazom i doprowadził do tego, że młodzież florencka, w czasie karnawału, paliła na placach obrazy, przedstawiające nagości, przedmioty zbytku, gdyż mnich ten, po zrzuceniu z tronu Piotra Medyceusza, ustanowił nad Arnem republikę teokratyczną. Podobno wtedy Aleksander VI ofiarował mu kapelusz kardynalski, ale spotkał się z odmową.

Tymczasem po pierwszym zapale, lud florencki, podzielony na stronnictwa, ochłonął z uniesienia, jakie okazywał mówcy, nastąpiła reakcja. Papież Aleksander Borgia zakazał mu wstępować na ambonę, czego Savonarola nie usłuchał, tak, jak i wtedy, kiedy rada miejska wzbroniła mu piorunujących kazań. Kiedy Savonarola wymówił się także od drogi do Rzymu, został ekskomunikowany. Niespodziewany wypadek przyspieszył rozwiązanie. Jeden z księży Franciszkanów wyzwiał go do „próby ognia...“ Obaj zapaśnicy mieli przejść przez stos płonący; ten, ktoby został nienaruszony, byłby uznany za sprawiedliwego. Savonarola wyzwania nie przyjął, przyjął je za niego inny zakonnik, ale do próby nie doszło, gdyż jej rada miejska zakazała. Zmienny i kapryśny tłum — jakim jest zwykle — okazał niezadowolenie z tego biegu rzeczy, tak, iż klasztor Ś-go Marka został napadnięty przez ludność. Wtedy-to z rozkazu *Signorii*, tj. Rady miejskiej, został aresztowany i osadzony w więzieniu, ale żeby go się pozbyć, spalić, co na owe czasy nie było tak trudnem, wypadło mu dowieść winy herezyi. Rzecz była niemożliwa, gdyż dominikanin jak najwymowniej głosił przywiązanie swe do Kościoła katolickiego. Trzy razy go badano, brano na tortury, w końcu sfalszowano protokoły śledztwa i wydano wyrok spalenia go na stosie, w d. 23 maja 1498 r.

Uwięziony został w Palazzo vecchio, znanym naszym turystom, odwiedzającym Florencję. Nie ulega dzisiaj wątpliwości, że proces, t. j. protokoły śledcze zostały sfalszowane, zeznania, jakie poczynił, samowolnie dopełniono. Tym sposobem skazany został jako heretyk i schyzmatyk, nieposłuszny papieżowi, i jakoby udawał widzenia, głosił prorocтва, aby lud oszukać. Nie dość tego, po jego śmierci protokół sądowy zamieniony był na inny, ponownie sfalszowany. Nazwisko fałszerza jest znane. Razem z nim sądzeni byli dwaj zakonnicy z klasztoru Ś-go Marka: O. Dominik da Pescia i O. Sylwester Maruffi. W toku tegoż

procesu, Aleksander VI powołał winnego do Rzymu, ale rada miejska florencka nie pozwoliła na zwłokę i posłała go na stos. Papież wysłał dwóch komisarzy do Florencyi: Monsignora Romolino i O. Tuzziani, generała dominikanów, nie zwolnił go od cenzur, ani dał absolucyi, ale mu posłał odpust i błogosławieństwo *in articulo mortis*. W d. 23 maja, Savonarola, obstając wytrwale przy swej niewinności, protestując przeciw legalności procesu, wysłuchał wyroku, poczem trzech benedyktynów weszło do skazanych, aby ich wypowiadać i wróciło z przekonaniem, że okazują się ludźmi świętymi. Pozwolono wszystkim trzem wysłuchać Mszy Ś-tej; podczas komunii Ś-tej, Savonarola, wzięwszy w rękę Hostyę, komunikowałsam i udzielił jej towarzyszom i tak zbliżył się razem z nimi, wśród wymyślań i gwizdań tłumu, do stosu, gdzie biskup Paganotti zdjął z nich sakrę i oddał ich katowi. Wszyscy trzej zostali, jak zwykle w podobnych razach się działo, powieszani na szubienicy, a następnie ciała ich, jeszcze ciepłe, wrzucono na stos gorejący.

Nie chciałbym nieporozumienia. Powszechnie twierdzą, że Savonarola został tak srogo ukarany w skutek nalegań, idących z Rzymu. Otóż nic fałszywszego. Jak powiedzieliśmy, Aleksander VI żądał, aby mu oskarżonego przysłano do Rzymu, celem przeprowadzenia procesu; gonfalonier florencki chciał natomiast, aby przeor Hieronim sądzony był przez władze cywilne, jako burzyciel porządku; legaci papiescy dla tego byli obecni przy wyroku, że podsądnym był ksiądz. Kto wie, gdyby Signoria była ustąpiła, może-by był inny wyrok zapadł w Rzymie. Rada miejska chciała się pozbyć człowieka, przedstawiciela stronnictwa ludowego, zaciętego nieprzyjaciela Medyceuszów, mających stronników, choć byli na wygnaniu. Inni znów pragnęli zguby męża, biczującego ich za złe życie -- wszyscy zaś wyzyskali cenzury duchowne, na jakie się naraził, aby go zgubić.

Chodziło-by jednak o ustalenie miary odpowiedzialności zakonnika, który się opierał rozkazom z Rzymu, wątpliwości nie ulega. Jakim był Papież, takim był, w każdym razie powaga Kościoła winna być zachowana. Mamy brewy Aleksandra VI; w kazaniach florenckiego mnicha są najwyraźniejsze ślady nieposłuszeństwa, nieprzyjaźni dla Papieża, a nawet, tym razem, postać Borgii wychodzi w korzystnym świetle; Papież ociąga się, jak gdyby chciał, o ile możności, uniknąć ostatecznego potępienia dla oskarżonego. Ustalenie stopnia, miary odpowiedzialności Savonaroli jest trudne, chyba sama Stolica Apostolska może tu rozstrzygać, ale ona zachowała i zachowuje zupełne milczenie. Z drugiej jednak strony, jakże sobie wytłómaczyć cześć, jaką miało dla Savonaroli wielu, którzy-by nigdy nie byli przebaczyli niesforności wobec głowy Kościoła, jak np. Ś-ty Filip Nereusz?

Wytłómaczenia tej zagadki szukać należy chyba w warunkach, w jakich się Hieronim Savonarola znajdował, uznanych przez jego obrońców. W tych czasach, w jakich żył, bunt przeciw Papieżowi narzucony mu został, działał więc z najczystsze sumieniem i we własnem przekonaniu według praw kanonicznych. Prawomyślność Savonaroli została stwierdzona z jego kazań i pism. W Indeksie *librorum prohibitorum* znajdujemy tylko kilka kazań ze wzmianką *donec corrigantur*, co znaczy, że mogą być drukowane, po dokonaniu poprawek. Kongregacya indeksu zajmowała się jego dziełami za panowania Pawła IV.

Co więcej, dzisiejsi obrońcy Savonaroli upatrują w nim, i nie bez słuszności, apostoła kwestyi socyalnej i demokracji chrześcijańskiej, z przed czterech wieków. Te same przestrogi, jakie dziś Leon XIII rzuca kapitalistom, właścicielom zakładów robotniczych, aby nie uciskali dla własnej korzyści ubogich, nieszczęśliwych, aby nie wyzyskiwali nędzy ludu, gdyż ujmowanie słusznej zapłaty woła o pomstę do Boga, a zapłata powinna być wystarczająca do utrzymania robotnika uczciwego i skromnego w żądaniach, — te same przestrogi, nawoływania, znajdujemy po wielekroć w kazaniach włoskiego dominikana. Najzarliwszym jego wielbicielem jest profesor Luotto, i on to znajduje wielkie podobieństwo między encykliką Leona XIII o kwestyi robotniczej, „*De conditione opificum*“, a niektórymi kazaniami zakonnika z klasztoru Ś-go Marka. Piękną także książkę napisał o nim b. minister oświaty, Villari.

Ferrara, rodzinne miasto, wystawiła mu w r. 1875 pomnik, dzieło rzeźbiarza Galettego. Posąg przedstawia braciszka na stosie, w postawie modlącego się, z ręką wzniesioną ku niebu; napis, położony na podstawie, głosi, iż był w czasach zepsucia, upodlenia, biczem na występnych i tyranów. W jednej z sal klasztoru Ś-go Marka, we Florencyi, jest jego popiersie z gliny palonej. W dyspucie Ś-go Sakramentu, pędzla Rafaela, w Stanzach Watykanu, niektórzy chcą upatrywać jego podobiznę, jako jednego z Doktorów Kościoła. Dzisiaj klasztor Ś-go Marka zamieniony jest na muzeum narodowe, gdzie oglądać można obrazy słynnego brata Angelica da Fiesole. To też każdy zwiedzający zaciszny klasztor odnosi podwójne wrażenie dwóch imion, tryumfujących w tych murach: słodkiego Angelica da Fiesole, który zaludnił ściany rajskimi postaciami Świętych, i Hieronima Savonaroli, ognistego mówcy. Tu jest jego cela, gdzie myślał, pisał i gdzie jest zawieszony obraz, przedstawiający spalenie.

Jak wiadomo, papież Juliusz II był wielkim wielbicielem skazanego i miał się raz odezwać: *Jabym go kanonizował!* Łączyła ich przedewszystkiem pogarda dla Aleksandra VI, dla jego życia, i stąd

prawdopodobnie głównie płynie życzliwość, jaką dla pierwszego manifestował. Będąc kardynałem Ś-go Piotra w okowach, (gdzie też stoi pomnik tego papieża), Julian della Rovere był pomiędzy tymi, co wzywali króla Karola VIII, aby zbombardował zamek Ś-go Anioła i złożył z tronu Borgię, jako fałszywego Papieża . . .

Leon X okazywał się najżyczliwszym dla braci z klasztoru Ś-go Marka i, przybywszy do Florencyi w r. 1516, odprawił tam mszę, zostawił nawet odpusty dla każdego duchownego, który-by się modlił w małej kapliczce, przytykającej do cel Savonaroli, gdzie ten męczennik tyle razy modlił się i rozmyślał.

Nie kto inny, jeno Luter sam upatrywał w Savonaroli swego poprzednika i wydał komentarz do „Miserere“; zaraz jednak biskup Rochester, Jan Fisher, zbił śmiało twierdzenie i dowodził, że owszem widocznem jest z dzieł pierwszego, iż z góry byłby potępił błędy Lutera. Z nowszych, Ś-ty Filip Nereusz i Ś-ta Katarzyna Ricci mieli szczególniejsze nabożeństwo dla męczennika.

Aż do r. 1865 był nawet we Florencyi zwyczaj, że w dniu rocznicy spalenia składano kwiaty na miejscu, gdzie Savonarola śmierć poniósł.

*

*

*

Krakowska Akademia Umiejętności zakłada w r. b. stacyę naukową w Rzymie, na wzór tej, jaką już ma w Paryżu. Nie potrzebuję, zdaje mi się, rozpisywać się nad znaczeniem Akademii, założonej w r. 1873, a której pierwszym prezesem był Józef Majer, sekretarzem zaś generalnym Józef Szujski, tak, jak dziś prezesem jest hr. Stanisław Tarnowski, a sekretarzem prof. Stanisław Smolka. Celem Akademii jest praca badawcza w dziedzinie nauk teoretycznych, nie należą zaś do jej zadań wszelkie nauki stosowane. W miarę swego istnienia, Instytucya naukowa zwiększa ciągle obszar swojej działalności i zwiększała-by go nierównie szybciej, gdyby nie szczupłe stosunkowo fundusze, jakimi dotąd rozporządza. Akademia posiada wprowadzie kapitał żelazny około 300 tysięcy florenów, zebrany z zapisów, ale większa część tej summy jest obciążona legatami i z góry oznaczonem przeznaczeniem ich użycia na specyalne cele. Majątek krakowskiej Akademii Nauk nie może się np. równać z funduszami, będącemi własnością Aka-

demii węgierskiej, której majątek wynosi co najmniej dwa i pół milionów florenów, gdy tymczasem nasza instytucja posiada tylko dom w Krakowie, odziedziczony po Towarzystwie naukowem, zakład zdrojowy w Szczawnicy (bez okolicznych gruntów), zapisany jej przez śp. J. Szalaja, i nieznaczny stosunkowo kapitał, a natomiast pobiera roczną dotację rządową i krajową, t. j. od sejmu. Zakład zdrojowy w Szczawnicy żadnego dochodu nie daje, gdyż czynsz dzierżawny opłaca zaledwie odsetki od wyłożonego kapitału, celem spłaty współspadkobierców śp. Szalaja. Tak więc Akademia nie miała i nie ma obecnie osobnych dochodów ze Szczawnicy, a mieć je będzie dopiero po powolnej amortyzacji wyłożonych, wyżej wzmiankowanych, wkładów. Przed dziesięć laty, bogaty ziemianin, zmarły w Paryżu, p. Osławski, zapisał Akademii Umiejętności bardzo znaczny kapitał, w summie około 500,000 florenów. Zapis ten byłby znakomicie podniósł środki, jakimi instytucja rozporządzać może na cele naukowe, gdyby nie okoliczność, iż margrabia Zygmunt Wielopolski, ordynat Pinczowski, powołując się na pokrewieństwo z testatorem, zakwestyonował zapis z powodu pewnej, drobnej zresztą, nieformalności kodycylowej. Dopóki proces, jaki margrabia Z. Wielopolski wytoczył Akademii Umiejętności, nie przejdzie przez wszystkie instancje sądowe, z ostatecznym skutkiem korzystnym dla Akademii, dopóty zapis śp. Osławskiego, zrobiony bez żadnych ograniczeń co do rozporządzalności funduszu, nie może wejść w życie, przypuszczając zawsze, iż wspaniały legat testatora utrzyma się w pełni.

Rozczulającą jest myśl, iż pierwszy większy fundusz po fundacji śp. Probusa Barczewskiego (50,400 florenów) na nagrody za dzieła z historii polskiej i obrazy, wniesiony został przez krawca, Józefa Czurydło, który po r. 1848, opuścił Kraków, jako czeladnik krawiecki, i w Wiedniu, a nakoniec w Bernie, dorobił się majątku 40,000 florenów i ten na łożu śmierci, będąc oslepłym, schorzałym, śp. Józefowi Szujskiemu oddał, przeznaczając fundusz ciężko zapracowany na popieranie badań nad dziejami narodu. Przed niedawnym jeszcze czasem, Akademia otrzymała od Henryka Sieukiewicza fundusz 20 tysięcy florenów, na zasiłki dla literatów, artystów lub ich żon, wyjeżdżających na południe, celem poratowania zdrowia.

W myśli ożywienia stosunków z całym powszechnym ruchem naukowym, założona została w r. 1892 stacya naukowa Akademii w Paryżu. Istnieje ona od sześciu lat, dzięki szczeremu zapisowi Towarzystwa historyczno-literackiego paryskiego, które się rozwiązało i dom nieduży, ale doskonale położony nad Sekwaną, na quai d'Orléans Nr. 6, razem ze wszystkimi zbiorami, przekazało Akademii pod warunkiem utworzenia Stacji. Towarzystwo historyczno-literackie zawią-

zane zostało przez emigrację w r. 1832, t. j. niedługo przed przybyciem Adama Mickiewicza do Paryża. Pierwszym jego prezesem był Adam ks. Czartoryski, duszą Karol Sienkiewicz. Przy objęciu tegoż zakładu, szczęśliwie pokouane zostały rozmaite trudności. W lipcu 1891 r. Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej, Carnot, niebawem potem zamordowany przez anarchistę włoskiego, Caseria, podpisał dekret, przyzwalający na przejście majątku Towarzystwa na rzecz instytucji zagranicznej. Nie można także pominąć, że do tej fundacji przywiązane są dwa znaczne stypendya imienia Śniadeckich, fundacji śp. d-ra Gałęzowskiego (5000 franków) i Pileckiego (2500 franków), które przeznaczone są przedewszystkiem dla docentów uniwersytetu. Zadaniem więc stacyi jest służyć im za punkt oparcia.

Zbliżając się do celu naszej pogadanki, t. j. do blizkiego założenia stacyi naukowej w Rzymie, objaśnić musimy, iż celem stacyi paryskiej, na której czele stanął pierwszy dr J. Korzeniowski, a obecnie został jego następcą dr Konstanty Górski z Warszawy, jest: czynić w tamtejszych bibliotekach i archiwach poszukiwania, według wskazówek Akademii, a zarazem służyć za stałe źródło informacji o rzeczach polskich, dla miejscowych uczonych.

Każdy przeto z polskich uczonych, chcący zasięgnąć wiadomości odnośnej do kwestyi naukowych, literackich, otrzyma na quai d'Orleans nr. 6 w t. z. „Bibliothèque Polonaise“, najżyczliwsze informacye i pomoc w poszukiwaniach, o ile ona nie wykracza poza ramy zwykłej usługi. Jak dotąd, z Paryża wysyłani także byli pracujący nad polskimi dziełami do Rzymu, do Simancas w Hiszpanii, na kampanie archiwalne, przynoszące za każdym razem obfity plon materiałów dziejowych, odnoszących się do naszej przeszłości.

Pierwsze miejsce w materiałach tych zajmują niewątpliwie teki rzymskie, owoc poszukiwań, dokonanych w różnych archiwach włoskich publicznych, a zwłaszcza w Watykanie, nieprzebranej zawsze kopalni dokumentów do dziejów wszystkich krajów, a pomiędzy nimi i Polski. Tych tek rzymskich zebrało się już sto kilkanaście tomów, czekających ogłoszenia, wspaniały zbiór archiwalny, jakim nie każda Akademia poszczycić się może.

Jest temu lat dwanaście, od chwili, kiedy z początku, danego przez zasłużonego, ruchliwego, sekretarza generalnego, profesora Stanisława Smolki, Akademia uchwaliła stworzenie (w r. 1886) t. z. *Expedycyi rzymskiej*, aby wziąć się do żniwa we włoskich archiwach. Od tego czasu, roboty rozpoczęte prowadzone były konsekwentnie i bez przerwy, dzięki zapomogom, udzielonym przez Sejm i Rząd. Niech mi tu wolno będzie przytoczyć imiona tych, co razem, lub pojedynczo,

czasem we dwóch lub trzech, brali udział w wyprawach naukowych do Włoch. Byli nimi pp. Władysław Abraham, (profesor uniwersytetu lwowskiego), Dembiński i J. Kallenbach (dziś profesor literatur słowiańskich we Fryburgu szwajcarskim) rodem z Kamieńca Podolskiego. Do nich przyłączyli się młodzi pracownicy, jak pp. Boratyński, Czermak, Czuczyński, Grossé, Kaden, Winiarz, Korzeniowski, Krzyżanowski, Windakiewicz i inni.

W r. b. ustanowiony został stały delegat Akademii w Rzymie, w osobie p. Darowskiego.

Wspomniałem już wyżej, że główna uwaga wypraw do półwyspu włoskiego skierowana jest na archiwum Watykańskie. Dzięki rozumnym, liberalnym rozporządzeniom papieża Leona XIII, kolosalne zbiory te, jedyne w świecie, otwarte zostały dla uczonych całego świata; urządzono jednocześnie sale do czytania i kopiowania, w sposób, nie pozostawiający nic do życzenia. Ale nie tylko pod tym względem archiwum rzymskie papieskie posłużyć może za wzór dla innych archiwów: mianowicie w ostatnich latach, obok pracowni archiwalnej, zorganizowaną została osobna, specjalna, podręczna biblioteka, nazwana Leoniną, dla pracujących w archiwum, gdzie zgromadzone są niemal wszystkie wydawnictwa wszystkich narodów, odnoszące się do ich dziejów. Tutaj więc zgromadzony jest także bardzo piękny zbiór „Poloniców“ pod rubryką Polonia, t. j. wydawnictw dziejowych, dzieł poważnych, podręczników, bibliografii i t. d. Przyznać też trzeba, że dzisiaj w Watykanie, osoby, trudniące się poszukiwaniami, znajdują wszelkie ułatwienia i wygody, jakich tylko sobie życzą, a przełożeni miejscowi, OO. Denifle, Ehrle i Wenzel, chętni są zawsze z radą i pomocą. Nie można natomiast powiedzieć, aby archiwum to było zupełnie uporządkowane: ogrom materiałów do wieków średnich i czasów nowożytnych, zajmujących całe niemal jedno skrzydło wielkiego dziedzińca o dwóch piętrach, utrudniły zapewne mozolną niesłychanie pracę skatalogowania foliantów, na co-by potrzeba nietylko kilkudziesięciu kompetentnych ludzi pracy przez lat kilkanaście, ale przede wszystkim także i odpowiedniego funduszu kilkuset tysięcy lirów. Jak wiadomo, dzisiaj w Watykanie kancelarye papieskie skłonne są raczej ku oszczędnościom; tak więc, bardzo często, poszukiwania historyczne powierzone są trafnemu wężowi i sprytowi uczonemu, który wie, iż w kodeksie rękopiśmiennym znaleźć może rzeczy, jakich bardzo pobieżny spis katalogowy wcale nie wykazuje, albo też fałszywie je wykazuje; jest bowiem rzeczą całkiem zwyczajną, iż kodeks (a jest ich około 60 tysięcy) zawiera dokumenty, od-

noszące się do spraw czy krajów, nic z sobą wspólnego nie mających. I tak n. p. udało się, w roku zeszłym, całkiem przypadkowo, profesorowi Władysławowi Abrahamowi znaleźć pergaminowy zwój, zawierający protokół procesu, wytoczonego w roku 1310 biskupowi krakowskiemu, Muskacie, przez Swinkę, arcybiskupa gnieźnieńskiego, w sprawie politycznej księcia Łokietka. Proces ten będzie opracowany i ogłoszony przez szczęśliwego odkrywcę, a specjalistę dla naszych dziejów w średnich wiekach. Naturalnie, że dla nowszych czasów, a właściwie już od końca XV stulecia, tomy „Nunziatury di Polonia“ kryją w sobie arcyważny, pierwszorzędny materiał historyczny, relacje, awizy, dokumenty i t. d. Inne archiwa, jak państwowe (Di Stato), Propagandy, Lateranu, Barberinich, Chigich, Corsinich, Biblioteki Wiktora Emanuela (utworzonej z rękopisów, zabranych w skasowanych włoskich klasztorach), zostały już po części przejrane.

W roku bieżącym Akademia krakowska zwróciła uwagę na archiwum Farnesych, złożone w Neapolu, w państwowym archiwum, a którego jeden odłam odesłany został dawniej do Parmy, niegdys̄ dziedzictwa korony tych książąt. Mało znane i niewyzyskane archiwum zawiera jednak bardzo cenne, ciekawe materiały do dziejów Polski, począwszy od panowania Pawła III Farnese (1534—1549), którego bratanek, kardynał Aleksander Farnese był tak zwanym protektorem Polskiej Rzeczypospolitej. Tutaj też znajdują się materiały do dziejów kontr-reformacji, przed i po Soborze Trydenckim. Niestety, i to archiwum wymagało-by lepszego uporządkowania, zwłaszcza, iż składa się z przeszło 1700 fascykulów.

W tekach już przygotowanych do druku zawierają się również odpisy z archiwów, jak weneckiego, medyolańskiego, florenckiego (Medyceuszów), a w ostatnich miesiącach udało się prof. S. Smolce znaleźć w Medyolanie obfity materiał do dziejów naszych legionów we Włoszech, począwszy od generała H. Dąbrowskiego, aż do r. 1848. Jeśli się nie mylę, rzeczony dokumenty ujęte będą w osobne wydawnictwo i oddzielnie wydane.

Katalog tych zdobyczy, ogłoszony w r. b. przez krakowską Akademię Umiejętności, pozwala znawcy rozpatrzeć się w bogactwie wydobytych źródeł do dziejów narodu.

Uchwalona świeżo Stacya Naukowa rzymska będzie miała za zadanie, nie tylko ułatwić przyjeżdżającym corocznie do Rzymu stypendystom Akademii, pobyt i poszukiwania, ale, zarówno jak i paryska, służyć jako pośrednik między światem naukowym włoskim a pol-

skim, obznajamiać go od czasu do czasu, poza buletynami, jakie Akademie pomiędzy sobą wymieniają, z postępem nauk u nas, zwłaszcza historyi, która w rękach naszych uczonych stała obecnie wyżej, niż np. na włoskim półwyspie. Będzie to druga latorośl, drugi pęd, jaki Akademia z siebie wypuszcza, za nim przyjdzie kolej na stacye naukowe w Wiedniu i w pobratymczej Pradze.

A. DAROWSKI.

SWEET BOY.

Opiszek z kwiata

IX

Nasze to nasza przystała do nasza przystała, jako to
nie Ciebie zastoway.
Sprowadzalem doktorow. I takich nie przawadza do pewnego
stopnia. Stan nie był nowy, nawet nie przeszedł do niepewnego
aw. Dziecko, delikatne, urowne, jako nie było widać, jak
czy w czasie od przyszłości. Także je było odgrywać, wspaniale
a także widać od walekich widać, jak i wspaniale widać.
— Nadawaliśmy podobał się. Stan, który przystała do
przez nie z miłości, nie kładła się na kwiata i kwiata, a może być
dobrze, jakiej — że nie nie było.
Jako był wspaniał, widać, jakiej, powierzone, jako i podobał się
nie widać. I tak, więc nam przystała przystała do tego, doktor.
Czas, jakiej, jakiej, powoli, widać, do kwiata. Cud było
w ten sposób, jakiej, przystała, kwiata, nie dawny, ale kwiata
nie, leżał, jakim, jakim, na kwiata, kwiata, kwiata, a kwiata.

SWEET BOY.¹⁾

Obrazek z życia.

IX.

Nazajutrz, po naszym przyjeździe do pension anglaise, koło Thonon, Charlie zachorował.

Sprowadziłem doktora. Uspokoił nas, przynajmniej do pewnego stopnia. Stan nie był groźny, nawet nie przedstawiał niebezpieczeństwa. Dziecko delikatne, nerwowe, miało nadto rozbudzoną imaginację a za mało sił fizycznych. Trzeba je było odżywiać, wzmacniać, a strzedz zwłaszcza od wszelkich wstrząśnień i silniejszych wrażeń.

— Nadewszystko potrzeba spokoju. Sześć, osiem tygodni nie ruszać się z miejsca, nie zmieniać trybu życia i kuracyi, a może być dobrze. Inaczej — za nic nie ręcę.

Hotel był wygodny, widok śliczny, powietrze ciepłe, a podróżnych nie wiele. Łatwo więc nam przyszło stosować się do rady doktora.

Charlie jednak bardzo powoli wracał do zdrowia. Oczu było w tem dziecku jakieś pozrywane struny, które nie dawały się naprawić. Leżał dniami całymi na słońcu, obwinięty szalem, z główką

¹⁾ Patrz zeszyt czwarcowy.

opartą na poduszce albo na ramieniu matki, a ja mu czytałem głośno lub opowiadałem wesołe jakieś historye.

Jednego dnia, w parę tygodni po naszym przybyciu, kończyłem zrana ubierać się i chciałem schodzić na śniadanie, kiedy do mego pokoju wpadła, nie stukając do drzwi, wystraszona i trzęsąca się Betsy.

Stara Irlandka była od wielu lat w służbie lady Maud i znała jej historię najdokładniej.

— Panie radco, nieszczęściel—zawołała, załamując ręce.

— Charlie?! — krzyknąłem przerażony.

— Nie, ale księżę pan przyjechał.

— Mąż milady?

— On sam. Jest teraz u niej.

Byłem mocno zaniepokojony, ale nie chciałem przyznać się do tego.

— Może to na lepsze wyjdzie, — rzekłem. — Może pogodzą się z żoną i skończy się to nieszczęsne tułacze życie, i dla niej, i dla Charliego. Szczęście byłoby.

Irlandce zaiskrzyły się oczy.

— Pogodzić się? Z nim? I dla dobra dziecka? Nigdy! Nie znasz pan tego człowieka. On z żelaza. Nie ustąpi kroku, choćby nie wiem co miał poświęcić. Zgnieść szczęście i życie najbliższych sobie istot, to dla niego nic zgola. Szczęście Charliego? To była-by raczej tyrania i niewola dla tego biednego dziecka. Raz już patrzyłam na to, jak go oddano temu magistrowi. A moja biedna lady! Ona była jak gołąbka w jastrzębich szponach!

— No,—pomyślałem sobie, uśmiechając się.—Lady Maud na bezbronną gołąbkę mi nie wygląda. Nie chciałem jednak przeczyć poczciwej kobiecie, oddanej bałwochwalczo swojej pani.

— To szczęście tylko, że ona go zna dobrze i nie da mu się obalamucić, jak dała-by się pewnie innemu, — mówiła dalej, zaciskając ręce z gniewu. — Ten człowiek! Jak on umie przemawiać, jak chwycić za serce! Byłam w sąsiednim pokoju, gdy przyszedł, przy Charlie, którego objęłam, gotowa z nim uciekać i obronić go przed tym Herodem, choćby kosztem życia. Słyszałam wszystko co do słowa. Wszedł, nie anonsując się, oczywiście. Milady siedziała przy stole, pisząc listy. Zobaczywszy go, przeraziła się okropnie, pobladła jak trup, ale pan wie, że jest dzielną i twardą kobietą, więc na pozór pozostała spokojną i obojętnie całkiem, poważnie, jak to ona umie, podała mężowi rękę. On rękę podniósł do ust i przysunął sobie krzesło.

— „Pozwolisz, Maud? — spytał.

— „Proszę, — odrzekła, ale ja czułam, jak jej biedacze trudno przyszło słowo to wymówić.

— „Udało mi się wreszcie zobaczyć cię,—zaczął on po chwili milczenia. — Muszę ci oddać sprawiedliwość, że po mistrzowsku umiałaś ukrywać się przede mną i zmylić wszystkie moje poszukiwania.

— „Zmusiłeś mnie do tego, — odpowiada, ruszając ramionami, jakby nic.

A on znowu:

— „Nie będę z tobą kłócić się. Cztery lata czekałem tego spotkania, a wierz mi, Maud, czekałem z wielką tęsknotą. Myślałem o tobie w dzień, myślałem w nocy. Cóż chcesz? kochałem cię, nie przestałem kochać ani na chwilę“.

Ach, panie radco, gdybyś wiedział jak on piękny był w tej chwili. Te cztery lata nie zmieniły go wcale, nie zestarzały ani trochę — zrobiły tylko poważniejszym, twardszym, niż przedtem. Ta bródka na czole, wie pan, taka straszna, gdy w gniewie brwi ściągał, zrobiła się głębsza, oczy jakies posępne i surowe. A przecież, gdy tak siedział przy naszej lady, pochylony ku niej, z czarnymi oczyma, pełnemi ognia i błyskawic, pyszny i dumny jak król, widać było, że jest rozkochany, jak młody chłopak; ja sama, ja, co go zawsze nie nawidziałam i niema dnia, żebym go nie przeklinała, choć wiem, że to grzech i ksiądz mi za to już odmawiał rozgrzeszenia, ja sama, panie, na miejscu milady nie umiała-bym mu się oprzeć.

Mimo nader poważnej sytuacji, nie mogłem znów wstrzymać uśmiechu na myśl o pięknym księciu Odonie, schylonym ze słowami miłości przy sześćdziesięcioletniej, piegowatej, rudej i bezzębnej babinie.

Ona zaś mówiła dalej:

— Milady słuchała, nic nie mówiąc, nie poruszając się, jak posąg z kamienia. On zaś znów jej mówił, że od czasu, gdy od niego odeszła, zagasło dla niego słońce i skończyło się wielkie wesele, że zamek w Herthenstein stał się smutnym, jak grób, a w parku kwiaty dla niego powiędły i drzewa nie dają cienia ani zieleni. Opowiadał jej, jak pustem, jak nudnem, jak bezgranicznie smutnem stało się jego życie; ile razy myśl mu przychodziła, trapiąc i ciężąc jak zhora, skończyć z tą nędzą, z bólami i tęsknotą życia, i własną ręką przyspieszyć zapomnienie wszystkiego.

Ona wtedy po raz pierwszy oczy na niego podniosła, a w oczach malował się przestrah.

— „Bluznisz, Odonie, — szepnęła drżącym głosem.

Jemu to musiało zrobić przyjemność. Rękę swą położył na jej dłoni, uspakajając ją.

— „Nie bój się i przebacz,—rzekł.—Niepotrzebnie wspomniałem o tem. Znasz mnie przecie, że tchórzem nie jestem, umiem znieść cię-

żar życia i o obowiązku nie zapomnę. Ale pokusa była częsta i silna.

— „Ty sama nie wiesz, Maud, i ja sam nie wiedziałem o tem dawniej, jak ty mi stałaś się potrzebna do szczęścia. Kiedyśmy się pobrali, byłem dzieciakiem, którego rozpieściło życie. W najpoważniejszych chwilach i w najgłębszych uczuciach szukałem tylko nowej igraszki. Wiem też dobrze, że nie tak ciebie kochałem, jak ty mnie; nieskończenie mniej i gorzej, niż byłaś warta. Znasz mnie, że niechętnie przyznaję się do błędu; wobec ciebie czynię to, Maud, czynię szczerze. Tak. Byłem niższy od ciebie, i duszą i Kochaniem, czuję to dobrze. Ale ty, „my lovely heart“, ty byłaś, jak kwiat, który zapachem swym przenika wszystko, co go otacza. Sama nie wiedząc o tem może, oddziaływałaś na mnie tak silnie, zmieniałaś mnie, podnosiłaś. Dziś to zrozumiałem dopiero. A miłość moja ku tobie rosła. I stałaś się w końcu potrzebą mego serca, i stałaś się dla mnie jak powietrze, jak chleb, jak woda, stałaś się mojem słońcem, moją duszą, mojem wszystkim.

— „A jednak, — wtrąciła milady, nie podnosząc głowy, — wyrzekłeś się tego wszystkiego, Odonie, wyrzekłeś się tak łatwo...

Przerwał jej.

— „Nie mówmy o tem, nie mówmy jeszcze. Daj mi przez chwilę otworzyć ci wnętrze mojej duszy, poznaj, czem byłaś, czem jesteś dla mnie, pozwól, niech serca nasze uderzają przy sobie cicho, równo, jak niegdyś... Potem wrócimy do życia, do jego więzów i smutków.

Milady skłoniła głowę, jakby go zachęcała do dalszego mówienia, ale nie podniosła na niego oczu.

— „Kiedyś mię porzuciła, wraz z dzieckiem, — ciągnął dalej książę, — miałem w początku straszny żal i ból, i próbowałem wydrzeć z serca miłość ku tobie, jak przeczytaną, zawadzającą kartę książki. Nie mogłem. Próbowałem, mocowałem się z sercem — nie mogłem. Przekonałem się wtedy dopiero, czem byłaś dla mnie. Ale nie wolno mi było ustąpić. Więc starałem się odnaleźć ciebie i przymusić do powrotu, ale ty wymykałaś mi się z rąk i tak bałaś się mnie, jak ptak czyhającego nań jastrzębia, tak kryłaś się ode mnie, jak zwierzę ścigane, unikający pogoni i siდეł myśliwego.

— „O dziecko mi szło, o Erwina“, — rzekła cicho.

— „Nie mów o nim, nie mów jeszcze. Widzisz, ja ojciec, ja mam jego jednego, a nie pytam o niego, nie proszę cię, abys mi go pokazała. Nie. W tej chwili o ciebie mi chodzi tylko, o ciebie jedną i o serce twoje. W tej chwili dwoje nas na świecie: ty i ja, i nasze szczęście, nasze dawne, stracone szczęście — trzecie. Na później reszta“.

— „Zapomnieć nie mogłem, nie mogłem cię pochwycić, więc chciałem się pomścić. Widzisz: będę szczerym, kłamać zresztą, wiesz, że nie umiem. Zdawało mi się, że inna kobieta potrafi zatrzeć w myśli mej pamięć o tobie, zagłuszyć tęsknotę. Szukałem — nie znalazłem. Żadna rozkosz życia nie dała mi zapomnieć. Więc wziąłem z tem wszystkiem rozbrat i już nie próbowałem walczyć z sercem ani zapelniać jego próżni.

„I tak mi lata zeszły obojętne, bezcelowe. Jedno mi zostało w życiu: nadzieja zobaczenia ciebie. I wreszcie, po tylu, tylu dniach tęsknoty i męki, widzę ciebie. Powiedz-że mi, Maud moja, jedyna moja, czy ty mi uwierzysz, czy rozumiesz, co dzieje się w moim sercu?

Ona oczy podniosła i wpatrzyła się weń długo. Wreszcie rękę swoją wyciągnęła ku niemu.

— „Wierzę i rozumiem, — rzekła. — Tyś nigdy ust nie splamili kłamstwem, Odonie, a że serce masz, wiem o tem dobrze. Nie byłaby cię kochała innego.

— „Więc wrócisz? nie będziesz miała serca zostawić mnie samym? wrócisz?!

— „Ty wiesz, że zawsze była do tego gotowa, że sama prosiłam cię o to.

— „Nie, nie tak -- bez tych zastrzeżeń i formulek. Między nami jedno tylko być powinno: nasza miłość, a ta woła do ciebie: wracaj, wracaj“!

— „Pomiędzy nami jest rasze dziecko, Odonie, a ja nietylko jestem twoją żoną, ale jego matką“.

Na jego czole sfałdowała się ta brózdka, straszna i groźna. Przed chwilą był taki słodki i miękki, a teraz stał blady, z zaciśniętymi ustami, z gniewem i groźbą w twarzy. Wie pan? Ile razy widziałam go takim, a Bóg jeden potrafi zliczyć, ile to razy było, zwłaszcza w ostatnich, złych czasach w Herthenstein, zawsze przychodziło mi na myśl, że tak chyba musiał wyglądać archanioł zbuntowany, gdy go Bóg strącił z nieba.

— „Znowu ta sama piosnka, — wybuchnął gwałtownie. — Znam ją, kosztowała mnie kilka lat życia, kilka lat szczęścia, może zatruje resztę dni moich na ziemi. Nie mów mi o tem, Maud; daj mi się łudzić, że między nami niema żadnej ściany, wzniesionej przez ludzki przesąd i ludzką namiętność. Choć ten dzień będziemy sami z sobą, we dwoje“.

Ona głowę schyliła.

— „Bądźmy we troje, — rzekła mu. — zapominasz o Erwinie“.

— „Niewdzięczna, nie widzisz tego, że zapominam dla ciebie...“

Milady jednak wstała i wyszła do drugiego pokoju, gdzie ja byłam z naszym Charlie.

— „Ty tu, Betsy, — rzekła mi, biorąc z rąk moich naszego chłopca. — Słyszałaś?”

Skłoniłam głowę i przypadłam do jej ręki.

Ona podniosła moją głowę i sama, jak to Charlie nieraz robi, oparła czoło na mojem ramieniu. Nie mówiła nic, tylko pierś jej podnosiła się ciężko.

Ale ja, że to, jak pan wie może, języka nie zatrzymam, pytam ją szeptem przez łzy:

— „Ale, milady, przecie nie posłuchasz go, nie wrócisz, Charlie nie wydasz w ich szpony?”

Ona milczała przez chwilę, wreszcie podniosła głowę i ze zdumieniem zobaczyłam, że oczy ma zalane łzami.

A ona nigdy nie płacze.

— „Ach, Betsy moja, stara, jedyna dziś moja przyjaciółko! — Czy powrócę, pytasz? Gdybym mogła tylko! Jak ptak-bym poleciała i nie odstąpiła-bym go nigdy, nigdy! Ja go tak kocham, tak kocham...”

I znów po chwili odpoczynku szepce mi dalej:

— „Słyszałaś, co mi mówił, że dla niego potrzebna i droga, jak powietrze, którem oddycha, jak słońce, co go oświeca. Ja mu nie mówiłam... i nie powiem. Po co? Dość mu jego własnego ciężaru. Ale czy myślisz, że mi było lżej tymczasem? Co ze mną działo się, gdy musiałam uchodzić z tych miejsc, które, mimo tylu smutków i upokorzeń, drogie mi były, bo on wśród nich zostawał? Ach, Betsy moja, nie żałowałam nic, nie bałam się niczego, ani wzgardy, ani poniżenia, ani ubóstwa, — jedno leżało mi na sercu, jak kamień grobowy. Jego traciłam, jego, pierwszy sen mojej młodości, jedyną miłość mego życia”.

Przerwałam jej przerażona:

— „Nieszczęście, milady, — zawołałam. — Teraz on już panią opanował i zabierze”.

— „Bądź spokojna, Betsy moja, — odrzekła ze słabym uśmiechem. — Nie ustąpię. Duszy dziecka mego nie poświęcę. Niech pęka serce, ono mnie nie zwycięży”.

Ucałowałam jej drogie ręce.

— „Taką lubię moją panią, — zawołałam. — Tylko się nie poddawać pięknym słówkom i nie dać się oplątać jedwabiem”.

Ona znów mi głowę oparła na ramieniu.

— „A jednak, Betsy moja, — szepnęła bardzo cicho, — módl ty się, módl o to, aby Bóg skruszył to biedne, twarde serce mego Odoną,

aby skończył się ten straszny rozdźwięk między obowiązkiem matki i sercem żony. Ach, tak mi z tem ciężko, tak źle.., I są przecie inne kobiety, którym Bóg daje choćby skromną miarę szczęścia. A ja...“

— Milady masz syna, — przerwałam podrażniona, bo mi to roztkliwianie się nad księciem działało na wątrobę.

— „Mam go i kocham, i dziś on szczęściem mojem ostatniem, jedynem. Ale pamiętaj, Betsy, że tamtemu ja obiecywałam wiarę i miłość, i zachowałam mu jedną i drugą, i obraz jego kochany noszę z sobą w sercu dniem i nocą“.

Miałam już na języku dobrą radę: to wyrzucić że go raz, milady, żeby cię nie bałamucił więcej; ale w porę wstrzymałam się, bo nasza kochana lady, choć dobra jak anioł, a kocha mnie pewnie szczerze, żartować z nią jednak nie można. Ale powiedz-że sam, panie radco, czy to jest sens tak przyłgnąć sercem, i do kogo? do lutra i Prusaka! Mąż? To cóż że mąż? Wielka rzecz! Miałam i ja męża, i pewnie kochałam mego poczciwego Dunstana, choć kiedy upił się, miał zwyczaj, biedaczek kochany, okładać mnie czem popadł i nawet żebra mi raz połamał. Kochałam go nieboraka, płakałam za nim, ile razy wypłynął na morze; ale żebym znowu bez niego żyć nie mogła? Jeszcze czego! Gdyby nie lady Maud, przy której jestem od trzeciego roku jej życia, pewnie-bym nie nosiła długo wdowiego czepca.

— Cóż więc, milady? — przerwałam gadatliwej staruszce, która była niewyczerpana, ilekroć zaczynała opowiadać, bądź o nieboszczyku Dunstaunie, bądź o dziecinnych latach lady Maud.

— A cóż? Wzięła Charlie za rękę i zaprowadziła go do ojca. zamknęli się w saloniku i gruchają, jak gołąbki, z księciem małżonkiem.

Betsy stanowczo nie była przyjaciółką księcia Odoną Günthera Cottbus-Herthenstein.

X.

Ani lady Maud, ani Charlie nie pojawili się przy wspólnym stole. Przez cały dzień ich nie widziałem. Wieczorem dostałem bilecik, proszący mnie do księżnej na herbatę.

Charlie już poszedł spać. Przy świetle lampy, okrytej umbrą, lady Maud siedziała ze zwykłą swą robotą w ręku, spokojna i piękna, jak codzień. Obok niej, w fotelu, książę przeglądał ryciny czasopism.

illustrowanych z obojętnym i chłodnym wyrazem twarzy, ale brązowy nóż, który trzymał w ręku, drżał widocznie, ilekroć karty przecinał.

— Good morning, dear friend, — przywitała mnie młoda kobieta, wyciągając do mnie rękę. — Męża mego zna pan z Brukselli, prawda? Pan radca legacyjny . . . ski, Odonie. — Książę powitał mnie grzecznie, ale z pańska.

— Pamiętam doskonale, — rzekł. — Księżna mi wspomniała, że polega na pańskim zdaniu, co mnie bardzo cieszy, nie wątpię bowiem, że, jako człowiek ze świata, zrozumiesz mnie pan, zgodzisz się ze mną i poprzysz mnie.

Wyznaję, że mnie ton jego podrażnił. Jak każdy polski szlachcic, mam trochę pretensyi do błękitnej krwi i pamiętam, że swojego czasu mógł-bym być zostać królem, a był-bym w każdym razie elektorem, gdyby... i t. d. Skłoniłem się więc dość sztywnie i odpowiedziałem sucho, że musiał-bym wiedzieć, o co chodzi, i być pewnym, że zapatrywania nasze będą zbliżone.

— Ależ będą niewątpliwie, — rzekł książę z odcieniem zniecierpliwienia w głosie.

I rozwinął przede mną, nie czekając na moją odpowiedź, cały swój projekt pogodzenia się z żoną.

Gotów był do wszelkich ustępstw, odpowiednich jego stanowisku i godności. Przyznawał, skoro już mnie wtajemniczono w te sprawy delikatne, które przed obcymi winny może były pozostać ukryte, że księżna mogła mieć powód do skargi w ostatnich czasach wspólnego pożycia, że postępowanie osób, należących i do rodziny, i do książęcego dworu, zasługiwało na surową naganą. Wyznanie to w jego ustach jest poniekąd wyrokiem, wydanym na samego siebie, skoro on był panem domu i wobec niedoleżnego stryja istotną głową rodziny. Powinienem mu więc przyznać szczerłość i dobrą wolę. Tak, on ma tę dobrą wolę, ma ją w całej pełni. Nie uznaje wprawdzie za właściwe z uczuć swych się wywnętrzać — księżnie jednak uczucia tę są znane. Dość, gdy powie i słowem swem stwierdzi, że szczęście żony i dziecka jest i będzie głównym celem jego życia, że zrobi wszystko ze swojej strony, aby cel ten osiągnąć i przekonać księżnę, jak zblądziła, nie ufając mu, marnując kilka lat, które mogły być latami szczęścia...

Z początku mówił ze sztucznym spokojem i chłodem — powoli jednak drażliwy przedmiot zaczął go unosić, roznamiętniać. Twarz mu zaogniła się, czoło namarszczyło się groźnie.

Słuchałem go, nie spuszczać zeń oczu i starając się w głęb' duszy jego przeniknąć.

— Pozwoli książę, — rzekłem wreszcie, gdy zatrzymał się; — może-byśmy postawili kwestyę jasno. Skoro księstwo zaszczytli

mnie swem zaufaniem, myślę, że odpowiem mu najlepiej, będąc zupełnie szczerą i starając się, aby ten sam charakter miała cała nasza rozmowa.

Lady Maud skłoniła lekko głowę, na znak, że zgadza się z moimi słowami, książkę rzucił się.

— Czy pan sądzisz, panie radco legacyjny, że ja mam inne zamiary?

— Nigdy w życiu. Mówiłem tylko o sobie. Znane mi są przyczyny rozstania się księstwa. Są one tego rodzaju, że łatwo dadzą się usunąć i porozumienie wówczas samo przez się przyjdzie.

Książę widocznie był nie rad z kierunku, jaki nadałem rozmowie.

— Pozwól pan, — zaczął. — I ja chcę brać rzeczy jasno, ale razem postawić sprawę na właściwym gruncie. A ten, na jakim pan ją stawiasz, właściwym nie jest. Nie chodzi o racye, dla których księżna uznana za właściwe opuścić swe ognisko rodzinne; chodzi o to, czy miała do tego prawo, i czy nie ma obowiązku powrotu.

Ten jego był całkiem inny, niż ów, którym przemawiał zrana do żony. Ale lady Maud nie poruszyła się, ani okazała wrażenia.

— Wybacz, mości książę, — rzekłem. — Nie zdaje mi się, abym był powołany do rozpatrywania sprawy z tego punktu widzenia. Nie mnie roztrząsać sumienie księżnej i sądzić o jej obowiązkach. Zaszczyczony jej ufnością, mogę tylko wydawać zdanie w tych rzeczach, w których zdania mego żąda.

— Słowa, radco, słowa, — przerwał niecierpliwie książę — Ale mniejsza. Nie chcesz pau być sędzią, wolno ci być świadkiem. I oto w twojej obecności powtarzam księżnej, co jej powiedziałem przed chwilą, co jej dawno już powiedzieć było powinno sumienie. Miejsce żony w domu męża; obowiązkiem żony dotrzymać przysięgi, i z obowiązku tego nie nigdy zwolnić jej nie może.

— Gotowa jestem, — rzekła spokojnie lady Maud.

— Tak, ale stawiasz warunki, a ja ci powiadam na to: nie! żadnych warunków, żadnych gwarancyi. Gwarancją dla ciebie winna być moja miłość, winien być mój honor! Zaufaj mi, a wszystko zrobię dla twego szczęścia i wkrótce uważać będziesz te dni rozłączenia za zły sen.

Ona złożyła robotę, i spłótszy ręce, podniosła na niego swe wielkie, smutne, przenikliwe oczy.

— Wybacz, Odonie, — rzekła, — ale ja znów powrócę do punktu wyjścia naszej rozmowy, do pierwszych słów naszego przyjaciela. Miał-byś racyę zupełną i poszła-bym za twemi słowami bez wahania, gdyby nas było tylko dwoje. Ale jest Erwin i wiesz dobrze, o niego tu chodzi.

— Czy sądzisz, że Erwin jest dla mnie obojętny? Nietylko ty jesteś matką jego: ja jestem ojcem i pamiętam o tem.

— Tak,—odparła poważnie;—tylko, że i obowiązki swe względem niego, i jego szczęście pojmujesz inaczej, niż ja, i w tem między nami rozdźwięk i przyczyna wspólnej niedoli. Wogóle rozdźwięk ten był od początku, ostrzegano mnie przed nim, nie wierzyłam wówczas, dziś mści to się na mnie.

Ksiązę zerwał się i wielkimi krokami przeszedł wzdłuż i wszerz małego saloniku.

— Znowu ta sama nieszczęsna zwrotka, istna pieśń puhaczy, — zawołał, zatrzymując się przed nami. — Tyle lat, tyle wieków mąci spokój i zatruwa szczęście milionom, jadem nienawiści napelnia ludzkość! Ja myślę i wierzę, że Bogiem miłości jest Bóg nasz, i że tu nie kładł tych nienawistnych granic pomiędzy swemi stworzeniami, ani kazał dla oderwanych mrzonek poświęcać własne i cudze szczęście, zgodę rodzin i spokój społeczny!

— Jeśli tak jest, mój Odonie, dla czego chcesz szranki kłaść pomiędzy matką a sumieniem jej dziecka?

Ksiązę rzucił się i ramionami ruszył.

— Któż mówi o tem? Kto chce szranki kłaść? Nie ja pewnie! Że ciotka Wilhelmina i opanowany przez nią stryj narzucili tobie niemądrego i ciasnego pastora, to było, przyznaję, głupstwo wielkie, ale głupstwo to się nie powtórzy. Między tobą a Erwinem nikt nie stanie: ja jeden prawa ojcowskie rezerwuję sobie. Nic więcej.

Ona podniosła na niego oczy.

— Więc przyrzekasz mi, że pozwolisz Erwina wychować w religii, w której był chrzczony i której go uczyć? — spytała.

On zgniół nerwowo w rękę dziennik, leżący na stole, i rzucił na ziemię. Potem zwrócił się do mnie z iskrzącemi oczyma.

— Patrz pan, oto są kobiety!—zawołał zduszonym głosem.—Znasz ją pan, podziwiałeś, jak wszyscy, jej rozum, jej niepospolity charakter. I oto na drodze do obowiązku, do szczęścia, staje jej formuła, licha formułka, wymyślona przez ciasnych ludzi!

— Czy wiara twoja, Odonie, jest dla ciebie tylko formułą? — rzekła spokojnie księżna.

— Wiara, wiara... przedewszystkiem, co to jest wiara? Przecież nie katechizm doktora Lutera. To co jej treścią, to jest wspólną własnością wszystkich uczciwych ludzi, czy chodzą na mszę, czy na pastorskie kazanie. A to, co ludzkim wymysłem i dodatkiem, te nędzne zewnętrzne drobiazgi, to brać na seryo, wybaczyć, ale to może być właściwe dla twojej starej Betsy, nie dla ciebie.

— Jeżeli ty to uważasz za zewnętrzne drobiazgi, dla czegoż nie powiesz mi wyraźnie i stanowczo, że na prośbę moją, na mój warunek co do Erwina, zgadzasz się?

— Bo Erwin jest domniemanym następcą mego stryja i moim, bo tradycja rodzinna wymaga tego, aby był wychowywany w religii dziada i ojca.

— A gdybym ja chciała nazwać to drobiazgiem zewnętrznym, tak, jak ty nazywasz moje religijne zasady?

Księżę skłonił się ironicznie przed żoną.

— Przepraszam, — rzekł. — Myślałem, że mówię z księżną Herthenstein i że dla ciebie te rzeczy nie są drobiazgiem.

— Miałeś słuszność, myśląc to. Myliłeś się tylko, gdyś o tem równocześnie zapominał, że mówisz z katoliczką.

— Niestety! Nie dajesz mi o tem zapomnieć ani na chwilę.

Przeszedł się kilka razy w milczeniu po pokoju, potem zatrzymał się.

— Czy myślisz, Maud, że mi o to idzie, w co ten chłopak będzie wierzył, jak będzie się modlił! Nie jestem tak ciasny przecie! Niech z niego będzie człowiek honoru, umiejący trzymać wysoko sztandar swego imienia i spełniać przywiązane do tego imienia obowiązki — więcej nie żądam.

— A jakże je spełni, gdy mu nie będzie przewodniczyć wiara, oświecająca i prowadząca sumienie?

— A któż ci zabroni sumieniem tem kierować? Czyż ci nie powiedziałem, że nikt więcej, nikt więcej nie stanie pomiędzy nim a tobą?

— A jego wyznanie?

— Co za głupstwo! Parę razy na rok wynudzi się na kazaniu w zamkowej kaplicy w Herthenstein, bo gdzieindziej nikt go nie będzie kontrolował — to i wszystko. Jakbyś i ty nie bywała w zamkowym kościele podczas dworskich uroczystości. Forma, forma — nic więcej. Co będzie miał w sercu — o to go nikt nie spyta.

— Chcesz więc, aby życie jego stało się ciąglem kłamstwem?

— Kłamstwem? Dla czego? Skoro ci powiadam, że go nikt nie ośmieli się spytać. Sympatye swe umieści, gdzie zechce — w Rzymie, skoro tego pragniesz i będziesz się o to starała. Cesarzowa Augusta także miała podobną słabostkę w ostatnich latach życia. Co to szkodzi? Publicznie, zewnętrznie będzie musiał trzymać się form, ustalonych w jego rodzinie. Dzienniki to nawet nazwały jakoś. Już wiem: Kryptokatolicyzm! Nic przeciw temu nie mam.

Lady Maud podniosła znów głowę i, jak przed chwilą, wlepiła w męża oczy swe, głębokie, jak toń morza.

— Nigdy; — rzekła powoli. — Wolała-bym już oddać go w ręce Schmelchera, wychować na wierzącego wyznawcę innej wiary, niż moja. Nie. Nie chcę kłamstwa w życiu, w sumieniu mego dziecka. Póki żyję, póki mam możność oparcia się, nie dopuszczę do tego nigdy, nigdy.

— Musisz! — syknął książę przez zaciśnięte usta.

— Nie zmusiłeś mnie dotąd, Odonie, ufam w pomoc Bożą, że nie zmusisz.

I spokojna, bez śladu wzruszenia na bladej twarzy, podniósłszy się, zadzwoniła na służbę o herbatę.

XI.

Nazajutrz rano znów wpadła do mnie Irlandka.

— Cóż nowego? — spytałem, nie odwracając się od stolika, przy którym zajęty byłem ważną funkcją golenia się. Ale w tejsze chwili zobaczyłem w lustrze twarz Betsy, nie bladą wprawdzie, bo to przy jej cerze nie było możliwe, ale tak przestraszoną, że mi przemknęło przez głowę podejrzenie, czy książę nie porwał syna.

Podejrzenie było fałszywe. Książę Odo wprawdzie po odejściu mojem, dość wczesnem z powodu naprężonej sytuacji, zapowiedział żonie, że syna, raz go odszukawszy, nie da sobie więcej wydrzeć, i zabierze go, czy z matką, czy bez matki; ale lady Maud groźbę tę zbyła zwykłym swym spokojnym uśmiechem. Na nieszczęście, Charlie dostał w nocy gorączki, nadedniem już posłano po doktora do Thonon — i właśnie przed chwilą odjechał.

— I cóż mówił, co jest? — zawołałem zaniepokojony.

Stara oczy zakryła, szlochając.

— Niedobrze, bardzo niedobrze, — jęknęła. — Czy to przyjazd ojca tak podzielał na to biedne dziecko, nie wiem, dość że cały organizm rozstrojony i może się źle skończy.

I twarz zasłoniwszy rękoma, zawiodła, jak lamentujące wieśniaczki na Rusi.

— O, my sweet boy! o, my lovely child, my Charlie!

Skończyłem co prędzej ubierać się i pobiegłem, ile mi stare nogi pozwalały, na przeciwne skrzydło domu, do apartamentu lady Maud. Była przy synu, ale w pierwszym pokoju zastałem księcia.

Chodził swoim zwyczajem wielkimi krokami po saloniku, starając się jednak tłumić odgłos kroków. Był widocznie zdenerwowany, niespokojny.

Przywitał się ze mną uprzejmiej, niż wczoraj, i zaraz przyciszonym głosem zaczął opowiadać o zasłabnięciu syna. Było tak niespodziewane; wczoraj wyglądał tak dobrze! Ale cóż, tak jest wątły, tak delikatny... Nie! myśleć niepodobna o takim ciosie! Bóg ich tak nie dotknie przecie... prawda? prawda? Wszak to jedyne dziecko, chluba ojcowska, nadzieja i przyszłość książęcego rodu na Herthensteinie. I co za straszna rzecz! On, książę Odo, cztery lata go nie widział, cztery lata poszukiwał daremno, tęskniąc, rozpaczając — i za ledwie go zobaczył, takie nieszczęście!..

Jego natura ekspansywna, choć w zwykłych warunkach krępowana wolą i naginana gwałtem do chłodnych, sztywnych trochę, form towarzyskich, wrywała się z tych więzów pod wpływem silnego wzruszenia. Myślał głośno przy mnie, nie dbając wiele o to, jakie wrażenie zrobią na mnie jego słowa.

— Ale ostatecznie — mówił dalej — kto temu winien? Maud, jedna Maud. Gdyby nie jej szalona ucieczka, nie awanturnicze wałęsanie się po świecie, bez wygod, bez starań potrzebnych dziecku, i takiemu dziecku, nie przyszło-by do tego, malec rósł-by w warunkach takich, że choroba i anemia nie mogły-by znaleźć do niego przystępu. Bogu dzięki jednak, że to się skończyło. Chce Maud, czy nie chce, ja tu teraz będę panem, i co ja każę, to być musi. Nie dam dziecka ani imienia na poniewierkę. W Herthenstein, czy w Cottbus, czy w Wolframsthal, czy w jakim innym z moich zamków, zrobię mu takie gniazdko, do którego żaden wiatr przeciwny, żadne ujemne wrażenie nie zaleci. A będzie potrzeba — dam mu willę wśród palm i kamelii kwitnących w San Remo, w Cannes, w Algierze — dam mu wszystko, co dać może na świecie bogactwo, potęgą i miłość. Tylko niech zostanie, niech nie więdnie przed czasem!

— Proś Boga, mości książę, aby ci go zostawił, — rzekłem wzruszony.

On zastanowił się chwilę i chciał mi coś odpowiedzieć, kiedy we drzwiach ukazała się lady Maud, z palcem na ustach.

— Zasnął, — szepnęła, wchodząc bez szelestu.

Parę dni trwał niepokój i każda wizyta lekarza doprowadzała nasze serca do najwyższego naprężenia. Nareszcie niebezpieczeństwo minęło, ale stan chorego wymagał przez kilka tygodni najwyższego spokoju, zupełnej ciszy i starań nieustannych. Inaczej mogło nastąpić powtórzenie ataku, a przy delikatności organizmu dziecka, powtórzenie znaczyło: śmierć.

Przez czas choroby Charliego pomiędzy jego rodzicami panowała zgoda zupełna. Było owszem coś wzruszającego patrzeć na tych dwoje ludzi, związanych tak ściśle wspólnym niepokojem i bólem. Gdybym wątpił, że księżę kocha żonę, przekonał-bym się z jego troski o nią i z opieki, jaką ją otaczał, istotnie godnej uznania u człowieka tak bezwzględного i nieliczącego się z nikim.

Na nieszczęście było to tylko zawieszenie broni.

Zaledwie rumieńce pojawiły się na bladej twarzyczce dziecka i po raz pierwszy rekonwalescenta wyprowadzono na werendę, księżę zaczął omawiać sprawę wspólnego wyjazdu, jako rzecz rozumiejącą się samo przez się.

Zakomunikował żonie odpowiedź od swego agenta w Cannes, któremu powierzył wyszukanie willi nad morzem do wynajęcia. Agent przesyłał w odpowiedzi kilka propozycji i parę fotografii, księżę dał je żonie do przejrzania i wyboru.

Lady Maud odpowiedziała na to, że jej wszędzie dobrze i miło, gdzie będzie jej mąż, ale, że być z nim może razem, tylko pod warunkiem dobrze mu znanym.

Księżę uniósł się, powtórzył z małemi odmianami i w ostrzejszym tonie rozmowę, słyszana przez mnie pierwszego wieczora, — parę dni unikał żony, wreszcie zawiadomił ją, że na rekwizycję niemieckich władz konsularnych ma zapewnioną w razie potrzeby pomoc miejscowej policji dla odebrania i zatrzymania dziecka.

Chce księżna skandalu? Będzie go miała. Jest to widocznie żywiol ulubiony tej kobiety. Upodobanie to rzuciło już księżęce imię Cottbusów, nieskalane od tylu wieków, pomiędzy sądowe kroniki brukowych pism i rozprawy próżniaków po knajpach. Każdy szewczyk, każda kucharka wycierała niem usta, ciesząc się kłótniami panów. A co potem przyszło, to było jeszcze lepsze. Ta księżna, uciekająca z męzowskiego domu, urągająca prawom, wyrokom sądowym, woli rodziny, jednym słowem: Bogu i ludziom...

Przerwałem mu. Miała lady Maud rację, czy nie, w to nie myślałem wchodzić, ale że w dobrej wierze działała, bez myśli o sobie i chęci popętnienia bezprawia, to było przecie oczywiste. Zaś ten pruski system brania Pana Boga w arendę dla swoich zapatrywań, namiętności i przesądów, był mi wprost nieznośny.

— Pozwoli księżę zrobić zastrzeżenie, — rzekłem. — Mogła księżna wykroczyć przeciw ludziom; przeciw Bogu, ze swego stanowiska przynajmniej sądząc, nie wykroczyła.

— Więc spełniała wolę Bożą, porzucając męża, zdradzając przy sięgę i obowiązki, narażając życie dziecka? Takie pańskie zdanie?

— Nie, ale uważała wszystkie te względy za mniejsze wobec sumienia swego dziecka i obowiązku dotrzymania przodsłubnej przysięgi co do jego wyznania.

Książę uważał mnie odtąd za fanatyka i nie zaszczycał więcej swemi zwierzeniami. Natomiast tego samego dnia jeszcze przyszła do mego pokoju lady Maud.

— Muszę pana prosić o gościnność, — rzekła. — Nie chciałabym, aby mąż mój domyślił się naszych narad i porozumienia, a narazić się z panem muszę.

Istotnie położenie było nader trudne. Książę Odon osiedlił się w Pension anglaise na dobre, czekając na przyjście do zdrowia syna. Wtedy, oparty na prawie ojcowskiem i sądowym wyroku, zdecydowany był zabrać syna „z matką lub bez matki“.

O przystaniu na warunki księżnej nie było mowy.

Zdawało mi się, że w tych okolicznościach nie było innej rady, jak uleźć. Ostatecznie Charlego nikt jej tu nie odbierał. Mogła wychowywać go wedle własnej myśli, — formy zewnętrzne nie miały znaczenia, a z czasem mogło się niejedno zmienić, ułożyć.

Lady Maud odpowiedziała mi równie stanowczem „nigdy“, jak przed kilku dniami mężowi.

Natura jej, prosta i szlachetna, brzydziła się wszelkim podstępem i udaniem. Nie, ona tą drogą nie pójdzie za nic! Będzie walczyła i próbowała wszystkich środków, wszystko postawi na kartę; jeśli zaś wszystko zawiedzie — wówczas będzie to dla niej znakiem, że Bóg więcej nie żąda, że jej rola skończona. Więć się cofnie i dziecko da wychować w wierze, którą uważa za błędną, ale będzie się starała, aby Charlie nie uważał jej za taką, skoro się ma do niej przyznawać. Nie, ona nie chce kłamstwa w życiu swego dziecka, nie chce w duszy jego rozdźwięku. Dla niej będzie to straszne, gorsze niż śmierć; ale dziecko jej niechże ma w duszy spokój, wtedy i Bóg łaskawszy będzie dla niego.

— Mówisz o walce, milady? Sądzę jednak, że dziś przynajmniej niema ani szans, ani pola dla niej. Prawo jest jasne, a książę panem sytuacji.

Ona rzuciła spojrzenie niespokojne ku drzwiom i nachyliła się ku mnie, kładąc palec na usta.

— Ja w tych dniach Charliego stąd wywiozę, — szepnęła.

Przestraszyłem się, nie chciałem uszom wierzyć. Naprzód, jak wywieźć, skoro książę mieszka w tym samym hotelu, a agenci, którzy mu pomogli wysledzić ukrywającą się żonę, musieli i teraz być na jego usługach, pilnując ustronno i ze wszystkich stron dającego się okiem ogarnąć domu. A przytem czyż księżna zapomniała, że lekarze przez

kilka tygodni zakazali Charliemu wszelkiego mocniejszego ruchu, wzruszenia, niepokoju, że nawet podróż na południe, tak zaleconą, kazali odłożyć aż termin ten minie? A w razie przekroczenia tych wskazówek, grozili przecie strasznie, bo grozili śmiercią.

Lady Maud oczy wlepiała w ziemię.

— Wiem o tem dobrze, — rzekła pośepnie. — Wiem, że wszystko stawię na kartę, bo stawię życie Charliego. Ale muszę. O duszę jego chodzi. Błogosławić mi będzie, gdy się dowie kiedyś, że uratowałam ją kosztem własnej męki i ofiary tak strasznej...

A wykonanie? Łatwiejsze niż pan sądzisz — zwłaszcza w tej chwili właśnie. Poczciwy Murdcock, stary sługa mego ojca i mój zaufany przyjaciel, przybył tu, wezwany przeze mnie. W trudnych razach już mnie ratował, a zawsze mądrze i szczęśliwie. Ma niezmierną przebiegłość i ludzi umie sobie dobrać do pomocy. Zaś mąż mój ani się spodziewa, abym teraz próbowała z dzieckiem uciec. Tem łatwiej przyjdzie mi się wymknąć. Byle do Thonon, stamtąd do Genewy skok tylko, a Genewa to już wolność.

— Ależ Charlie, Charlie, czy on to zniesie?

— Ufam, że tak. Wciągnęłam doktora do tajemnicy. Powiedział mi, że sama podróż nie jest straszna, byle dziecka nie forsować. Przyznał mi nawet, że umyślnie trochę więcej nacisku położył na konieczność spokoju i ciszy, zauważywszy częste wybuchy Odoną i przestkach nerwowy, jaki one wywoływały w chłopcu. Dał mi ściśle i szczegółowe przepisy zachowania się — reszta, w ręku Boga.

— Więc pozwolił na wyjazd.

Skinęła głowę.

-- A dokąd... — i urwałem pytanie, obawiając się, że będzie niedyskretne.

Lady Maud położyła mi rękę na ramieniu z serdecznym, choć smutnym uśmiechem.

— Chciałam w pierwszej chwili zachować to w tajemnicy, drogi przyjacielu, abys tem śmieiej mógł odpowiedzieć na burzę pytań i zarzutów, jaka niewątpliwie zwali się na ciebie ze strony Odoną. Niestety, nie jestem w stanie obejść się bez pańskiej rady i pomocy. Lekarz radzi góry, bo wiesz pan, że morze, to także tylko fantazya Odoną, narzucona przez niego doktorom. Ale dokąd udać się, gdzie-bym pewną była, że uniknę pogoni i zmyłę poszukiwania? Poczciwy doktor Fresne zna tylko najglówniejsze punkta zborne chorych i zdrowych turystów z high-life'u. To przecie nie dla mnie. Z drugiej strony ryzykować się na niepewne, do pierwszej lepszej nieznaney oberży w jakim górskim zakątku — nie sposób. Cóż więc robić?

Pan, drogi przyjacielu, tyle znasz takich zakątków górskich—pan jeden możesz mi dać radę.

Zamyśliłem się. Rada nie była łatwą. Tyle względów trzeba było mieć przed oczyma. Naraz przypomniałem sobie Röhni i dwukrotny, pełen najmiłszych wspomnień, pobyt mój w tej tyrolskiej, zapadłej wioszczynie.

Opowiedziałem mojej przyjaciółce o tym słicznym kącie gór, z polami czerwonymi od róż alpejskich i powietrzem, zdolnem umarłego wyciągnąć z grobu; o oberży, utrzymywanej zwyczajem takich odludnych wiosieczek przez proboszcza i jego poczciwą, wierną i skrzętną siostrę, Widdum-Resi, jak ją nazywali wieśniacy, oraz o jej troskliwości o podróżnych.

— Tak, to jedyne, jakby stworzone dla nas—rzekła lady Maud.

Umówiliśmy się, że zaraz wyślę list do proboszcza, u którego w tym czasie nie mogło zbywać na miejscu. Lady Maud miała dążyć do Bozen krętymi drogami, odpoczywając na mniejszych stacyach. Planu podróży nie chciała mi wyjawić.

— Trzeba, żebyś pan mógł z czystym sercem powiedzieć, że nie znasz drogi, w którą się udałam.

Wręczyła mi list, do mnie adresowany i zawierający w kilku słowach zawiadomienie o wyjeździe i prośbę o uwiadomienie o nim męża, niemniej jak pieniądze na opłacenie hotelu. Ucisnęła mi silnie rękę i drżącym trochę głosem prosiła o modlitwę.

Nazajutrz już jej nie było.

Nie próbuję opisać wściekłości księcia Odon. Była straszna. Że ze mną nie przyszło do najokropniejszej awantury i pojedynku, zawdzięczam to tylko wielkiej dozie zimnej krwi, a po części zapewne i siwym włosom. Ale dużo czasu przeszło, nim ksiązę dał się przekonać, że ani jego żonie do wyjazdu nie dopomagałem, ani wiedziałem o kierunku jej podróży. Na pytanie jego, rzucone mi z pianą na ustach: „Ale pan wiesz, gdzie mojej żony szukać?” odpowiedziałem spokojnie:

— Może wiem, może nie wiem.—W każdym razie, gdybym nawet wiedział, nie zdradził-bym przed księciem tajemnicy, i to tajemnicy kobiety, prześladowanej i nieszczęśliwej.

Nie wiem, czy zrozumiał, ile było brutalności w jego postępowaniu, bo już mnie nie pytał więcej i odszedł bez pożegnania, trzaskając drzwiami.

XII.

Röhn leży wysoko ponad Bozen, w kotlinie, zabezpieczonej od wiatrów i zimna, a wystawionej na słońce, nie gorzej od Meranu, ale tak ukrytej wśród skał i lodowców, że jej nie znaleźli dotąd ani Anglicy, ani turyści z Berlina i Wiednia.

Bardzo szczęśliwie dla Röhn. Dzięki temu, jest to poczciwa prosta wiosczyna, zamieszкана przez ludzi bez pretensyi i bez żądy zysku. Wszystko tu takie samo, jak przed stu i dwustu laty. Podróżny dostaje się na mule pod górę w lecie, w zimie wiozą go w ręcznych saneczkach przewodnicy, a z góry zjeżdża saneczkami temi po stromej ścieżce, nad brzegami przepaści, jak strzała. W domkach schludnych i wesołych, dokoła wielkiego pieca, w gościnnej izbie, idą ławy i zydle, kunsztownie rzeźbione, a w odwiecznych skrzyniach, posypane zielem, drzemią stare stroje prababki i pradziada, używane od wielkiego święta, szyte srebrem i złotem. Przez całe lato „Herr K'rat“ musi codziennie o czwartej rano mszę odprawiać, bo, wychodząc z sierpem na wysokie almy, każdy Bua i każda Mädle chce mszy tej wysłuchać. Tenże sam Herr K'rat we własnej osobie trzyma szynk i oberżę na plebanii, odmierzając każdej ze swych owieczek dostateczną ilość pokrzepiającego napoju dla rozweselenia po całodzienniej pracy i pilnując zarazem w energiczny sposób, aby, przez nadużycie kufla lub „naparstka“, która z owieczek nie zamieniła się w kozłołka.

Niech się tem gorszy pobożna miss, rozrzucająca po świecie bible i traktaciki, i niech dziękuje Bogu, że i ona, i jej clergimenowie w kołnierzykach nieposzlakowanej białości i z doskonale oszlifowanymi paznogciami u delikatnych rąk, nie są podobni do tego grubego księdza z czerwoną twarzą i twardą ręką, przywykłą zarówno do motyki i sierpa, jak do brewiarza; niech porównywa elegancki cottage swoich vicar'ów wśród rzadkich kwiatów i oranżeryjnych krzewów, z tem Widdum tyrolskim, w którym siostra proboszcza wieczorami piwo szynkuje wieśniakom, i niech z wyżyn swoich societies of temperance i salvation-army, karafek z mlekiem zamiast wina i innych podobnych anglo-amerykańskich tartufferyi, rzuca na to gromy; niech na tyrolskim proboszczu ostrzy sobie zęby bezwyznaniowy dowcip francuski i germańsko-izraelska satyra. Mniejsza z tem, ten rubaszny ksiądz

wśród swoich wieśniaków jest ochronnym wałem, chroniącym poczciwy kraj tyrolski przed kosmopolityczną i bezwyznaniową falą, która-by go dawno załała, jak sąsiednie prowincye—i jego wieczorna gawęda w oberży przy piwie niemniej pewnie przyczynia się do zachowania ludowi starego obyczaju i cnoty, niż niedzielne kazanie w kościele.

Ksiądz Sebastyan Hättenschwyler był jednym z takich typowych tyrolskich proboszczów, u których pod powłoką rubaszości, częścią wrodzonej, częścią nabytej w ciągu odludnego życia, znaleźć można, przy bliższem poznaniu, głęboką nieraz wiedzę i wielką delikatność uczucia. Poznałem go dobrze, spędziwszy po kilka tygodni w ciągu dwóch lat z rzędu na jego plebanii. W tych górach niedostępnych, wśród prostych, szczerych ludzi miałem po paru dniach złudzenie, że cały świat politycznych i towarzyskich niesnasek, intryg, miłostek, jaki zostawiłem za sobą na dole, przestał istnieć—i było mi z tem nieskończenie dobrze.

Do tego-to Widdum, jak zwą tyrolczycy swe probostwa, posłałem lady Maud, polecając ją opiece księdza Sebastyana i sercu poczciwej Widdum-Resi.

Dwa tygodnie później, znalazłem na pocztce w Medyolanie list księdza, któremu adres ten wskazałem. List uspokoił mnie i pocieszył. Charlie zniósł drogę dobrze, po paru dniach odpoczął zupełnie i powietrze górskie, ciepłe a świeże, działało nań widocznie ożywczo i wracało mu siły.

Domyślając się, że będę z rozkazu księcia śledzony, ażeby w ten sposób odkryć schronienie księżnej, wyrzekłem się odwiedzenia jej w Röhn i listownie tylko porozumiewałem się z nią. Listy jej potwierdzały pocieszającą wieść proboszcza. Uspokoilem się zupełnie, spędziłem jakiś czas w dolce farniente, cudnej lombardzkiej jesieni w Bellagio nad jeziorem Como, jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie, niezadługo zaś miałem zamiar ruszać w dalszą drogę, ku południowi, na zimowe leże.

Wtedy jak grom z jasnego nieba spadł mi na głowę telegram od lady Maud.

— Przyjeżdżaj, drogi przyjacielu,—pisała mi nieszczęsna matka — Charlie jest umierający i pragnie gorąco widzieć cię przed śmiercią.

Nie. Póki życia nie zapomnę tej drogi. Jechałem raz przed laty, w ten sam sposób wezwany do chorego, w głąb Ukrainy. Droga była długa: koleją przez Czechy, i Galicyę, i Podole rosyjskie, potem pęczę w stepie. Drżałem o życie najdroższe mi na ziemi, a jednak,—mamże być szczerzy?—nie było mi tak ciężko. Byłem przynajmniej sam z memi myślami, z moim smutkiem i niepokojem. Ale teraz ten tłum wesoły, ciekawy, hałaśliwy, ta droga ze statku na dylizans, z dy-

lizansu na kolej i znów na statek, te widoki przesłiczne, radujące duszę—to wszystko było w tak strasznym kontraście ze stanem mego umysłu i serca! Wreszcie jednak skończyło się.

Wdrapałem się dobrze mi znaną ścieżyną, częścią pieszo, częścią na mule, aż do wyżyn Röhn. Na progu probostwa spotkała mnie poczciwa stara Resi i klasnęła w dłonie, zobaczywszy.

— Ach, Bogu dzięki, żeś pan przybył! — zawołała.

— Dziecko? Co z niem?

— Żyje, ale już ledwie kołata się w niem duszyczka—odpowiedziała mi, wdychając i kiwając smutno głową.

Charlie leżał w obszernej izbie na pięttrze, z szeroko otwartymi oknami, przez które płynęło światło jasnego południa i powietrze, przesycone zapachami górskich ziół. Na białem posłaniu, w aureoli złocistych włosów, twarzyczka jego przezroczysta i bardziej jeszcze niż przedtem delikatna, miała coś w sobie nie z tej ziemi. Lady Maud wstała od łóżka, nad którym siedziała pochylona, i ścisnęła mi obie ręce bardzo mocno.

Spytałem ją oczyma; ona swoje podniosła w górę.

Zrozumiałem.

Podeszliśmy do chorego. Charlie rączkę swą wychudłą wyciągnął do mnie i po białych ustach uśmiech mu przemknął.

— Uncle Johnny—rzekł cicho.—Jak to dobrze, żeś przyjechał! Ja tak cię wyglądałem, tak prosiłem mamy, żeby cię wezwała. Tak mi też bez ciebie było źle i tęskno...

— My sweet child!—szepnąłem, przyciskając go do serca—my lovely boy!

— Czy wiesz, wujaszku, że ja byłem mocno chory kilka dni—o, daleko mocniej, niż w Spiez i w Pension Anglaise! Ale teraz mi już lepiej, daleko lepiej.

— Lepiej, pewno, że lepiej,—powtórzyłem bezmyślnie.

— Teraz będziemy mogli znów biegać razem i bawić się w Indyan i w podróżników do Afryki i do bieguna... Prawda wujaszku?

— Prawda, prawda dziecko.

— I ja już będę mógł biegać i nie będę się męczył, i nie będą mi kazali leżeć, kiedy tak ładnie i jasno na dworze.—Prawda, mamó?

Lady Maud położyła rękę na jego czole.

— Nie mów tak wiele, Charlie mój, nie męcz się.

— Dobrze; będę już cicho, jak myszka, wiesz? ta, co mi o niej Betsy bajkę opowiadała. Ale jutro wstanę już?

— Wstaniesz, my dearest one, wstaniesz,—szepnęła głuchym głosem matka, odwracając twarz, aby dziecko nie zobaczyło jej wyrazu.

Podziwiałem zresztą spokój i hart ducha tej kobiety. Co do stanu jej syna, nie było możności ludzić się. W życiu jego były jeszcze dnie, nie było już miesięcy, ani nawet tygodni. Wiądl powoli. Dwóch lekarzy z Bozen, opłacanych po królewsku, mieszkało od początku choroby w Röhn—ale mądrość ich była bezradna.

Wraz z telegramem do mnie, wysłała księżna wezwanie do męża, aby przyjeżdżał jak najprędzej. Musiała go jednak depeza nie zastać i szukać po świecie.

A dziecko było coraz słabsze, coraz bledsze—nikto w oczach. Z ust mu jednak nie schodził uśmiech. Na szczęście, cierpień chłopak nie czuł żadnych, a osłabienie uważał tylko za chwilową przykrość i przeszkodę w zabawie. Na myśl nie przyszło mu samemu, że jest tak chory, a nikt ani chęci, ani odwagi nie miał mu tego powiedzieć. Więc leżał spokojnie w swoim ogromnym łóżku, wsparty na poduszkach, spiętrzonych dokoła ramion i głowy. Przed nim leżały jego zabawki i ulubione książki z obrazkami, na kołdrze i podręcznym stoliku. Ale on rzadko sięgał po nie ręką—a zaledwie przez chwilę próbował bawić się lub przeglądać ryciny, odsuwał je od siebie leniwym ruchem, i znużony, senny, opierał znów bladą główkę na poduszkach.

Lubił bardzo jednak kiedy siedziałem przy nim i wtedy ożywiało się trochę, rozmawiając ze mną. Najwięcej jednak przyjemności robiły mu moje bajki. Gdy ich się domagał ode mnie, spytałem lekarza o pozwolenie i pewny byłem że się będzie obawiał. Pozwolił jednak.

Biednemu dziecku nic już nie mogło szkodzić.

Więc opowiadałem bez końca, snując złotą nić wspomnień dalekich—i w fantastycznym korowodzie przeciągały wśród białych ścian tyrolskiego Widdum, wobec Alp okrytych srebrem i tęczową mgławicą—postacie starych królów i junaków królewiczów, wyśnione fantazyą ludzi na słowiańskich równinach, ptak Góra i Król-Ziele, Baba Jaga w stepie i wiedźma na łopacie, i upiór nocny, pijany krwią ciepłą, i szklana góra, i podwodne pałace, i dudki samograje, i czapki niewidomki, i przebiegienie zmieniające się w lasy, i chustki rozścielające się rzeką lub morzem. Zaczarowany świat baśni wstawał kędyś het od Dniepru i Sanu, i Niemna, i złościł się, i mienił tysiącem barw, i sypał garściami pereł i deszczem brylantów, i śpiewał pieśnią słowiczą. I dziwić się musiał stary dyabeł łeczycki i jego kolega, co Twardowskiego w rzymskiej karczmie pochwycił, dziwić się musiał głupi Janek, i Żaba królewna, i czarownica w chatce na kurzej łapce, gdy posłyszeli swe imiona i dzieje w mowie tak obcej, tak dla ust słowiańskich twardej, choć zarazem mającej tyle odrębnego uroku. A mój mały przyjaciel oswoił się prędko z nimi wszystkimi, nazywał ich

właściwemi imionami, trochę tylko kalecząc z angielska wymowę, i wołał do mnie, jak przedtem w Spiez, tylko znacznie ciszej:

— Uncle Johnny, dziś o tej czarownicy, co chciała zjeść na obiad the nice little girl! Albo nie, o tym królewiczu, co poszedł po narzeczoną do króla morza i poznał ją po muszce na jej twarzy!

Czasami znów zachciewało mu się słuchać pieśni. W Szkocyi i Irlandyi jest tysiące ludowych melodyi, pełnych prostoty i melancholijnego czaru. Słuchając ich, ma się wrażenie eolskiej harfy, poruszanej w powietrzu wiatrem jesiennym, albo znów przychodzą na myśl zamglone wybrzeża szkockich jezior i zielone pagórki smętnego Erynu. Cała poezya ludów północy, mglista i tęskna, jak ich ziemie, odbija się w tych naiwnych a dźwięcznych piosnkach. Lady Maud śpiewała je przedziwnie. W miękkim jej, delikatnym głosie, zdawało się, że płacze zboląa i znękana dusza.

Wśród pieśni, nuconych mu przez matkę, była jedna, którą Charlie szczególnie lubił. Pamiętałem go nieraz siedzącego wieczorem w Spiez, lub Thonon, u nóg lady Maud, i słuchającego tej smętnej, nieskończenie rzewnej melodyi, którą na jego prośbę śpiewała przyciszonym głosem, płynącym w noc letnią, jak srebro. Było już zazwyczaj cicho zupełnie. Po szarej płaszczyźnie jeziora ślizgał się księżyc, rysując ją tysiącem świetlnych, drżących wężyków. Tu i owdzie w domach błyszczały światełka, jak fosforyczne ogniki wśród lasu. Chłopak główkę miał podniesioną do góry, a złociste pukle włosów spadały mu na szyję. Śliczne, ogromne oczy wpatrywały się w profil matki, podobny do starożytnej kosztownej kamei, a w rysach jego dziecinnych, ale niemniej jak tamte pięknych, świeciło się dziwnym, gorączkowym płomieniem, który im nadawał wyraz jakiś niezwykły, jakby nie z tego świata.

Było to w poetyczną formę ujęte pożegnanie w dzień jesienny, w godzinie zachodu i słońca i życia.

In the gloaming, oh, my darling,
When the lights are dim and low,
And the quiet shadows falling,
Softly come, and softly go...¹⁾,

I dalej snując szarą przędzę smętnych swych porównań, wołał ten, który odchodził, zostającej, ukochanej, aby, gdy odejdzie, nie my-

¹⁾ O zmroku, kochanie moje, gdy światła mdleją i słabe, a ciche cienie padają, miękko przychodzą i miękko odchodzą.

ślała o rozstaniu z goryczą, aby owszem pamiętała o nim z miłością, ale bez żalu.

Think not bitterly of me!
 Tho' I passed away in silence,
 Left you lonely, set you free,
 For my heart was crushed with longing.
 What had been, could never be,
 It was best to leave you thus dear,
 Best for you and best for me ¹⁾.

Lady Maud siedziała przy harmonium, które przyniesiono na górę z mieszkania proboszcza, aby dogodzić choremu, i ręce jej zwolna, leniwie przebierały poźółkłe klawisze. Głowę miała pochyloną na dół a z ust drgających konwulsyjnie śpiew płynął coraz cichszy, coraz bardziej niepewny i drżący. Wreście ton się urwał przytłumionem łkaniem.

— Nie mogę—szepnęła, odwracając głowę ku oknu, aby Charlie nie ujrzał straszego bólu, jaki się w niej malował, i łez, sypiących się po wybladych policzkach, jedno za drugimi.—Nie mogę. Nie mam sił na to.

Tego dnia, po raz pierwszy od mego przybycia do Röhn, widziałem ją, jak płakała.

XIII.

Dzień był chmurny i wietrzny. Jesień późna złociła drzewa i zmiatała z pól ostatnie kwiaty. Ze szczelin górskich szły dzikie świsty i jęki i coraz niżej każdego poranka opuszczały się białe płaszczyzny śniegów i lodowców po stokach gór. Ale na probostwie w Röhn okna na piąterku otwarte były szeroko. Mniejsza o wiatr, mniejsza o deszcz, mniejsza o zimno. Niedawno tak straszne, dziś już szkodzić

¹⁾ Nie myśl o mnie z goryczą, choć opuściłam cię w milczeniu i zostawiłam samotnym, wolnym. Pragnienie trawiło mi serce. To co było, nigdy powtórzyć się nie mogło. Najlepiej było tak cię opuścić, ukochany. Najlepiej dla ciebie i dla mnie.

nie mogły. Co innego groziło. Tam, w tej obszernej izbie, w wielkim łożu, wśród puchów i jedwabi, tam dusi się biedna, mała istota ludzka. Chudym, poranionym, zbolałym piersiom brak oddechu. Powietrza, powietrza dla Charliego! Charlie już nic nie mówi, leży cicho, jak blada, woskowa figurka, ledwie poruszają mu się słabem drgnieniem usta i płuca, wygląda chwilami jak umarły. Naraz jednak zrywa się, ręce wyciąga przed siebie, szukając, chwytając coś jakby w gorączce, oczy roztwierają mu się szeroko, a z ust skrzywionych konwulsyjnym jękiem wybiega jedno słowo, jak charczenie konającego:

— Powietrza, powietrza!

Otwierajcież się na oścież okna starego domu! Wpływaj zewsząd, każdą szczeliną do dusznych izb świeży wonny oddechu gór! Od szczytu Alp, z alm kwiecistych i odorujących zapachami ziół, płyn, płyn bez przerwy szeroką strugą, ożywcze powietrze! Płyn i przeni-kaj do głębi tę pierś dziecinną, znużoną, zamierającą w dusznościach konania. Ach—ostatnie to już tchnienie, które ona chwyta na ziemi!

Przy dziecku, objawszy jego biedną, zmęczoną główkę i tuląc ją do piersi, siedzi lady Maud bez łzy, bez skargi, ze strasznym spokojem, jaki daje pewność nieszczęścia. Z drugiej strony, rączkę chorego wychudłą trzymając w obu swych ogromnych dłoniach, stoi proboszcz. W nogach, z głową ukrytą w pościeli, klęczy stary przyjaciel i łzami zalewa się siwa piastunka.

Przed chwilą właśnie, pokój ten zmieniony był na kaplicę. Wśród kwiatów świeżych i kandelabrow, przyniesionych z kościoła, na stole okrytym dywanami i białym obrusem, spoczął ten, który rzekł niegdyś rzeszy: „Dozwólcie małuczki przyjsć do mnie!“ Do tej młodziutkiej duszy, czystej i białej, jak lilie. Sam on przyszedł, aby po raz pierwszy i po raz ostatni spocząć na jej łonie, a potem ją zaraz zazdrośnie zabrać z sobą tam, gdzie niema łez, ani nędz, ani pokus, ani niepokojów tej ziemi. Dwa dni przedtem przygotowywała chorego chłopca matka do tego wielkiego aktu, i choć mówić nie mógł, złożo-nemi rękami, cichym szeptem ust, wzrokiem podniesionym w górę i rozjaśnionym już blaskami niebios, Charlie towarzyszył słowom lady Maud i zdawał się za życia pożyczonym na chwilę ziemi aniołem. Ksiądz spowiedzi go wysłuchał, potem Hostyę Najświętszą włożył mu w usta, potem, drżąc cały, zaczął czytać z rytuału modlitwy przy ostatniem namaszczeniu. Łzy przysłaniały mu druk, mylił się, jąkał, powtarzał, a gdy przyszło olejem poświęconym chorego dotykać, i Charlie, posłuszny i cichy jak zawsze, przymknął oczęta, aby je kapłan namaścił, dłonie starego księdza trząść się zaczęły, jak w gorączce, i nie byłby zdolny dokończyć obrzędu, gdyby rąk mu nie

wsparła lady Maud. Dotykał więc z kolei oczu przymkniętych, znacząc je znamieniem krzyża i wzywając miłosierdzia Bożego dla grzechów, które chory mógł popełnić wzrokiem; namaszczał uszy, przeprasząc Boga za grzechy, popełnione słuchem; określił krzyżem nozdrza, i usta, i ręce, sposobiąc je na sąd Pana, a wkońcu na ostatnią drogę przygotował modlitwą i znakiem męki Pańskiej obie stopy.

Ale ty, Charlie, mój, ty, my sweet boy, my darling, czemżeś mógł obrazić twego Pana? Życie twe było życiem kwiatu, co rośnie na łące, przechylając się ku słońcu i pijąc poranne pary, i było życiem ptaszyny, kąpiącej się w powietrznych falach i słonecznych promieniach z wesołym, niemilknącym szczebiotem. A teraz, kwiecie wiosny, ty wiedz-niesz i usychasz, choć nie miałaś czasu otworzyć swych listków, ty milkniesz, ptaszyno powietrzna, i cichą jesteś, nim odleciś na zawsze i znikniesz naszym oczom w tryfalnych kręgach słonecznych.

— Mamo,—odzywa się cichy, bardzo cichy głos,—mamo!

— Co, my darling?—szepce lady Maud, nachylając się ku niemu i pijąc ustami słowa dziecka z drobnych warg spieczonych gorączką.

— Jak to w drugiej zwrotce tej piosenki, pamiętasz mateńko? „In the gloaming... tkinik not bitterly of me!“ W cieniach, gdy światła zaczęły omdlewać i gasnąć... nie myśl o mnie z goryczą... Czy jak kto stąd odchodzi... ale ty mateczko nie gniewasz się, że mówię o tem?... Czy jak ktoś odchodzi, to odchodzi w ciemności?

— Nie, my lovely boy; nie. Są tacy, co idą w ciemności, ale nie ty, nie ty, ty pójdziesz w jasności, ty pójdziesz w słońce, jak promyk złoty, co świeci na świętych obrazkach dokoła Wybranych Pana.

— A nie pójde w milczenie i w ciemność?

— Nie, aniele, ale tam, gdzie dziesz, niema już rozdźwięków i gwarów, tylko harmonia nieustająca, doskonała. Ty idziesz tam, my darling, gdzie chóry aniołów nie milkną nigdy...

— I ja będę mógł śpiewać wraz z nimi?

— Będziesz, będziesz, dziecko najdroższe; byłeś dobrym; polecisz, gdzie gwiazdy niebios świecą... A że tymczasem, ja... dokończyła bardzo cicho.

On usłyszał.

— A ty, najdroższa,—szepnął,—a ty pójść ze mną nie możesz razem do aniołów?

Spuściła oczy i ręce splotła kurczowo.

— Mnie nie wolno,—jęknęła przez zaciśnięte usta.

— Dla czego nie wolno? Było-by nam tak dobrze razem!

— Nie bylibyśmy razem,—odparła głucho.

— Dla czego?—powtórzył pytanie.

— Bo to byłby grzech, gdybym sama sobie przyśpieszyła tę chwilę. Trzeba czekać, aż Bóg zawoła.

— Trzeba czekać?—powtórzył znów sennym, niewyraźnym głosem. Ona pochyliła się nad nim tak, że go zakryła swoim ciałem.

— Ale przyjdę za tobą, przyjdę jak najprędzej,—zawołała w namiętnem uniesieniu.—Bóg łaskaw, zmiłuje się nade mną, skróci dni oczekiwania. A wtedy, mój aniele, ufam, że będę z tobą, z tobą, zawsze z tobą.

— A tymczasem,—pytał się dalej chłopak swym zmęczonym głosem.—A tymczasem.. tobie będzie smutno beze mnie? prawda, najdroższa?

— Och! prawda prawda!—jęknęła, kryjąc twarz w jego włosach.

— I będziesz mnie wspominała, prawda, mameczko?

— Czy będę . . .

Ach, dziecko drogie! O co ty ją pytasz, tę kobietę nieszczęśliwą, łamiącą się z bólem! A o czemże ona myśleć będzie przez resztę samotnego życia, czem żyć może, odдыchać, jak nie twojem wspomnieniem, Charlie?

— Bo wiesz, mother, to tak zupełnie, jak w tej pieśni. In the gloaming... W ciemnościach, gdy światła zaczną omdlewać i gasnąć, czy chcesz myśleć o mnie i kochać mnie, prawda?

Żelazny hart tej niezwyklej kobiety zgiął się i złamał. Po raz pierwszy cichy pokój rozległ się echem głośnego, rozpaczliwego łkania.

— O Charlie, Charlie!—jęknęła biedna matka przez łzy.—O my sweet boy! Czemuż chcesz odejść ode mnie?

Tu głową zlekka potrząśł.

— Ja nie chcę, najdroższa,—odparł poważnym tonem.—Jabym został, bo mi ciebie żal, bardzo żal, i Betsy także, i unclę Johnny, i wszystkich, wszystkich. Ale widzisz, mameczko, nie można. Bóg nie chce. Bóg, mnie woła, a Boga trzeba przecież słuchać; prawda, że trzeba? powiedz.

— Trzeba, trzeba, my darling... choćby serce pękło.

— Serce pękło? Dla czego? A, prawda, jest tam w pieśni, że moje serce zostało zgniecione tęsknotą! Ale dla czego ma być zgniecione? Dla czego tęsknić? Przecież mnie tam czekają anieli, i święci, i Marya, i Dzieciątko Jezus, a Dzieciątko Jezus tak lubi dobre dzieci, ja zaś jestem dobrem dzieckiem, czy tak, matko?

— Tak, darling, tak, o Bóg wie, że tak!

— A więc będzie mi tam bardzo dobrze... chociaż nie wiem, czy może być tak dobrze, jak tu, z tobą i Betsy, i unclę Johnny?

— Lepiej, lepiej... z Bogiem będziesz.

— Naprawdę lepiej?—szepnął nie zupełnie przekonany,—no, to widzisz mameczko. Jeżeli mnie będzie lepiej, a ty będziesz wiedziała, że,

niezadługo do mnie przyjdiesz, czegoż mam jeszcze smuć się i tęsknić? Widzisz, znów jak w tej pieśni, wiesz, na samym końcu...

Lady Maud nie była w stanie odpowiedzieć, ale dziecko nie dawało spokoju.

— Nie mogę przypomnieć—tak mi się kręci w głowie!.. ale ty to śpiewasz tak pięknie, na samym końcu, powiedz!

Nieszczęśliwa matka przewyciężyła się wysiłkiem woli.

„It was best to leave you thus, dear,

„Best for you, and best for me...“

— Tak, tak, przypominam sobie. Lepiej tak cię zostawić, droga, lepiej dla ciebie i dla mnie. Ależ patrz, my darling, to jakby dla mnie i dla ciebie napisana umyślnie ta pieśń. Best for you, and best for me! Tak—bo przecież tego Bóg chce, a Bóg nie może chcieć złej rzeczy, prawda?

A potem, zwracając się do mnie, spytał się:

— Pamiętasz, uncie Johuny, w tem mieście, na górze zbudowanym, w tym dużym czarnym kościele... te organy... pamiętasz, jak mi zdawało się, że to anieli na nich grają, i pytałem ciebie, czy to grzech prosić Boga, aby mnie wziął do nich, do siebie...

XIV.

Wieczór zapadał. Chmury, ciężące przez dzień cały nad górską kotliną szerokimi płatami ołowiu, zaczęły rozchodzić się i rozplywać w lekkie, powiewne i przejrzyste mgły. Słońce zachodzące przedzierało się przez nie i, jakby chcąc nagrodzić długie ukrycie, zalewało szkarłatem i szeroką złotą falą zarówno szczyty Alp, jak i szczeliny wąwozów i dolin. Zrobiło się ciepło, tem łagodnem, niepewnem, a tem miłszem ciepłem ostatnich dni jesieni. Przez okna otwarte szła jasność, pogoda, szedł spokój. Na górach, ponad urwiskami w niedostępnych, alpejskich wertepach, odzywały się jedne za drugimi dzwony kaplic i kościołów na Anioł Pański. W dolinach tysiącem brzmień odrębnych odpowiadały im inne dzwony, łącząc się w dziwną, fantastyczną i nieokreśloną melodyę. I het aż ku dalekim nizinom Adygi i Padu płynęła, cichnąc, wciąż podchwytywana na nowo, srebrzysta melodya kościelnego spiżu, jakby ją Anioł Pański niósł na promiennych skrzydłach ponad doliny i góry powietrznym błękitem, aż ku złotemu Tybrowi, ku bazylice Piotra.

Słońce zachodzące jaśniało przez chwilę jeszcze kawałkiem tarczy czerwonej, aż ukryło się za liliowym występem skały. Wypogodzony szafir nieba zaczął blednąć powoli, przybierając kolejno opalowe i perliste tony. Głęb doliny zasuwawała się szarą mgłą i z każdą chwilą bardziej zaczynały zacierać się i niknąć kontury gór. Noc zstępowała powoli, otulając ziemię ciemnością i ciszą.

I w wielkiej izbie na piętrze proboszczowskiego domu robiło się coraz ciemniej i ciszej. Charlie nie mówił, nie ruszał się. Słaby ruch płuc sam jeden znamionował resztkę życia. Od czasu do czasu wychudłe ręce dziecka wyciągały się naprzód, kurcząc się i zagarniając przed sobą coś niewidzialnego. W jakiś niewidzialny przedmiot były też utkwione nieruchome, rozwarłe źrenice.

Wolnym krokiem ksiądz zbliżył się do łóżka i pochylił nad chorym, śledząc ostatnie błyski życia na martwiejącej twarzy. Potem podniósł głowę i ręce złożył.

Ciszę, zalegającą izbę, przerwał głos moglitwy. Z kąta, w którym klęczała stara Resi, błysnął w mroku nocnym żółty, drgający niepewnie, płomyczek gromnicy.

— Odejdź, duszo chrześcijańska z tego świata,—mówił proboszcz cichym, drżącym nieco głosem.—Odejdź, i niech pokój będzie z tobą, a Syon święty niech stanie się twym mieszkaniem. Wychodzącą z ciała niech zabierze duszę promienny chór aniołów i Chrystus niech cię uwolni z męki. Umarły za ciebie, niech cię obroni od śmierci i niech cię wprowadzi na wiecznie zielone łąki niebieskiego Raju, i jako Pasterz dobry niech cię umieści wśród owiec... Przybywajcie, anieli niebiescy i święci Boscy, pochwyćcie duszę tę i zanieście przed oblicze Najwyższego...

— Charlie, Charlie! o moje dziecko najdroższe, mój skarbie jedyny,—rozległ się rozpaczliwy krzyk i płacz starej piastunki.

Lady Maud nie mówiła nic. Cicha i chłodna, jak marmur, klęczała bez ruchu przy wezgielcu, z oczyma utkwionymi w bladą twarz swego dziecka. Powoli dogasały w niej ostatnie światła. Ciemno zrobiło się i cicho, zupełnie cicho.

Usta młodej kobiety zbliżają się do półotwartych, nieruchomych ust dziecka i przez długą, długą chwilę piją z nich ostatnie tchnienie, czy może próbują je ożywić własnym swym oddechem. Potem z wolna ręka lady Maud zbliża się do oczu bez blasku i życia i lekkim, delikatnym dotknięciem przysłania je powiekami.

Do widzenia, Charlie mój, my lovely, my sweet boy! Śpij w pokoju.

A w tej-że samej chwili na schodach słychać szmer przyspieszonych kroków i głos męski, niespokojny, drżący ze wzruszenia.

— Maud, moja Maud! gdzie jesteś? Erwin nasz, nasze dzieckol Drzwi otwierają się z łoskotem i ogromny mężczyzna, w podróżnem ubraniu, wbiega przez nie jak wicher, wstrzymuje się na progu i z głośnym jękiem wali się z nóg na podłogę u łóżka dziecka.

— Erwin! Erwin mój, jedynyl.. O Boże, Boże!

Lady Maud opiera na jego ramieniu rękę, którą przed chwilą zasuwiała martwe powieki dziecięcia.

— Bóg go wziął, Erwinie,—mówi cichym głosem.—Bóg chciał mieć czystą jego duszę.

JAN ŁADA.

K O N I E C.

Z drgnień serca.

I.

Zakwitły bzy, zakwitły bzy
W ogródka mego ciszy,
I cicha noc przywiała sny,
Których gwar dnia nie słyszy.

Pełnym był gąszcz słowiczych lkań,
Patrzyłem w oczy twoje,
I srebrna sieć miesięcznych drgań
Oplotła nas oboje.

I staliśmy tak w dłoni dłoń
Na białym traw kobiercu,
Chłonać tę pieśń, pijąc tę woń,
Z sercem — ot tak! — przy sercu.

Zbyt słodkim był, zbyt krótko trwał
Ten czar wiośnianych rojeń.
W pachnącej gęstwie słowik łkał
Pieśń bólu i upojeń.

I kwitły bzy, te same bzy,
W ogródka mego ciszy;
Lecz gdzie mój maj, gdzie czar, gdzie Ty?..
Milczeniem ogród dyszy,

Nie przyjdzie nikt stać w dłoni dłoń
Na srebrnym traw kobiercu,
I tylko bzów zdradziecka woń
Szeptala dziwy sercu!..

II.

Wspomnień chwila przyleciała,
Przyleciała lekka, jasna,
Uśmiechniona,
Szczebotała, świergotała,
Snuła srebrną nić z wrzeciona:
Dumkę z łona!

I rzuciła mnie wietrznica,
I zrobiła ze mną dziwy
Dumka jasna:
Łzy w mem sercu, w łzach źrenica,
Ach, ta dola moja własna
Już nie własna.

Nie rozwidni czarnej nocy,
Że w południe blaskiem słońca
Gorą niwy;
Nie zaczerpnie ulgi, mocy,
W snach o szczęściu dni minionych
Nieszczęśliwy!

III.

Czy mi na grobie postawią tablice,
Kolumny,
Czy proch rozrzucą na cztery granice
Bez trumny.
Czy mi lud cały da w skonu godzinę
Łzę cześci,
Czy żadne usta nie zadrzą, gdy zginę
Bez wieści.

Jedno wiem tylko, że po życia burzy
I znoju,
Nic mi już wtedy i nigdy nie schmurzy
Spokoju!

IV.

Czemu ty mi grasz, o wiosno!
Czemu ty mi grasz
Jakąś dziwną wieść radosną
O zbudzonych kędyś świtach,
O promieniach, o rozkwitach,
Gdy mrok doli mojej znasz,
I jej nagość bezlitosną?
Czemu ty mi grasz,
O wiosno!

Czemu ty mi grasz, o zdroju!
Czemu ty mi grasz
Tę srebrzystą, dźwięczną nutę,
Kiedy w tobie łyzy rozsnuły,
Moje łyzy i perły znoju?
Czemu ty mi grasz
Tę nutę?

Czemu ty mi grasz, o burzo!

Czemu ty mi grasz

Wieszczbę, której echa wtórzą,

Choć pogrzmiewa w dali jeszcze,

Że ozywce niesiesz dreszcze,

Że pioruny złote masz?

Czemu ty mi grasz

Sny wieszczę?

Czemu ty mi grasz, o życie!

Czemu ty mi grasz

Głosem złud pieszczonych skrycie,

Że ty jawę dla nich masz,

I obietnic wieczne słowo

Rzucasz w czarę piołunową

U zakrytych dróg,

I wbrew doli, szepcesz skrycie,

Że ma więcej tam w błękiecie,

Niżli rozdał — Bóg.

V.

Każdą pięknością każdego kwiatu

Modłę się Tobie, o Pani!

W róży kielichach głębią szkarłatu,

Rosą na wrzosach w zaranie,

Lilji smukłością strzelistą, białą,

Z kadzielnic złotych woń tchnącą,

I macierzanki wonią nieśmiałą,
 W trawie zdeptaną i mrącą.
 Każdą się zorzą modłę do Ciebie,
 Graniem cichego wieczoru,
 I błyskawicą na letniem niebie,
 Szumem, co idzie od boru,
 I rozmodlona dusza upada
 W proch ten, co ziemią się ściela,
 W gwiazd pyły złote ulecieć rada,
 Stopić się w świata kościele.

ZOFIA MROZOWICKA.

Kartka z życia społeczeństwa kresowego.

I.

W drugiej połowie XVIII w. zjawia się na kresach ukraińny ch nazwisko szlacheckie, przedtem nieznanie zupełnie — Jmci Pana Ignacego Felsztyńskiego ¹⁾. Wogóle drzewo genealogiczne tej rodziny nie było wcale gałęziste, a wydało owoce — niezbyt słodkie. Protop lasta rodu Felsztyńskich był neofitą uszlachconym. Dawna Rzplta, szczególnie ku końcowi swego życia, bardzo hojnie rozdawała szlachectwo, do „splendoru“ tedy garnęli się kto mógł: generałowie rosyjscy, księżątka niemieckie, szukający za pośrednictwem bogatej parenteli, po l-

¹⁾ Do pracy tej służył mi wyłącznie materiał rękopiśmienny: 1-o. Notatki udzielone mi przez p. Michała Grekka; 2-o. Następujące dokumenty z jego biblioteki: 1774! Kontrakt posesyjny między Sebastianem Mcsakowskim, chorążym Trembowelskim, a Ignacym Felsztyńskim, skarbnikiem Ciechanowskim. 1780—1785, Sprawa między Ignacym Felsztyńskim, skarbnikiem Ciechanowieckim, a Maryanem Szydłowskim, starostą Zwinogradzkim. Dokumentów 23. 3-o. Dokumenty, znajdujące się w bibliotece autora: 1783, Sprawa i wyrok sądu kompromisarskiego między Antonim Leduchowskim i Ignacym Felsztyńskim, 1788, Akt dzielnicy polubowny między Jgm. Felsztyńskim a siostrą Jakóbową Grudzińską i synowcami: Piotrem, Eliaszem, Janem i Aleksandrem.

skiego chleba, renegaci różnych narodowości, a wśród tej rzeszy, pod względem liczebności, pierwsze miejsce zajmowali neofici. Taką samą drogą przyłączył się do społeczeństwa polskiego protoplasta Felsztyńskich.

Znany on był na Podolu jako Josiek z Felsztyna, niegdyś Herbutowskiej siedziby, gdzie się handlem zajmował. Zmienił jednak religię swoją, czyli, mówiąc prościej, wychrzcił się, a powodem do tego była miłość. W życiu swoim, niewiadomo już, jakim sposobem, zetknął się on z młodą wdową, Katarzyną Osińską, z domu Szandyrowską, pokochali się i postanowili pobrać się. Trzeba się było jednak wprzód ochrzcić. Uroczystość ta odbyła się 30 września 1725 roku w Winnicy, w kościele oo. Jezuitów. Obrzędu Chrztu dopełnił ksiądz Adam Wisłocki, a rodzicami byli Joachim Jaroszyński i Franciszek Rościszewski. Po dokonaniu Chrztu św. nastąpił natychmiast ślub z Jmć panią Katarzyną.

W ten sposób Jmć pan Józef Felsztyński połączył się z Kościołem katolickim i społeczeństwem polskim.

Dalszych szczegółów z jego życia brak nam, i nie o niego zresztą w opowiadaniu niniejszem chodzi. Należy jednak przypuścić, że handel w Felsztynie zarzucił, a zajął się rolą, ze względu na kolligacye z rodziną Szandyrowskich, do której żona jego należała. Była to szlachta osiedziła, rozrodzona i zamożna. W połowie XVIII w. w rękę Karola Głębockiego, Wojskiego Winnickiego, skupiły się dobra rodzinne, a były to majątności dość znaczne. Składały się one z Szandyrowa, Trościańca, Kalniszówki, Potuszy, Markówki i Fedorówki, położonych w województwie Braclawskiem, powiecie Winnickim. Wszystkie te dobra w roku 1759 d. 9 lipca przeszły na własność, drogą kupna, do Stanisława ze Złotego Potoku, na Stanisławowie, księstwie Żbaraskiem, Brodach i Niemirowie, Potockiego, wojewody poznańskiego, za sumę 40,000 zł. pol. Drugi brat był stolnikiem Zakroczymskim, a siostry, jedna za Bogusławskim, horodniczym brzeskim, druga — za Jarockim.

Wszedłem trochę w te stosunki rodzinne dlatego, ażeby wykazać, że Jmć pan Józef Felsztyński posiadał kolligacye powiatowe bardzo poważne, i handlem już się zajmować nie potrzebował, szczególnie drobnym, kramarskim.

Jakie dalsze życie i koleje przeszedł po ożenieniu p. Józef, niewiadomo, dość, że dwom synom i córce Annie zostawił spory majątek własny i kłopoty sukcesyjne w spadku. Zanim o tem słówko powiemy, musimy mówić o najstarszym synie ś. p. Józefa, Ignacym, który okazał się człowiekiem bardzo drażliwego na majątek temperamentu.

W dokumentach występuje on już jako człowiek dojrzały i bywały. Zwyczajem owoczesnej szlachty w wojsku służywał. Był naprzód towarzyszem kawaleryi narodowej znaku Petyhorskiego Ilińskiego, potem Towarzyszem znaku pancernego Starzyńskiego, starosty Brańskiego, wreszcie w r. 1768 ucierał się z hajdamakami już jako towarzysz kawaleryi narodowej w wojsku koronnem Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej.

Czy mu się wojaczka wszakże sprzykrzyła, czy odezwała się dziedziczna żyłka kupiecka po praojcach, dość że Jmć p. Ignacy, wkrótce po uśmierzeniu Koliszczyzny, z wojska wystąpił i zajął się wypasem wołów na stepach ukraińskich i sprzedażą ich do Niemiec. Nabywał je we wsiach: Krasnym Kącie, Juszkowicach i in., pędził na Szląsk, opłacając cło w Wieluniu, skąd zapewne nie mało gotówki przywoził, którą potem pomiędzy bracią szlachtą lokował, a nieraz i Jaśnie Wielmożni z prośbą o pożyczkę do niego zwracali się. Stało się to mianowicie w roku 1773. Umocowany przez Franciszka i Ludwikę z Denhofów Ledóchowskich, Stefan z Irzykowa Baranowski, cześnik Łatyczowski, wypisał mu połowę wsi Żaszkowa, w województwie Braclawskiem położonej, w powiecie Winnickim, kluczu Tetyjowskim, za pożyczoną dla swych pryncypałów summę 33,000 zł. pol., licząc złoty czerwony po 18 zł. pol. na trzy lata z procentem 10 od sta.

Ledochowscy, oddając połowę Żaszkowa, niepodległego długom i ciężarom żadnym, ze wszystkimi dogodnościami, in genere et in specie, intratami i dochodami, zastrzegli sobie tylko, że gdyby większa intrata nad importowaną na zastaw tej wsi summę wynalezioną została, to nadwyżkę Jmć pan Felsztyński do skarbu Ledochowskich oddawać obliguje się. Gdyby zaś intrata była mniejszą od wypożyczonej summy, Ledochowscy obowiązali się brakującą summę dopłacić. Po ukończeniu trzechletniej dzierżawy, właściciele Żaszkowa mieli wypłacić do rąk Felsztyńskiego całkowitą summę 33 tys. zł. pol. z 10 proc., i przyjść zuowu do posiadania zupełnego własności. Warunki twarde. Były one najlepszym dowodem, że jedna strona zbyt pieniędzy potrzebowała, a druga umiała tę potrzebę wyzyskać.

Podnieść w tej umowie godzi się zachowanie się Ledochowskich względem włościan, obowiązanych do różnych powinności na rzecz Felsztyńskiego. Mało ważąc interes własny, stawali oni w obronie włościan. Dodać muszę nawiasem, mając na to liczne dowody, że tak samo czynili inni. Zawarunkowano tedy wyraźnie w umowie, że Felsztyński nie ma prawa poddanych do powinności żadnych, inwentarzem niepozwolonych, pociągać, ani tychże żadnym sposobem obciążać. Odpowiedzialny był przeto dzierżawca, jeżeli z jego winy poddani opuścić-by mieli swoje siedziby. Ledochowscy natomiast obowiązywali się

bronić posesora od wszelkich impedymentów prawnych i nieprawnych, skądkolwiek i odkogokolwiek do tej wsi zachodzących. Dotrzymać umowy obie strony były obowiązane pod karą i zakładem drugiej takiej summy—33,000 zł. pol. Umowa, w powyższym sensie pisana, zawarta we wsi Krzywczonce, przy świadkach: Kajetanie Szaszkiwiczu i księciu Franciszku Koryatowiczu, podpisana została przez Ledochowskich, mieszkających w Gdańsku, 16 lipca 1774 roku.

II.

Zawarcie umowy o dzierżawę Żaszkowa, było równocześnie krokiem do stałego osiedlenia się.

Równo prawie na trzy lata przed terminem podpisania umowy zaszedł w życiu Jmć pana Felsztyńskiego wypadek bardzo zwyczajny — ożenił się; szukał przeto dla nowej rodziny miejsca na siedzibę.

Posiadacz tytułów wojskowych, a skarbnik Ciechanowski, wędrował Jmć pan Felsztyński po Województwie Braclawskiem, skupując woły dla handlu, o czem słówko powiedzieliśmy. Otóż wśród takiej wędrowki w powiecie Winnickim, pan skarbnik pod wieczór wjechał do kolokacyjnej wsi szlacheckiej, Hałuziniec. Wieś rozsiadła się wśród jarów szeroko, otoczona wieńcem lasów, które się po Meżyrów i Bar ciągnęły. Wjechawszy, rozglądać się począł, jak zwykle, w nieznaną okolicę. Zwróciły jego uwagę schludne i porządne zabudowania gospodarskie stojące na uboczu szlacheckiej sadyby. Jako człek doświadczony, skierował się w tę stronę, wprost do dworku, z myślą o wołach. Podobała mu się cała sadyba: wszędzie czysto, zabudowania w dobrym stanie. Od bramy z desek dębowych, na biegunach, z prawej strony stały stajnie i szopy, dalej chlewy, plecione, na przysochach również dębowych, kryte słomą; dalej śpichrze— a wszystko z dębowego drzewa, snopkami kryte. Z lewej ciągnął się ogród owocowy i warzywny. Wprost bramy stało mieszkanie samego gospodarza, dworek szlachecki, niewspaniały, ale ponętny, z gankiem na słupach. Wprost tedy zjechał przed domek. Z sieni wszedł do obszernej izby gościny, do trzech oknach, piecu kaflowym i kominku — meble proste. Gdy się tak rozglądał po izbie i sprzętach, z bocznych drzwi wyszła kobieta, do czterdziestki zbliżająca się. Była to gospodyni tego folwarku, wdowa po Karolu Skupiju, który w roku 1768 zginął w Humaniu

w czasie rzezi. Skarbnik przedstawił się, i wyjaśniając przyczynę przybycia, wprost zapytał o woły. Wołów na zbyciu nie było, a że się już miało dobrze ku wieczorowi i gościnność polska nie pozwalała wypuścić gościa bez jadła, skarbnik zgodził się przenocować, i dopiero zrana nazajutrz wyruszyć w dalszą wędrówkę.

Zawiązała się ożywiona rozmowa. Ponieważ gospodyni wspomniała o rzezi Humańskiej, a skarbnik sam brał udział w walkach z hajdamakami, przyszło do poufniejszej gawędy. Okazało się, że rodzina męża posiadała na Podlasiu częśćkę we wsi Skupinach. A że to i ciasno, i ubogo bywało na tych wsiach kolokacyjnych, wyruszyła stamtąd szlachta na Ukrainę za chlebem. Wyruszyli i Skupijowie, kierując się ku stepom województwa Braclawskiego. Tu u Salezego Płotckiego wzięli w dzierżawę dwie wsie: Zielony Róg i Bahwę. Ledwie się tam zdołali urządzić i jako tako zagospodarować, gdy nadszedł krwawy rok Koliszczyzny. Wiadomo, czem on był dla mieszkańców. Rzezie i rabunki rzuciły przestrasz po całym kraju. Gdy wycięto najbliższą Łysiankę, szlachta okoliczna, zamiast się bronić, rzuciła się do Humania, jako do miejsca obronnego, ażeby tam znaleźć bezpieczne schronienie. W tym tłumie była także rodzina Skupijów, złożona z ojca, matki, 12-letniej córeczki, Antosi, i 9-letniej Karoliny. Najmłodsze dziecko, które karmiła piersią mamka Ukrainka, pozostało w Bahwie pod jej opieką. Co się tam działo w Humaniu, o tem w innym miejscu opowiadam szesnaście lat później, teraz przeto mówić nie będę. Chodzi mi tylko o losy rodziny, która się później z Felsztyńskimi skolligaciła. Siedzieli tedy w strachu razem z innymi i modlili się. Skupij poszedł na jakąś naradę wojenną a tymczasem hajdamacy wkroczyli do miasta i rozpoczęli krwawą godę. Major już nie wrócił—zginął w zawierusze. Gdy starsza córeczka Skupijów, Antonina, wybiegłszy ze swojej kryjówki na ulicę, wpadła w ręce zbójów, matka z młodszą, Karolcią, 9-letnią dziewczynką, skryła się do wielkiego pieca. Ledwie ukryć się zdołały, wpadli do izby rabusie. Działo się to w jednym z domków, należących do probostwa. Rabunek domu i zniszczenie wszystkiego, co w ręce wpadło, trwały ze dwie godziny, a w ciągu tego czasu Skupijowa z córeczką siedziały skulone w swojej kryjówce. Wreszcie hajdamacy opuścili dom, ale Skupijowa nie opuściła kryjówki. Długo jeszcze dolatywały do jej uszu hałasy i wrzaski pijanej tłuszczy, aż nareszcie powoli wszystko cichnąć poczęło. Z tego wniosła, że musi być noc. Mimo to wszystko, obawiała się wyjść z ukrycia. Gdy się znajdowała w takim trwożliwym stanie, postyszała nagle kroki czyjeś w izbie, w końcu odezwał się głos: „pani, a gdzie wy?” Skupijowa milczała, obawiając się zdrady. Głos odezwał się znowu: „to ja jestem, murarz Błażko, proszę się nie obawiać.” Trudno jednak było pozbyć się obawy. Wreszcie, po pewnem wahanii

się, zdecydowała się dać znak życia. Błażko pomógł jej wyjść z ciasnego ukrycia, a przebrawszy w chłopską odzież i dziecię zawinawszy w płachtę, poprowadził za sobą. Miał ubranie i dla męża, ale p. Karol jak w wodę wpadł w tej zawierusze.

Wśród nocy tedy, po trupach, leżących gęsto jak na pobojowisku, wyprowadził Błażek matkę i dziecko do Humańskich futorów, i tam w piwnicy, jako miejscu bezpiecznym, umieścił; sam tymczasem robił wycieczki codziennie do miasta i w okolice, poszukując p. Skupija nadaremnie. W tych wycieczkach Błażka Skupijowa brała sama udział niejednokrotnie, w nadziei, że może odszuka męża i córkę. Ale nadaremnie.

Tymczasem nadciągnęły pod Humań wojska rossyjskie, zdobyły obóz hajdamacki, potem podjazdy Branickiego i Stempkowskiego przyczyniły się do uspokojenia kraju. Gdy Humań oczyścił się z hajdamactwa, Skupijowa wróciła do miasta i rozpoczęła znowu poszukiwania. Męża odnaleźć nie mogła, ale odszukała natomiast córkę, Antonię, która się znalazła w towarzystwie Weroniki Mładanowiczówny. Gdy hajdamactwo pod groźbą śmierci i pod błyskiem nożów chrzcilo Żydów w Humaniu, Gonta używał Weroniki za „generalną kumę“—że tak powiem, i z tej racji miał już dla niej pewien respekt. Wypadek chciał, że się do jej towarzystwa dostała Antosia Skupijówna. Gdy ojciec tak im nagle zginął, Antosia wyszła na ulicę w tej myśli, że go odszukać może zdoła. O niebezpieczeństwie, jakie panowało, nie miała pojęcia. W tej chwili właśnie, gdy wybiegła z probostwa, ujrzała hajdamakę na koniu, który do niej strzelił raz, drugi i trzeci. Nie trafił jednak, chociaż przestraszona dziewczynka z miejsca się nie ruszyła. Podjechał ku niej, na koń pochwycił i do Gonty przywiózł. Wojewoda Humański, gdyż tak siebie kazał tytułować pan Setnik, oddał ją na wychowanie kumie swojej, Weronice, oszczędzonej niewiadomo z jakiego powodu. W ten sposób uratowała się od śmierci.

Nie koniec było jednak zmartwieniom Skupijowej. Odszukawszy córkę, a nie zdoławszy odszukać nawet trupa męża, postanowiła powrócić do Bahwy, ażeby się dowiedzieć, co się stało z mamką i dzieckiem. Tymczasem mamki nie zastała: podczas rozruchów wraz z dzieckiem uciekła ze wsi i znikła. Zdawało się, że nianka uczyniła to z obawy przed hajdamactwem, w chęci ratowania dziecka. W tej nadziei matka oczekiwała powrotu mamki—i nie doczekała się. Nie miała po co dłużej tam siedzieć. Posessyę w Bahwie i Zielonym Rogu trzeba było zwinąć, gdyż po wybrykach hajdamackich zostało tylko zniszczenie i ruina. Skupijowa przeto postanowiła przesiedlić się w Winnickie, i znalazła dla siebie przytulisko w Hałczyńcach. Minęło dwa lata. Stroskana matka pojechała w roku 1770 do Łysianki na odpust św.

Antoniego, i tu traf zbliżył ją z rodziną Talków. Jmć pan Talko dzierżawił w sąsiedztwie wieś Rezynę. Gdy się zgadało o nieszczęściach niedawno przebytych, Skupijowa dowiedziała się od Talków, że w Rezynie u parocha znajduje się jakieś dziecko, które hajdamacy znaleźli pod krzakiem w lesie z opuchniętą twarzą i oczyma. Zabrali je z łitości, przynieśli do Rezyń, oddali bezdzietnemu parochowi i ochrzczili według obrządku wschodniego. Pojechała tedy do Talków i dziecko widziała. Z twarzy nie mogła poznać. Przypomniawszy sobie wszakże, że utracone dziecko miało na prawem ramieniu znamię barwy płomienia, odkryła koszulkę i poznała swego syna. Chciała go zabrać, ale wywiązała się nowa kollizya: paroch, a szczególnie jego żona, przywiązawszy się do dziecka, nie chcieli go oddać. Trzeba było obcej interwencji. Wdali się w tę sprawę sami Talkowie, jako też krewni Skupijowej, Ziółkowscy i Korzeniowscy, i drogą urzędową wymuszono na parochu zwrócenie dziecka.

W chwili, gdy wdowę po majorze poznał Jmć pan Felsztyński, już matka z trojgiem dzieci gospodarowała w Hałuzińcach.

Felsztyński, zaciekawiony opowiadaniem, zapragnął poznać dzieci. Wdowa sprezentowała wszystko troje. Antonina miała już wtedy 16 lat, Karolina 12, a chłopak Józef za ledwie liczył 4-ty rok. Pan skarbnik, chociaż już nie był młodzikiem, bo trzecią wiosnę na piąty krzyżyk liczył, spoglądał z ciekawością na piękną i smukłą Antoninę Skupijównę. Opowiadanie o niezwykłych przygodach, jako też nadobna postać dziewczyny wpadły mu głębiej do duszy, i widocznie już wtedy powziął postanowienie, którego nie trudno się było domyślić. Żegnając nazajutrz gościnne progi wdowy, prosił pokornie, ażeby mu pozwoliła jeszcze złożyć swoją attencyę. Bytność swą powtórzył skarbnik parę razy — a w końcu przysłał swaty. Jmć pan Józef Janczyński, podstoli Zwiahelski, człowiek z głową, jak powiadano, nie dla proporcji, delegowany jako swat, przedstawivszy w okrągłej mowie sentyment pana skarbnika, poprosił o rękę Antoniny. Matka po zwykłych płaczach zgodziła się na to. Ale i smutek trwał niedługo, gdyż pan swat ożenił się z samą wdową. Jmć pan Felsztyński rozpoczął w taki sposób nowe życie.

III.

Państwo Skarbnikostwo zamieszkali w Żaszkwie i tu rozpoczął się cały szereg spraw, pozwów i obron, jakie miał Felsztyński, nie mogący, czy nieumiejący z nikim się użyć. Może, jako świeżutki szlachcic, nie miał miru między starą bracią, która na każdym kroku dawała mu uczuć jego przybyszostwo, — dość, że ustawicznie był przez kogoś napastowany, lub sam kogoś napastował. Szlachta starych rodów również go miała sobie za nic. Pokazało się to wkrótce po osiedleniu się w Żaszkwie.

Posessorami drugiej połowy tej wsi naówczas byli Andrzej i Dorota z Trawińskich Żółkiewscy, podczaszostwo Mściśławscy, stara i dawna szlachta herbu Lubicz. Pan podczaszcy, sztuka butna, niechętnem i dumnym okiem patrzył na osiedlającego się pod boki Felsztyńskiego, i zaraz w pierwszym roku rozpoczął kroki zaczepne.

Ledwie w końcu czerwca 1774 r. osiadł w Żaszkwie Felsztyński, już 4-go lipca zjawia się w grodzie Winnickim i zanosí manifest przed namiestnikiem grodowym, Tomaszem Józefem Czarkowskim, hordniczym Braclawskim, oświadczając, że cierpi nieprzyjemności i ponosi szkody od różnych osób, mianowicie od Żółkiewskich. Jakkolwiek Ledochowscy, jako właściciele Żaszkowa, obowiązali się mocą umowy dzierżawnej bronić go od różnych impedymentów prawnych i nieprawnych, zanim to nastąpi, Felsztyński sam się musi bronić.

Pan Podczaszcy, rozgniewany tem do żywego, że jakiś nowokreowany szlachetka śmie się porywać na niego, postanowił na razie bez sądu przytrzeć mu rogów i odstraszyć od dalszych skarg. Zebrał tedy, co było w pobliżu, gromadkę braci szlachty: Jana Kopczyńskiego, subdelegata grodu Winnickiego, Jana Gutkowskiego, Jana Tomaszewskiego, Borkowskiego, a wzmocniwszy gromadkę przyjaciół kupą chętnych do wycieczek kmieci, „armatim et tumultuarie“ uczynił najazd na dwór Felsztyńskiego. Jak się ten najazd zakończył, szczegółów nie mamy, nieinaczej wszakże, jak wszystkie inne — rąbaniną wzajemną i zniszczeniem. Felsztyński wyszedł jednak cało, bo już 21 lipca tegoż roku z nową skargą wystąpił — o szkodę w polu. Oskarżył on znowu Żółkiewskich, Kopczyńskich, oraz wszystkich, biorących udział w najazdzie, przed sąd grodzki Winnicki i starostę, Józefa Kolumnę z Obór na Czosnowie i Tyśmienicy. Pozew woźny generalny województwa

Braclawskiego, Mikołaj Derkuszowski, położył Żółkiewskim, na stole w ich domu w Żaszkwie, i zdał z tego relację Czarkowskiemu, horodniczemu Braclawskiemu. Manifestował się Jmć pan Felsztyński przeciwko possessorom Starego i Nowego Żaszkowa, sąsiadom i włościanom, o przykrości i codzienne krzywdy, przez całe lato wyrządzane w posiewach jarzynnych, mianowicie w breczce, prosie i jęczmieniu. Wypasano mu posiewy bydłem, a było tego dużo—Felsztyński obliczył na 740 sztuk, mianowicie: Żółkiewskich 150, Kopczyńskich 100, Tomaszewskiego 90, gromad żaszkowych 400. Nic dziwnego, że w polu potem nic nie zostało. Rachował sobie pretensyi i szkody Felsztyński na kilka tysięcy, a woźny województwa Braclawskiego, Jajnicki, na gruncie i przy świadkach sprawdziwszy wszystko, prawdziwość pretensyi w sądzie zeznał.

Czy skutkiem nieprzyjemności i potrzeby wyniesienia się na miejsce spokojniejsze, czy może skutkiem obrotności, jaką we krwi posiadał, dość, że jeszcze w tym samym roku skarbnik Ciechanowski zawarł kontrakt dzierżawny z Sebastyanem Mossakowskim, chorążym Trembowelskim, o trzyletnią dzierżawę wsi Kosenówki i Babaneczki za summę ryczałtową 18,000 zł. pol. Dla ciekawości dodać należy, że w majątności zadzierżawionej były także winnice. Z summy 18,000 zł. pol. właściwie na rachunek trzyletniej tenuty szło tylko 10 tys., a 8,000 obowiązywał się chorąży Trembowelski przy ukończeniu possessyi w r. 1777 zwrócić, a gdyby tego skutecznić nie mógł, miał mu ustąpić dzierżawę wsi Rohy. Zresztą, warunki dzierżawne nie różniły się od poprzednich—te same zobowiązania Mossakowskiego do obrony skarbnika i te same względem powinności włościan ze strony Felsztyńskiego.

Jak wszystkie sprawy, tak i ta, nie przechodzi spokoju dla Felsztyńskiego. Rozwiązanie umowy dzierżawnej nie nastąpiło tak gładko, jak na piśmie. Widocznie Mossakowski owych 10 tys. nie zwrócił i Rohów w possessyę nie oddał, bo w r. 1778 widzimy jeszcze Felsztyńskiego przy Kosenówce. Ale i teraz spokojnego władania nie miał. Grzegorz Sanicki, dyspozytor i plenipotent Seb. Mossakowskiego, groził odebraniem przed terminem gruntów, zakazywał posłuszeństwa poddanym, atamanom, osadzie, bronił używania browarów, pędzenia pejsacznej gorzałki — słowem, trwogę i zamieszanie wprowadził do gospodarstwa i poddaństwa. Stąd nowa skarga, którą plenipotent Felsztyńskiego wniósł 13 kwietnia 1778 roku do grodu Winnickiego.

Ciągając się za bary z Mossakowskim, nie zasypiał sprawy o Żaszków. 17 kwietnia 1779 roku zapozwał przed sąd rządowy grodzki Franciszka i Ludwikę Ledochowskich, jako też ich plenipotentą, Stefana z Irzykowa Baranowskiego, o niewypłacenie skryptu, wydane go w Gdańsku w roku 1771 na summę 2,800 zł. pol., o prowizyę od tej

summy, oraz o zwrot kosztów prawnych. Z tą sprawą wiązała się jeszcze inna. Gdy po trzechletnim zastawnym terminie Felsztyński nie odebrał swojej summy, której zwrot ciągnąć się miał de trigenio ad trigenium, a dogadzając natomiast, jak się zdaje, interesom Ledochowskich, dobrowolnie kontraktu zastawnego zrzekł się, na widownię sporów i procesów wysunęła się nowa postać — Jmć pan Franciszek Szydłowski, starosta Zwiąhelski, właściciel części Żywotowa. Uzyskuje on w dniu 24 września 1780 roku na swą osobę prawo kaduka: ustąpienia Felsztyńskiego z Żaszkowa, przeniesienia summy zastawnej, u Ledochowskich lokowane, na swą osobę, przytem winę na obie strony „za małoważność praw“ rozciąga, i uzyskuje, ażeby nikt z Ledochowskim nie ważył się w kondykta lub tranzakcyę wchodzić, summę zaś zastawną, z mocy kaduku, przyaresztowuje. Nie zadawalniając się tem bynajmniej, znosi do grodu Winnickiego 21 grudnia 1780 roku manifest przeciwko Felsztyńskiemu, wyrażający, że skarbnik Ciechanowski w czasie kozackich buntów i zawieruchy hajdamackiej hultajskim sposobem dochrapał się substancyi i fortuny.

Na taki zarzut tegoż roku i miesiąca, 23 grudnia, wnosi Felsztyński przed aktami grodzkimi Winnickimi manifest, czyli reprotestacyę, przeciwko Maryanowi Szydłowskiemu o zniesienie nieprawnie wyrobionego kaduku na części Żaszkowa, o nieprawne przyaresztowanie summy na skarbie Ledochowskich; o potwarz i kalumnię, targające honor Felsztyńskiego, rozsiewane przez Szydłowskiego o hultajskim nabyciu majątku. Przyczem manifestacya głosi dalej, że przy Bożej pomocy, a nie sromotnie, dorobił się fortuny, co świadczy „wiek cały i życie przystojnie prowadzone tak wojskowe, jak i obywatelskie.“ Krzywdy tej obiecywał po jurydykcyach poszukiwać. Pieniackie usposobienie Felsztyńskiego po części daje się wytłómaczyć jego świeżem pochodzeniem, a po części ogólnym upadkiem męstwa w społeczeństwie, odzwyczajonem od walk i czuwania wojskowego. Skarbnik Ciechanowski bynajmniej nie był pod tym względem lepszym od swoich przeciwników. Tak jak Felsztyński, i inni bronili swojej czci po jurydykcyach.

Skarbnik dotrzymał słowa, tak, że pozwom i manifestom nie było końca. 12-go marca 1781 roku pozwał Maryana Franciszka Szydłowskiego z Żywotowa o potwarz i o oczernienie. 28-go marca 1782 roku zapozwał również starostę Zwiąhelskiego przed sąd główny Trybunału koronnego lubelskiego imieniem króla o zniesienie kaduku na summę u Ledochowskich. Pozew położył woźny w Jakimówce i zdał relacyę Franciszkowi Rakowskiemu, namiestnikowi burgrabstwa grodu Winnickiego. W tem samem miejscu i czasie, tenże sam woźny, Warzyniec Medyński, położył drugi pozew o podstępne podejście kan-

celaryi J. K. M. w wyrobieniu kaduku, o sądzenie go prawem za takowy postępek, o zwrot kosztów prawnych i nareszcie o odpowiedzialność za czernienie honoru i sławy skarbnika. Jako odpowiedzialnych za te wszystkie nieprzyjemności, Felsztyński 16 lipca 1782 roku pozwał ich także przed sąd grodzki Winnicki starościński i powagę Stanisława Ciołek księcia Poniatowskiego, generała lejtnanta wojsk koronnych, kawalera różnych orderów, jako też Franciszka i Ludwikę Ledochowskich o wypłacenie summy 19,269 zł. pol. z należnemi prowizjami, nagrodzenie szkód i kosztów prawnych.

Szydłowski również nie zasypiał sprawy, docinał Felsztyńskiemu pozwami i remanifestacyami, w których nie szczędził ani słów, ani barw jaskrawych do odmalowania skarbnika. Skutkiem takiego wzajemnego szarpania się, urząd grodzki Winnicki, subdelegacyjny starościński, wyznaczył na dzień 12 sierpnia 1784 roku rozpatrzenie i wyprowadzenie całej sprawy w przytomności szlachty i godnych świadków obustronnych. Do tej czynności wyznaczono przysięgłego woźnego, Błażeja Leniewskiego, a czynność sama miała się odbyć w Winnicy, w dworku Józefa Jancyńskiego, podczaszego Mozyrskiego. Jako świadkowie stawili się: Jan Feliks, cześnik Parnawsko-Wendeński, i Ludwik, mecenas grodu Winnickiego, Kopczyńscy, Feliks Suzin Barcikowski, Stefan z Irzykowa Baranowski, skarbnik Zwiniogrodzki, Józef Andryson ze Stepkowiec, podczaszy Mściśławski, Jan Tyszkowski, chorąży kawaleryi narodowej z Wysokiego, Stanisław Korzeniowski, cześnik Łukowski z Kniaży, Stanisław Nowicki, burgrabia pograniczny, Feliks Rzązewski, chorąży Wendeński, i Józef Suchodolski, oraz subdelegaci: Jan Ostoja Stachurski i Jan Nepomucen Kajetan Porczyński, szambelan J. K. M. zestrony Felsztyńskiego, a Stanisław Wielhorski ze strony Szydłowskiego. Potrzeba było zatem wysłuchać owych świadków wiarogodnych, jak tych, co do procesu należeli, tak i tych, których zarzuty, czynione w manifestach, nie dotykały, i wydać dekret. Nie było to rzeczą tak łatwą, bo najgłośniejsi świadkowie, którzy rozsiewali obmowne wieści o nieuczciwem zrobieniu majątku przez Felsztyńskiego, Szydłowski, Feliks Rzązewski i Józef Suchodolski, pomimo groźby wiecznego wywołania za sprzeciwianie się dekretem grodzkim,—nie zjawili się. Mimo to urząd zjazdowy i bez nich nakazał wprowadzenie sprawy, a gdy stronnicy Szydłowskiego odwołać się chcieli do sądu grodzkiego, to urząd zjazdowy odwołania się tego nie dopuścił. Zjawił się wreszcie Szydłowski. Felsztyński powinien był sformułować pisemnie trzy pytania i wypisać nazwiska świadków, na co Szydłowski powinien był odpowiedzieć. Między świadkami Felsztyńskiego znalazł się Baranowski. Szydłowski nie przyjął go, a zjazd, widząc, że Baranowski raczej sam musi poszu-

kiwać obrazy na Szydłowskim, usunął go; na miejsce jego Felsztyński postawił Jana Radziwińskiego. Szydłowski próbował innych utrudnień, a gdy zjazd nie dopuścił, wysłuchano przysięgi świadków na wiarogodność zeznań i odesłano całą sprawę do ostatecznego ukończenia do sądu. Imieniem Felsztyńskiego stanąć miał Kopczyński, komornik graniczny Braclawski, a imieniem Szydłowskiego Nehrebecki z Jakimówki, jako umocowani w sądzie głównym Trybunału koronnego Lubelskiego. Sprawa ostatecznie załatwioną została w Lublinie 27 września 1784 roku, a treść dekretu brzmiała w sposób następujący: Felsztyński został przy prerogatywach szlacheckich zachowany, gdyż na mocy konstytucyi z roku 1775 uznany został szlachcicem, z nadaniem herbu Nałęcz. Dyplom na szlachectwo otrzymał od Stanisława Augusta 16 maja 1780 roku, który wciągnięty został w księgi Trybunału województwa Braclawskiego roku 1782. Pomimo tego punktu wyroku, Szydłowski miał rację zarzucać Felsztyńskiemu nieszlacheckie pochodzenie, gdyż zarzuty te ściągały się do przeszłości. W obronie ich wystąpił Felsztyński dopiero wówczas, gdy na mocy dyplomu szlacheckiego wciągnięto go w poczet szlachty województwa Braclawskiego. Sąd, zatrzymując Felsztyńskiego przy „niewątpliwym klejnocie szlachectwa“, przyznał mu, jako własność, sumę, ulokowaną na Żasz-kowie, zaś przywilej na prawo kaduka, nienależycie i nieprawnie otrzymany, uznał za nieistniejący, czerniące i uszczyplwe słowa, jako też wszelkie pozwy i zażalenia z ksiąg, za pokazaniem dekretu, miały być wymazane.

Ponieważ zaś Szydłowski, wyjednawszy prawo kaduka, rozciągnął je nie tylko do majątku, ale do sławy i honoru Felsztyńskiego, Trybunał skazał go na karę czterdziestodniowej wieży w górnym zamku Winnickim, a po wyjściu stamtąd, do rąk Felsztyńskiego miał wypłacić 400 grzywien kary — co wszystko obowiązany był Szydłowski skutecznicić pod obawą wiecznego wywołania z kraju.

Sprawa w ten sposób miała być umorzona, a wszystkie papiery, do niej odnoszące się, spalone. Dekret ten podpisał Marcin Kątski, wice-regent grodzki Winnicki, pisarz Trybunału koronnego, województwa Braclawskiego. Ponieważ jednak zniszczenie aktów pozostawiono stronom, nie zostały one zniszczone i posłużyły nam do odtworzenia obrazu z życia kresowego.

Ledochowscy widocznie ciągle potrzebowali pieniędzy, a że Felsztyński posiadał gotówkę i zawsze chętnym był pożyczyc na dobry zastaw dóbr, lub za dobrą dzierżawę wypłacić z góry, nie umarżając bynajmniej winnej summy 33 tys. zł. pol., nowe zobowiązania pieniężne zaciągali, lub nowe dobra w dzierżawę puszczaali. Niezrażeni pozwami i wyrokami, do kieszeni Jmć pana Skarbnika zaglądali często.

I tak: w roku 1784 zawarli z nim nową umowę na dzierżawę dóbr starostwa Hajszyńskiego. Należały do tej dzierżawy: miasteczko Hajsyn, jako też wsie: Kiślak, Karbówka i Mytlińce.

W roku 1786 spłaconą została nareszcie summa, ciężąca na Ledochowskich, w kwocie 33 tys. zł. pol. Zdawało-by się, że Felsztyński, starzec prawie, bo 40 lat liczył, uspokoi się nareszcie, ale usposobie nie pieniackie brało górę nad wiekiem. Pierwszego marca tegoż roku wchodzi w nową umowę dzierżawną o klucz Chejłowski, składający się ze wsi Chałajdowy, Dąbrówki i Płomieńczyka, położonych w województwie Braclawskim, powiecie Winnickim, a należących do Maryanny ze Świdzińskich Lanckorońskiej, kasztelanowej Połanieckiej. Zawarł tę umowę Felsztyński na lat trzy, w Litynie, z pełnomocnikiem pani kasztelanowej, Teodorem Szymanowskim, szambelanem i podkomorzym J. K. M., obowiązując się płacić rocznie po 7,770 zł. pol. Między innymi punktami był i ten, niezmiennie prawie powtarzający się we wszystkich kontraktach dzierżawnych, że „oprócz powinności, wyrażonych w inwentarzu, żadnych innych powinności dzierżawca na poddanych wkładać i wymyślać nie ma prawa, które-by uciążliwości czyniły poddaństwu; by dzierżawca do żadnych danin i powinności, nad *pozwolone* inwentarzem, nie pociągał; nadto, narzucaniem zboża, bydła, gorzałki lub innych rzeczy *nie uciemiężał*“. Złych ludzi nie brakło wszakże nigdy, a Felsztyński, jak zobaczymy, do wyrozumiałych dzierżawców nie należał. Zobowiązawszy się do wypłaty rocznej tenuty p. kasztelanowej, składał ją na ręce pełnomocnika, Szymanowskiego, który ją przesyłał do Warszawy, gdzie przebywała Kasztelanowa, nigdy może nie dowiadując się do dóbr swoich ukraińskich.

Dbali, nie tyle o dobro włościan, ile o powiększenie swojej fortuny, w roku następnym, w maju 1787, wypuszcza starozakonnemu Herszkowi Lejbowiczowi dwie karczmy we wsi Płomieńczyku na rok jeden, za summę 1,300 zł. pol. w dwóch ratach, płatnych po 650 zł. pol. Warunki umowy, bardzo elastyczne, pozostawiały otwartą fórtkę do nadużyć, a Jmć pan Skarbnik udawał, że tego nie dostrzega. Streszczały się one w następujących punktach:

1. Arendarz powinien szynkować gorzałką dobrą i miarą sprawną.
2. Kwarta gorzałki za gotówkę groszy 18, na kredyt 22 gr.
3. Arendarz obowiązany co pół roku załatwiać rachunki z poddanymi, a do egzekwowania długów dwór obowiązał się dać pomoc.
4. Umowa zastrzegala, ażeby wielkimi długami arendarz poddanych nie obciążał, i nad wartość majątku nie kredytował; bydła za długi brać nie powinien pod karą grzywien na skarb i pod przypadkiem długów. Poddani na stronie wódki brać nie mają pod karą 60 zł. pol., połowę na skarb.

połowę arendarzowi. Poddani, mający zboże i miody na sprzedaż, arendarzowi swemu sprzedawać powinni, a gdyby on ofiarował cenę niższą, niż na targu w Monasterzyszczach płacić będą, wolno wówczas do miasta zawieźć i sprzedać. Gdyby się okazało, że arendarz zboże niesprawiedliwą miarą mierzy, miał zapłacić kary 60 zł. pol. 6. Każdy z poddanych ciągle obowiązany był wywieźć drzewa fur dwie własnym inwentarzem na korzyść arendarza; gdyby inwentarza nie posiadał, miał to samo uczynić bydłem arendarskiem, lub wykopać siedm pieńków i przywieźć je arendarzowi. Oprócz tego gmina obowiązana była dostarczać stróży nocnych do karczmy.

Taką była treść umowy, nad którą rozwodzić się nie będą.

Jeszcze się kontrakt dzierżawny na klucz Chejłowski nie zakończył, gdy Felsztyński 15 marca 1789 roku zawarł trzyletnią umowę do wspólnej posessyi z Janem Krepsem, koniuszym gen. art. Szczęsnego Potockiego, o wsie Chałajdowę i Dąbrówkę. Według brzmienia umowy, mieli się oni dzielić wspólnie wszystkimi przychodami, nawet „dziesięciną chłopską, oczkowem, kurami i jajami“. Mocno przypominało to przyjaźń Leszka i Mieszka, którzy, „gdy znaleźli orzeszek, to go dzielili na dwoje“; sądząc jednak z charakteru i temperamentu pana skarbnika, można przypuszczać, że z Krepsem bywało nieraz „krucho“.

Gdy zaś, jak wiemy, przy posessyjnych operacjach trudnił się Felsztyński jeszcze handlem bydła, przeto i na tej drodze nie brakło mu powodów do sporów i procesów. Kupując bydłem, był on jakiś czas w spółce z Benedyktem Kotonim, skarbnikiem Drohickim, goniąc woły do Prus i za granicę kraju. Z tych operacyi wyszły nieprzyjemności. Sprawa oparła się o urząd grodzki Winnicki w roku 1787, a szło o to, że Koton oskarżył Felsztyńskiego, jakoby sprzedał jeszcze w r. 1768 ośmnaście sztuk bydła, należących do p. Benedykta, ale, sprzedawszy, nie zwrócił pieniędzy. Dla braku ze stron obu dowodów, naznaczono zjazd subdelegatorski na gruncie dóbr Żaszkowa na dzień 15 czerwca 1787 roku, związawszy obie strony 14-tu grzywnami kary za niestawienie się. Jako świadkowie obu stron, stanęli: Ludwika Ledochowska, Stefan Baranowski, Stanisław Nowicki, Ludwik Makowski, Jan Tomaszewski i in. Prawdopodobnie, że ta sprawa zakończyła się niczem, gdyż dalszych dokumentów braknie zupełnie. W każdym razie jest ona dowodem niejasnych stosunków, jakie Jmć pan Felsztyński miał z stronami. Ciągłe się on wadził, tułał się po sądach i nigdy z nikim nie rozstał się spokojnie. Jeszcze jedna sprawa nie zakończyła się, a już druga była w pogotowiu. Słowem, pan Skarbnik należał do tych wichrów pieniackich, które od kresów zachodnich aż po wschodnie i południowe miedze hulały po całej Rpltej. Sprawa z Kotonim była jez-

cze w toku, gdy 27 czerwca 1787 roku Felsztyński pozwał Leonarda Worda, kuchmistrza W. K., dziedzica dóbr klucza Bałabanowieckiego i Łukaszowieckiego, oraz, znanego nam już „niewiernego“, Herszka Lejbowicza, oskarżając ich o małoważenie listu Najjaśniejszego Pana „salvi conductus“, o odebranie i zniszczenie kwitów, majątku dotyczących, o nieprawne użytkowanie karczmy hajsyńskiej i in. W marcu 1789 roku wznowił proces z Ledochowskimi, zapożyczając wdowę (wojewoda umarł 16 czerwca 1787 roku), jako też sukcesorów m. Tetyjowa, wsi Raczek, Buczówki, Żytnik i Żaszkowa o sumę 19,269 zł. pol., które sąd nakazał wyegzekwować.

Takie same spory i procesy prowadził z każdym, z kim się tylko zetknął—do końca życia. Pozywał przed kratki sądowe nie tylko drobniejszą szlachtę, ale nawet dygnitarzy koronnych, jak Józefa Wincentego Platę, dziedzica klucza Kalnickiego i Daszowskiego, jako też Szczęsnego Potockiego. Kłócił się ze wszystkimi, z kim się tylko zetknął, z drobną szlachtą, z włościanami, z żydami, z dygnitarzami przez całe życie. A trwało to jego życie długo, bo ostatni raz spotykamy go jeszcze w procesie z roku 1794. Miał już wówczas blisko 76 lat. Dyżma Bończa Tomaszewski trzymał prawem zastawu od Szczęsnego Potockiego wieś Popówkę, i tę wydzierżawił Felsztyńskiemu i Andrysonowi. Ponieważ jednak Tomaszewski nie dotrzymał w jakimś punkcie umowy, urząd administracyjny Potockich nie pozwolił Felsztyńskiemu i Andrysonowi brać się do gospodarki, skutkiem czego dwuletnia tenuta, wypłacona Tomaszewskiemu w kwocie 17,000 zł. pol., przepadła.

Był to, jak się zdaje, ostatni proces Felsztyńskiego.

Pomimo bezustannych procesów z obcymi, starczyło mu jeszcze czasu na uciążliwe obrachunki z najbliższą rodziną. Sprawiedliwość jednak przyznać nakazuje, że rachunki te, aczkolwiek sądem kompromisarskim, zakończył pomyślnie. W owym czasie była to rodzina liczna. Po bracie jego, Franciszku, zmarłym niewiedomo kiedy, pozostała wdowa, Anna, i czterech synów. Dwaj z nich: Piotr i Elias, w roku 1787 już byli pełnoletni, a dwaj: Aleksander i Jan—małoletni. Oprócz tego była siostra Anna, córka Franciszka, a żona Jakóba Grudzińskiego. Głową rodziny był Jan Skarbnik, nawet za życia brata Franciszka. Miał wprawdzie spółkę handlową i dzierżawę z bratem, ale w umowach występował zawsze sam. Pamiętał o tem, że wspólnie z bratem dorabiał się majątku, i nie zaprzeczył tego na sądzie kompromisarskim.

Dopóki żył brat, istniała spółka, na której czele stał Skarbnik. Wkrótce jednak córka dorosła i wyszła za mąż, a dwaj starsi bracia, Piotr i Elias, nie zrywali ze stryjem, wspólnie gospodarząc. Zdaje

się, że wyjście za mąż Anny było klinem, rozsadzającym rodzinę, gdyż wszedł do niej człowiek obcy, który o prawa żony upominał się. Stąd wypłynęła potrzeba podziału majątkowego i spłaty posagu. Skarbnik nie zaprzeczał. Utworzono sąd kompromisarski w roku 1787. Wówczas p. Ignacy przemieszkował jeszcze w Kiślaku, majątności, należącej do klucza dzierżawy Hajsyńskiej, którą wspólnie z synowcem Piotrem administrował. Do sądu kompromisarskiego między sukcesorami brata a skarbnikiem Ciechanowskim weszli: Aleksander Moździeński, generał-adjutant J. K. M., Józef Dobraczyński, sędzia Krasnostawski, Feliks Barcikowski, podwojewodzi Braclawski i, jako superarbiter, Jan Kajetan Porczyński, subdelegat grodu Winnickiego. Obrachunek był bardzo szczegółowy, bo nie pominięto nie tylko zboża w ziarnie i zasiewach, ale również inwentarza martwego i żywego. Oszacowano więc woły, konie, owce, pszczoły i miód—nawet kilkanaście kur, które przy gorzelnii żywiły się, w rachunek weszło. Skarbnik i Piotr Felsztyński obowiązali się zeznać wszystko pod przysięgą—i zeznali. Działo się to w roku 1788. Ignacy Felsztyński dobiegał już wówczas siódmego krzyżyka, to jest wieku, kiedy człowiek robi czysty porachunek z sumieniem. Pominię uciążliwe a drobiazgowo wyrachowania i pretensye stron, gdyż one w niczem nie przyczyniają się do wyjaśnienia sprawy; zatrzymam się tylko na cyfrach głównych. Przyznał on, że razem z bratem dorobiwszy się majątku, cały wspólny dorobek włożył w dzierżawę starostwa Hajsyńskiego, wysokość zaś dorobku obliczył na 61,856 zł. pol. Na rachunek tej summy przyrzekł spłacić z dzierżawy starostwa 41,856 zł. pol., a 20,000 zł. pol. z pozostałych w skarbie Ledochowskich, jako kaucyę. Tyle wypadło na rzecz sukcesorów Franciszka Felsztyńskiego, i tą summą rodzina się podzieliła, stosownie do wskazówek i wyroku sądu kompromisarskiego; złożono tylko tytułem wiana dla siostry po 250 zł. pol.

Po zakończeniu tej sprawy, spotkaliśmy Skarbnika raz jeszcze w sporze z Dyzmą Bończą Tomaszewskim, a od tej chwili ginie jego wichrowata postać z kart szlacheckiego życia Stepowej Braclaszczyzny. Z tego, com tu powiedział, widać, że Skarbnik nie był nigdy postacią wybitną, ale był ciekawym typem drobnego szlachcica, najnowszej kreacji, w ostatniej dobie Rpltej.

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

„Pan Tadeusz“ Mickiewicza,

jako epos.

I.

Pewne rodzaje poezji są podobne do roślin lub kwiatów, rozwijających się tylko w przyjaznych dla siebie warunkach. Tylko na łąkach z wiosną kwitną mleczki i kaczęńce, tylko na moczarach, na brzegu jezior lub stawów, bieleją nenufary, kołyszą się za lada powiewem smukłe liście ajernu, tylko w leśnej ustroni poziomki wydają swe krasne jagody. Poezja ma także swe kwieciste błonia, bujne łąny, sady i winnice, uginające się pod ciężarem owoców.

Dzisiejsza krytyka, uważając się słusznie za odnogę historii cywilizacji, rozkoszuje się wonią i barwą tych kwiatów, bada różne gatunki drzew i krzewów, rosnących na niwie poezji, wykazuje ich cechy znamienne, tłumaczy piękność i siłę żywotną warunkami rasy i epoki, wśród których powstały.

Odmienne stanowisko wobec dzieł poezji zajmowała krytyka dawna, począwszy od teoretyków staroindyjskich i gramatyków aleksandryjskich, kującej formuły dla wszystkich rodzajów poezji, do prawodawców pseudoklasyycznych we Francji, którzy z traktatu Hora-

cego „De arte poetica“ tworzyli nieruchome dogmaty, wreszcie do tych krytyków i recenzentów warszawskich, których przed sześćdziesięciu kilku laty pogromił Mickiewicz paru ciosami swej piorunującej polemiki.

Twórcy kodeksów i recept na pisanie poezji, oraz naśladowcy wzorów klasycznych w różnych epokach i czasach zastanawiali się nad cechami przeważnie zewnętrznymi dzieł znakomitych, urabiając z nich formuły, obowiązujące na przyszłość. Jeżeli w „Iliadzie“ i „Odyssei“ opiewane były dzieła bohaterów, wielkie czyny odwagi ludzkiej, do których się miśzali Bogowie; to, poczawszy od Eneidy Wergilego, każdy poemat, który potem chciał uchodzić za epopeję klasyczną w wielkim stylu, musiał mieć bohaterów, półbogów, oraz czuwające nad nimi potęgi nadziemskie. Dlatego w „Jerozolimie wyzwolonej“ Tassa Aniołowie mieszają się do czynów wojennych; w „Luzyadzie“ Kamoensa losami chrześcijańskich żeglarzy opiekuje się Jowisz i jego kole-dzy z pogańskiego Olimpu, a nawet Bachus, zamieniony na szatana, według pojęć średniowiecznych, urządza zasadzkę i do chrześcijańskiej niby świątyni wabi w Mombasie podróżników, aby wydać ich w ręce niewiernych Maurów ¹⁾. Dlatego w epopejach chrześcijańskich z epoki odrodzenia występnie aparat cudowności, wprowadzony sztucznie, nieszczerze, robiący wrażenie ozdób i przystawek konwencyonalnych. Dlatego Kornel i Rasyń musieli kurczyć swe wielkie talenty, wtlaczać je w ramy formuł i trzech jedności, które za czasów staro-greckich były naturalnym wynikiem techniki i warunków, w jakich się odbywały widowiska sceniczne, ale nie odpowiadały potrzebom i naturze nowożytnego dramatu.

Na podstawie formuł i przepisów, dawna krytyka gramatyczna i szkolarska wygłaszała odznaczenia i pochwały, nadawała tytuły i godności zaszczytne, stawiające piewców na wyższych lub niższych szczeblach hierarchii twórczej. Epopeja i tragedia—oto wedle pseudo-klasyków były dwie wyżyny, na które piąć się powinni poeci, aby zyskać senatorskie krzesło na Parnasie. Być autorem epopei w dobie pseudo-klasyckiej, to znaczyło zasłużyć na najwyższą literacką rangę. W tym celu, jak słusznie sztydził Mickiewicz, pisało się poemat, noszący tytuł na „ada“, zaczynający się od „ja śpiewam“, z przydatkiem potrzebnych allegoryi i tak zwanych „machin“, tworzyło się epopeję

¹⁾ Luiz Camoens „Luzyady“ epos w 10 pieśniach przełożył Adam M—ski. Warszawa, nakład Lewentala, 1890, str. 46, pieśń II, oktawa dziesiąta i następne.

narodową ¹⁾. Ironia ta doskonale się stosuje do takich wymuszonych i sztucznych płodów, jak „Henryada“ Woltera, lub „Wojna Chocimska“ Krasickiego, nie mówiąc już o niedołączonych próbach w rodzaju „Jagiellonidy“ Tomaszewskiego, którą ostro, lecz poważnie krytykował sam Mickiewicz, jako dziewiętnastoletni debiutant literacki.

II.

Nazwa epopei, której szkolarze nadali pedantyczny charakter, odpowiada jednak wielu wspaniałym dziełom różnych epok i czasów.

Obejmując jednym rzutem oka całą gałąź poetycznej epiki w wielkim stylu, można wyróżnić w niej dwie wielkie grupy, dwa rodzaje, dwa szeregi. Pierwszym jest epopeja pierwotna, *samorodna* (spontaniczna), będąca młodzieńczym wykwitem poezji narodowej, drugim epopeja *literacka*, stanowiąca owoc twórczości, świadomej swych celów i wyrobionej na istniejących dawniej wzorach literackiej kultury ²⁾. Epopejami samorodnymi są podług mnie: „Iliada“ i „Odyssea“, „Ramayana“ i „Mahabharata“, wreszcie „Pieśń o Nibelungach“. Epopejami literackimi: perska „Szach-Nameh“ Firduziego, „Eneida“ Wergiliusza, „Farsalia“ Lukana, „Wyprawa Argonautów“ Apoloniusza Rodyjskiego, „Boska Komedya“ Danta, „Jerozolima wyzwolona“ Tassa, „Orland szalony“ Aryosta, „Luzyada“ Kamoensa, „Francjada“ Ronsard'a, „Raj utracony“ Milтона, „Wojna chocimska“ Potockiego, „Henryada“ Woltera, „Messyada“ Klopstocka, „Stefan Czarniecki“ Kajetana Koźmiana, „Herman i Dorothea“ Goethego, „Donżuan“ Byrona, „Benio-wski“ Słowackiego, „Ahaswerus“ Hamerlinga i „Pan Tadeusz“ Mickiewicza.

Kładę silny nacisk na to odróżnienie, ponieważ ono stanowi punkt wyjścia dla dalszych uwag, zawartych w tym szkicu. Podział taki opiera się na podstawie praw przyrodzonych rozwoju gatunków w poezji. Zestawienie i porównanie tych dwu szeregów otwiera, jak sądzę, szeroki widok na inną jeszcze kwestyę, ważną dla badań literackich.

¹⁾ Przypisek do artykułu „O krytykach i recenzentach warszawskich“ w poezjach Mickiewicza. Wydanie warszawskie, 1888, tom IV, str. 289.

²⁾ Potrafił tę kwestyę dr Stanisław Mleczko we wstępie do cennego przekładu „Iliady“ Homera, Warszawa, 1894, nakład Lewentala.

Jest to wogóle kwestya stosunku dzieł poetycznych pierwotnych, będących tylko plodem popędu twórczego danego narodu, do dzieł pochodnych, tworzonych na podstawie wzorów, pojęć i teoryi, zaczerpniętych z literatur już nieistniejących. Walka lub oddziaływanie na siebie wzajemne pierwiastku samorodnego z pierwiastkiem teoretycznym lub naśladowczym jest sprawą w rozwoju literatury niedostatecznie jeszcze rozpatrzoną. Jednakże głębsze jej, filozoficzne, ujęcie może wyjaśnić, jak sędzę, charakter i przyczynę trwałości albo upadku różnych prądów, albo mód estetycznych.

Z dwu wielkich rodzajów epiki zwróć teraz uwagę głównie na pierwszy, to jest na epopeje samorodne (spontaniczne), które, pomimo różnicy ras i epok, przedstawiają znaczne gatunkowe i genetyczne podobieństwa.

Młodzi ludzie w różnych narodach mają pewne cechy wspólne. Intelligentni Anglicy, Francuzi, Polacy, Rosyianie lub Niemcy w dwudziestym roku życia, jeżeli są zdrowo, normalnie rozwinięci, pomimo różnic fizycznych, rasy i temperamentu, odznaczają się rzeźkością sił, świeżością umysłu i wyobraźni, poglądem na świat niewyrobionym i patrzeniem na rzeczy i ludzi przez szkiełka teoretycznych uprzedzeń. Tak samo poezya epiczna ludów młodych posiada pewne cechy i znamiona, podobne zarówno u Greków lub Indów starożytnych, jak u średniowiecznych Germanów, chociaż rozwój każdego z tych narodów kroczył po odmiennych drogach i dążył ku innym ideałom.

Epopeja samorodna jest pierwszą manifestacją twórczości artystycznej na szeroką skalę, dlatego posiadają ją literatury ludów, które skupiły w jedną całość rozproszone legendy i pieśni rycerskie. Epopejami jeszcze nie są takie utwory, jak „Edda” skandynawska, francuskie „Chansons de gestes”, „Cyd” hiszpański, staroruskie byliny, „Słowo o pułku Igora”, oraz pieśni serbskie, chociaż wszystkie one należą do tej pierwotnej formacji legendowo-bohaterskiej, z której potem zbieracze lub poeci kształtują wielkie dzieła sztuki. Epopeje samorodne powstają zwykle w epokach przejściowych, gdy poezya kwitła przeważnie w żywym słowie, gdy sztuka literacka zaczynała się wyłaniać z podścieliska poezyi ludowej. Stanowisko odrębne poezyi, jako fachu pisarskiego, nie jest jeszcze znanem, dlatego też nazwy autorów epopei pierwotnych giną w legendowym mroku.

Krytyka naukowa, rozpoczęta przez Fr. Augusta Wolffa przy końcu zeszłego stulecia, rozłożyła na cząstki osobistość Homera, widząc w nim raczej symbolicznego reprezentanta dawnej epiki Hellenów, któremu przypisywano w starożytności dzieła z epok dosyć dla siebie odległych.

Dr L. Ówikliński w swej gruntownej i krytycznej pracy: „Homer i Homerycy“ ¹⁾, idąc za opiniami Lachmana i Kirchhofa, twierdzi, że najprawdopodobniej „Iliada“ jest zbiorem pieśni odrębnych, osnutych na jednym temacie gniewu Achillesa, a „Odyssea“ rozwinięciem i uzupełnieniem pierwotnego poematu o powrocie Odysseusza do Itaki, poematu, znacznie rozszerzonego przez późniejszych przerabiaczy. Opinie te popiera nasz filolog siłą argumentacji przekonujących, walcząc przeciwko zwolennikom teorii o jedności poematów Homerycznych i przeciwko poetom, którzy nie mogą się pogodzić z rozwianiem legendy o ślepym harfiarzu.

Autor olbrzymiej Mahabharaty sam się mianuje *wiazą*, t. j. wiążącym, zbieraczem pieśni bohaterskich, czyli Ityhaz, które powstały w ciągu kilku wieków. Chociaż twórcą „Ramayany“ jest Wałmiki, osobistość podobno historyczna, jednak o życiu jego i powstaniu tej cudnej epepei niema żadnych pewnych szczegółów.

Podobnież nowsza krytyka naukowa nie może wyraźnie wskazać autora „Pieśni o Nibelungach“, przypisując ją kilku minnezengerom, a między nimi Kürenbergowi, pieśniarzowi z Austrii. Kwestya ta, również jak geneza epepei Homerskich, nie jest jeszcze stanowczo rozstrzygnięta. Lachman twierdzi, że „Nibelungi“, podobnież jak „Iliada“, są zlepione z pojedynczych pieśni, tak samo — dodam od siebie — jak śliczne wazy starożytne w muzeum monachijskiem, które archeologowie kleją i latają kunsztownie z kawałków i skorup, jakby świeżo wyszły z rąk starożytnych garncarzy ²⁾. Dawni jednak zbieracze i redaktorowie epepei pierwotnych nie byli tak biegli, jak mistrze dzisiejsi, zostawiając dosyć widoczne spojenia, skazy i sprzeczności. Wyszukała je bystra krytyka filologiczna.

Każda z pięciu wielkich epepei samorodnych odpowiada jakimś faktom rzeczywistym, osłonionym mgłami podań prastarych, które, jak twierdzi Tylor, pod powłoką zmyśleń fantastycznych kryją rdzeń prawdy dziejowej ³⁾. Wojna trojańska nie jest bynajmniej legendą, osnutą na jednej wyprawie, ale „epizodem kolonizacji Eolczyków i Achejow

¹⁾ Praca ta drukowana była w „Przewodniku literackim i naukowym“ we Lwowie, 1881 Patrz str. 47, 138. Ukazała się także tegoż roku w osobnej odbitce.

²⁾ Zobacz: „Pieśń o Nibelungach“, przekład Szabrańskiego (Warszawa, 1881. nakład S. Lewentala), wstępu str. XII, oraz „Literaturę kościelno-chrześcijańską i germańsko-pogańską do wojen krzyżowych“, przez Edw. Grabowskiego, w tomie II-gim „Dziejów literatury powszechnej“, Warszawa, 1887, nakład Lewentala, str. 224 i następnne.

³⁾ Edward B. Tylor: „Antropologia“ w||przekładzie Al. Bąkowskiej. Warszawa, nakładem redakcyi „Prawdy“, 1889, str. 351 i nast.

na północno-zachodnim wybrzeżu Azyi Mniejszej i następnie na całym obszarze dawnego państwa Dardańskiego.“ W „Mahabharacie“ zawarte są dzieje długoletnich wojen dwu dynastji: Kuru i Pandu, walczących o władzę w Indostanie nad Gangesem i Jamuną. „Ramayana“ jest poetycznym odbiciem legendy, opartej na podboju Ceylonu i zwycięstwie, odniesionem przez cywilizowanych Aryjczyków nad dziką tubylczą ludnością tej wyspy. W „Nibelungach“ widzimy spływ niektórych podań Skandynawskich z „Eddy“ oraz wspomnień o katastrofie Burgundów, których w roku 437 wytępił Atylla.

Jednem słowem, w tych poematach zawarte są złomy dawnych katastrof dziejowych, wielkich przedsięwzięć i walk, prowadzonych przez narody młodzieńcze. Tak samo, jak kamienie i skały, które przed wiekami wyrzucił na wierzch ziemi jakiś kataklizm geologiczny, obrastają mchem i kryją się pod festonami zieleni, podobnie fantazya pierwotna pokruszyła realne kształty faktów dziejowych, oplotła je upięknieniami legendy, zapładniającą poezję pierwotną. Te wielkie poematy epickie dzierzgane były dłońmi pieśniarzy, którzy sztukę swoją wyssali z macierzystego gruntu. Byli *samorodni*, bo nie naśladowali obcych wzorów, stwarzając, owszem, wzory dla potomności. Nie mogli ulegać wpływowi innych literatur, bo ich nie znali. Pracowała w nich i przez nich siła zbiorowa narodu, który owaładnął ziemią rodzinną, zwyciężył przyrodę, ulegając jednocześnie jej wpływowi, zagospodarował się materyalnie i duchowo, nabrawszy sił do dalszego dziejowego trudu. Dlatego też w epejach samorodnych nie występuje tak widocznie energia oraz indywidualność jednego twórcy, jak w arcydziełach sztuki z epok późniejszych. Są one wielkimi skarbami tradycyi narodowej, a jak słusznie powiedział Maurycy Carrière, „myt boski i życie ludzkie, natura i historia kojarzą się w nich z sobą za pomocą siły poetycznego zmyślenia“.

Epeje *literackie* nie tworzą jednorodnego gatunku o wyraźnych cechach, albowiem powstały pod działaniem różnorodnych wpływów i warunków. Są pomiędzy niemi dzieła odrębne, jak np. „Boska komedia“ Danta, wspaniały plód geniuszu, mało zależnego od dawnych wzorów, największy wykwit idealizmu chrześcijańskiego w poezji. Odrębną grupę tworzą późniejsze epeje renesansowe, włoskie i hiszpańskie, „Jerozolima wyzwolona“ i „Luizyada“, pochodzące w prostej linii od „Eneidy“ Wergilego, który rozpoczął w literaturze europejskiej sztuczną produkcję, usiłując stworzyć epeję na wzór Homera w epoce, gdy znikła już świeżość dawnej pogańskiej tradycyi, podważonej przez sceptycyzm filozoficzny. Osobna nić genealogii artystycznej łączy ze sobą epeje w rodzaju Aryostycznym, do których należy „Don Żuan“

Byrona, a jeszcze bardziej „Beniowski“ Słowackiego ¹⁾. Wreszcie epepeje francuskie, albo ich naśladowania z zeszłego i początku obecnego stulecia, są owocem sztucznej hodowli, jak np. „Stefan Czarniecki“ Kajetana Koźmiana, niepozbowiony męskich piękności pogrobowiec naszego pseudoklasycyzmu.

Od czasu Wergilego, epepy różnych epok wychodzili, mimochcąc, z błędnego założenia. Robili wysiłek, aby gatunek poetyczny, który powstaje w pewnych określonych warunkach, wskrzesić w innej epoce, której odmienna atmosfera moralna nie sprzyjała wzrostowi poezji legendowej.

Można za szklami różę rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysilona...

Pięknie powiada Słowacki w „Maryi Stuart“. Niektóre epepeje literackie, zwłaszcza francuskie, jak i wogóle plody literatury pseudoklasycznej, mają właśnie taki charakter cieplarniany, kunsztowny. Inne znowu można porównać do śpiewu, lub gry wirtuoza, który celuje mistrzostwem melodyj, pokonaniem szkopułów techniki. Tymczasem epepeje samorodne posiadają urok młodzieńczy, niby śpiew artysty na progu świetnej kariery, czarującego pełnością brzmienia i potęgą zapału.

III.

Jedyną epepeją literacką, w której czuć powiew twórczej młodości ducha, jest nasz „Pan Tadeusz“, posiadający niektóre bardzo wybitne znamiona epepei *samorodnej*.

Czy jednak „Pan Tadeusz“ jest epepeją?

Tego tytułu odmawia poematowi tylko p. Biegeleisen w swej monografii, gniewając się na nowszą krytykę za to, że sztucznie na takie stanowisko wyniosła tę „cudną litewską powieść“ ²⁾. Tymczasem tak

¹⁾ Obszerniej rozwinąłem tę kwestję w studjum porównawczem Byrona „Don-Żuan“ i Słowackiego „Beniowski“. Ateneum, 1889, zeszyty z kwietnia i maja.

²⁾ „Pan Tadeusz“ Adama Mickiewicza, studjum... przez dra Biegeleisena, Warszawa, nakład Teodora Paprockiego, 1884, wstępu str. LXXXV.

wysoko postawił „Pana Tadeusza“ pierwszy Zygmunt Krasiński, w liście, pisanym w roku 1840 do R. Załuskiego, bijąc czołem przed wielkością „tej epopei, jakiej nie posiada żaden współczesny naród europejski.“ Epopeją domową i narodową nazwał „Pana Tadeusza“ Edmund Chojecki w swej broszurze francuskiej, poświęconej poematowi; nie opponuje przeciw temu prof. Józef Kallenbach, autor najnowszej dwutomowej pracy o życiu i pismach naszego wieszcz; potwierdzają tę opinię także pp. A. Mazanowski i F. Koneczny, autorowie popularnych charakterystyk i biografii Mickiewicza ¹⁾).

Chcąc rzucić kilka promieni nowego światła na tę sprawę, przypomnę przedewszystkiem, w jakich warunkach poeta tworzył swoje arcydzieło. Opowiada to szczegółowo Władysław Mickiewicz w tomie II swej doskonałej biografii ojca, opierając się głównie na korespondencji wieszcz ²⁾). Równie dokładnie rozwija ten przedmiot p. Biegeleisen w pierwszym rozdziale swej monografii, mającej głównie wartość analityczną, albowiem autor z wielkim trudem i bardzo szczegółowo wydzielił najdrobniejsze składniki, wyszukał wszystkie cegiełki i części, użyte do wzniesienia poetycznej budowy, poczynawszy od podwalin, aż do wierzchołków dachu.

Rozpoczął Mickiewicz pracę nad „Panem Tadeuszem“ w końcu 1832 roku, ukończył w lutym 1834 roku, prowadząc ją nie bez przerw i kłopotów, których najwięcej przysporzyła mu choroba przyjaciela, Stefana Garczyńskiego, oraz podróż, odbyta do Szwajcaryi i Marsylii dla osłodzenia ostatnich chwil biednego suchotnika. Podczas tej pracy poeta mieszkał w Paryżu i obracał się w atmosferze emigracyjnej,

¹⁾ La Pologne... et ses trois poètes: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, 1864, Leipsig, F. A. Brockhaus, Londres Trübner et Comp., bez nazwiska autora, str. 24.

Uwagi nad „Panem Tadeuszem“ A. Mickiewicza przez Zatheya Hugona, Poznań, 1873.

Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski, 2 tomy, Warszawa, 1886, nakład Gebethnera i Wolffa.

Arcydzieło poezyi polskiej, A. Mickiewicza „Pan Tadeusz“, studjum krytyczne Walerego Gostomskiego, Kraków, nakład księgarni spółki wydawniczej, 1894.

Adam Mickiewicz przez Józefa Kallenbacha, 2 tomy, Kraków, 1897, nakładem spółki wydawniczej.

A. Mazanowski: Charakterystyki literackie pisarzy polskich, II. Adam Mickiewicz, № 207—209 Biblioteki Powszechnej, nakładem Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie.

Życie i zasługi Adama Mickiewicza, napisał F. Koneczny, Kraków, 1898, nakładem „Czytelni Polskiej“.

²⁾ Żywot Adama Mickiewicza podług zebranych przez siebie materiałów i z własnych wspomnień opowiedział Władysław Mickiewicz, tomów 4. Poznań, 1892 (patrz tom II, str. 264 i następne).

która z wielu powodów była dla niego nieznośną. Stolicy Francji nie lubił. Biorąc udział w ruchu emigracyjnym z dobrą wiarą i poczuciem obywatelskiego posłannictwa, gryzł się wadami agitatorów i doktrynerów, którzy wydawali mu się „głupi solennie, krzykliwi i nie-dołęzni“. Ciężkie i gorzkie były dla niego stosunki wśród nieszczęsnego wychodźstwa, które znalazło się nagle na bruku paryskim w dobie gorączkowej, wśród zamętu pojęć politycznych i społecznych, wśród wykluwania się różnych prądów i teorii reformatorskich. Wychodźcy nasi wówczas mieli przewodnią ideę, cierpieli i starali się pracować dla jej wcielenia, mieli poczucie wielkiego posłannictwa; ale, oderwani od rodzinnego i realnego gruntu, z konieczności musieli działać w próżni, wielu zaś z nich marnowało swe siły na sejmikowanie i dysputy, obracając się w błędnem kole

Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów.

Opanowała wtedy poetę — jak to sam przyznaje we wstępie do „Pana Tadeusza“ — wielka tęsknota za utraconą niepowrotnie przeszłością, za krajem lat dziecińczych, co

zawsze zostanie

Święty i czysty, jak pierwsze kochanie;
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Cofnął się wtedy wieszcz w głębie własnych wspomnień i szukał pociechy w pracy twórczej, która koiła mękę i gorycz terażniejszości, kołyszając myśli stargane i pozwalając skleić harmonię „duszy rozbitej na kawały“. Tęsknota nieokreślona i głęboka odzywała się od wieków w pieśni słowiańskiej; tęsknota za utraconem szczęściem, tęsknota do wymarzonych ideałów, jest jednym z głównych uczuć twórczych poezji naszej. Z potrzeby ukojenia tej tęsknoty wyrosło największe jej arcydzieło: „Pan Tadeusz“.

Historja tworzenia poematu, wyjaśniona bardzo dobrze przez biografów i krytyków, odsłania nam ciekawą tajemnicę płodności artystycznej. Z nasion, rzuconych w zagon czarnoziemu, rozwijają się powoź zboża i warzywa, chociażby ogrodnik, który grzędy uprawiał, przystąpił potem do innej pracy. Tak samo dzieło tworzenia, rozpoczęte w wewnętrznym warsztacie duszy, rozwija się na mocy swej siły przyrodzonej, chociażby nawet zewnętrzny bieg wypadków popychał twór-

cę w innym kierunku. Wiem z doświadczenia, że można prowadzić pracę literacką, zapłodnioną przez wrażenia i wpływy dawniejsze, wtedy nawet, gdy stanowi ona rozdzwięk ze sprawami, pochłaniającymi energię umysłu w chwili bieżącej. Praca taka może być ulgą i ochłodą w stanie przewlekłego niesmaku lub trwałego bólu, gdy nas trapi niepowodzenie, gdy gorycz krzywd i zawodów przepelnia serce. Skoro się obudzi w duszy popęd twórczy, wtedy zasoby dawniejszych wrażeń myśli i uczuć, prawem siły nabytej pchają dzieło naprzód.

Mickiewicz, pisząc „Pana Tadeusza“, był w rozmachu, „kropił wiersze“, czując ducha poetycznego, chociaż w jego wnętrzu zaczęły już pracować nowe czynniki moralno - mistyczne, pod których wpływem wieszcz nie „pisał“ potem, ale „robił poezję“, niestety... bezpłodną.

Z prostotą pierwotnego epika traktował z początku swoją „powieść szlachecką“, „poema sielskie“, pisane na wzór „Hermana i Doroty“, zaznaczając w liście do Odyńca (z d. 8 grudnia 1832 r.), że podobna się ono „szlachcie tutejszej“. Ale dla gieniusza, tak na wskroś oryginalnego, ta mieszczańsko - idylliczna epopeja mogła być nie wzorem, tylko potrąceniem twórczego rozpędu.

W czasie pracy twórczej rozsadził ramy powieści szlacheckiej ten sam patos potężny, pod którego wpływem rozrosła się zasadnicza idea „Dziadów“. Z poematu uczuć osobistych stały się one dramatem miłości, pojętej jako potęga uczuć zbiorowych i wielkiego bólu milionów, który ku niebiosom sięgał z protestem przeciw niezłomnemu rozumowi, co rządzi światem.

W „Panu Tadeuszu“ Mickiewicz trzymał się realnego gruntu, nie pragnął, niby orzeł, bujać po niebie, „widząc przyszłe wypadki i następne lata“, ale chciał być twórcą ksiąg prostych, jak „ludowe piosenki.“ Faktem jest jednak, że pierwotny pomysł powieści podniósł do wyżyn epickich.

W sposób bardzo przekonujący wykazał prof. Kallenbach ¹⁾; że poeta, wprowadziwszy do powieści, która się rozwijała w obrębie zaścianków i puszczy litewskich, tragiczną historię Jacka Soplicy, otworzył tem samem wrota z zagrody wiejskiej na gościniec wielkich wypadków 1812 roku. Wskrzesał przez to wspomnienie owej chwili, gdy po upadku Rzeczypospolitej myślano, że koła armat Napoleońskich wyślą nową koleję historii, że armia wielkiego Korsykanina odrobi chociaż w części katastrofę rozbioru Polski szlacheckiej.

¹⁾ Cytowane wyżej dzieło, tom II, str. 129 i następne.

Uciekając od rzeczywistości gorzkiej i gnębiącej, Mickiewicz pograżył się we wspomnieniach wiosennych, żywo odbitych w jego umyśle chłopięcym:

O wiosno, kto cię widział w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna,
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!

Wbrew znanym słowom Danta: „nic bardziej nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli“, znalazł Mickiewicz ukojenie w tych wspomnieniach.

III.

Stosunek poety do wspomnień przeszłości jest jednym z głównych rysów podobieństwa „Pana Tadeusza“ do epepei pierwotnych. Mickiewicz utrwalił na wieczne czasy wizerunek pokoleń, które żyły wśród dawnego ustroju, ukazał ostatnie porywy fantazyi rycerskiej, oraz rozbijałego indywidualizmu, który rozsadził wiązadła budowy politycznej dawnej Polski. Zarzucał mu wprawdzie Witwicki, że nie tworzył poezyi w wielkim stylu, że pokazał „Polskę od szarego końca, w taratatace folwarcznej, zaściankowej“; ale Witwicki nie rozumiał logiki wielkiego talentu. Tak samo Niemcewicz pragnął, żeby autor „Dziadów“ opiewał czyny bohaterskie ziomków podczas wojny w 1831 roku. Podobne żądania stawia czasami poetom płytka krytyka, nie zdając sobie z tego sprawy, że prawdziwa, wielka sztuka, nie może powstać, gdy artyści podejmują tematy im narzucone, których nie odczuli i nie przetrawili we własnem wnętrzu. W arcydziełach poezyi, opartych na gruncie realnym—a takim jest właśnie „Pan Tadeusz“—posługiwanie się materiałem wrażeń rzeczywistych, bezpośrednio odczuty, jest ważnem tak samo, jak użycie dobrej przędzy jedwabnej dla utkania wyborowej materyi.

Wbrew zdaniu Witwickiego, słusznie twierdzi profesor Kallenbach, że Mickiewicz w wyborze tematu dał dowód wielkiej bystrości,

albowiem „uchwycił ostatnie szczątki tej ogromnej masy szlacheckiej, która była zarazem szarą korą mózgu narodowego i w ubiegłych wiekach nadała świadome, niestarte piętno indywidualności polskiej.“

Zabawnie też na podstawie pierwszego wiersza „Pana Tadeusza“ oskarżał Witwicki Mickiewicza o prowincjonalizm, który był dla poety ważnym czynnikiem, ale tylko... literackim. Wojując z recenzentami warszawskimi, nazwał się Mickiewicz, z odcieniem ironicznej pokory, pisarzem prowincjonalnym, chociaż czuł, że nie tylko talentem, ale i wiedzą góruje nad całym zastępem Iksów stołecznych. Do końca życia mówił podobno z lekkim odcieniem litewskim, co się zdradza w paru rymach poematu, np. gdy Wojski opowiada o przypadku na polowaniu, który

...zdarzył się największym strzelcom naszych czasów,
Posłowi Rejtanowi i księciu Denassow.

albo też we wzmiance o wielkich czynach Napoleona, boga wojny, co...

Od puszczy libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, Austerlitz. Zwycięstwo i zabór
Biegły przed nim i za nim.

Najbardziej to widać w jednym przemówieniu Kropiciela podczas rady w zaścianku Dobrzyńskim:

Panie Buchman. waścina rzecz bardzo wymowna,
Ale wymowa szum, drum, kropić, to rzecz *główna!* ¹⁾

W tych miejscach znać, że poeta wymawia o kreskowane wedle dyalektu miejscowego, jakby było otwartem.

Pamiętam taki sam lekki prowincjonalny odcień w głosie Odyńca, gdy na zebraniu literackim przed kilkunastu laty deklamował z wzniesionymi w górę oczyma wiersz Mickiewicza: „Rozum i wiara“.

¹⁾ Wydanie warszawskie z 1858 r. Tom III, ks. V, stron. 149, ks. 1, stron. 36; ks. VII, str. 191.

Paniel mą pychę duch pokory wzniecił
Choć górnie błyszczę na niebios błękiecie,
Paniel jam blaskiem nie swoim zaświecił,
Mój blask jest słabe twych ogniw odbicie!

Sędziwy poeta wtedy mówił z przyspiewem, a końcówka w wyrażeniu *ogniów* brzmiała otwarcie, po litewsku. Wielki mistrz Odyńca, oraz inni poeci tej grupy, zawdzięczają w znacznej części swą oryginalność temu sympatycznemu prowincjonalizmowi, który ani na chwilę u Mickiewicza nie stawał w poprzek szerszym uczuciom, oraz ideałom. Kochali oni pamiątki, obyczaje i naturę okolic, w których wyrosli, a to właśnie stanowiło ich żywą siłę w poezyi, która, odrywając się od rodzinnego gruntu, nieoparta na wrażeniach oczywistych i uczuciach szczerych, wpada często w mglistość, lub staje się igraszką kunsztownej formy. Przecież poezye Homerowe tworzone były w dyalekcie staro - jońskim, a pomimo to zostały księgami świętymi dla całej Hellady.

Mickiewicz czuł głęboko wartość rodzinnej tradycyi, która przechowuje drobne nawet pulsujące wewnętrzznego życia, rysy osobiste i obyczajowe, ginące w urzędowych dokumentach, lub opowieści dziejopisów.

Zresztą poezya zwykle zostawia na boku wielkich ludzi i największe wypadki. Szuka ona przedmiotów i figur, otoczonych urokiem tajemniczym. Ucieka czasem od historyi, ale słucha chętnie, co jej szeptem do ucha legenda, ta rozkoszna bajczarka, pamiętająca świtanie „jutrzenek mlecznych“ w życiu narodów. Na bohaterów tragedyi lub eposu nie wybiera takich mocarzy, jak Aleksander Macedoński, Cezar, Karol Wielki lub Napoleon, ale władców mniej głośniejszych, jak Ryszard III, Marya Stuart, małych królików, książąt i wodzów, jak Hektor, Achilles, Odysseusz, Lear, Makbet, Hamlet, Popiel, Koryolan lub Wallenstein, albo takie postacie, jak Otello, Romeo, Faust, Manfred, niemające żadnej historycznej rangi.

Największe figury dziejowe w poematach, lub utworach dramatycznych, kurczą się czasem i maleją, jak np. Cezar w tragedyi Szekspira, lub Atylla w „Pieśni o Nibelungach“, obaj bardzo marni, niepekazni, tak, że, chcąc pojąć ich prawdziwą wielkość, trzeba rzucić w kąć poetów, a wziąć do ręki Mommsena lub Amadeusza Thierry. Poeci omijają olbrzymów dziejowych, lekceważą często prawdę historyczną (nawet lekkomyślnie, jak to robił Szyller), ponieważ nie są oni zwykłymi referentami życia ludzkiego, ale tworzą jakby ciąg jego dalszy, dają obrazy światów zmyślonych, które jednak wierniej czasem, niż kro-

niki lub dzieła historyczne, odbijają wewnętrzną prawdę rzeszy i duszy człowieczej.

Nic więc dziwnego, że Mickiewicz znalazł wątek bohaterski dla swego poematu nie w historii wielkich bitew Napoleońskich, ale w opisie czynów nadzwyczajnych jakiegoś szlachcica, który w województwie Nowogrodzkim około 1807 roku pobił na zajęździe cały garnizon i dowódcę jego wziął do niewoli ¹⁾.

Zajazdy, jako sposoby egzekucji wyroków trybunalskich za pomocą gromady zbrojnych adherentów, zdarzały się, jak wiadomo, zwłaszcza w ostatnich latach Rzeczypospolitej, świadcząc o wielkiej słabości władzy wykonawczej. Były to zwyczajem uświęcone akty swywoli, podszywającej się pod pozory prawa. Tak samo zajazd szlachty na dwór Soplicowski w „Panu Tadeuszu“ jest wynikiem rozbujającego indywidualizmu oraz prywaty, dla osobistej nienawiści igrającej lekomyślnie ze sprawą publiczną. Podobnie i walka szlachty z wojskiem rosyjskiem, rozpoczęta w sposób szalony, bez względu na potrzeby kraju, prowadzona była z męstwem i dzielnością, ale bez wielkiego ładu i komendy. Wobec wspólnego niebezpieczeństwa szlachta zapominała o swarach domowych, biła się po bohatersku; ale, pomimo solidarności, nie skupiła wszystkich sił pod kierunek jednej górującej woli. Każda jednostka działała na własną rękę, miała fantazję i rozprężliwość gazu, którego atomów nie trzymają w spójni ściany naczynia.

W tych epizodach, oraz na wielkiej scenie Rady, poeta przedstawił wybornie szcztatkowe cechy ustroju społecznego, który zaginął na zawsze, chociaż przetrwały jeszcze związane z nim rysy charakteru narodowego.

Stojąc na progu nowych czasów, Mickiewicz przekazał potomności, podobnie jak epicy pierwotni, obrazy epok minionych, niepowrotnie zamkniętych. Tak samo z epopei Homerycznych Grecy starożytni poznawali życie wewnętrzne swych pradziadów w epoce, gdy obyczaje były jeszcze barbarzyńskie, gdy ustrój społeczny polegał na patriarchalnym stosunku króla do gromady, gdy instytucje polityczne nie miały jeszcze form skryształizowanych; a kobieta w życiu domowym cieszyła się pewnym stopniem samodzielności i swobody, którą potem straciła, zamknięta pół-niewolniczo w gynieceum, zapewne wskutek wpływu obyczajów wschodnich. Pan Habura, zestawiając poemat Mickiewicza z „Iliadą“ w rozprawie, pełnej sądów mętnych i naciąganych do

¹⁾ Prof. Józef Kallenbach, cytowane wyżej dzieło. Tom II, str. 126 i następné.

tezy z góry postawionej, robi jednak trafną uwagę, że Homer przedstawił swój naród w chwili młodości, gdy bohaterowie na własną rękę działać zaczęli, tymczasem nasz poeta ukazał naród w epoce sędziwości, w chwili zejścia z widowni politycznej, i ten pochod do grobu całego pokolenia odmalował wspaniale ¹⁾. Porównanie to jest słuszne, o ile tycze się zamknięcia okresu politycznego życia Polski szlacheckiej, ale katastrofa polityczna nie idzie w parze bynajmniej z wyczerpaniem się rasy, posiadającej do dziś dnia żywiołową siłę, jak tego najlepiej dowodzi statystyka. Mickiewicz nie chciał przedstawiać schyłku życia narodu, ale uchwycił chwilę szczęścia i nadziei, która oświecała właśnie zmrok dawnej a zaranie nowej epoki, a sam pan Habura przyznaje, że w ostatnich scenach epepei poeta zwrócił się ku przyszłości.

Epopeje indyjskie nie są tak plastycznym odtworzeniem prawdy, jak Homerskie: pierwiastek legendowy góruje w nich nad realnym, fantazyja jednym skokiem przebywa przestrzeń, dzielącą ziemię od nieba. Jednakże poematy te są odbiciem pierwszego wojowniczego stanu Indów; bohaterstwo łączy się w nich z ascetycznym nastrojem moralności i teologii bramińskiej, która świeżo ugruntowała swą potęgę. W „Pieśni o Nibelungach“ legenda, zmieniając dowolnie fakta dziejowe, przedstawia świetność rycerstwa i odbija charakter epoki przejściowej, gdy resztki ducha pogańskiego pokutowały w formach chrześcijańskich, a ludzie zachowali jeszcze okrucieństwo, oraz nieokielznanie namiętności bohaterów i półbogów mitycznych.

Tak samo „Pan Tadeusz“ na długie wieki będzie mówił żywo o zaginionych kształtach, niby odłam skały, zawierającej odciski roślin i zwierząt przedpotopowych ²⁾. Szczególnie w gromadzie szlachty zaściankowej poeta ukazał szereg figur o rysach tak silnych, tak oryginalnych i jaskrawych w porównaniu z ludźmi naszych czasów, że przybierają odcień *heroiczny*. Nie są to zapewne bohaterowie, obdarzeni nadludzką potęgą, jak Achilles, na którego krzyk tłum wrogów pierzchał, jak Hektor, który rozbijał bramę obozu greckiego głazem, co go trzy konie z miejsca ruszyć nie mogły, jak Dankwart w „Nibe-

¹⁾ Fr. Habura: „Pan Tadeusz a Iliada“, Kraków, nakładem autora, 1878.

²⁾ Znaczenie poematu, jako dokumentu tradycji, określa trafnie Hugo Zathay i p. Biegeleisen w cytowanych wyżej dziełach, a szeroko rozwija ją p. Gostomski, którego książka, pomimo pewnych rozwlekłości i nieco ciężkiego chwilami wykładu, napisana jest bardzo pięknie, oparta na podstawach analizy głębokiej, a jednak wolnej od pedanteryi i szkolarstwa.

lungach“, torujący sobie drogę mieczem przez tysiące tłumów, albo narzecie jak Rama, niestrudzony w trzydniowej walce z królem demonów, Rawaną, aby z jego niewoli wyrwać drogą małżonkę. Jednakże w bitwie z wojskiem regularnem Maciek stary dokazuje cudów, Konewka z garlacza kładzie tuziny żołnierzy, Kropiciel i Brzytwa gromią przeciwników straszliwie:

Ten ich w pól ciała rzeza, tamten w głowy wali,
 Jako machina, którą niemieccy majstrowie
 Wymyślili, i która młockarnią się zowie,
 A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże,
 Razem i słomę kraje i wybija zboże —
 Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,
 Mordując nieprzyjaciół, ten z góry, ten z dołu.

Cała ta walka, przypominająca nawet utarczki Homerowskie w pojedynku Hrabiego z Kapitanem, jest obrazem epickim w wielkim stylu. Wobec dzisiejszej sztuki wojennej, która stutysięczne armie posuwa, jak figury na szachownicy, według planu, obmyślonego matematycznie, niemożliwe są już wysiłki osobistej energii, lub genialne pomysły domorosłych strategików, jak np. zwalenie sernicy na trójkąt uszykowanego pod parkanem wojska.

Malując życie epoki zamierzczałej, staje poeta na poziomie pojęć i wyobrażeń jej synów, przedstawia zetknięcie się pierwiastku rodzimego z naleciałościami obcemi. W perorach, jakie prawią Sędzia i Podkomorzy o dawnych obyczajach i o powadze tradycyi, przebija się moralizatorstwo i rezonowanie, a więc składnik etyczny celowy, nieznanym w eposejach Homerowskich, których bohaterowie stoją na gruncie tradycyi bez zastrzeżeń, i nie potrzebują jej bronić wobec nowych prądów.

Rzecz godna uwagi, że dla podniesienia kolorytu i wartości rodzinnej życia ówczesnego, wprowadził wyborne, jako artystyczny kontrast, figury Telimeny i Hrabiego, a których wpływy cudzoziemskie przybierają formy komiczne, lub pretensjonalne.

Chociaż stary obyczaj był mało wytworny, a po wsiach często prostacki, forma ubrania nadto jaskrawa (boć kontusz i buty kolorowe są pochodzenia wschodniego); jednakże faktem jest, że oświata francuska, jednocześnie z ideami zbawiennych reform i nowego ruchu umysłowego, wprowadziła do dawnej Polski w literaturze sztuczność i rutynę, w modzie przesadę i wyrafnowanie, w obyczajach zniewieściałość i zepsucie. Zabijając poczucie prawdy i szczerości, wpływy fran-

cuskie narzuciły fantazyi lackiej wykrętne formy *rococo*. W Telimenie i Hrabi, który zresztą pod koniec poematu szlachetnieje i rośnie, poeta uwydatnił tężnaną prawdę, że naśladowcy obcej kultury, przybierając jej cechy zewnętrzne, wpadają przez to w śmieszność i przesadę. Schłostał w nich nietylko manię cudzoziemczyzny, ale i pogardę swojskości, szczególnie w pysznej figurze Telimeny, dotkniętej zgnilizną moralną i obojętnością na sprawy rodzime. Niestety, z pamiętników współczesnych młodości Mickiewicza (szczególniej z pamiętników Bajkowa), można się przekonać, że poeta niedaleko potrzebował szukać wzorów dla wizerunku tej damy, że podobne wietrznice bezmyślne i płocze trafiały się w sferach najbardziej dotkniętych korupcją w końcu zeszłego i początku obecnego stulecia. Telimena jest czysto powieściowym składnikiem „Pana Tadeusza“, który zrazu miał być tylko powieścią. Może się ona pomieścić w poemacie tak samo, jak Thersytes lub scena miłostek Heleny w „Iliadzie“, jak opowiadanie o schadzce Afrodyty z Marsem w „Odyssei“; jak stara grymaśnica Kekeya w „Ramayanie“, jak romans Tankreda i Armidy w „Jeruzolimie wyzwolonej“. Choć klasycy warszawscy, nie mogąc darować Mickiewiczowi swego pogromu, długo jeszcze mruzczeni, że niepotrzebnie skaził poemat figurą tej petersburskiej... nierządniczki. Telimena ma zapewne swe grzeszki, ale na taki ostry epitet nie zasługuje, bo niemniej od niej broiły i broją damy, mające znaczenie i pozycję w salonach. A jednak bez niej, bez hrabiego, nie było-by wielu wyborynych miejsc poematu, Tadeusz nie miał-by sposobności wypowiedzenia swych cudnych zachwyków nad niebem, grą obłoków, nad powagą i czarem lasów litewskich.

Obok tych figur poeta roztoczył nad całym życiem Soplicowa jakieś tęczę czarodziejskie, stworzył atmosferę błogości i ciszy wiejskiego życia.

Nie zamykał on oczu na grzechy i błędy rodaków, chłostał prywatę i niesformość; ale nic dziwnego, że w poemacie, opartym na tradycyi, sarknęła przez usta współczesnych na głupią modę, że ubarwił ciekawe i rozkoszne strony obyczajów staropolskich.

Zresztą bezwzględne pochwały dla przeszłości wygłasza nie poeta od siebie, ale osoby poematu, zwłaszcza pan Podkomorzy, który miał dużo racyi, żartując z komicznej figury pana Podczaszyca, co w tych okolicach pierwszy był zwiastunem obcej mody:

Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstituować,

Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni
 Zrobili wynalazek, że ludzie są równi,
 Choć o tem dawno w Pańskim pisano Zakonie,
 I każdy ksiądz to samo gada na ambonie.
Nauka dawno była, szło o jej spełnienie,
 Lecz wtedy panowało takie zaślepienie,
 Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
 Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.

Głębszą prawdę powiedział pan Podkomorzy, niż mu się zdawało. Nauka miłości i równości znaną była jako ideał, unoszący się ponad życiem, ideał niewcielony i zaprzeczany często w praktyce przez tych, co wyzyskiwali dla swego egoizmu chrześcijańskie hasła. W Polsce dawnej ta republikańska strona chrystyanizmu była dobrze znaną, w jednym co prawda tylko stanie uprzywilejowanym, chociaż zasada równości szlachcica z wojewodą była frazesem, któremu urągała tak często duma magnatów, oraz serwilizm ich adherentów.

Nie trzeba zresztą zapominać, że Mickiewicz ani razu nie sarknął na naukę, na postęp oświaty, żartując jednocześnie z pretensjonalnej uczoności Buchmana, z płytkich poglądów artystycznych hrabiego, z ignorancji Sędziego i przesądów kapitana Rykowa. W imię tradycji nie idealizował poeta, jak to czynili niektórzy jego następcy, ani tyranii domowej, ani ujemnych stron szlacheckiego życia, nie podnosił cywilizacyjnej myśli monitora boćkowskiego, nie silił się na poezję kielicha i kufla, biesiady i pijatyki. A jednak ta strona „Pana Tadeusza“ dała powód jednemu z pisarzy radykalnych, mającemu przed oczyma tylko szmaty swych doktryn, do oskarżenia poety o *wsteczność*.

W ulotnem piśmku emigracyjnem „Demokrata polski“, wychodzącem w Poitiers, w numerze z d. 4 grudnia 1833 roku, gniewał się p. Tomkiewicz na to, że „Pan Tadeusz“ jest „najnierozumniej wystawianym“, albowiem autor „wynurzył w nim barbarzyńską nienawiść przeciwko umysłowemu ruchowi i rozwinięciu Polski.“ Krytyk pragnął, aby w każdym wierszu poematu występowała „zasada socyalna“, zupełnie tak samo, jak pewne grono panien, które uczyłem deklamacyi na „Panu Tadeuszu“, pragnęło poety bardziej czerwonego, zanim wytłumaczyłem tym zapalonym główkom, że muszą tymczasem poprzestać na Mickiewiczu, albowiem Marx i Lassalle nie pisali poezyi po polsku.

Z demokratycznego jednak punktu widzenia, poeta przekazał piękne rysy tradycyi, jak np. owo usługiwanie włościanom przez nowych dziedziców, Tadeusza i Zosię, podczas uczty zaręczynowej. Zwyczaj ten, to zapewne pozostałość z owych dobrych czasów, gdy szlach-

cie był patryarchalnym zwierzchnikiem włościan, nieprzytwierdzonych do ziemi pętami niewoli. A gdy Tadeusz, w porozumieniu z Zosią, ogłosił potem uwolnienie chłopów swoich z poddaństwa, ten fakt wywołał wybuch powszechnej radości szlachty, wojska polskiego i ludu. Ta emancypacja włościan, jak twierdzi p. Fr. Habura w cytowanej już broszurze, ma być naczelną ideą utworu. Artystycznie biorąc, scena ta jest epizodem, częścią współrzedną, bynajmniej nie koroną całości poematu, którego nie należy wtłaczać w ramy polityczno-społeczne, ponieważ ma daleko ogólniejsze, narodowe znaczenie. Ten ustęp nie jest kłamrą dzieła, ale ogniwem, łączącym przedstawianą epokę z postulatami i prądami przyszłości.

Zamiar Tadeusza na długie lata został jeszcze marzeniem, ale w danej chwili był zwiastunem twórczych idei naszego wieku, wywołał z piersi wszystkich obecnych jeden z tych akordów bratniej harmonii, które kilka razy brzmią potężnie w ostatnich pieśniach poematu, niby dźwięki pieśni, nuconej *unisono* przez tysiące ludu.

V.

Drugą cechą wspólną „Pana Tadeusza“ z epopejami samorodnymi jest *wiara*, prosta i szczerza, chociaż „ma się rozumieć, nie tak naiwna, jak w arcydziełach poezji pogańskiej. W „Ramayanie“ i „Mahabharacie“ wiara metafizyczna i skrzydlata każe bogom wcielać się w ludzkie postacie, dla pokonania potwornych demonów, albo sprowadza ich z górnego nieba, aby patrzyli na dzieła bohaterskie, siedząc w obłokach, niby w apoteozie operowej.

W poematach Homerowych stosunek bóstw do człowieka jest jeszcze bliższy, wiara kojarzy się z zabobnem, jest bezkrytyczną, nie nakazuje ludziom wielkiego szacunku wobec niebian. Bogowie Olimpu są potężni, ale pospolitują się zanadto, mieszają się ciągle do swarów ludzkich. Wojacy godzą na nich orężem, boginie intrygują i kłócą się, jak przekupki, Odysseusz za życia wkracza do krainy umarłych, koryzta tak samo z wdzięków nimf i bogiń drugiego rzędu, jak Zeus z miłości ziemianek.

W epoce, gdy krytycyzm zaczął trochę już podkopywać wierzenia pierwotne, starożytni dziwili się ułomnościom bóstw swoich. Wergiliusz w „Eneidzie“, przejęty litością nad losem bohatera, woła:

Muzo, wykaż mi źródło, czemu obrażona
Tyle trudów i przygód zesłała Junona
Na męża, co go wślawił żywot świętobliwy?
Takież-to bogów nawet rozjątrząją gniewy?

(Przekład Fr. Wężyka, Kraków, 1888, str. 12).

W ostatnim wierszu, jak i w całym poemacie, widać, że Wergiliusz traktuje podania mityczne nie w sposób naiwny, ale po literacku, jako formy wierzeń ustalonych, że nie mają one dla niego tej siły obowiązującej, co dla poetów z epoki bohaterskiej. Dla nich wiara była naprawdę węzłem, łączącym niebo z ziemią, była siłą młodzieńczą, przenikającą całe istnienie drganiem żywotnem i płodnością, albo jak u Indów, tchnieniem Bożego ducha, który się wciela we wszystkie formy życia przyrody i człowieka.

Grecy spoglądali na ludzkie sprawy z wielką pogodą. Ich etyka pobłażała nawet niższym namiętnościom, które miały na Olimpie swych protektorów i przedstawicieli.

Pod tym względem poematy indyjskie mają daleko wyższy poziom etyczny. Bohaterowie ich, wyszkoleni w ascezie, są mniej estetyczni, ale szlachetniejsi, bardziej idealni od greckich wojaków i żeglarzy, w których grają nieraz bardzo grube instynkta mordu i łupieży.

Dostojność moralna poezji Mickiewiczowskiej jest bardzo wielka. Sam wieszcz, jako charakter, należy do najczystszych i najpiękniejszych postaci w rzeszy wielkich poetów. Można go postawić obok Danta i Milтона pod względem napięcia powagi duchowej, harmonii pomiędzy słowem i czynem, ideałem a życiem. Ta dusza czysta, uznająca za naczelny dogmat życia promieniowanie miłości, nie była zapewne wolną od słabostek ambicyi, miała chwile szałów i krewkich odurzeń. Przekraczał jednak Mickiewicz nie tylko przeciętną miarę ludzkiej wartości, ale, jako charakter, lśnił blaskiem i ciepłem wiosennego słońca. Tymczasem u artystów i poetów wrażliwość i nadczułość bywają najczęściej matkami egoizmu, a ruchliwa fantazja nie zawsze pozwala charakterowi stężeć w kształtach trwałych i szlachetnych. Dzisiaj, gdy w sztuce stał się modnym indyferentyzm moralny, gdy niektórzy esteci i dekadenci, obok smakoszewskiego zamięłowania formy, okazują dziwny pociąg do zgnilizny—ta czysto ludzka strona życia i czynów wielkiego poety może być pięknym przykładem. Co więcej, powinna być przestrożą, że wykwint formy nie okupuje czczości myśli i próżni moralnej, że kabotyzm, wirtuozostwo lub kuglarstwo w sztuce nie zrobią z niej nigdy karmicielki duszy.

Mickiewicz w epoce pisania „Pana Tadeusza“ nie był jeszcze późniejszym apostołem, nie skupiał sił ducha w ascezie, nie zaprzepaszczał

jasności rozumu w zawrotnych, chociaż szlachetnych, obszarach mistyki messyanicznej. Wiara jego była wtedy, jak zawsze, *siłą żywą*, która pracuje i rozwija się niezależnie od ustalonych form religijnych, szanowanych zresztą ściśle przez poetę. On, dumny arcy-mistrz, poufale ośmielał się „gadać z Tym, co króluje w niebie“, i „na Jego łono wylewać burzę, we lzy roztopioną“—ale dar swój wieszczu uważał zawsze za łaskę Bożą.

Po ukończeniu „Pana Tadeusza“, nazajutrz, w kościele Saint Louis d'Autin, wysłuchał mszy z przyjaciółmi, z którymi dzielił rozkosze tworzenia,

Wiara łączy się w „Panu Tadeuszu“ z uczuciem rodzinnem i z wiarą ludową w kulcie Boga-Rodzicy, której cudowi, uproszonemu przez modły i lzy matczyne, poeta, wedle swego przekonania, zawdzięczał w latach dziecięcych powrót do zdrowia w ciężkiej chorobie. Na cześć wiosennego święta Królowej Niebios cała natura stroi się uroczyście:

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietnej. Pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste, wokoło ziemi rozciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała sama jedna
Podlatuje i skrzydła w błękitcie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Pobożność Mickiewicza, szczerą i głęboką, nie jest sztuczna, ani wymustrowana, ma jakby świeżość wiary pierwotnej, która łączy człowieka ze sferą nadziemską, każe mu w życiu widzieć znaki mocy, rządzącej światem. Tylko tak wielki w swej prostocie poeta mógł napisać obraz nabożeństwa wiejskiego (w księdze XI), taki cudny i rzeźwiny, że ścisnęło mi się gardło, gdym go po paru latach niedawno odczytał.

Wiara, zbratana z uczuciem, przodującym w poezynaszej, rozlewa blask nadziemski w końcu przepięknej spowiedzi Jacka Soplicy. Przed zgonem, jako dobry katolik, chciał zmyć winę burzliwej młodości przebaczeniem, z ust wroga płynącym. Otrzymuje w tej chwili wieść radosną dla kraju, i ten niegdyś zabójca, później żołnierz i putnik, żegna życie z ciszą i pogodą, zapatrzony w świtanie zaziemskich blasków.

Jednym słowem, wiara, o ile objawia się w „Panu Tadeuszu“, jest aktem podniesienia duszy, porywem *uczucia* i tęsknoty ku zaziemskiej krainie.

Zupełnie inną np. jest potężna religijność Danta: jego wiara, ujęta w system wspaniały, wykończony w swej budowie, połączony z kodeksem prawd bezwzględnych, moralnych i politycznych, według których poeta sądzi siebie i całą swoją epokę z nieubłaganą konsekwencyą. Epopeja Danta to wynik wysokiej samowiedzy religijnej i literackiej, arcy wzór architektoniki i stylu. Pomimo jednak siły natchnienia i religijnego nastroju, poeta włoski jest w pewnych szczegółach sztucznym. Na początku Pieśni odzywa się do Muzy, przy wstępie do czyściska przemawia do Kalliopy, u wrót raję błaga Apollina w długiej przemowie i obiecuje uwieńczyć go laurem, jeśli pozwoli mu „godnie objawić, wyryte w głowie, Państwa świętego zarysy“¹⁾. Tą niekonsekwencyą grzeszą prawie wszyscy epicy z epoki Odrodzenia, na których mózgu ciężą pomysły i wspomnienia, przejęte z literatur starożytnych.

Od nieszczerości podobnej wolne są epopejesamorodne, nietylko literatów pogańskich, ale i „Pieśń o Nibelungach“, w której wiara i pierwiastek religijny słabo się przejawia. W kilku miejscach poematu widać uległość dla panującej religii oraz gorliwość prawowierną głównej bohaterki, Krymhildy, poślubiającej poganina Atyllę, aby go skłonić do wiary prawdziwej. Znać tu jednak, że chrystyanizm jest zewnętrzny tylko pokostem natur barbarzyńskich, dyszących niepokrośmioną ambicyą i pragnieniem zemsty. Chwilami błakają się natomiast resztki pogańskich legend z „Eddy“ o smoku czarodziej-kim, nadającym bohaterowi cudowne przymioty.

Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ potrąca także o legendę i zaboron ludowy, opisując matecznik, jako błogosławione królestwo zwierząt i roślin, jako tajemniczą, niedostępną ustron, pełną moczarów i jeziorok „z plamistą rdzą krwawą“, w których wnętrzu, „wielkie jest podobieństwo, że dyabły siedzą“. Przed wybuchami wojny lud snuje wróżby ponure z ukazania się komety, z krzyku ptaków drapieżnych, a strażnicy leśni widzą straszną postać morowej dziewicy. Mickiewicz uważał zawsze wiarę ludową jako jeden z czynników odświeżenia poezji. Dla tego też w sposób naturalny, bez podrabiania, zbliżył się do prostoty pierwotnych epików, zwłaszcza malując wiernie nastroj, umysłów, żyjących w ciszy zaścianka, kołysanych szumami puszczy prastarych.

Zresztą, tak, jak wszyscy poeci gienialni, posiadał on w najwyż-

¹⁾ Dante Alighieri: „Boska komedia“ przekład Stanisławskiego. Kraków 1887, str. 495—6.

szym stopniu *wiarę potężną*, to jest nadzwyczajny dar przejmowania się wizjami i płodami wyobraźni, ten czartwórczy, dzięki któremu, obrazy zmyślane stają się niemal dokumentami życia, a postacie fantastyczne powiększają czeredę istot rzeczywistych. Wskutek tej wiary pamięć Soplicowa żyć będzie w sercach wnuków naszych przez długie wieki, chociaż tej miejscowości niemożna znaleźć na żadnej karcie geograficznej. Wszystkie zaś postacie poematu, począwszy od obywatela Sędziego, skończywszy na głupim Saku Dobrzyńskim, mają także zapewniony żywot w czarodziejskiej krainie, w której raz ujęte kształty zostają bez zmiany, a młodość zachowuje nigdy niegasnący rumieniec. W tej krainie Tadeusz będzie zawsze ślicznym uianem z ręką na temblaku, Zosia dziewczynką w zielonej sukience, chociaż, kto wie, może biedaczka oczy wyplakała, jeśli jej drogi chłopiec zginął podczas przeprawy przez Berezynę, albo przepadł bez wieści w tej śnieżycy, co zasypała glorię Napoleońską, a z nią tyle ułudnych marzeń współczesnego pokolenia.

V.

Artystyczną cechą podobieństwa „Pana Tadeusza“ do epopei samorodnych jest stanowisko, jakie poeta zajmuje względem wielu opisywanych zdarzeń, ludzi, ich życia i obyczajów.

W epoce, gdy poezya wydaje pierwsze wielkie dzieła, odbija ona zarazem młodzieńczy, chociaż do pewnego stopnia już urobiony, pogląd na świat zewnętrzny. Młodość cieszy się z życia, patrzy na nie z szeroko otwartymi oczyma, rozkoszuje się ponętami świata. spogląda na połyskliwą falę zdarzeń, jak pływak dzielny, co chętnie się rzuca we wir szumiącej rzeki. Epik pierwotny dodaje do rzeczywistości tęczę legendowe, ale wybornie widzi to, co jest, nie stawiając sobie pytania, dla czego to, co jest, jest takim, a nie innym? Poematy Homerowe, przedstawiając ludzi, ich czyny i namiętności, jak twierdzi słusznie Kazimierz Kaszewski—rozwiązują nieświadomie a świetnie ten najpiękniejszy postulat sztuki, jakim jest prawdziwe obrazowanie ludzkości przez podwyższenie człowieka, czyli przelanie rzeczywistości w ideał¹⁾. W Iliadzie i Odyssei roi się całym tłum postaci, oddanych

¹⁾ „Literatura grecka“ przez Kazimierza Kaszewskiego w tomie I-szym „Dziejów literatury powszechnej“, Warszawa, 1888, nakład S. Lewentala, str. 407.

z niezmierną plastyką i życiem. Czujemy tętno ich popędów, pragnień, pulsacyę żywej krwi w sercu i całą robotę duszy — o ile jednak *występuje ona widomie w słowach i uczynkach...* Oprócz tego, z wielkiem zamiłowaniem poeta opisuje bitwy, rady wojenne, igrzyska, uczty, zwyczaję, urządzenie domów, sposoby żeglugi, roboty rolne, ubiory kobiet, zbroje bohaterów, cyzelując czasem drobiazgi z delikatnością wielkiego snycerza.

Epopoje indyjskie z natury swojej nie są tak skąpane w realizmie; opowiadają czyny i przygody bohaterów, mające często charakter nadludzki. Jak twierdzi Eichhoff, francuski badacz literatury Indów: „w epopejach greckich niebo zniża się do płaszczyzn ziemi, a w indyjskich ziemia wznosi się do wyżyn niebiańskich”²⁾. O szczegółach życia realnego czytelnik dowiaduje się w nich, jakoby mimochodem, ale poznaje moralny nastrój społeczeństwa, które rozwinęło szeroką latorośl myśli i fantazyi.

W „Pieśni o Nibelungach” świat rycerski oddany jest dekoracyjnie, w opisach uroczystości, pochodów, biesiad, turniejów i walk morderczych. Pieśni te były okrasą biesiad, porywały fantazyę rycerzy, rzucających się śmiało na wielkie imprezy. Śpiewacy pomijali w nich szczegóły i drobiazgi, niegodne uwagi dostojników, albowiem dworskich, otoczonych czcią i galanterią. W epopei niemieckiej zarzys charakterów błędną także wobec idącego biegu wypadków.

Niezależnie od różnic epoki i rasy, epopeje, zwłaszcza greckie i germańskie, mają tę wspólną cechę, że opowiadający kryje w nich swą postać i oblicze poza wzorzystą tkaniną przędzy poetycznej. Do przędzy tej używa on obrazów, opisów, opowiadań, porównań, przytacza słowa osób działających, ale od siebie nie wygłasza prawie sądów, nie zatapia się w refleksyi, nie zapuszcza się w głąb duszy ludzkiej, aby ukazać tajemną sprężynę jej działania. Poemata Homerowskie oddają treść psychiczną postaci ludzkich głównie ze strony czynnej i emocjonalnej. Nawet gdy poeta podnosi rozum takiego np. Odysseusza, nie stara się wykazać jego głębi, ale kładzie nacisk na energię, pokonywającą trudności praktyczne.

Epopeje indyjskie, jak słusznie mówi Carrirère, olśniewają blaskiem i bogactwem obrazów, bujnych i poplątanych, niby zwrotnikowa roślinność. Te ozdoby i upiększenia nadają raczej wartość przedmiotową, aniżeli je rysują, jak to robi Homer, za pomocą malowniczych epitetów. Łącznie z akcją rozwija się w nich nietylko opis, ale i *rozmyślanie* przezeń wywołane, co nadaje eposowi indyjskiemu oryginalną głębokość i bogactwo myśli. Refleksye te mają charakter moralny, lub

²⁾ „Poésies Heroïque des Indiens par F. G. Eichhoff.”, Paris, 1860, na str. 176.

metafizyczny zgodnie z naturą umysłów, zatopionych w marzeniu o bycie nadzmysłowym.

Ale w epepejach pierwotnych, nawet indyjskich, nigdzie nie spotkasz tego, co nazwał Słowacki „kwilącą serc dyssekcyą“. To właśnie stanowi ich cechę gatunkową w przeciwieństwie do całej gałęzi belletrystyki nowszej, która uprawia przesubtelną analizę najdelikatniejszych drgnień i nastrojów duszy. W poematach Homerowych znać największe mistrzostwo tej plastyki przedmiotowej, która wypływała ze rdzennych własności umysłu greckiego w danej epoce. Chociaż budowa poematów ma błędy i dysproporcje, ten artyzm epicki w tonie swym podobny jest do jednolitego spiżu rzeźby starożytnej.

Naśladowca Homera, Wergiliusz, nie utrzymał się w tym tonie. Mieszając do powieści—własne uczucia i wrażenia, sądził czyny ludzkie i wyrzekał na okrucieństwo losu w apostrofach potężnych.

Z nowoczesnych poetów jeden tylko Göthe w Hermanie i Dorocie świadomie naśladował spokój i rzeźbioną plastykę Homerowską, tworząc dzieło znakomite pod względem formalnym. Pomimo wysokich piękności tej sielanki epickiej, znać w niej sztuczność i dociąganie treści nowożytniej do form antycznych. Opisując w stylu Homerowskim życie średniego mieszczaństwa niemieckiego, Göthe musiał stylizować, wpadał chwilami w ton powagi akademickiej. Mówiąc nawiasem, tym akademizmem grzeszą nowsi poeci i dramaturgowie niemieccy, ilekroć dotyczą tematów, zaczerpniętych ze starożytności klasycznej. Hebbel w tragedyi „Gyges i jego pierścień“, Grillparzer w tragediach „Safo“ „Fale morza i miłości“, Halm w dramacie „Szermierz z Rawenny“, Wilbrandt w tragediach „Neron“ „Arria i Messalina“, wreszcie Hamerling w poemacie „Ahaswerus“: żaden z nich nie może wpaść na ton właściwy, szczery, ale każe rozplywać się figurom w retoryce, stąpać na koturnach, strzegąc pilnie, aby jaki Grek lub Rzymianin nie powiedział paru słów naturalnie. Göthe w „Hermanie i Dorocie“, pomimo formy klasycznej, rozwija jednak dużo prawdziwej charakterystyki ludzi i wypadków, ujętej w ramach skończonej harmonii. Dziwnie jednak wygląda, gdy w poemacie tym żona właściciela zajazdu mówi heksametrem o... pierzynach, bieliźnie i japońskim szlafroku swego męża. Tak samo, jakby kto kładł helm grecki zamiast szlafmncy na głowę pana oberżysty.

Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ zupełnie tak samo, jak poemata Homerowe, grzeszy błędami budowy, ale w epizodach rozwija całą potęgę swego epickiego gieniuszu. Przerósł on całą głową „Hermana i Dorotę“, ponieważ sztucznie nie naśladował żadnego stylu, żadnej techniki artystycznej. Wziął urobioną przez poetów dawniejszych formę wiersza trzynastozgłoskowego, nadał mu nieznaną przedtem prostotę

naturalność toku oraz różnorodność spadków i odcieni artystycznych. Wiersz „Pana Tadeusza“ ma się tak samo do aleksandrynów trzynastogłoskowych, które sztucznie piłowali pseudo-klasycy, jak mowa człowieka szczerego, pełnego werwy i zapału, do mowy salonowca lub pedanta, krępowanego w każdym słowie pętami konwenansu.

Krytycy i komentatorowie—zwłaszcza H. Zathey i p. Biegeleisen—wykazali już całe bogactwo epiki i opisowości Mickiewiczowskiej, wydobyli z niej wszystkie klejnoty i grudki szczerozłote. Według mnie, potęgę i bogactwo plastyki w „Panu Tadeuszu“ przedewszystkiem zawdzięczać należy niezmiernej świeżości wyobraźni i niesłychanej pamięci, dzięki której poeta z głowy tak pisze, rzeźbi i maluje słowami, jakby to robił z modelu, szkiców chwytanych na gorąco. Pisząc „Pana Tadeusza“ Mickiewicz—jak to wykazał pan Bruchnański—uległ nietylko wpływom Homera, ale także Wergilego i Tassa, co widać w pewnej liczbie pojedynczych zwrotów ¹⁾. Pomimo tych wpływów, realizm Mickiewicza ma wdzięk i swobodę poezji samorodnej i różni się od metodyczności dzisiejszych powieściopisarzy, budujących opisy na podstawie summy systematycznie zbieranych szkiców i notatek.

Wyobrażam sobie każdą głowę twórczą, jako rodzaj wielkiego zbiornika o wielu piętrach i pokładach, w którego głębi spoczywają nietylko ogniwa pojedynczych wrażeń, ale całe łańcuchy obrazów i skojarzeń myślowych. Podczas procesu twórczego intuicyja działa szybko, jako myślenie skrzydlate. Nie potrzebuje ona spajać odrębnie każdej cegiełki, ale ma jakby gotowe okna, ściany, drzwi, filary i kapitele do nowej budowli. Piękność jej dzieła zależy nietylko od energii kojarzącej, ale także od materiału, nagromadzonego przez artystę. Nieporównane piękności „Pana Tadeusza“ stąd płyną, że poeta opiera się na wspomnieniach młodości, odbitych w umyśle, wszechstronnie wrażliwym, jak najczulsza płyta fotograficzna, chwytającym kształty, ruchy barwy, odcienie, dźwięki, i to w sposób nie rozdrobniony, ale syntetyczny, albowiem obrazy łączą się z nastrojem, wywołanym w duszy poety. Odbicia są wierne, o barwach stpotęgowanych przez tęsknotę i miłość do kraju, a kojarzą się z sobą w organicznym ruchu. Tak samo wielka ciemnia optyczna, ustawiona na miejscu wyniosłem, odbija na niewielkiej przestrzeni bardzo kolorowe a ruchliwe widoki szerokiej okolicy.

Poeta chował w duszy cały drogocenny skarb wspomnień młodzieńczych, a wydobywając go z siebie podczas pracy twórczej, starał się nie przygasić żadnej barwy, nierozwiać żadnego uroku. Dla tego, obok

¹⁾ „Reminiscency w „Panu Tadeuszu“ z Homera, Wergiliusza i Tassa“, przez W. A. Bruchnańskiego. Pamiętnik Towarzystwa literackiego imienia A. Mickiewicza, 1888 r., pod redakcją Romana Piłata.

wspaniałych epizodów i arcydzieł opisowości w wielkim stylu, znajdują się w „Panu Tadeuszu“ ustępy barzo piękne i mniej piękne, ale niema chybionych, nieszczerych, zamazanych w rysunku lub płowych w kolorcie.

Niestarał się Mickiewicz o styl niepokalanie epiczny na wzór Homerskiego; wtrącał od siebie uwagi i refleksye, wypowiadał paręrazy własne uczucia w sposób niezmiernie ciepły i serdeczny. Jako poeta nawskroś szczery, nie chciał się sztucznie podszywać pod antyczną plastykę, ani wykuwać form niepokalanie chłodnych.

Ceniąc utracony kraj lat dzieciennych, oddał poeta bogactwo jego przyrody i życia z tym poetycznym realizmem, na jaki przed nim nikt się nie zdobył od czasu epeji Homerskich. Począwszy od burzy, krającej niebo gzygzakami piorunów, od szumu drzew puszczy odwiecznej, od wrzawy i ruchu bitwy, od dyszenia zabitego na łowach niedźwiedzia, czarownej muzyki rogu wojskiego, aż do bitwy wróbelków, które Zosia ukrywa ręką w piasku, aby się nie czubiły, do gotowania bigosu, walki z mrówkami, zbierania grzybów lub opisu potraw na uczcie—wszystko tu żyje, ma właściwą barwę, ton odrębny i kształty wyraziste. Nie należy tego bogactwa sądzić ani klasyfikować wedle starych schematów, jak to czynią niektórzy krytycy. To są pęki i girlandy kwiatów, a nie wyschłe aptekarskie zioła, które się kładzie do szufladek z napisami: podmiotowość, przedmiotowość, klasycyzm, romantyzm i tam dalej.

Jako artysta, Mickiewicz w dziesięciu dziewiętych częściach poematu jest wielkim epikiem, rozwija prostotę i spokój opowiadania, nie wpada ani razu w styl podrabiany. Przekraczając jednak sferę ciasno pojmwanej epiki, potraça poeta o dramatyczność, jak np. w arcy-scenie spowiedzi Jacka Soplicy; ale i tu, zamiast analizy, poeta oddaje stronę emocjonalną, przedśmiertne pasowanie się duszy, jej wzloty, porywy, omdlenia, bóle ostre, wysiłki konwulsyjne i chwile ukojenia. Porównajmy ten wspaniały ustęp z dramatyczną sceną śmierci Dydony w IV pieśni Eneidy, a przekonamy się, jaka zachodzi różnica pomiędzy talentem naśladowującym, jakim był Wergiliusz, a gienuszem nawskroś samodzielny. Rzymski epik rozpacz miłosną królowej Kartagi oddał z siłą uczucia, ale w tyradach trochę sztucznych, pełnych emfazy, nawzór których potem deklamowały różne Hermiony, Andromachy i inne chodzące na szczudłach bohaterki pseudo-klasycznej tragedji. Tymczasem u Mickiewicza umierający Jacek Soplica mówi tak, że każde słowo płynie mu z serca, że czuć w nim wysiłek, bezład i przeskakowanie myśli, przerywanych wybuchami żalu i zgryzoty, zamieranie oddechu w ostatnich przeblyskach życia. Znać tu, że mistrzynią poety

była tylko prawda, gienialnie odczuta, tak samo, jak w stosunku jego do przyrody.

Epiccy pierwotni czuli tajemniczy związek człowieka z siłami żywiołowymi, ale sama przyroda, jako taka, mało miejsca zajmuje w arcydziełach poezji młodzieńczej. W eposejach Homerowych niemasz prawie opisów natury na szerszą skalę. Obrazy i porównania, z niej czerpane, mało są barwne i służą najczęściej jako tło dla wspianiałego przedstawienia czynności ludzkich, zwłaszcza ruchu mas wojowniczych, jak np. w pieśni III Iliady,

Jak więc ogień pożerczy na szczytach gór niebotycznych
Lasy wypala, a łuna rześista jaśnieje zdaleka,
Tak gdy szli Achejanie do boju, — od śpiżu lśniącego
Blask się roztryskał wokoło, do nieba błękitu sięgając;
Jak więc ptaki powietrzne, zebrane stadami licznymi,
Gęsi, zórawie jęklliwe i z długą szyją łabędzie,
Kędy przepływa Kaistra w rozległych moczarach Azyjskich,
Długo i tutaj i tam zalatują, skrzydłami szybując,
Wreszcie z krzykiem usiedą i łąka rozbrzmiewa donośnie;
Tak i drużyny Achejskie, wyszedłszy z naw i namiotów,
Płyną równiną Skamandra, ziemia tętniła pod nimi,
Pod wojowników stopami i pod kopytami rumaków *).

Bohaterowie Homerowscy spotykają się oko w oko nietylko z działaniem sił przyrodzonych, ale także i z ich potęgą uczłowieczoną, t. j. antropomorficzną, jak np. Achilles, ścigany przez fale strumienia Skamandra, który zjawił się w postaci bóstwa i ludzkim głosem w XXI Pieśni „Iliady“ klął bohatera, ponieważ mu koryto zawalił trupami pomordowanych Trojańczyków.

W poematach indyjskich obrazy natury, dyszące aromatem i pełne uroku, mają najczęściej charakter dekoracyjny, upiększają wielkość bogów i cnotę bohaterów. Takim jest np. w „Ramayanie“ obraz lasu pierwotnego, w którym Rama z żoną Sitą ma pędzić pustelnicze życie, lasu, strojnego krasą wiosny, pełnego śpiewu ptaków, szumu jasnych strumieni i powiewów wietrzyka. Równie wspianiałym w tejże eposei jest opis okolic Lankity, stolicy wyspy tegoż nazwiska (dzisiejszego Ceylonu), miasta, będącego siedzibą króla demonów, Rawany:

„Lasy kwietne otaczają złotą Lanke, miasto wieczne, jakoby królowi Bogu poświęcone. Tam chłodne strumienie i łąki z mchem zielo-

^{a)} Iliada, przekład Stanisława Mleczki, pieśń II, wiersze 455 — 469, strona 36. Podobny przykład znaleźć można w pieśni IV, w. 452—456, na str. 79.

nym, tam palma piękna barwi się czerwienią, a cedr korą zapach wydaje, tam drzewa, okryte mnóstwem kwiatów, jagód i owoców, podobne do wspaniałych szat ludzkich. Tam tysiącem kręgów świetlanych błyszczą zewsząd gaje, tam w powietrzu rozlega się dokoła pszczoł brzęczenie, i gwizdy kosa, i jęśliwe głosy gołębi, i głośnie okrzyki pawi. Tam góra pełna bogactw, okryta gęsto drzewami, wznosi się w lotne powietrze, niby chmura, wynurzająca się z ziemi, ozłocona blaskiem słońca. Ogrom wielki, potężny, który w locie zaledwie mogą przemierzyć skrzydła wielkich ptaków, wobec którego myśl w osłupieniu drętwieje; na szczycie powietrznym wznosi się złota, zwycięska Lanka¹⁾.

Pojawiają się oprócz tego w „Ramayanie“ same w sobie obrazy gaju ciemnego, uraganu, blasku księżyca, a w „Mahabharacie“ malownicze szczegóły opisu nieśmiertelnego miasta i zjawienia się bogów; ale są one krótkie i drobne, niby złote nici, tu i owdzie rzucone na tło jedwabnej szaty.

W ponurej poezyi „Pieśni Nibelungów“ niema miejsca na powaby przyrody.

Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ pojmuje naturę, ale chwilami tylko, w sposób animistyczny, uosabia ją w kształtach człowieczych, jak to już szczegółowo wykazali krytycy¹⁾. Ale poza temi rysami pokrewieństwa z poglądem ludzi i poetów pierwotnych, autor „Pana Tadeusza“, jako malarz natury, jest mistrzem genialnym, czysto *nowożytnym*.

Poezja barw i potęga kolorytu jest zdobyczą najnowszego malarstwa, owocem wydoskonalonego daru widzenia, które prawdopodobnie u starożytnych nie chwyciło tak dobrze tęczęwskiej strony świata. Poezja, *wyłącznie* poświęcona powabom przyrody, oraz rozwój krajobrazu w malarstwie, to są także zdobycze epoki naszej. W przeciwieństwie do sztuczności dzisiejszego życia, umiała ona odczuć prostotę i powab wiekuistej jego szafarki.

Na skarby malarskie, zawarte w „Panu Tadeuszu“, rzucił p. Witkiewicz jasne światło w swem znanem a wybornem studyum, a pan Gostomski rozczepił barwy poematu w przyzmacie krytycznym, ukazując całą świetność składowych promieni.

¹⁾ Przekład z łacińskiego tekstu Ramayany (VI, 15) z cytowanego wyżej dzieła Eichhoffa (str. 361).

²⁾ Zwłaszcza Świętochowski w rozprawie: „Poeta, jako człowiek pierwotny“, Kraków, Gebethner i Spółka, 1896, in 8-o majori, stron. 51, wydanie zbytkowne.

Dodam od siebie, że chociaż obrazy natury w „Panu Tadeuszu“ są integralną częścią poematu, każdy jednak sam przez się ma wartość, jako znakomite rozwinięcie danego motywu. Natura nie występuje tu jako dekoracya, lecz jako potęga odrębna, której siła i życie góruje nad ruchem ziemskiego mrowiska. Wielkim mistrzem poezyi przyrody jest na swój sposób Słowacki, przetapiający wrażenia bezpośrednio na uroczy majaki wyobraźni. Asnyk w poezjach Tatrzańskich ma dużo plastyki, roztacza wspaniałą perspektywę i nastraja całość do tonu głębokiej melancholii. W „Panu Tadeuszu“ poezya natury jest realna, konkretna, a jednak porywająco piękna. Maluje tu poeta słowami obrazy, w których każda plama barwna lub świetlna rzuconą jest wyraźnie, ma swoją siłę i znajduje się w odpowiednim stosunku do plam sąsiednich, oraz do optycznego nastroju całości.

Znawcy różnych gałęzi literatury powszechnej nie zaprzeczą z pewnością mojemu twierdzeniu, że równie wspaniałej i pełnej poezyi przyrody nie posiadają inne arcydzieła epiki. Mickiewicz chwyta nie tylko zmienną grę odcieni światła, oddaje wrażenia dźwięków, szумы, gwary i poświsty, maluje ruch najdelikatniejszy traw i roślin, harce zwierząt, wreszcie sabat rozhlukanych żywiołów, jak np. we wspaniałym ustępie po ukończeniu walki:

Na zachód jeszcze ozłocona

Świeci ziemia ponuro, żółtawo czerwona;
 Już chmura, roztaczając cienie nakształt sieci,
 Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
 Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
 Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem;
 Jeden za drugim lecą, mlicząc krople dżdżyste,
 Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.
 Nagle wichry zwarły się, porwały się w poły,
 Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
 Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
 Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
 Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
 Na wiatr, jako garściami wrywane włosy,
 Zmieszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
 Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
 Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
 Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemiu;
 Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
 Żbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,

Co krok wszecz wydyła się, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.
A z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy,
Ryknęły jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy

Jak z sita w gęstych kropkach. Wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem; to jak proste struny,
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą, od nocy czarniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca
I Anioł burzy, naksztalt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem;
Znowu wzmagą się burza, ulewa nawałna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna,
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę usnie,
Znowu wzbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie,
Aż uspokoiło się wszystko. Tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

(Pieśń X, w. 46—90).

Natura w poemacie pokazuje różne strony swego oblicza, jest naprzemiany kapryśną, szaloną, groźną — to znów cichą i łagodną, a zawsze ma jakiś rytm tajemny, idący w parze z burzami i uśmiechami życia ludzkiego. Potrafi ona koić głuche bóle i szamotania się duszy.

Niosąc sobie i swoim pociechę, poeta umyślnie zakończył swe cudne dzieło obrazem wieczornego spokoju, błogiej ciszy, wieńczącej dzień pełen ochoty, płasów i radości. Tak samo cichym szeptem matka żegna do snu dziecię, które kładzie na puchach twarz uśmiechniętą, nie myśląc o tem, że radość bywa zwodniczą, że po buziaku rumianym płynąć będą może niezadługo łzy gorzkie i palące, że później opadną serce troski, te wierne towarzyski powszedniej doli — bez jutra.

VI.

Streszczam się.

Wskazałem trzy znamienne podobieństwa „Pana Tadeusza“ z epejami samorodnymi: po pierwsze, w zakresie poezyi indywidualizmu i tradycyi; po drugie, w zakresie wiary uczuciowej; po trzecie, w zakresie epickiego pojmowania świata i sztuki.

Cechy te wynikają już to ze stosunku poety do przedmiotu, już to z natury sił twórczych, jakie on z siebie wy dobył, pisząc arcydzieło. Wszystkie te podobieństwa łączą się w szczeroci nadzwyczajnej, w sile samorodnej, która Mickiewicza czyni tak niepodobnym do żadnego z mistrzów pieśni innych epok i ludów. Wśród twórców epei *literackich* niektórzy mają więcej głębokości lub powagi, jak Dante, Milton i Klopstock, inni czarują bujniejszym polotem fantazyi, jak Ariost lub Słowacki, inni podają bardziej wszechstronną filozofię życia, jak Byron w „Don Żuanie“; ale żaden z nich tak, jak Mickiewicz, nie stanął obok epei Homerowych, jako poeta prawdy, jako wielki mistrz plastyki, streszczający w sztuce *znamiona rasowe*. Przez to właśnie silne poczucie związku ze sferą, która go wydała, przez ten duch nawskroś narodowy, Mickiewicz posiadał moc prawdy wewnętrznej, dzięki której nie tylko złamał pęta rutyny szkolarskiej i małpowania francuzczyzny, lecz stał się główną potęgą jednego z najpiękniejszych wybuchów twórczości literackiej na świecie.

Podobieństwo częściowe Mickiewicza z epikami pierwotnymi świadczy, że czuł on krążenie głębokich źródeł duchowego życia, z których poezya czerpie zawsze swą odmładzającą siłę. Nie ubliża to bynajmniej wielkiemu synowi naszych czasów, że grały w nim instynkty, rozwinięte w zaraniu życia dziejowego ludów. Świętochowski, w świetnej rozprawie: „Poeta, jako człowiek pierwotny“, wykazał, że w duszy wieszczów odzywają się poglądy i marzenia z owej doby, gdy ród ludzki kołysał się, jako dziecię, na łonie natury.

Jest to piękne rozwinięcie i dopełnienie idei Lombrosa, z tą różnicą, że włoski prawnik połączył dzisiejszego zbrodniarza i człowieka zwyrodniałego z człowiekiem pierwotnym, gdy tymczasem Świętochowski znalazł nić, kojarzącą te dwie fazy rozwoju nie w nizinach, ale na szczytach duszy ludzkiej.

Rzecz prosta, że obok podobieństw, jakie wykazałem, istnieje także cały szereg *różnic*, których bliższy rozbiór nie leży w zadaniu niniejszej pracy. Wspomnę tylko przelotnie o dwu ważniejszych. Jedną z tych różnic jest *humor*, który we wszystkich literaturach bywa znamieniem epok dojrzałych, a nie młodzieńczych. To cierpki owoc refleksyi, chwytającej marność, lub nędzę życia, okrytą w arlekińskie skrawki pozorów i konwenansów. W epopiejach Homerowskich, pomimo pogodnego nastroju, siła humoru raz jeden tylko w IX pieśni „Odyssei“ wybucha żywiej, z werwą naiwnego rozbrykania swawoli.

Tymczasem w „Panu Tadeuszu“ humor subtelny i głęboki igra bardzo często, niby uśmiech na ustach człowieka, który widzi przywary i dziwactwa drogich osób, czasem z nich lekko żartuje, czasem przygania z goryczą, ale nigdy nie szydzi boleśnie, ani chłosta do krwi satyrycznym biczem ¹⁾.

Niema natomiast w arcydziele Mickiewicza poezyi miłości małżeńskiej, która stanowi bardzo wybitną cechę wszystkich bez wyjątku, epopiej *samorodnych*, odbijających patryarchalne stosunki w rodzinie. Hektor i Andromacha, Odysseusz i Penelopa, Rama i Sita, Nalas i Damayanti, Zygryd i Krymhilda — oto są pary małżeńskie, uwieńczone przez wielkich epików, jako przykłady miłości trwałej, zahartowanej w doli i niedoli. Tymczasem Tadeusz i Zosia grają rolę stosunkowo niewielką, są mili i poetyczni... przed ślubem. U Mickiewicza miłość małżeńska w „Grażynie“ i „Konradzie Wallenrodzie“ staje się poetyczną i podniosłą dopiero przez cierpienia i ofiarność, jakie ponosi w imię wielkiej idei.

Od wszystkich wreszcie wielkich poetów epickich różni się tem Mickiewicz, że nikt nie ukochał tak gorąco, jak on, przedmiotu swej pieśni. A jednak ta miłość nie zaszkodziła w niczem stronie artystycznej poematu, tak samo, jak promień słońca, wpadając do wnętrza katedry, nie zacierza piękności linii architektonicznych, ale je wydobywa z mroków i półcieni.

Ta miłość, spotęgowana przez naczelną ideę poezyi naszej, łącznie z cechami gatunkowemi, jakie wyżej określiłem, pozwala uważać „Pana Tadeusza“ za *epopeję* nawskroś rodzimą, daleko bardziej rodzimą, aniżeli wszystkie epopoje literackie. Nie ma „Pan Tadeusz“

¹⁾ Z powodu tego humoru, p. Chojecki przeprowadził zupełnie niewłaściwą paralelę pomiędzy „Panem Tadeuszem“ a „Don Kichotem“ w cytowanej już broszurze francuskiej, która w swoim czasie miała wielką zasługę, zaznajamiając zagranicę ze skarbami naszej poezyi. Romans Cervantesa opiera się wyłącznie na *ironii*, zajmuje w stosunku do przeszłości stanowisko nawskroś *negatywne*, a więc wprost przeciwne temu, jakie zajął nasz poeta wobec tradycyi rodzimej.

bohatera dużej miary, wedle akademickich wzorów, ale mistrzowi nie chodziło o idealizowanie jednostek. Tak, jak w każdym słowie, jak w każdym tchnieniu życia, myślał o całym narodzie. Poezja jego zostanie na zawsze krynicą uczuć sympatycznych dla otoczenia, dlatego posiada tak wysoki stopień tej siły społeczniającej (*sociabilité*), którą Guyau uważa za cechę wielkiej sztuki.

Mniejsza zresztą o tytuł *epopei*, o taką lub inną klasyfikację, to kwestya schematyczna, mniej ważna dla krytyki filozoficznej. To pewna, że „Pan Tadeusz“ posiada cechy gatunkowe poezyi szczerzej i wielkiej, w której tętni siła żywotności rasowej.

Chmielowski w swej monografii, poświęconej Mickiewiczowi, twierdzi słusznie, że „Pan Tadeusz“ miałby takie znaczenie dla literatury powszechnej, jakie mają epopeje Homerskie, gdyby nasza cywilizacya była tem dla postępu ludzkości, czem była cywilizacya helleńska ¹⁾. Nie chodzi nam zresztą o popis próżności, ani o rywalizację sławy naszego wieszczą z obcymi gieniuszami, chociaż jego dzieło zostanie na zawsze trwałym pomnikiem naszej kultury, nawet na światowej widowni literackiego ruchu. Poemat Mickiewicza jest dla nas cennym, jak przyjaciel, którym możemy się szczyścić przed światem, chociaż najdroższym bywa w ciszy domowej, gdy niesie sercu pokrzepienie i otuchę.

W przepięknych fragmentach drugiej części „Beniowskiego“, Słowacki z zachwytem mówi o tej „cudnej epopei“:

Z taką chwałą

Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
 Że myślisz dotąd, że to *echo grało*,
 A to anielskich był głos serafinów,
 Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
 Chociaż Gotfredów nie miał ni Baldwinów,
 Ani mógł morza wiosłami zamącić,
 Ani księżycą z wież krzyżowych strącić;

Jednak się przed tym poematem wali
 Jakaś ogromna ciemności stolica,
 Coś pada... myśmy słyszeli, słuchali,
 To czas się cofnął i odwrócił lica,

^{o)} Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki Piotra Chmielowskiego, tomów dwa. Warszawa, 1886, nakład Gebethnera i Wolffa. Tom II, str. 231.

By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takimi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem.
Idźmy, znów czasu Bóg postąpił krokiem!

Tak jest, idźmy naprzód, nie zasklepiajmy się w rozważaniu „kształtów przeżytych“. Ale w tym pochodzie mamy prawo z otuchą i dumą spoglądać na wieczyście piękne zdobycze sztuki i kultury naszej. Choć bohaterowie „Pana Tadeusza“ nie burzyli żadnej „stolicy ciemności“, jak bohaterowie Tassa, jednak w tym pięknym obrazie stwierdził Słowacki, że poema, arcydzieło Mickiewicza, ma trwałość wielkich dzieł twórczego słowa, którego jasność, wedle słów ewangelisty, „w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły“ — i nie ogarną.

JÓZEF KOTARBIŃSKI.

Zastęp młodzieńczy.

I.

Stanąłeś, Boże Twórczo, wyciągnąwszy dłonie:
Od stóp Ci idą w przestrzeń nowe pokolenia,
Z iskry Twojego wzroku i z ust Twoich technienia,
Wykochane w Twojej myśli w tajemnic osłonie.

Idzie w świat nowy zastęp. Wzrok Twój nad nim płonie,
Twoja piękność przedwieczna świat mu opromienia.

Idzie jasny i silny, z pieśnią upojenia,
A nimb Twojej jasności białe kapie skronie.

Kwiatem Tobie wykwita i gwiazdą wypływa,
Nastrojony i drżący, jako lutnia żywa,
W pieśń głośną, rozbujął młodoci rozdźwięcza.

Wichr życia roziskrzony z sobą go porywa,
Na skrzydłach wichru jasna wyblyskuje tęcza:
Rwie w górę, świeci, gore falanga młodzieńcza!

II.

Rozbite, wynędzniałe wracają zastępy
Do Ciebie, swego Twórcy, bez blasku ni siły.
Krew serc ich prochy ziemi i ciernie wypily,
Królewska ich purpura podarta na strzępy.

Oto nad ich głowami krwawe krążą sępy,
Oto od wysilenia nabrzmiały im żyły,
Oto źrenice, gasnąc, w Ciebie wzrok wlepiły
Niemocny, rozpaczliwy i boleśnie tępy:

Smutni, że wzrok Twój nawet nie jaśni im twarzy,
 W każdym z nich Twa idea świeci umęczona
 I iskra bóstwa twego, choć blada, się żarzy.

Ale ty do tych biednych, zmęczonych nędzarzy
 Stokroć miłośniej dzisiaj wyciągasz ramiona,
 Niż gdy ich zorzy Twojej zdołała korona.

LIASKEZA.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Karol Potkański. „Kraków przed Piastami.“ Kraków. 1897.

Na samym wstępie autor oświadcza, iż są w historii epoki lat oddalone i mroczne, do których poznania tak zupełny brak źródeł, że nie pozostaje, tylko stwierdzić naszą nieświadomość. Zdarza się jednak czasem, że z całego szeregu faktów ściśle historycznych, związanych z natury swojej z jednym jakimś krajem, lub narodem, nie zostaje nic prócz kilku rozrzuconych odłamków i okruchów. Taka półwiedza jest nieraz więcej kłopotliwą, niż zupełna nieświadomość. Zamiast bowiem dowodów pewnych, daje jedynie domysły i każe poprzestawać na prawdopodobieństwie i niem się jedynie zadawałniać.

Wiadomości, jakie nas doszły o czasach pra-piastowskich Krakowa, nie można nigdy nazywać historią. Jest to raczej zlepek dwóch elementów historycznych wspomnień z różnych epok, oraz podań i mytów w przeróbce późniejszych kronikarzy. Odnalezienie w kronikarskich opowieściach historycznej ich strony pozostało najbliższem zadaniem autora; w tym celu też poddał skrupulatnemu rozbirowi dwa cykle podań, związanych z późniejszą Małopolską: Kra-

kowski i Wiślicki. Są one oba nierówne co do czasu, w którym mogły powstać, i co do historycznej wartości. Sama jednak okoliczność, że zgadzają się one z etnograficznym i historycznym podziałem tegoż plemienia Wiślan, każe zwrócić na nie baczniejszą uwagę.

Autor zastanawia się też nad tem, co o Krakusie opowiada mistrz Wincenty, najstarsze nasze źródło w XII wieku. W opowieść mistrza Wincentego i Wielkopolskiej kroniki można-by łatwo uwierzyć—przyjąc za pewnik, że Krak polskich kronikarzy, to historyczny Krak, założyciel grodu Krakowa. W gruncie rzeczy kwestya powyższa daleko jest zawilszą. Jakkolwiek nie potrzeba nikogo przekonywać, że smok nie krył się w Wawelskiej pieczarze, i że Wanda nie panowała w Polsce i nie kochała się w Rydygierze; to z drugiej strony również nie potrzeba przekonywać, że legendy powyższe to nie prosty wymysł kronikarski bez treści i bez wartości. Mitologia porównawcza i ludoznawstwo ręczą nam za to w zupełności. Bez żadnej kwestyi podania owe są i bardzo stare, i oczywiście, jako podania, zupełnie autentyczne, źle i fragmentarycznie tylko zapisane. Walki świętego rycerza—bohatera z jakąś poczwarą, kryjącą się w ciemnościach, to motyw odwieczny; wskazuje on źródła tych podań, a mianowicie: walkę dnia z nocą, wiosny z zimą, światła z ciemnością. Prawie wszystkie mitologie opierają się na tej walce, i podania ludowe o założeniu Krakowa mogły-by i dziś jeszcze posłużyć do sprawdzenia naszych starych kronikarzy, gdyby nie to, że częścią zaginęły one bez śladu, częścią zaś, jako okruchy, stopiły się z innymi podaniami.

Ważną jest kwestya, jakim sposobem podania krakowskie połączyły się z Krakowem? Czy z ludzi przeszły na miejsce, czyli też odwrotnie: z miejsca na ludzi? Kwestyę ową rozwiązuje autor w następujący sposób: smok jest elementem miejscowym. Nie rzucono mu wprawdzie ludzi i bydła na ofiarę, ale opowieści ludowe same dobrowolnie do niego przyszły. Długosz w swej historii opowiada, że za jego czasów można było oglądać wiele jaskiń w Skałach na Wawelskiej górze; w jaskiniach tych któż mógł przemieszkiwać? Oczywiście smok, bo wtedy znano go i nadawano mu mitologiczne znaczenie. Myt sam istniał dawniej, ale jaskinie wawelskie zrobiły to, że się on znalazł w Krakowie. Gdy się zaś skojarzył ów myt z jaskiniami, musieli się ludzie zapytać: Kto smoka zabił? Na to odpowiadano, że albo wojewoda Krak, albo jacyś dwaj bracia, których już z Krakiem nie umiano należycie połączyć. Następne podanie o Wandzie bodaj czy nie jest najstarsze i najciekawsze. Dwa imiona własne: Wanda i Wiśła, nie dadzą się, choćby nie wiadomo jak sztucznie, z sobą powiązać. Znalazł się jednak i na to sposób. Wanda dźwiękiem przypomina Wandalów, należy tylko Wiślę przetłumaczyć na „Vandalus flumen“

i cel zostanie osiągniętym. Dawniej już, i bardzo słusznie, łączono nazwę Wandy z wodą. Istotnie można ją zbliżyć czy zestawić z litewskiem „Vandu“ woda, a gdyby ktoś próbował dalszych jeszcze analogii, z łacińskim „unda,“ a znajduje się ich i więcej.

Wiadomo, że są pewne dane, które pozwalają przypuszczać, że Krak był osobą historyczną; wiadomo również, że wkoło jego osoby zgrupowały się znane nam już podania, i to jest wszystko, co nam autor może dotąd powiedzieć. Przypuszczano jednakże na podstawie wiadomych, że podania owe są bardzo stare, ale skąd się one wzięły i dla czego widzimy je połączone razem z Krakiem i Krakowem—to wszystko jest dotychczas ciemnem. Jedna możliwość się tu wysuwa, że to może mistrz Wincenty samowolnie połączył owe podania; autor uważa jednak, że mistrz Wincenty mógł podania tu i owdzie przykrawać i zmieniać, ale że sam nie połączył Kraka z zabiciem smoka i z Wandą. Cykl więc ów krakowski, związany z Krakiem i Krakowem, sam w sobie różnorodny i niejednolity, nie jest w każdym razie zlepkiem literackim średniowiecznych kronikarzy. Jest raczej czemś pośredniem między mitologią, a historią. Na takiej pośredniej drodze mieści się zaś tylko jedno twierdzenie: oto Krak jest w trakcie zamiany na myt, on sam nie rozplynął się jeszcze i nie znikł. Myty nie zdołały go zupełnie przysłonić, choć go, jak mogły, owinęły zewsząd. Nie przestał być wojewodą czy królem, założył też Kraków, ale to wszystko jest już niejako w sprawie mytycznej.

Okolice Krakowa były w epoce kamiennej silnie zaludnione, wiek brązu słabiej się przedstawia, nie wiele też wiemy o wieku żelaza, a ta właśnie epoka najpóźniejsza najprędzej może być słowiańską. W każdym razie, to wiemy, że już od bardzo dawna okolice Krakowa nie były bez mieszkańców. Ślady dawnych ludzkich osad istniały z pewnością. Wiślanie, przyszedłszy w te strony, mogli znaleźć kraj opuszczony, ale nie dziewiczy. Poszukiwanie też odłamków historii w całym tym zamęcie mytów wy dobyło jedno: ślady historyczności Kraka i dawności Krakowa. Zestawianie i zbliżenie mytów, a prócz tego dane socjologiczne, a nawet i warunki fizyograficzne kraju, zawsze stałe, jak igła magnosowa, wskazywały w jednym kierunku, ale właśnie, ponieważ wskazują na tak odległe czasy, wyraźniej nic już dostrzedz nie można.

Drugi cykl podań Małopolskich nosi zupełnie inny charakter. Trzyma się on Wiślicy, a więc topograficznie odpowiada drugiemu odłamowi plemienia Wiślan, późniejszym Sandomierzanom. Nie wszedł on do tak zwanej bajecznej historii polskiej. Długosz nie wciągnął go zupełnie do dziejów, pozostał też odosobniony. Nasi kronikarze i historycy w XVI wieku nie próbowali go nawet z resztą historii powiązać.

Cykl wiślicki jest też niewątpliwie młodszy i złączony z legendą obcą. Na zasadzie zaś owych dwóch szeregów zaobserwowanych faktów, można wyciągnąć następujące wnioski. W dobie najstarszej występuje Kraków, jako gród naczelny, Krak jest może wodzem plemiennym całego plemienia. Później występuje Wiślica; Księżę tam panujący musiał rozciągnąć swą władzę również nad całym obszarem plemiennym. Prócz tego w cyklu wiślickim może tkwić wspomnienie jakiejś walki między księciem na Wiślicy, a dynastą rodowym Tynieckim, a kto wówczas sięgał po Tyniec, musiał mieć już Kraków. Wspomnienia powyższe naprowadzają na myśl, że między odłamami jednego i tego samego plemienia musiały się toczyć walki, i że pierwotne przodownictwo było udziałem odłamu Wiślan, skupionego koło Krakowa.

Położenie geograficzne kraju Wiślan wystawiało go na wiele różnorodnych wpływów. Państwo Wielkomorawskie, Czechy, a wreszcie Polska, zagarniały kolejno ich plemienny obszar, bądź cały, bądź część jego tylko, aż wreszcie, Polsce najbliżsi, zostali Wiślanie przy niej na zawsze. Państwo Wielkomorawskie powstało najwcześniej i najwcześniej sięgnęło po Kraków i Wiślicę. Między rokiem 876 a 879 Wiślanie stracili swą niepodległość i przeszli pod panowanie Świętopelka, a potem jego następcy, albo może raczej pod władzę jednego z następców. Kraj Wiślan dzielił też losy Wielkomorawskiego państwa aż do jego upadku, który już nie był dalekim.

Mimo krótkiego swego istnienia, wpłynęły Morawy na dzieje ościennych ludów słowiańskich. Przedewszystkiem zaś wpłynęły na Wiślan, a wskutek tego i na Polskę. Nie wywarły wprawdzie silniejszego wpływu na wewnętrzną organizację kraju, bo wogóle podówczas rządy nawet obcego państwa nie były w stanie wpływu takiego wywrzeć; ale zrobiły swoje: usunęły jakąś miejscową dynastyę i nie zastąpiły jej żadną inną. Pierwszym tego objawem było osłabienie spójni plemiennej i poczucia odrębności wśród Wiślan. Kraj ich wszedł teraz do innej organizacyi państwowej i do obcego państwa został wcielony. Od tego czasu zmienił ją tylko, ale sam własnej nigdy już nie wytworzył.

Losy Krakowa i Wiślicy złączone były nie tylko z losami państwa Morawskiego, ale i jego Kościoła. Niespełna lat siedm trwały Morawy, niespełna lat siedm trwał i wznowiony Kościół Morawski. Jeżeli co z niego zostało po węgierskim pogromie, to z pewnością mało. Trudniej też określić wpływ kulturalny państwa Morawskiego, aniżeli polityczny; w każdym razie podnieść należy przedewszystkiem dwa momenty takiego oddziaływania: apostołstwo uczniów Metodego w kraju Wiślan od 879 do 885 r., a potem wznowienie hierarchii kościelnej około 900 r. Jedynym konkretnym faktem jest owo apostoł-

stwo. Pobieźnie, ale zupełnie jasno, mówi o niem legenda pannońska. Uczniowie Metodyusza, wiedzeni chęcią szerzenia nauki Chrystusa, zaraz po 874 r. chodzili do Wiślan. Ksiązę był niechętny nowej wierze, missyjonarze nie znaleźli dobrego przyjęcia i, nie zdziaławszy wiele, musieli do siebie powrócić. Po wcieleniu kraju Wiślan, nowa religia musiała się szerzyć pod opieką i osłoną samego Świętopełka i missyjonarze mieli łatwiejszy przystęp do kraju.

Zupełnemu nawróceniu Wiślan i ugruntowaniu się nowej wiary stanęła na przeszkodzie krótkość czasu. Na całe apostołstwo uczniów Metodyusza zostało najwyżej lat pięć, do sześciu. Przez ten czas nawet najzarliwsi missyjonarze nie mogli podolać wszystkiemu; można więc powiedzieć: Małopolska była bardzo bliska przyjęcia zachodniego słowiańskiego obrządku, ale go jednak w zupełności nie przyjęła. Nowa hierarchia kościelna, już łacińska, wprowadzona w r. 900 lub rok przed tem, mogła tego dokazać. Jakkolwiek stosunki kościelne Małopolski są w owej dobie jeszcze bardzo niestalone i niema w tej krainie osobnej dyecezyi, to jednakże mógł tam przebywać biskup, wyświęcony z myślą pracy missyjnej w jakiejś części państwa Morawskiego. Takim musiał być właśnie ów biskup niewiomego imienia, którego rezydencyą, choćby tylko czasową, był Kraków, podnoszący się znowu po upadku Wiślicy. Dwaj najstarsi biskupi krakowscy imionami swojemi wskazują na Włochy lub na same Morawy, i to ich wcale dobrze łączy z Wielkomorawskim państwem, skąd przyjsć mogli. W każdym razie kilka kościółków drewnianych, lub murowanych kapliczek, przedewszystkiem w Krakowie i Wiślicy, kilkunastu księży i mnichów, z początku słowiańskiego obrządku, później łacińskich z biskupem na czele, oto wszystko, co pozostało z wpływów Wielkomorawskiego państwa. Cała ta praca nad nawróceniem Małopolski nie zginęła zupełnie. Plon, który wszedł, był na razie bardzo niewielki, przecież ziemia poruszona została. Dawniejsze nawrócenie Małopolski ułatwiło Kazimierzowi odbudowanie Polskiego państwa, i wszystko, przez co przeszła aż do połączenia się z Polską, wyszło na jej korzyść.

Upadek Wielkich Moraw mógł albo zwrócić niepodległość Wiślanom, albo ich poddać pod inne panowanie. Hordy Madziarów nie przeszły Tatr i zachodniego Beskidu; zostały one częścią na Morawie, a częścią nad Dunajem, gdzie obszerne pastwiska dawały więcej paszy dla koni. Pozostali więc tylko Czesi i Polacy. Czesi byli wówczas zupełnie od Wiślan odcięci, a co do Polaków, to zupełnie na pewno twierdzić nie można, czy po rozgromie Moraw nie pustoszyli oni kraju Wiślan i czy nie próbowali zaboru? Polska owczesna graniczyła z obszarem plemiennym dawnych Wiślan; Mieszko w połowie X wieku odzie-

dziczył już cały plemienny obszar Polan, to znaczy całe Kujawy wraz z Łęczyczanami i Sieradzanami, a jest przypuszczalnem, że panował i nad Mazowszanami.—Na koniec VIII wieku przypada pojawienie się pierwszych Piastów, a zatem początki jakiegoś silniejszego związku plemion polskich.

W X wieku przedstawiają i Czesi dosyć ciekawe zjawisko. Książę ich jest długo „pierwszym między równymi,“ a pierwszy Bolesław pokusił się o trwałe zajęcie Krakowa, i znowu Małopolska, czyli kraj Wiślan, straciła swą plemienną niezależność; stało się to w każdym razie po 955 roku, t. j. po zajęciu Moraw przez Bolesława. Ogólne określenie „po 955 roku“ musi wystarczyć, bliższej bowiem daty trudno postawić. W opowiadaniu Al-Bekri z XI wieku Kraków należał do Bolesława, a prócz tego był on naczelnym grodem większego obszaru, był brany w tem znaczeniu, co i Praga, słowem: uważany był za stolicę jakiegoś kraju. Kosmas jednakże nie wiedział już, kto i kiedy zdobył Kraków i zupełnie samowolnie połączył to zdarzenie z panowaniem Bolesława II.

Prawie nic nie wiemy bezpośrednio o zajęciu Krakowa przez Polaków, nie wiemy nawet, czy tego dokonał Mieszko I, czy Bolesław? Nie będzie można osiągnąć nawet tego stopnia prawdopodobieństwa, co przy podboju Krakowa przez Bolesława I czeskiego. Napady Polaków na państwo Wielko Morawskie w r. 907 mogły-by wskazywać, że już pierwsi Piastowie mieli zwrócone czy na krainę Wiślan i próbowali zaboru. Lepszą jednak hipotezę znajdujemy w wyprawie Włodzimierza z 981 roku; ta pozwala przypuszczać, że Mieszko panował już nad wschodnim odłamek Wiślan, jeszcze przed zajęciem Krakowa. W tymże czasie więc Polska graniczyła już z Czechami od północy i od Wschodu. Kwestya zajęcia Krakowa wobec tego była tylko kwestyą czasu. Niebawem też opanowali go Polacy. Trzeba poprzestać na ogólnem określeniu, że w ostatnim dziesiątku X wieku Polacy zajęli Kraków wraz z częścią graniczącego z nim Szląska. Źródła nie pozwalają na bliższe oznaczenie daty tego wypadku, i tem luźnem ujęciem kwestyi zadowolnić się należy.

Jaką była ta ziemia krakowska i Kraków, który przypadł Polsce pod koniec X wieku? Za czasów Ibrahima (Al-Bekri) Kraków był znacznem targowiskiem dla kupców, idących z dalekiej Rusi do Pragi i z powrotem. Kto wie, czy te obce panowania, najpierw morawskie, a szczególnie dłuższe czeskie, nie zapewniły mu tego znacznego stanowiska? Podobnie jak materialne ślady kultury morawskiej, tak samo znikły i późniejsze od nich, czeskie. Przypuszczać można, że, jak dawniej, tak samo w końcu X wieku, te same wapienne wzgórza, koło kopca Krakowa, na zwierzyńcu przy S-tym Salwatorze, na Skalce

i na Wawelu, były siedzibami ludzi. Czesi zbudowali niechybnie na Wawelu silną jakąś i znaczną warownię. Kosmas wspomina o podziemnych kazamatach, które się znajdowały w XI w. pod wawelskim zamkiem,—mogły one pochodzić z tych jeszcze czasów. Musiało też być i podgrodzie jakieś handlowe, które znikło bez śladu.

O wpływie panowania czeskiego na całą ziemię krakowską nie prawie nie można powiedzieć. Jedno jest tylko pewnem: Czesi tak bardzo kościołów nie budowali i chrześcijaństwa wśród ludności nie szerzyli. W każdym razie owych wpływów społecznych i utrzymania chrześcijaństwa lekceważyć i zupełnie usuwać nie należy. Był to, choć niewielki, ale zawsze dorobek cywilizacyjny. Kto wie nawet, czy owo starszeństwo kultury nie było jedną z wielu przyczyn przeważnej roli, jaką odegrała Małopolska w późniejszej historii Polski. W Małopolsce najważniejszym był zawsze Kraków i ziemia krakowska.

Rezultat badań D-ra Potkańskiego, który starałem się przedstawić w najogólniejszym streszczeniu, jest owocem niezmiernie gruntownych i sumiennych studyów. Wstępując w dziedzinę mytów, podań, jednym słowem: w sferę mroczną przedhistorycznych czasów, autor wezwał do pomocy wszystkie nauki posiłkujące badacza pierwotnych dziejów. Metoda porównawcza jest też przez niego wzorowo zastosowana i konsekwentnie przeprowadzona, a oględność w stawianiu hipotez i wyrozumienie wszelkich skombinowanych wpływów, doprowadzone zostało do możliwej perfekcyi. Nic też dziwnego, że Akademia Umiejętności w Krakowie przyznała „Krakowowi przed Piastami“ nagrodę imienia Barczewskiego. Rozprawa powyższa bowiem zdobędzie niewątpliwie D-rowi Potkańskiemu daleko trwalsze uznanie w naszej literaturze historycznej.

Karol Potkański. „Luchowie i Lechici“.

Lechici, jak to autor wykazuje, przechodzili w nauce różne koleje. U dawnych polskich historyków sam wyraz ten był cudownem niemal zaklęciem i dziwić się nie należy, że byli tak pochopni do stawiania czarownych gmachów, które były często pałacami z kart. Nie za-

pominajmy, bowiem, że teorye Lechickie tworzono w epoce romantyzmu i swobodnie układano abstrakcyjne filozofie historii, nie wiele się troszcząc o fakta, które, jak się ówczesnym uczonym nieraz zdawać mogło, bardziej zawadzały ludzkiej myśli, niż ją wspierały. Teraz zaś przede wszystkim chodzi o fakta, a raczej o umiejętne ich ocenienie i zbadanie. — Takim zbadaniem faktów zajął się autor w pracy, Lachom i Lechitom poświęconej. Jak nas na wstępie Dr. Potkański objaśnia, jego praca ma być analityczną, nie konstrukcyjną a więc ma być poświęconą głównie rozbiorowi krytycznemu materiału dowodowego, który był mu dostępny i z którego w danym razie można coś zbudować.

Kwestya Lechitów jest, zdaniem autora, w ścisłym związku z kwestyą najdawniejszej nazwy, a raczej nazw Polaków. Trzeba przyjąć za już udowodnione prawie, że dla naszych sąsiadów zachodnich, Niemców, byliśmy zawsze Polakami. Trzeba było wprawdzie większego zjednoczenia na wewnątrz, a na zewnątrz większej potęgi, aby powiedzieć: Polska, Polonia, jak Germania, ale już współczesny Bolesławowi W. Dytmar Merseburski stałe jej używa.

Widukind jednak w swych dziejach Saskich wspomina o Licicavikach i w nich dawniejsi historycy dostrzegali Lechitów, lub, jak pr. Małecki, Łęczycan. Nazwa ta jednak jest zagadkową i nie przydatną dla żadnej teoryi. Lechici bowiem przychodzą nam skądinąd, nie z Niemiec. Pierwszy o nich wspomina Nestor, a więc pierwszą wieść o Lachach mamy od Rusi. Ustęp, w którym Nestor mówi o Lachach, poświęcony jest pochodzeniu i wędrówkom Słowian. Najpierw wylicza Nestor: Morawian, Czechów, Chorwatów, Serbów, Chorątan, potem idą plemiona Lechickie, a naostatek dopiero ruskie. Z Lachów nas tylko jednych Ruś znała i z nami jedynie prowadziła wojny. Natomiast Słowianie dalsi, więcej zachodni, pozostali zupełnie na uboczu. Ścieśnienie i ograniczenie nazwy Lachów do Polaków wynikło z konieczności historycznej. Wprawdzie pr. Małecki dowodzi, że wyraz Lach i kraj Lachki, prócz Polski i Polaków oznaczał w najdawniejszej dobie Małopolskę i jej mieszkańców; ale autor, po krytycznym rozbiorze wywodów p-ra Małeckiego, przychodzi do przekonania, że nazwy tej nie można rozciągać na późniejszą Małopolskę.

W Polsce, w ustach ludu, pojawia się nazwa Lach tylko raz jeden. Podhalanie nazywają Lachem wprawdzie nie Polaka, ale mieszkańca równin, w przeciwstawieniu do siebie. Ślady rumuńszczyzny w gwarze Podhalań są bardzo znaczne i aż nadto usprawiedliwiają przypuszczenie, że wyraz Lach jest przyjęty, a nie tubylczy, miejscowy. Litwini nazywają znów Polaka—Lekas, a wyraz ten, również jak i Lengiel, pochodzi od Lęch i wskazuje, że pierwotnie w języku, z którego był wypożyczony, brzmiał on Lęch. Jest możliwem przypusz-

czenie, że wyraz Lęch był tubylczym na Mazowszu, bo z Mazowszani-
mi jedynie Litwini granicyli. W każdym razie niema na czem bardzo
oprzeć dowodu, że nazwa Lach była w Polsce tubyleżą; wszędzie Ruś
wchodzi w drogę i maćci ostateczny wynik. To jest jedynie niewąt-
pliwem, że nazwy Lach nie znali Niemcy, ani Cze-i, ani Słowacy, nie
znają też i najstarsze polskie źródła, trzyma się zaś ona ze wszystkimi
pochodniami, jak Lengiel, Ledjanin, a nawet Lenkas, upoczywie
Wschodu.

Lechici zjawiają się pierwszy raz w kronice mistrza Wincentego.
Dla niego podobną nazwa Lechitów odegrywała rolę, jak później w XVI
i XVII w. nazwa Sarmatów. Powstała ona w XII wieku, a była już
zupełnie utartą i przyjętą w wieku XV. Z pewną dumą wspominaliś-
my sami ją, dla nas bowiem była ona nazwą jakby zaszczytną, dla są-
siadów Niemców bywała czasem i pogardliwą. Przeszła ona w każdym
razie z kronik do wykształceńszych warstw narodu i nigdy ludową nie
była. Niezależnie od Lechitów kronikarskich istnieje imię Lech i Lest-
ko, mógłby więc ktoś od tego imienia wywieść ową nazwę, robiąc zarzut,
że skoro istnieje Lech, Lestko, mógł on być choćby wymyślonym, ale
zawsze prastarym, eponimem narodu, od którego, pochodzą Lechici.
Badając jednak dawnych kronikarzy, doszedł autor jedynie do negatyw-
nego wyniku. Lechici kronikarzy polskich nie dadzą się połączyć
ze starszymi Lachami Nestora w inny sposób, jak tylko w ten, że od
nich pochodzą.

Porównanie tego, co nam dała historia, ztem, czego dostarczy lin-
gwistyka, pozwoli jedynie na postawienie nie już hipotezy, ale paru ogólniejszych
wniosków. Starostowiańskie „ljad, ljadina“ oznaczało tyle,
co mieszkanie i równia, lub kraj ugor-em leżący. Zbliżyć do niego
można francuskie „lande“ włoskie „lenda“. Był to więc wyraz, niegdyś
wspólny wszystkim ludom europejskim i do starszych zaliczony być wi-
nien. Już w epoce przedhistorycznej z owego „ljada“ mógł powstać
Lech. Czy zaś powstał u Słowian zachodnich i był tubylczym wśród
Polaków np., czyli też Ruś go im nadała? To rozstrzygnąć trudno.

Również Lech zbliżyć można do lecha, areola — zagon i w ogóle ro-
la, a więc lech będzie to ktoś znaczniejszy, czyli będzie to nazwą klasy
właścicieli ziemskich. Można jednak dzisiaj mówić o właścicielach
ziemskich, można było i dawniej, skoro posiadanie ziemi stało się
przywilejem jakiegoś stanu. W IX wieku tak jednak nie było.
Kwestya własności ziemi nie mogła być cechą charakterystyczną,
samo bowiem pojęcie własności nie było takim, jakim jest
dzisiaj, lub nawet w późniejszych, już historycznych czasach. Prędzej
też dawniejsi naczelnicy mogli się nazywać władzkami od władzy, sta-
rostami od wieku, a wreszcie żupanami, ale nie lechami, t. j. posiada-

czami uprawnej ziemi. To przypuszczenie jest też ostatnie, które-by można zrobić, a ponieważ nie opiera się ono na podstawach źródłowych, przeto, zdaniem autora, zupełnie je odrzucić należy. — Istnienie znowu obu imion, Lech i Lestko, nie ma żadnego związku z hipotezą powstania nazwy Lachów — Lechitów od jakiegoś eponima.

Ujemny ten wynik, który dała lingwistyka, może poprzeć tylko ten, którego dostarczyła historia, ale go nie może w niczem zmienić ani naruszyć.

Lachowie, jako imię pospolite, oznaczające mieszkańców równin, lechy, jako warstwa panująca u Słowian, a wreszcie imię własne Lech, nie wyczerpują wszelkich możliwych znaczeń i etymologii tego wyrazu. Prócz tych trzech, istnieje czwarta jeszcze, bardzo ciekawa i ważna. Przed kilkunastu laty, rosyjski uczoney, Kunik, zaznaczył następującą możliwość objaśnienia nazw Lechów: oto przed Polakami mieszkali w Małopolsce Biało-Chrobaci pod przewodnictwem niesłowiańskiego plemienia Leuchów, Ljachów czyli Lingów, którzy, w pogańskiej dobie panowali także nad jedną gałęzią plemion polskich. Lud, noszący nazwę Lingonów, i to nie jeden nawet, spotykamy wśród Celtów, tylko więc do tej rasy można go zaliczyć i między Celtami odszukać, Prawdopodobnem jest, że Lingonowie przeszli razem z Bojami do Czech z Włoch północnych, skoro zaś raz już tam byli, łatwo przypuścić, że mogli rozszerzyć dalej na Wschód swe siedziby i zająć przynajmniej Małopolskę. Kwestya, skąd się wzięła nazwa Lingonów, jest dotąd bardzo zawikłaną i ciemną. Mogła się nazwa Lingonów podstawić pod Węgierską nazwę Lengiel, a istnieje jeszcze przypuszczenie, że to może jakieś niezależne plemię Lingonów — Lechów, które podbiło Słowian; ale dla takiego plemienia niema miejsca, a szczególnie czasu. W historii głucho o tych Lingonach zupełnie i niemasz możliwości wydobycia ich skądkolwiek.

Etymologia wyrazu Lęch od lęd podaje wprawdzie znaczenie tubylcze, ale znowu ułamkowość i ubóstwo źródeł polskich nie pozwala orzec, z całą pewnością, że nazwa lęch jest nazwą, którąśmy sobie sami nadawali. Wobec tego łatwo bardzo przypuścić, że to nazwa obca, porzucona niejako i zostawiona przez starsze plemiona późniejszym słowiańskim przybyszom. Ze wszystkich hipotez pozostaje nam Lęch, mieszkaniec równin, — możliwości innego wyboru nawet już i niema. Na niem trzeba się też i oprzeć. Nazwa Słowian była niewątpliwie tubylczą, znaną wszystkim plemionom, równie dobrze zachodnim, jak i wschodnim, południowym, i północnym. Powstała ona w czasach większej jeszcze spójni szczepowej i była przeciwstawianą obcym, a przedewszystkiem Niemcom. Nazwa Lęchów występuje natomiast jako nie ogólna, ale obejmująca znaczniejszy odłam szczepu słowiań-

skiego. Pochodzi od fizyograficznych właściwości jakiegoś kraju i jest bardzo dawna. Z nazwy Lęchów wywnioskować można, że kraj pierwotny Lęchów musiał być krajem równym, stepowym, i tem się wyróżniał od innych sąsiednich, które tych warunków fizyograficznych nie posiadały.

Z tego wszystkiego widać, że siedzib Lęchów można szukać tylko albo na południe od wielkich i rozległych bagien Prypeci, albo na zachód, albo wreszcie na północ. Autor z góry zaznacza, że siedziby Lęchów nie mogły się znajdować na północnym wschodzie od owych bagien, tam bowiem były okrainy plemion Słowiańskich z Fińskimi. Słowianie powoli ten kraj zdobywali i zaludniali, pozostaje więc południe albo zachód, t. j. późniejsza Ukraina i Polska, gdzie się miały znajdować plemiona laskie, według Nestora. Po rozważeniu jednak wszystkich okoliczności, autor przyszedł do przekonania, że Lechowie siedzieli pierwotnie tam, gdzie ich Nestor znalazł, wschodnie zaś plemiona Słowiańskie, mieszkające w bagnach Prypeci, nazywały tak swoich zachodnich sąsiadów. Całe południowe Mazowsze i cała część północna t. z. wyżyny Małopolskiej, należącej zresztą etnograficznie do Mazowsza, już dla pochwylenia tych różnic starczyła. Były to bowiem kraje od błot poleskich daleko suchsze i wyższe. Inne względy zdają się również potwierdzać przypuszczenie, że pierwotne, przedhistoryczne siedziby Lęchów, zgadzają się z temi, które im później Nestor wyznacza i że ich niepotrzeba szukać gdzieindziej, jak nad Wisłą i za Wisłą w Słowiańszczyźnie zaodrzańskiej.

W studyum Lachom i Lechitom poświęconem Dr. Potkański uwzględnił te same przymioty, które czytelnik łatwo mógł dostrzedz „w Krakowie przed Piastami“. Wszędzie też spotykamy ową wzorową gruntowność i sumiennność badania, wszędzie wybornie przeprowadzoną metodę porównawczą i należytą oględność przy rozbiórce krytycznym hipotez. „Lachowie i Lechici“ Dra. Potkańskiego, łącznie z „Krakowem przed Piastami“, zdobyli autorowi nagrodę Akademii umiejętności w Krakowie.

Leon Dembowski. „Moje wspomnienia“, (dwa tomy, Petersburg 1898.)

Autor pamiętników pozostawił po sobie zbyt dodatnie i poważne wspomnienie, aby dzieje jego żywota i zebranego doświadczenia nie

miały być rzeczą nęcącą dla wydawców. Z Leonem Dembowskiem spotykamy się już w Dyaryuszu Sejmowym Królestwa Polskiego z 1818 roku, jako z posłem Kazimirskim, w roku 1830 zostaje senatorem-kasztelanem, w 1831 ministrem skarbu, a następnie, po przerwie lat trzydziestu, powraca za rządów margrabiego Wielopolskiego do służby publicznej i widzimy go znowu na czele wysokich magistratur krajowych. Na czterech sejmach Królestwa (1818, 1820, 1825 i 1830) dał się Dembowski poznać jako mówca rozważny i przekonujący, a przytem jako gruntowny znawca spraw publicznych.— Nie starał się on nigdy o zdobycie uznania izb sejmowych parlamentarnym patosem i mowy jego nie były oratorskimi popisami, obliczonemi na efekt albo na zrobienie błyskawicznego wrażenia. Autor „Wspomnień“ pozostawał za to ściśle w obrębie przedmiotowości, i zacierając w mowach swych wszelki odciśnięty metafizyczny doktryneryzmu, pragnął być nadewszystko jasnym, logicznym i zastanawiał się pilnie nad zastosowaniem i konsekwencyami praktycznymi myśli prawodawczej.

Młody poseł Kazimirski pozyskał też sobie wczesnie uznanie monarchy i sejmu. Mianowany w r. 1830 senatorem i ozdobiony dekoracją wyższą, w następnym roku zasiadł w krześle ministeryalnym ku rzetelnemu zadowoleniu sejmu. Wyrobił też o sobie w ówczesnych sferach rządzących bardzo korzystne przekonanie. Uznano go ogólnie za jednego z najzdolniejszych urzędników cywilnych, za wytrawnego i doświadczonego administratora, który potrafił-by w razie potrzeby przewodniczyć z pożytkiem dla dobra ogółu, nie tylko jednej gałęzi administracji państwowej. Podobne wrażenie uczynił Dembowski i w całej korporacji urzędniczej, gdy powtórnie wstąpił do służby publicznej w r. 1861. Jego-to i gubernatora Łaszczyńskiego uważano za najwytrawniejszych i najzdolniejszych urzędników państwowych, na których się wzorowały młodsze pokolenia.

Wspomnienia Dembowskiego były społeczeństwu naszemu do pewnego stopnia znanymi. Biblioteka Warszawska drukowała swego czasu wyciągi z nich, a prócz tego w literackich kołach warszawskich bardzo wiele o nich mówiono. Szczególniej Kaź. Wł. Woycicki wyrażał się o nich, że będzie to niewyczerpany skarbiec materiałów historycznych, społecznych i literackich, ale, jak to sam wydawca w przedmowie zauważył, zalet, o których tyle się nasłuchano, trudno było spotkać we „Wspomnieniach“ Dembowskiego. Mimo to jednakże wydawca wyraził swe przekonanie, że pamiętniki owe, odpowiednio uporządkowane i oczyszczone, znakomicie powiększą źródła do badania czasów niedawno ubiegłych.

Pamiętnik Dembowskiego rozpoczyna się długim a wielce uczynnym wywodem o rodzie jego własnym. Wydawca słusznie uczynił, że

ów ogromny zapas erudycyi archeologicznej i historycznej usunął, a rozpoczął rzecz całą od dziada, Antoniego Michała, pośła Podolskiego na elekcyi Stanisława Augusta. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to wspomnienia Dembowskiego nie straciły-by na tem wiele, gdyby w nich ów dziad Antoni Michał wcale się nie ukazał. Tytuły jego bowiem do nieśmiertelności nie są zbyt przekonywające dla zwykłego czytelnika. Najważniejsze z nich zdają się być te, że dziad Antoni był niezwyklej siły, i kiedy przy ucztach wyprózniono beczkę wina, brał ją zębami za wątory i przez swą głowę przerzucał. Przytem żołądka mógł mu i strus pozazdrościć, gdy bowiem razu pewnego, jako starzec siedmdziesięcioletni, zapadł na dysenterję, wbrew radom lekarza ówczesnego, Goltza obmyślił sam sobie szczególną kuracyę, która na tem jedynie polegała, że zjadł pół kopy jaj na twardo z octem. Wreszcie wiek późny nie przeszkadzał dziadowi Antoniemu, że codziennie, grając z proboszczem w maryasza, wypijał z nim dwugarncowy antałek wina.

O swoim ojcu, Józefie, rotmistrzu kawalerji narodowej, nie wiele miał Dembowski do powiedzenia, o matce zaś, Narbuttównie z domu, zamieszcza dość dziwnie brzmiącą pochwałę: „moja matka, zgrabna, przystojna, wiele miała powodzenia, a najwięcej może to dla niej znaczyło, że zdołała pozyskać przyjaźń swych dobroczyńców, jakiej przykładów coraz mniej się już spotyka i t. d.“ W dziecięcym umyśle Dembowskiego pozostawiły trwałe wrażenie rezydencye w Sieniawie i Łancucie, rok zaś 1799 był dla niego bardzo ważny, jako pierwsza wycieczka w świat bez opieki matczynej. W roku tym książę generał ziem Podolskich wybrał się do wód mineralnych w Bardyowie, a autor wspomnień znajdował się w jego orszaku. Niewątpliwie dla historii obyczajów owej doby wspomnienia Dembowskiego będą posiadały pewną wartość. Już sam opis podróży do Węgier magnata polskiego, jakim był generał ziem podolskich, następnie odtworzenie obrazu życia jego w Puławach i przedstawienie całego jego dworu, nie jest bez interesu i bez pewnego powabu. Autor wspomnień przesuwając przed oczyma czytelnika całą galeryę oryginalnych i pospolitych, sławnych i zwykłych postaci, które się na dworze Puławskim zapisały. Portrety książęcego towarzystwa urozmaicają anegdoty mniej lub więcej dowcipne, ale cały ów świat, odtworzony wspomnieniem Dembowskiego, zda się być idyllą, jakąś oazą spokojną, w której gościł duch rozkosznej i nieustającej zabawy, niezamąconej odgłosem surmy bojowej, zewsząd rozbrzmiewającym.

Rok 1806 rozpoczęto w Puławach szeregiem zabaw i festynów, lecz kiedy 20 listopada przysłała wiadomość, iż Francuzi do Warszawy przybyli, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystko się z Puław rozleciało. Młodzież całą się do Warszawy przeniosła i jedni do

wojska się zaciągali, drudzy do służby cywilnej wstępowali. Wielka świetność Puław tu koniec swój znalazła, i kiedy na Ś-ty Adam, w dniu 24 grudnia zjechali się goście, nie było balów, bo nie było młodzieży do tańca. Z konieczności więc i autor wspomnień musiał więcej poświęcić uwagi sprawom publicznym, a przede wszystkim organizacji Księstwa Warszawskiego i dziejom politycznym tego nowo stworzonego kraiku. Zawartość historyczna jego pamiętników nie jest jednak wielką i nie może być porównaną ani z pamiętnikami Wybickiego, ani Skarbka, ani Kajetana Koźmiana.

We wspomnieniach Dembowskiego można odnaleźć niejedną anegdotę, świadczącą o demoralizacji żołnierza francuzkiego i o duchu grabieży, jaki nim owładnął. Historii w tym rodzaju opowiedział dużo Niemcewicz, z tem wszystkim jednak powtórzę, co Dembowski opowiedział o Napoleońskiej gwardyi i o pobłażliwości cesarza dla nadużyć swoich wiarusów. — Dnia 27 (?) Napoleon przybył do Pułtuszka. Opisuje Dembowski, iż dni następnych przyjął deputacyę, wysłaną od utworzonej Izby administracyjnej płockiej. Kiedy członkowie jej z powozów wysiadali, gwardya, przy kwaterze straż utrzymująca, buty im z nóg pościągała. Deputaci w szkarpetkach, zabłoconych sukniach, zamierzali udać się gdzie po jakiegokolwiek obuwiu, ale adjutant cesarski zastąpił im drogę i rozkazał, żeby się cesarzowi przedstawili. Próżno tłómaczyli się swoim przymusowym negliżem, odpowiedział im, że to wojna i etykieta żadna nie może przeszkadzać do spełnienia obowiązku. Napoleon przyjął ich, śmiejąc się, i rzekł: To są skutki wojny i waszych błot przeklętych. Łatwiej sobie dacie rady bez butów, niż moja gwardya, która w waszych bagnach trzewiki pogubiła.

Konstytucyi Księstwa Warszawskiego, jak i w ogóle stosunkom politycznym nowo powstałego państewka, Dembowski nie wiele miejsca poświęca. Pod tym względem wspomnienia jego stoją niesłychanie niżej od pamiętników Fryderyka Skarbka. W każdym razie i u niego znaleźć się może niejednen szczegół przydatny dla historyka, który ochroni wspomnienia od lekceważenia potomności. Zdaniem Dembowskiego, Księstwo Warszawskie wydawało się jakby prowincją francuską. Nadto konstytucya nowa obalała z gruntu dawne zwyczaje, przywileje, prerogatywy i prawodawstwo Rządu pruskie, po których procedura karna pozostała, przyczyniły się jeszcze do większego zamieszania; a jeśli zważymy, że bardzo mała liczba znajdowała się ludzi, którzy-by gruntownie posiadli nauki, lub w służbie cywilnej odbyli praktykę, to dziwić się trzeba, że wśród tego nie powstał okropny chaos, i tem więcej ocenić należy niez mordowaną gorliwość osób, które stały na czelerządu. Oni-to, z epoki sejmu czteroletniego lub insurrekcyi Kościuszkowskiej jaką taką praktykę wyniosłszy, dla pomocników swoich stali się for-

malnymi profesorami. Bieglejsi z nich i do pióra pochopni poczęli drukiem ogłaszać listy w materyach ekonomicznych, skarbowych, prawnych i administracyjnych.

O arcybiskupie Raczyńskim wspomina Dembowski, że ciągle szturmował do króla, do ministrów, żale rozpościerał, ostro pisał, zwierzchnictwa Dyrekcyi spraw wewnętrznych nie uznawał i przeciw zajmowaniu klasztorów protestował; najwięcej go jednak bolało ciągle mieszanie się mniejszych władz administracyjnych do czynności duchownych, jak regulowanie opłat za pogrzeby, obwieszczenia i t. p. Szczególny zaś gniew wywierał na ministra sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, kiedy ci proboszczów, jakby zwyczajnych urzędników, karami okładać się poważyli. Niesnaski te ciągnęły się przez cały czas egzystencyi Księstwa i większej nabierały cierpkości w miarę pogorszającego się stosunku Napoleona z Papieżem. Król saski, gorliwy katolik i duchowieństwu przychylny, chętnie stronę arcybiskupa i kleru trzymał, ale wiele zaradzić złemu nie umiał.

O sprawie włościańskiej znajdujemy w pamiętniku Dembowskiego krótką wzmiankę, którą powtarzam w całości: „Włościan równano z resztą mieszkańców w obliczu prawa, przypuszczano ich w wyjątkowych razach do listy wyborców, otwarto możność kształcenia się i awansowania, tak w wojskowej, jak i w cywilnej służbie. Lud przyjął to z radością, wstrząśnienia żadnego wszakże nigdzie nie było i odrabianie powinności inwentarskich nigdzie nie zostało przerwaniem. W Płockiem tylko prefekt Rembieliński skłaniał tak dziedziców, jak i włościan, iżby, porzuciwszy przestarzałe inwentarze, zawierali notaryalne umowy, w kształcie kontraktów dzierżawnych, a wielu znalazło się takich, którzy poszli za jego radą. To wszystko dowodzi dokładnie, że stan poprzedni nie był tak straszny, jak go sobie wyobrażano, i że „esclavage“, w konstytucyi wspomniane, unas nie istniało. Stosunek był w ogóle patryarchalny i w wyjątkowych a bardzo rzadkich wypadkach uciskiem nacechowany.“ Tyle tylko o włościanach, których sprawa poruszyła literaturę ówczesną, ministerya i radę stanu. Za to daleko obszerniej zastanawia się autor wspomnień nad ruchami wojsk, nad zabawami i różnemi ówczesnemi przygodami oraz anegdotami.

Tom drugi wspomnień Dembowskiego rozpoczyna się od r. 1830, którego znaczną część spędził autor w Warszawie. Zatem piętnaście lat Królestwa Kongresowego znikło zupełnie z pamięci Dembowskiego, albo też notatki spisane z tych czasów zaginęły, lub dotąd odszukanemi nie zostały. W każdym razie wspomnienia autora z powyższej doby mogły być najbardziej interesującemi i ważnemi dla historyka XIX-go stulecia. Dembowski bowiem, jako uczestnik wszystkich sejmów z kolei, mógł skreślić najdokładniej dzieje organizacyjne i administracyjne

Królestwa Kongresowego, czemby niemałą usługę oddał historyografii polskiej. Wzamian za to, zaraz na samym wstępie do tomu drugiego dowiadujemy się, że dnia 15 sierpnia 1830 r. obchodzono w Puławach imieniny księżnej Maryi Wirtembergskiej, że zjazd tego roku był bardzo liczny; ordynat Zamoyski, kasztelanowie: Kochanowski, Koźmian, ks. wojewoda Czartoryski i mnóstwo innych osób przybyło na ten rodzinny obchód. Wogóle wspomnieniom Dembowskiemu zdawało się przyświecać słońce Puław i ono promieniami swemi przyćmiewało lub nawet niekiedy całkowicie gasiło wszelkie inne wpływy i zdarzenia.

Wreszcie, opisując wypadki roku 1830 i 31, Dembowski, zupełnie jak Thiers, wyobraził sobie, że jest powołany do pisania historii spraw wojennych i jeżeli nie wyłącznie, to przynajmniej przeważnie im wspomnienia swe poświęcił. Do spraw wojskowych urzędzeń i do przebiegu kampanii 1831 r. posiadamy w naszej literaturze dwa dzieła nieposledniej wartości, wobec których wspomnienia Dembowskiego zajmą bardzo podrzędną rolę. Są to prace Ludwika Mierosławskiego i Barzykowskiego, które wzniosły się ponad poziom zwykłych pamiętników i starały się na podstawie licznych i ważnych źródeł dać krytyczny i systematyczny wykład dziejów.

W ogóle więc wspomnienia Dembowskiego nie ziściły nadziei, jakie w nich pokładano. Dla historyków będą one miały podrzędne znaczenie, a ów zdumiewający brak poważniejszej treści i nawet pewna bezładność w opisie wydarzeń naprowadzają na myśl, że autor po upływie wielu lat zaczął spisywać swoje wspomnienia i że przejścia życiowe i sędziwy wiek wpłynęły niekorzystnie na przekazanie potomości osobistych wspomnień.

A. REMBOWSKI.

E. Orzeszkowa. „Iskry“ (nowelle), Warszawa, Kraków 1898 r.

Przed paru laty, jednocześnie niemal z dwutomowym zbiorkiem utworów mniejszej wartości artystycznej, p. n. „Melancholicy“, ukazała się w osobnym wydaniu „Pieśń przerwana“, precudna sielanka, która głośnem echem odbiła się w sercach wielbicieli Orzeszkowej,

a która w szeregu niepospolitych owoców jej talentu niepoślednie zajmie miejsce. I oto teraz znakomita powieściopisarka, nim stworzy dzieło, które-by mogło współzawodniczyć z „Pieśnią“, „Meirem“ i tyłu innemi, obdarzyła nas zbiorkiem bezpretensjonalnych, a miłych wszelako obrazków, nazwanych „Iskrami“, bo w każdym z nich jest iskra ducha autorki, rozbłogosławionego nad smutną ziemią naszą. „Melancholicy“—są melancholikami, bo gdy pędzą za błędnym ognikiem szczęścia osobniczego, nie przyświecają im światła celów wielkich, bo pochłonięci swem małym, jednostkowym nieszczęściem, nie umieją, jak mówi poetka, „od zachodu własnej zorzy na wschód wszechżycia obrócić lica“. Otóż jak ta wspólna idea „Melancholików“ łączy luźne ogniwa w jedną całość, tak też i „Iskry“ zlewają się w smugę ognistą, bo każda z nich zapala w sercach naszych ból, tęsknotę, niepokój, współczucie dla istot opuszczonych i samotnych, współczucie dla drzew, które tracą swe liście, i dla liści tych, które giną „daleko“, otoczone pustką; współczucie dla ziemi, którą opuszczają jej synowie i córki, i dla tych synów i córek, zbłąkanych i marniejących. Pokrewieństwo idei przewodniej i uczucia, wywołanego w czytelniku, pozwala zbliżyć nam „Iskry“ z „Australczykiem“, a nawet trudno myśleć i pisać o pierwszych, by jednocześnie nie wzbudzić w sobie żywego wspomnienia o drugim.

„Australczyk“ jest symfonią, a „Iskry“, to tęskne odgłosy, szepty prawie, dolatujące do nas z przestrzeni bardzo oddalonej, gdzie dobrany chór śpiewa pieśń żalu i boleści. „Iskry“ smutniejsze są, aniżeli „Australczyk“. Bo tam Roman Darnowski w chwili, gdy miał oderwać się od pnia macierzystego i opaść gdzieś „listkiem uschłym“, w chwili, gdy pękaly już ostatnie ogniwa—przejrzał nagle, że szczęście istotne i uczucie prawdziwe może znaleźć tuż wokoło siebie, i że istotne i trwale zadowolenie zaczerpnąć można jedynie w poczuciu spełnionego obowiązku.

W „Iskrach“ trudno lub niepodobna zejść już komukolwiek z obranej przez siebie drogi. Oto np. „liść uschły“, Górski,—choć go zawodzi, mimo pozornej uległości „takt, cyfra, interes i siła“, choć czuje, iż zawód *Uebermenscha* przytłacza mu barki, a na czołę zmarszczek przymnaża,—nie będzie już nigdy zbierał rydzów z p. Władysławą w nadniemeńskim borze, bo „inaczej stać się nie mogło, żadnym sposobem nie mogło“. Więc niema powrotu dla Górskiego, niema również i dla tego biedaka, co z rodzinnego zaścianka wybiegł szukać „karyery“ w świat szeroki, a teraz codzien wyśpiewuje w szyneczku: „Po mej śmierci nie zadzwoni Mój ojczysty dzwon!“—Oto dostojnik wysoki, co myśli z zadowoleniem o sobie: „Hej! hej! gdzie to ja zaszedł! Skąd wyszedł, a gdzie zaszedł“, z takiego dołu wyleźć i na taką

górze wyleźć — sztuka“. Ale na górze owej,—skądciś wionęła nań pustka, nicość, osamotnienie. I gdy w takiej chwili siostra nuciła mu z zapadłej wioszczyzny: „Czy pamiętasz?“—coś, mu się wyrwał z serca zaczęło do wspomnień dziecińczych, do dworku rodzicielskiego, do ziemi ojczystej, do tej puszczy, co tak „ślicznie szumiała“. Ej! gdy to mgnienie rozrzewnienia minie, czy wystarczy już mu puszcza? Czy wyrwie z siebie i zatrze w sobie wspomnienia i przyzwyczajenia męskiej i młodzieńczej doby swego życia, by powrócić do świata, który się mu przez mgłę oddalenia w tęczowych barwach ukazuje? Nie znalazł zadowolenia na górze owej, na którą się wspinał; czy je znajdzie, gdy się wstecz cofnie? Być może, że powróci do puszczy, lecz — życie przeżyte... Smutne są „Iskry“.

I nie zamieni się słynna śpiewaczka, Ania Lind, w Annę Lipską pod wpływem wzruszenia chwilowego („krzak bzu“). A „Siteczko“? Groźnie na nie spojrzął z obrazu pan Stefan, co to morze przepłynął i w Danii był! Groźnie spojrzął i przypomniał mu wszystkie opowiadania o wielkich ludziach i wielkich czynach, które ojciec wkładał do główki swej córeczce ukochanej, drogiemu swemu „Siteczku“! Odotoczyło się ono „daleko“! Groźnego wzroku p. Stefana przeleżało się i uciekło... To i cóż z tego? Gdy z dziecięciami swem gwarzyć pocznie, szczebiotu ich nie rozumieją i kwiaty nad Niemnem, a gil z domu ojcowskiego z przestrachem i zdumieniem zapyta: Co to? Co to? Co to? I tak już będzie i tak być musi. Smutne są „iskry“.

„Australczyk“ jest dzielny i śmiały, pełen wiary i buty,—pełen miłości, lecz zarazem rzuca słowa ostre, rozkazujące. Umie wzruszyć głęboko, lecz i podrażnić bardzo. Chce, by wszyscy szli tą drogą, którą on wskaże. Nie szukajcie pasztetu—mówi twardo—wzrastajcie na ziemi, gdzie wam przeznaczenie zrodzić się kazało... Żadnych łagodzących okoliczności uznać nie umie, nie chce... Więc i w sercu skarconego budzi się często ból i opór. Broniąc się, powiada, że nie można wszystkich uzdolnień i wszelkich pragnień zaspokoić jednym dla wszystkich przepisem; że choćby najważniejsze względy nie powstrzymają prężności sił indywidualnych, że wreszcie kilka jednostek zawahało się i przystało, to przecież inne, liczniejsze, pod podmuchem, wytwarzanym przez zjawiska potężne i wielkie, wciąż będą się odrywać i często, najczęściej, ginąć marnie, a swą pracą i swemi natchnieniami, i swemi trupami wreszcie użyźniać obcą glebę...

„Iskry“ już nie karca, już nie gromią, tylko tęsknie i rzewnie się skarżą. Układają się w zgłoski, które szepczą: Poszedłeś, gdzie cię poprowadziła gwiazda twego żywota... i cóż zyskałeś?

W ostatnich utworach swoich Orzeszkowa coraz częściej używa formy auto-epicznej. Okoliczność ta stanowi znowu punkt styczny

z „Australczykiem“, gdyż powieść ta zbudowana jest poniekąd nie tyle z działań, ile z opowiadań i monologów cichych. Forma ta ma swe niedogodności i niezawsze bezpiecznie używać się daje. Autorka zmuszona jest często wmawiać w opowiadającego nieprawdopodobną naiwność, obok bardzo bystrej i ściślej spostrzegawczości. Ze względu na formę opowiadania, sposób rysunku postaci i scen, a oczywiście i ze względu na myśli przewodnie, obrazki zbiorku czynią niekiedy takie wrażenie, jakby były szkicami do „Australczyka“. Zwłaszcza to się przypomina często w „Listku uschłym“, gdzie nawet słyszymy o *pasztecie*. W innym opowiadaniu („Czy pamiętasz?“) ów dostojnik „co się na chwilę czuje Władysiem, wygląda, jak kopia innego dostojnika z „Pierwotnych“; to znów naśladuje Romana Darnowskiego w „Australczyku“. Wogóle i osoby, występujące w ostatnim zbiorku, są może zbyt mało zindywidualizowane, i sytuacje powtarzają znane nam już dawniej. Lecz nie jest to nawet błąd, czy wada, jest to tylko pozbawienie siebie przez autorkę, świadomie czy nieświadomie, jedn-go tylko efektu—wprawdzie bardzo ważnego, bo efektu życia w każdym szczególe,—a to dla tego, że autorka zbyt mocno przejęła się głównem, przeważającym uczuciem, jedynem wrażeniem.. Wiemy już, jakie to jest uczucie i jakie wrażenie. Więc zapytam jeno czytelnika, czy ono mu się udziela? bo mnie się udziela... nie silne, ale rzewne, tęskne, smutne. Żeby nie rozvodzić się dłużej, zatrzymajmy się oto na „Siteczku“. W pracowni strojów kobiecych, właścicielka zakładu opowiada dzieje pewnej wielkiej damy, żony wysoko postawionego urzędnika. Była ona kiedyś służącą w domu rodziców „Siteczka“, w owym czasie, kiedy wielka dama była jeszcze Bronką, u ojczulka na kolanach siadywała i pięknych historii o p. Stefanie i innych słuchała... Było to dobre dziecko i nadzwyczaj żywe; lecz może właśnie wskutek nadmiernej ruchliwości nerwów, wszystko przez nią przelewało się, jak przez sitko--uczucia, wiadomości, upodobania. Dla tego też ojciec ukochane swe dziecko „siteczkiem“ nazywał. Obecnie niewidzialna bohaterka opowiadania przyjechała wraz z mężem na mieszkanie do miasta, w którym dawna jej służąca pracownię założyła. P. Bronisława jest zawsze młodą, wesołą i dobrą. Ma śliczną dziecinę. Tylko... gdy Kazimiera posłuchała szczebiotu dziecka, w oczach miała szpilki...

Kazimiera zabrała z domu rodziców „Siteczka“ obraz pana Stefana. Ten-to obraz Bronka zobaczywszy, „jakby nagle ktoś nożem po sercu ją ciął, zachwiała się, zemdląca“.—„Ale co jej się stało? Jezus Marya! Co jej się stało? nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadniesz?“ Jeżeli Kazimiera ułożyć umiała artystyczną ze swych wspomnień wiązanek, wybierając z nich tylko te, które bezpośrednio stoso-

wały się do wypadku, już nie mogła zadawać pytania: Co się jej stało? Następnie, niewiadomy jest wcale powód wynurzania się przed obojętnym gościem, który oczekiwał na wykończenie sukienki dla swej córeczki. Ponieważ znowu Bronka ukazuje się nam tylko przez pryzmat opowiadania, o zindywidualizowaniu tej postaci niema co mówić. Jest ona rodzajem liczby umówionej, ogólnikiem do pewnego stopnia. Ani nam wszakże, ani autorce wcale o takie względy nie chodzi, lecz tylko o to, czy sytuacje podobne wydają się nam możliwemi? Czy przeciwstawienie dziecinnych lat Bronki do dnia dzisiejszego, czy nagłe spotkanie się jej ze swą przeszłością, mogło zmącić niewzruszoną pogodę jej ducha? I czy my, czytelnicy, nie czujemy, jak Kazimiera, ukłócie szpilek w oczach? Albo znowu, widok Górskiego, czy nie nasuwa nam wątpliwości: Praktyczność czy zawsze jest praktyczną? Czy podobna kazać zamilknąć sercu, jeśli ono czuje się spojonym „z ziemią tem ogniwem, które płód wszelki łączy z rodzicielskiem łonem, i którego sztuczne młoty rozbić nie mogą, bo w nieśmiertelnej swej pracowni ukuła ją natura“. I odezwie się w najpraktyczniejszym sercu tęsknota, a droga do powrotu zamknięta...

Odrębne miejsce w zbioru przyznać należy obrazkom „Babunia“ i „Panna Róża“. Maluje tu nam Orzeszkowa również życie samotne i smutne, jak w innych, ale samotne i smutne dla tego, że ubiega wśród ludzi zgorzkniałych lub zubożniałych, a nie umiejących dojrzeć skarbów uczucia w sercach istot niepozornych, onieśmielonych, odsuniętych w kącie życia rodzinnego. I obrazek „Daleki“ (głodny i chory student, marzący o ściąganiu ideałów na ziemię), jakkolwiek bohater jego czuje się listkiem oderwanym od wiązu i pędzonym przez mroźny wicher daleko, daleko—i ten obrazek, mówię, odbiega nieco treścią od innych utworów, w zbioru umieszczonych. Ale nie odbiega z pewnością ten, nad którym autorka napisała „Śmierć domu“! Ile tragizmu umiała ona włożyć w opis tak prozaicznej czynności, jak licytacja, licytacja nadto, odbywająca się bez rospaczy, bez jęków właścicieli. Właściciele nieobecni. Gdzież są? Oto jeden z tego domu tak dalece rachować nie umiał, że za gwiazdkę zaoferował życie,—gwiazdy nie dostał i życie utracił. Inni—kto wie? Może zachciało się im wchodzić na wysoką górę dostojeństw, zaszczytów, bogactw, może szukają „karyery“ i pasztetu, spowinowacenia się z ekscellencyami w Wiedniu czy Berlinie... Po woli, czy po niewoli, mieszkańcy opuścili dom, i dom umiera. Przesuwają się przed nami (we wspomnieniach dawnego sługi) obrazy spokojnego życia i szczęścia rodzinnego, oglądamy po kolei wszystkie pamiątki... wszystkiego dotkną obojętne ręce i wszystko wysmieją, i wszystko zmierzają pogardliwym spojrzeniem. I pada na ziemię i wnet zdeptaną i splugawioną będzie mała kartka, na którą ręka pisząca

przeleżała dla drogich osób całe kochanie, pragnienie, tęsknoty swej właścicielki, wyraz jej uczuć najgłębszych, najserdeczniejszych. W każdą drobnostkę, która teraz wędruje z rąk do rąk, wsiąkała niegdyś kropelkami czyjaś dusza, każdy sprzęt pamięta tyle, tyle...

I oto dom opustoszał. I oto nadchodzi smutna noc. I duchy dawnych mieszkańców biegną gromadą tam, gdzie kiedyś brzmiały śmiechy wesela, gdzie kiedyś szukano schroniska po burzach, ogarniających całe pokolenia... I oto w ciszy mroków, osłaniających zniszczenie, przebiegają wołania przerażone, rozpaczliwe: Więc już! więc już! koniec, koniec, koniec!

Zamykając „Iskry“, uczynię autorce jeden, jedyny zarzut, iż nie położyła „śmierci domu“ na końcu. Było-by to zaokrąglenie całości ze względu na architektonikę książki, i ze względu na siłę wrażenia. Orzeszkowa wołała wszakże na zakończenie stłumić westchnienie żalu i zanucić pieśń odrodzenia i nadziei, i kazała nam uwierzyć, że Ania Lind, po wypłakaniu łez skruchy, powstanie z klęczek odrodzoną na nowe życie. Obyśmy częściej oglądali wśród nas Anny Lipskie, jeśli już los tak przeznaczył, że do ojczyzny nam droga przez Wiedeń wypada.

Jan Szutkiewicz, Autor „Popychadła“. „Jeden z Wielu“. Powieść, 2 tomy. Warszawa, 1898.

„Jeden z wielu“ — to młody, uzdolniony, pracowity, oddany sztuce, artysta dramatyczny, który wstąpił na deski sceniczne, przyciągnięty magnetyczną siłą teatru, a pomimo wytrwałej i długiej pracy, pomimo talentu niepowszedniego, pada na stanowisku wyczerpany, nie osiągnąwszy celu swych marzeń, skrzywdzony przez towarzyszków zawodu, sponiewierany przez kobietę, której oddał swe serce. . . Jeden z Wielu. . .

Poznajmy się bliżej z bohaterem. Oto widzimy najprzód kilkusetletniego chłopaka, Stefka Kozieckiego, zamkniętego przez zdziwaczałego ojca w 4-ch ścianach, pozbawionego najmniejszej rozrywki, właściwej jego wiekowi. Matki nie pamiętał, więc pieśszczoty nie znał. Zahukany, kroku nie umiał postawić samodzielnie, bez opowie-

dzenia się, bez oglądania się za cieniem ojca, wciąż mu u boku towarzyszącego. Świetnie skreślone przez autora to życie upośledzone, które uwarunkowało dalsze koleje bohatera; bo gdy traf zdarzył, iż przyszły nasz artysta ujrzał scenę, przeciwieństwo między smutną, wszelkich błysków pozbawioną, jednostajną szarzyzną jego życia, a wspaniałością widowiska w niezwykłych, wyjątkowych dla chłopca ramach, było zbyt olbrzymie, by nie olśnić jego wyobraźni. I odtąd, gdy inni w jego wieku toczą walki z Indyanami, podróżują po dziewiczych lasach Ameryki, lub dokonywają czynów bohaterskich, mających na celu obronę niewinności lub ukaranie zbrodni, on w myśli swojej był znakomitym aktorem, zbierającym oklaski, wieńce, złoto. Niestety chciało, że ojciec zmuszony był odjechać na kilkanaście dni 15-to letniego malca. Chłopiec nie umiał oprzeć się pokusie, jaką był dla niego teatr, nie umiał obliczyć się z pozostawionym mu groszem; głód zmusił go do wynoszenia i sprzedaży książek z księgozbioru ojcowskiego. Kara, która go spotkała, była zbyt dotkliwą, stosunki między ojcem a synem już się nie polepszyły, i skończyło się wszystko ucieczką niedorostka do teatru. Nie będziemy dalej śledzić szczegółowo smutnych dziejów naszego bohatera. Zaznaczę jeuo, że od chwili stanowczego w życiu Stefka Kozickiego kroku, rysunek jego postaci traci już swe żywe barwy, staje się nieco szablonowym. Okazało się, że Kozickiego na scenę popchnęło nie złudzenie, lecz istotne, wrodzone powołanie. Za objaw takiego powołania nie można wszelako uważać ucieczki od surowego ojca. Wszak od czasu do czasu mali bohaterowie robią wyprawę do Ameryki w błogiem mniemaniu, że znajdą tam czarne pantery, duchów puszczy i jak tam inaczej, — ale spotkawszy się oko w oko z taką panterą, pewnie każdy z uich zatęsknił-by do szkoły i do pokoiku swego w domu rodziców. I Stefek, który znał teatr tylko od strony publiczności, poznał odstraszącą rzeczywistość już po przekroczeniu Rubikonu. Nie zraza się atoli, pomimo pierwszego załęknięcia. Więc było w jego osobowości coś swoistego, coś szczególnego, co go ciągnęło do przejmowania się obrazami cudzego natchnienia i wobec tego popędu bładła rzeczywistość, lub się przekształcała. Nie widzimy tego wszystkiego w Stefku; równie dobrze mógł autor kazać swemu bohaterowi uciekać ze sceny, jak na niej pozostać, tajemnicę zaś wytrwałości Stefka tłómaczy nam autor ogólnikami, jak: szlachetny zapal, poświęcenie, dążenie wyżej i t. p. Może też niekoniecznie dobrze, że Kozicki, umknąwszy z domu, nigdy już poza siebie się nie obejrzał. Przecie już sam popęd i przyzwyczajenie do dramatyzowania uczuć popchnąć-by go musiały do rozrzewnienia się, do uprzytomnienia sobie opuszczonego, samotnego ojca. Rozumiemy dobrze, że otoczenie rodzinne Stefana potrzebne było autorowi jedynie do uwarunkowania kroku, uczynionego przez bohatera;

niał tedy prawo zapomnieć o starym Koziackim za siebie, lecz czyliż także za syna? Czy to nie jest pewna luka na rysunku duchowego oblicza tego ostatniego? W ogóle, jak się zdaje, uzdolnień do analizy psychologicznej J. Szutkiewicz w zakresie swego talentu nie posiadał; silniej do niego przemawiał gest, zewnętrzna strona u ludzi i rzeczy. Widać to i z obrazu stosunków teatralnych na prowincyi. Teatr J. Szutkiewicza jest cokolwiek pozbawiony właściwego sobie życia, właściwej sobie duszy; pojedyncze postaci nie uwydatniają się na tle ogólnem, nie zosobniczają się w znaczniejszej mierze — a jednocześnie ów teatr u naszego autora nie urabia wchłoniętych przez siebie osób na pewną szczególną modłę, jak to zawsze się zdarza z każdą jednostką w szeregu. Co prawda, artyści w utworze J. Szutkiewicza są często zawistni i próżni, zawiść odegrała nawet dość ważną rolę w losach Koziackiego, bo, posługując się oszczerstwem, zamknęła mu chwilowo drogę na scenę lwowską; a gdy się rzecz wyjaśniła, K. nie miał już nigdy występować ani na tej, ani na jakiejby innej widowni teatralnej... Wprawdzie, artyści z towarzysztw p. Jedźkowskiego, Litowskiego, Rabczyńskiego, wprawiają nas w zdumienie lekkomyślnością swą, nieopatrznością, nieumiejętnością pomyślenia o najbliższem jutrze... Ale to wszystko autor traktuje jedynie jako fakt, nie starając się wykryć głębszych jego przyczyn, które tkwią chyba organicznie w ustroju współczesnego teatru. Zdaję sobie doskonale sprawę, że autor lepiej, niż ktokolwiek inny, mógł zbadać tajemnice swego odrębnego światka. Atoli znajomość taka jest jednym z warunków twórczości, lecz nie jedynym; bo przecież każdy z nas, czytających i piszących, ma jakiś swój światek. a jednak nie każdy z nas, Bogu dzięki, jest powieściopisarzem... Wreszcie, gdy oko zbyt się oswoi z pewnemi szczegółami, przestają one dla niego istnieć...

Zresztą, jeżeli wyraziłem swe zdanie, że autor „Jednego z Wielu“ mniej zważa na duchowe przejścia swych bohaterów, lub przedstawia je nam w sposób nie dość zindywidualizowany, — a zaznacza się to zarówno w rysunku pojedynczych osób, jako też w ustępach, w których działanie przyczyn ogólniejszych znajduje swój wyraz w duszy jednostki, — to znowu pragnąłbym jak najmocniejszy nacisk położyć na tę okoliczność, iż zewnętrzna strona rzeczy przedstawia się u Szut. o tyle barwnie i żywo, że czytelnikowi w zupełności udziela się ten nastrój, którego doznawał autor, wywołując w pamięci smutne obrazy niedoli, opuszczenia, życia z dnia na dzień, włóczęgi o głodzie i chłodzie, bez celu, bez nadziei... Widzimy niechlujny zajazd żydowski, artystów śpiących we wspólnej izbie na przeznaczonych im ławach, lub kostniejących na rozsypanej słomie, zrywających się o światło wśród hałasu, bo u gospodarzy już się zaczęło życie. W takiej „symbiozie“ trzeba spę-

dzie cały dzień, dużo takich dni i każdy z nich trzeba spędzić za kilkanaście groszy o ladajakiej strawie. To jest ognisko domowe koczowniczego aktora. Wśród takiego otoczenia marne myśli, małe uczucia, nędzne zawiści, zółciowe ukłócia, docinki za swoją biedę, za swoją poniewierkę. Gdy ludziom źle, to dręczą się wzajemnie. Takie warunki wypłoszą z głowy chyba wszelką myśl o powołaniu, o idei, która się staje łatwo frazesem, niezgrabnie ukleconym.

Nie posuwa atoli autor zbyt daleko realizmu w swych obrazach, a nawet w drugim tomie powleka niejedno pewnym sentymentalnym pokostem, podobnie, jak to bywa w niejednej ze sztuk, odegrywanych na scenie.

Autor nazwał swój utwór nie opowiadaniem, lecz powieścią. Z formalnego względu nie jest może ta nazwa zupełnie właściwą. Opowiadanie zostało przerwane nie dla tego, by dobiegł końca pewien cykl wypadków, mających swój wyraźny punkt ciężenia, lecz że na drodze bohaterowi stanęła niekonieczna poniekąd przeszkoda — śmierć. Tyle innych, lepszych i gorszych współpracowników Kozińskiego ocalało, duch artysty jeszcze był zdolny do dalszego rozwoju, otwierały się przed nim świetniejsze widoki. Przyszłość tedy organicznie była możliwą. Lecz poza tą stroną formalną ukrywa się wewnętrzny błąd pomysłu. Zdrowie Kozińskiego podkopywane było oddawna, przyczyną były niewygody znoszone, później nadmierna praca, może też zbyt wielka oszczędność, bo co do rozrzutności, p. Stefan nie był wcale typowym aktorem, w ogóle za mało może posiadał temperamentu artystycznego. Lecz zdrowie może dało-by się poprawić, i wszystko było-by dobrze, gdyby nasz bohater lepiej umieścił swe uczucia... Rujnował do reszty zdrowie, ślęcząc nocami nad przepisywaniem ról, by móżdż co dni kilka jakiś upominek złożyć swej bogdance, a gdy ta wreszcie namyśliła się, że nie zrobi dobrego interesu, wychodząc za Kozińskiego bolesny zawód, zniechęcenie do życia, odebrało naszemu bohaterowi resztkę sił. Przyjazna opieka przyszła zapóźno, obojętność kierownika teatru naraziła go na szkodliwe i nadmierne wzruszenie — i śmierć stanęła u progu. Telegram dyrekcji lwowskiej, która się przyznawała do błędów i wzywała Kozińskiego na wielką scenę, rzucił tylko jaśniejszy a ostatni błysk na smutne życie...

Jak tedy widzimy, najcięższą może krzywdę wyrządził Kozińskiemu nie teatr, lub coś specjalnie przez teatr ukształconego, lecz kobieta. Zresztą, p. Jadwiga Ostrowska jest trochę niewyraźną; ryzykowna nieco psychologia autora nie dopisała mu i w tym, tak ważnym w rozwoju wypadków, punkcie. Poznajemy Jadzię jako naiwnego, szczerego, biednego dzieciaka, który robi na widzu bardzo sympatyczne wrażenie. Aż tu raptem, w przeciągu kilku tygodni nagle, robi się

z niej „kobieta, aż niedobrze“, podług wyrażenia jednej z występujących osób.

Gdyby z uwag powyższych czytelnik wyciągnął wniosek, że utwór J. Szutkiewicza nie posiada żadnej wartości artystycznej, byłoby to dowodem niezręczności sprawozdawcy. Zapewne, niema mowy o postawieniu „Jednego z Wielu“ w jednym szeregu z dziełami pierwszorzędnych, a nawet drugorzędnych naszych sił powieściopisarskich. Nie wstąpiwszy wszakże na wyżyny artyzmu, autor zapisał swe imię, acz drobnymi i nielicznymi zgłoskami, w literaturze, nie w bibliografii. J. Szutkiewicz wydobył na jaw pewne szczególne strony życia mniej znanego ogółowi światka, a wszystko to, co w nim widzimy, budzi w nas żal i współczucie dla tych istot, tak bardzo przez los swój pokrzywdzonych, tak bardzo, a normalnie niejako, wykołejonych, które jednak lepiej czy gorzej, ze szlachetniejszymi lub bardziej poziomymi dążeniami, „wdzięcznym marom, zrodzonym w błękiecie, własnego ducha na chwilę użyczą.. I całą swoją roztrwonią istotę,“ by obojętnemu widzowi dostarczyć chwili zapomnienia, śmiechu, uludy...

„Strwonione życie! komedia skończona!“

A. DROGOSZEWSKI.

Stanisław Wyspiański, „Legenda“. (Paryż 1892—Kraków 1897. Nakładem autora).

Niewielka ta i niezwyczajnie wyglądająca książeczka uderza już oryginalnością swej zewnętrznej szaty. Na pierwszej kartce zdobi ją rysunek polnego kwiatka, mlecza naszych rowów przydrożnych, przypominający kłokole i bławatki charakterystyczne z kościoła Franciszkanów w Krakowie. Nieco dalej pęk lilii—irysów, takich dziwnych, że każda z nich zdaje się fantastycznie wykrzywioną twarzą chochlika jakiegoś, rusalki lub wilkołaka. Autorem jest znany malarz.

Więc Wyspiański został poetą? a raczej więc pisze i wydaje poematy?.. bo poetą był zawsze w swej sztuce nowoczesnej, oryginalnej, nie zależnej, potrochu rewolucyjnej, poetą nawet w tedy, gdy jego olbrzymia fantazyja rozsadzała ramy techniki, tworząc dzieła niezawsze

harmonijne, ale zawsze niepospolite pomysłem, wyrazem i siłą. Cóż to jest ta „Legenda“? dramat na seryo, czy dylettanckie intermezzo? Przerzucając katrki książki, widzimy imiona Kraka i Wandy, wracające ciągle; więc to historia Krakusa, tyle razy już opiewana, tyle razy kusząca naszych mniejszych i większych poetów. Jaki motyw wybierze pan Wyspiański? otrucie smoka, czy samobójstwo Wandy i miłość jej dla Niemca? Bądźmy spokojni—pan Wyspiański nie zaprowadzi nas na utarte szlaki, nie powtórzy nam „legendy“ dawnych kronik, ale da nową, podsłuchaną w szumie fali wiślanej.

Czytajmy. Na wstępie dekoracya szeroko i szczegółowo zaznaczona na sposób Ibsena i Wagnera; autor wprowadza nas w głąb świetlicy drewnianego zamczyska na Wawelu, gdzie na posłaniu skór niedźwiedzych kroua stary Krakus, witeź i król. Za palisadami zamku słyhać hałas piekielny—do bram szturmują niemiecscy najeźdźcy;—stary wódz, osłabiony wiekiem i chorobą, nie może podjąć miecza i zastępuje go na wałach córka—jedyne dziecię. Dwóch barfiarzy, druhów wierzynych, siedzi u nóg Kraka i starają się zgon mu uczynić lżejszym. Trącając w struny, śpiewają o dawnych czasach, ale myśl starca uparcie wraca do smutnej rzeczywiatości. Konieczność blizkiej śmierci i „być albo nie być“ zagrobowe zajmuje go wyłącznie. „Gdzie idą dusze po opuszczeniu ciała?“ Krak nie może odejść ani na „pole lez“, ani na „pole wesela“, bo zanadto kocha „góre tę i zamek“, pragnął-by skamienieć, zasnąć gdzieś w pobliżu, żyć wreszcie połowicznem istnieniem i budzić się czasem, aby patrzeć na Wawel. Stary Łopuch, harfiarz „znający“, obiecuje Krakowi taką zagrobową przyszłość. Ale zamek trzeszczy w posadach, Niemcy coraz bliżej; Wanda wpada w zbroi, rozpaczona, rzuca się do nóg umierającemu ojcu, wyznając, że odbiegła ją odwaga i siła, nie może się bić, nie może pokonać wstrętu do walki. W każdym umierającym wrogu widzi twarz brata rodzzonego, którego kiedyś—zabiła.

Tak—jej dziewicze ręce przelały krew braterską: obaj synowie Kraka pokochali miłością siostrę rodzoną, jeden zabił drugiego przez zazdrość — a pozostały zginął z mściwej ręki siostry. Od tej strasznej chwili bohaterka, dręczona wyrzutami i rozpaczą, nie może już podnieść miecza i prowadzić do boju. Duch w niej upadł i urok jej prysnął.

Napróżno ojciec w ostatniej chwili życia gromi ją i bić się rozkazuje, napróżno błagają harfiarze...

Ojciec skonał i zamek zdobyty—za chwilę wpadnie wódz Allemanów, Rytgier, już tylko brona kolczasta, zamykająca wrota, oddziela go od królowy. Stary Łopuch, znający wszystkie czary, opowiada drugiemu harfiarzowi starą przepowiednię, że ktokolwiek-by, młody i dzie-

wiczy, „sprzysiągl“ się bogini Żywii i oddał się jej na ofiarę—uzyska od niej przedtem wszystko, czego-by zapragnął.

Wanda słyszy to, uważa i postanawia się poświęcić. Wysyła starców na strych, aby spychali kłody na wrogiów, a zostawszy sama, wiązuje się straszną przysięgą, oddaje strasznej bogini duszę i ciało w zamian za zwycięstwo nad wrogiem i ocalenie ludu. Żywią pomagają w tej chwili: pioruny biją, ulewa spędza rycerstwo obce z wałów—Niemcy odступują od zamku. Wanda nocą pilnuje ciała ojca i śpiewa dziwne, wojenne ballady. Wtedy wśród księżycowego światła wchodzi antastyczny korowód istot nadzwyczajnych: Rusalek, Wiślanek, Martwic i Wilkołaków. Kładą one Wandzie na głowę wieniec z kwiatów krasy, rosnących na niedostępnych głębiach wiślanych, a ubrawszy ciało zmarłego króla w symboliczne szaty, zabierają je z sobą. Wanda i wchodzący w tej chwili Łopuch widzą, jak orszak cieniów z ciałem Kraka płynie w powietrzu nad Wisłą i zstępuje powoli na dno rzeki. Tam Krak skamieniały leżeć będzie, wsparty na mieczu, senny, budzący się czasem, aby spojrzeć na to, co ukochał na ziemi.—Wanda teraz znów czuje się bohaterką, wie, że cudowna moc napełnia jej piersi i że nic jej się nie oprze. Zbiera niedobitki swoich wojowników, spada na śpiący obóz nieprzyjacielski—zwycięża. Rytgier ginie—Niemcy wypędzeni, Wanda okrzyknięta—królem.

Na dnie rzeki Rusalki budzą śpiącego Kraka: widzi on zwycięstwo swej córki, widzi ją samą w złocistym hełmie, „bogini podobną“ wchodzącą na prom, który przez Wisłę ma ją zawieźć na Wawel Strażna burza się zrywa, podwodne duchy niszczą i rozrywają prom, Wanda słyszy ich śpiew, którym się dopominają o dotrzymanie przysięgi. Rozkazuje wszystkim uciekać z pękającego promu, „zostaje na nim sama jedna. Żegna się z ludem i rzuca się do rzeki, gdzie ją zaraz chwytają Rusalki i układają do snu wiecznego na kamienną pierś Kraka. Taką jest treść tej nowej „Legandy o Krakusie i Wandzie“. Ale czemuże w utworze sztuki jest treść, wobec indywidualności artysty, który, wzięwszy ją w ręce, ubogą i martwą, wlewa w nią życie i ogień? On jej nadaje kształt i formę. Nie forma jednakże, choćby najbardziej wyrobiona i doskonała, stanowi istotną wartość dzieła, ale sposób, w jaki artysta ujmuje odrazu treść i formę, przenika je i panuje nad niemi. On je przetapia w czarodziejskim tyglu wyobraźni własnej, aby się zlały w jedno, przekuwa je na posąg według własnej miary.

Już od początku przy łożu śmiertelnem starego Kraka widzimy, że Legenda nie jest to posąg o nogach glinianych, że stoi silnie na podstawie formy indywidualnej, trochę szorstkiej, zrosłej z treścią, dopasowanej do niej i odpowiadającej wybornie owym czasom zamierzchłym, jednocześnie mistycznym i prostaczym. A treść wystrzeliła pod ręką

artysty w kwiat poezyi prawdziwej, nowoczesnej, nasiąkłej wpływami zachodnich prądów, a jednak zupełnie narodowej.

O dylettantyzmie nie może tu być mowy. Silna wola i ogromna fantazyja artysty biorą się za bary z formą, obcą jeszcze dla niego, i po większej części podbijają ją i zwyciężają. Zapewne, ślady tej walki pozostały gdzieś niegdzie w utworze: obok miejsc wykończonych, dźwięczących śpiżowemi dźwiękami męskiej poezyi, trafiają się słabsze pod względem rytmu i wiersza; przyznać jednak trzeba, że pierwszych jest nierównie więcej.

Język jest archaiczny, lapidarny, zwięzły i—ludowy, a zdaje mi się, że właśnie taki najlepiej odpowiada naturze przedmiotu.

Oto smok wynurza się z pieczary:

„Na światło Żmij się zwleka!

Z jamy, z czeluści,

Ku wodzie,

Okami łypie,

Jak człowiek,

Rzęsą mruga u powiek,

Łapczywie wodę chlipie,

A cielsko wrzące kąpa;

A potem idzie, stąpa

Na kopiec rąk wyniosły,

Gdzie kwiaty wkrąg zarosły

U glazu,

Miodnego kwiaty ślazu

I pokrzyw badył bujny;

Łapą kamień odwali,

Zysem popatrzysz czujny

I grzebie dalej“.

Plastyka nie jest główną, charakterystyczną cechą tego poematu jest jej dużo, ale nie wyskakuje ona na plan najpierwszy, nie ujawnia na każdym kroku autora-malarza.

Przedewszystkiem uderza w pomyśle odczucie i zrozumienie znaczenia symbolu Zamku wawelskiego, a w wykonaniu bogactwo fantazyi i nastrój.

Psychologia bohaterów także nie jest zaniedbaną: dusza ich odsłania się przed nami do głębi. Stary Krak jest wielką postacią i marysą posągu; Wanda poetyczna, wspaniała, nie tylko jest mitem, ale i kobietą. Jest zresztą zbyt skomplikowaną na dziewę prehistoryczną.

W tragicznej chwili, gdy ojciec kona a wróg zdobywa zamek, ona zbyt mało czuje straszną rzeczywistość: rozważa przeszłość, zatapia się we wspomnieniach.

W ogóle wadą jest w budowie pierwszego aktu to, że wobec napięcia dramatycznego, wobec tej nawały nieprzyjaciół za bramą, bohaterowie zabawiają się tak, jakby wierzyli, że musi przyjść cudowna pomoc, aby ich ocalić. Prześliczna, pełna prawdziwej poezji, rozmowa Kraka z harfiarzami, potrzebna zresztą do ekspozycji dramatu i do zarysowania charakteru starego witezia, trwa za długo wobec grozy położenia. Tak mierzenie się starego Kraka z zagadką bytu zagrobowego, jak szamotanie się wewnętrzne Wandy, są zupełnie w duchu sztuki modernistycznej, lubującej się w analizie człowieka i ciekawem badaniu śmierci, są zresztą piękne same w sobie i prawdziwe, tylko w dramacie, w tej chwili akcji, mało prawdopodobne i nie licujące z sytuacją.

Fantastyczny akt drugi, rozgrywający się na dnie Wisły, krótszy, zwięźlejszy, bez elegijnego nastroju, mniej piękny jest może, ale lepiej zbudowany. Nic w nim nie przeciąga akcji, która wartko i żywo zdąża do końca.

Jakie wpływy oddziaływały na artystę przy tworzeniu tego dramatu? Nic w świecie 'ducha nie wystrzela dziś nagle, jak Pallas-Ate-ne z głowy Zeusa; ciągniemy za sobą zbyt długi łańcuch cywilizacji i literatury, spojeni jesteśmy z przeszłością, wsiąkamy ją w siebie, oddychamy nią, a choćbyśmy nic z niej czerpać nie chcieli, to ona jednak uparciestoi przed nami i panuje nad naszą pamięcią. W każdym dziele sztuki najoryginalniejszym musimy szukać jego genezy, zapłodnienia myśli twórcy, czy przez sztukę dawną, czy przez najświeższą, czy tylko przez wpływy zewnętrzne, wypadki, czy przez kierunek pewien, duch czasu.

W Legendzie mamy świat duchów żywiołowych, tak często przez poetów wprowadzany, nic ona jednak nie przypomina ani Szekspira, ani Słowackiego ani Hauptmanna; cały ten fantastyczny lud wiślany żyje własnem, odrębnem życiem.

Musimy tu jednak wspomnieć jedno imię, które panuje nad sztuką współczesną i sztuką przyszłości, geniusz, będący wcieleniem nowych prądów—Ryszarda Wagnera. Szum jego orlich skrzydeł słyszą młodzi artyści i dadzą mu się pociągać w cudowny świat fantazyi.

To też i Legenda pana Wyspiańskiego przejęła jakby muzyczne formy, wszystko w niej dźwięczy i śpiewa. Chorały dziwne podnoszą się z ziemi, grają w wodzie, płyną w powietrzu, drgają w świetle księżycy. Wielka symfonia tonów rozbrzmiewa w całym poemacie, pieśń bije w niebo naprzemian hymnem skargi lub radości. Poeta czuje, że do wyrażenia symbolu Zamku i Rzeki, pojętego tak szeroko, słowa nie

wystarczają—potrzeba tonów. „Legenda“ prosi o muzykę, pragnie jej, wymaga. Pisana jest z myślą o teatrze, dla teatru, jako dramat w dwóch aktach, i tak, jak jest, stanowi całość samoistną, pełną charakteru i wysoce poetyczną; ale odpowiednie, skończone wrażenie sprawiała-by dopiero w połączeniu z muzyką, stojącą na wysokości przedmiotu i w odpowiedniej wystawie.

MARYA KRZYMUSKA.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Od pewnego czasu, kiedy nareszcie zamilkły wszelkie nazbyt górne i abstrakcyjne, a zgoła nieplodne, rozprawy pisane nad rozmaitemi „kwestyami“, dotyczącemi Królestwa Polskiego,—jeszcze, jak gdyby spóźnione ich echo, tuła się po lamach prasy naszej i rosyjskiej dyssertacya akademicka w przedmiocie kodyfikacyi praw i przepisów, obowiązujących w kraju tutejszym. Myśl takiej kodyfikacyi, wyrażona nasamprzód w petersburskim organie ministerium sprawiedliwości, spotkała się niezwłocznie z krewką odprawą ze strony niektórych pism rosyjskich, zaś natomiast znalazła nader przychylnie przyjęcie u innych organów prasy.

Przedewszystkiem musimy stwierdzić, iż ta nowa „kwestya“, podobnie jak tyle innych, dotyczących kraju naszego, poznanych ostatnimi czasy, a teraz przeniesionych w stan spoczynku, posiada tę cechę charakterystyczną, iż postawioną została niejasno. Trzeba-by wiedzieć dokładnie, jaką właściwie musiała-by być istota i cele tego rodzaju pracy kodyfikacyjnej, aby ocenić, o ile ona wogóle mogła-by mieć jakiegokolwiek rzeczywiste znaczenie społeczne. Zaś tylko w tym wypadku, gdyby istotnie miała posiadać takie znaczenie, mogła-by interesować

nasz ogół; w przeciwnym razie jest to sprawa czysto administracyjna, będąca poza obrębem zainteresowania i opinii publicznej. Otóż, „kodyfikacja“ to z natury rzeczy czynność prawodawcza. Jednakże, przy pewnych warunkach, może być tylko czynnością kancelaryjną. Tymczasem dla prawodawczej, w specjalnym zakresie Królestwa Polskiego, nie istnieje żaden odpowiedni organ. Żadnej tego rodzaju instytucji niema już od lat trzydziestu, ewentualnie od dwudziestu, t. j. od zniesienia władz centralnych Królestwa w zasadzie, na mocy uchwały Komitetu do spraw K. P. z d. 20 grudnia 1896 r., i od ostatecznego faktycznego ich zniesienia, po zwinieniu Rady Stanu i Rady Administracyjnej w 1867 r. i ostatniej Komisji rządowej sprawiedliwości w 1876 r., po zamknięciu wreszcie czynności Komitetu Urządzącego w 1871 r. Własnej Jego Cesarskiej Mości Kancelaryi do spraw K. P. z 1876 r. Komitetu do spraw K. P. w 1881 r.— Obecnie istniejąca naczelna w państwie instytucja kodyfikacyjna, a mianowicie Wydział kodyfikacyjny przy Radzie państwa, ma sobie wyraźnie wskazane oparcie swojej działalności na materiale prawodawczym Cesarstwa (prawo 4 lut. 1892 i 23 czerwca 1895 r. § 143 Urz. Rady Państwa, wyd. 1892 r.; i taki sam charakter posiadają poszczególne Komisje Redakcyjne dla wypracowania nowych projektów prawa karnego i cywilnego. Wobec takiego położenia rzeczy, twórczej, w istotnym znaczeniu słowa prawodawczej, kodyfikacji praw i przepisów dla Królestwa Polskiego, przy braku odpowiedniego organu i braku nowych wyraźnych zasad wytycznych, nie może być, zdają się, mowy.— Jeżeli-by zaś natomiast w danym wypadku miało chodzić jedynie o ów drugi rodzaj „kodyfikacji“, który nazwalismy kodyfikacją kancelaryjną, to niewątpliwie była-by to rzecz, dużo łatwiejsza do skutecznienia. A nawet mieliśmy już przykład tego rodzaju pracy, pod postacią 70 tomów Zbioru przepisów administracyjnych, wydanego z inicjatywy hr. Miłutyna, przez b. Komisję prawną pod nadzorem b. Komitetu Urządzącego. Takie wydawnictwa mogą nawet przedstawiać niemałe udogodnienia praktyczne dla sfer urzędniczych, ułatwiając szybsze zorientowanie się w licznych przepisach miejscowych, niedostatecznie znanych urzędnikom, przybywającym z gubernii wewnętrznych Cesarstwa. Tylko, rzecz prosta, tego rodzaju prace, jak rzekliśmy, z samej istoty swojej były-by poza obrębem zainteresowania i kompetencji szerszego naszego ogółu.

Przy tej sposobności godzi się zaznaczyć, iż jedno z pism petersburskich, „*Nowoje Wremia*“, z rzeczonych pogłosek kodyfikacyjnych wzięło assumpt do wyrażenia, a raczej do ponowienia kategorycznego żądania, aby obowiązujące w Królestwie Polskiem prawo cywilne znieść zupełnie i zastąpić przez odpowiednie przepisy pierwszej części X tomu

Zwodu praw Cesarstwa. Zdaniem organu petersburskiego, podobny radykalny środek „nie można-by nazwać narzuceniem obcego prawa, albowiem... dla całej ludności miejscowej jest pożądanem, ażeby w sferze ogólnych stosunków prawnych, cywilnych i prywatnych, zarówno w rdzennych ziemiach Rosyi, jakoteż w kraju tutejszym (t. j. w Królestwie) istniało jedno i to samo prawodawstwo“. Zdaje się, iż dziennik petersburski nie jest dobrze poinformowany o tem, czego istotnie „pożąda“ ludność miejscowa Królestwa Polskiego. Że nie „pożąda“ ona utraty nieoszacowanego krajowego prawa cywilnego, z którem od stulecia się żyła—to pewna. Widocznie publicysta rossyjski nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z tego, czem dla kraju naszego jest owo nasze prawo cywilne, które oddawna weszło w krew i świadomość ogółu, które w znacznej swej części jest samoistnym tworem społeczeństwa naszego, zaś we wszystkich swych częściach zdobyło sobie na tej ziemi trwałą, zupełną naturalizację, które wreszcie przyłożyło się niepomalu zarówno do podniesienia materialnego dobrobytu kraju, jak i do wyrobienia w nim zdrowych, europejskich pojęć prawnych.

Jaskrawe wystąpienie pisma petersburskiego, zmierzające do zuieśnienia za jednym zamachem i Kodeksu Napoleona, i prawa hipotecznego 1818 r., i Kodeksu cywilnego 1825, zdaniem powołanego organu miejscowego, „*Dniwnika Warszawskiego*“, jest jeszcze przedczesnem. „Rzecz bardzo możliwa—wyjaśnia „*Dniwnik*“,—iż z czasem ustrój cywilny kraju przywiślańskiego będzie przystosowany do ogólnopaiństwowego, i wówczas niewątpliwie nie będzie przeszkód do rozciągnięcia na ten kraj ustaw ogólnopaiństwowych; jest to jednak sprawa przyszłości, której chwila rozpoczęcia nie da się jeszcze dzisiaj przewidzieć“. Powyższą uwagę organu urzędowego należy uzupełnić o tyle, iż chwila rozpoczęcia, o której tutaj mowa, zależną jest w znacznej mierze od przebiegu prac wspomnianej przez nas poprzednio Komissyi Redakcyjnej do wypracowania nowego prawa cywilnego, od szeregu już lat funkcjonującej w Petersburgu. Prace rzeczonyj Komissyi nie są jeszcze dotychczas ukończone, lecz, o ile nam wiadomo, ogarniają one również ogół obowiązujących w kraju tutejszym przepisów cywilnych, nie wyłączając prawa hipotecznego. Jeszcze do niedawna należał do tej Komissyi jeden z najwybitniejszych naszych prawników, nieposolity sędownik i głęboki znawca naszego prawa cywilnego. Obecnie, jeśli się nie mylimy, niema ani jednego prawnika, posiadającego specjalną znajomość teoretyczną i praktyczną obowiązującego w Królestwie prawodawstwa. W każdym razie, było-by ze wszech miar do życzenia, aby prawnicy nasi znaleźli możność bliższego zetknięcia się z owymi pracami redakcyjnymi, które od szeregu lat odbywają się w Petersburgu, a które w ostatecznym swym wyniku mogą być dla kraju naszego niesłychanej doniosłości.

Skorośmy szczęśliwie od nieuchwytnych „kwestyi“ ogólnych zeszedli na mocniejszy grunt spraw konkretnych naszego położenia społecznego, godzi się przypomnieć jedną taką sprawę, niedawno omawianą długo i szeroko, a od pewnego czasu jakoś puszczoną w niepamięć. Mamy na myśli stosunki miejskie w kraju tutejszym.

Rzeczą jest powszechnie wiadomą i z zadnej strony nie nlegającą zaprzeczeniu, iż ewolucya dotychczasowa i położenie obecne miast i osad w Królestwie Polskiem z rozmaitych względów wiele pozostawia do życzenia. Dwukrotnie już na tem samym miejscu wypadło nam dotknąć tutejszych stosunków miejskich, i za każdym razem zaznaczyć niektóre ich strony niezadawalające i dopominające się naprawy¹⁾. Kiedy dla miast Cesarstwa liberalna Ustawa miejska z czerwca 1870 r. stała się potężną dźwignią rozwoju, tymczasem w Królestwie szacowny Ukaz Najwyższy 1861 r. o zarządzie miejskim — nieporównanie szacowniejszy od spółczesnych przepisów o zarządzie prowincjonalnym, — zbyt krótkie, niestety miał trwanie; zaś natomiast od lat trzydziestu kraj tutejszy w rzeczach miejskich ulega bez zmiany saukcyom Ukazu 1867 r. o urządzeniu gubernialnem i powiatowem oraz Uchwał Komitetu do spraw Królestwa Polskiego z 1869 r. o zdegradowaniu przeszło trzystu miast na osady, i z 1870 r. o urządzeniu miasta Warszawy. Jakakolwiek byłaby pierwotnie potrzeba i celowość tych ustanowień prawodawczych, zapadłych przed trzydziestu laty, trudno przecieź przypuścić, ażeby one raz na zawsze ustalone były z góry po wszystkie czasy, ażeby w swojej dawnej i nieruchomej postaci odpowiadały w zupełności wymaganiom dzisiejszej doby, chociażby już tylko ze stanowiska samej faktycznej zmiany i rozwoju warunków życiowych w ciągu ubiegłego trzydziestolecia. Zaś jak znaczna dokonała się odmiana samych owych warunków faktycznych bytu miejskiego w Królestwie w ciągu tego trzydziestoletniego okresu, o tem najprostsze dane liczbowe dobitnego dostarczają świadectwa. Ludność miejska, zamieszkująca 114 miast, jakie ogółem pozostawiła w kraju tutejszym Uchwała Komitetu z 1869 r., w ciągu ostatnich lat trzydziestu wzrosła ogółem przeszło w trójnasób; przyczem ludność takiej np. Łodzi zwiększyła się przeszło dziewięćkroć, Warszawa — w czwórnasób, Częstochowy, Będzina, Pabianic, itd. — w podobnym stosunku. Te cyfry i szereg innych, równie znacznych, wydobytych na jaw przez ostatni spis jednolity, same przez się dosyć są wymowne, aby unaocznic nieodzowną potrzebę wszechstronnego udoskonalenia przedawnionych stosunków miejskich w Królestwie Polskiem.

W poprzednich naszych uwagach, dotyczących tej doniosłej i pil-

¹⁾ Kronika miesięczna sierpień 1897, w mar. 1898.

nej sprawy, ograniczyliśmy się na razie do uwydatnienia przeważnie jej strony administracyjnej. Lecz istnieje równie doniosła strona ekonomiczna stosunków miejskich w kraju tutejszym, równie od lat wielu trwająca w zupełnym zastoju, i zewszehmiar godna uwagi i poparcia. Mówimy o odczuwanej oddawna potrzebie obdarzenia naszych miast prowincjonalnych, w obszernym zakresie i dogodnej postaci, niezbędnym dla ich rozwoju kredytem rzeczowym nieruchomym.

Sprawa ta pokutuje już od bardzo dawna, właściwie jeszcze od czasów uchwały b. Rady Administracyjnej z d. 30 kwietnia 1845 r., wynikłej z inicjatywy Najwyższej, a stwierdzającej potrzebę zarządzenia „nieдостateczności miejscowych instytucji kredytowych miejskich w ogólności“. Zamiarem było wówczas władzy zaradzić tej potrzebie przez rozszerzenie działań Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i dozwole nie mu udzielania pożyczek na nieruchomości miejskie. Rzecz nie wzięła skutku. W następstwie, już po zatwierdzeniu ustawy Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy w r. 1870, i m. Łodzi w 1872, ta sama myśl, w zastosowaniu do pozostałych miast gubernialnych i powiatowych, podniesioną została w r. 1876 przez ówczesnego Naczelnika Kraju. Z jego rozporządzenia, za pośrednictwem właściwych gubernatorów, zażądano od magistratów wszystkich miast Królestwa wydania w tej materji swego zdania. Opinie, nadesłane od miast, w odpowiedzi na ten kwestyonaryusz, w ciągu 1878 r., dowodnie wykazały, iż dotknięto tutaj rzeczywistej i dojrzałej potrzeby kraju. Z liczby 107 miast pięć tylko (Terespol, Radzyń, Parczew, Garwolin i Żelechów) odpowiedziało, iż nie życzy sobie pożyczek, z powodu zbyt małej liczby domów murowanych; natomiast ogromna większość skwapliwie oświadczyła się za pozyskaniem tak niezbędnego dla ich dobrobytu udogodnienia. Jednakowoż sprawa poszła w odwłokę i po dziś dzień została w dziedzinie projektów. Jakkolwiek już pierwsze przykłady świetnego wzrostu Warszawy i Łodzi namacalnie wykazały niezmierną doniosłość dogodnego kredytu miejskiego, jednak jeszcze w obecnej chwili, już nawet po większem rozpowszechnieniu towarzystw kredytowych miejskich w miastach gubernialnych, wiele wybitnych środowisk przemysłowych i wszystkie miasta powiatowe kraju są nadal pozbawione tak naturalnej podpory ekonomicznego dobrobytu i rozwoju.

W takim położeniu rzeczy, wiosną ubiegłego 1897 r., Towarzystwo Kredytowe m. Warszawy powzięło godną uznania inicjatywę, ażeby przynajmniej w najbliższym sobie zakresie posunąć naprzód tę sprawę, a mianowicie: celem podźwignienia miast powiatowych gubernii Warszawskiej, rozciągnąć do nich działalność kredytową Towarzystwa warszawskiego. Po zwiedzeniu znaczniejszych miast i zbadaniu ich warunków ekonomicznych przez delegację, złożoną z członków komi-

tetu i dyrekcyi, na posiedzeniu zgromadzenia ogólnego, w styczniu r. b. przyjętą została uchwała o udzielaniu przez Towarzystwo Kredytowe, m. Warszawy pożyczek na nieruchomości murowane w tych miastach gubernii Warszawskiej, w których ogół budynków murowanych ubezpieczony jest wyżej nad 150 tys. rs.; zarazem uchwalone zostały zasady główne odpowiednich przepisów dodatkowych. Rzeczone uchwały Towarzystwa, przedstawione w marcu r. b. do uznania Naczelnika kraju, zyskały jego approbatę, i skierowane zostały do ministerjum skarbu skąd mają przejść pod rozpoznanie Rady Państwa podczas nadchodzącej sessyi jesiennej.

Wspomniana wyżej ankieta, dokonana w r. z. na miejscu przez delegacyę Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy, oczywiście mogła tylko w zupełności potwierdzić, w zastosowaniu szczególnem do gubernii Warszawskiej, potrzebę i pożytek zamierzonej reformy kredytowej, oddawna już będącej na dobie. Z liczby dwunastu miast powiatowych gubernii Warszawskiej—gdyż Grodzisk, który byłby trzynastem, jakkolwiek jest siedzibą urzędu powiatowego błońskiego, po dziś dzień jest degradowany jako osada,—wszystkie przedstawiają dostateczną podstawę i gwarancyę kredytową. Liczą one przeciętnie po 8 tys. ludności i po przeszło $\frac{1}{2}$, mil. rs. szacunku ubezpieczeniowego budowli; wyróżnia się Włocławek z liczbą przeszło 20 tys. mieszkańców i budowli murowanych, zabezpieczonych na przeszło $1\frac{1}{2}$, mil. rs.; podobnież wyższe warunki dobrobytu otaczają zwłaszcza Łowicz, Kutno, Płońsk i Skiernewice.

Należy atoli z drugiej strony zaznaczyć, iż istnieją niektóre ważne utrudnienia, tkwiące w samym stanie i sposobie zarządu miast Królestwa Polskiego w ogólności, zaś miast prowincjonalnych i powiatowych w szczególności,—utrudnienia, które dla pomyślnego rozwoju przedsiębranej obecnie, a tak użytecznej, reformy kredytowej w tych miastach, a tem samem dla podźwignienia ogólnego ich dobrobytu, stanowią szkopuł poważny już z tego względu, iż wprost zmniejszają bezpieczeństwo pożyczek, na nieruchomości miejskie projektowanych. Kiedy jeszcze przed dwudziestu laty, w myśl wzmiankowanej powyżej inicjatywy ówczesnego Naczelnika kraju, omawiana sprawa była przedmiotem zajęć Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, wówczas już, w 1879 r., zwrócono należytą uwagę na szereg takich zasadniczych utrudnień i niedogodności. Do tych niedogodności przedewszystkiem wypadło zaliczyć dotkliwy niedostatek umiejętnego, sprawnego i prawidłowego zarządu miast, brak dostatecznego nadzoru nad porządkami miejskimi, nad konstrukcyą domów i należytem ich utrzymaniem, nad bezpieczeństwem od pożaru itd. Wszystkie te braki, wynikające

z samej istoty przestarzałych urzędzeń miejskich, przetrwały bez zmiany po dziś dzień.

Obok tego, władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, przy badaniu tej materji w r. 1879, natknęły się na inną jeszcze przeszkodę. „W miastach prowincjonalnych zdarza się niejednokrotnie, iż części domów, a nawet i całe domy zajęte bywają na postój wojskowy, za który należność opłacaną bywa z dołu. Właściciel więc, obowiązany płacić raty pożyczkowe z góry, może nie ze swojej winy mieć dom na sprzedaż wystawiony“. Ta sama strona rzeczy nie mogła również i obecnie ująć uwagi Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy. W istocie, obowiązujące surowe przepisy kwaterunkowe, przyznające w dodatku za kwaterunek w naturze nader szczupłe wynadgródenie, właściciele domów w miastach prowincjonalnych stawiają w położeniu częstokroć bardzo niemożliwym. W miastach, posiadających dużo zabudowań poklasztornych, jak Łowicz, lub Pułtusk, jest jeszcze możność ulokowania wojsk w rzeczonych zabudowaniach, Lecz miasta pozostałe, zwłaszcza przy węzłach dróg żelaznych położone, tem więcej są obciążone przez wymagania kwaterunkowe. Lokale wybierane bywają na postój wojskowy za względnie niewystarczającą opłatę, przyczem żadne uprzednio zawarte umowy najmu prywatne nie są uwzględniane, skutkiem czego znowu żaden preeliminowany dochód z nieruchomości nie może być uważany za stały, a tem samem niepodobna ustalić istotnej wartości szacunkowej domów.

Inny jeszcze niemalej wagi szkopał polega na trudności należytego zabezpieczenia pożyczek, udzielanych w miastach powiatowych, pod względem hypotecznym. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, w swoim odnośnym projekcie z 1879 r., nie mogąc dostatecznie polegać na hypotekach powiatowych, postawiło, jako „warunek nieodzowny bezpieczeństwa pożyczek i porządku czynności“, żądanie skoncentrowania w dziesięciu wydziałach hypotecznych gubernialnych, istniejących przy sądach okręgowych, ogółu ksiąg hypotecznych wszystkich nieruchomości miejskich powiatowych i innych, o ile te nieruchomości przystępują do pożyczki. Takie żądanie, jakiegokolwiek skądinąd mogło-by budzić wątpliwości ze względu na literę prawa, wszakże w obecnej chwili, tak samo jak przed dwudziestu laty, miało-by za sobą racje bardzo poważne, wynikające z niektórych właściwości obecnych urzędzeń hypotecznych powiatowych. W rzeczy samej, na czele zwierzchności hypotecznej powiatowej, w myśl obowiązującego prawa sejmowego 1818 r., stoi podsędek, t. j. zajmujący obecnie jego miejsce sędzia pokoju. Owóż funkcjonujący obecnie w Królestwie sędziowie pokoju znajdują się w położeniu, niedość sprzyjającym zupełnemu przez nich opanowaniu niezwykle trudnych i skomplikowanych materji obowiązującego

w kraju tutejszym prawa hipotecznego. Istotnie, z wiadomości urzędowych, ogłoszonych w ostatnim sprawozdaniu Izby Sądowej warszawskiej za rok ubiegły, okazuje się, iż wśród sędziów pokoju, urzędujących obecnie w gubernii Warszawskiej, jeden ukończył szkołę powiatową, jeden—gimnazjum klasyczne, jeden—liceum nieżyńskie, pozostali—uniwersytety w Petersburgu, Moskwie, Kijowie; żaden natomiast nie był wychowawcą Cesarskiego uniwersytetu warszawskiego, gdzie jedynie, ze wszystkich zakładów naukowych w państwie istniejących, odbywa się wykład obowiązujących zasad krajowego prawa hipotecznego. Taki sam stosunek zachodzi we wszystkich innych sądach pokoju Królestwa. Wprawdzie w obecnej chwili urzędy hipoteczne powiatowe są jeszcze prowadzone na ogół z dostateczną starannością i znajomością rzeczy, a to dzięki tej okoliczności, iż obowiązki pisarzy hipotecznych pełnione są w nich jeszcze przez osoby, które odebrały krajowe wykształcenie prawne. Bądź co bądź, wobec pierwszorzędno znaczenia normalnej procedury hipotecznej dla normalnych czynności wielkiej instytucji pożyczkowej, opartej na wzajemności, jaką jest Towarzystwo Kredytowe m. Warszawy, wyłuszczone okoliczność w ścisłym pozostaje związku z istotnym powodzeniem projektowanego rozszerzenia kredytu miejskiego. Związek ten zresztą jest tem ścisłejszy, iż wobec zapadłych ostatnimi czasy prawomocnych wyroków Izby Sądowej warszawskiej, sprzeciwiających się przeniesieniu ksiąg hipotecznych powiatowych do wydziałów przy odpowiednich sądach okręgowych, dawniejsze w tej mierze dezyderaty, wyrażone w 1879 r. przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, nie zdają się mieć obecnie żadnych widoków powodzenia, a tem samem, przy rozciągnięciu pożyczek na miasta powiatowe, wypadnie liczyć się z reguły z praktyką uzędów hipotecznych powiatowych.

Wyczerpaliśmy zapewne do dna cierpliwość czytelnika temi nużąciami wyluszczeniami, zamkniętymi w ciasnych granicach naszego życia społecznego. Ale cierpliwość jest tutaj nieodzowna, jest obowiązkiem, gdyż ta proza życia codziennego, to jedyny grunt realny, na którym stoimy; i jeśli wolno amatorom opuszczać go i wznosić się w obłoki, nie wolno społeczeństwu.

Dopisujemy jeszcze na zakończenie kilka interesujących szczegółów, podanych ostatnimi dniami do wiadomości publicznej w sprawie przyszłej organizacji Instytutu politechnicznego w Warszawie. Politechnika warszawska, oparta na hojnej ofiarności i żywej sympatii naszego ogółu, spotyka się dotychczas ze strony władzy z godną uznania życzliwością. Uczyniony wybór dyrektora szkoły można nazwać pomyslnym i dobrze rokującym o jej przyszłości. Z chwalebnympośpiechem czynności przygotowawcze tak daleko już zostały posunięte, iż

wykłady będzie można rozpocząć w nadchodzącej jesieni. Rzecz prosta jednak, iż trwałe powodzenie i wzrost Instytutu politechnicznego w Warszawie zależeć będzie przede wszystkim od wysokości jego poziomu naukowego i od tej atmosfery duchowej, jaka tam będzie panowała. Życzyć należy, aby ten poziom był możliwie najwyższym, ta atmosfera możliwie najzdrowszą. Co się tycze personelu wykładowego, ma on obejmować dwudziestu kilku profesorów, obok odpowiedniej liczby adjunktów i nauczycieli praktycznych. Od wszystkich tych osób wymagany być ma jedynie stosowny cenzus naukowy, a mianowicie stosowne stopnie uczone, zyskane na uniwersytetach rosyjskich,—lecz bez żadnego wyłączenia pod względem narodowości. Jest to zresztą zasada, zupełnie tak samo uświęcona w ustawie uniwersytetu warszawskiego, gdzie również personel wykładowy z zasady poddany jest jedynie wskazanemu cenzusowi naukowemu, bez żadnych względów narodowościowych. O wybitnych siłach wykładowych, jakie zapewne będą pozyskiwane dla Instytutu politechnicznego, i wogóle o dalszym jego rozwoju, nie omieszkamy w czasie właściwym zawiadomić czytelników.

Zamykając na tem naszą kronikę domową za miniony miesiąc, czujemy się w obowiązku zapisać z powściągliwej jeden moment, który nas dotyczy. W miesiącu ubiegłym obchodzono w Pradze Czeskiej setną rocznicę urodzin znakomitego dziejopisa i patrioty, Palackiego. Czesi dosyć mają powodów, aby czcić go wysoko. On-to, niezmierną wytrwałością i nauką, wydobył z grobu ich przeszłość dziejową i na niej zbudował przyszłość. Uczcili go też wdzięczni rodacy wspaniałym, zasłużonym tytułem: pięknie i zasadnie nazwali już nietylko ojcem dziejów ojczystych, lecz ojcem narodu czeskiego. Myśmy takiego nie mieli. Skądinąd mniej fortunni, tutaj przecież od Czechów szczęśliwsi, takiej nie mieliśmy potrzeby. Nie obumarły nigdy nasze dzieje, nigdy narodowość, i żaden człowiek, choćby największy, nie mógł być jej rodzicem, skoro jej stwórcami były i są, w nieprzerwanej kolei, wieki i pokolenia. W warunkach odmiennych, tem większa zapewne zasługa Palackiego. Chętnie składamy hołdy tej niepospolitej zasłudze uczonego, nieporównanej obywatela. W epoce, kiedy Pertz i Ranke, sięgnąwszy do źródeł dziejowych niemieckich, zasilili z nich przyszłą potęgę polityczną Niemiec, Palacký, sięgnąwszy do czeskich, ożywił z nich przyszłą odporność polityczną Czech. Powtarzamy, myśmy takiego nie mieli. Mieliśmy Lelewela, z innego kruszcu człowieka, a mniemamy nie z pośledniejszego. Ten ze szkołą polityczną nauki niemieckiej żadnego nie miał powinowactwa. Niezawodnie, wielki polski historyk również był wielkim obywatelem. Realistą politycznym on nie był. Realnym, nowoczesnym politykiem był Palacký. Ta właściwość podobno uzdolniła go do tem owocniejszej służby dla swoich. Lecz ta sama właściwość

uczyniła go obłądnym przewodnikiem, fałszywym prorokiem, skoro tylko wykroczył za czeski widnokrąg. Ona mu podyktowała wnioski konstytucyjne w Galicyi w 1848 r., memoryał o sprawie polskiej w 1864 r., przemówienie pielgrzyma w 1867 r., i testament polityczny w 1872 r. Był wielkim Czechem. To wiele, ale to niedość. On zaś nie chciał być niczem więcej.

Z taką trzeźwą, spokojną, a bezstronną świadomością tego, co się istotnie należy znakomitej pamięci Palackiego, przysłuchywaliśmy się z daleka odgłosem praskiej uroczystości jubileuszowej. Jubileusz przypadł na chwilę ciężkiego przesilenia w ciężkiej walce, którą obecnie, z całym napięciem narodowego ducha, zmuszeni są toczyć Czesi. Wiadomo, jaki w niej był udział polskiej opinii publicznej i polskich mężów stanu. Był to udział zgoła bezinteresowny izgoła wbrew realistycznym zasadom polityki, głoszonej ongi przez Palackiego, z dobrej woli ofiarowany jego rodakom. To też niema potrzeby tłumaczyć, po czyjej stronie są sympatyje nasze w tem przesileniu, i jak szczerze w tej walce sobie życzymy powodzenia sprawie czeskiej w granich słuszności. Tem swobodniej atoli w tym wypadku możemy położyć nasze zastrzeżenia, tem wyraźniej zaznaczyć nasze stosunki wobec minionej uroczystości praskiej. Czujemy się w obowiązku stwierdzić, iż w niektórych jej echach dosłyszeliśmy się dyssonansu. Uroczystość była czeską, nie mogła być europejską, uczyniono ją słowiańską. Wznowiono na niej hasła wojenne walki rasowej. Ustawiano w szyku bojowym wszechsłowiańszczyznę przeciw wszechgermaństwu. Zapowiadano drugi Grunwald. Do takiego kamertonu dostroić się nam niepodobna. Z nowego Grunwaldu sobie nie obiecujemy korzyści, i życzymy pokoju wszystkim ludziom dobrej woli. Niemniejsze od czeskich są nasze z Niemcami rachunki, lecz dalecy jesteśmy od tego, ażeby je porachować samą ślepą nienawiścią. Nie siejbą nienawiści ku przeciwnikom, lecz jednoczącem ukochaniem swojskości pragniemy nasze utrwalić jubileusz. Dlatego też z praskim, ani we wszystkich jego szczegółach, ani w nastroju ogólnym, w zupełności się solidaryzować nie mamy sposobu.

Wiadomości bibliograficzne.

— Następujące posiedzenia odbyły się w ciągu czerwca r. b. w Krakowskiej Akademii Umiejętności: Dnia 6-go czerwca posiedzenie „Wydziału matematyczno - przyrodniczego“, na którym prof. Browicz odczytał własną pracę pod tytułem: „Sztuczna krystalizacja hematoidyny w komórce mięsaka barwikowego“; następnie zaś prof. Karliński zdał sprawę z pracy prof. *S. Kępińskiego*: „O peryodach całek hypereliptycznych“, a prof. Rostafiński—z pracy p. *R. Mereckiego*, pod tytułem: „Nieokresowa zmienność temperatur powietrza w Polsce“.

Dnia 13 czerwca posiedzenie „Wydziału filologicznego“. Przedstawił na niem p. *Jan Czubek* treść swojej pracy pod tytułem: „Jan Chryzostom z Góslawic Pasek w oświeceniu archiwalnem (1667—1701)“. Autor znalazł w archiwum aktów grodzkich i ziemskich krakowskiem około 90 aktów, zawierających liczne szczegóły o Pasku z czasów jego pobytu w województwach Krakowskiem i Sandomirskiem; dotyczą one między innymi dziesięciu spraw, nie zaznaczonych w „Pamiętnikach“ żadną wzmianką. Cały ten nowy materiał biograficzny nie podnosi wcale dobrej sławy pamiętnikarza; przyczynić się on może jedynie do

utwierdzenia naszej ustalonej już i tak opinii o krewkości Paska i jego skłonności do pieniactwa. Większość wydobytych przez prof. Czubka na jaw szczegółów rzuca na charakter autora „Pamiętników“ światło, o wiele bardziej niekorzystniejsze, aniżeli treść jego własnych wspomnień i wyznań.

Dnia 20 czerwca wreszcie odbył swoje miesięczne posiedzenie „Wydział historyczno - filozoficzny“. Mówił na niem prof. *A. Lewicki*: „O przymierzu Zygmunta, w. księcia litewskiego, z królem rzymskim Albrechtem“. Dzieje rokowań o to przymierze nie były dotąd wcale znane: autor opiera się przeważnie na nowych, rękopiśmiennych materiałach. Okazuje się z nich, że Zygmunt, wyniesiony na tron wielkksiążęcy przeciw zbuntowanemu Świdrygielle, zajmwszy jego miejsce, sam nosił się z myślą zrzucenia zwierzchnictwa polskiego, i w tym celu szukał poparcia króla rzymskiego i czesko-węgierskiego, Albrechta. — Drugi prelegent, dr *Wiktor Czermak*, podał: „Przyczynek do dziejów skarbowości polskiej w XVII wieku“. Autorowi chodziło szczególnie o stwierdzenie: jak znaczna mogła być wydatność podatkowa ludności polskiej w XVII wieku. Na podstawie nielicznie drukowanych i liczniejszych rękopiśmiennych materiałów skonstatował mianowicie, że najwyższa, dotąd znana, cyfra podatków, wypłaconych do skarbu Rzeczypospolitej, przypada na rok 1663, i wynosi przeszło 19 milionów złp. Gdyby zaś wziąć przeciętną wszystkich znanych cyfr wpłaconych podatków w trzeciej ćwierci XVII wieku, okazało-by się, że ludność Rzeczypospolitej płaciła w tym okresie przeciętnie 5 — 7 milionów złp. Dr Czermak nie sądzi, aby cyfry te mogły dać właściwe pojęcie o wydatności podatkowej ludności Polski w powyższym czasie; trzeba bowiem pamiętać o tem, że w Rzeczypospolitej XVII wieku skarbowość była podwójna, a raczej rozbita na wiele odrębnych wydziałów; że istniały osobne skarby wojewódzkie i osobne królewskie nadworne, z których liczby, wobec sejmów, w rachunkach podskarbińskich nie zdawano.

Dnia 25-go czerwca 1898 r. odbyło się posiedzenie Komissyi historyi sztuki pod przewodnictwem prof. dra *Maryana Sokołowskiego*.

Prof. dr *Maryan Sokołowski* streścił rezultaty ostatnich badań swych nad stosunkiem rzeźby czeskiej do polskiej w w. XIV. Nawiązując rzecz do referatu swego o wpływie malarstwa praskiego drugiej połowy wieku XIV na malarstwo w Polsce w tym okresie, oraz w pierwszej połowie wieku XV, zarówno obrazowe, jak i miniaturowe, zaznaczył, że dzieje rzeźby średniowiecznej na północy, głównie niemieckiej, są dotąd bardzo niedostatecznie zbadane, i że tak samo rzecz się ma z rzeźbą polską. Trzy znamy jej główne grupy, mianowicie:

rzeźby na zwornikach sali „kamienicy hetmańskiej“ w rynku krakowskim; rzeźby w portalu kościoła Dominikanów; oraz, najważniejsze, rzeźby u szczytu okien na zewnątrz kościoła Panny Maryi, o których dawniej już pisał prof. Łuszczkiewicz. Z tych trzech grup pierwsza i ostatnia zdają się mieć znaczne pokrewieństwo z rzeźbą praską, rozwiniętą głównie za Karola IV, gdy na czele jej stoi drugi z rzędu budowniczy katedry św. Wita, Peter Arler, twórca słynnych rzeźb portretowych z tryforyów kościoła oraz grobowca króla Ottokara. Brat jego, czy syn, Heinrich Arler lub Parler, brał również udział w budowie katedry praskiej, i był zarazem twórcą kościoła św. Jakóba w Bernie. Pozostawał on w służbie Jodoka, margrabiego morawskiego, do roku 1387, a następnie zatrudniony przy budowie tumu medyolańskiego, zostawał w stosunkach z Viscontimi za pośrednictwem Jodoka, jako wikaryusza Włoch z ramienia cesarza Wacława; ostatecznie jednak opuścił Medyolan w maju roku 1392. Następnie we wrześniu tegoż roku zjawia się Heinrich Parler w Krakowie, w roku 1394 miasto płaci mu znaczną sumę za roboty kamieniarskie w górnych częściach kościoła Panny Maryi, a w roku 1397 on znowu opłaca się miastu, nie należąc do majstrów miejskich. Pobyt Parlera w Krakowie tłumaczy się też blizkimi stosunkami Jagielly i Jadwigi z margr. Jodokiem i Viscontimi. Zdaje się zatem, że rzeźby maryackie wyszły z pod jego dłota, co zatem pośrednio stwierdza ich pokrewieństwo z Pragą.

Z kolei przedstawił przewodniczący rezultaty badań kilku swych uczniów. P. *Julian Paqaczewski* odnalazł rzeźbę pięknej głowy św. Jana na misie w predelli jednego z ołtarzów kościoła Bernadynów w Krakowie, z końca wieku XV, ale w technice odmiennej, niż u Wita Stwosza; tenże odkrył również w kościele Reformatów posążek z kości słoniowej Madonny z Dzieciątkiem, z XIV wieku, o typie francuskim, z resztami polichromii, oraz zwrócił uwagę na srebrną blachę, trybowaną w stylu barokku, z początku wieku XVIII w kościele karmelickim, która przedstawia Madonnę z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołków na tle krajobrazu; blachę tę ofiarowało kościołowi kilku fundatorów mieszczan w roku 1770. Referat dra *Jerzego Kieszkowskiego* zajmuje się zabytkami z Szydłowca, a mianowicie marmurowym grobowcem Mikołaja Szydłowieckiego z roku 1535, oraz sufitem w kościele, znanym z „*Liber geneleos*“, zdobnym w rzeźbione à jour, pełne różności i polichromowane, rozety. P. *Emanuel Świejkowski* zbadał piękny grobowiec marmurowy w stylu rococo marszałkowej z Brühlów Mniszchowej, w kościele w Dukli, i przedstawił zeń fotograficzne zdjęcia. Wreszcie dr *Feliks Kopera* nadesłał z Rzymu wiadomość o nader szcze-

gółowym i obszernym dzienniku podróży Mucantego, mistrza ceremonii kardynała legata Gaëtani, w Polsce w roku 1596 i 1597, z którego wyjątki umieścił był Niemcewicz w „Pamiętnikach o dawnej Polsce“, ale którego druk w całości dopiero rzuci wiele nowego światła na kulturę i obyczaje polskie w końcu wieku XVI.

Z kolei prof. *Władysław Euszczkiewicz* odczytał pracę swą p. t. „Mniemana statua Najśw. Panny, dar Klemensa VII w kościele w Łasku“. Konstatuje w niej naprzód fakt, że utwór ten jest płaskorzeźbą Madonny, w formie medalionu, wykonaną w białym marmurze. Rzeźba jest włoska, z końca wieku XV. Uważana za cudowną, w Polsce zyskała bogatą, srebrną złoconą oprawę i korony, a znajduje się w ołtarzu bocznej kaplicy kościoła. Wykazując brak pozytywnych dowodów, jakoby zabytek ten był darem papieża, godzi się referent jednak z tradycją Rzepnickiego i przypomina, że w testamencie prymasa Łaskiego niema o niej wzmianki. W końcu, po analizie pomysłu rzeźby, zestawia ją z utworami rzeźbiarzy Robbiów, a głównie Andrzeja della Robbia (1435 - 1525), i przypisuje ją epoce lat wczesnych mistrza florenckiego, czego dowodzą nimbusy, poduszka pod stopami Dzieciątka, naturalizm w układzie, a zwłaszcza wyraz twarzy Madonny i jej położenie, dodając, że rzeźbę wykonał zapewne Robbia dla Medyceuszów.

P. Leonard Lepszy zdał sprawę z podróży swej po Niemczech i Włoszech, w celu dalszych poszukiwań za pracami Jakóba del Caraglio. Rycin jego posiadają muzea zagraniczne znaczną ilość, po Wiedniu najwięcej gabinet rycin w Dreźnie, najrzadsze zaś okazy mieszczą się w Muzeum Corsinich, w Rzymie, poczem idą zbiory we florenckich Uffiziach, w gabinecie rycin w nowem Muzeum w Berlinie, w Monachium i we Lwowie, wreszcie we Wrocławiu, Weronie, Bolonii i Wenecyi. Berliński gabinet monet i medali posiada medal Aleksandra Pessenti, dworzanina królowej Bony i muzyka, rylca Caraglia, a jeszcze piękniejsze jego egzemplarze są w Muzeach Padwy i Wenecyi. Odnalezienie i porównanie tego medalu z medalami Zygmunta I, ze zbiorów paryskich, pozwala już niewątpliwie stwierdzić słuszność przypuszczenia prof. M. Sokołowskiego, który go również Caragliowi przypisywał. Następnie referent przedłożył fotografię, nadesłaną mu z Gdańska, przez p. Heisego, która przedstawia Zesłanie Ducha św., w srebrze, au repoussé, i uchodzi za dzieło Caraglia. W Padwie w Museo Civico, znajduje się wielki, bardzo piękny arras, z Polski pochodzący. A Meneghelli w swych listach, wydanych w Padwie r 1843,

pisze, że arras ten został przywieziony w XVII w., przez Włocha z rodziny Grompo, z Warszawy, i darowany do kościoła św. Antoniego w Padwie, i że może pochodził ze zbiorów królów polskich. Arras jest flandryjski i przedstawia oblężenie jednego z miast środkowej, lub północnej Europy, z pierwszych dziesiątków wieku XVI.

W końcu p. *Karol Potkański* złożył rękopis z wypisami z archiwum konsystorskiego w Krakowie, zawierający wyjątki z wizytacyi dekanatu Nowotarskiego, z początku wieku XVII, z interesującymi szczegółami, odnośniami do drewnianych wiejskich kościołów.

— Szereg artykułów p. *Józefa Flacha* o Gerhardzie Hauptmannie wydrukowany w krakowskim „Przeglądzie Polskim“, ukazał się w Krakowie w oddzielnej książce, i stanowić będzie zapewne część rozleglejszych „Studyów nad współczesnym dramatem niemieckim“. Wnosząc z wydanej obecnie monografii, napisanej z bystrym, głęboko sięgającym zmysłem krytycznym, będzie to dzieło bardzo poważne, którego brak oddawna dotkliwie dawał się odczuwać. We właściwym czasie „Biblioteka“ poda obszerniejszą ocenę książki Flacha; obecnie może tylko zwrócić uwagę czytelników na tę pracę, sumienną, gruntowną i budzącą żywe zainteresowanie.

— „Kilka słów o *Janie Heweljuszu*, Astronomie Gdańskim, z wieku XVII-ego, oraz o jego korespondencyi“ skreślił *Mathias Bersohn*, Członek Kom. historii sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie. Członek Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Warszawa. Druk P. Laskauera i W. Babickiego 1898 r.

Broszura ta, oprócz portretów, (jeden z nich biust bronzowy, wykonany podług obrazu Bacciarellego, przez Le Bruna), zawiera kilka listów własnoręcznych znakomitego astronoma gdańskiego, znajdujących się w posiadaniu p. Bersohna.

— „Przegląd sądowy i Administracyjny“. Redaktor: Profesor Dr. Ernest Fill, ze stałym spółdziałaniem profesorów uniwersytetu Lwowskiego, Krakowskiego, oraz prawników zawodów praktycznych. Rok XXIII. Zeszyt VII. Lipiec 1898. We Lwowie, w drukarni Władysława Łozińskiego.

Zeszyt powyższy zawiera prace następujące:

Niemiecki proces cywilny w praktyce, skreślił dr Wiktor Korn.

Nietykalność poselska i prawo karne, przez profesora d-ra Edmunda Krzymuskiego.

Ustawodawstwo wobec kartelów, napisał doktor Karol Kolischer.
Józef Supiński a rozwój teorii ekonomicznych, napisał dr. Witold
Celichowski.

O podatku rentowym, napisał Zygmunt Gargas.

Zapiski literackie.

Stanisław Bełza. „W górach Olbrzymich“. Wydanie drugie,
Krakow. Gebethner i Spółka. Warszawa Gebethner i Wolf 1898. Pra-
cę swoją autor poświęca „Nieśmiertelnej pamięci Adama Mickiewicza
w Jubileuszowym Jego roku ze słowami czci, za tę Jego wielką mi-
łość, i wdzięczności za tę Jego wielką zasługę“.

Książkę zdobią obrazy piękniejszych i ciekawszych miejscowości
w górach Olbrzymich.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

Dr. Henryk Struve.”

(Zarys 35-letniej działalności, jako profesora i pisarza).

III.

„Wstęp do filozofii“ skupia nareszcie wszystkie zasadnicze myśli autora, dojrzewające przez trzydzieści pięć lat studyów samodzielnych. Kto spojrzy na ten olbrzymi tom o 750 stronicach, po większej części drobnem pismem drukowany, a zatytułowany „Wstępem“, przerazić się może tym stosunkiem wstępu do samej nauki; bo wszak wstępy do każdej innej umiejętności to zazwyczaj tylko kilkokartkowa przedmowa, streszczająca zamiar lub stanowisko autora w danej kwestyi. Fakt ten wynika z podstawowej różnicy między wszystkimi umiejętnościami specjalnemi a filozofią. Tamte prowadzą swój postępek, czyli dalszy ciąg, na podstawie faktów, już raz stanowczo dla nauki zdobytych, nie powracają do nich, nie podają ich w wątpliwość, lecz przyjmują za dogmat (np. obrót ciał niebieskich około słońca), i z takiego dogmatu snują wnioski dalsze; stąd też autor nazywa je *dogmatycznemi*. Filozo-

1) Patrz zeszyt lipcowy.

fia postępuje przeciwnie; jej nie obowiązuje tradycja żadna, ona w każdym czasie sama sobie wybiera punkt wyjścia, nie jest dalszym ciągiem niczego, system swój niezależnie od innych zaczyna od początku, a wnioski swoje wyciąga z własnych tylko przesłanek. Stanowisko takie autor nazywa *krytycznem*, dlatego, iż nie przyjmuje ona żadnego dogmatu. Nie przemawia to na jej korzyść, jako nauki, że, pracując od wieków, nie zdobyła się ani na jeden fakt, naukowo tak uzasadniony, iżby go umysł powszechny przyjąć mógł za dogmat i mieć w nim podstawę do dalszej pracy; ale skoro tak jest, inaczej też, istotnie, wyglądać musi wstęp do tej nauki, a zwłaszcza wstęp *krytyczny*. Tu już nie chodzi o ten lub ów szczegół w przedmiocie danym, ale o cały przeszłego badania obszar, który ma wiele punktów spornych, wymagających usunięcia, przedewszystkiem o uzasadnienie potrzeby i możliwości samej „filozofii“, jako nauki samoistnej, przeciw czemu odzywają się rozliczne głosy z wyżyn i z nizin intelligencji. Trzeba więc wyjaśnić naprzód, czem się filozofia zajmuje, co myśli o sobie, określić jej żywioły wewnętrzne i stosunki zewnętrzne, poruszyć wieka od trumien dawnych systematów i żyjącym spojrzeć w oczy. Skutkiem tak rozległego zadania, „wstęp“ do filozofii zamienia się niejako na jej encyklopedyę i stanowi osobny korpus nauki. Tembardziej przybrał on ten charakter pod piórem prof. Struvego, że autor nie tylko rozwija metodycznie zasady filozofii według własnego planu i podziału, ale każdemu szczegółowi dodaje komentarz, zestawiający poglądy obce, popierające lub przeciwnie, rozpoznaje ich wartość, rozstrzyga. Nie dosyć na tem: każdy ważniejszy szczegół zaopatruje on w odpowiednią bibliografię społeczną i historyczną, ułatwiając czytelnikowi wyznalezienie źródeł, służących do bliższego się z tym szczegółem obeznania, a tytuł wymienia pisarzy obcych i swojskich, często z krótkimi o nich wzmiankami, że sama literatura tu przytoczona już-by starczyła na książkę. Owóż przyczyna rozmiaru dzieła, w którym, wedle dodanych na końcu wskazówek, czytelnik znajdzie objaśnienia nie tylko co do wszystkich pierwszorzędnych kwestyi, dotyczących filozofii, ale i co do wielu podrzędnych.

Zastanawiając się nad tem, czem była w pierwiastkach swych i jak się następnie skryształizowała, autor ostatecznie (po raz trzeci) określa filozofię, jako naukę, budującą *ogólne* zasady wiedzy, podmiotowe (umysł) i przedmiotowe (świat), w celu wyjaśnienia szczegółowych objawów z punktu widzenia tych zasad ogólnych, o ile to jest możliwem przy zdolnościach poznawczych umysłu ludzkiego. Znamieniami też stąd cechami jej są: krytyczna samodzielność myśli, tudzież dążność do ogólnego na świat poglądu, z których pierwsza objawia się w logice, druga w metafizyce; logika śledzi drogi, jakimi umysł do-

chodzi do poznania i sądu, metafizyka rozpoznaje przedmioty szczegółowe dla upatrzenia pomiędzy nimi łączności, oraz związku z całością bytu. Rzeczą nauk specjalnych badać naturę zjawisk szczególnych, rozkładając je na grupy coraz ściślejse, z których to badań korzysta i filozofia, lecz sama ich specjalnie nie zgłębia, tylko, łącząc w jedność organiczną, używa ich do wytworzenia ogólnego poglądu na byt. Tym sposobem filozofia wyobraża konieczne nauk specjalnych uzupełnienie; specjalista bowiem, z natury swego zadania, nie jest obowiązany odnosić badanego zjawiska do źródła wszechzjawisk, czyli do bytu ogólnego; jeżeli zaś to czyni, to jest, jeżeli spekuluje na podstawie swych badań specjalnych, tem samem wkracza w granice filozofii. Z takiego rozgraniczenia powstają tedy dwie wyraźne grupy nauk: specjalne, o charakterze szczegółowym, faktycznym, budujące przedewszystkiem znamienne, różnorodne, jednostkowe objawy, zjawiska bytu; oraz nauki filozoficzne, mające charakter ogólny, zasadniczy, rozpatrujące głównie czynniki niezmienne, stałe, jednorodne, typowe czynniki bytu; łącznikiem zaś pomiędzy obiema grupami jest pojęcie prawa: tam, w zakresie zjawisk szczegółowych, tu — na podstawie zasadniczych czynników świata.

Ten podział pracy umysłowej dla zdobycia wiedzy i poznania prawdy o wszechbycie, pracy, tak wysoko podnoszącej godność człowieka, zdaniem p. Lutosławskiego („Ateneum“, 1896 roku, maj): „zasługuje na uznanie filozofów, równie jak specjalistów“. I któż-by bezstronny a nieuprzedzony mógł się temu przeciwzić? Wprawdzie, są specjaliści, obojętni albo nawet drwiąco odzywający się o ogólnym na świat poglądzie, ale nie pamiętają, jaka-by się to rzemieślniczość i ciasnota umysłowa utworzyła, gdyby w ludzkości zamarła potrzeba łączenia wszystkich objawów w jedność, dobadywania się ich przyczyny i celów. Zaprzeczenie tych poszukiwań było-by ruiną dwudziestokilkowiekowej pracy najgorętszych i najbystrzejszych umysłów, ludzi, którzy, utrzymując ustawicznie człowieka w obliczu zagadki najwyższej, tajemnicy najgłębszej, duszę jego uszlachetnili, wdrażając mu nie drogą zabobonu, ale drogą rozważania, że nie te marne zjawiska doczesności, których on zmysłami swemi dotyka, stanowią jedyną jego dziedzinę, ale, że poza nią istnieje wielka dziedzina praw i idei wiekuistych, których i on część stanowi. Niechaj tam sobie podrzewają mocarze umiejętności z filozofii metafizycznej, niechaj ją sobie nazywają romanssem, poezją, mrzonką, albo gorzej jeszcze; my mamy to przekonanie, że pozbawiona żywiołu metafizycznego myśl ludzka (co wreszcie jest niemożliwem), skierowała-by wszystkie nauki do poziomego utilitaryzmu i życie szarą oblokła oponą. To rwanie się w górę, zachęcające nawet umiejętności specjalne, mimo ich wiedzy, a nawzajem

przez nie porządkowane, oto co stanowi szlachetną zaprawę życia ludzkiego. Panując nad niemi, filozofia z jednej strony uszlachetnia korzyść z zacnych ich usiłowań, z drugiej powściąga wybryki fanatyzmu, wrogię naukowości wszelkiej. Nie rozdziału tu więc szukać, ale połączenia obu grup we wspólnem dążeniu do postępu, jak tego żąda prof. Struve w swym podziale pracy umysłowej, z równemi do niej prawami. Niema się co obawiać filozofii metafizycznej, ona nie pragnie przecież niczego złego, niczego przeciwnego doświadczeniom realnym, tylko zapatruje się na nie krytycznie, równie jak na swe własne wywody. Wszak żaden z pośród największych nawet przeciwników, pod grozą wstecznicstwa i nicości moralnej, nie poważył-by się z mowy ludzkiej, a więc z ducha ludzkiego, wykreślić słowa: ideał—a czyż jest pojęcie bardziej metafizyczne? Trzeba być konsekwentnym, a nade wszystko, nie będąc wtajemniczonym w zasady przedmiotu, strzedz się wydawania o nim sądów, zwłaszcza uszczypliwych, przypominających zdania ślepego o barwach.

Oznaczywszy sferę filozofii, autor nasz przystępuje do zbadania stosunków jej do wszystkich objawów życia umysłowego, których w człowieku, po dawnemu, spotyka trzy zasadnicze: uczucia, jako wyraz podmiotowych potrzeb, wołający o ich zaspokojenie; poznanie, czyli czynność, za pomocą której umysł przyswaja sobie rzeczywistą treść świata przedmiotowego, a mającą za środek zasadniczy myśl; narreszcie, działalność praktyczną, czyli życiową, wynikającą ze stosunku, w jakim człowiek zostaje do otoczenia, której wyrazem jest wola. (Oczywiście, że badanie tej troistej grupy objawów filozofia zamknie w trzy osobne kodeksy, zwane: psychologią, logiką i moralnością). Wszystko więc jest po dawnemu, z tą różnicą, że autor pomiędzy potrzeby wewnętrzne człowieka, jako istoty, potrzebującej coraz większych i wspanialszych zadowoleń, wprowadza potrzebę ideału, które go najdoskonalszym wyrazem poezya i sztuka; zatem uczucie estetyczne widzi on już z góry tkwiące w organizmie człowieka, a tem samem estetykę wyprowadza z psychologii, i słusznie, jak tego dowiódł Spencer, lubo na innej drodze (Psychol., t. II, rozdz. ost.).

Ta klasyfikacya objawów w jedności życia umysłowego, której udowodnieniu autor poświęca długi i wyczerpujący komentarz, pociąga za sobą potrzebę kolejnego zastanowienia się nad stosunkiem do nich filozofii, i czyni to rzeczywiście autor; tylko, ponieważ chodzi tu o samo poznawanie, pomija on w sferze uczuć tak zwane popędy lub żądze, pozostając przy jedynem uczuciu, zgoła dla zachowania organizmu niepotrzebnem, ale w ruchu umysłu wielką grającem rolę, bo twórczem, to jest przy uczuciu estetycznem. Rozpóżnaje więc stosunek filozofii: 1) do twórczej, czyli artystycznej czynności umysłu, opartej na uczu-

ciu, więc wogóle do twórczości; 2) do czynności naukowej, wynikającej z rozwoju myśli, wogóle więc do nauki; 3) do czynności praktycznej, czyli życiowej umysłu, będącej objawem woli osobistej, więc wogóle do życia społecznego.

Rozważając punkt pierwszy, wywodzi autor, że pobudkę do twórczości stanowi niezadowolenie człowieka z tego, co jest rzeczywiście, a dążność do tego, co być może i powinno, do jakiegoś stanu doskonałości, który nazywamy ideałem, który zatem poprzednio już istnieje w myśli człowieka. Ale ideał ten powzięty być może tylko na podstawie rzeczywistych stosunków przedmiotowych, inaczej będzie on mrzonką nieziszczalną, czyli tak zwaną utopią. I taki też tylko ideał, choćby zwolna urzeczywiszczalny, zadowolić może, kiedy utopia jałowieje sama przez się. Istotnie, gdybyśmy wzięli za przykład choćby urządzenia i reformy społeczne, to przyznać trzeba, iż one wprowadzają się zwykle dzięki pewnym ideałom, jakie twórcza myśl ludzka powzięła wobec niezadawalających warunków społecznych, jednakże na podstawie rzeczywistości. Pierwszeństwo w tym względzie trzymają poezja i sztuka, jak nas o tem poucza legenda o śpiewaku, na głos którego kamienie układały się w miasta, jak nas przekonywują dzieła poetów nowoczesnych, choćby np. Schillera, którego obrazy (Don Karlos, Kabale und Liebe), przechodząc przez zdania Russeau, Monteskusza, łączą się aż z myślami Corneille'a i Racine'a, poetów niezadowolonych z rzeczywistości i rzucających swe poetyczne ideały potomości do przerobienia na prozę. Ideały takie stosują się do wszystkiego, czego dotknąć może myśl ludzka, a energią woli pojedynczej lub zbiorowej przekształcają według siebie warunki bytu. W ich to urobieniu i ukształtowaniu najwydatniej objawia się twórczość umysłu ludzkiego: ideałisci tworzą pomysły, realisci przynoszą pomoc praktyczną w ich urzeczywistnieniu; pożądaną więc jest wzajemna zgoda w czynnościach.

Nie sięgając nawet wysokich szczytów, nmysł twórczym jest w naturze swej wogóle: tylko bowiem dzięki temu przymiotowi, spostrzeżenia i wyobrażenia o rzeczach empiryczne, dostarczane przez zmysły, przerabia on w doświadczeniu wewnętrznym na pojęcia ogólne (idee), a kojarząc je między sobą właściwemi myślmi środkami logicznemi, dochodzi do odkrycia ich związków i praw, wiedzę swą zaokrągla i rozszerza. Gdyby nie owa twórczość umysłu, mogły-by zmysły do końca wieków dostarczać mu faktów pojedynczych ze świata, jak np. wschodu i zachodu słońca, spadania przedmiotów z góry na ziemię, a teoria ogólnego obrotu ciał niebieskich, ani hipoteza bezwładności, nie powstały-by nigdy. Blizkim więc jest do twórczości stosunek nauki i filozofii, a umysł bez doświadczenia wewnętrznego nigdy-by nie do-

chodził do pojęć ogólnych, poprzestając na znajomości faktów pojedynczych, wyobrażeniach bezzwiązkowych. Wsparta dopiero na jego twórczości nauka łączy te fakty albo rozdziela, klasyfikuje, wprowadza między nie porządek logiczny i coraz szersze uogólnienia, tak, że „cała ta naukowa architektonika, czyli systematyzacja, mająca znaczenie pierwszorzędne w rozwoju wiedzy ludzkiej, jest wynikiem *syn- tetycznych dążeń* umysłu, samodzielnem urzeczywistnieniem ideału jedności, zgody, harmonii, porządku, ustroju, wogóle wymagań poczucia estetycznego na polu naukowem, przy pomocy materiałów poznawczych, logicznych. To połączenie estetyki z nauką, nie powiem, ażeby było oryginalnością prof. Struvego, jest ono wszelako co do nacisku, z jakim występuje, pewnego rodzaju nowością, w ostatnich bowiem dopiero czasach zaczęto pilniej się temu ukrytemu związkowi przyglądać. Ale prof. Struve, kładąc nacisk na ten przymiot twórczości w umyśle, który wszędzie zaprowadza jedność i harmonię, musi przypisać temuż umysłowi działanie celowe, a idąc dalej, wysnuwa wniosek, iż ideał celowości nietylko tkwi przedmiotowo w umyśle samym, na czemby nauka nie wiele skorzystała, ale znajduje zarazem przedmiotowe w świecie uzasadnienie, któremu też autor kilka piękniejszych kart swego dzieła poświęca (str. 220—226).

Jeżeli każdy człowiek, choć-by na najniższym stopniu cywilizacji, dla zadośćuczynienia najmniejszej potrzeby materialnej, tworzy, że tak powiem, z niczego coś, co go zadawalnia, narzędzie, strój, środek obrony lub zdobyczy, a więc staje się artystą; jakimże w swoim rodzaju artystą staje się uczony, filozof, który z nagromadzonego bezładnie materiału spostrzeżeń i wrażeń układać ma ideał swej myśli, odpowiadający danej rzeczywistości, obraz, który-by wiernością swą zadowolił nietylko jego samego, lecz pociągnął za sobą powszechność. Pięknym taki obraz nazywamy nieraz popularnie, mówiąc, jak ten autor *pięknie* nam wyłożył wpływ dziedziczności na ukształtowanie się ras (lub czegoś podobnego). To ma znaczyć: gruntownie, jasno, metodycznie, przekonująco. Tylko ta twórczość uczonego i filozofa różni się zasadniczo od twórczości w zastosowaniu do poezyi i sztuki. Uczony i filozof działaniem swojej twórczości szukają jedynie prawdy, bez względu, przyjemnej lub przykrej, pięknej lub szpetnej, słowem, prawdy dla prawdy, a więc myślenie swoje nad przedmiotem poddają krytyce; różnica zaś ta między tworzeniem uczonego i filozofa a poety i artysty wydatniejsze przy porównaniu nietylko celów, lecz i czynności cele te uiszczających. Nie prawda dla prawdy stanowi cel poezyi i sztuki, ale to, co poeta lub artysta za prawdę uważa w swym nastroju podmiotowym, głównem źródle jego życia wewnętrznego, a stąd subiektywizm i indywidualizm, stany tak wrogie działaniom, mającym na

względnie badanie czysto naukowe, przeważają w sztuce i wchodzą w pewnej mierze w skład jej warunków; i niewiele wart był-by obraz natury lub człowieka, mający, tak, jak koniecznie w nauce, zalety poprostu fotograficzne, bez znamion indywidualności wykonawcy, która na ten raz jest jego twórczością. Nie krytyczne wywody myśliciela kierują wrażeniami poety przy poglądzie na przedmiot. Surowa nauka prawa na śmierć skaże dzieciobójczynię; poeta płakać będzie nad nią i innych do łez pobudzi (Kindermörderin). Byron zachwieje ustalonymi podstawami etyki, a artystyczne jego obrazy niemniej iskrzyć będą ogniami klejnotów, jak czarnedyamenty. Nie krytyką kieruje się poezya i sztuka, lecz upodobaniem; nie prawda ani dobro stanowią ich cel ostateczny, lecz celem tym wyraz stanu indywidualnego wobec przedmiotu. Inny cel, inne środki: tam analiza, porównywanie; tu intuicya, syntetycznie chwytająca całość idei, którą wyobraźnia ogarnia w kształtach gotowych; twórca ani sobie, ani nikomu sprawy z nich nie zdaje, kiedy dzieło filozofa rozebrać można i należy na najdrobniejsze części składowe. W wykonaniu utworu artystycznego zacierają się, nawet częstokroć długie i mozolne, usiłowania techniczne, tak, aby dzieło miało i w plastycznym wyglądzie ten charakter doraźności, w jakim przedstawiło się wyobraźni twórcy; kiedy dzieło uczonego chętnie wyklada wszelkie środki, których używało do wykrycia poszukiwanej prawdy. Stąd dzieło uczonego ma charakter krytyczny, artysty—dogmatyczny: uczone rozumuje i dowodzi, artysta narzuca się i porywa. Ten-to odmienny sposób przekonywania stanowi treść różnicy między filozofią a sztuką.

Po wykazaniu tej różnicy łatwo autorowi zbić lekkomyślnie zdania tych (Alb. Lange), którzy filozofię, a raczej metafizykę, odsądzając od miana nauki, odsyłają do rzędu dzieł sztuki. Wprawdzie metafizycy kunsztownie układają swoje systemy, ale w tym układzie nie może być mowy o środkach poetycznych; przeciwnie, wszelka dyalektyka trzyma się trybów, przysługujących nauce. Metafizycy mogą błędzić, równie jak błędzą uczeni, ale, w zamiarze i usiłowaniach, wnioskowanie ich opiera się zawsze na przesłankach, czyli starają się oni dowodzić przedmiotowo, nie zaś narzucać się podmiotowo, dogmatycznie, jak to czyni sztuka.

Dotąd, idąc za autorem, naszkicowaliśmy pierwszy punkt jego założenia, to jest stosunek filozofii do twórczości; teraz rzucimy okiem na stosunek jej do nauki wogóle.

Doktryna pozytywistyczna zna tylko nauki specjalne, fizyczne; jej zaś filozofia nie oznacza nic więcej, nad encyklopedyczne zestawienie wyniku tych nauk. Mniejsza o stokrotnie wykazane niekonsekwencje, jakich się doktryna ta względem samej siebie dopuszcza, stając

na metafizycznym dogmacie materji, a z drugiej, wytwarzając nawet religję pozytywistyczną, ale programowe to zacieśnienie dąży do unieruchomienia umysłu ludzkiego w jego naturalnym a nieprzepartym pędzie. Można istotnie powiedzieć człowiekowi: ogranicz się! nie myśl o tem, skąd się począłeś, jakie twe przeznaczenie; uwierz, iż świat jest dziełem przypadkowych kombinacji materji, że nim ślepe tylko rządzą prawa; ucz się astronomii, matematyki, fizyki, chemii, biologii i socjologii, bo reszta, to tylko przeżytki albo mrzonki! Ludzie od wieków uczyli się przecież tego wszystkiego, mniej gruntownie, niż dzisiaj, ależ oni-to przyczynili się do dzisiejszego postępu, jednak się tem wszystkim nie zadawali, i ani przypuścić na seryo nie można, aby te, tak pozytywne zakazy, choć odrobinę przeciw temu niezadowoleniu poskutkowały. Tak to rozumiał dawny, przedpozytywistyczny świat myślicieli, i dlatego z pierwotnego chaosu zastanawiał się i badał, z bezkształtnego konglomeratu pansofii, wydzielając stopniowo piękne, samodzielne konstellacje umiejętności specjalnych, pozostawił sferę, niedającą się w ich grupie pomieścić: filozofię. Sfera ta, jak powiedziano wyżej, mieści w sobie ogólne badanie wiedzy, podmiotowe i przedmiotowe, dla wyjaśnienia szczegółowych objawów bytu z punktu widzenia tych zasad, o ile starczą temu zadaniu zdolności poznawcze umysłu. Właściwym stąd przedmiotem filozofii będzie: naprzód poznanie sił tegoż umysłu, jako podmiotu poznającego; dalej, krytyka poglądu na świat, jako na przedmiot poznania; nareszcie, wyjaśnienie szczegółowych objawów świata z punktu widzenia ogólnych, krytycznych zasad poznania. Tym sposobem, filozofia, uzasadniwszy swą samoistność i odrębność wespół z resztą umiejętności, kładzie nawet za warunek swego postępu, za sprawdzian swoich wywodów, sumienne rozpoznanie wyników ich badań, ale tych bez krytycznego rozbioru nie przyjmuje; one zaś przy jej tylko udziale, to jest przy uznaniu i zastosowaniu logicznych praw myślenia, jakie ona wyszukuje, wyzwala ją z więzów bezkrytycznego dogmatyzmu i wznosić się mogą ku ogólnemu na świat pogładowi. Nie wiem, jakby wyglądał całokształt filozofii, gdyby go kiedy prof. Struve zbudował; ale postulat jego łączy ją z naukami szczegółowymi w taki sposób, jak pień drzewa łączy się z jego konarami i wykwita ponad nie koroną, i razem dopiero stanowią one naukową wiedzę. Poglądy szczególne na świat, pod kontrolą filozofii prowadzone i zespalające się z poglądem ogólnym, oto warunek zdobywania prawdy, zmieniający charakter filozofii, wskazany jej przez Comte'a.

Czy przeciwko takiemu postulatowi nie miały-by coś do powiedzenia nauki specjalne? Wprawdzie nie odbiera on im samodzielności ani prawa wyrzekania stanowczego o faktach w danym zakresie, ale

wprowadza między nie, co większa, stawia nad nimi jakiś pierwiastek obcy: pogląd ogólny. Jeżeli chodzi o rzeczywistość—mogą odrzucić one—my się bez tego pierwiastku zupełnie obejść możemy; odpowiedź dadzą nam nasze własne badania, skojarzone razem. My pracujemy na polu rzeczywistości, każda na tem polu zdobycz jest naszym trudem i naszą zasługą, i wy, jeśli cośkolwiek z rzeczywistości wiecie, wy, filozofowie, nam tylko zawdzięczacie; jakim więc prawem narzucacie się nam z nieproszoną kontrolą, kiedy zdanie wasze nie ma dla nas żadnej kompetencji? Jeżeli zaś chodzi o rzeczywistość, o idee lub ideały, to, ponieważ one nie podlegają doświadczeniu realnemu, nie mają podstawy, ubitej z twardego gruntu, nie mają przeto dla nas wartości żadnej, bo się budują na piasku, albo w powietrzu. Takiej też treści jest zwykła odpowiedź absolutnych realistów, którzy ani potrzeby łączności, ani zgody z kierunkiem idealnym nie widzą.

Była by ona dostateczną, gdyby chodziło tylko o martwą naturę, że się tak wyrażę terminologią sztuki plastycznej. Ale ponieważ chodzi tu także trochę i o naturę żywą, o człowieka, a zatem o cały ogrom świata moralnego, to pozwolę sobie wyrazić, że taka odpowiedź nie wystarcza. Jeszcze mi stoi przed oczyma przestroch wielkiego Kanta, który, widząc, że pierwotny system jego doprowadza do zupełnego sceptycyzmu, czemprędzej wziął się do drugiego, na rozumie praktycznym opartego systemu, za podstawę i cel dając mu moralność. Nauki realne, tak w swych rozgałęzieniach i postępie znakomite, badają naturę i człowieka w naturze, jako jej cząstkę, równając go ze wszystkimi innymi okazami; społeczeństwo nawet, gdzie się wyrabiają pierwiastki życia moralnego, to tylko zbiór komórek, któremi kierują siły ślepe. Na tem polu można dojść istotnie do rozległych rezultatów, można wytłómaczyć naturę i w niej wytłómaczyć człowieka, jako wynik sił natury, jestestwo. I na tem musiał-by się zamknąć cały kodeks nauk realnych. Ale że człowiek naprzekór wszystkiemu czuje się obok tego istotą rozumną, że naprzeciw sił natury bezświadomych stawia świadomą siłę własną, że naprzeciw ślepych i fatalistycznych praw natury stawia świadome i swobodne prawa własne (cywilizacya), trzeba mu zatem przyznać coś, co go specyficznie wśród natury wyodrębnia, a to *coś* jest nic innego, tylko charakter moralny, lub może ktoś nazwać—duchowy. Dla przykładu, przypuśćmy, że zaginęły wszystkie na świecie zegarki, a nawet idea i nazwa zegarka. Ktoś w wykopaliskach znalazłszy taki okaz, dobrze zachowany, zastanawiać się będzie nad nim, odkryje mozolnie mechanizm tych zazębiających się kółek, sprężyn, wyczyta cyfry na płycie zwierzchniej, zdoła nawet puścić w ruch całą maszynę. Ale cóż dalej? Gdyby na tem pozostało, przedmiot uchodził - by za dowcipną maszynkę, bawidelko bezwartościowe,

utworzone dla samej maszyneryi. Dopiero, gdy się zjawi ktoś, i skutkiem głębszego namysłu, porównawszy ruch wskazówek z cyframi, odkryje w maszynie czasomierz, ten, poza martwym mechanizmem, odkryje ducha maszyny, jej znaczenie duchowe. Takim zegarkiem jest świat. Nauki specjalne odkrywają w nim kółko za kółkiem, całą budowę i ruch tej budowy, czyli warunki jej życia: odgadli nareszcie tajemnicę mechanizmu, i nic więcej?.. Tak to rozumie realizm, całe swe usiłowania skierowując ku tym odkryciom, i cały swój tryumf na nich zakładając. Poza mechanizmem niema nic—powiada on.—Tymczasem, staje obok niego ktoś inny, który, jak w owym zegarku, usiłuje odkryć ducha tego mechanizmu, to jest jego rację bytu, cel, ideę... Tutaj to właśnie zaczyna się rola filozofii, i taką też, jeśli dobrze zrozumiał prof. Struvego, przeznaczają jej wśród nauk specjalnych rolę. Realizm i idealizm: ty poszukaj praw mechanicznych, ja praw duchowych świata poszukiwać będę: zgodnie działając, prędkiej i skuteczniej trafimy do celu. Istotnie też, świat mechaniczny wtedy tylko się ożywia, urozmaica, świetnieje, gdy w nim widzimy żywiół duchowy; gdy zaś mu zaprzeczmy ducha, idei, przeznaczenia, staje się trupem, sztucznie tylko poruszany, jak ów zegarek bez idei pierwotnego twórcy. Człowiek, jako twór o charakterze moralnym, którego mu nikt odebrać nie może, nie miał-by w tym mechanizmie nic do roboty, nirwana pesymizmu znalazła-by najzupełniejsze uzasadnienie, a świat bez człowieka, w którego umyśle właśnie odbijają się te żywióły duchowe, niewiedomo, skąd przybyłe, przestał-by istnieć, nie miał-by żadnego sensu; była - by to niepojęta dla nas fuszerka, istniejąca niewiedomo *cui bono*. Pojęcie bytu, jako głuchej abstrakcyi, niczego nam nie tłumaczy, a sami, posiadając w umyśle twórczość z całym jej pięknem, harmonią, życiem duchowym, nie możemy jej stawiać na gruncie bezwartościowym.

Oczywiście, filozofia, za prawo swe uważając współpracownictwo z naukami specjalnymi w poznawaniu świata, ma także swoje obowiązki, inna bowiem jest rzecz filozofia, inna *filozofowanie*: potępią też i prof. Struve, zarówno z realistami, ową czczą spekulację, wyobrażającą czyjeś osobiste poglądy na zagadkę świata, choćby pozornie błyskotliwe, lecz niemające podstawy iście naukowej. I filozofia szuka dowodu, zatem wychodzić musi z punktu niewzruszonego, niby z twierdzy, a punktu tego, czyli materiału, dostarczają jej nauki realne; i ona na równi z niemi rozbiera, a następnie skupia dane fakta, ażeby się o ich rzeczywistości przekonać: z dwóch faktów, udowodnionych pracownitą drogą logiki, wyprowadza trzeci, i w ten sposób rozpoznaje, dopóki jej starczy środków rozpoznawczych. Skoro więc w swym ogólnym na świat poglądzie postępuje trybem, podobnym do trybu nauk ścisłych w ich poglądach szczegółowych, a uznawanym za naukowy,

więc nie podlega zarzutowi nienaukowości; jeżeli zaś zboczy od tego trybu, popadnie w czężą dyalektykę, albo w okultyzm, spirytyzm, mistycyzm, i t. p., to przestaje być filozofią, i niema co o niej mówić, przestaje być wyrazem nauki. Bez zapanowania nad wynikami nauk specjalnych i bez łączności z niemi, niema prawdziwej filozofii; i tylko przy należytem poznaniu tych wyników może ona spełnić przyswojoną sobie ich funkcję krytyki, zwłaszcza gdy napotka co do nich poważne wątpliwości. Tylko na podstawie tych uzasadnionych wyników może ona posuwać swój pogląd ogólny na świat, i tu wkracza już w dziedzinę nauk specjalnych, równie jak te, co wysnuwając swe wnioski ogólne, wkraczają w zakres filozofii; w pasie granicznym spotyka się specjalista z filozofem, i wtedy sposobność znajdują do pomówienia o kwestiach wspólnych. Jest to tak nieuniknione, że wszystkie przecie nauki specjalne tworzą sobie własne filozofii systematy, w których niepodobna nie spotkać się z wyraźnym lub domyślnym, ogólnym na świat poglądem, oraz z krytycznością filozoficzną, bez której wszelkie zasadnicze przypuszczenia, zapoczątkowujące naukę specjalną, pozostały-by zawsze w stanie naiwnego realizmu. Na tem też polu można dopiero, przy pomocy krytycznych czynników filozoficznych, objąć wszystkie wyniki analitycznego i syntetycznego badania, ażeby po wyrównaniu ich różnic i nieporozumień wśród samychże nauk specjalnych, dzięki filozoficznej krytyce, urzeczywistnić najwyższy ideał myśli ludzkiej: możliwie pełny i jednolity w sobie pogląd na świat.

Jedno tylko poważne zachodzi pytanie: jaka jest granica poznawalności? Granicę tę a priori określa tak dobrze francuski pozytywizm (Comte), jak angielski agnostycyzm (Huxley, za którym poszedł Spencer). Ale granice te wynikają z samej oceny władz poznawczych umysłu, z logiki, którą uzupełnia metoda. Tę zasadę niepoznawalności (inconnaisable, unknowledge), radzi stosują realiści do metafizyki, do poznawania zasad bytu z punktu ogólnego, tak, jakby ona nie istniała dla poglądów szczególnych, które nie wychodzą poza empiryzm. Nie tak się rzecz ma: granica ta niezaprzeczenie istnieje w obu razach, tylko nie wypada jej dobrowolnie rozszerzać, murem chińskim zamykając rezultaty badań empirycznych, i więcej nieco ufając podmiotowi w stosunku jego do poznawanego przedmiotu. „Jeżeli wiem napewno — powiada prof. Struve — że *istnieje* słońce centralne, wokoło którego bieży cały nasz system słoneczny w kierunku gwiazdy Herkulesa, to czyż na tej podstawie *istnienia* słońca centralnego nie mogę sobie wytworzyć w przybliżeniu pojęcia o jego zasadniczych własnościach, występujących na jaw w tem istnieniu? Dlaczegoż mamy być koniecznie bardziej wstrzemięźliwi w naszych dążnościach poznawczych, odnośnie do niewątpliwie istniejącej *istoty* wszechrzeczy?“ Nie rozszerza się

autor w krytyce agnostycyzmu, po obszernej rozprawie z pokrewnym mu, a raczej pochodnym odeń, pozytywizmem, lecz dla bliższego poznania rzeczy odsyła do dzieła Fouillé: „Le mouvement idéaliste et la réaction contre la science positive“, zwłaszcza ks. I: „Les limites de la science et l'idée de l'inconnaissable“. Dzięki za tę wskazówkę, tylko jest to książka, napisana ciemniej jeszcze od wszelkiego „inconnaissable“.

Na trzecim miejscu stawia autor stosunek filozofii do życia praktycznego, i tu przypada właściwe miejsce na rolę, jaką ona ma odegrać w moralności. Planu swej roli nie może ona nakreślić z góry, gdyż była-by to utopia, ale kierować się powinna tem, co widzi, czego dotyka, czem się przejmuje, aby na tem oprzeć swoją krytykę. Moralność swą mają w różnym stopniu zarówno zwierzęta, jak ludzie—ci ostatni, o których tu jedynie chodzi, stosownie do rasy i szerokości umysłowego rozwoju, i według niej też postępują, zachowują się w życiu. Co jest pierwotnym, żywiołowym bodźcem tego postępowania? Rozumie się, popęd zachowawczy: każde jestestwo dba o to, aby swój byt zachować, i stosownie ku temu wybiera środki, które uważa za dobre, Z rozejrzenia się w bycie ludzkości wynika, że człowiek, stosownie do swej natury, wszędzie i zawsze dobro to ujmował i ujmuje w trzy wielkie działy: ekonomiczny, społeczny i religijny; pierwszy, odpowiadający jego potrzebom materyalnym, fizycznym, cielesnym; drugi socyalnym, trzeci uczuciowym. Są to działy integralne, działające wspólnie dla wydania ogólnego dobra (dobrobytu, w terminologii prof. Struvego), tak, iż bez jednego z nich ono-by nie istniało: bez dobra ekonomicznego utrudnionem, albo wręcz niemożliwem byłoby życie, jak organizm zwierzęcy bez kości pacierzowej; bez socyalnego, byłby człowiek pozbawiony pomocy w ciężkich warunkach istnienia; bez religijnego, czuł-by się prostem zwierzęciem, nieodpowiedzialnem za czyny własne względem innych. Filozofia nie łamie tych działów, tylko wprowadza do nich swą krytykę, raz, dla udoskonalenia o nich pojęcia, powtóre, dla wskazania środków należytego, a zgodnego z ogólnym na świat poglądem, urzeczywistnienia ideału dobra ogólnego. Bez światła, jakie ona wnosi do gromad ludzkich, ekonomia była-by bezmyślnem, ciąglem łupiestwem darów natury, wyłączającym pracę i przemyśl; społeczność—walką wszystkich przeciw wszystkim; religia--dzikiem zabobonem. Niema też filozofa, począwszy od Siedmiu mędrców Grecyi, który-by do swego systemu nie wprowadzał nauki o dobru, i niema narodu, który-by tego pojęcia po swojemu nie wjeleł. Próżno to mówić, że moralność zmienia się ze stopniem szerokości geograficznej: zmieniają się formy, ale idea pod nimi wszędzie pozostaje ta sama, idea obowiązku, zależności, ukrywająca się w wyrazie: sumienie,

które wyobraża nakaz wewnętrzny, choćby go nie było na zewnątrz, i nie dozwala obchodzić prawa, choćby obejście było łatwem.

Owóż, zadaniem w tym kierunku filozofii: zapanować nad formami, sprowadzić ideę do jednej, jedynej formy, wytrzymującej próbę wszystkich sprawdzianów, powołać wszystkie nauki do współpracownictwa, dla wynalezienia takiego kryterium, którego sankcya uczyniła-by obowiązek istnie *obowiązującym*, które-by przemówiło zarówno do umysłu, uczucia i woli, bez względu na temperament i stopień szerokości geograficznej. Jeżeli takie kryterium nie istnieje, to nie istnieje i moralność, istnieje tylko *modus vivendi*, rygor czasowy, oportunistyczny, niemający w sobie żadnej wartości wewnętrznej. Jest to kwestya najważniejsza dla filozofii, kwestya jej życia lub śmierci; bo cóż-by wreszcie warta była taka filozofia, która-by w sprawie najwyższego dla człowieka znaczenia nie wypowiedziała, a przynajmniej nie dążyła do wypowiedzenia stanowczego słowa. Oh! wtedy, rzeczywiście, można-by poprzestać na wynikach badań umiejętności specjalnych; przy ich współdziałaniu, trochę kulawo, trochę krzywo, jednakże szłoby jakoś życie dla jednostki i dla społeczeństwa; ale, bez sankcya moralnej, bez trwogi względem niej zniewalającej, czyli poprostu, bez ideału, bez sumienia, prosto i wzniosłe ono nigdy nie pójdzie. Każdy też człowiek, dbający o swą istotę, do którego wdzięczy się powabami swemi jakakolwiek filozofia, ma prawo na jej zalecanki zapytać: a czy masz ty sankcye moralną? Słusznie więc powiedział myśliciel nasz, Jan Śniadecki (V, 112): „Wolno sobie bredzić i finezować w psychologii i logice, ale nie w fundamentach etyki, od których szczęście indywidualne i zbawienie towarzystwa zależy.“

Nasuszyli też sobie nad nią głowy filozofowie wszystkich odcieni, którzy zawsze widzieli przed sobą jednostki, gromady, a wszędzie nad niemi jakieś bóstwo, widzialne czy niewidzialne, a wtrącające się do spraw ludzkich. Autor nasz, rozumiejąc wybornie ważność i zawilóść sprawy moralności, nie rozwiązuje jej tu metodycznie, boć nie miejsce na to we „Wstępie do filozofii“; ale z całego określenia stosunku jej do dóbr materialnych, do społeczeństwa i religii, widnieje aż nadto źródło, w którym upatruje on sankcye moralności: jest ono tem samem, które wskazywał w traktacie: „Zur Psychologie der Sittlichkeit“, w „Syntezie dwóch światów“, tudzież w rozprawie „O nieśmiertelności duszy“, a ostatecznie w artykule: „Etyka“, zamieszczonym w „Wielkiej Encyklopedyi“ Sikorskiego. Natomiast, przytacza on opinie o moralności różnych, rozumie się, pierwszorzędnych myślicieli, zatrzymując się przeważnie na Benthamie i Kancie; zestawia pod względem moralności wprost przeciwne sobie systematy filozoficzne, jak ascetyzm i pesymizm, cynizm i stoicyzm, epikureizm i utylitaryzm, zwra-

cając przytem uwagę w sposób krytyczny na wszystkie te poglądy, jak również na kierunek doktryn materialistycznych i pozytywistycznych, wprowadzających moralność niepodległą; etykę, wynikającą z dogmatów nauk przyrodniczych, z instytucji prawodawczych, oraz z apodyktycznych przepisów religii pozytywnych, rozróżnia od etyki, wynikającej z niezależnych badań filozofii; a cały ten, wielce zajmujący, prawdziwie *con amore* opracowany, rozdział, kończy poglądem na ideał i obowiązki życiowe samego filozofa w stosunku do życia praktycznego: ustęp wcale nie zbyt cenny, przeciwnie, dający wiele do myślenia, jeśli sobie przypomnimy różnicę między zasadami a życiem takiego Seneki albo Bacona, a z drugiej strony zacnego Littré, lub podobnych mu ateuszów.

Znając już zadania filozofii, jako nauki, badającej ogólne zasady wiedzy, podmiotowe i przedmiotowe, po rozbiorze stosunku jej do twórczości, do umiejętności specjalnych i życia praktycznego, należy wyknać drogę, wiodącą do rozwiązania tych zadań, czyli *metodę*, pamiętając, że filozofia wyróżnia się wśród innych nauk krytyczną samodzielnością myśli, tudzież dążnością do ogólnego na świat poglądu. Za taką metodę autor przyjmuje analizę i syntezę, czyli dedukcję i indukcję, które wzajem sobie służą za sprawdzenie. Nie tu miejsce na określenie tych sposobów, używanych wreszcie przez naukę w ogólności; to tylko zaznaczyć wypada, że, jak każda nauka, tak i filozofia, dwojako do swojego zadania sposoby te stosuje.

Z zadania tego, oraz jako nauka ściśle krytyczna, w analizie swej zawrzeć ona musi: krytykę umysłu, czyli zasadniczych jego czynności poznawczych; krytykę wyników i hipotez umiejętności specjalnych, o ile te przyczynić się mogą do urobienia filozoficznego na świat poglądu; nareszcie, krytykę historyczną samej filozofii, dla przekonania się, co w jej zabytkach, zgodnie z charakterem wiedzy, jest do przyjęcia, co do odrzucenia. Krytyczny rozbiór tych trzech czynników, dokonywany przez odpowiednie działy nauk filozoficznych, wyczerpuje dopiero analizę filozoficzną, a przy ścisłym jedynie ich związku i wszechstronnem ich zastosowaniu, analiza ta staje się narzędziem filozoficznego badania.

Analiza, jak wiadomo, rozpoczyna działanie swe od najbardziej pojedynczego, od najdrobniejszego, ile być może, szczegółu, jaki umysł upatrzy w poddanym rozbiorowi przedmiocie. Nie całość obchodzi go, lecz cząstki składowe. Jeżeli umysł ma przed sobą, przypuścmy, jakiś przedmiot materialny, widzi on w nim pewną złożoność, której nie znając, rozkłada ją, próbując kolejno wszystkich wrażeń zmysłowych, dotyczących barwy, siły oporu, wagi i t. p.; podobnież, na podstawie świadomości tego wzroku wewnętrznego (*conscientia*), dzieje się z ka-

złym przedmiotem umysłowym. W zastosowaniu więc do filozofii, analiza dopomaga nam do poznania zasadniczych czynników, wchodzących w skład poglądu naszego na świat i jego objawy. Ale to nie dosyć. Jeżeliśmy rozłożyli jaki przedmiot, to zniszczyli-byśmy go tylko, jako całość, gdybyśmy nie zdołali go napowrót w tę całość złożyć, czyli dopatrzeć się żywotnego związku między temi rozerwanemi częściami; gdy zaś tego dokonamy, wtedy dopiero możemy powiedzieć, żeśmy przedmiot ten poznali. Próba ta, odwrotna ta czynność, nazywa się syntezą.

Któż nie je, nie śpi, nie porusza się? Każdy więc na swójżytek ma jakieś pojęcie o pokarmie, o śnie, o ruchu? Któż nie ma pojęcia własnego o świecie, jako prawidłowym ustroju wszechbytu, w którym każdy szczegół zajmuje właściwe sobie miejsce, wynikające z pewnych praw powszechnych, działających jednostajnie, wszędzie i zawsze, powtarzających się ustawicznie, jak śmierć i życie? Mamy to syntetyczne pojęcie świata przed wszelką filozofią: daje nam je wyobrażenia, tradycya, religia, szkoła, wszystko razem lub pojedynczo. Ale jest-że to pojęcie prawdziwe? Filozofia, która niczemu nie dowierza i o wszystkim wątpi, póki nie sprawdzi, zużytkowyywa jednak krytycznie te syntetyczne wytwory umysłu, a metoda, którą się w tym celu posługuje, przybiera też miano syntezy.

Odpowiednio trojakiemu stosunkowi filozoficznej analizy do przedmiotów jej czynności, synteza trojacie ma też zadanie: sprawdzić przedewszystkiem wiarogodność czynności umysłowych, o ile słusznym lub niesłusznym jest wydany przez nie ów naturalny, zwyczajny, syntetyczny światopogląd, a to dla nadania mu, na podstawie krytyki umysłu, charakteru wewnętrznej konsekwencyi i ścisłości. Powtóre, ponieważ do poznania świata przyczyniają się nauki specjalne, których wynikami posługuje się filozofia, przeto do syntezy należy wyniki te, sprawdzone i udowodnione, zgromadzić w jedno uogólnienie, dla wyciągnięcia z niego pewnych wniosków co do najwyższych zasad bytu wszechświata. Zebrać, nareszcie, krytycznie rozebrane usiłowania przeszłości, dokonywane dla wytworzenia możliwie doskonałego na świat poglądu, ocenić wyniki, przedstawiające uzasadnioną trwałość, i utworzyć z nich organiczną całość, która-by się tym sposobem przyczyniła do rozwiązania zadań filozofii. Trzy te czynniki metodologiczne z zakresu syntezy, w połączeniu z poprzednio wskazanemi czynnikami analizy, zdolne są nadać badaniom filozoficznym charakter iście naukowy, którego one nabyć nie mogą drogą prostej dyalektyki, czyli czysto osobistego rozumowania, nieopartego na gruncie realnym.

Ale dokonać tego może w całości, lub choćby tylko w części, umysł specjalnie do badań filozoficznych uzdolniony, i rozbirowi też

takiego umysłu autor obszernie poświęca wywody. Banalnością było-by dowodzić tej specyjalności: wszak samo doświadczenie wskazuje, iż jedne umysły lepiej widzą w naukach konkretnych, inne w abstrakcyjnych, i rzadko spotkać uczonego, który-by był równie biegłym, np. w językoznawstwie, jak w matematyce. Filozofia, w duchu swego określenia, budując ogólne zasady wiedzy, zarówno podmiotowe, jak i przedmiotowe, wymaga przede wszystkim umysłu, podatnego do obu tych zadań, który-by z równą łatwością oryentował się w zasadach faktów realnych, jak i zatapiał się w głębie subtelności metafizycznych. Bez tej podwójnej łatwości, nie może on w szranki, zakreślone dla filozofii, z powodzeniem wstępować: schwyci kilka myśli, przestudyuje coś powierzchownie, i zostanie mniej lub więcej dylettantem. Nabyć pojęcia o stanowisku filozofii w rzędzie innych nauk, przyswoić sobie jej kurs w pewnym zakresie, może każdy człowiek, stosownie się kształcący; ale *pracować* dla filozofii może tylko wybrany, to jest, umysłem filozoficznym obdarzony. Bo przecież filozofia, to nie jakaś łaka, wyspa lub góra, istniejąca niezależnie od ludzi, którą dość tylko odkryć. Nie; ona istnieje tylko dzięki umysłom, które ją wytworzyły, wytwarzają i wytwarzają będą: są to zatem umysły twórcze.

Ogólne to określenie umysłu filozoficznego, w jego cechach głównych, nie wystarcza. Autor, obok danego uzdolnienia, widzi trzy jeszcze przymioty, dla tegoż umysłu niezbędne. Powinien on posiadać: 1) wysoką samodzielność, czyli dyalektyczną, (w dodatkiem znaczeniu) zdolność, polegającą na wysnuwaniu wniosków prawdopodobnych i tworzeniu kombinacji oryginalnych z własnej skarbnicy myślowej, czyli podmiotowych; 2) zmysł krytyczny, zdolny bystro oceniać nietylko obce zasady, poglądy i wyniki badań w stosunku do prawdy i istoty rzeczy, ale z równą też niepodległością własne rozważać orzeczenia i wątpliwości; 3) zdolność konstrukcyjną, która z rozpieczętych poglądów i wyników badań buduje całokształty wiedzy. Przymioty te, cechujące mężów wszelkiej nauki, szczególnie potrzebne są filozofowi, nietylko ze względu na bogactwo i różnorodność szczegółów, w których rozpatrzeć się musi, lecz i dla stosunku między zdolnościami poznawczymi, a rzeczami poznawanymi, do których i sam przedmiot poznający należy.

Czy podobna jednak apodyktycznie żądać tej troistej potęgi w jednym umyśle, będącej przywilejem rzadkich tylko gieniuszów? Autor poprzestaje choćby na dwóch przymiotach, jeden go nie zadawalnia. Jakoż, gdyby tym przymiotem była jedyna zdolność dyalektyczna, umysł, nie opierający się na faktach, ignorujący wszelką krytykę obje-

ktywną, popadł-by w egotyczną jednostronność, w subiektywizm, nie mający dla nauki wartości żadnej, i filozof takiego umysłu, na mrzonkach budujący swój system, z oryginalnego, mógł-by łatwo stać się oryginałem. Spójrzmy na J. Jakóba Rousseau. Umysł to inicjatywy niepospolitej, którego myśli, *par excellence* oryginalne, nowością, śmiałością i błyskotliwością poruszyły miliony współczesnych; umysł niepozawiany nawet pewnej zdolności konstrukcyjnej, dowodem „Contrat social“ i „Emile“; ale ponieważ odwrócił się od obiektywności i nigdy sam na siebie krytycznie nie spojrzął, tezy jego, nader samodzielne i oryginalne, zaledwie przeżyły swego twórcę. Zmysł krytyczny zawsze i wszędzie jest regulatorem, lecz, chodzący samopas, dopatrujący wszędzie tylko braków i niedoskonałości, nie wsparty ani na inicjatywie własnej, ani na zmyśle konstrukcyjnym, dąży raczej do destrukcyi i negacyi, nic w możności nie będąc sam z siebie zbudować, jak nic nie zbudowali Sofiści greccy. Ale, obok tego krytycznego wzroku, dać mu wielką inicjatywę, powstanie Kant, z którym każda filozofia rozprawić się musi, jeśli ma coś znaczyć w dziedzinie nauki. Prawda, że Kant, oprócz wszystkiego, był jeszcze zdolnym konstruktorem; ale też takich, jak Kant, posiadających wszystkie przymioty umysłu filozoficznego, i to w wysokim stopniu, jest zaledwie kilku: Arystoteles, Leibniz i może Descartes. Nie należy do nich Platon, ideolog, którego wielkie plany myślowe, skutkiem zbyt wybujałego subiektywizmu, niepowściąganego krytyką, często popadają w utopie, lub marzenia, dobre tylko dla poezyi. Nie chcemy mnożyć nazwisk, ale rzeczywiście, czy to w pierwszych, czy w drugich szeregach, przy każdym nazwisku głośniejszem w filozofii, mogli-byśmy odkrywać wskazane przez autora przymioty umysłu, kojarzące się w pewnym stopniu, lub dostrzegać braki, stanowiące o rezultatach badań. Są nawet umysły konstrukcyjne, bez inicjatywy podmiotowej i bez krytyki przedmiotowej, ale, duchem porządku przejęte, zdolne z pozostawionych na polu filozofii okruszków układać sposobem eklektycznym budowy, systematy, pozornie konsekwentne, a w gruncie niemogące oprzeć się silniejszemu powiewowi krytyki: to większa część scholastycyzmu, a właściwie ta jego strona, która wzięła sobie za hasło: „*philosophia theologiae ancilla*“. I na tej podstawie wszak można zbudować system?... Autor nasz zdaje się nawet nie wierzyć we wszechstronne uzdolnienie filozoficzne u pojedynczych osobników. „Jest ono—powiada (str. 622)—udziałem ludzkości całej, razem wziętej, pojętej, jako jedna istota myśląca, dążąca do zrozumienia samej siebie, świata i istoty wszechbytu... Umysły dyalektyczne, krytyczne i konstrukcyjne, są tylko różnymi objawami indywidualnymi ogólnoludzkiego umysłu filozoficznego o wszechstron-

nem uzdolnieniu, dającym ludzkości możność pracować wyczerpująco nad osiągnięciem zarówno samodzielnego, jak krytycznego i jednolitego na świat poglądu". To bezimienne a powszechne współpracownictwo wymagało-by osobnej rozprawy, potrąca bowiem o rozbijającą się dzisiaj ogólną kwestyę udziału mas w zasługach osobników, a właściwie nawet o inicjatywę; nie sama więc filozofia była-by w tem położeniu, ale wszystkie nauki. Autor jednak, kwestyi tej, jako niekoniecznie liczącej z zadaniem „Wstępu do filozofii“, nie podnosi dalej, ani rozwija. Ja wprawdzie nie mam o tem dobrego pojęcia, ile np. przyczyniły się masy do utworzenia systemu geometryi Euklidesa, Organonu Arystotelesa, systemu gwiazd Kopernika: wiem tylko, że wiekami po drogach postępu biegną przodownicy, „qui sibi lampada tradunt“. I tak też rozumiałem, co autor mówił wyżej (str. 615), „że niema filozofii poza filozofem“. Żeby więc go nie posądzić o sprzeczność, wolę to drugie jego orzeczenie rozumieć bez metafory, tak, iż ludzkość, niespokojna o znaczenie własne we wszechbycie, o swoje losy na łonie bezbrzeżnych czasów, filozofuje sobie na własną rękę, nie dając zasypiać umysłom, do tego powołanym, i budzi je to jakimś sceptycyzmem, to buntem otwartym przeciw ich systematom, niezadawalającym wszechstronnie. Taki np. pozytywizm, zbrojny całym arsenałem nauki realnej, usiłujący przepołowić sferę myślenia — czyż to nie pobudka dla umysłów, filozoficznie uzdolnionych?

Trzy te przymioty umysłowe, które, według autora, ogół raczej tylko ma posiadać, niż człowiek pojedynczy, są nietylko przymiotami, ale prócz tego stanowią one główne etapy w rozwoju umysłu filozoficznego. Nasamprzód występuje dyalektyka subiektywna, która, nie pytając o dowody, z siebie samej wysnuwa na świat poglądy, i prawi też często o nim niestworzone rzeczy: jest to wiek dzieciństwa filozofii. Niebawem następuje reakcja; do dyalektyki przystępuje krytyka, myśl mężnieje, ściiera się, nabiera hartu: to wiek młodości. Konstrukcja przychodzi na końcu, kiedy myśli dobrze się już przetarły, i umysł ma przed sobą materiał dostateczny do przedsięwzięcia syntezy: to wiek dojrzałości filozoficznej. Ażebymy takie twierdzenie uzasadnić, należy się zwrócić do historii. I rzeczywiście, autor wskazuje tę kolej przystępowania do umysłu nowych pierwiastków tam, gdzie nad filozofią pracowano samodzielnie i na wielką skalę. W Grecyi badania nad początkiem świata rozpoczynają się od czterech żywiołów, którym różni filozofowie samowolnie różne przypisują przymioty twórcze i konstrukcyjne: ci filozofowie są to istotnie w nauce dzieci, ale dzieci genialne, a sama myśl poszukiwań pozytywnych, sam projekt przeciw mitycznemu na świat pogładowi, zdobi ich chwałą inicjatywy. Krytyka wy-

stępuje z Sofistami i Sokratesem przeciw samymże Sofistom, konstrukcyjność z Arystotelesem. Podobną ewolucyę odbywa filozofia nowoczesna, po-Chrystusowa. Scholastycy na swój sposób poczynają od dyalektyki, krytyka występuje z Bakonem, systematologia z Kartezuszem.

Zasadę rozwoju filozofii, opartą na trzech tych momentach, a przez siebie samego wprowadzoną, autor uważa za najwłaściwszą, jako upodobnioną do rozwoju umysłowego w osobniku, zatem psychologiczną. Ma ona wyższość nad zasadą rozwoju, podaną np. przez Comte'a, który pochod filozofii widzi w trzech stanach umysłu: teologicznym, metafizycznym i pozytywnym, co jest nieusprawiedliwionem. Mógł sobie kiedyś umysł ludzki tłómaczyć świat teologicznie, ale to jego tłómaczenie było nie filozofią, tylko religią. W pierwszym brzasku filozofii umysł, przeciwnie, zwraca się o wytłómaczenie świata nie do trzech dynastyi bogów, lecz do sił natury (Fil. Jońska, Tales, woda, jako pierwiastek wszechrzeczy). Fałszem zatem jest, aby filozofia kiedykolwiek przez teologię rozwiązywać chciała zagadnienia świata; ona dostrzegała tylko poza jego zjawiskami ideę Boga, jako jedyne, możliwe wytłómaczenie wszechbytu, o ile za pierwiastek twórczy nie uznawała materji: to już wynikło samo przez się, z badań. Jeżeli zaś scholastyka teologizowała w filozofii swojej, było to raczej zaprężeniem pożyczanych form filozoficznych do obrony dogmatów religijnych, wynikiem czasowego nastroju umysłów, który niebawem pod ciśnieniem krytyki opadł, pozostawiając filozofię zupełnie wyswobodzoną z więzów teologicznych. Powtóre, Comte trzy swoje stany w rozwoju filozofii rozumie tak, że jeden wypiera drugi zaraz za swem pojawieniem się; co także nie jest prawdą. Nasamprzód, nie łatwo pojąć, co on rozumie przez stan teologiczny umysłu. Jeżeli to ma być skłonność do upatrywania we wszystkim zrzędzeń bóstwa, to stan taki odnieść można jedynie do umysłu mas naiwnych, jak było w Grecyi i Rzymie, gdzie każdy krok ważniejszy, domowy czy polityczny, poczynano od wskazówek przepowiedni i wyroczni, ale nie do umysłu filozofów. Jeżeli zaś ma to być prosty багаż religijny, który Comte uważa za negacyę nauki, to wszak on nie przeszkadzał nigdy mężom nauki do jej obiektywnego traktowania, i sam wreszcie Comte, usuwając z nauki teologię, która w niej nigdy przeważnej roli nie grała, wprowadza jednak swoją religię, pozytywną, religię ludzkości. Metafizyka? Ależ jej pełno w systemie samego Comte'a: czemuż bowiem są takie pojęcia, jak siły i ruchu, przestrzeni i czasu, przyczyny i celu, zjawiska i istoty, materji i ducha i t. p., jeśli nie pojęciami metafizycznymi, bez których żadna nauka gruszyć się nie może. Inna rzecz jest wystrzegać się pewnych

zasad, nawet je lekceważyć, inna dowodzić, iż one nie mogą tkwić w umyśle jednocześnie, tylko jedna oczyszczać musi miejsce dla drugiej, i już bezpowrotnie przepada. Czasowe stany: teologiczny, metafizyczny i pozytywny,—to teoria sztucznie do rozwoju filozofii wprowadzona; kiedy zasada prof. Struvego, upatrująca w umyśle filozoficznym rozumowanie subiektywne, bogacące się kolejno przez krytycyzm i zdolność konstrukcyjną. trzy czynniki w miarę przyrostu istniejące współcześnie i zawsze dla badań filozoficznych potrzebne, nietylko jest zasadą naturalną, lecz i w całych dziejach filozofii znajduje sprawdzenie. Comte nie zdolnym jest dowodnie w historii wykazać swoich okresów, panujących wyłącznie, stwierdzić, że tu się zaczyna lub kończy okres teologiczny i t. d.; kiedy przyrosty czynników, wskazane przez prof. Struvego, występują jak na dłoni, czy to w starożytnej Grecyi, czy w nowoczesnej Europie, gdzie od upadku dyalektycznej szkoły Hegłowskiej krytycyzm coraz bardziej rozszerza się w filozofii, a jednakże dyalektyka, czyli oryginalność pomysłów, nie upada—a konstrukcyonizm nowej nabiera siły.

Umysł z natury filozoficzny, to jest zdolny do wyciągania wniosków i czynienia trafnych uogólnień, obok swych znamiennych przymiotów: dyalektyki, krytyki i zdolności konstrukcyjnej, wymaga nadto odpowiedniej uprawy, aby człowiek, takim obdarzony umysłem, mógł nazwać się filozofem, jak inni zwą się matematykami, historykami i t. p. Jest to uprawa zgoła swoista, cały proces systematyczny, któremu autor poświęca ostatni rozdział swej pracy, przeważnie pedagogiczny, a wystudyowany aż do drobiazgów. Oczywiście, któż tu mógł wystąpić właściwiej w roli pedagoga, niż trzydziestopięcioletni profesor, który i sam podobne wykształcenie przebywał, metody doświadczał na sobie i na innych, miał sposobność spostrzegać wszystkie zalety i wady sposobów filozoficznego wykształcenia. Nie możemy śledzić go w całej tej pedagogice, dotykającej mnóstwa różnorodnych kwestyi, ale to pewna, iż rzeczy w tym rodzaju, napisanej tak gruntownie, wszechstronnie, praktycznie i odpowiednio do dzisiejszej naszej kultury umysłowej, nie pamiętamy, proporcjonalnie do stanu umysłów, od czasu mało dotąd ocenionego dzieła Kalasantego Szaniawskiego: „Rady dla czytających książki“. A jakież to wymagania stawia prof. Struve przyszłemu kandydatowi na filozofa! Radzimy program jego przeczytać tym, którzy z lekkim sercem zaliczają filozofię do utworów belletrystyki, do kompozycji artystycznych.

„Nie dosyć jest mieć dzisiaj umysł do badań filozoficznych podatny; trzeba sobie w tym kierunku całe życie urządzić. Niema tu już dziś

samouctwa, niedostateczne jest słęczenie nad książkami według przypadkowego lub umyślnego wyboru. Potrzeba szkoły, i dobrej szkoły, która-by nie narzucała swoich opinii, nie krępowała samodzielności młodzieńczego umysłu, ale kierowała nią przez wszechstronne ukazywanie przedmiotu. Lecz iież wymaga pracy młodzieńca samo przygotowanie się do zawodu filozofa. Musi on nasamprzód, jako członek swojego społeczeństwa i ludzkości, wykształcić się ogólnie, w kierunku humanistycznym, poznać historię własną i powszechną, zarówno jak literaturę, posiadać kilka języków, aby zbliżyć się do cywilizacji ogólnej, i t. p. Przygotowanie to dostarczy mu dopiero materiału do wysnuwania wniosków dyalektycznych nad światem, a lubo niezbędne, mogło-by wyrodzić w jego umyśle filozofię jednostronną, zatem fałszywą. Reakcyę w tym kierunku sprawiają dopiero nauki specjalne, czyli realne, niemiłosierne Eumenidy filozofii. Obstaje zatem prof. Struve, iżby, wobec uniwersalnego jej charakteru, adept jej przyswoił sobie gruntowne wiadomości z zakresu wszystkich nauk specjalnych, gdyż każda z nich zawiera w sobie pewne dane do urobienia zupełnego na świat poglądu. Ale że niepodobnym jest taki uniwersalizm w jednym człowieku, bo nań nie starczyło-by i życie całe, przeto z konieczności poprzestać trzeba na jakimś minimum, choćby na ogólnem poznaniu nauk specjalnych i na ich ostatnich wynikach, krytycznie przedstawionych. Adept taki musi być ciągle *au courant* nauk realnych, jako współpracowniczek filozofii w poznaniu świata.

Po wykształceniu się humanistycznym i realnym, z ciągłym zwrotem na jedno i drugie, dopiero przystępuje się do zawodowego wykształcenia w filozofii, która poczynać się powinna od „wstępu krytycznego“ do niej, przejść przez encyklopedyę nauk filozoficznych i stopniowo wchodzić w jej nauki szczególne, aż do rozpoznawania całych systematów. Faza ta odpowiada właśnie umysłowemu konstrukcyonizmowi; skąd widzimy, że autor nawet w tem ustopniowaniu wykształcenia filozoficznego miał na myśli wskazane przez się przymioty filozoficznego umysłu: studia humanistyczne odpowiadają fazie dyalektyki, realne — momentowi krytycznemu, specjalnie filozoficzne łączą się ze zdolnością konstrukcyjną, która ułatwia nareszcie jednoczenie opracowanych szczegółów w umiejętną całość.

Otóż i wszystko, w ogólnych wyrazach, czego się dowiedzieć możemy z tej wielkiej, ostatniej pracy prof. Struvego. Czyż wszystko? . Wszak to jest tylko sprawozdaniem z treści głównej, z pominięciem szczegółów, z których każdy, bez wyjątku, jest mniejszem lub większem, ale zawsze cennem ziarnem w różańcu wiedzy filozoficznej. Wybierając to, co mi się zdawało najważniejszem i najcharakterysty-

czniejszem i uzupełniając własnymi na rzecz poglądami, mogłem coś przeoczyć, a co gorsza, i czego-bym sobie nie wybaczył, mogłem myśleć autora wykoszlawić, lecz stało-by się to nieumyślnie, i w takim razie chętnie przyjmę jego sprostowanie. Dzieło to, przyznaję, zamało czytalem; ze względu na poruszone tam kwestye, trzeba-by mu dłuższy czas poświęcić. Dzieła tak wyczerpującego, jako „Wstęp do filozofii“, nie posiada równego sobie żadna literatura, powiada o niem w powołanym artykule p. Lutosławski, który, co prawda, bardzo zdaleka tylko dał nam je poznać. Na dzieło tak wyczerpujące spoglądać można więc z różnych stron, rozprawiać się o wiele szczegółów, i nawet przyjść do bardzo interesującej dyskusji; ale nie to mogło być tu założeniem mojem. Chciałem spojrzeć tylko na całość, a ta wydała mi się dziełem umysłu, wszechstronnie przygotowanego, oraz owocem pracy żelaznej i systematycznej.

Gdybym do sądu o tem dziele przymierzał kategorye umysłu filozoficznego, wskazane właśnie przez autora „Wstępu“, powiedział-bym, że umysł jego tu okazał się przeważnie krytycznym, w części konstrukcyjnym, a najmniej dyalektycznym. Nie posunie on ani na krok myśli, ażeby jej nie zaopatrzył w odwód krytyczny, i albo, jak matematyk, jeśli stawia twierdzenie z góry, to zaraz go dowodzi, albo je, niby wniosek, stawia na gruncie już udowodnionym. Ale też samą krytyczność zachowuje on i względem opinii obcych, a zwłaszcza zdaniu jego przeciwnych. Nie przeraża go żadna wielkość: każdej on śmiało zagląda w oczy, bo czuje, że ma za sobą słuszość i odpowiednie jej argumenty. Rozprawi się i z Kantem, i z Heglem, z Comte'm i ze Spencerem, tylko z ujmującą godnością, z uznaniem stopnia wartości, prawdziwie po akademicku. Co większa, w historycznem rozpoznawaniu badań w pewnych materyach, nie gardzi on głosami nawet maluczkich (dotyczy to piśmiennictwa naszego), co mu nawet ma za złe p. Lutosławski, mówiąc: „Objektywność Struvego idzie tak daleko, że nawet z fachowego punktu widzenia można-by mu zarzucić, że zbyt obszernie i cierpliwie uwzględni elukubracye dylettantów“,—których znowu p. Lutosławski traktuje zbyt pobieżnie, zaliczając do nich i Herberta Spencera. Nie zgadzam się w zupełności ze zdaniem p. Lutosławskiego. Jeżeli filozofia nie ma być udziałem samych magów i zamykać się w świątyniach ad hoc przeznaczonych, lecz pisze się dla ogółu, to ci „dylettanci“, (czytaj, ludzie wykształceni), mają wszelkie prawo zabierać głos, jako reprezentanci nkształconego ogółu, a filozofom fachowym wolno ich karcieć, jeśli błędzą: stąd zawiązuje się nawet pożyteczny stosunek między fachem a życiem, i tak też, zdaje mi się, rozumie tę rzecz prof. Struve.

Dzieło jego skądinąd, jako forma objawu, wydaje mi się *par excellence* analitycznym. Wychodzi ono z jednej tylko przesłanki, z określenia tego, czego się od filozofii wymaga. Każdy krok dalej jest już tylko rozbiorem nasuwającej się myśli, a w toż określenie wchodzącej, następuje za każdym razem rozbiór tego, co ma z tą myślą bezpośredni związek, co ją popiera, lub zdaje się jej przeciwieć. Szereg rozdziałów, paragrafów, ustępów, to szereg rozbiorów, ciągle wszakże zwracających się do pierwotnego punktu, to jest do określenia filozofii. Tym sposobem szeregi te mają z sobą łączność nieprzerwaną, a przez to stanowią jedność taką, jak np. kurs geometrii analitycznej. Pomijam już trzeźwość i zasadniczość tych rozbiorów, ale w imię nauki zaznaczyć winienem tę właśnie umiejętność zespolenia wszystkich części w całość integralną, jednolitą, w której niema nic luźnego, kołaczącego się bez miejsca dla siebie, w próżni; tak, iż po wykończeniu, całość ta przedstawia się, jako istna synteza. Skutkiem tego, powiadam właśnie, że według kategorii prof. Struvego, przyznał-bym jego umysłowi zdolność *konstrukcyjną*, a więc zachęcającą do budowania całości, czego mu dotychczas wrogie okoliczności (Logika) nie dozwoliły. Też same mniej więcej przyimoty przyznaje umysłowi jego i p. Lutosławski (*l. c.*), w słowach: „Aby wydać takie dzieło, jak „Wstęp do filozofii“, istotnie dzieło *krytyczne*, trzeba było, jak Henryk Struve, przejść przez szkołę wielu pierwszorzędných nauczycieli filozofii, potem być zmuszonym do walki długoletniej z niekompetentną ignorancją, i przez to nabrać anielskiej cierpliwości, bezstronności i obiektywności. Trzeba było w dodatku mieć wrodzoną pracowitość niemiecką, połączoną z polskim animuszem i *zdolnością architektoniczną*, nie tylko do ścisłej klasyfikacji nagromadzonych materyałów, ale do ich estetycznego układu w pięknie zaokrągloną całość.“ P. Lutosławski, chwając, prócz tego, popularność wykładu, przeznacza dzieło to do czytania nawet dla uczniów gimnazyalnych. Ja, zgadzając się na wykład łatwy, nie mogę pójść tak daleko. Uważam, przeciwnie, że dzieło to z zajęciem i pożytkiem czytane być może tylko przez ludzi, obytych z rzeczami i tokiem filozofii; a ktoś, dla którego ona jest żelaznym wilkiem, wobec mnóstwa terminów, nazwisk, szczegółów, okoliczności, zgoła sobie nieznaných, prędzej odstręczyć się może od czytania dzieła, niż do niego zachęcić. A zachęty dla przygotowanych znajduje się tam dużo, oprócz treści, w samej formie literackiej: silne przejście się przedmiotem, miłość dla nauki i społeczeństwa, jakaś dobroć i względność dla bliźnich, szacunek dla cudzej pracy i zasług, słowem, odbicie się moralnego charakteru autora w dziele, przy pięknym języku, stanowi niemałą jego zaletę.

Oceń ją też publiczność, gdy po pierwszym wydaniu, prędko wyczerpanem, we dwa lata ukazało się drugie. Książka filozoficzna u nas, w dwóch raptownych wydaniach, toż to koniec świata. Snadź okoliczności mocno się zmieniły od czasu, kiedy prof. Struve wydawnictwo swej „Logiki“ zamknąć musiał na pierwszym rozdziale. Oby też ten jego „Wstęp do filozofii“ był zarazem u nas wstępem do lepszych czasów filozoficznych.

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

Wspomnienie.

Cisza. Późny wieczór. Deszcz chlapie za oknami. Po całodzienniej uciążliwej pracy, siedzę wygodnie w fotel zagłębiony. Kazałem ogień rozpaść na kominku. Rozmarzające ciepło rozchodzi się po pokoju. Zapominam o chłodnej, wilgotnej jesieni na dworze. Odpoczywam. Jak cicho... Oczy moje, utkwione w ogień, od wielkiego blasku zachodzą łzami, które palą. Przymykam powieki. I oto powoli, powoli, z dna duszy mojej wypełza hydra — wspomnienie..

Jestem tu, niby pasterz w swej owczarni. Dobrowolnie osiadłem na tym swoim kawałku ziemi, na tej swojej wsi, gdzie celem moim nieść wkoło pociechę i zdrowie. Z sąsiedztwem dotąd nie zawiązałem stosunków, żyję z pacjentami swymi, z ludem, tylko z nim. Rozumiem ich, a oni przywiązują się do mnie. Jestem więcej, niż ich lekarzem — przyjacielem prawie. Spełniam uczciwie dobrowolnie włożone na siebie obowiązki. Spełniam je szczerze. Powinienem być zadowolony, spokojny, szczęśliwy...

— A jednak...

— Niel. nie!. daj pokój.

- Czy pamiętasz?..
- Słutno mi, nie męcz mnie, myśli moja!
- Sam chcesz tego. Słuchaj!
- Nie!
- Sza...

Dzień był jeden z tych bezsłonecznych, a cudnie świeżych dni, jakie zdarzają się często w dolinkach, dokoła górami zamkniętych. Było to w lipcu, w mało znanym jeszcze, nie modnym kątku Szwajcaryi, tak cichym i cudnym, że jakby wymarzonem.

Szedłem ścieżyną kamienistą, to w górę się pnącą, to w dół opadającą, wśród sosnowego lasku. Wkoło siebie, nad ostatniemi igłami drzew, widziałem ciągle wierzchy gór zielone, lub szare i śniegiem oprószone. Cisza była wielka, tylko gałęzie drzew chwiałały się, szeleszcząc za każdym wiatru powiewem, i z głośnym hukiem leciał w dal, kapryśnie się wijący, żwawy potok górski. Niestety, w gęstwinie leśnej ozwał się przeciągły pisk niewidzialnego ptaka. Opuściłem lasek; dróżka biegnie dalej wśród łąk obszernych, po których idzie woń świeżo skoszonego siana i traw, do śmierci dojrzałych. Roi się tu od owadów. Olbrzymie koniki polne masami z pod nóg przechodnia wyskakują, i brzękiem swym napełniają powietrze. Lecz wszystko razem: i szum spienionej wody, i szelest liści, i brzęk owadów—tworzy tu taką wspólną, harmonijną ciszę, że się o świecie całym zapomina, i dusza po sobie jedną rozkoszą, jednym cudem.

Szedłem tak długo, upojony dziwnie słodkim uczuciem, pełnem spokoju. Ach! jak tu dobrze, jak dobrze na tych rozkosznych łączkach... Człowiek się czuje, niby odrodzony jakiś, odświeżony, cały chaos życia ginie gdzieś w oddali. W tej chwili wydało mi się głupstwem wiertnem, że dotąd chodził po świecie, niby Hamlet, zadumany i monologujący. Czegóż u licha bo mi niedostawało! Świeżo skończyłem za granicą studia medyczne, i oto do kraju wracałem, dzielić się z ziolkami owocem pracy mojej. Rodziny blizkiej nie miałem; byłem całe życie samotny, niezależny, niczem nieskrępowany, i może dlatego właśnie szukałem wiecznie „duszy bratniej“ wśród ludzi, i nie znajdując jej — omal, że rąk nie łamał. Popostawiałem sobie ideały różne tak wysoko, że świeciły mi tylko zdaleka, i tem ciemniejszym życie mi się wydawało. Szukałem szczęścia, a że go nie dała ani nauka, ani ludzie, ani sztuka, bo tylko kontemplować uniałem, a nie tworzyć; więc

źle mi było. Tęskniłem ciągle do szczęścia, ale nie umiałem go znaleźć. Medycyny chwyciłem się, niby deski ocalenia, sądząc, iż ona moje usposobienie marzycielskie zrównoważy.

Napróżno! Raczej dołała kroplę goryczy do mego gorzkiego serca.

Ale tu, na tych wonnych łączkach, straciłem pamięć życia.

Usiadłem na stosie kłód, świeżo ściętych, pachnącą korą jeszcze okrytych. Piłem tę woń zieloności, kąpałem się w niej, niby w źródle ozywczem, a wzrok mój to błodził dookoła, przyciągany ruchliwością piany białej potoku, który w tem miejscu waziuchnem pasmem się snuje; to opierał się o niewzruszoną ścianę gór, niezbyt wyniosłych, ale najeżonych i do przebycia trudnych; to znowuż leciał po tej rozkosznej łące, po tej puszystej, zielonej przestrzeni w dał, bez końca...

Siedziałem tak długo, zadumany, aż podniecenie moje opadło, i czułem, że zaraz smutny będę, smutny okropnie. Nie umiałem być długo zadowolony. W najśłodszych chwilach mego życia, głos jakiś tajemny lał mi truciznę do ucha:

— To nie „to“..

Achl cóż jest to „to“?

Teraz cudownie jest. Zaciszenie, wonnie, świeżo. Interesy moje złożyły się pomyślnie, dyplom w kieszeni, przyszłość otwarta, zdrowie fizyczne w porządku — czego mi brak?

Począłem się drażnić sam myślą moją.

A potem, powoli, nawpół świadomie, szkicowałem ją w wyobraźni jakiegoś mgliste kontury... Zdawało mi się, że myśli moje kształt jakiś tworzą, że coś się wkoło mnie staje...

Jam do miłości przywiązywał wielką wagę, ale dotąd nie znalazł kobiety.

Achl tak. Tej prawdziwej, innej, mojej pożądałem, tej, którą-bym kochał na śmierć i życie, która-by towarzyszką mi była, przyjaciółką, kochanką — wszystkim. Tej innej — innej od tych wszystkich, które dotąd... kochałem...

„Bratniej duszy“ mi brakowało.

Podniosłem głowę. W oddali szła jakaś postać. Zbliżała się do mnie. Obiema rękoma unosiła suknię, koronkami obciążoną, i drobne stopy zagłębiała w trawie ruchem powolnym, jakby ociężałym. Zbliżyła się do mnie. Słyszałem już szelest jej spodnic i widziałem głowę,

którą trzymała, ku piersi mocno pochyloną. Miała duży, ciemny kapelusz, który jej twarz zasłaniał. Dostrzegłem tylko miękkie, zaokrąglone podbródek i usta drobne, blade, kącikami leciutko w dół opadające.

Te usta — smutne?

Skurczyłem się w sobie i, w szarem ubraniu, tworzyłem snadź niewyraźną plamę, lub może ona była taka zadumana, że nie spostrzegła mnie. Oto zrównała się ze mną i wietrzyk przyniósł mi od niej woń jakąś łagodną a przejmującą. Przez jedno mgnienie oka ujrzałem jej delikatny, miękki profil. Przeszła. Lecz oto nagle zatrzymała się. Jedną ręką trzymała wciąż uniesione spodniczki, z których koronkami wiatr igrał; drugą zaś, oswobodzoną z rękawiczki, nagle podniosła w górę i przypatrywała się jej uporczywie. W powietrzu, na tle monej zieleni, widziałem tę rękę przezroczyście białą, niebieskimi żyłkami porysowaną, o długich, wysmukłych palcach. Była to ręka dziwnie sympatyczna i dobra.

Ciekawość mię zdjęła. Dlaczego ona ręce swojej się przygląda?

Właśnie w tej chwili nieznajoma wysunęła nieco czwarty palec, opuszczając inne. Czego na nim szukała? czy śladów jakich...

Po pierścionku?..

Po chwili nieznajoma rękę opuściła i tym samym powolnym, zmęczonym krokiem poszła dalej.

A wszystko razem trwało mgnienie oka.

I mnie się wydało, że po świetle rozlała się rzewność jakaś i tęsknota, i że trochę tego uczucia udzieliło się i mnie, samotnie siedzącemu jeszcze czas długi na belkach, wśród zielonej łąki.

Tegoż wieczoru zobaczyłem ją u stołu.

Przyszedłem późno, zmęczony długą przechadzką, i nie rozglądając się, usiadłem na swem krześle. Wzdłuż dużej sali ciągnęły się trzy nieskończenie długie stoły, przy których każdy wyznaczone miał miejsce.

Byłem roztargniony, i sam nie wiem czemu, trochę zdenerwowany. To też drgnąłem nieprzyjemnie, usłyszawszy:

— Avez-vous fait une bonne promenade, monsieur?

Codzień ta sama piła!

Była to stara panna, nauczycielka, Genewka, która mię mordowała swoją uprzejmością.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, już „krzykliwa“ (jak ją nazywałem) młoda nauczycielka, Szwajcarka, zawołała:

— *Moi, je ne me fatigue jamais. Oh! la Suisse, que c'est beau, n'est-ce pas?*

Była ona bowiem na wszelkie trudy niezmiernie wytrzymała, i z zapałem wielkim głosiła przy lada sposobności uczucia patryotyczne...

Sąsiadka moja z lewej strony, staruszka, Niemka, nachyliła mi się do ucha:

— *Mu! także nigdy się nie męczy, nicht wahr, mein Herr?*

Uśmiechała się do mnie ironicznie i pogardliwie spoglądała na rozmiłowane w wycieczkach nauczycielki, których tu było stado całe. A wszystkie stare panny, wszystkie w binoklach i wszystkie o nieociosanych rysach twarzy i niekształtnych rękach.

Staruszka najczęściej nie mogła wyrozumieć, jakie podają mięso. I rzeczywiście trudno było rozpoznać, gdyż wszystkie potrawy jeden smak miały.

— *Baranina, co? może wołowina?*

Ponieważ patrzyła na mnie niespokojnie, pośpieszyłem z objaśnieniem:

— *Cielęcina, łaskawa pani.*

Potrząsała z niedowierzaniem głową, i nakładała pełen talerz jadła.

Od niej dowiadywałem się o każdym nowoprzybyłym gościu. Zwierzała mi się poufnie, iż pani X. niezadowolona jest z pokoju, albowiem okno wychodzi na kuchnię; iż pani Z. ma pięć kufrów z sobą, a pan Y. pisze wiersze bardzo piękne, tylko się z niemi kryje. Opowiadała mi również, iż kawa, którą nam tu podają, to nie kawa, lecz mieszanina żołądźi i cykoryi, że miód, to melassa, zaprawiona cukrem i t. p., i t. p.

Ale staruszka przyjemna była i miała takie łagodne, niebieskie oczy.

Rozmowa toczy się, jak zwykle, o odbytych, lub mających się odbyć wycieczkach.

— *„Cabane d'Orny“...*

— *Oh! oui... oui... oui... oui...*

To Szkot. Obficie zarósł i niezwykle wymowny, choć w repertuarze mowy swojej posiadający zaledwie kilkanaście słów francuskich. Gdy mówiono do niego, otwierał szeroko niebieskie oczy i na różne tony powtarzał:

— *Oh! oui... oui... oui... oui...*

Jeżeli przypadkiem zrozumiał, wybuchał śmiechem serdecznym i wesoło wołał:

— Oh! oui... oui!

Ktoś opowiada, że udała mu się wycieczka na „Cabane d'Orny“, czas bowiem był cudny.

„Dziki człowiek“ — młody chłopak, o dziwnie niewykończonyj całej postaci, oświadcza:

— Lorsque j'y étais, moi, il faisait mauvais, on n'a rien vu. Mais tout de même, on a fait une belle promenade...

Zamieniamy ze staruszką wymowne spojrzenia.

— Des promenades!

Inny młody Szwajcar, student, pogardliwie wzrusza ramionami.

Pytam go, czy się tu bawi.

— On est trop sérieux ici; pas moyen de faire une bêtise — odpowiada mi półgłosem.

Śmiejemy się obaj.

— Czegóż pan tu siedzi?

— Il paraît qu'en été c'est obligatoire de monter la montagne...

Krzykliwa dosłyszała; już, już wypalić ma nam tyradę o piękności Szwajcaryi, ale po sali rozlega się niezwykle radosne Szkota:

— Oh! oui... oui... oui...

Klasztor Ś-go Bernarda? Był, był, i jest zachwycony — ma to znaczyć.

Gwar się zwiększa.

Pogrążam się w zadumie. Myślę o swej nieznajomej, gdzie ona jest, na jakiej pensyi. W tej chwili dochodzi mię głos Angielki, jedynej bodaj w naszym gronie, szykownej pani, o twarzy niezwykle interesującej, która do kogoś, na wprost niej siedzącego, mówi:

— Avez-vous l'intention de faire Grand S-t Bernard, mademoiselle?

I odpowiada jej nieznany mi, a dziwnie swojski i ciepły głos:

— Probablement oui, madame.

W uszach mi coś brzęczy. Nic dalej nie słyszę.

To ona. To musi być ona.

Jakby tu zajrzeć... Nie mogę bez powodu wysunąć naprzód głowy. Ona siedzi o kilka krzeseł dalej ode mnie. Gorąco mi się robi. Nagle, gwałtownie wysuwam się naprzód i sięgam po karatkę, stojącą na stronie, od której mię ów głos doszedł. I widzę przez mgnienie oka młodą, jasną twarzyczkę i te drobne, smutne usta...

Czy ładna? nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ale wydała mi się tu, przy tym stole, uosobieniem wdzięku i przybraną w jakiś dziwny, którego nie mogłem zrozumieć, majestat.

Wiem już teraz. Był to majestat bólu.

Jakże krótko to wszystko trwało... Jakże prędko zbudziło się serce moje do najczarowniejszego z uczuć, i jakże prędko marzenie moje złamane, zdruzgotane zostało...

Pierwsza oto jesień po owem pamiętnem dla mnie lecie... Tak niedawno patrzyłem na jej smutną twarzyczkę, a patrzyłem tak krótko...

I to wystarcza, aby cień bolący wbić na zawsze w duszę człowieka.

Wstałem od stołu szybko i stanąłem nieopodal drzwi, aby ją widzieć przechodzącą. A ona lekko odsunęła krzesło i przeszła przez salę nadzwyczajnie szybko, a na twarzy jej malował się przymus. Wido-cznem mi się zdało, iż nieprzyjemnie jej jest być tu, wśród ludzi. Wbiegła prędko po schodach, prowadzących na piętro. Nie śmiałem pójść za nią, aby zobaczyć, gdzie mieszka.

Natomiast wyszedłem z domu i przechadzałem się do późnej nocy, nad małym, cichym jeziorkiem, które urok swój przykłada do tych wszystkich, hojną tu rozsianych ręką. Ściemniało się; jasne niebo zasnuwało się ciemnymi, grożącymi deszczem, obłokami; lasek sosnowy, porastający po brzegu jeziorka rysował się posępną jakąś linią — a ja szedłem niewyraźnie w ciemności wijącą się drożyną i myślałem o niej:

Kto ona? Czy sama? Czy naprawdę smutna?

W uszach mi dźwięczał ten jej jeden frazes:

— Probablement oui, madame.

Powtarzałem go bezmyślnie.

I powiedziałem sobie, że ona musi być Polką.
To jest polska twarz, polski wdzięk, polski smutek.

Dlaczego ona smutna?

Czy długo tu zabawi?

Ale potem sam się zniecierpliwilem.

— Dość tego, idyoto!

I ścinałem laską nadbrzeżne trawki, a wzrokiem śledziłem ruchy chmur ciemnych na niebie.

Nic — tylko ona.

— Co u licha! Un coup de foudre.

A z otaczających mię ciemności wyłoniła się przed oczyma memi, najwyraźniej w świetle, jej jasna twarzyczka, a drobne usta się poruszyły:

— Probablement oui, — zdawało mi się, że słyszę.

Odtąd widywałem ją często na spacerach, gdyż z okna mego pokoju, wychodzącego na front domu, śledziłem, jak wychodziła, i niby szpieg jaki, sunąłem ostrożnie za nią, przemykając się koło drzew, lub zarośli, by się ukryć za każdym jej przystąpieniem. Ale obawy nie było — nie oglądała się poza siebie, kroków zaś moich nie słyszała, gdyż starałem się odpowiednio wymiarkować dzielącą nas przestrzeń. Najczęściej chodziła tam, na łączki, gdzie ją pierwszy raz ujrzałem. Widocznie góry nie bardzo ją nęciły, a może tylko zanadto ją zużyły, gdyż, kiedym zrzadka widywał ją wchodzącą na górę, zdawało mi się, iż jest bardzo zmęczona: otwartymi ustami chwytiała niespokojnie powietrze, a ręką przyciskała serce, jak gdyby bicie jego było zbyt silne. Więc się zaraz z tego ucieszyłem, albowiem na drodze do łąk łatwiej mogłem chodzić za nią, z powodu wzdłuż ciągnących się częstych lasków lub zarośli.

Szła zwykle bardzo powoli, zwykle z uniesioną w rękę suknią, gdyż drogi najczęściej bywały wilgotne, tak, iż odsłaniała swe rasowe nóżki, i zwykle z głową ku pierśsiom opuszczoną. Zamyślona bywała stale i stale smutna. Czasami, spotykając miejscowe dzieciaki, zbierające czarne jagody, których tu była moc olbrzymia, zatrzymywała się i uśmiechała do nich. One zaś, gdy odeszła, odprowadzały ją wzrokiem, a potem coś między sobą szeptały. Snadź wdzięk jej trafiał nawet do tych leniwych dusz, i wtedy mówiłem sobie, że jest ona czarodziejką, której śladem idzie piękno i dobroć. Czasem na łączkach zbierała krokusy,

obficie zarastające tu wykoszone łąki; lecz potrzymawszy jakiś czas bukiet w dłoni, rozsypywała go po ziemi — nie wiem, dlaczego? czy że nie chciała patrzeć na śmierć kwiatów. czy też, że myśl jej odbiegała nagle daleko i bezwiednie z dłoni jej wysuwały się one? Czasami znikała mi z oczu i po starannych poszukiwaniach odnajdywałem ją siedzącą w kątku jakimś na trawie, w cieniu drzewa, w postawie skulonej, z rękoma, oplatającemi podniesione kolana, z głową gdzieś w bok zwróconą i całą zadumaną, z oczyma patrzącemi w dal, a nic nie spostrzegającemi.

— O czym?

Ukryty w zaroślach, zadawałem sobie to pytanie, i nie znajdując na nie odpowiedzi, uporczywie wpatrywałem się w jej usta. Te usta ją zdradzały. Twarz jej blada, aż przezroczysta, bez wyrazu była prawie, a może tylko odrętwiała? ale linia ust skrzywiczna była cierpieniem.

Nie miałem o tem najmniejszej wątpliwości.

Taka młoda...

I mając dość tego widoku, odchodziłem cichutko, aby po długiej, wyczerpującej przechadzce, usiąść tak, jak ona, na trawie, ze splecionemi na kolanach rękoma.

Jaka tam cisza na tych łączkach panowała! Na tej rozległej, zielonej przestrzeni, cały dzień pracujący kosiarze i kobiety, które skoszone siano w sterty układały, wydawali się niby wyraźne, wolno ruszające się punkciki, dla urozmaicenia pejzażu harmonijnie porozrzucane. Wpatrywałem się w niebo, raz szare i mgłami zasnutę, to lazurowe, białemi obłokami przykryte, to czyste i mocne w kolorze, niby szafir, i aż mi krzyknąć się chciało, że cierpienie to fałsz, że smutek to nonsens, że trzeba oczu nie mieć, duszy nie mieć, aby się widokowi takiej natury oprzeć. Czyż może być troska taka, aby to powietrze wonne, i to niebo jasne, i te łąki przepyszne, nie zagłuszyły jej, nie wypęły z duszy niby chwast podły? Jaktóż tutaj być i żyć jakimś dalekiem, bolącym życiem? patrzeć i nie widzieć! myśleć a nie czuć?

Achl ja-byłm tu nie umiał niczem być innem, jeno cząstką tej czystej, prostej, a tak zbawiennej natury. Wszystko inne — fałsz!

I szalona chęć mię porywała, pójść do niej, ot tak, po prostu. otworzyć jej duszę...

Nie śmiałem.

Raz widziałem ją rozmawiającą ze starym wieśniakiem, i zaciekawiony przysunąłem się tuż prawie do nich, udając, iż szukam traw jakichś po ziemi. A że byłem poza nimi, nie zwrócili więc na mnie uwagi.

Wieśniak opowiadał jej, jak tu pusto się robi, kiedy sezon się skończy i goście porozjeżdżają. Z miejscowej ludności nikt w Champex nie zimuje; przychodzą tu tylko latem kosić siano i na zarobek od letników. Potem w jesieni zwożą siano na dół, do okolicznych miasteczek, a na skoszone łąki puszczają bydło, zeszele z gór. W grudniu zima tu wielka się robi i ludziska z dobytkiem swym opuszczają na kilka zimowych miesięcy szalety swe i cabane'y, i schodzą do siedlisk, w dolinie rozłożonych. Tylko drwale czasami wybierają się tu po drzewo. W zimie zaś, po miasteczkach, mężczyźni drwa rąbią, zboże młócą — kobiety chleb na cały rok pieką, kapustę kwaszą... dzieciaki po szkołach się uczą,...

Stary wieśniak opowiadał to wolno, wsparty na grabiach, pykając z krótkiej fajeczki, a ona słuchała uważnie, a potem rzekła:

— C'est bon, la vie ici.

— On travaille — powiedział wieśniak.

Ona pokiwała główką, a mnie się zdało koniecznie, że w myśli dodała:

— Et on ne pense pas...

Podniosłem się z ziemi, i kiedy żegnała staruszka, przeszedłem tuż koło niej, unosząc kapelusz. Ręka moja drżała przy tym ruchu. Ona obojętnie spojrzała na mnie, skłoniła główką i szybko się oddaliła.

Z dziećmi, z wieśniakami przestaje chętnie—ludzi z towarzystwa unika. Nie słyszałem jej nigdy rozmawiającej u stołu, chyba jeżeli ją kto o coś zapytał. Byłem pewny, iż niechętnie styka się z ludźmi ze świata, więcem sobie teraz, w tej chwili, stanowczo powiedział: ludzie ją skrzywdzili.

I nagle, niespodzianie odkryłem w sobie wyraźny wstręt do całego świata. Począłem się wspinać na górę jakąś i jednocześnie rozmyślać, iż świat cały, to jedna obłuda, jeden konwenans. I natychmiast obrzydły mi wszystkie stosunki światowe i te ich formy; ludzie wydali mi się próżni, banalni, nieznośni, źli.

Tak. Tylko natura, tylko lud szczerzy, prosty, z duszą niebogatą może, ale czystą i świeżą.

I obejmując wzrokiem rozległą przestrzeń, przede mną rozciągniętą, marzyłem. I wtedy-to w myśli mej dojrzał plan oddania pracy

i zdolności swych ludowi temu, który tam, het! daleko, w pocie czoła przy ziemi mej żył i trudził się.

I zapachniał mi ów kął mój rodzinny, mały, może niepiękny, ale też pełen łąk i zieleni, i taki swój, taki swój własny...

Więc rozmarzony, układać swe życie jąłem, i widziałem siebie, przechadzającego się po polu, obficie zbożem okrytem; bujne kłosa do stóp mi się słaniały, a jam się nachylał, aby je usunąć i drogę dać smukłej postaci kobiecej, która u boku mego postępowała...

I znowu kształty jakieś majaczące przede mną poczęły — tylko tym razem rysowały się one znajomą mi linią.

— Cóż znowul — szeptałem.

I nie wiedziałem, czy się mam cieszyć, czy smucić.

Prowadziliśmy tu, na pensyi, tryb życia do znudzenia jednostajny. Śniadanie — spacer; obiad — spacer, lub jeżeli słońce zbyt silnie dogrzewało — siesta. Kolacya i znowu przechadzka nad jeziorem o zapadającym mroku. Wieczorem, w jadalnej sali, gry towarzyskie bardzo hałaśliwe; a w bocznym saloniku wist, lub bezik. O dziesiątej cisza zalegała na całej pensyi; tylko w kuchni snadź sprzątano i zmywano do późna, gdyż długo w noc słyszeć można było cichy brzęk szkła, układanego ostrożną ręką. Książek wcale — o ile kto nie przywiózł z sobą, dzienników wcale. Człowiek-by tu zmarniał całkiem, gdyby nie urok natury, piękność krajobrazu, balsam w powietrzu wylany. Cóż bowiem znaczył banalny obiad, lub nudna kolacya, jeżeli dowoli miało się uczt estetycznych, wyruszywszy tuż, zaraz, za mury pensyi.

... Poprostu nieraz cierpiałem fizycznie, że nie mogę u stołu widzieć swej nieznajomej. Drażniło mię to niewypowiedzianie. Chwilami tylko, kiedy opierała się o poręcz krzesła, odchyłona od stołu, widywałem jej słodki profil. Wogóle z całej jej postaci biła taka słodycz, taki wdzięk spokojny, taki ciepły urok, że m oburzenia doznawał na myśl, iż ona cierpi. Co winno to młodzieuczne dziewczę, aby dźwigać na sobie takie brzemień smutku? To zamyślenie poważne nie licuje z jej wiekiem. Ta gorycz w kącikach ust, opadających smutnie, to coś wręcz niepojętego. Dlaczego? Dlaczego? Nie straciła nikogo z drogich jej osób, bo nie była w żałobie. Więc co?

Zaciskałem pięści z gniewu. Ten jej cichy smutek drażnił mię chwilami.

Przypuszczenia moje nie myliły mię. Była Polką. Zbliżyłem się ostrożnie do Angielki, z którą ona czasem rozmawiała, i z dyplomacją niesłychaną wypytałem wszystko.

Lecz było to tak niewiele.

Dowiedziałem się, że jest moją rodaczką, że jest cierpiącą i przyjechała tu na odpoczynek.

Nieprawda. Ona nie jest chorą, albo raczej: dusza jej jest chorą. Czy ja się osmielę kiedy do niej zbliżyć?

Któregoś dnia poszedłem po kolacyi natychmiast za nią na górę. Weszła do przyległego domnie pokoju. Zrozumiałem, dlaczego sąsiad mój z prawej strony nigdy mi hałasem żadnym nie przeszkadzał, dlaczego tam tak cicho zawsze było. Nie zastanawiałem się wcale nad tem, tymczasem to ona tam była. Ona to była, i nic mi przecucie nie powiedziało, nic!

Stałem tak na środku swego pokoju i serce mi biło gwałtownie.

— No i cóż?.. Więc i cóż?..

Ruszyłem się i z hałasem świecę zapalać począłem, lecz wnet przeląknętem się tego hałasu, i cichutko usiadłszy na krześle, słuchałem.

Trochę niewyraźnego szelestu — oto wszystko.

Wreszcie się położył, ale gorączka spać mi nie dawała. Przewracałem się na łóżku, jak szalony.

Wtem z nagłem uczuciem strachu zerwałem się z pościeli.

W ciszy nocnej ktoś płakał.

Wyteżyłem słuch, zimny dreszcz przebiegł ciało moje..

W ciszy nocnej ktoś płakał.

To ona.

Cicho, urywanie, dochodziło mię rozpaczliwe jakieś łkanie. Zdało mi się, iż widzę jej postać białą, skuloną na łóżku i spazmatycznie drgającą.

Czułem, iż oddech zamiera we mnie.

To ona płacze.

Stałem tak bezradny na środku pokoju i, zda się, każda łza jej na móżg mój ołowiem spadała.

Więc, nie mogąc wytrwać w tej męce, pośpiesznie się ubrałem, i pocichutku drzwi odemkawszy, wyszedłem.

Noc była ciemna, ponura, wiatr jękliwie zawodził, a niebo czarne srebrnymi punktami nabite było, niby żalobne. Jezioro nieruchome spoczywało.

Krążyłem bezmyślnie wkoło wody.

A potem nagle rzuciłem się na ziemię, i twarz ukrywszy w dłonie, wybuchnąłem straszny płaczem...

.

Nazajutrz, po rannej kawie, wyszedłem na łączki z przyzwyczajenia poprostu, nie gnała mię bowiem chęć ujżenia jej, przeciwnie, bałem się tego spotkania.

Dzień był pochmurny. Białymi mgłami zasnutę niebo deszcz zapowiadało. Pogórach wałęsały się smugi białe, leniwie się rozplywające. Świat cały szarością był nasycony, a zieleń traw pożółkła. Szedłem drogą, codziennie niemal odbywaną, a wkoło mnie przestrzeń się zacieśniała, zamykała, lasek malał, widziałem tylko pierwsze drzew szeregi, dalsze mgłą były osłonięne, oddalone. Zdawało mi się, iż na płaszczyźnie jestem i góry zniknęły poza murem białym, gęstym, nieprzeniknionym. Tuman mię ogarnął wreszcie całkowicie i zdało mi się, że piersią rozbijam obłoki, które się przede mną rozplywały, włócząc się nisko przy trawie. Rozsypane po łączkach kamienie i sosny niby welonem się przesłoniły i w końcu nie widziałem już nic, prócz kawałka ścieżki przed sobą: dokola mnie stał żyjący, ruchomy, wzrokiem nieprzebity mur z mgły szaro-białej.

I tak mi ciężko było, jakgdyby wszystkie te mgły razem wzięte na piersiach mych legły, i jakby cała ta szarawa białość duszę mi w całun spowila — że tchu mi brakło, i czułem iż się duszę.

— Tak powstaje uczucie — powiedziałem sobie — tak jasno słońce mu przyświeca, taki się świat przed niem odkrywa...

Wiedziałem już bowiem, że ją kocham.

.

Smutne było uczucie moje, bo beznadziejne.

Nic to, że ona nawet nie wiedziała o mnie; nic to, że nie zwróciła na mnie uwagi. Ja-bym do niej jednak drogę znalazł.

Ale jak znaleźć drogę do jej serca, kiedy ono krepą okryte i smutek tam stoi na straży...

Wciąż widzę jej znąkaną postać i mam przed sobą wciąż jej smutne usta.

O! Boże!..

Obca, nieznajoma, smutna — przeszła zaledwie koło mnie, i to już wystarczyło, aby mi duszę zabrała. Ani wiem, kto ona, ani wiem, dlaczego cierpi.

Ale w tejże chwili pewność jakaś mię ogarnęła.

Miłość.

Tylko miłość taką pieczęć straszną wyciska na duszy ludzkiej. Tylko miłość tak łamie człowieka.

I wydało mi się, iż wobec tego moje uczucie jest śmieszne, głupie, bezsilne, zbyteczne. I tylko zdziwienie we mnie odezwało się wielkie: jakto? jest ktoś, co jej uczuciu się oparł, co się na sercu jej nie poznał, co się jej duszą nie zachwycił?

Gdyby ona na mnie spojrzeć raczyła, ja-bym ją kochał, już nie stale, wiernie, niepodzielnie, nad życie: to zamało; ja-bym ją czcił i rwał się do niej, jak do...

Nie mam słów, nie mam słów...

I zrozumiałem, że szczęście, to ani praca, ani spełniony obowiązek, ani nadzieja, ani nawet poświęcenie. Szczęście — to miłość.

Jakże bolesną była miłość moja...

.

Powróciłem zziębły, przemokły, gdyż na drodze powrotnej zlał mię deszcz drobny, ale gęsty i ostry. Pośpiesznie się przebrałem, i zszedłem na dół. U stołu jej nie było.

Z powstrzymywaną złością odpowiadałem na zadawane mi niedorzeczne pytania. Tak, deszcz mię zlał oczywiście na przechadzce, skoro padał. Tak, przemokłem. Tak, oczywiście, jest to nieprzyjemne. Tak, naturalnie, trzeba było się przebrać! Tak, naturalnie, uczyniłem to, skoro tu siedzę suchy i wyświeżony. Mgła? Tak, mgła, bo przecie jest wszędzie, widzicie ją sami. Tak! tak! tak!

Dlaczego jej niema.

Spaźnia się.

Zjedliśmy już zupę. Roznoszą pierwsze mięso.

— Myśli pan, że to wołowa pieczeń? Nie, to resztki wczorajszej cielęciny, zafarbowane dla koloru, — wkłada mi w ucho staruszka - Niemka.

Wzdycham.

Staruszka potakująco kiwa głową i patrzy na mnie załośnie.

Czyżby wyjechała?

Nie.

Czuję, że gdyby mi kto w tej chwili powiedział, iż faktycznie wyjechała, był-bym ryknął.

Deszcz pada. Rozpadał się. Słyszę krople wody, smagające szyby okien i chlupoczące w kałużach. Strugami leje.

— To nic! — zapewnia „krzykliwa“ — wypada się i będzie pogoda.

Tak! tak! oczywiście.

Szykowna Angielka rzuca:

— Mademoiselle ne vient pas?

Krew mię zalewa.

Nikt nic nie wie.

Usługująca panna pośpiesza z objaśnieniem:

— Mademoiselle est souffrante.

Z różnych miejsc stołu odzywają się okrzyki:

— Oh!

— Ah!

-- Vraiment!

Jedna przez drugą dopytują się stare panny, co jest młodej Polce.

One są jednak sympatyczne, te stare panny.

Któraś wybiera się odwiedzić chorą po obiedzie.

Inna zwraca się do mnie, jako do lekarza.

Usiłuję spokojnym głosem ofiarować swe usługi.

Obiad się kończy.

Czekam, pełen lodowatego chłodu, w saloniku na dole.

Ona nie chce. Nic jej nie jest, powiada wysłańczka, głowa ją trochę boli, ma bicie serca — ça passera.

Biedne, skołatane serce!

Usadowiłem się na wygodnym, trzciniowym fotelu, w kącie osamotnionej werendy, kazałem przynieść sobie mocnej kawy czarnej, wziąłem gazetę w rękę i zapaliłem cygaro.

Z werendy tej roztacza się śliczny widok na jezioro i zbiegające doń laski jodłowe, na górę zieloną, niby ścianą, do niego przylegającą, na kawał drogi, sunącej tuż nad brzegiem wody, a z drugiej strony na łączkę, obficie trawą porośłą, która aż do stóp naszego domu przybiega.

Ale w tej chwili mgła wszystko zjadła.

Szaro, szaro w okolutenko. Jezioro zda się z tej samej mgły utkane i tylko drga ustawicznie, kroplami deszczu, niby lśnięciami igłami, nakłówane. Ulewa ustała, lecz pada wciąż kapuśniaczek, rozpaczliwie ciągly i jednostajny.

Z dołu dolatują mię odgłosy gier hałaśliwych, któremi część znużonego deszczem towarzystwa się zabawia. Skądś płyną do mnie chóry fałszywie cienko śpiewających głosów kobiecych. Jest jedna, która usiłuje wyciągnąć górne fa, ale jej głosu nie starczy. Z jednej strony słyszę jakieś monotonne, patetyczne czytanie. Z drugiej docho- dzi mię niewyraźne jakieś mruczenie. Wsłuchuję się.

— Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy, cztery, pięć .. raz, dwa... raz, dwa...

— Ach! to „kraciasta“, wysoka, chuda panna, wiecznie w szko- ckie staniki ubrana, robi robótkę szydełkową. Widziałem już ją kiedyś, leżącą głośno oczka przy robocie.

Słucham dopóty, dopóki wszystkie odgłosy nie zlały się w jeden nieuchwytny ton, który już mi uszu nie drażnił.

Cicho.

Cisza. Noc zapada. Desz człchlapie za oknami. Ogień na kominku przygasa. Lampa pali się równym, białym płomieniem, ale po kątach pokoju zalegają ciemności.

Gdzie ona? Co się z nią dzieje teraz? Gdzie ona, gdzie? Czyżem ją naprawdę teraz utracił?

Szczęście przeszło koło mnie tuż, zda się, ramiona dość było po nie wyciągnąć.

Ukazało mi się, w duszy ślad niezatarty wyrzyło — i odeszło.

O! bez litości byłaś ty, bez litości, bez litości...

U stóp twych konało serce, a tyś się nie schyliła, aby je podnieść. Przeszłaś mimo obojętnie, w swoje serce jedynie zapatrzona. Nie zau- ważyłaś nawet męki mojej.

I oto smutny jestem, rozżalony i rady sobie dać nie mogę.

Gdzieś ty? Czyżem cię naprawdę utracił?

Cicho! Oto staje przede mną i rączkę zimną kładzie na mem czole. Jakże patrzył Cała dobroć świata mieści się w jej oczach.

Cicho! Ona mówi:

„Szczęście, to przypadek. Jeżeli przyjdzie, przyjm je z zachwytem, lecz jeżeli odejdzie — poddaj się. Życie bowiem, to ból i obowiązek“.

— Niel.. Gdzie idziesz? Zaczekaj — nie odchodź! Wróc się!

Co to? Ogień wygasł na kominku. Pusto. Pusto... Lampa się dopala. Jakże syczy nieznośnie!

Zmęczony jestem. Dosyć tych wspomnień. Sen się cudny przesnił — zostało życie, obowiązek, praca. Dosyć marzeń.

— Nigdy nie dosyć.

— Dosyć! wyczerpany jestem, nie chcę się dręczyć...

— Nieprawda.

— Co, nieprawda?

— Lubujesz się w twej męce...

— Niel

— Nie?..

Życie moje uczepiło się jej życia, niby pies wierny, nieodstępujący swego pana. Chwilami drżałem, aby nie spostrzeżono, iż w jej oczy tylko patrzę, iż, jak lunatyk, jej śladem tylko chodzę.

Dowiedziałem się był, iż na wycieczkę poszła, zwiedzić wąwóz Durnand, o parę godzin stąd drogi. Jużem leciał, niespokojny, czy ją spotkam.

Dzień był upalny. Niebo, z żaru wypłowiałe, omdlewało. Szedłem ścieżyną wśród łąk, obramowanych laskami. Puszysta zieleń wchłaniała złoto słoneczne i żółkła. Krople rosy zmieniły się w drogiekamienie, i migotały barwami szmaragdów, szafirów, rubinów i topazów. Góry w niebieską, spłowiałą mgłę były odziane i ginęły gdzieś w oddaleniu. Zda się, kontury wszelkie rozplywały się z gorąca, roztapiały.

Ocierałem spocone czoło i zatrzymywałem się u potoku, aby zwilżyć śpiczone gardło, lecz wnet pędziłem dalej. Śpieszyłem do niej.

Ścieżka coraz kamienistszą się stawała. w dół lecąc, nad głębokim, o zielonych stokach, parowem. Doznawałem lekkiego zawrotu głowy, patrząc w tę pogodną głębię, bo jednak tam, na dole, śmierć niechybna obrała swe siedlisko — tylko się dać pociągnąć tej ponętnej pochyłości, tylko się puścić w głąb...

Szum niewidocznego tu, ale rwącego potoku, napelniał powietrze.

Ani kawałka cienia. Oto się roztwiera dróżka szersza, ale piaszczysta, gwałtownie spadająca, po której słońce rozlało, zda się, cały swój ogień. Prędkiej, prędkiej, w dół.. Lecę. Nagły skręt, i oto stoję przed słupem, noszącym napis:

— Passage des Gorges du Durnand.

A... to w głąb tego parowu zejść trzeba.

Śpieszę. Wąziuchna ścieżyna, wśród drzew i krzewów, pokrywających ścianę wąwozu, schodzi, spiralnie się owijając wkoło góry. Ze wszystkich stron pędzą cieniutkie strużki wydobywającej się ze skały wody, rozkosznie chłodnej. Coraz niżej... coraz niżej... Gwar wody w dole coraz silniejszy. Oto huczy. Widzę już miejscami pianę białą, z drugiej strony parowu wznoszą się mokre, nagie mury skał, również poprzerzynane lśniącymi strużkami wody. Początek wąwozu. Z kamienistego łożyska leci piana biała, i co krok przybi-*ra* niewidocznymi dopływami. U boku skały uczepiony jest drewniany pomost, miejscami przerzucający się na drugą stronę wąwozu. To w dół, to w górę wznoszą się wraz z pomostem, który pod krokami memi drży. Gromada wód wezbrana wspina się do góry, i szeroką kaskadą spada w wydrążone w dole łożysko, a ze wszech stron śpieszą, by wraz z nią spaść, drobne smugi pianiste. Oto się spieniły wszystkie smugi w dole, w kotlinie, i kręcą się, jak szalone, szukając wyjścia. Wreszcie poprzez środku olbrzymich głazów przepływają, padając niżej, niżej, a ponad niemi leci znowu potężna kaskada, okrywając wszystkie wody, niby płaszczem rozpostartym, leci z hukiem, wrzaskiem, otoczona rojem tęcz krótkich, niknących i znowu w pyłe wodnym się rodzących. I niżej znowu to samo, i jeszcze raz, i jeszcze raz, a zawsze różne, a każde piętro odmienne, i oto w dole znowu się dziura olbrzymia zrobiła, i kottują się w niej wody, niby w bezmiernym garnku.

Staję oszołomiony, ogłuszony, magiczną siłą przykuty do miejsca. Słońce pada prościutko w parów i bawi się tęczami. Na wierzchach skał parowu chwieją się drzewa rzadkie i bujają rośliny, rosą okryte, mokre, a prą się do nich z wąwozu aksamitne mchy o tonie głębokim, i niebiesciutkie kielichy jakiegoś smukłego, delikatnego kwiecia.

Cały parów w zakrętach ciągłych wije się w dal, i kiedy z niższego wydobywam się na wyższe piętro, nagle widzę ją przed sobą, na mostku, nad kaskadą rzuconym, stojącą.

Pochylona jest mocno nad poręczą, zda się, zasluchana, i całym ciałem ciężąca ku wodom, huczącym w głębi.

Zbliżam się. Odgłos mych kroków tonie w gwarze wodnym, i oto widzę jej zbladłą twarz i rozszerzone źrenice, nieprzytomnie w wodę utkwione. Ręce jej, oparte na poręczy, drżą ..

Jednym skokiem znalazłem się przy niej, i uchwyciłem ją gwałtownie za ramię.

Ona odwróciła głowę, i zasnutymi źrenicami patrzyła nieprzytomnie na mnie.

Zdjąłem jej odrętwiałe dłonie z poręczy mostu, i sprowadziłem ją na przytuloną do skały ławeczkę.

Począłem rozcierać te chłodne, sztywne, zdrętwiałe ręce, a ona przymknęła oczy, i zaraz potem lży perliste toczyć się jej po jej bladej twarzy, zrazu powoli, jedna za drugą, potem prędeej, prędeej.. Siedziała przytem cichutko, bez słowa, nieprzytomna jeszcze, i czułem jej chłodne dłonie, drżące w moich rękach.

A woda tak huczała, iż zdawało mi się, że i ja zmysły tracę...

Potem otworzyła ociężałe powieki, leciutko wysunęła ręce z mych dłoni.

— Dziękuję panu.

Milczałem.

Ona powoli podniosła się z ławki.

Zerwałem się gwałtownie.

— Niech pani jeszcze nie odchodzi... jeszcze pani nie przyszła do siebie... ja jestem lekarzem.

Ona usiadła, i podnosząc na mnie spokojne oczy, rzekła:

— To prawda. Jeszcze mi tręszkę niedobrze.

Milczałem.

Nie mogłem tak siedzieć koło niej. Zdawało mi się, iż się duszę. Wstałem i podstawiłem kubek do przezroczywej strugi wody, która obok nas po skale ciekła. Spływała wolno, kropla po kropli prawie. Wiek upłynął, zanim szklanka się napełniła po brzegi.

— Proszę, niech pani wody się napije.

— Dziękuję.

Zanurzyła swe blade usta w wodzie.

Stałem przed nią, patrząc na jej pijące, blade usta.

Oddała mi szklankę i uśmiechnęła się do mnie łagodnie.

Przycisnąłem dłońmi gardło, bo zdało mi się, iż jakiś głos straszny we mnie się podnosi.

Ona mówiła:

— Nie wiedziałam, iż widok tej wody takie na mnie zrobi wrażenie...

Zmieszała się lekko, a potem spojrzała na mnie.

-- Dziękuję bardzo panu.

Ukloniłem się w milczeniu.

A ona wyciągnęła do mnie rękę.

W oczach mi pociemniało. Zdawało mi się, że nie wytrzymam, że na kolana przed nią upadnę, że do stóp jej ustami przylgnę...

Uściśnąłem chłodne jej paluszki i powstałem, aby nie widziała mego spojrzenia. Oparłem się o poręcz pomostu i szła swój topilem w tym szale, który wrzał na dole.

Ona siedziała milcząca na ławce.

Wreszcie rzekła:

— Hałas ten mię ogłusza. Już pójdę.

— Pani pozwoli, iż ją na drogę wyprowadzę.

— Już mi zupełnie dobrze.

— Parów jest stromy... pani jest osłabiona i może dostać zawrotu głowy...

Ona zmarszczyła brwi.

— Proszę, niech pani nie odmawia.

Więc rzekła łagodnie:

— Owszem, jeżeli pan łaskaw.

Szła powoli, ciężko, i wstępując na schodki, zatrzymywała się raz po raz.

— Męczy to panią?

— Troszkę.

Powoli wyszliśmy z wąwozu, a ona, wyczerpana, usiadła na kamieniu przy drodze.

Tysiące pytań tłoczyło mi się na usta. Nie śmiałem wypowiedzieć żadnego. Szliśmy, tak milcząc, pod górę, po piaszczystej, uciążliwej drodze. Wreszcie dobrnęliśmy do łąk. Była to chwila, kiedy czuć, iż niebawem słońce umierać pocznie. Ciemniały trawy, cienie się kładły płatami dużemi, promienie słońca bielsze i słabsze się robiły, niebo nabierało głębszego koloru i słońce na niem srebrną już tylko świeciło tarczą. Po świetle szedł chłodny wietrzyk.

Ona zatrzymała się i szepnęła:

— Cudnie...

-- Życie może być snem cudnym, — szepnąłem mimowoli.

— O! i jakim cudnym.

Spojrzałem na nią. Stała zapatrzona i jakaś daleka ode mnie. Czulem, że w tej chwili nie do mnie mówi, lecz do swych myśli. A jam tak się jej czuł blizki, iż znowu szepnąłem:

— We dwoje...

— Szczęście może być, i może być wielkie.

— Przyjdzie i dla pani.

— Już odeszło.

— Ileż pani ma lat? — powiedziałem gwałtownie.

Ona pokiwała główką, uśmiechnęła się gorzko i z cicha odrzekła:

— Życie nie na lata się liczy, ale na przeżyte chwile.

Nie patrzyła na mnie. Poszła dalej wolno. A mnie wszystka krew zbiegła do serca i zawołałem namiętnie:

— Kto panią skrzywdził?

— Nie! nie! nikt mnie nie skrzywdził...

Ale zaraz uspokoiła się i powiedziała zcicha, jakby do siebie tylko mówiła:

— Szczęście, to tylko przypadek. Należy je przyjąć z zachwytem, jeżeli przyjdzie; lecz gdy odejdzie, nie złorzeczyć — poddać się. Życie bowiem, to ból i obowiązek.

A mnie wściekłość zdjęła:

— Nieprawda! fałsz! — krzyknąłem.

Ona przesunęła dłoń po czole, jakby wracała do przytomności, i niespokojnie na mnie spojrzała. Rumieniec przeleciał po jej bladej twarzy, potem szybko pod górę poszła dalej. A gdyśmy się zbliżyli do domu, ona podziękowała mi raz jeszcze uprzejmie, i zniknęła mi z oczu w słabo oświetlonym korytarzu, prowadzącym na piętro.

Nazajutrz pierwsza podeszła do mnie.

— Tylem panu kłopotu narobiła wczoraj, — rzekła, uśmiechając się łagodnie — doprawdy, nie wiem, jak panu wyrazić swoją wdzięczność...

— Pani podlega zawrotom głowy, na przyszłość trzeba się z tem liczyć.

Zdawało mi się, że lekceważąco się uśmiechnęła, lecz w mgnieniu oka wyraz jej twarzy zmienił się, i w tonie jej głosu, niezmiernie miękkiego, zabrzmiała dziwna rzewność, kiedy powiedziała:

— Oto matka moja była-by niespokojną, gdyby przeczuwała, jak się tu narażać mogę...

— A widzi pani! — zawołałem gorąco.

Ona spojrzała na mnie serdecznie.

— Jaki z pana dobry syn.

— Sierota jestem od młodych lat.

— Żałuję pana. Ja mam matkę.

— Tylko?

— Tak. Ją jedną mam, ale ja dla niej całym światem.

Zrozumiałem, dlaczego dziękowała mi, iżem ją od śmierci uratował. O barbarzyński, ciemny losie!

Chciałem przemówić jeszcze coś do niej, ale ona właśnie skinęła mi główką i odeszła.

Stałem chwil kilka, patrząc na jej niknącą w dali postać, potem nagle ruszyłem się, aby ją dogonić, ale nie starczyło mi śmiałości, więc zły sam na siebie, zawróciłem i począłem gwałtownie piąć się pod górę, aby się ze złości swej wysapać.

— Co za idyotyzm, być tak niedołęznym i nieśmiałym, jak nowonarodzony bęben! Przecież cię nie zje. Podejść do niej się boisz, co? Kolana ci się uginają, co? Ślina w ustach zasycha, co? Idyota!

— Aha! idyota... niby to tak łatwo...

— A dlaczego nie łatwo? Cóż to, bogini? Królowa? Święta? Sama przemawia do ciebie, zaczepia...

— Cicho, podły!

— A jakże... cha... cha... cha...

— Ona i uwagi na ciebie nie zwraca.

Tak, najmniejszej. Tylem dla niej, co ten kamień przy drodze, co ten oto piasek, który nogami deptę, co ta trawka, którą w mych dłoniach zmiąłem. Nie, nie. A przecie chodzi ona z bólem w duszy i ból ten przez kogoś zadany, co na nią uwagi nie zwrócił.

Tak, królowo. Otoś ty dla niego tyle, co ów kamień przy drodze, co ta oto trawa zmięta, stratowana. Niczem dla niego jesteś, bogini moja, pani moja, niczem...

— A tobie co z tego? lżej?

— A lżej.

— Nieprawda.

— A nieprawda! nieprawda! nieprawda!

Z jękiem rzuciłem się na ziemię i, dalej bijąc się z myślami memi, — cierpiałem.

Pogoda psuć się zaczęła. Coraz mniej miałem sposobności widzieć się z nią, rozmawiać. Zamieniałem z nią słów parę przy obiedzie i kolacyi, i rozchodziliśmy się, każde do swego pokoju. Jej smutek dziwnie mą duszę przytłaczał. Traciłem energię, wolę, śmiałość. Nie mogłem się zdobyć na żaden krok naprzód, gdyż z góry wydawał mi się on niepotrzebny, niezdatny, natrętny. Oczekiwałem czegoś, byłem dziwnie zdenerwowany, zdawało mi się, że się coś stać powinno i że ja temu biernie tylko przypatrywać się mogę.

Ruch był na pensyonie; widywałem coraz częściej nowe twarze wkoło siebie. Irrytowały mię te banalne, obojętne lub ciekawe spojrzenia, jakie na mnie rzucano; w uszach mi tętniało od tych nieznośnych, wesołych rozmów i śmiechów. Jakże ci ludzie bezmyślnie się śmieją. Nerwowo u stołu podsuwałem i odbierałem półmiski, bojąc się, aby kto z tych nieznośnych ludzi do mnie nie przemówił. Po co te twarze nieznanne, byle jakie, wkoło mnie.

Ach! co za życie, co za życie...

Noc głucha. Słyszę pierwsze pianie kogutów, lecz ciemność jeszcze wszędzie zalega. Ogień już dawno wymarł na kominku. Lampa dogorywa i zaczyna skwierczeć nieznośnie.

Nieprzyjemnie. Straszno.

Czy to mi się teraz w roznamiętnionej wyobraźni wydaje, czym ja naprawdę kochał tę smutną dziewczynkę?

W każdym razie, teraz dopiero jasno rozumiem, iż ją pokochać mogłem na śmierć i życie, że wraz z nią odeszło szczęście moje, a została dziwna tęsknota i melancholia — coś niby bolesne westchnienie duszy.

Bolesne, a jednak pełne czaru i słodczy...

Skończone? Niema jej? Nagle, raptownie...

I nie wiem, gdzie jej szukać, i nie wiem, co się z nią dzieje. Ani skąd przyszła, ani dokąd poszła...

Kiedy wróciłem pewnego dnia z dłuższej przechadzki, gospodyni pensyi podeszła do mnie z uśmiechem uprzejmym:

— Des adieux pour vous, monsieur.

— Pożegnanie?

— Tak, rodaczka pańska wyjechała przed paru godzinami, i kazała mi...

— Co!

— Otrzymała list jakiś naglący... wszyscy tu bardzo żałujemy...

Gospodyni stała przede mną, słodko się uśmiechając, a widząc, iż nie mam zamiaru jej odpowiadać, odeszła, spojrzawszy na mnie lekko zdziwionemi oczyma.

Chłodny, spokojny, albowiem wszystkie czucia i myśli zamarły we mnie, wyszedłem na ganek i machinalnie poszedłem na wzgórze, wprost naszego domu się wznoszące. Noc zapadała, choć jeszcze morze ognia rozlane było po śnieżnych stokach w oddali widniejących gór. Ale całe bogactwo kolorów niezdolne było ożywić mego zmartwiałego wzroku. Usiadłszy na kamieniu, utkwilem oczy w rozciągniętą przede mną taflę połyskliwego jeziora, i przyglądałem się jej długo w noc, zupełnie machinalnie, bezmyślnie.

I oto jestem sam.

AL. SUSZCZYŃSKA.

Kosmos i jego budowa

w pojęciach ludów pierwotnych.¹⁾

Daleki dziki przodek siedzi w każdej komórce mózgu naszego. Nie wiedząc o tem, hołdujemy jego poglądom na przyrodę, postępujemy według jego zasad, wyznajemy jego filozofię. Czyny życia naszego są przetykane niemi odległej przeszłości, przystosowały się tam i odmienną swoją barwą nie psują wrażenia harmonii tylko dlatego, że nasze oko utraciło ostrość swoją i największa niedorzeczność nas nie oburza, skoro do niej przyzwyczailiśmy się od dzieciństwa. Spowijamy rączęta niemowląt, nieświadomi tego, że pielęgnujemy spuściznę po czasach, w których prababka nasza w setnym pokoleniu przyczepiała dziecko w ten sposób do grzbietu swego; używamy w rozmowie wyrażen „przyszedł do siebie“, „do grobowej deski“, „przeczytał książkę od deski do deski“, acz są one dla nas niezrozumiałe i utraciliśmy czucie tego, co tkwi w takich zwrotach; w tyle u surdutów nosimy guziki, których przeznaczenia wytłomaczyć nie umiemy, chociaż są powody, dla czego one tam się usadowiły. Robimy to wszystko, bo ośmy zostali tak wychowani: nauczono nas nosić bezużyteczne guziki i używać niezrozumiałych wyrażen, niby znaków algebraicznych. Ale oko, które wyćwiczyło się przy studiach nad zwyczajami, właściwemi pierwot-

¹⁾ Ustęp z większej całości, poświęcone dziejom filozofii pierwotnej.

niejszym okresie więzi społecznej, zaczyna w tej krainie życia codziennego rozbierać nici pojedyncze. Analiza taka bywa niekiedy dość łatwą, częściej jednak bardzo trudną. Są działy życia, tak uporczywie kryjące pochodzenie swoje, iż nawet badacz gotów ludzić się niedorzecznem mniemaniem, jakoby nie miały one początku, t. j. nie posiadały zwartej a logicznego rodowodu: nitka pozornie rwie się w każdym pokoleniu i na nowo zostaje nawiązywaną, dany objaw, jak drugi feniks, wciąż odradza się z własnych popiołów, lecz bez faktycznej ciągłości.

Do jednego właśnie z takich zakątków zajrzemy obecnie, idąc za tym kagankiem światła, który wnieśli do nauki uczeni agenci fundacji Smithsonskiej, w taki wydajny sposób prowadzący dzieło, rozpoczęte przez ziomka śwego, L. Morgana. Mamy na myśli symbolikę liczb i barw, oraz pierwotne poglądy na budowę kosmosu.

I.

Dotychczasowe tłumaczenia rodowodu liczb świętych.—Prace Amerykanów.—
Poczwórna budowa wszechświata u Czeroków, siedmioraka u Zuńczyków.—
Ustrój mito-socyologiczny.—Trójka Aryjczyków.—Liczby
zasadnicze i pochodne.—Filozofia Pytagorasa.

Jedno z zaklęć Łotyszów brzmi: ¹⁾

„Trzech mężczyzn idzie po morzu, wszyscy mają w ręku różę (choroba). Wszystkie one upadły do morza, utonęły, zniknęły, rozsły się, spadły na dno—czerwone, białe, błękitne. W morzu przebywa trzech po dziewięć kowali, jest trzy po dziewięć młotów, trzy po dziewięć kowadel. Tam je okują, tam je zamordują, tam je rozniosą trzema po dziewięć mieczami“.

U ludu naszego, jeśli ktoś ma łuszczkę na oku, trzeba zażegnawać ją trzy razy ²⁾:

„Święta Kasylda trzy córeczki miała,
Jedna swacka,

¹⁾ Treilandt: *Materiały po etnografii łotysskiego plemienia*, Moskwa 1881 str. 130.

²⁾ St. Ciszowski. *Lud rolniczo-górnicy z okolic Sławkowa*, Kraków 205.

Druga praczka,
Trzecia nic nie robiła
Ino łuscke żegnała,
Żeby oka nie popsuła,
Kości nie połamała“.

Powtórzywszy zaś to zażegnanie trzy razy, należy zmówić następnie trzy zdrowaśki. Przeciw jęczmieniowi zaś trzeba wziąć ziarnko jęczmieńne i przytknąwszy je do oka mówić trzy razy: zjedz jęczmieniu jęczmień. Trójka, lub trójka w połączeniu z dziewiątką powtarzają się niejednokrotnie w przesądach naszego ludu. Dla wyleczenia suchot (mających „dziewięć wierchołków“) idą z wodą na cmenta rz wrzucają tam do niej trzy grudki ziemi i robią kąpiel, wyjąwszy zaś dziecko z wody, wylizują mu oko do trzeciego razu itd. ¹⁾.

W powyższych zaklęciach pewnym liczbom, w danym razie trójce i dziewiątce, oraz ich połączeniu: trzem, dziewięć razy powtórzonym, nadano osobliwy, że tak rzekniemy, święty charakter. Lud nasz wierzy, że urok, gdyby go nie trzy, lecz dwa lub pięć razy odczyniano, nie został-by usunięty, obrzęd zaś nie wydał-by żadnego skutku. Słowem, nie są to bynajmniej cyfry konwencyonalne, które można było-by zastąpić dowolnie przez inne, lecz bardzo istotne i doniosłe pierwiastki dokonywanej ceremonii, od których powodzenie tej ostatniej zależy w zupełności. Utracono przecież poczucie przyczyny, która sprawiła, że zaklęcie ma być trzykrotnie powtórzone. Znachor, zapytany o pobudki postępowania, odpowiedziałby tylko tyle, że tak być powinno; poważa on pewne liczby, jako normę obrzędową, lecz one same stały się symbolami, którym wbywa na charakterze racjonalnym, t. j. zrozumiałym. Ale w jakikolwiek sposób będziemy pojmowali stosowanie takich cyfr, jedno jest niewątpliwem, mianowicie, że stanowią one przedmiot, zasługujący na uwagę i nasuwający na myśl pytanie, jaką drogą lud doszedł do poważania pewnej liczby. Kwestya ta oddawna zaciekaowała folklorystów, chociaż nie umieli wytłómaczyć pochodzenia trójek, dziewiątek i innych liczb, występujących w praktyce znachorskiej lub w klechdach. Podawane wyjaśnienia obracały się w zaczarowanym kółku wywodów, które innemi tylko wyrazami powtarzały w ostatecznym wyniku to, co tkwiło już w założeniu i oczekiwało zbadania: pewna liczba jest symbolem, ponieważ jest świętą, jest zaś świętą, bo jest symbolem. W tych próbach odcyfrowania zagadki by-

¹⁾ Ciszewski, *ib.* 205, por. użycie trójki przy odczynianiu uroków, Gluziński u Kolberga, *Lud.* XVII, str. 113. Użycie czwórki, *Ciszewski*, *l. c.* 186.

ło pełno napomknień o mistycyzmie pierwotnym, o świętości symbolów, lecz brakło najistotniejszego jądra, mianowicie poczucia, że wszelka taka rzecz, bądź, co bądź, musi, przy powstawaniu swoim, być czemś żywym i zrozumiałem, że jeśli trójka lub siódemka stały się tylko symbolami, to jedynie dlatego, że w rozwoju dziejowym grunt, z którego wyrosły, zniknął. Dopiero studia porównawcze nad poglądami ludów pierwotnych (w gruncie rzeczy tylko czerwonoskórców Ameryki Północnej, bo nauka nie posiada systematycznego a zwartego materiału, pochodzącego skądinąd) zaczęły rozpraszać mrok tajemniczości, spoczywających nad świętymi liczbami. I widok zgoła nie spodziewany ukazał się oczom badacza. Ujrzał on, że liczby symboliczne są podstawą całego systemu filozofii i streszczeniem zapatrywań na budowę wszechświata, że zwroty w naszych klechdach: „za dziewięciu rzekami, za dziewięciu górami“, są szczątkiem poglądów praojców naszych na topografię świata, i że łotyskie trzy kowadła, i trzy młoty, i trzech mężczyzn, wziętych po razy dziewięć, stanowią modłę, według której umysł pierwotny rozmieszczał siły sprawcze w przestrzeni.

Co do tego, najlepiej poznano poglądy Czeroków, plemienia indyjskiego, od lat wielu tak systematycznie badanego przez J. Mooneya, jednego z uczonych agentów Biura etnograficznego w Waszyngtonie, oraz Zuńczyków, ludu, który liczy obecnie tylko 1700 głów, ale który, dzięki poszukiwaniom F. Hamiltona Cushinga, pozostanie na zawsze na stronicach nauki etnograficznej, tak samo, jak Morgan uniesmiertelnił Iroków oraz ich organizację społeczną. Badania te posłużą nam za punkt wyjścia, koło którego rozłożymy fakta, gdzieindziej zebrane.

Zasadniczą liczbą świętą filozofii Czeroków jest czwórka,

Czerokowie nie otrząsnęli się jeszcze z poglądów zooteistycznych, uważających zwierzęta—na danym szczeblu rozwoju nie rzeczywiste, tylko mistyczne, nadprzyrodzone—za siły sprawcze, zsyłające na ludzi choroby lub pomyślność, wiatry lub burze. Jelenie nadprzyrodzone np. zsyłają reumatyzm, robaki—ból zębów. Gromoptaki są panami burz, żółwie mają władzę nad wodami i mgłami. Każda z tych sił sprawczych bywa reprezentowaną przez czterech braci lub cztery siostry, albo przez cztery pary małżonków; pojedynczy członek takiej czwórki jest pewnej szczególnej barwy, odpowiadającej tej okolicy nieba, w której zamieszkał: gromoptak czerwony rządzi burzami na południu, czarny zsyła huragany od północy, biały od wschodu, zielony od zachodu, tak samo jak u Łotyszów istnieją róże trzech kolorów: błękitne, białe, czerwone. Słowem, czwórka jest liczbą, przedstawiającą, jak Czerokowie zapatrują się na budowę kosmosu—struktura ta składa się z czterech tej samej wartości działów i w każdym z pośród

nich znajduje się ognisko jednej z czterech postaci, właściwych wszelkiej sile sprawczej, czy to zsyłającej choroby lub klęski przyrządzone. Używając jej, członek tego plemienia wie doskonale, co robi: czwórka owa w jego zaklęciach nie jest pospolitą liczbą konwencyonalną, której pochodzenia znachor nie rozumie, ale istotną, składową częścią obrzędu; bo, pojmując każdą siłę sprawczą, dodatnią i ujemną, jako umiejscowioną w czterech punktach, zaklinacz musi pozyskać jej działanie lub je usunąć tyłuż zwrotami. Dzięki temu liczba ta otrzymuje osobliwe znaczenie, tylko ona przedstawia całość i harmonię kosmosu. Prawdopodobnie z tego powodu u ludów ligi irokieskiej wyraz „cztery“ oznaczał: rzecz doskonałą, zupełną, prawą ¹⁾. To też każde zaklęcie, każde odczynianie uroków i zbieranie ziół, wszelka ceremonia religijna zawiera u Czeroków cztery części, jak tego wymaga poczówność budowy kosmosu oraz rozmieszczenia w nim sił sprawczych: potęg nadprzyrodzonych i opiekunów nadziemskich. „Zwykle formuły,—pisze J. Mooney ²⁾—składają się z czterech zwrotek, odpowiadających czterokrotnemu zaklinaniu choroby. Czwórka wśród Czeroków jest liczbą świętą, powtarzającą się w każdym szczególe obrzędu: wzywają oni czterech duchów w czterech modłach, dmuchają cztery razy, robią odwar z czterech traw, dawanie lekarstwa powtarza się cztery razy, znachor pości w ciągu czterech dni“ ³⁾. Szaman np. poszukując ziół leczniczych ⁴⁾, powinien zbliżyć się do upatrzonej rośliny od pewnej strony i obejść ją dookoła raz jeden lub cztery; w niektórych przypadkach musi on pominąć pierwsze trzy rośliny i dopiero, wyrwawszy czwartą, powrócić do nich. Nie będziemy mnożyli przykładów postępowania, właściwego Czerokom, tem bardziej, że mówiąc o symbolice świętych barw, powrócimy do tego przedmiotu; nie zamierzamy też poddawać rozbiorowi rozpowszechnienia takiego użycia czwórki. Zatrzymamy się tylko nad jednym szeregiem faktów, posiadającym równoznacznik pewien w zwyczajach ludu europejskiego. Ludy rolnicze Ameryki wierzą w istnienie czterech stróżów-opiekunów, ochraniających pola i wioski od nieszczęść,—wierzenie, będące w związku z mniemaniem, pospolitem u wielu plemion

¹⁾ *American Antropologist*, tom II str. 166.

²⁾ Mooney *Sacred formulas of Cherokees*, Annual Report of Bureau of Ethnology, 1885/86 r. str. 346.

³⁾ J. Mooney, *l. c.* 339.

⁴⁾ Są prace w tym kierunku, np. A. W. Buckland'a *Four as a Sacred number* (*Journal of Anthr. Institute XXV*). Schultz-Sellach, *die amer. Götter der vier Waltrichtung* (*Zeits. für Ethnogr. etc.* 1879).

ładu amerykańskiego, że na straży wiatrów i burz są cztery istoty ¹⁾. W Yukatanie ²⁾ np., balamowie, nadprzyrodzone duchy, w postaci tygrysiej i w zgrzybiałym wieku, opiekują się siołami. Jeden stoi na straży dobrobytu wioski od północy, drugi od wschodu, trzeci od południa, czwarty od zachodu. Podczas dnia są niewidzialni, a jeśli ktoś ich ujrzy w tej porze, ukazanie się to wróży nieszczęście; nocą zaś czuwają, ochraniając sioło od takich klęsk, jak deszcze, trąby powietrzne, choroby zakaźne; zawiadamiają one siebie nawzajem głośnym, wrzaskliwym krzykiem, a chociaż są bez skrzydeł, latają jak ptactwo. Niekiedy staczają rozpaczliwe walki ze złymi duchami; ślady tych harców można znaleźć, gdy dzień nastąpi, w połamanych drzewach, posypanej ziemi itd. Obok nich istnieją tam inni opiekunowie pól, Pahaptanowie, których obowiązki w miarę rozpowszechniania się chrześcijaństwa są przenoszone na świętych kościoła katolickiego. „Podczas święta pól kapłan kropi cztery strony świata, wzywając trzy osoby Trójcy świętej oraz świętą czwórkę ich dawnej religii, Pahaptanów. Ci ostatni są identyczni z wiatrami i w wyobrażeniu gminu pozostali do dnia dzisiejszego bogami deszczu i, co za tem idzie, urodzajów. Każdemu poświęcono pewną barwę, obecnie zaś każdego utożsamiono z którymś ze świętych. Czerwonego Pahaptana pomieszczono na Wschodzie, jako św. Dominika; białego—na Północy, jest to św. Gabriel; czarnego—na Zachodzie, będzie to św. Jakób, żółtego na Południu—miejsce żółtej bogini zajęła św. Marya Magdalena ³⁾. Podobnego rodzaju zwyczaje spotykamy i w Europie: włościanie gub. Archańskiejskiej pieką niewielkie bochenki chleba i podczas siejby kładą je w każdym z czterech rogów pola ⁴⁾. Praktyki pogańskie częściowo wsiąkły w obchód pól wiejskich podczas uroczystości Bożego Ciała.

Poglądy Zuńczyków na budowę wszechświata dostarczają jeszcze lepszego klucza do odcyfrowania założeń prastarej filozofii i ich związku z życiem codziennem człowieka i z ustrojem więzi społecznej. Może to wypływa z osiadłego trybu tego plemienia, który zmusza je do rozbicia spostrzeżeń nad zjawiskami meteorologicznymi i astronomicznymi

¹⁾ U Nawajów cztery łabędzie w czterech rogach nieba rządzą wiatrami (Annual Report of the Bureau of Ethn. 1880/1, str. 281). U Dakotów są cztery wiatry i cztery pary gromoptaków (S. Riggs *the Gospel among the Dakotas*, Boston 1869, str. 65 62-64), to samo u Kakhicquelów (Brinton *the Annals of the Cakchiquel* Filadelfia 1885, str. 45), i t. d.

²⁾ D. P. Brinton *the Folklore of the Yucatan (w Essays of an Americanist*, Filadelfia 1890 str. 172—3).

³⁾ Brinton *Folklore of Yucatan*, l. c. str. 166.

⁴⁾ Efimienko.

i przyczynił się do drobiazgowego opracowania pojęć o kosmosie, a może zbadano ten niewielki szczepek dokładniej i odkryto tam poglądy, których gdzieindziej nie znaleziono, z braku odpowiednich studyów. Pojmowanie wszechświata jako całości siedmiorakiej jest podstawą filozofii kosmicznej Zuńczyków. Prócz zwykłych czterech stron świata przyjmują oni jeszcze dół i górę, oraz środek, i układają je w pewien szereg hierarchiczny. Północ przedstawia najprzedniejszą okolice świata, po niej idzie Zachód, jej brat młodszy, dalej Południe i Wschód: Góra jest młodszym bratem Zachodu, Dół—wszystkich stron, Środek zaś istotą reprezentacyjną, „matką świata“, „sercem“ i „pępkiem“ wszystkich braci, pierwszym i ostatnim, najstarszym i najmłodszym z pośród braci. O ile można wnioskować z danych, nie zawsze wyczerpujących ¹⁾, taka siedmioraka budowa kosmosu ujawnia się zdaniem Zuńczyków w strukturze każdego tworu: np. u zwierzęcia prawa przednia noga odpowiada północy, lewa zachodowi, tylna prawa południowi, lewa wschodowi, łeb górze, ogon dołowi, a pępek lub serce środkowi. Zuńczycy posiadali dawniej siedm pueblów (grodów), które liczbą swoją reprezentowały tyleż stron świata i były rozmieszczone stosownie; według tej samej zasady zbudowaną jest osada, jedyna, jaką lud ten, podupadły skutkiem najazdu białych, zamieszkuje. Wreszcie i budowę więzi społecznej oparto na zasadzie siedmiokrotności Plemię rozpada się na 19 rodów, które uszeregowano w siedem fratrii przychem umysł ludzki w społecznej robocie konstrukcyjnej wyszedł ze związku istniejącego pomiędzy totemami rodów a odpowiednimi częściami świata. Do działu (fratrii) północnego należą np. rody żorawia, jarzabka i ostrokrzewu: żorawia dlatego, że ptak ten pojawia się w kraju Zuńczyków jesienią i pozostaje tam w ciągu zimy; jarzabka, ponieważ stworzenie to nie obawia się śniegów i mrozów i podczas zimy, tak samo jak w lecie, przeskakuje wesoło z gałązki na gałązkę, jak inne ptactwo wiosną; ostrokrzewu zaś, bo drzewo to w porze zimowej zachowuje zieloność swoją. Zwierzęta te i rośliny są panami zimy, chłódów i północy. Fratria południowa składa się z rodów tytuniowego, borsuczego i kukurydzowego: borsuk kopie nory swoje na południowej spadzistości gór i zimą wychodzi stamtąd na powietrze tylko wtedy, gdy słońce przygrzewa, oraz żywi się korzonkami drzew, służących do tarcia ognia; tytuń w stanie dzikim rośnie tylko na pogorzeli; kukurydza zaś pochodzi z południa. Dwa te przykłady dają

¹⁾ Głównie na podstawie pracy F. H. Cushinga *Zuni credition myths* w *Annual of the burean of Ethn.* 1891/2; dane tam znajdujące się uzupełniamy z innych prac tego samego autora.

nam dostateczne pojęcie, w jaki sposób Zuńczyk ukłasyfikował najniższe ogniwa swej więzi społecznej według stron świata. Klasyfikacya ta zaś nie jest tylko pospolitą naśladownicztwem budowy kosmosu przez społeczeństwo, ani, że tak się wyrazimy, społecznym ćwiczeniem myśli filozoficznej, lecz wiąże się w sposób możliwie zwarty, a rozległy, ze wszystkimi czynnościami życia gromadnego. Wyszczególnione działy społeczne, może niesłusznie zwane fratrjami, kierują uroczystościami plemiennymi, każdy w odpowiedniej porze roku i stosownie do roli, przypisywanej każdej okolicy świata. Północ uchodzi za siedzibę gwałtownego wiatru, powietrza i zimy, stamtąd przybywa zniszczenie, wojna jest także połączona z tą częścią nieba. Z Zachodu płyną łagodne wiatry wiosenne, pod których ciepłym tchnieniem śniegi topnieją i zima ustaje, zieloność zaś i życie się pojawiają; polowanie i sztuka lekarska są w związku z tą okolicą. Południe zsyła gorąco i posuchę, ogień i lato, pod działaniem jego żywiołów dojrzewa zboże, — czary „domu medycyny“ także zależą od południa. Itd. Każda więc fratrja obejmuje kierownictwo nad obrzędami religijnymi, oraz zborami i obradami plemiennymi we właściwej porze: północna podczas zimy, południowa — z nastaniem lata. Niema tam ani jednej ceremonii, w której-by fratrja, z nią zaś ród, nie miał z góry wyznaczonego miejsca, na podstawie związku swego z tą lub inną stroną nieba, z tym lub innym żywiołem przyrody. Obok organizacyi politycznej istnieje jeszcze ezoteryczna: towarzystwa mistyczne, zorganizowane dla odczyniania uroków, leczenia, wyjednywania pomyślności, wszystkie tak samo związane z siedmioraką budową świata

Słowem, społeczeństwo ludzkie, hierarchia rządu, organizacye religijne, budowa mieszkań, ustrój zwierzęcia, wreszcie kształty całego kosmosu i rozmieszczenie w nim nadprzyrodzonych potęg sprawczych spoczywają na tej samej zasadzie. Plemię ludzkie jest tylko częścią wszechświata, zorganizowaną według jego wzorów, „organizacyą mitsologiczną“. „Organizacya ta — powiada Cushing ¹⁾ — zawiera systemy w systemach, wszystkie oparte na tej samej zasadzie klasyfikacyjnej — poszóstnej, zgodnie z poszóstnym podziałem rzeczy i w dalszym ciągu z poszóstnym podziałem każdego z tych podziałów. Ta dążność klasyfikowania wszystkiego według liczby sześciu części świata z siódmą syntezą całości (nieraz widoczną, niekiedy ukrytą) jest tak dalece posunięta, że nietylko podziały towarzystw ezoterycznych są uszeregowane na tej zasadzie, lecz każdy klan rozpada się poszóstnie. Dział plemienny, ułożony z klanów północy, przewodnicząc w obrzędach,

¹⁾ *Zuni Creation Myths* (Ann. Report of the bureau of Ethn. 1891/2, str. 371/2).

zajmuje tam stanowisko starszego brata, lub najstarszego z przodków, odpowiednio do warunków. Zachód jest jego bratem młodszym, Południe--Zachodu, Wschód--Południa, górny świat--Wschodu Dół--wszystkich, Środek zaś istotą reprezentacyjną, sercem lub pępkiem wszystkich braci, pierwszym i ostatnim, najstarszym i najmłodszym. W każdym klanie istnieje pewna liczba imion, zwanych imionami dzieciństwa; stanowią one raczej tytuły, aniżeli przezwiska. Bywają wyznaczane w sposób socjologiczny i dywinistyczny i są rozdawane w dzieciństwie, jako tytuły, tym, komu przypadają. Ogół tych imion, należących do pewnego totemu, nie będzie nazwą samego zwierzęcia totemicznego, lecz totemu w jego różnych stanach, lub różnych części totemu, lub funkcji jego i przymiotów, istotnych i mistycznych. Części te i funkcje, lub przymioty części i funkcji, są podzielone według zasady poszóstnej, tak, iż imię, nadane pierwszemu członkowi, tak tamo, jak prawe ramię lub prawa przednia noga totemu, będzie odpowiadało Północy i cieszyło się największym szacunkiem w klanie; imię właściwe drugiemu członkowi—przypuśćmy lewa przednia noga lub jej przymioty, będzie dotyczyło Zachodu i zajmowało drugie stanowisko co do honorów; inny członek, odpowiadający dajmy na to tylnej prawej nodze, będzie miał stosunek z Południem i zajmował trzecie miejsce; jeszcze inny, czwarty z kolei, odpowiada lewej tylnej nodze i Wschodowi, piąty bierze imię od głowy i jest spokrewniony z Górą; szósty od ogona i jest w związku z Dołem. Tymczasem serce, lub pępek, lub środek stworzenia, co do zaszczytów będzie zajmował miejsce pierwsze i ostatnie“

Zbytecznie nadmieniam, że w ceremoniach i zaklęciach siódemka jest cyfrą świętą, kształtującą obchód. Arcykapłan na wiosnę sadi np. ziarna święte, zwane tam ojcami i matkami. W pośrodku koła symbolicznego robi on w glebie dołek i przeciąga przezeń krzyż, którego cztery ramiona idą w kierunku czterech głównych stron świata. Na końcu każdego ramienia żłobi znowu otwór i zostawia tam nasiona; zaczynając od Północy, przechodzi do Zachodu, Południa i Wschodu. Posadziwszy ziarno na Wschód, zatacza ręką koło zamknięte w tym samym kierunku, aż wreszcie dokonawszy całego obrotu, poniżej Północy z lewej strony robi nowy dołek—dolny; poczem znowu zakreśla takie samo koło i wydrąża otwór na prawej stronie poniżej Południa—góry; na ostatku kładzie ziarno do otworu środkowego ¹⁾.

Tak wyglądają systemy liczb świętych u dwóch ludów, u których je zbadano najlepiej. Atoli błędem było-by mniemać, że u Czeroków

¹⁾ H. S. Cushing *Manual Concepts* (Amer. Authr. V) str. 304, tamże rysunek, pokazujący rozkład dołków.

czwórka, u Zuńczyków zaś siódemka są jedyną liczbą symboliczną. Przeciwnie. Pierwsze z wymienionych plemion zna także siódemkę, drugie zaś i czwórce przypisuje osobliwą doniosłość. U Czeroków, „lekarze mają wielki szacunek dla liczby cztery i siedem“¹⁾, u Zuńczyków zaś czwórka uchodzi za „świętą“²⁾. Systemat filozoficzny Zuńczyków daje nam wyborne pojęcie o tem, w jaki sposób u tego samego ludu może istnieć parę liczb świętych i, co za tem idzie, odpowiednie pojmowanie struktury kosmosu. Zdawało-by się, iż powinny z tego powodu wywiązać się różne sprzeczności filozoficzne. Wszak kosmos nie może być jednocześnie zbudowany według zasady poczwórnej i siedmiorakiej! Lecz pozory ludzą, bo, pomimo istnienia współrzednego paru rzekomo wykluczających się ustrojów, niema tam sprzeczności. Zuńczyk, przyjmując siedem stron świata, uważa środek za kategorię reprezentacyjną, w której ognisko sił sprawczych nie zawsze istnieje. Pozostaje tylko sześć stron, jako siedziby potęg nadprzyrodzonych, mianowicie powszechnie znane cztery strony widnokregu, oraz dół i góra. Każda z tych okolic posiada właściwą sobie barwę symboliczną i jest ogniskiem siły sprawczej, upostaciowanej w sześciu istotach nadprzyrodzonych³⁾. Jak u Łotyszów trzech mężczyzn mistycznych idzie po morzu, niosąc róże, tak samo u Zuńczyków sześć zwierząt mistycznych wywiera wpływ w sferze każdej działalności. Taka poszóstna budowa wszechświata i przyczyn działających zamienia się często na poczwórną, gdy chodzi o wpływy, wywierane tylko na powierzchni ziemi. Zuńczyk, gdy błaga bogów, ażeby mieli go w swej opiece przeciw wrogom ziemskim, wspomina tylko o czterech punktach, nie zaś o sześciu—pomija dół i górę, ponieważ tacy przeciwnicy stamtąd nie nadejdą⁴⁾. Na tem miejscu nasuwa się nam porównanie poglądów tego szczepu czerwonoskórego z wyobrażeniami naszego ludu w Olkuskim: według Olkuszan⁵⁾ „wiatr“ jest to istota żywa i ma do swego rozporządzenia pomocników, którzy dmą w miechy. Miechów tych jest siedm.

¹⁾ J. Haywood *Natural and Aborig History of East Tennessee*. Nashville 1823 tr. 281.

²⁾ *Annual Report of the Bureau of Ethn.* 1880—81 str. 281.

³⁾ Sąsiedzi Zuńczyków, Tusajowie, uwzględniają sześć punktów z siódmą istotą reprezentacyjną „starcem sześciu“, zwaną u Zuńczyków niekiedy „matką sześciu“. Baudelier cytowany u J. W. Fewkesa *Journal of Amer. Folklore* V, 40—39.

⁴⁾ Cushing *Zuni fetiches* (*Annual Report of the Bureau of Ethnol* 1880—1881, str. 421.)

⁵⁾ *Zbiór wiadomości etc.* tom XI. str. 3. Ottawowie w Ameryce również przyjmują siedem wiatrów, F. Parkman *the Jesuits in North America in the XVII century*, wyd. XX, Lond. 1895, str. XXIV.

najwięcej jednak może być czynnych cztery, w przeciwnym bowiem razie wiatr poprzewracał-by wszystko na świecie. I piątkę świętą trzeba uważać za świętą liczbę, pochodzącą z takiegoż źródła, t. j. z pojmowania świata, jako złożonego z pięciu ognisk sił sprawczych. Co więcej, możemy ją uważać za skróconą siódmkę — u Zuńczyków struktura pewnych budynków świętych posiada tylko pięć izb, zamiast siedmiu, bo Północ i Dół, Południe i Góra, zlewają się tam i tworzą jedno ¹⁾). Piątka, jako liczba symboliczna, istnieje u Klamathów ²⁾, ludu na wybrzeżu Pacyfiku: zwierzęta, odbierające tam cześć, występują zawsze zbiorowo, jako pięciu (niekiedy dziesięciu) braci, albo pięć sióstr, czasami wraz z rodzicami.

Zatrzymaliśmy się tylko nad ludami Ameryki Północnej. Wybraliśmy je dlatego, że studia nad ich zwyczajami są bardzo posunięte; powtórę zaś, prastara filozofia kosmiczna istnieje tam jeszcze w całej swojej mocy, nie jako przeżytki, lecz jako całość, życiem drgająca. Niema jednak wątpliwości, że dalsze a sumienniejsze badania odnajdą tego rodzaju zapatrywania i w innych okolicach globu. U Ainów np., ludu barbarzyńskiego, zamieszkującego pewne dzielnice archipelagu Japońskiego, kwitnie w całej pełni pogląd, iż budowa wszechświata opiera się na zasadzie poszóstnej ³⁾, „Liczba sześć powtarza się stale, jako ilościowy wskaźnik doskonałości, i uchodzi u tego ludu za świętą. W takim charakterze zjawia się ona często w ich podaniach. Ainowie, kiedy podczas uroczystości religijnej zaopatrują się w wino, używają sześciu worków i kładą je w sześć kadzi: napój, odpowiedny już do użycia, wlewają w sześć naczyń, sześciu mężczyzn go rozdaje. Słyszymy tam w podaniach o łodzi, mającej sześciu wiosłarzy z sześciu wiosłami i wiozącej sześciu bogów. Wojownik udaje się na wojnę. Przychodzi do sześciu chmur i sześciu ławic mgły. U ich podnóża znajdują sześć wodospadów, przy których na straży jest sześciu panów. Walczy z nimi i zabija ich. W dalszej wędrówce spotyka sześciu mężczyzn i sześć kobiet, okutych w zbroje kamienne; jeszcze dalej tyluż mężczyzn i kobiet w metalu“. Albo inny przykład — z Ceylonu. Podczas pewnej uroczystości ścinają młode drzewko, dzielą na cztery części i wznoszą z nich kolumny w czterech świątyniach, łuk zaś ze strzałami boga obwożą dokoła tych świątyń codziennie na czterech słońiach; święto ciągnie się od nowiu do pełni, podczas której czterej ka-

¹⁾ A. S. Gatschett *the Klamath Indians*, Waszyngton 1890. str. CI, także XC.

²⁾ J. Batchelor *Items of Ainu folklore*. (*Journal of Amer. Folklore*, tom VII, str. 27).

plani, mając w ręku cztery miecze, w towarzystwie czterech asystentów, przynoszą wodę w złotem naczyniu itd. ¹⁾

U naszego ludu liczby święte dochowały się tylko w formie szczałkowej. Pierwsze miejsce wśród nich zajmuje trójka, przechodząca niekiedy w dziewiątkę. Figurują one nie tylko w obrzędach i przesądach włościanina, naszego ale i u innych ludów, posługujących się językami pnia aryjskiego. Bardowie wedyjscy ułożyli hymny na cześć pierwiastku słonecznego, upostaciowanego w bogu Surya, który świeci nad ośmiu stronami świata, nad trzema światami, nad siedmiu rzekami ²⁾. W Rzymie i u Greków podczas lustracji miasta (święto powszechnego oczyszczenia) obywatele zgromadzali się poza jego murami, władze zaś obchodziły po trzykroć zgromadzenie, pędząc przed sobą troje zwierząt ofiarnych ³⁾. Niema najmniejszej wątpliwości, że trójka i dziewiątka, tak często figurujące w obrzędach aryjskich, także wypływają ze szczególnego pojmowania budowy kosmosu. Jakiego, na to nie umiemy dokładnie odpowiedzieć, chociaż na upartego moglibyśmy znaleźć pewną podstawę w tylko co przytoczonym ustępie z hymnów wedyjskich, lub w zaklęciach Łotyszów. Jedno już podaliśmy, przytoczymy jeszcze parę:

„Biała dziewczyno, biegnij do morza, przynieś zdrowia i zabierz wszystkie trzy dziewięciokrotne choroby, które zjadają ciało moje. Dziewięciu mężczyzn stoi po tej stronie morza na kamieniu, dziewięciu po tamtej na kamieniu, dziewięciu pośrodku morza na kamieniu, mają trzy po dziewięć ksiąg w ręku, modlą się do Pana Boga, odmawiają Ojcie Nasz!“ ⁴⁾.

„Trzy góry za nami, trzy przed nami; sześć gór za nami, sześć przed nami; dziewięć gór za nami, dziewięć przed nami—dziewięć gór przed nami, dziewięć za nami; sześć gór przed nami, sześć za nami; trzy góry przed nami, trzy za nami“ ⁵⁾.

¹⁾ Miss Gordon Cumming, cytowana u A. W. Bucklanda w *Journal of Anthr. Soc.* XXII 354. Por. prawie analogiczny opis podobnej ceremonii w dawnej Peruwii J. G. Frazer *The golden Bough*, tom II 168—9. Kult czterech kątów izby, spotykany w Europie, pochodzi z tego samego źródła—(np. w dniu św. Marcina zwyczaj w Irlandyi wymaga zabicia czterech sztuk drobiu i spłynięcia ich krwi w cztery kąty izby. *Folklore from Ireland* w *Journal of Amer. Folklore* VI, 262). Pokłony oddawane czterem stronom świata, w Rosyi patrz *Etnograficzeskoje Obozrjenje* 1889, I, 88.

²⁾ Tylor. *The primitive Culture*, wyd. III, tom II str. 292.

³⁾ Fustel de Coulanges: *la Cité antique* str. 186—7.

⁴⁾ Trejlandt, l. c. str. 189.

⁵⁾ Trejlandt, l. c., str. 1898.

W powyższych wywodach nie chodziło nam o wykrycie wszystkich źródeł świętości liczb symbolicznych, lecz tylko tych, które wiążą się bezpośrednio z poglądami na budowę kosmosu. Istnieją bowiem jeszcze i inne przyczyny, które pewnym liczbom nadały święte znaczenie. J. W. Powell np. przypuszcza, że dziewiątka, powtarzająca się w sposobach leczenia choroby przez szamanów czerwonoskórych, jest zaczerpnięta z liczby miesięcy, w ciągu których płód ludzki spoczywa w łonie matki: jak z jej łona dziecko wychodzi po dziewięciu cyklach księżyca, tak samo choroba ustępuje po tyluż dniach zaklania 1). Lecz są to wszystko, naszym zdaniem, dopływy drugorzędne, jedynie wzmacniające główny nurt, który wydobywa się ze wskazanego przez nas źródła. Musimy przecież jeszcze zwrócić uwagę na jedno, mianowicie, iż na podłożu liczb zasadniczych rodzą się przeróżne kombinacje: z trójki i siódemki powstaje dwadzieścia jeden, z trójki i dziewiątki — dwadzieścia siedm itd. Zaklęcia Łotyszów dały nam o tem już niejakię pojęcie: tam trzy po dziewięć wciąż powtarzane są, tak samo jak i u Rzymian, u których zaklęcia składały się z 27 powtórzeń 2). Na razie przykład, zaczerpnięty z obrzędu hinduskiego postrzyżyn, dostarczy nam najlepszej ilustracji 3). Przed domem niecono podczas takiej uroczystości ogień, obok niego od południa kładziono 21 ździebeł trawy Darbha, naczynie metalowe z ciepłą wodą i nóż miedziany. Od północy naczynie z łajnem byka, od wschodu naczynie z ryżem i jęczmieniem. Po ukończeniu tych przygotowań, matka siada na źdźbłach trawy, chłopiec zaś w nowem ubraniu na jej kolanach. Od strony zachodniej przystępuje ojciec, kropi głowę dziecka wodą, kładzie następnie we włosy po trzy kłosa rośliny kusa, według innych po siedem, z prawej i z lewej strony oraz z tyłu; w końcu po obrzędzie obejmuje głowę dziecka dłońmi i mówi: potrójne życie Jamadagni. — Prawdopodobnie i owe kombinacje cyfr zasadniczych nie są rzeczą samowoli, lecz także wiążą się poglądami kosmicznymi, acz dotychczas nie udało się nam odcyfrować zasady, według której te zestawienia są dokonywane,

1) *Annual Report of the Bureau of Ethn.* 1883—4, str. LXVII.

2) Fustel de Coulanges, *l. c.*, str. 256, także 264.

3) K. Potkański. *Postrzyżyny u Słowian i Greków* Kraków 1895. str. 52.

II.

Symbolika barw i dotychczasowe sposoby jej wytłómaczenia. Filozofia Czeroków, zwroty pierwotne mowy i przeżytki ich w naszym w języku. Symbolika barw w związku z dziennym obrotem słońca.

Rozpatrywaliśmy rodowód liczb świętych i wykazaliśmy, że są one w zależności od pojmowania przez umysł pierwotny struktury świata. Lecz nasze wywody dotychczasowe dały nam zaledwie bardzo niedokładne wyobrażenie o idejach prastarej filozofii. Ażeby uprzytomnić sobie, czem był kosmos według poglądów naszego dalekiego przodka, musimy z trzymać się jeszcze nad symboliką barw, która kwitnie dotąd w naszych zwyczajach i zwrotach mowy. Do ołtarza idziemy w bieli, za orszakiem pogrzebowym w czerni. Młodzian ofiarowyywa bogdance kwiaty różowe, które barwą swoją winny świadczyć o jego uczuciach; kolor zielony mówi o nadziei, żółty jest wyrazem zazdrości; rycerze nosili na turniejach wstęgi błękitne, w dowód stałości uczuć.

Rozumie się, niema zjawiska bez przyczyny. Folklorysty oddawna przypuszczali, że i białość niewinności, i żółtość zazdrości, i czerń żałoby, i błękit stałości posiadają pewne źródło. Wzięto się nawet do studyów nad symboliką porównawczą, ażeby tą drogą wykryć tajemnicę początku stosowania języka barw. Albowiem mowa taka istnieje nawet u najniżej stojących szczepów. Australka wprawdzie nie nosi sukienek, umie przecież nżywać języka barw: nakłada farby na nagie ciało, malując je na białe, czerwono itd. Posłowie australscy podróżują pomalowani stosownie do zlecenia: białe, gdy niosą zawiadomienie o śmierci; kiedy zaś prosić mają rodaków na wesele, przeciągają pasy białe i czerwone w poprzek nosa ¹⁾. Spodziewano się, iż zestawivszy barwy, używane przez różne ludy dla wypowiedzenia pewnego uczucia, będzie można wykryć źródło symboliki kolorów. Oczekiwania te zawiodyły. Spostrzeżono wprawdzie pewne podobieństwa, t. j., że ta sama

¹⁾ Dawson. *Australian Aborigenes of Victoria* str. 74, por. także *Journal of Anthr. Inst.* XX, str. 72,

barwa u odmiennych ludów wyraża pokrewne stany ducha, ale jednocześnie wyszło na jaw tyle niezgodności, że trzeba było zaniechać dalszych poszukiwań według takiej metody. Zrozumiano, że działa tam jakaś przyczyna, lecz zaspokojono się tłumaczeniem, że symbolika bywa wysnuwana bez podstaw głębszych, stanowi jak gdyby nitkę ową w całokształcie kultury ludzkiej, która wciąż jest zrywana i nawiązywana. I inaczej być nie mogło wobec tej zdawkowej znajomości, jakąśmy przed kilku jeszcze laty posiadali o tej stronie zwyczajów pierwotnych. Kiedy jednak pojawiły się studia systematyczniejsze, mrok rozproszył się i dzisiaj śmiało możemy powiedzieć, że symbolika barw stanowi jedną z zasadniczych podstaw pierwotnego poglądu na świat i że wiąże się z innymi zapatrywaniami prastarej filozofii w zwarty a wykończony system. Nasza dzisiejsza mowa barw przedstawia jedynie rozszarpane pasmo strzępów, które, mimo że przyczyna „racjonalna“, t. j. uświadomiona, oddawna przestała działać, przecież istnieją i wplatają się w nasze życie. Idąc do ślubu w białej sukience i pisząc parę wyrazów na różowym bileciku, nieświadomi pierwotnych pobudek takiego kroku, hołdujemy poglądom dalekiego przeszczura.

Dla odcyfrowania pojęć praocjów naszych, weźmiemy zwyczaj Czeroków, plemienia, o którym już wspominaliśmy, przy analizie liczb świętych. Jak wiemy, przyrodą rządzą tam siły sprawcze, upostaciowane w zwierzętach: one-to zsyłają kłeski i choroby, przywracają zdrowie, dają sprężystość mięśniom a polom deszcze, mają w swej mocy szczęście człowiecze. Olbrzym-pająk, w czterech postaciach jest panem życia i śmierci, bo w swojej pajęczynie nadprzyrodzonej snuje nitki żywota, a kiedy fantazyja mu przyjdzie, zrywa je. Żółw, t. j. cztery żółwie, sprowadza mgły, wąż deszcze. Każda choroba pochodzi od pewnego zwierzęcia, leczenie zaś polega na symbolicznem polowaniu na stworzenie, będące źródłem niemocy. Jeżeli np. przepiórka stepowa jest sprawczynią, to wzywają sokoła, ażeby rzucił postrach na nią i zmusił ją do odwrotu. Przytoczymy leczenie newralgii zębów przypisywanej mitycznemu robakowi, który zagnieździł się w szczęce; to nam da pojęcie o filozofii Czeroków i zarazem o pochodzeniu symboliki barw. ¹⁾)

„Usłysz nas i wysłuchaj—woła znachor, gdy ktoś zwróci się do niego o pomoc przeciw bólowi zębów,—ty, czerwony pająku, który przebywasz w ziemi słońca, spuść się po czerwonej nitce z góry i za-

¹⁾ J. Mooney *Sacred formulas of the Cherokees*. (Annual Report of the Bureau of Ethnol. 1885—6, str. 391/2, 342).

bierz robaka-napastnika, który jest w zębach. Wszak ty go pożerasz, to twoje jadło!”

Pająk ów niewidzialny przybywa i wygania intruza, który ból sprawiał, ale usunął on tylko część przyczyny. Znachor więc wzywa dalej:

„Usłysz nas i wysłuchaj, ty Błękitny Pajaku, który przebywasz w ziemi mroźów i zimna, spuść się po błękitnej nitce z góry i zabierz robaka-napastnika, który jest w zębach. Wszak ty go pożerasz, to twoje jadło!”

Później jeszcze przychodzi kolej Czarnego Pajaka z kraju mroków i zachodu, wrzeszcie na Białego z południa. Ze wszech stron napastują one intruza, tak, iż nie ma on ucieczki, aż wrzeszcie przybywa wir wietrzny, który porywa go i niesie na koniec świata.

Taką jest filozofia przyrody i wypływająca z niej praktyka lekarska. Jak widzimy z przytoczonego zaklęcia, barwy są związane ze stronami świata. Każda z okolic posiada właściwy sobie kolor i każde wzywane bóstwo-zwierzę jest odmiennej barwy, stosownie do miejsca swego pobytu, i wywiera działanie, jakie jest w harmonii ze znaczeniem symbolicznem, przypisywanem danej barwie. Wschodu jest kolor czerwony, w jaki zorza bywa odziana. Jako zwiastunka dnia, ta sama barwa uchodzi w symbolice Czeroków za zamię tryumfu, powodzenia, szczęścia i potęgi. Czerwone paciorki są używane przy zaklinaniu chorób, aby ustąpiły, przy życzeniach długiego życia i w czarach, mających sprowadzić powodzenie w miłości i na wojnie, podczas gry w piłkę i we wszelkiem przedsięwzięciu. Przedstawiają one, t. j. tej barwy paciorki, osobę lub osoby, na których korzyść zaklęcie jest dokonywane; a osoba taka — w zaklęciu — jest przyodziana w czerwoną suknię i posadzona figurycznie na czerwonym siedzeniu. Duchy czerwone, wywoływane wtedy przez znachora, żyją zawsze na wschodzie, i cokolwiek ma z nimi styczność, jest tak samo czerwone: schodzą one po czerwonej ścieżce i jedzą czerwone jadło. Zwycięzca wojownik bywa w poezyi czarodziejskiej przedstawiany z czerwoną maczugą i czerwoną tarczą.

Barwa czarna uchodzi za symbol śmierci i jest kolorem zachodu. Kiedy szaman rzuca urok na wroga, ażeby zmarniał, wzywa czarne duchy, któreby pognały duszę jego na daleki zachód, tam zamknęły ją w czarnej trumnie, zakopały ją głęboko w czarnym mule i na czatach postawiły złego czarnego węża. Czarne paciorki przedstawiają ofiarę, na której głowę zaklinacz chce ściągnąć nieszczęście, kładzie on je na czarnej tkaninie.

Barwa błękitna, właściwa północnej stronie nieba, jest także symbolem nieszczęścia, niepowodzenia i wogóle niezspokojonej żądy.

Wyrażenie czerockie: „nigdy oni nie zbłękitnieją“ oznacza, iż będzie „im“ się zawsze wiodło. W zaklęciach miłosnych kochanek, mówi o sobie że jest barwy czerwonej i błaga, żeby jego współzawodnik zbłękitniał i chodził po takiej barwy ścieżce. Zanotujemy, iż podobne zapatrywanie nie ukrywa się w zwrocie angielskim *he feels blue*, oznaczającym, że ktoś czuje się niewesoło; odwrotną treść zaś posiada swojskie wyrażenie, że ktoś jest w „różowym humorze“ („czuje się czerwono“, „wygląda czerwono“, jak rzekł-by Czerok).

Wreszcie kolor biały jest barwą południa i tem samem oznacza szczęście i powodzenie, spoczynek i pewność siebie. Podczas takich uroczystości, jak obchód kukurydzy i gra w piłkę, plemięcy spożywają w przenośni białe pokarmy i po białej ścieżynie wracają do białych domów. W zaklęciach miłosnych kochanek, gdy chce skłonić bogdanek do połączenia losów swych z jego losami, woła: „jestem białym człowiekiem“, tem samem dając poznać, iż całe jego jestestwo oddycha szczęściem. Kiedy dawniej podczas zawierania pokoju palono fajkę, była ona białej barwy.

Przytoczymy jeszcze parę zaklęć, które tem dobitniej uwydatnią nam symbolikę barw u Czeroków.

„Słuchaj—brzmi zaklęcie ¹⁾, mające skrócić dni czyjegoś żywota—i uważaj! Następuję nogą na twoją duszę, ty, który jesteś takiego to rodu i nosisz takie-to imię. Plwocinę twoją zakopałem pod ziemię, duszę twoją ukryłem pod ziemię. Przychodzę pokryć ciebie czarną skalą, przychodzę osłonić cię czarną suknią, przychodzę cię przykryć czarną skórą, ażebyś nigdy nie powstał. Ku czarnej mogile na górze w czarnym kraju mroków wyciągnęła się twoja ścieżka. Muł górny przybył (? pokryć ciebie), czarny muł nagle położył się na tobie w czarnych domostwach krainy mroków. Przychodzę przykryć ciebie czarną trumną i czarnymi skórami. Teraz dusza twoja znika, dusza twoja błękitnieje. A kiedy ciemność nadejdzie, twój duch będzie stawał się coraz mniejszym, aż zniknie, ażeby się więcej nie pokazać. Słuchaj i uważaj!“

Jeśli ktoś pragnie rozdzielić kochanków, rzuca urok następującej treści: ²⁾

„Uhl na wysokiej górze, tam, nad dalekiem jeziorem ty się gnieździsz, o Błękitny Kruku. Tytuń błękitny będzie twoją nagrodą. Teraz podniosłeś się nagle i na dół się spuszczasz. Położyłeś ścieżkę pomiędzy nimi, tam, gdzie stali, popsuleś odrazu ich duszę! Zostali odo-

¹⁾ Mooney, l. c. str. 391

²⁾ Mooney, l. c., str. 381—3.

sobnieni!“ Jest to pierwsza część zaklęcia, które winno rozłączyć kochanków; istnieje jeszcze drugie, co ma skłonić duszę jednego z rozłączonych ku zaklinaczowi. „Jestem białym mężczyzną—brzmi ono — i stoję na słońcu. Biała kobieta jest takiego-to klanu, nazywa się tak i tak. Zwrócę jej duszę natychmiast, zwrócę ją ku mnie tak, jak ja idę ku słońcu. Jestem białym mężczyzną! Niechaj jej oczy w oczodołach zawsze mnie tylko szukają!“

Jeszcze jedno zaklęcie miłosne: ¹⁾

„O biała kobieto, nikt nie będzie z tobą samotny. Jesteś najpiękniejszą! Odrazu i nagle zrobiłaś mnie białym mężczyzną, otworzyłaś dla mnie białą ścieżkę. Nigdy ona nie zbłąkitnieje!“

Zaklęcia te powinny dać nam dokładne pojęcie o symbolice barw u Czeroków oraz jej pochodzeniu. Zresztą w użyciu są tam jeszcze dwie barwy, brunatna i żółta ²⁾, obie co do swego pochodzenia niewyjaśnione. Co do pierwszej, J. Mooney nie umie nawet powiedzieć, kiedy była używaną, żółta zaś bywa stosowana w tem samym znaczeniu, co błękitna, t. j. dla sprowadzenia niepokoju lub wyrażenia niepowodzeń. Rytuał czerocki w każdym szczególnym przypadku każe używać odpowiedniej barwy, bo inaczej zaklęcia, leki lub urok spełzną na niczem. Kolor u Czeroków wiąże się nierozdzielnie z pojmowaniem przyrody i środkami, przez nie zalecanymi dla dopięcia pewnego celu. Mowa ich obfituje w odpowiednie zwroty.

Porównamy niektóre strony filozofii czerockiej ze zwyczajami, zwrotami mowy i przesadami innych ludów.

Ktoś szczęśliwy w miłości powiada u Czeroków, że jest „białym człowiekiem“, które-to wyrażenie bywa wogóle używane dla oznaczenia szczęścia, powodzenia i potęgi. My w bieli idziemy do ślubu, przystępujemy do komunii, aniołowie są biali. Dawni Prusacy, jeśli kogoś chwalili, nazywali go „białym panem“, *baltassis kunige* ³⁾. W Rzymie starożytnym kolor biały uchodził za święty, współbiesiadnicy podczas uczt publicznych, jak u Czeroków podczas obchodu kukurydzy, byli ubrani w suknie tej barwy ⁴⁾. Z tego samego źródła pochodzą prawdopodobnie przesady ludu naszego, że sierść uszczknięta przed wschodem słońca pomaga bydłu na robaki ⁵⁾.

¹⁾ Mooney l. c. 376—7.

²⁾ Mooney, l. c. 342.

³⁾ Praetorius, cytowany u K. Skirmuntta *Nad Niemnem i nad Bałtykiem w zaraniu dziejów*, Warszawa str. 41

⁴⁾ Fustel de Coulanges c. l. 181, 210.

⁵⁾ Kolberg *Lud. XVII*, por. także Gomme *Folklore in Ethnology* str. 98

I u nas, i u Czeroków kolor czarny jest symbolem smutku i śmierci; ktoś u nas miewa „czarne myśli“, jest w posepnym, „czarnem usposobieniu“, wpadł w „czarną“ melancholię. Indyanin ze szczepu Czeroków rzekł-by, iż stał się czarnym człowiekiem. „Czarna istota“, mieszkająca na zachodzie, jest duchem śmierci ¹⁾, u nas tej samej barwy jest dyabeł, choć sama nazwa herszta mocy szatańskiej, Lucyfera, oznacza zgoła coś innego. Zwłaszcza liczne analogie, co do użycia i stosowania tej barwy, istnieją w złoczynnych praktykach rzucania uroków. Czarne kozły i koguty, wrony i kruki są zwierzętami, nieodłącznymi w Europie od rzemiosła wiedźmowskiego. To samo bywa i w innych okolicach globu, np. u Zuńczyków ²⁾ „wszelkie białe, jasne pióro zwiastuje szczęście“, natomiast czarne, zwłaszcza zaś od sowy, kruka i t. d. posiadają bardzo złą sławę. Nikt nie dotknie ich, prócz tych osób, które „chodzą po zlej drodze“ (t. j. czarownicy), i każdy Indyanin, będący w ich posiadaniu, bywa karany śmiercią; tylko tacy bowiem trzymają je, którzy komuś pragną zadać śmierć lub urok. I stro- na zachodnia uchodzi u naszego ludu za złowrogą, po zachodzie dyabli lecą po duszę czyjaś.

My bywamy w różowym humorze, Czerok zaś powiedziałby, iż jest czerwonym człowiekiem. Podobnie jak u Czeroków barwa czerwona bywa stosowaną, gdy chodzi o zażegnanie możliwego uroku lub zapobieżenie chorobie, w Irlandyi i Szkocyi obwiązują czerwoną nitką ogony krów przed pierwszym wygonem, w Niemczech rogi i szyję, ażeby zabezpieczyć bydło od chorób. W Chinach dokoła ręki dzieciom przywiązują coś czerwonego i patrzą na tę barwę jako na środek przeciw nieczystym siłom ³⁾.

Powyższe zbliżenia w zwrotach mowy i stosowaniu symboliki kolorów pomiędzy ludami naszej cywilizacji a szczepami, u których pojmowanie przyrody, jako złożonej z pewnej liczby różnobarwnych okolic, stanowi żywą część filozofii, świadczą, że i przodkowie narodów aryjskich przebywali w swoim rozwoju umysłowym podobną fazę. Posiadamy zresztą pod ręką dowody wymowniejsze. Gadka wielkoruska o Wasilisie ⁴⁾ przemądrej wyraźnie mówi o stosunku barw symbolicznych, jeśli nie do różnych stron świata, to przynajmniej do różnych pór dnia. Wasilisa, posłana przez macochę i dwie siostry przy-

¹⁾ Mooney, l. c. 342.

²⁾ Lummis *Some strange corners of our country, the wonderland of the Southwest*, N.-York 1892, str. 62—3.

³⁾ Bourke w *Annual Report of the Bureau of Ethn.* 1887—3, str. 579, por. także notatkę Sumcowa w *Etnograficzeskom Obozrzenji* 1889, III. 131.

⁴⁾ Tylor. *The Primitive Culture*, tom I str. 342.

rodnie do baby-jędzy, idzie lasem. Spotyka jeźdźca białego, w białym ubraniu, na białym koniu i z białą siecią. Zaczęło wtedy świtać. Idzie dalej i spotyka czerwonego jeźdźca na czerwonym koniu i w czerwonym ubraniu — słońce wschodzi. Ku wieczorowi zbliża się do domu czarownicy. Jedzie czarny jeździec, na czarnym koniu i czarno ubrany. Jędza jej objaśniła, że biały jeździec to jasny dzień, czerwony — czerwone słońce, czarny — czarna noc. Zaklęcia łotyskie zachowały jeszcze więcej i przytem charakterystyczniejszych szczątków stanu umysłowego, pokrewnego temu, który istnieje u Czeroków. Zaklęcie jedno przeciw ukąszeniu żmii brzmi: „czarna żmijo, biała żmijo, szara żmijo, znam was wszystkie!“ ¹⁾, drugie zaś: ²⁾ „król wąż idzie po grobli morskiej, na głowie korona żmijowa, w ręku miecz ze stali. Wszystkie węże wychodzą na spotkanie: błękitny, rudy, czarny, biały, czerwony, szary“ i t. d. Zaklęcie ³⁾ przeciw zazdrośnemu głosi: „czarny chłop jedzie z babą, oczy mają w tył; czarny chłop ma czarne łapcie na nogach, czarne szkarpetki, czarną koszulę, czarne spodnie, czarną kurtkę, czarny krawat, czarnego konia, czarne siodło, czarną uzdeczkę, czarny bicz“. Zaklęcie przeciw ogniowi: ⁴⁾ „Trzech panów idzie po drodze, mają czerwone spodnie, czerwony kaftan, czerwone buty, czerwone czapki, czerwone rękawice; żółte spodnie, żółty kaftan, żółte buty, żółtą czapkę, żółte rękawice; żelazne spodnie, żelazny kaftan, żelazne buty, żelazną czapkę, żelazne rękawice“ i t. d.

Filozofia więc szczepu czerwonoskórego nie tylko odkrywa przed nami doniosłość barw w życiu codziennem człowieka pierwotnego, ale nadto daje nam poznać rodowód symboliki kolorów. Wiąże się ona z obiegiem słońca i barwami, właściwemi różnym okolicom świata podczas doby ⁵⁾. Co do tej zależności, nie można o niej dłużej powątpiewać wobec faktów, zgromadzonych przez etnografów amerykańskich. Atoli — rzecz charakterystyczna, wyjaśniająca nam sprzeczności, które istnieją co do znaczenia tej samej barwy u różnych ludów — chociaż wszędzie rozpatrywana symbolika jest związana z obiegiem słońca, przecież nie wszędzie ten sam kolor charakteryzuje tę samą stronę

¹⁾ *Trejland l. c.* str. 160.

²⁾ *Ibidem* 156.

³⁾ *Ibidem* 171.

⁴⁾ *Ibidem* 187.

⁵⁾ Myśl tę wypowiedział już Chareucey: *Des couleurs considérés comme Symboles des Points de l'Horizon* (Actes de la Société Philosophique VI, 1876). Co do symboliki barw por. także: Gatschet: *Greek migration legend* str. 31—41, Brinton *Kitcha-myths* (Proceedings of the Amer. Philos. Soc. XIX, 646—7), Mallery *Annual Report of the Bureau of Ethn.* IV, str. 53—7.

nieba. Ułożyliśmy niewielką tabliczkę, przedstawiającą związek pomiędzy okolicami świata a świętymi barwami u kilku ludów Ameryki Północnej i Środkowej ¹⁾.

	wschód	południe	zachód	północ	dół	góra
u Czeroków	biała,	czerwona,	czarna,	błękitna	?	?
„ Ojibwów	biała,	zielona,	czerwona,	czarna	?	?
„ Dakotów	czarna,	żółta,	szkarłatna,	błękitna	?	?
„ Nawajów	biała,	błękitna,	żółta,	czarna,	biała i czarna	błękitna
„ Tusajów	biała,	czerwona,	żółta,	błękitna,	czarna,	centko- wana
„ Zuńczyków	biała,	czerwona,	błękitna,	żółta,	czarna,	wszyst- kie barwy
w Yucatanie	czerwona,	żółta,	czarna,	biała,	?	?

Rozmaitość jest więc bardzo znaczna, nawet u ludów ościennych, jak Tusajowie i Zuńczycy. Ale wszędzie pochodzenie barw jest to samo, mianowicie związane z przymiotami odpowiedniej okolicy nieba. Parę przykładów uwydatni nam tę zależność jeszcze bardziej:

U Ojibwów ²⁾ biała barwa przedstawia wschód, ponieważ ta strona świata jest źródłem światła; zielona zaś południe, stamtąd bowiem planety pędzą chmury wiosenne, zapładniające ziemię deszczami i pokrywające ją kobiercem traw.

U Zuńczyków ³⁾ barwa północy jest żółtą, gdyż w porze zimowej światło poranne i wieczorne jest takiego koloru, oraz taką bywa zorza północna. Zachód uchodzi za kraj błękitny, nie tylko dlatego, iż takim światło jest ku zachodowi, ale ponieważ także błękitny Pacyfik leży w tej stronie; południe, jako źródło ognia i lata, jest czerwone. Góra jest wielobarwna, tak samo, jak światło, wyglądające z poza chmur, dół zaś czarny, na wzór przepaści i głębokich źródeł. Środek jako reprezentant całości, posiada wszystkie barwy.

¹⁾ Co do Czeroków Mooney *l. c.*; Dakotów St. R. Riggs *the Gospel among the Dakotas*, Boston 1869, str. 62—3 (nie wymienia związku pomiędzy barwami a stronami świata); u Ojibwów *Annual Report of the Bureau of Ethn.* 1885—6 str. 275; Nawajów tamże 1883—4, str. 449—450; Tusajów *Jour. of Amer. Ethn. and Archaeol.* II 38; w Yucatanie Brinton *Essays of an Americanist* str. 166.

²⁾ W. J. Hoffmann w *Annual Report of the Bureau of Ethn.* 1885—8, str. 275.

³⁾ Cushing *Zuni Creation Myths* (tamże w r. 189—12, str. 369).

III.

Antropocentryzm plemienny. Przypisywanie kosmosowi budowy symetrycznej jest produktem codziennego doświadczenia. Oddziaływanie warunków otoczenia na pojęcie o wszechświecie.

Stosunki pomiędzy solidarnościami społecznymi w okresie pierwotnym, t. j. pomiędzy tak zwanymi plemionami, są rzadko przyjaciel-
skie. W większości wypadków sąsiedzi znajdują się nawzajem na stopie wojennej i wszelkiego rodzaju wymiana, produktów martwych i tworów myśli, raczej należy do zdarzeń wyjątkowych. Wobec takiej odrębności kulturalnej, poglądy filozoficzne w każdym plemieniu kształtować się muszą inaczej, w zależności od otoczenia materialnego, w którym ono przebywa. Pewne pierwiastki w otaczającym kosmosie są wszędzie jednakowe. One-to stanowią źródło tożsamości, a przynajmniej równoległości, spotykanej w pojmowaniu przyrody przez dalekie ludy; inne składowe części otoczenia noszą na sobie charakterystyczne, odrębne piętno danej miejscowości i są punktem wyjścia dla różnaitości, spostrzeganej w sferze poglądów kosmicznych. Lecz zawsze i wszędzie zapatrywania te, acz nam, ludziom wieku XIX, wydają się naiwnymi, są oparte na faktach, t. j. na wzorach doświadczenia. Naturalnie, że ziemia uchodzi zawsze za płaską, nad nią zaś unosi się kuliste niebo—tak bowiem uczy. spostrzeganie, powtarzające się z dnia na dzień. Niebo, jak codziennie tego doświadczamy, styka się z ziemią, od spostrzegającego we wszystkich kierunkach w równej odległości. Na podstawie takiej empiryi, umysł pierwotny doszedł do wniosku, iż ojczyzna jego jest środkiem kosmosu, „pępkiem“ jego, przyczem rozmiary, nadawane światu, zależały od rozległości stosunków wymiennych pomiędzy danym plemieniem a ościennymi. Każde plemię w N. Holandyi¹⁾ mniema, iż świat przedstawia płaszczyznę, ciągnącą się około dwustu mil ang. w każdą stronę od jego siedziby i że kraj jego leży właśnie w pośrodku. U osiadłych Indian²⁾ N. Meksyku, każda z grup wygłasza podobny pogląd: Tiwowie mówią o swoim pueblu Isle-

¹⁾ Curr: *The Australian Race* tom I, str. 50, 83.

²⁾ *Journal of Amer. Folklore* tom VIII, 168.

cie, iż jest ona środkowym ogniskiem świata; Zuńczycy to samo twierdzą o swoim. Sieroszewski zaznacza miłość Jakutów ¹⁾ do stepu, prawdopodobnie ich pra-ojczyzny. „Czcigodne okolice, step-macierz, pępek ziemi, świat ośmiokątny“, — tak o nim Jakut odzywa się.

Dokoła takiego „pępka ziemi“ wszechświat ciągnął się we wszystkich kierunkach. My, którzy posiadamy fizykę, wyjaśniającą nam, że światło jest tylko subiektywnem ujęciem drgań eteru, musimy inaczej zapatrywać się na barwy, właściwe każdej ze stron świata. Lecz umysł pierwotny, spostrzegając białość wschodu lub błękit zachodu, sądził o tem zjawisku odmiennie. Przyjmował on barwy za coś nieodłącznego od pewnej okolicy, zrosłec z nią, pokrywającego ją jakby całunem, niezależnie od pory dnia. Naszemu pradziadowi nasuwało się pojęcie samo z siebie, iż każda rzecz w pewnej stronie świata, a zatem góry i rzeki, ogniska umiejscowionych tam sił sprawczych, i one same są odpowiedniej barwy. Jednakowa odległość różnych punktów firmamentu od miejsca obserwacji rodziła dalsze przypuszczenie, mianowicie, że każda taka strona jest ukształtowana tak samo, jak wszelka inna, t. j., że budowa wszechświata polega na potrójnej, poczwórnej, poszóstnej i t. d. strukturze, tylko, że każda z tych części jest zabarwiona na inny kolor. Szczątki takich zapatrywań dotrwały w nauce hinduskiej, ²⁾ przedstawiającej Indye Przedgangesowe, jako równoramienny trójkąt lub zbiór takich trójkątów, lub wreszcie kwiat symetryczny, złożony z ośmiu listków. Zuńczycy np., przyjmując sześć okolic świata (z siódmą macierzą reprezentacyjną) mniemają ³⁾, iż w każdej z nich istnieje olbrzymie jezioro, z pośrodku zaś jego wznosi się wysoka góra, będąca siedliskiem jednego z sześciu reprezentantów każdej siły sprawczej (może nawet jednego z pra-wzorów każdej rzeczy na świecie). Góry te, jeziora, oraz siły są takiej barwy, jaka jest właściwa danej okolicy. A zatem góra, wznosząca się na zachodzie, jest błękitną, na północy żółtą, na południu czerwoną, na wschodzie białą, w górnym świecie różnobarwną, w dolnym czarną. Widzieliśmy także próbki podobnego zapatrywania u Czeroków: tam pająk czerwony spuszcza się z czerwonej góry wschodu, po czerwonej nitce. Struktura taka kosmosu, może szczątkowo ujawniająca się w naszym powiedzeniu „za dziewięćciu rzekami“, nie koniecznie bywa tylko tworem wyobraźni, lecz niekiedy prawdopodobnie jest wziętą ze wzorów otoczenia. Przynajmniej tak jest u Nawajów i może u Czeroków. U pierwszego

¹⁾ Sieroszewski. *Jakuty*. Petersburg, str. 187.

²⁾ Por. rysunki u E. Reclus: *Nouvelle Géographie universelle*, tom VIII, str. 22 i 24.

³⁾ H. F. Cushing *Zuni fetiches* (w *Annual Report of the Bureau of Ethn.* 1880 —81, str. 18).

z tych plemion ¹⁾ góry święte, stojące na krańcach świata i przyrodziane w szaty barwne, są to wierzchołki rzeczywistych szczytów. Podanie opowiada, jak dwaj bliźniacy mityczni udali się na górę Sierra Bianco w Kolorado i przybrali ją białymi muszlami, jak stamtąd poszli na górę Ś. Mateusza w N. Meksyku i okryli ją turkusową odzieżą i t. d., poczem stworzyli mnóstwo duchów miejscowych, *genios montium*, i osadzili po dwóch na każdym wierzchołku. U Czeroków ²⁾, w podaniu o niedźwiedziach istnieją cztery góry, których nazwa wskazuje, że nie są to bynajmniej miejsca symboliczne, stworzone, ponieważ symetria tego wymagała, ale faktycznie istniejące, w każdej z nich niedźwiedzie posiadają osadę i odbywają taniec, zanim udadzą się do legowisk zimowych.

Pewne fakty nasunęły człowiekowi pierwotnemu myśl, iż świat jest zbudowany symetrycznie, acz różnobarwnie, i że w podobny sposób siły sprawcze są w nim rozmieszczone. A toli to samo doświadczenie codzienne wykazuje, że, bądź co bądź, taka symetria, o jakiej teoria powiada, nie zawsze istnieje w działaniu ognisk, potęg nadprzyrodzonych. Wiatry nie z jednakową siłą dmą z każdej okolicy widnokręgu, rozmieszczenie gatunków roślinnych i zwierzęcych także nie jest jednostajne po powierzchni kraju, zwłaszcza jeśli miejscowość pod względem topograficznym przedstawia charakter urozmaicony. Empiria więc z całą mocą podsuwa umysłowi pierwotnemu wniosek, że rzeczywistość nie zawsze odpowiada teorii, i, co za tem idzie, przekształca niektóre założenia tej naiwnej kosmografii, której istotę w naszej pracy przedstawiliśmy. Tylko-cośmy wspominali o czterech osadach niedźwiedzi w czterech górach; Czerokowie jednak nie wszystkie z pośród nich uważają za posiadające to samo znaczenie: tylko w jednej przebywa wielki wódz-znachor niedźwiedzi i leczy rannych współplemieńców ³⁾. Jeszcze lepiej uwydatniło się takie oddziaływanie faktów empiryi na wywody filozoficzne Zuńczyków. Zwierzęta roślinożerne i drapieżne są rozmieszczone w ich ziemi nierównomiernie. Podanie ⁴⁾ usiłuje wyjaśnić tę niejednostajność. Opowiada ono, że zwierzęta została ongi zamkniętą w kotlinie górskiej przez złośliwe potęgi i dopiero stamtąd rozbiegła się po całym świecie. Bizon, wielki łos i jeleni udały się na północ, za nimi pognęła się puma, drapieżne zwierzę, napastujące tylko co wymienione stworzenia; zresztą i inne zwierzęta roślinożerne szukały żerowisk na północy, ale nie w takiej

¹⁾ Stevenson w *Annual Report of the Bureau of Eth.* 1886—1887 str. 277.

²⁾ J. Mooney *Sacred formulas of the Cherokees* (tamże 1885—6, str. 374).

³⁾ Mooney, l. c.

⁴⁾ F. H. Cushing *Zuni fables*, l. c. 21—34 passim.

obfitości. W wąwozach górskich na zachodzie ukryły się głównie kozice, za nimi poszedł kojot; tym samym sposobem na południu znalazły się przeważnie antylopy i ryś, na wschodzie oholi (zwierzę bliżej nie określone) i wilk. Króliki, szczury i myszy rozbiegły się we wszystkich kierunkach i dlatego znajdują się wszędzie, nad nimi zaś unoszą się w górze: orzeł, sokół i wielka sowa, je łowiące; wreszcie pewne stworzenia, prześladowane przez kreta, ukryły się we wnętrzu ziemi. Dla tego-to puma jest panem zwierzyny na północy, kojot na zachodzie, orzeł w górze i t. d. Zuńczyk więc, ilekroć udaje się na polowanie w kierunku północnym, usiłuje, za pomocą odpowiednich obrzędów, pozyskać poparcie nadprzyrodzonej żółtej pumy; natomiast urządzając wyprawę myśliwską na zachód, będzie dbał o względy kojota. Ale praktyka praktyką, teoria zaś teorią. Twierdząc, że puma żółta jest władczynią zwierzyny na północy, człowiek jednocześnie przypuszcza, że istnieją jeszcze inne okazy tej samej siły sprawczej w pozostałych okolicach świata — tego symmetrya budowy kosmicznej wymaga. Jest zatem na południu puma czerwona, na wschodzie biała, błękitna na zachodzie, w dolnym świetle czarna, a w górze różnobarwna. Są to wszystko jak by asystenci, „bracia młodszy“ pumy żółtej i jednocześnie bierne ogniska pewnej potęgi nadprzyrodzonej, której najczynniejsze źródło znajduje się tylko na północy. I tutaj umysł pierwotny znalazł pewne fakty na poparcie tezy; wprawdzie bizon, jeleni duży i t. d., istnieją głównie na północy, ale sporadycznie błakają się nie tylko w tej stronie świata. Dlaczego więc niema być pum nadprzyrodzonych i w tych okolicach? Z uporządkowania drapieżców nadprzyrodzonych powstaje cała hierarchia potęg, od których zależy powodzenie myśliwca. Puma żółta, faktycznie istniejąca na północy, jest nie tylko panem zwierzyny w odpowiedniej stronie, ale także najwpływowszą opiekunką myśliwych; po niej idzie kojot zachodu, „młodszy brat“ żółtej pumy, ryś południa, „młodszy brat“ kojota i t. d.; jednocześnie każdy z tych przedstawicieli najwyższego ognia w hierarchii drapieżców ma własne młodsze rodzeństwo tego samego gatunku: puma żółta ma „młodszych braci“ — błękitną na zachodzie, czerwoną na południu, białą na wschodzie i t. d.

Przyjrzelśmy się siłom nadprzyrodzonym, zapewniającym myśliwemu szczęście na polowaniu. Obok nich istnieją inne, rodzaj stróżów opiekunów, pośredniczących pomiędzy człowiekiem a najwyższą Istotą mitologii zuńskiej. Stróżowie ci, zwierzęta, są dobrani na podstawie przyniotów swoich ¹⁾. Poszajankia, postać mityczna, wyzna-

1) P. H. Cushing *Zuni fetiches*, t. c. str. 18.

czył im stanowiska, gdy urządzał świat. Pumę mianował panem północy, mówiąc do niej: „Długi ogonie, mocnego serca i silnej woli! Dlatego oddaję tobie i twoim dzieciom na zawsze panowanie nad bóstwami zwierzyny i opiekę nad wielkim światem północy, bo twoja odzież jest żółtą, ażebyś stał na straży przeciw nieszczęściom, z tej strony spadającym na moje dzieci ludzkie, i ażebyś brał prośby, zasyłane do mnie w tej stronie!“ W podobny sposób rzekł on do Czarnego niedźwiedzia: „Czarny niedźwiedziu! Jesteś mocny sercem i silny wolą. Robię cię młodszym bratem pumy, panem i opiekunem na zachodzie, bo barwa twoja jest barwą kraju mroków“. Borsuk został panem południa, ponieważ odzież jego jest czerwona, zwierzę zaś to kopie nory na południowej pochyłości gór; biały wilk dla analogicznych powodów otrzymał wschód, łysy orzeł górę i t. d. Tworzy się nowy system sił nadprzyrodzonych, rozpoczynający się od pumy, lecz dobrany z innych zwierząt, niż hierarchia drapieżców.

Słowem, umysł pierwotny wysnuwa bardzo zawiły system stron świata, barw symbolicznych i sił sprawczych, oraz ich hierarchii. Zasady jego budowy są i muszą nawet być jednakowe u różnych ludów, ale szczegóły i całe opracowanie poglądów nosi na sobie piętno otoczenia bezpośredniego. Każda grupa plemienna, wychodząc z tych samych, a przynajmniej pokrewnych założeń, stwarza system, tylko jej jednej właściwy, który można poznać, zbadawszy uprzednio warunki miejscowe. Studya porównawcze, przedsiębrane dla wykrycia symbolicznego znaczenia tej lub innej barwy, tembardziej zaś początków jej użycia, lub dla zrozumienia roli pewnego zwierzęcia opiekuńczego tej lub innej strony świata, nie zdołają doprowadzić do żadnego praktycznego rezultatu. Jedyny środek znalezienia klucza do tego rodzaju wierzeń—to postępowanie Mooney'a, Cushinga, Fewkesa i in., którzy zajęli się każdy szczególnym jednym ludem i usiłują zrozumieć drogi jego myśli i jej płody, studyując związek pomiędzy poglądami a warunkami bytu—otoczeniem martwym i organicznym.

IV.

Hierarchia stron świata. Zwykle idzie ona w kierunku dziennego biegu słońca.
Wyjątki.

W powyższem przedstawieniu wypadło nam niejednokrotnie zaznaczyć, że strony świata są ułożone w pewnym hierarchicznym porządku. Północ np. uchodzi u Zuńczyków za „najstarszego brata“, po którym następuje młodszy brat zachód, później południe, wschód, góra i dół, wreszcie środek, jako istota reprezentacyjna, jest jednocześnie najstarszym i najmłodszym. I w zakłęciach Czeroków istnieje także pewna kolejność, w której są wzywane siły sprawcze, przebywające w rozmaitych okolicach: znachor przywołuje nasamprzód przedstawiciela południa, w dalszym zaś ciągu: zachodu, północy i wschodu. I punkt wyjścia więc, i kierunek hierarchii u obu wymienionych grup są odmiennie: u Czeroków strony świata idą po sobie w kierunku dziennego biegu słońca, u Zuńczyków w odwrotnym. Ale w każdym przypadku następstwo to jest podobnie rzeczą świętą, jak budowa poczwórna lub poszóstna zakłęd, jak użycie należytej barwy. Obrzęd, który-by nie uwzględnił nakazanej kolejności, był-by bezskuteczny, t.j. nie ściągnął-by oczekiwanych następstw. Człowiek pierwotny przestrzega więc troskliwie kolejności stron świata, wymaganej przez istniejące w plemienu wierzenia. W większości przypadków idzie ona w kierunku biegu słońca:

Ojibwowie ¹⁾, składając hołdy bóstwom czterech punktów kardynalnych, puszczają dym z fajki naprzód ku słońcu, później na wschód, południe, zachód i północ.

U Nawajów ²⁾ węże, rysowane dokoła świętych malowideł na piasku, idą w kierunku biegu słońca, tancerze tańczą, przestrzegając również tej zasady.

¹⁾ *Journal of Amer. Folklore* IV, str. 26.

²⁾ W. Matthews *Mountain Chant* (w *Annual Report of the Bureau of Ethnol* str. 442, 445, 432).

U Czeroków ¹⁾ szaman, zbierając zioła uzdrawiające, obchodzi znaną roślinę raz jeden lub cztery, ze wschodu na zachód, przy czem bierze korzeń lub korę ode wschodu, bo promienie słońca obdarzyły tę część rośliny większą mocą leczniczą.

Podobnego rodzaju przesady istnieją także u ludów azyatykich:

Robiąc sosy lub masło, należy mieszać je od lewej ręki do prawej, bo inaczej produkt będzie lichy ²⁾.

W Walii ³⁾ jest zwyczaj, iż chorzy składają ofiary pewnemu źródłu. Zastępca chorego powinien zaczerpnąć nieco wody w naczynie, obracając się z biegiem słońca i rzucając ofiarę przez ramię. W innej okolicy wróżą z rzucanego koła; jest to dobrą wróżbą, jeśli obróci się ono w kierunku od wschodu na zachód.

U Zuńczyków, jakieśmy zaznaczyli, panuje porządek odwrotny — zjawisko, które powtarza się i gdzieindziej, np. u Chińczyków. Nastrożca się pytanie, jakim sposobem lud ten doszedł do takiego odwrócenia hierarchii naturalnej, wskazywanej przez obrót słońca. Cushing, głęboki znawca Zuńczyków, daje wyjaśnienie tego tak dziwnego zachowania się, bo umysł ludzki w okresie pierwotnym z całą mocą trzyma się wzorów, istniejących w samej przyrodzie. Badacz amerykański mniema ⁴⁾, że każdy lud bez wyjątku układa strony świata według porządku, wskazywanego przez bieg słońca, że zatem południe idzie po wschodzie, zachód po południu i t. d. Różnica pomiędzy hierarchiami punktów kardynalnych, właściwymi poszczególnym ludom, zależy od wyboru punktu zasadniczego, od którego się liczenie rozpoczyna. Okolica świata, posiadająca największą doniosłość w codziennem życiu plemienia, zaczyna uchodzić za najstarszą, za „starszego brata“ innych; jaka zaś, zależy to od warunków czysto miejscowych. Punkt zasadniczy, raz obrany, pozostaje, pomimo wędrówek ludu, które zaczynają przeciwstawiać rzeczywistość nakazom tradycyi. Jeżeli północ była podstawową stroną świata, to w obec tego, iż punkt ten nie ulega przemieszczeniu, zachodzące zmiany będą bardzo niezuważalne. Inaczej rzeczy stoją, gdy wschód pomieszczono na czele hierarchii stron świata: ponieważ nie punkt astronomiczny jest brany pod uwagę, tylko miejsce rzeczywistego pojawienia się słońca, przeto, przy wędrówce w inne szerokości, tradycya, każąca trzymać się dawnych wzorów, a istniejąca rzeczywistość wejdą nawzajem w zatarg. Lud będzie od-

¹⁾ Mooney *Formules of the Cherokees*, l. c., str. 339.

²⁾ *Superstitions from Georgia* (w *Journal of Amer. Folklore* 1894, str. 306).

³⁾ Gomme. *Ethnology in Folklore* str. 99.

⁴⁾ H. F. Cushing: *Manual Concepts* (w *American Anthropologist* V, 315—316).

różniał dwa wschody, jeden święty, tradycyjny, drugi zaś pospolity, zgodny z rzeczywistym punktem wzejścia słońca. Może się zdarzyć, iż pod wpływem wędrówki nawet kierunek stron świata będzie odwrócony.

V.

Początki arytmetyki: Teorya liczb wyłania się ze spekulacyi metafizycznych. Kosmos jako skala tonów.

Zatrzymaliśmy się nad niektórymi wyobrażeniami filozofa pierwotnego o budowie wszechświata, tylko nawiasowo przedstawiając ich konsekwencye praktyczne, ujawniające się w kulcie, i zupełnie pominięliśmy genezę takich symbolów, jak prostokątny równoramienny krzyż, kwadrat lub swastyka, które mają przedstawiać cztery strony świata, supeł lub pajak, reprezentujące u Indian cały Kosmos. Natomiast uwzględnimy szerzej rzecz inną, związaną ze świętymi liczbami, mianowicie przejście od spekulacyi kosmicznych do arytmetyki, które między innymi oglądamy w dziejach myśli greckiej, w szkole Pytagorejskiej. Teorya liczb powstała, jako ostatnie ogniwo zaciekań, które wzięły początek swój w zapatrywaniach na strukturę kosmosu. Zresztą podłoże, na którym rozwijają się pierwsze próby naukowego rozbioru przymiotów liczby, jest nieco szersze, acz tkwi we wskazanem źródle. Wiemy mianowicie, że u Zuńczyków czwórka jest symbolem, „miarą“, płaszczyzny, szóstka sił sprawczych, od których zależy powodzenie na polowaniu, siódemka — wszechświata i każdego jestestwa żyjącego, któraś z nich, może siódemka, mogłaby uchodzić za znak zupełności, wykończenia i sprawiedliwości. Powyższe liczby są tam niejako przymiotami pewnych kategorii — zmysłowych i oderwanych. Mając takie wzory, spekulacya pierwotna mogła posunąć się dalej i wszystkie pierwsze liczby zrobić także symbolami czegoś: jedynkę — słońca, które istniało przedwiecznie i wydało cały wszechświat, dwójkę — sprzeczności panujących w kosmosie i zatargu i t. d. A ponieważ liczby te naturalnym porządkiem rzeczy idą po sobie, przeto nasunął-by się dalszy wniosek, mianowicie, że ich kolejność jest wyrazem dla odpowiedniej zależności pomiędzy rzeczami i zjawiskami

kosmosu; rzeczy te powstały jedne z drugich, a zatem i ów kolejny szereg liczb uchodził-by za twór ewolucyi kosmicznej. W takiej fazie rozwoju oglądamy jeszcze naukę chaldejską i egipską, misterye greckie również hołdują takiej samej mądrości.

O ile można wnioskować, czwórka u Egipcyan, szóstka u Chaldejczyków były zasadniczymi świętymi liczbami, które niewątpliwie w pierwszym okresie przedstawiały budowę kosmosu i rozmieszczenie w nim sił sprawczych. W Egipcie nad żywiołami wody, ognia, powietrza i ziemi stały cztery pary bogów i „o wiele wcześniej, zanim Empedokles wprowadził czwórkę do kosmogonii, spekulacye fizyczne kapłanów staroegipskich w czterech bóstwach wielkiej Pent ustanowili liczbę żywiołów oraz ich kolejność we wzajemnem odosobnieniu i podnieśli je do poziomu pierwszych najstarszych bogów kosmogonii mitologicznej“¹⁾. Również nauka, wykładana podczas misteryi w Grecyi, uważała czwórkę za „źródło, które w sobie zawierało pierwiastki wiecznej natury“, za „matkę wszystkiego“—ten ostatni zwrót mowy jest nam znany z filozofii Zuńczyków co do siódemki. Spiewak Apollina, Linos²⁾, powiada, iż wszechświat w zwartości trzymają trzy δεσμῶν — proporcey—i cztery ἀρχαί i śpiewa: „w siódemce jest bóg i początek, początek i koniec, siódemka jest wszystkim na gwiazdzistym niebie w obrocie posuwającego się roku“. Lecz prócz liczb świętych takiego kosmicznego pochodzenia, znano jeszcze inne: wzięto pod uwagę kolejność pewnych stanów i ich liczbę, lub liczbę przymiotów bóstwa i stworzono nowe symbole ilościowe, niekiedy zlewające się z poprzedniami, niekiedy od nich różne. W Chaldei³⁾ każde bóstwo posiadało liczbę pewną, jako symbol swój, tak samo w Egipcie⁴⁾ każde jestestwo i każdy stan, nawet każda trawa lecznicza i każda niemoc ludzka, miały liczbę swoją, i lekarz powinien był dbać o to, ażeby liczba właściwa lekarstwa odpowiadała liczbie, charakteryzującej chorobę“. Liczby, pojęte w ten sposób, uchodziły za poczęte przez bóstwo. „Egipcyanie⁵⁾ nauczali, że wszystkie wymiary pochodzą od technienia boskiego i że bóstwo jest niepodzielną jednością, która sama z siebie wszystko zrodziła i ukształtowała. Ta niepoczęta jedność wydała kolejno liczby—nieparzystość jest jej pokrewna z powodu swej niepodzielności; natomiast w drugim rodzaju, na zasadzie kola sześciopodzielnego, liczby

¹⁾ Brugsch: *Mythologie u. Religion des Aegypten*. Lipsk 1883 I, 190.

²⁾ O. Willmann. *Geschichte des Idealismus*, Brunswik 1894 tom I, str. 275.

³⁾ *Ibidem* 28, 29.

⁴⁾ *Ibidem* 68.

⁵⁾ Hippolytus *Ref. etc.* IV, 44.

⁶⁾ *Ibidem* IV, 43.

parzyste są pokrewne z bóstwem.“ Pojawszy w ten sposób liczby, rozpoczęto zaciekania nad ich właściwościami, np. podzielnością, spekulacyjność zaś metafizyczna w sposób charakterystyczny miesza się tam i wikła z analizą naukową. Szóstka u Chaldejczyków była nie tylko symbolem budowy wszechświata i sześciokątu, figury odgrywającej taką rolę w architekturze świętej (pszczola uchodziła za obraz duszy, komórki jej plastru dają w przecięciu taką figurę), ale nadto była świętą dlatego, że w koło można w pisać sześć równych cięciw i że łączy w sobie wszelkie przymioty płodności, albowiem $1 \times 2 \times 3 = 1 + 2 + 3$ ¹⁾. Orficy ²⁾ uważali czwórkę za „matkę wszystkiego“, dziesiątka więc, która stanowi summę pierwszych czterech liczb, $10 = 1 + 2 + 3 + 4$, uchodziła za szczególnych przymiotów liczbę — niebawem ujrzemy, jak rozwijająca się arytmetyka weźmie ten charakter mistyczny dziesiątki za punkt wyjścia.

Filozofia Pytagorejczyków, ta twórczyni matematyki, wychodzi właśnie z powyżej przedstawionych zapatrywań, ażeby zbudować naukową teorię liczb i poddać rozbirowi ich przymioty. Opiera się ona na właściwościach, przypisywanych przez Chaldejczyków szóstce, rozwija wywody mistyków samotrackich o dziesiątce; wreszcie, podobnie jak kapłani egipscy, początek liczb wyjaśnia biologicznie, tj., że powstały one z nasienia (spermy), kolejność zaś ich jest pojmowana jako twór ewolucyi. Liczby były tam, jak świadczy Arystoteles, „pierwiastkami rzeczy“ ($\tau\omicron\upsilon\varsigma \acute{\alpha}\rho\iota\theta\mu\omicron\upsilon\varsigma \alpha\iota\tau\iota\omicron\upsilon\varsigma \epsilon\iota\upsilon\alpha\iota \tau\eta\varsigma \omicron\lambda\omicron\tau\alpha\varsigma$), t. j. przyczynami materialnego istnienia rzeczy; natura urzeczywistniła się z liczb ($\tau\eta\eta\ \varphi\omicron\varsigma\iota\upsilon\upsilon \acute{\epsilon}\xi \acute{\alpha}\rho\iota\theta\mu\omicron\upsilon\upsilon \sigma\upsilon \nu\omicron\tau\alpha\iota$), rzeczy są tylko naśladowaniem liczb ($\mu\iota\mu\eta\sigma\iota\upsilon \epsilon\iota\upsilon\alpha\iota \tau\alpha \acute{\omicron}\nu\tau\alpha \tau\omicron\upsilon\upsilon \acute{\alpha}\rho\iota\theta\mu\omicron\upsilon\upsilon$). Liczba zastępowała poniekąd definicyę, $\theta\omicron\rho\omicron\nu$. Arystoteles jeszcze oświadcza, iż „określenie jest pewnego rodzaju liczbą“; np. „jeśli mamy mierzyć człowieka, konia, boga, to ich liczba jest $\zeta\omicron\omega\alpha$ ³⁾. „Ponieważ, powiada Porphyrios, Pytagorejczycy nie umieli wyrazić w słowach podstawowych pojęć i pierwszych zasad, gdyż trudno je przedstawić w myśli i w mowie, przeto, według obyczaju znawców liczby i przestrzeni, szukali, dla udostępnienia nauki, pomocy w liczbach“ ⁴⁾.

Postępowanie, właściwe geometrii analitycznej, zastępowanie definicyi przedmiotu przez liczbę, wreszcie zaciekania metafizyczne, cechujące naukę magów Chaldei i kapłanów Egiptu, złożyły się na bie-

¹⁾ Willmann l. c. 68.

²⁾ *Ibidem*, 275.

³⁾ *Metafizyka*, VIII, 2, 17.

⁴⁾ U Willmanna, l. c. I 284.

rarchię pierwszych liczb dziesięciu. Jedynka była symbolem Apollina, dwójka Artemidy i t. d. Taż sama jednostka przedstawiała punkt, linii odpowiadała dwójka, bo jej kierunek dwa punkty wytykają, dla tych samych przyczyn trójka reprezentowała płaszczyznę, czwórka — bryły geometryczne. Ciało realne, do którego charakterystyki prócz czterech punktów wchodził nowy przymiot: barwa, posiadało piątkę za swoją liczbę, była ona jednocześnie reprezentantką kosmosu, jako ciała realnego olbrzymich rozmiarów. Ciała realne, reprezentowane przez jestestwa organiczne, miały nadto przymiot życia, duszy, rozplodczości, szóstka była symbolem tych kategorii, do czego może przyczyniła się jeszcze właściwość matematyczna, zaznaczana przez Chaldejczyków, iż $1 \times 2 \times 3 = 1 + 2 + 3$. Jako definicya rozplodczości, liczba ta była symbolem Afrodyty; wreszcie, zgodnie z metafizyką magów, reprezentowała ona harmonię całości, ὁλομελείαν. Na podłożu sześciu przymiotów jestestwa żyjącego zjawia się duch; przedstawiała go siódemka, która zarazem była liczbą Ateny, bogini mądrości. Pomijamy ósemkę i dziewiątkę. Wreszcie dziesiątka uchodziła za uwieńczenie szeregu, παντέλεια. „Dziesiątka — pisze Speusyppos ¹⁾ — jest doskonałością, słusznie więc i zgodnie z naturą rzeczy Hellenowie, bez uprzedniego porozumienia się, spotkali się ze wszystkimi ludźmi ze wszystkich krajów w tem, że liczą według tej liczby. Posiada ona kilka przymiotów, przynależnych takiej doskonałości“. Przymioty te są już natury matematycznej, np. przedstawia ona sumę czterech pierwszych cyfr: $10 = 1 + 2 + 3 + 4$ i t. d. w tym rodzaju. „Znaleziono — powiada H. Lotze ²⁾ — ogólny schemat, co, podnosząc się od prostego do złożonego, nadawał się do zawarcia w sobie ogółu możliwych tworów, z których każdy mógł służyć za wzór istotnym rzeczom, schemat, który te prawzory tak uporządkował, iż każdej rzeczywistości, przez miejsce jej prawzoru, jej własne znaczenie przypadło“, hierarchia zaś taka wypływała z założenia, iż „wszystkie rzeczy są jedynie różnem zrealizowaniem szeregu typów, zależnych od powszechnego prawa rozwojowego“. Na takim spekulacyjnem podłożu rzędu liczb rozpoczęto analizę ich przymiotów: podzielności, stosunku wzajemnego, wyciągania pierwiastków i t. d.

Dodajmy jeszcze jedno. Pytagorejczycy w tym samym duchu co teorię liczb, rozwijali także teorię tonów. To, że liczby rządzą wszechświatem, sprawiło, iż jest on nie tylko arcydziełem konstrukcyi, ale

¹⁾ P. Tannery. *Pour l'Histoire de la Science Hellène. De Thales à Empédocle*, Paryż 1887, str. 386.

²⁾ Lotze *Logik* Lipsk 1874, str. 236.

także harmonii muzycznej. Ciała niebieskie, od ziemi aż do nieba gwiazd stałych, tworzą oktawę kosmiczną, gdyż znajdują się nawzajem od siebie w odległościach, które odpowiadają różnicom tonu. Całość wszechświata daje więc obraz harmonji i symfonia wszechświatowa, $\delta\mu\omicron\mu\epsilon\lambda\epsilon\iota\alpha$, towarzyszy ruchom ciał niebieskich ¹⁾. Zresztą i w tym przypadku Pytagoras oparł poszukiwania naukowe nad teorią tonów na spekulacjach i mistyków chaldejskich, i greckich. Według magów Chaldei, wiosna miała się do jesieni w stosunku kwarty, do zimy — kwinty, lata—oktawy ²⁾. Misterye greckie nauczały, że lira ma siedm strun, bo tyle jest sfer nieba. Za źródło wszechrzeczy uchodziło u nich nie tylko łono matki, ale także harmonia, oktawa i stosunek 1 : 2 ³⁾. Nie wątpimy, że dalsze studia wykażą istnienie i u ludów pierwotnych pierwiastków takiego pojmowania, umysł bowiem ludzki rozwija się u niezależnych nawzajem szczepów według tych samych praw, i trudno przypuścić, ażeby doszedł tylko w paru punktach do uważania za jedno harmonii muzycznej a porządku, panującego w kosmosie.

L. KRZYWICKI

¹⁾ Willmann, l. c. 305.

²⁾ Plutarch *De an. procr.* 31, cytowany u Willmana 69.

³⁾ Willmann, l. c. 44.

KRONIKA PARYSKA.

Łatwość podróżowania wyciąga coraz częściej z domu zasiedzia-
łych Francuzów, a tem samem mnoży opisy dalekich czy blizkich
wycieczek. Ten dział literatury niewiele na tem zyskał; są to za-
wyczaj wrażenia, chwytane przelotnie oknem wagonu, ubarwione na-
wałem błyskotliwych frazesów. Zdarzają się jednak i wyjątki. Do tych
należy piękna książka profesora Hermelin'a, pod tytułem *A travers
l'Europe*.

W ciągu lat kilku, po dziesięciomiesięcznej pracy profesorskiej
autor szukał wytchnienia, przebiegając różne kraje Europy. Tym
sposobem zebrał niemały zapas wspomnień i ułożył z nich szereg ży-
wych obrazów, objętych w obszernym, pięknie illustrowanym, tomie.

Pierwsza wycieczka prowadzi go do Szkocyi; zatrzymajmy się
z nim w Edyburgu. Szkoci patrzą dumnym okiem na piękny swój
gród stołeczny: nadali mu nazwę północnych Aten. Zamek na stromej
skale przypomina im Akropolis; port przy ujściu Lethy—to Pireus; za-
toka, to morze Egejskie. Literatura i sztuka w pełnym rozkwicie
uzupełnia im to podobieństwo. Brak tylko *Nowym Atenom* szafirowego
nieba i czystej atmosfery.

Smutny pomrok ogarnął duszę turysty, kiedy na wzgórzu ponad miastem przebiegał puste komnaty Holyroadu, pełne wspomnień nieśczęśliwej Maryi Stuart, gruzy opactwa powalonego taranem Purytanów. Tu pozostały tylko sterczące zręby i wielkie okna gotyckie z wybitymi szybami. Grobowce dumnych lordów, księząt i baronów szkockich, pogruchotane w gruzy, zarosłe mchem i trawą, tarzają się w ziemi, deptane stopami obojętnych przechodniów.

W dniu sobotnim przybywa podróżnik do Glasgowa: tu uderza go dziwny obraz, istna to wystawa pijaków; po tygodniowej pracy, setki robotników włóczą się po ulicach, zalegają wybrzeża Clyde'y. Mało tu hałasu; tak piwo, jak *wisley*, inaczej działa na pijaków, niżeli wino. Tłumy snują się ponuro, postacie ich zbydlęcone.

W niedzielę rano wreszcie zmienia się obraz wczorajszy: biesiadnicy, ubrani przyzwoicie, z książką w rękę, z powagą purytańską, zdążają do świątyni. Ruch ustał, miasto jakby umarło. Statki odpoczywają w porcie, zakazane wszelkie zabawy. Jedynę zajęcie stanowią tu rozprawy teologiczne, po ogrodach i skwerach publicznych. Głos zabierają zwykle robotnicy, ci sami, którzy pili w hałach w sobotę.

Turysta nasz przebiega kolejno miasta szkockie. W Stirlingu ściga pamięć Roberta Bruce'a, pogromcy Anglików, którego pomnik panuje na wałach pod zamkiem. Stąd zapuszcza się w kraj górzysty, ów Highland, zdeptyany tylokrotnie stopami Walterscota. Kraj dziki i ponury, odtworzony wiernie w *Ostatnim minstrelu*, w *Pani Jeziora*, w *Purytanach*, że pominiemy tyle innych arcydzieł.

W ślad za wielkim powieściopisarzem szkockim podróżnik nasz, z wiedziwszy całą Kaledonię, zatrzymuje się nakoniec w Abotsford w pysznym zamku, który pochłonął całe garście sterlingów, hojnie spanych za genialne utwory. Zamek ten zowią tu ostatnim romansem Walterscota, zbudowanym z wapna i kamieni.

Poeta nabył wiejski domek nad brzegiem Tweedu, tak małeńki, że pisał w izbie, gdzie bawiła się dziatwa, gdzie muzyka rozlegała się o ściany; pomалу domek ten zmieniał postać, aż nakoniec stał się pańską rezydencją. — Na zewnątrz była to fantastyczna budowa, ale dekoracje wewnętrzne uczyniły z niej przepyszny pałac. Za ozdobę posłużyły tu arcydzieła rzeźby, nagromadzone ze starożytnych pomników szkockich, po większej części z gruzów starego opactwa Melrose.

Tam wielki poeta przeżył czas jakiś, otoczony dostatkiem, promienisty chwałą. Aż tu nagle katastrofa finansowa zmieniła postać rzeczy. — Obciążony ogromnym długiem, Walterscot nie wypuścił z rąk pióra; stawiał czoło nieprzeliczonym wierzycielom i siły mu nie starczyły. Biurko, przy którym pisał do chwili ostatniej, otoczone tu wielkim poszanowaniem.

Stargany pracą nad miarę, dla poratowania sił, odbył do Włoch podróż kosztem rządu. Za powrotem, siadł przy tem biurku, pochwycił pióro i zaczął pisać; pióro wypadło z bezwładnej ręki, poeta zrozumiał wtedy, że czas mu ustąpić do grobu.

Zachowano ze czcią pamiątkowe jego muzeum. Jest tam, między innymi, krucyfiks, który Marya Stuart przyciskała do ust na rusztowaniu. Rozmiałowany w średnich wiekach, ożywił poeta mnóstwo starodawnych podań z epoki rycerskiej, otoczył promieniem poezji gruzy odwiecznych opactw, powieści jego przyczyniły się wiele do zatarcia w umysłach fanatycznych Anglików nienawiści do Kościoła katolickiego. Od niego datują się nowe idee, poruszone w uniwersytecie oksfordzkim, na korzyść dawnych tradycji.

Ze Szkocyi prowadzi nas turysta do Londynu; w kilku rzutach pióra tak kreśli obraz ogromnego miasta z pięciomilionową ludnością: „Nikt nie powie, że Londyn piękny, chyba ten, kto się w nim urodził; a przecież to miasto niesłychanie ciekawe. Wszystko tu olbrzymie ma rozmiary, rojowisko ludzi najliczniejsze w świecie, przystań bajeczna swym obszarem. Obok niesłychanych bogactw, najohydniejsze nędze. Wielkie miasto, to wielka pustynia. Cierpiący nie łatwo znajduje tu ratunek, złoczyńca łatwo ukryje się wśród tłumu,—polem dla zbrodniarzy zarówno głuche pustkowia, jak i przeludniona stolica.

„Ileż-to milionów jednostek pożarł Londyn, ten straszny potwór. Naprózno filantropowie fundują tu zakłady, przebijają ciemne zaułki, mnożą towarzystwa wstrzemięźliwości. Można zmniejszyć zło, wykoźnić go niepodobna. Ciało nazbyt rozrosłe musi być chorobliwym!

Nasz turysta nie lubi wielkich miast; w wycieczkach, które potwarza co rok podczas letniego spoczynku, przebiega z upodobaniem to strome góry Tyrolu, to ciemne lasy Turynii, to małą Szwajcaryę nadelbiańską, zaniedbaną, odkąd przystęp do Alp helweckich stał się tak ułatwionym. Stare grody o tyle zajmują podróżnika, o ile zachowały piętno charakterystyczne. Do tych należy Wartburg, niegdyś pole popisu minnezyngerów, gdzie na ścianach średniowiecznego zamku zapasy ich odtworzone dziś pędzlem nowożytnych malarzy. W ogromnej sali przewodnik opowiada z dumą turyście, jak niedawno cesarz niemiecki ucztował tu z całym swym dworem.

Wspomnienie to napełniło goryczą serce Francuza. „Taka-to kolej rzeczy ziemskich,—pomyślał w duchu,—mały niegdyś panek feudalny, prosty Hohenzollern, został margrabią brandenburskim. Jeden z jego następców, mianowany wielkim mistrzem kawalerów teutońskich, wyrzekł się wiary, zarysował posiadłości ostrzem miecza; tak stworzyły się Prusy. Rozszerzone pod Fryderykiem III-cim, zaokrąglone klęskami

Napoleona, a następnie podbojami Bismarcka, Prusy stały się potęgą, a Hohenzollern dzisiejszy zaszczyca odwiedzinami ów gród feudalny, w którym pradziad jego nieznaczącą odgrywał rolę.

Marburg zajął żywo turystę, jako typ jednego z tych miast uniwersyteckich, których mnóstwo naliczyć można w zachodnich Niemczech, gdzie centralizm nie zatarł odwiecznych tradycji.

„Szczęściem dla mnie—mówi autor,—wakacje niezaczęły się jeszcze, gdy przybyłem do miasta. W ulicach snuła się młodzież w różnobarwnych kaszkieciakach: czerwonych, żółtych, błękitnych i fioletkowych, stosownie do fakultetu, na jaki uczęszczają uczniowie. Takie wązkie szarfy noszą, przewieszane przez ramię. Różnią się od filistrów, nie samym tylko ubiorem, ale i miną zamaszystą, głosem donośnym i mnóstwem szram na twarzy. Każdy prowadzi na rzemieniu ogromnego buldoga. Miejscem ich schadzki piwiarnie, gdzie przy pełnych kuflach piwa toczą zacięte sprzeczki, kończące się najczęściej pojedynkami. Student uniwersytetu pokazuje z chlubą szramy swoje; młodzi, którzy ich jeszcze nie otrzymali, zacinają sobie brzytwą policzki i czoło, aby nie być przedmiotem pośmiewiska. Mimo tych szaleństw, uniwersytety niemieckie wyrabiają ludzi, pożytecznych społeczeństwu w rozmaitych zawodach. Młodzież spełnia moc kuflów, bije się zawzięcie, ale i pracuje z nie mniejszą energią. Tym sposobem wychodzą ze szkół całe legiony uczonych; można zarzucić im pedantyzm, lecz przyznać trzeba, że na polu erudycji zajmują w świecie pierwszorzędne stanowisko“.

Turysta, szukając z upodobaniem dróg mało znanych, w jednej z letnich wycieczek zapuścił się do Polski. Przez Morawię dotarł nasamprzód do Krakowa. Zachwycony widokiem średniowiecznych gmachów i kościołów, opisuje wszystko szczegółowo, przygląda się pilnie zabytkom, przechowanym w sukiennicach, zajmuje go również lud wiejski w malowniczej odzieży, której ślady znikają dziś po różnych krajach. Wieliczka zaciekawała podróżnika; przebiega podziemne jej galerye, jedyne, jakie widzieć można w świecie; opuszcza nakoniec Kraków, parę dni zatrzymuje się w Częstochowie. Wypadło to w pierwszych dniach września, kiedy pobożne pielgrzymki ściągają na Jasną Górę przed narodzeniem N. Panny. Odwiedza pilnie skarbiec; nie zapomina tu historycznych wspomnień, przywiązanych do cudownego miejsca.

Warszawa miłe obudziła wrażenie w podróżniku francuskim. Wiśła zadziwia go wielką przestrzenią. Chcąc poznać dokładnie jej brzegi, wsiada na statek, płynie do Włocławka, zatrzymuje się w Płocku, zwiedza odwieczny gród, wspomina jego dziejową przeszłość. Opis

kraju naszego zajmuje przeszło pięćdziesiąt stronic w obszernej księdze. Styl żywy, pełen barwy miejscowej, dodaje wartości obrazom; niektóre z nich dopełnione piękną ilustracją.

Pod tytułem *Marysieńka*, ukazało pod firmą Plon i dzieło pana Kazimierza Waliszewskiego. Jest to obszerny życiorys Maryi Kaziemierzy d'Arquien małżonki króla Jana. Autor, na tle historii zdarzeń z drugiej połowy siedemnastego wieku, przebiega długie pasmo życia królowej, od chwili, kiedy małym dzieckiem, w orszaku Maryi Ludwiki z Gonzagów, zaślubionej przez prokurację z Władysławem IV-tym, wyrzuciła po raz pierwszy Warszawę, do czasu, kiedy po śmierci Jana Sobieskiego pożegnała kraj nasz na zawsze, przeniósłszy się naprzód do Rzymu, następnie do Francji, gdzie dokonała życia.

Nie możemy w kronice naszej wdawać się w rozbiór obszernego dzieła; zostawiamy to erudytom, lepiej od nas wtajemniczonym w dzieje tej epoki, nad którą blaskiem słonecznym przyświeca postać króla Jana.

W chwili, gdy to piszemy, nie wiemy jeszcze, jak krytyka tutejsza przyjmie świeżo wydane dzieło, tak ściśle połączone z historią Francji w epoce Ludwika XIV-go. Wpadły nam jedynie w oczy ogólnikowe pochwały publicystów tutejszych, chciwych wrażeń, którym piękna i skrzętna *Marysieńka* dziwnie jakoś przypadła do smaku; ci apolożyści utyskują tylko, że, mimo otrzymanej naturalizacji, narodowość autora zamyka mu podwoje pałacu Mazariniego, i nie daje mu prawa do zajęcia krzesła w gronie czterdziestu nieśmiertelnych.

Co do nas, odsuwając wszelki pogląd krytyczny, poprzestaniemy tylko na wskazaniu, w jaki sposób autor pojmuje dzisiejsze zadanie historyka. Oto wstępne jego słowa do czytelników:

„Łakomi jesteście dokumentalnej psychologii; zasiądźcie do stołu, będziecie po królewsku ugoszczeni. Muszę tu jednak uczynić zastrzeżenie. Jest to to kęs historii, *tranche d'histoire*, mówiąc językiem modnym. Tu ówdzie przygotowałem go na seryo, ale nie znajdziecie w nim dokumentów, w literalnym znaczeniu słowa, z jakimi oswoiły nas dzisiejsze publikacje. Wywołując z przeszłości postać mało nam znaną, ukazując ją w świecie, nie wiele was, jak myślę, obchodzącym, przyjąłem formę nową, która w części jest próbą, w części wyznaniem

mojej wiary“.— „Pytałem sam siebie, czy, oddalając się od wzorów, jakim dzieło historyczne zawdzięczało niegdyś zdobytą sławę, a przyjmując metodę, jaka opanowała dziś umysły skutkiem rozkwitu nauk ścisłych, nie idziemy drogą fałszywą, również jak poprzednicy nasi. I cóż zyskaliśmy na ścisłości? mniej zapewne, niż utraciliśmy czytelników.

„Opierać historię na pewnikach, jakie daje fizyka lub chemia, to pomysł zuchwały i próżny; pošlijmy naprzykład do Kamczatki dziesięciu uczonych z lunetami, by zbadali zaćmienie słońca, przyniosą dziesięć obserwacyi, różniących się może o ćwierć sekundy. Na tem buduje się astronomia. Badajmy tymczasem dziesięciu świadków zdarzenia, które poruszyło ulicę; każdy raport całkiem odmienny. Z takich świadectw tworzymy historię.

„Godziż się stąd wnosić, że historia nie zamyka w sobie ani cząsteczki prawdy? Nie pisał-bym jej, gdybym tak sądził. Ale ta cząstka, zdaniem mojem, polega raczej na intuicyi. Stąd wnoszę, że sposoby kompozycyi artystycznej nie tylko są tu dozwolone, ale wskazane. Trzymając się tej zasady, wprowadziłem nawet dyalogi do opowieści mojej! Wywoływać, odtwarzać życie, to pierwszy nasz obowiązek; tego nie dokonamy, trzymając się niewolniczo martwej litery dokumentów“.

Taki programat głosi Waliszewski na wstępie do dzieła historycznego; jak mu odpowiedział, niech osądzą kompetentniejsi od nas sędziowie.

Przytaczamy tu jeszcze legendę, pomieszczoną na ostatniej stronie dzieła. Autor wziął ją z biografii Jakóba i Konstantego Sobieskich, ale nie ręczy za jej wiarogodność.

Było to w maju w r. 1716. Jeszcze zwłoki króla Jana spoczywały pod sklepieniem klasztoru Kapucynów, w Warszawie, zaczem je sprowadzono na Wawel, w r. 1733. Późnym wieczorem furtyan zakonny czuwał u bramy, kiedy nagle zbudził go dzwonek. Zerwał się z miejsca, otworzył bramę, ale nie spostrzegł już nikogo, ujrzał tylko w progu skrzynię z czarnego drzewa, widocznie tam złożoną. Rozbudził zakonników; otworzono skrzynię: była w niej trumna obita jedwabiem a w trumnie ciało starej kobiety. Na czole jej świecił djadem, u stóp leżało berło i ręka sprawiedliwości, w usta zmarłej włożono medal z wrytem imieniem. Był to trup Marysienki.

Kto go przywiózł, zostałoto zagadką: Archiwa polskie milczą zupełnie o tem.

Kończący się wiek, zachował tu dotąd krzepkiego przedstawiciela w Ernście Legouvé, nestorze Akademii francuskiej. Urodzony w roku 1807, mimo lat z górą dziewięćdziesięciu, nie złożył dotąd pióra, włada niem silnie, a co ważniejsza, świadek tylu przewrotów w kraju własnym patrzy z pełną wiarą w przyszłość Francji, o której powątpiewa tak wiele zgoryczonych umysłów, owianych pesymizmem.

Życie całe, poświęcone systematycznej pracy literackiej, utrzymało tę wiarę w stuletnim blisko starcu. Mamy na to dowód w wydanej książce pod tytułem *Ostatnia praca, Ostatnie wspomnienie*. Wszystko tu tchnie niezmaconą pogodą, nie mąci jej myśl, że kres dni już tak blizki; „Francya żyć będzie, żyć musi“, on w to wierzy i to mu wystarcza.

W tej książce, tylko co wydanej pod firmą Hetzel, Legouvé przypomina, jak w roku 1881, kiedy powstała w Sèvres szkoła normalna, przeznaczona dla pańien, władza uniwersytecka powierzyła mu dyrekcję nowego zakładu, z tytułem Generalnego Inspektora. Wahał się długo z przyjęciem obowiązku. Kto się urodził w roku 1807—mówił, nie ma prawa kierować niczem, ósmy krzyżyk nie próżno ciąży mu już na barkach“ Daremny był opór; władze odpowiedziały mu, że, jeśli szkoła normalna powstała w Sevres, nastąpiło to wskutek jego inicjatywy, głoszonej wielokrotnie o potrzebie wyższych nauk dla kobiet.

Ustał nakoniec Legouvé; przez lat czternaście oddawał się gorliwie szkole sewrskiej; przed dwoma laty dopiero, gdy ukończył rok dziewięćdziesiąty, uchylił się od obowiązków. Wtedy zebrał wykłady swoje, brane dowolnie z literatury różnych czasów, i ogłosił je pod tytułem *Ostatnie prace, Ostatnie wspomnienia*. Wszystko tu drga życiem i samoistnym poglądem. Czy to przebiega bajki Lafontaine'a, czy tragedye Kornela, czy zaznacza wpływ J. J. Rousseau na epokę dzisiejszą czy ocenia genialne utwory Lamartine'a Wiktora, Hugo, umie z każdego przedmiotu wykrzesać żywą iskierkę, wydobyć myśl dotąd nieużyta.

Na szczególną uwagę zasługuje tu obszerny ustęp, pod tytułem: *Historja Napoleona 1-go*, do czasu jego śmierci. „*Requiescat in pace!*“ mówi Legouvé, nie można tego zastosować do wszystkich umarłych. Pośmiertne życie Napoleona, podobie jak i rzeczywiste, równie zmiennym ulegało kolejom“, Tę pozagrobową biografię kreśli autor według tego, co sam widział i słyszał. „Krewna moja,—przypomina tu,—opowiadała mi, jak, siedząc raz w ogrodzie tuileryjskim w roku 1813, widziała

cesarza przejeżdżającego otwartym powozem do pałacu ciała prawodawczego. Ubrany był paradnie w czarny płaszcz aksamitny; miał na głowie tok z pióropuszem; błyskał na nim pyszny dyament Regenta. Owóz tłum powitał go oznakami niechęci, wstręt ogarnął faleszlachty, jak i mieszczaństwa. Lud tylko wiejski i armia pozostali wierni cesarzowi.

„Ubiegło lat kilka. W ostatnich dniach maja 1821 roku Francya przywdziała żalobę, kraj zalewał się łzami. Cesarz umarł 5 maja na wyspie S-tej Heleny: wieść o tem przeniknęła serca najwyższą boleścią. Czem wytłomaczyć nagłą zmianę? Cóż zaszło, że człowiek, przed lat dziesiątkiem znieawidzony, tyle łez wyciskał w narodzie? I jakież tego powód? Otóż w pasmie tych lat stoi Święta Helena.

„Ta wysepka nie mniej znaczy w życiu Napoleona, jak Marengo i Austerlitz. Święta Helena uczyniła go męczennikiem, a jego wrogów oprawcami. Tam stał się dla poetów Prometeuszem, przykutym do skały, drugą Joanną d'Arc w pośród płomieni. Ku Świętej Helenie biegły nieśmiertelne głosy wielkich liryków europejskich, jak Byron i Manzoni, Wiktor Hugo, Beranger, Kazimierz Delavigne. Nakoniec ze Świętej Heleny wyszła Księga, ów sławny *Memoryał*, który wstrząsnął całą Francją. Kto wtedy nie żył, pojąć tego nie zdoła. On sam ukazał nam się na tych stronicach, słyszeliśmy głos jego, każde słowo było wyrocznią. Ze szczytu skały swojej głosił sądy, wynagradzał zasługę. Z uwielbieniem łączyła się litość głęboka; kogóż nie rozrzewniał widok męża, porzuconego przez żonę, ojca, rozłączonego z dzieckiem? Gdyśmy czytali, że nie mógł bez łez wspomnieć syna, serce na gwałt nam uderzało. Taka była potęga tej wysepki, że okręty zbaczały z drogi, by uczcić ją pokłonem. Nie jedni odbyli tam pielgrzymkę. Widziałem, z jakim poszanowaniem rozdawali jedni drugim listki wierzby, co odcieniała grób na S-tej Helenie.

„Pod wpływem tych uczuć spełnił się dziwny fenomen. Umarły wstąpił w życie czynne, stał się naczelnikiem stronnictwa. Liberaliści obrali go za sztandar. My, młodzi, nie rozumowaliśmy nad tem; miłośnicy liberalizmu, byliśmy wszyscy Bonapartystami; przewodcy opozycyi trzymali z Napoleonem, jednali sobie lud i wojsko. Sławili w nim pogromcę Europy, twórcę kodeksu cywilnego, słowem, kiedy w dniach lipcowych Paryż rzucił się na starą monarchię, śmiało rzec można, że stanął na czele tłumów jeniec ze Świętej Heleny“.

„W parę miesięcy potem, — ciągnie Legouvé, — Bonapartyści wnieśli do izby projekt sprowadzenia zwłok ce-arskich. Izba odmówiła, prochy pozostały na wygnaniu; lecz Napoleon pojawił się we Francyi nagle na wszystkich teatrach paryskich; w Odeonie, Wodewilu, Rozmaitościach, nawet w dziecińczych szopkach wystawiano jakąś chwilę z życia

cesarza. Lud tak się zapalał do tych widowisk, że kiedy w dramacie Prevost wystąpił w roli Hudson-Lowego, jeden z widzów poniósł pięść na nikczemnika i wołał z gniewem: „drogo mi to przypłacisz“.

Śmierć księcia Reichstadt odnowiła niezagojone rany

Po raz drugi w r. 1840, głos powszechny żądał od Izby powrotu zwłok cesarskich. Opór był niepodobny. Zawotowano milion franków na daleką wyprawę. W końcu tegoż roku syn królewski, książę Joinville, dostawił do Paryża prochy gorąco upragnione. Rzekł-by kto, że monarcha wraca w tryumfie do stolicy i słońce grudniowe zabłysło, jak w dniu Austerlickim. Wóz żałobny wtoczył się przez bramę tryumfalną, przy pokłasku nieprzeliczonych tłumów, otaczały go szczątki dawnej armii. U Inwalidów czekały władze wojskowe i cywilne, sądownictwo, członkowie Izby prawodawczej i wszystkie działy Akademii. Cała Francya pochyliła głowę przed trumną. Requiem Mozarta uwieńczyło apoteozę.

Zapadł mrok, cisza zaległa miasto, ale w umysłach nastąpił dziwny rozstrój; Francya miała dwóch królów: jeden panował w Tuileryach drugi pod sklepieniem Inwalidów.

„Po tym wielkim tryumfie nastąpił nowy,—dodaje Legouvé.—*Historya Cesarstwa*, wydawana przez Thiersa od roku 1845, ukazała w cesarzu, nie tylko słynnego pogromcę, ale zarówno wielkiego organizatora i prawodawcę. Tu historyk wyszczególnia twórcze jego pomysły, dokonane w porządku społecznym: ustanowienie konkordatu, rekonstrukcję wszechnicy sorbońskiej i ostateczne ogłoszenie kodeksu cywilnego, zmiany w urzędzeniu finansów. Chwała jego urosła; pamięć samowoli zatarła się wobec zasług, z których naród korzystał; wiele wyższych umysłów podzielało ogólny zapał, kiedy wybuchnęła rewolucya 1848 roku. Zaledwie że tron runął, wystąpił na widowieństwo olbrzym, zagrzebany pod sklepieniami Inwalidów. Cztery piorunujące akta, wielkie jak kampanie włoskie, zaznaczyły wstęp jego do historyi.

W czerwcu, pod jego wpływem, bratanek powraca z wygnania. W październiku mianowany członkiem Izby, w grudniu prezydentem rzeczypospolitej; w lat cztery podejmuje koronę cesarską.

„Potężny cień Napoleona,—dodaje Legouvé,—w ciągu lat dwudziestu zdruzgotał tron, powalił republikę, ufundował dynastyę. I cóż mu pozostało? Niepodobna wspinać się wyżej, trzeba ustąpić. Tu w nowej postaci pojawia się zagrobowe życie.

„W miejsce głoszonych apoteoz, jawią się krytyczne rozprawy, strącają olbrzymią postać z piedestału. Przeciw Thiersowi występuje Lanfrey, wytyka błędy w administracyi, potępia twórcze pomysły, chłoszczę surowo politykę cesarską. Półkownik Charras idzie dalej! w księdze o Waterloo zaprzecza Napoleonowi wielkich militarnych zdolności;

Hrabia Haussonville mieni go okrutnikiem w stosunkach z Piusem VII-mym. Ogłoszone korespondencye cesarza nowy oręż podają w ręce wrogów. Nakoniec wojna 1870 roku zadała pamięci jego cios ostatni. Głos powszechny uczynił go odpowiedzialnym za klęski narodowe. Nienawiść Niemców, obojętność państw europejskich, to w oczach ogółu następstwa złowrogiej polityki cesarskiej; Sedan stał się dlań nowem Waterloo—potęga olbrzyma runęła wraz z dynastyą, w tym dniu Napoleon umarł po raz drugi, w tym dniu skonał na zawsze!

„Tak głoszono przed laty kilku,—dodaje Legouvé,—odtąd rzeczy całkiem się przemieniły; Sedan pokryty niepamięcią, równie jak udział w klęskach 1870 roku. Napoleon zapalił znów wyobraźnię; on panuje, dawną opromienion aureolą, a co najważniejsza w tej apoteozie, oto, że *Bonapartyzm* nie zyskał nic na tem rozbudzeniu *Napoleonizmu*. Stronnictwo upada, ale przetrwała cześć ogarnia wszystkie warstwy. Rozkwitła dziś literatura Napoleńska“.

Legouvé zamyka dzieło swoje rzutem oka na prace, dokonane we Francyi w ciągu stu lat ostatnich. „W chwili, mówi on, kiedy dobiega do kresu wiek, który przeżyłem niemal cały, czuję potrzebę ogarnąć oczyma jego całość. Zapytuję więc, jak to stulecie przedstawia się wobec potomności, jaki udział przyniesie w genialnych pomysłach i wynalazkach do skarbcza naszej chwały intelektualnej; mówię intelektualnej, bo w badaniu mojem nie wyjdę za obręb literatury i nauki“.

„Lamartine i Wiktor Hugo, to genialni twórcy poezyi lirycznej dziewiętnastego wieku. Wkoło tych dwóch przewodników błyszczy cała grupa samoistnych osobistości, jak Alfred de Musset de Vigny, Beranger, Gautier, Delavigne, Lecomte de Lille,—wymieniam tylko zmarłych,—każdy z nich ma własny charakter, każdy własną przyswieca chwałą“.

Nie przebacza tylko Legouvé zuchwałym promotorom nowej szkoły. Zastęp nowatorów—mówi on,—występuje dziś na widownię pod nazwą dekadentów, wybornie doń zastosowaną; czepia się zażarcie naszych aleksandrynow, szarpie je, rozdziera na części. Dnia jednego, Lecomte de Lisle rzekł do mnie w sali akademickiej, chwytając się rozpaczliwie za głowę: „Ci ludzie doprowadzają mnie do szaleństwa!“ „I cóż nas uwolni od tego nawału barbarzyńców?—zapytuje poważny krytyk.—Oto styl Wiktora Hugo i talent jego wiernych. O tę opokę rozbijają się wszystkie rozkielznane popędy—pozostanie z nich tylko pian!“

Od poetów przechodzi autor do innych działów literatury, do powieściopisarstwa, historii i nauk ścisłych. Zaczyna od powieści, cofa się wstecz, aby określić jej rodowód. „Po ekliwym romansie wieku XVII, mówi on, w którym panna Scudéry skreśliła obraz wyrafinowa-

nego dworu, w wieku następnym wystąpiła literatura powieściowa. Ukazał się Gil--Blas Le Sage'a, po nim romanse Woltera i Diderota, Nowa Heloiza Jakóba Rousseau, nakoniec Manon Lescaut. Wszystkie nacechowane jednym stępem, obracają się w bezecnym kole. Le Sage pokazuje samych łotrów, Prévost zepsute kobiety, Rousseau miesza sentymentalizm z grubijaństwem, zewsząd wieje zaraza.

„Owóz nagle w tym steku miazmatów, z przed ćwierci wieku XIX-go, pojawia się pełne uroku dzieło, świeże, jak powiew wiosny: *Paweł i Wirginia*, apoteoza niewinności dziewiczej. W ślad za Bernardem de S-t Pierre występuje Chateaubriand, z równie potężną *Atalą*; pod szczęśliwą gwiazdą dwóch poetów, nowoczesne romanse wchodzą na drogę ideału.

„Płyną lata, a o to,—ciągnie Legouvé,—słynni pisarze tego wieku rzucają się na pole fikcyi romantycznej. Każły inną przedstawia stronę: Balzac—romans społeczny, Eugeniusz Sue—romans socjalistyczny, George Sand—romans namiętny, Musset—romans fantastyczny, Aleksander Dumas—romans historyczny, Feuillet i Sandeau—romans wielkoświatowy. Dodajmy tu Lamartine'a, Wiktora Hugo i Merimée'go, a mamy prawo powiedzieć, że od lat sześćdziesięciu romans rzucił na literaturę francuską blask, który dotąd nie zatarł się zupełnie. Dowodem na to świetny pogrzeb Alfonsa Daudet'a. Ogół pragnął pożegnać w zmarłym jednego z ostatnich reprezentantów idealizmu. Było to protestacją przeciw literaturze, przesiąklej zatrutym jadem, która zbyt długo brudzi książki i serca. Dość już tego! zawołał głos powszechny.

Nową protestacją stało się słuszne a niesłychane powodzenie *Cyranu de Bergerac*; w dramacie Rostand'a miała publiczność szkołę pełną wdzięku, światła i uczuć szlachetnych, słowem wyrażającą ducha francuskiego,

Na polu historii autor zaznacza zupełne odrodzenie. Wiek poprzedni wydał już znakomite prace Monteskiusza: *Ducha praw, Zarys obyczajów, Wielkość i upadek Rzymu*; dzieła wspaniałe, lecz indywidualne. Historia Karola XII i dzieje epoki Ludwika XIV, Woltera, niemniej pociągają żywą opowieścią, ale są to luźne usiłowania bez związku między sobą. Szkoła historyczna powstała dopiero w XIX wieku. Zobaczmy, jak ją określa Legouvé.

„Cztery pokolenia wielkich pisarzy występują tu po sobie, dążąc do wspólnego celu czterema odrębnymi drogami. Otwierają pochod historyczny poeci: Chateaubriand, Augustyn Thierry, Michelet.

Chateaubriand jednym rzutem oka ogarnia przeszłość, lecz to rzut oka genialny, rzekł-by kto: iskra elektryczna rozjaśnia nagle widnokrąg, najdalsze przedmioty stają żywo przed nami.

Agustyn Thierry mieni się jego uczniem, lecz go nie naśladowuje. Opowiada on długie swoje wędrówki około jedenastego wieku, owe dni, spędzone mroźną zimą w lodowatych galeryach biblioteki Richelieu-go owe skwarne godziny letnie w księgozbiorach Arsenалу i Świętej Genowefy; mówi, jak, pochylony nad stosami pergaminów, wydobywał z pod kurzawy odwieczne konstytucye, kroniki, manuskrypta i legaty, wsłuchiwał się w pieśni bardów, w rozpaczliwy okrzyk zwyciężonych, gromadził rozsypane w proch kości umarłych, aż nakoniec, po długich latach, spędzonych w królestwie ciemności, wyszedł stamtąd z oczyma zagasłemi na zawsze, ale z księgą pełną światła, ożywioną blaskiem poezyi, z *historią podboju Anglii przez Normandów*.

„Michelet odmalował się także przy pracy w archiwach narodowych; nie dosyć, że cały dzień bada dokumenta, wieczorem pozostaje sam, błąka się w salach pustych, ciemnych, jak katakumby, wciąga w siebie duszę zamartwych wieków, przelewa ją potem w swe księgi“.

W ślad za poetami Legouvé wyprowadza na widownię surowszą grupę: ta w odkrytych faktach nie szuka poezyi, lecz wyprowadza z nich ogólne idee. Do takich należą: Guizot, Fustel de Coulanges, Tocqueville, Mignet. Doktryny ich nadały wielką powagę szkole historycznej we Francyi.

Dalej idą wielcy narratorowie, na czele ich Thiers. „Nakoniec—dodaje autor—od dwudziestu lat występuje czwarta generacya badaczy, odróżniająca się od poprzednich nieprzeblaganem śledzeniem prawdy historycznej“. Ci wytrwali pracownicy przetrząsają archiwa wszystkich krajow, księgozbiory prywatne i publiczne, rodzinne zapiski, tajemne korespondencye. Z wszystkiego zdzierają maskę, rozwiązują na nowo problemata, przerabiają wizerunki wielkich ludzi, a że ich stulecia mają głównie na celu wiek XIX-sty, zaciekawiają nasze społeczeństwo.

W kilku nareszcie rzutach pióra oblicza Legouvé bogate plony, jakie ten wiek zebrał na polu nauk ścisłych. Znał on osobiście wszystkich koryfeuszów swego czasu; wymienia ich z uczuciem dumy narodowej. Naprzód występują tu słynni przyrodnicy: Cuvier i Geoffroy de S-t Hilaire; za nimi fizyk Fresnel, nowy Prometeusz, sławny z genialnych prac nad światłem; potem wielki astronom Leverrier, który z okiem wlepionem w cyfry obliczył miejsce, gdzie musi być planeta, nieznana wówczas światu, dla braku szkieł odpowiednich. Z kolei występuje Ampère, słynny badacz elektryczności, który w memoryale do Akademii nakreślił wieszczce słowa: „mogło-by służyć do przenoszenia wiadomości“—słowa, nikomu niezrozumiałe w początkach tego wieku.

Świetny szereg zakończy Legouvé imieniem prostego mineraloga, który, wsparty nauką chemii, odkrył w przyrodzie nieznaną tajemnicę i stał się się dobroczyńcą ludzkości. Tym genialnym mężem—Pasteur.

Z miłością i chlubą, stuletni blisko starzec, patrzy na wiek swój, staczający się do przeszłości. „Drogi mój dziewiętnasty wieku!—woła nakoniec z uniesieniem,—możesz spokojnie umrzeć, spełniłeś twe zadanie. Jeśli wiek XVIII, zwany przez Micheleta wielkim, gdyż potęgą pióra wywalczył równość wobec prawa, ty spełniłeś to, czego dwa poprzednie wieki dokonać nie zdołały. Otworzyłeś nam w dziedzinie sztuki i myśli twórczej nowe drogi, dotąd nieudeptane“!

W pojawieniu się na scenie Cyrana de Bergerac widzi Legouvé jutrzrenkę idealizmu, rozjaśniającą widnokrąg literacki, zaćmiony pesymistycznym pomrokiem. Wyobrażamy sobie radość, z jaką starzec powitał nowe dziełko Juliusza Bretona, malarza, poety, wydane u Lemerera pod tytułem *Savarette*. Wszystko tu nosi piętno wzniosłego ideału, i myśl przewodnia, i styl, i barwy, wzięte z przyrody, i rozprawy o sztuce, kreślone przez mistrza, który zżył się z nią, zbadał jej tajemnice i umie wyrazić w niej idealne piękno tak, jak i pędzlem.

Postacie, jakie autor przesuwa przed nami, wzięte z życia, tchną prawdą, imiona tylko pozmieniane. I któż jest ów *Savarette*? odczytajmy jego pierwszy list, pisany do młodziana, którego poprowadził z miłością na drogę sztuki, a poznamy tę piękną osobistość.

„Chcesz, mówi on, opowiem ci życie moje. Syn pastucha, urodziłem się w nędznej chacie. Nie widywałem prawie ojca, chodzącego wiecznie za trzodą, i w mróz, i w letnie skwary. A piękny był ten ojciec! piękny, istny pasterz Homera, pogodnem okiem poglądał na świat Boży. Kiedy wieczorem zanosilem mu polewkę, to gdym odchodził, kreślił mi krzyżyk nad czołem i mówił: „Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze, kochaj matkę, opiekuj się małą siostrzyczką“. Ja też czuwałem nad nią przez dzień cały, matka chodziła na najem, to w pole, to do ferm. Śliczna była moja Anetka.

„Miałem lat dziesięć, kiedy choroba zawitała do wioski naszej. Wszyscy moi pomarli; sam tylko pozostałem. Trzebaż było otrzeć łzy, ale w chwili, gdy to piszę, wracają mi do oczu.

„Wzięto mnie na pastucha krów, do fermy pana C. Znasz dobrze jego syna. Pilnując bydła, strugałem fujarki z wierzbiny, wyrzynałem na korze wzorki mojego pomysłu, później jałem wyrzynać zwierzęta z białych miękkich kamyków; rysowałem figurki na parkanie, powlekałem je wyciskami ze skabiozy. Wśród tej czynności, spotkał mnie raz jednego p. R, poborca podatków, przejeżdżający przez wieś naszą. Wpadła mu w oko pucolowata twarzyczka moja, okrążona zwojami płowych włosów; mimo nędzy, zdrowie miałem wyborne.

„Zacny p. R. pomieścił mnie w szkółce elementarnej, następnie na pensyi, gdzie kreśliłem bez ustanku, co już wpadło pod oko; później wyrobił mi w departamencie zasitek; mogłem też puścić się do Paryża.

Przybyłem tam pełen zapału; wszedłem do szkoły Drolinga, pracą i walką niezmordowaną wyrobiłem sobie nakoniec stanowisko. Starczyło mi ledwie zasobu na życie i mały kącik na poddaszu. Głód, to najpewniejszy środek przeciwko czczym marzeniom. Zmuszony myśleć o sobie, sprzedawałem po kilka franków akwarelle moje handlarzom, w bocznych galeryach *Palais Royal*, później odbierałem różne obstalunki, malowałem trupy dla szkoły medycznej i do sądu kryminalnego, raz po raz odwiedzałem morgę, popychany^o potrzebą, nie chęcią wrażeń; malowałem również portrety, ale szczególnie pociąg wiódł mnie do kraj-obrazów.

„Kiedym zebrał małą kwotkę, przeniósłem się na wieś. Dobre to były czasy! Kilka szkiców, nakreślonych z natury, przyniosło mi jaki taki dochód, pracowałem żazarcie. Posyłałem obrazki moje na doroczną wystawę; przez lat kilka nikt na nie ani spojrział. Nakoniec w r. 1860 trzoda owiec ściągnęła powszechną uwagę. Świat wtedy uśmiechnął się dla mnie; podczas wystawy stałem się już głośnym. Towarzysze przedstawili mnie paniom, poznałem wtedy panią Hervin i córkę jej Marcelinę. W parę dni potem ojciec panienki, adwokat, nabył mój obraz, a ponieważ wystawiłem i parę pastel, zażądał ode mnie portretu córki. Jaka to była radość moja!

„Panienka skromna, pełna wdzięku, uprawiała muzykę, lubiła malarstwo. Znasz dobrze jej portret; widziałeś te rysy, pełne wyrazu, oko błękitne, włos płowy, cerę świeżą, jak kwiat na wiosnę. Kiedy śpiewała, głos jej dzwonił mi w sercu, poruszał je do głębi. Szalałem za nią, i ona mnie ukochała. Otrzymałem jej rękę—byłem prawdziwie szczęśliwy.

„Po dwóch latach małżeństwa, spędzonych w ciszy wiejskiej, nowa nas czekała radość. Żyliśmy w słodkim oczekiwaniu. Jedna chwila zniweczyła wszystko. Marcelina umarła—nowonarodzony synek poszedł za nią do grobu! ja pragnąłem umrzeć. Długi czas nie widywałem nikogo, prócz nieszczęśliwych rodziców; odrzuciłem pędzle, chciałem pisać,—nie mogłem, Słowa kreślone o niej rozdzierały mi serce. Noc czarna zapadła nade mną. Nie dość wtedy wierzyłem w nieśmiertelność duszy. Nigdy jej nie widziałem we śnie, później dopiero zjawiała się przede mną jej postać; odtąd nie wątpię, że się kiedyś spotkamy.

„Przestałem malować przyrodę, nie mówiła nic do mnie. Jesień i zimę przeżyłem w dzikiej rozpacz. Nie opuszczałem wioski, gdzie Marcelina chciała być pochowana, gdzie mieliśmy oboje złączyć się w jednym grobie,

„Rozkwitła wiosna, nie pomyślałem o wystawie. I dla kogoż miałem się popisywać? Sztuka jednak stała się dla mnie jedynem uko-

jeniem. Gwałtem przymuszałem się do niej, pomału dopiero odczułem jej urok.

„Praca powróciła mi siłę. W miarę wysiłku, miłość przyrody rozbudziła się we mnie. Odzyskałem dawne powodzenie. Odbieram na raz świadectwo, przechodzące zasługę moją, nie jestem na to obojętnym, pracuję jednak do końca, choć w ukryciu.

„Publiczne klęski zbudziły mnie do życia. Jakkolwiek przeszło czterdziestoletni, zeciągnąłem się do służby czynnej, walczyłem pod dowództwem Faidherba w morderczej bitwie pod Saint-Quentin; widzę jeszcze Skaldę pełną trupów. Wojna to rzecz okropna!”

List ten dał nam poznać idealną postać Savaretta; łatwo zgadnąć, że to postać wzięta z życia rzeczywistego. Breton uczcił w niej pamięć przyjaciela.

W wycieczkach po kraju poznał Savarette genialne dziecko, ośmioletniego Janka, syna zamożnego włościanina. Artysta pozyskał zaufanie rodziny, pod kierunkiem jego chłopiec pobiera nauki szkolne; ukończywszy je, udaje się do Paryża, wchodzi do pracowni jednego z pierwszorzędnych malarzy. Savarette czuwa nad nim, jak ojciec, odwiedza go raz po raz, śledzi jego postęp w sztuce, usiłuje uchronić go od niebezpieczeństwa, na jakie młodzian narażony w gorączkowym społeczeństwie paryskim. Troskliwość opiekuna nie uchroni przecież Jana od ciężkiej próby. Młodzian spotyka w galeriach Luwru dorodną i zalotną Niemeczkę, o mało że nie wpadł w jej sidła. Szczęściem dla niego, w dniu umówionej schadzki, stryj wietrznicy, wplątany w jakieś finansowe matactwa, opuszcza nagle Paryż i uwozi bratanek. Wówczas to Jan poznaje śliczną i utalentowaną Gabryelę, idealną dziewiczej niewinności. Serce młodziana uderza nieznaną dotąd siłą; pewien wzajemności, pracuje z rozbudzonym zapałem. Jako zwycięzca konkursowy, wysłany na trzy lata do Akademii francuskiej w Rzymie, opuszcza Gabryelę. Młoda para zamienia listy. — Co rok wypoczynek letni przynosi im radość prawdziwą, ukrzepia ich do pracy.

Minęły długie lata rozłączenia, Jan i Gabryela stają przed ołtarzem, ubłogosławieni przez rodziców i szczęśliwego opiekuna.

Dni ich ułożyły się niby kwiecisty wianek. Lato spędzają w malowniczej Bretanii, Savarette towarzyszy im, wszyscy pracują, każdy na swoim polu.

Savarette odżył; widok szczęśliwych serc napełnia go dawno zapomnianą radością. Od czasu ciężkiej żaloby nie zaznał takiego upojenia; przerażony, zapytuje sam siebie: czy to zbudzone życie nie ubliża pamięci Marceliny. Wraca do wioski swojej — u grobu ukochanej pracuje z zapałem, rzuca na płótno coraz to nowe arcydzieła.

Małżonkowie zostali w Bretanii. Dnia jednego otrzymują depeszę o nagłej chorobie opiekuna; pośpieszają, nie tracąc chwili—niestety, za późno. W dziedzińcu tłoczy się lud, drzwi sieni obite całunem, na stole krucyfiks.

Artyści i przyjaciele z Paryża otaczają w sali otwartą trumnę. Rysy ich skurczone boleścią, łzy płyną im z pod powiek. Oblicze tylko zmarłego tchnie, jak zwykle, głębokim spokojem. Usta złożone do uśmiechu, czoło jakby opromienione aureolą.

„Jak on piękny!“ poszepnie Jan do Gabryeli; oboje uklękli przy trumnie odmówili cichą modlitwę. Z dreszczem zachwytu odczuli nieśmiertelność, i patrzą na tryumf przyjaciela, złączonego na wieki z drogą mu Marceliną.

Uroczyście odbył się żałobny obrzęd; przy dźwięku melodyi Mozarta złożono trumnę w grobie

Młoda para posłyszała od domowników, że w ostatnią noc przed skonem chory w gorączkowym marzeniu powtarzał imiona Jana i Gabryeli. Nad ranem odzyskał przytomność i skonał z imieniem Marceliny na ustach.

Czując się dotkniętym śmiertelnie, przywołał proboszcza i prawnika; naprzód dopełnił religijnych obowiązków, potem złożył na piśmie ostatnią wolę swoją. Dom i ogród przekazał młodej parze. Hojnie obdarzył Instytut francuski fundacją na zachętę dla artystów, inne summy przeznaczył na dobroczynne zakłady.

Juliusz Breton godnie uczcił pamięć mistrza, otoczył go promieniem ideału. Postać to rzeczywista, drgająca życiem; imię tylko zmienne pozostało dla ogółu tajemnicą.

Dwie wystawy sztuk pięknych dobiegają do kresu w chwili, gdy kończymy kronikę naszą. Obie odbyły się tego roku w ogromnej galerii machin, na polu Marsowem, ale całkiem oddzielnie. W dwóch katalogach znajdujemy do 10,000 zapisanych przedmiotów, licząc w to olejne płótna, rzeźby, akwarelle, rysunki i t. p.

Trudne zadanie sprawozdawcy wobec tylu dzieł, razem nagromadzonych, poprzestaśmy więc na wymienieniu kilkunastu celniejszych utworów. W ogólności wystawa tegoroczna przyjemnie sprawiła wrażenie. Jeśli niema tu bijących w oczy arcydzieł, stanowiących przełom

w sztuce, za to i liczba dzieł bez żadnej wartości mniejsza w tym roku niż w poprzednich czasach bywało.

Co do rodzaju sztuki, wszystkie tu przedstawione. Mamy znaczną liczbę obrazów religijnych, scen z życia ludu wiejskiego i rze mieślniczego, udatnych krajobrazów i marynarek; uderza, jedynie wielkie ubóstwo w obrazach historycznych, stanowią przecież wyjątek ustępy z epoki pierwszego cesarstwa; łatwo to wytłómaczyć rozbudzoną w literaturze legendą Napoleońską. Szczególną zwraca uwagę bitwa pod Waterloo Flaminga, pełna ruchu i życia. Uderza w oczy oddział ułanów polskich, w dzielnym starciu z piechotą angielską.

Inny obraz, Weissa, pod tytułem „Dwaj mocarze“, pokazuje spotkanie Napoleona z Piusem VII, w lesie fonteneblowskim. Cesarz w zielonym mundurze gwardyi wysiada z karety, otoczony przyboczną strażą; z poszanowaniem wita wysiadającego z karocy Ojca Świętego, ukazuje mu miejsce obok siebie. Scena to wybornie wykonana

Na innem wielkiem płótnie widzimy powrót zwłok cesarskich: orszak ciągnie do kościoła Inwalidów wśród niezliczonego tłumu.

Medal honorowy otrzymał Henner, słynny z oryginalnego kolorytu. Od dawna należał mu się ten zaszczyt. W tym roku wystawił lewitę Efraima nad ciałem zmarłej żony, idealnie pięknem w martwocie swojej. Puvis de Chavannes prześcignął sam siebie. Do sławnych scen z życia Świętej Genowefy, zamieszczonych w Panteonie, dodał ostatnią, pełną religijnego natchnienia. Dotąd okazywał patronkę Paryża w postaci młodzieuchnej dziewczeczki, obecnie widzimy ją w podsztych latach. Noc, księżyc w pełni oświeca okrągłedomy, rozrzucone na wyspie, stanowiącej wówczas cały Paryż; święta, obleczona w zakonne szaty, stoi w progu domu swego—oparta o parkan. Z rękoma złożonemi do modlitwy, czuwa nad śpiącym miastem, błaga nad niem zmiłowania Bózego. Scena to pełna namaszczenia.

Inny wielki malarz, Dagnan-Bouveret, przedstawił Chrystusa w Emaus. Wpóśrodku siedzi przed stołem Zbawiciel, w długiej białej szacie, łamie chleb; światło tryska mu z czoła. Uczeń jeden pada na kolana, drugi cofa się przerażony, sługa, nadchodząca z misą, równym przejęta strachem. W głębi rozwija się szeroki krajobraz; po prawej ręce mistrz pomieścił sam siebie: stoi zapatrzony, żona klęczy obok niego z małym synkiem. Pomysł to wsparty na tradycyi starych mistrzów.

Jedna z wielkich sal zapełniona całą dekoracją Cormona, przeznaczoną do Muzeum historii przyrodniczej. Artysta przedstawia allegorycznie działalność człowieka w czasach pierwotnych. Na suficie zebrane plemiona: Aryjskie, Semickie, żółte, czarne i czerwone.

Na pierwszym planie człowiek pierwotny chciwie spożywa raka morskiego; kobieta, pochylona ku ziemi, szuka pod kamieniami żyjątek na pokarm. Dalej przedstawione różne epoki: lodowa, kamienna, bronzowa i żelazna. Praca człowieka rozwija się stopniowo: tu obrabia krzemień, tam ugania zwierza po kniejach, łowi ryby, kuje żelazo w kuźni galskiej, wreszcie uprawia rolę. Całość dokonana z głębokim namysłem. Koloryt szary, zato rysunek nic nie pozostawia do życzenia.

Obrazy rodzajowe z życia ludu wiejskiego mają doskonałych przedstawicieli; wymienimy naprzód Juliusza Bretona: na jednym pokazuje dziewczynę, zgiętą pod ciężarem zebranych na rżysku kłosów; na innym droga ciągnie się malowniczo wpośród chat wiejskich.—Córka mistrza, Wirginia Demont-Breton, słynna w wydziale scen morskich, wystawia krzepkiego rybaka, w chwili, gdy przybija z łodzią do lądu, wzywa braci do wyładowania ryb ułowionych. Inny obraz pokazuje młodą dziewczkę, płaszącą po morskiej fali; wszystko to pełne życia i harmonii.

Wśród scen wiejskich odznacza się jeszcze obraz Juliusza Depré, *praca na roli*; oracz zapuszcza w ziemię pług, uprzążony trzema końmi, szare chmurki przebiegają po niebie.

L'Hermitte, znany malarz ludowy, wystawia też pokłosie. Dwie pochylone kobiety zbierają skrętnie ostatnie szczątki na polu, po którym toczy się wóz, naładowany snopami; gromada żniwiarzy kończy z radością pracę, niewiasty na wozie rozprawiają wesoło. Słońce na zachodzie rumieni całą przestrzeń.

W krajobrazach pierwsze miejsce zajmuje podeszły mistrz, Harpigny, nagrodzony w zeszłym roku medalem honorowym. Wystawia śliczny poranek letni w Delfinacie. Na pierwszym planie ciągnie się łąka, z prawej strony zarosła olszyną, z lewej karłowatymi krzakami. Dalej bystra rzeka połyskuje na słońcu; w głębi wzgórze, owiane mgłą, zamykają widnokrąg

Prace młodych pejzażystów świadczą, że tym działem sztuki ma prawo pochlubić się Francja. To samo powiedzmy o portretach. Wśród wielkiej ich liczby uderza portret Generała Davoust'a, wykonany przez Bonet'a. Zwraca tu uwagę powszechną portret Juliusza Lemaitre, głośnego publicysty, pędzla Humberta, i portret ministra Hanotaux, piękny utwór Benjamina Constant.

Przejdźmy teraz do rzeźby. — Pogoń za oryginalnością nie zawsze dla sztuki pożyteczna. Dowodem na to potworny posąg Balzaka, wykonany dłotem Rodina. Jeśli rzeźbiarz szukał rozgłosu, znalazł go niewątpliwie; posąg ten poruszył setki piór dziennikarskich

i wywołał najsprzeczniejsze sądy; niektórzy pseudo-estetycy podnoszą w nim myśl samodzielną, za to *vox populi* obrzucił go szyderstwem..

Przed laty kilku, towarzystwo literackie zamówiło ten pomnik. Rodin ociągał się z pracą; rysował i lepił coraz nowe modele; nakoniec w tym roku ukazał wielki odlew gipsowy na majowej wystawie. Towarzystwo literackie, przerażone widokiem dziwoląga, oznajmiło wręcz, że przyjąć go nie może. O mało nie przyszło do procesu, ale znalazł się amator, który nabył na własność pomnik i położył koniec zatargom.

Wyobraźmy sobie kloc, wysoki na trzy metry, obwinięty szerokim szarafanem, ręce giną bez śladu. Z pomiędzy ramion wybiega okrągła kula: dwie dziury oznaczają w niej oczy, mała wypukłość daje pojęcie nosa, rzeroka jama tworzy usta, ponad tem zjeżone włosy sterczą niby cierniska. Taki-to potwór zyskał poklask kilku ekscentrycznych umysłów, goniących za nowością!

Nie sądzmy jednak, aby rzeźba we Francji zatracić miała pierwszorzędnę miejsce, jakie jej od dawna przyznano. Dostyc tu wspomnieć pyszny pomnik kardynała Lavigerie, wykonany dłotem Falguiera; mistrz prześcięgnął tu sam siebie. Kardynał, w postawie stojącej, z mitrą na głowie, w lewej ręce trzyma krzyż biskupi, który ma zatknąć na ziemi afrykańskiej, prawą błogosławi tę ziemię. Długi płaszcz układa się w harmonijde fałdy, oblicze starca, pełne majestatu, promienieje wiarą i nadzieją. To apostoł, biskup i ojciec; pomnik ten przeznaczony do Kartaginy. Jeśli odlany z gipsu sprawia wielkie wrażenie, co to będzie, kiedy, wykuty z marmuru, zabłyśnie pod słońcem afrykańskim!

Pociąga także oczy piękny pomnik Ludwika Veuillot, wykonany przez Fagueta. Popiersie słynnego publicysty spoczywa na piedestale, tu nakreślone własne jego słowa: *Wierzyłem, teraz widzę*. Z obu stron pomieszczone dwie allegoryczne postacie niewieście: Jedna, pełna krzepkiej siły, z głową podniesioną, z ręką na tarczy, wyobraża odwagę męską. Druga klęczy, oparta o krzyż, zapatrzona w niebo,—to symbol wiary; w tej natchnionej postaci rzeźbiarz odtworzył rysy siostry Maryi Lucyi, ukochanej córki Veuillot'a. Grobowy ten pomnik wykonany do kościoła Serca Jezusowego na Montmartre.

Wśród rodzajowych utworów zasługuje na uwagę marmurowa grupa Steinera, pod tytułem: *U schyłku*. Wyobraża dwóch starych inwalidów na ławeczce: wsparci o siebie, przypominają dawne czasy. Na czole ich pogoda, na ustach słodki uśmiech.

Artyści polscy w liczbie dwudziestu kilku wzięli udział w wystawie. Wymienimy tu ich prace i nazwiska:

Pan Gerson nadesłał z Warszawy dwa piękne, jak zwykle, obrazy: jeden przedstawia dwie siostry, okryte żałobą; drugi kobietę na Wschodzie. Pan Chełmicki ukazuje Napoleona, jadącego koczem po zaspach

śnieżnych, podczas pamiętnego odwrotu w r. 1812. Pan Alfred Świejkowski wystawił obraz Jana Chrzciciela i udatny portret kobiety, Pan Olpiński ze Lwowa—wodospad pod Arcey. P. Karbowski wybrzeże Sekwany. Panowie Loevy, Słupski i Przepiórski—portrety.

Oprócz powyższych olejnych obrazów, widzimy tu prace polskie w rozmaitych działach sztuki. W rzeźbach panna Marya Gerson otrzymała wzmiankę pochwalną za piękną *Ucieczkę do Egiptu*. Ten sam zaszczyt spotkał panią Alberti (Kwiatkowską) za płaskorzeźby i medaliony; pp. Tarnowski i Kossowski wystawili popiersia; p. Trojanowski kilka brązowych medalionów.

W dziale rysunków spotykamy co chwila polskie imiona: p. Feliks Jasiński, biegły rysownik, wykonał pięknie reprodukcję *Zmartwychwstania* z obrazu Burne-Johns'a, świeżo zmarłego malarza angielskiego. Panna Natalia Wiszniewska wystawiła portret pastelowy; panna Edmunda Dybowska—fiołki i chryzantemy; pani Obalska—kilka miniatur; p. Barciński—litografie, nagrodzone chlubną wzmianką; p. Dobiecki—plan architektoniczny; p. Mrówczyński—ilustracje do *Pana Tadeusza*. Ten szereg prac świadczy, że artyści nasi nie zaniedbują sztuki we wszystkich jej gałęziach.

Dodajmy tu słowa o pięknej manifestacyi artystów tutejszych, na rzecz trzech zmarłych poprzedników, którzy wielkie dla kraju położyli zasługi. Pod opieką ministrów marynarki, wojny i sztuk pięknych, powzięli oni myśl uczczenia pomnikiem trzech Wernetów: dziada syna i wnuka. Pomnik, wzniesiony kosztem publicznym, stanie w ogrodzie przed pałacem Luwru, naprzeciw mieszkania, które niegdyś zajmował Józef, po nim Karol, gdzie przyszedł na świat Horacy. Aby urzeczywistnić kosztowny pomysł, artyści urządzili w gmachu sztuk pięknych wystawę najcenniejszych dzieł pędzla, jakie po mistrzach pozostały; zebrali ich przeszło czterysta.

Najstarszy, Józef, patriarchy rodziny artystycznej, urodził się w Avignon w r. 1714. Młodo pochwyił za pędzel, oddał się z zapalem krajobrazom i marynarce. Horacy opisuje przygody z młodych lat dziadka. W przeprawie z Marsylii do Porto Vecchio, zaskoczony burzą, kazał się przywiązać do masztu, aby napić oczy widokiem rozszalałej przyrody. Po długim pobycie we Włoszech powrócił do Paryża, gdzie

przywiezione krajobrazy nie mały zjednały mu rozgłos. Z polecenia rządu. odmalował najcelniejsze porty francuskie: w Marsylii, Tulonie, Cette i Antibes. Są to cenne dokumenta historyczne: powtórzone w nich wiernie rysy ówczesnych marynarzy i malownicze kostiumy tej epoki.

Z dwudziestu dwojga dzieci, trzeci z rządu syn, Karol, urodzony w r. 1758, odziedziczył sławę ojcowską. Ze szczególnem upodobaniem malował konie i rncly wojskowe i znalazł po temu pole: *Bitwa pod Marengo*, wystawiona w r. 1804, wywołała powszechny poklask. Z równym zapalem przyjęto w r. 1808 *Poranek pod Austerlitz*, a później *Bitwę pod Rivoli*. Obrazy te, przechowane w Muzeum wersalskiem, sprowadzono na wystawę do pałacu sztuk pięknych.

Syn Karola, Horacy, urodzony w początku wielkiej rewolucyi, w r. 1789, dzieckiem pochwycił już za pędzel. W dwudziestym roku wykonał ważne dzieło: *Zdobycie reduty*.—Wkrótce potem, w r. 1814 otrzymał od cesarza krzyż legii hon., zarówno w nagrodę prac artystycznych, jak odwagi, okazanej w obronie Paryża. Pierwsze jego utwory: *Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego*, *Biwak Moncey'a*, *Pies pułkowy*, *Koń trębacza*, obudziły zachwyt powszechny. Ojciec, uszczęśliwiony powodzeniem syna, zwykł był powtarzać z chlubą: przypađ mi los wielkiego Delfina, (wnuka Ludwika XIV): syn króla, ojciec króla, nie będą nigdy królem“.

Sława Horacego rosła, w miarę jak wystawiał coraz nowe obrazy. *Obrona Clichy*, *Pożegnanie Napoleona z wojskiem w Fontainebleau*, rozwarły mu drzwi Instytutu; największy rozgłos dały mu obrazy, wykonane w Algierze w r. 1837: *Oblężenie Konstantyny*, *La Smala*, uważane słusznie za arcydzieła.

Zebrano w pałacu sztuk pięknych przeszło sto kompozycji Horacego. Są tu bitwy, studia, portrety, wykonane z niezwykłym życiem. Wielki malarz umarł w 1863 roku, nie przeżywszy na chwilę pracy.

Wystawa ta znalazła niemało powodzenia; przypomniiała trzy generacje malarzy, którzy przyczynili się do chwały kraju swego.

Artyści radzą obecnie, komu powierzyć wykonanie pomnika. To tylko pewna, że Rodin powołanym nie będzie.

Książę Broglie, członek Akademii Francuskiej, wydał obecnie u Calman Levego jednotomową książkę, pod tytułem „Voltaire, za czasu wojny siedmioletniej“.

Nowa publikacja dopełnieniem jest poprzedniej, pod tytułem: *Alians Austryacki*. W dokumentach z owych czasów autor nie znalazł wymienionego imienia Voltaire'a; gdy przeciwnie, badając poprzednio stosunki urzędowe Ludwika XV z Fryderykiem II, napotykał co chwila dowody jego czynnej interwencji.

Tak sumienny historyk jak Broglie, postanowił odkryć przyczynę tego milczenia; wyjaśnił ją dokładnie: Voltaire, zrażony obojętnością Ludwika XV i niechęcią pani de Pompadour, opuścił Francję, przeniósł się stanowczo na dwór Fryderyka. Z początku wszystko szło jak najpomyślniej: poeta ożywiał dwór dowcipem, sypał królowi pochlebstwa, płaszczył się przed nim, pewien, że wobec blizkiej wojny z Austryą król pruski zechce go wziąć, jako poufnego agenta do intryg politycznych. Spotkał go przykry zawód: Fryderyk rad był spotykać się z Voltaire'm, ale, jak mówił, tylko na *parnasie*; do spraw politycznych wcale go nie dopuszczał. Stąd w urzędowych dokumentach z tych czasów imię Voltaire'a nie wspomniane. Oburzony poeta, pochylając głowę przed królem, obsypywał go zaocznie sarkazmami, tak w listach do Paryża, jak w bezimiennych paszkwilach.—Nie uszło to uwagi Fryderyka: pociski te odpłacał szyderstwem i zniewagą.

Stosunki w końcu przybrały tak jadowity charakter, że Voltaire jął błagać o łaskę dworu francuskiego. Za pośrednictwem Choiseula król pozwolił mu zamieszkać na ostatnich krańcach Francyi, w Ferney pod Genewą. Korespondencya z królem pruskim trwała jednak, przeplatana mnóstwem złośliwych sarkazmów i bluźnierstw. Podczas wojny ustała zupełnie; gdy pokój wrócił, listy posypały się znowu. „Dwaj wrogowie Kościoła, mówi Broglie, pojednali się w imię wspólnej nienawiści ku religii. Próżność i pycha rozdzieliła ich, bezbożność przywróciła zgodę“.

Książka, napisana spokojnie, bez uniesień, pięknym stylem akademickim, podobała się powszechnie. Mało tu zapewne nowych faktów, ale zręczne ich zestawienie uczyniło ją dostępną i pożyteczną dla ogółu.

Miejsce księcia Aumale w Akademii nie przypadło, jak sądzono, żadnemu historykowi; otrzymał je znakomity rzeźbiarz, Eugeniusz Guillaume, dyrektor Akademii sztuk pięknych w Rzymie. Głośny na polu sztuki jako twórca pięknych posągów: Colbert'a, Claude-Bernarda i cudnych płaskorzeźb, zdobiących kościół Świętej Cecylii, Guillaume położył też zasługi w literaturze, wykładem w Collège de France epoki włoskiego Odrodzenia.

Zola wystąpił, jak zwykle przy wyborach, w liczbie kandydatów; tym razem nie otrzymał ani jednego głosu.

SEWERYNA DUCHIŃSKA.

Z Cyklu „Madonna“.

„*Fra Angelico*“.

Wniebowzięcie. *)

Na promieniach słońca
Rozciągnięte dłonie,
W światło wstępująca
W świetle cała tonie ..

Modrozłote blaski
Mienia się i mrużą,
Cichej pełne łaski
Anioły jej służą...

*) Galerya Uffizi — Florencya.

Służą jej w zieleni,
W szafirach jej służą,
Mżącej od promieni,
Roztulonej różą.

U stóp Pani klęczą
Rajskich dworzan chóry,
Uskrzydłone tęczę,
Rozechwiane pióry.

Przesłoneczną bielą
Lilie srebrniejące,
Same się jej ścielą
Po obłocznej łące...

Rozwarły się zorze
Jutrzennych podwoi,
Wieczności się morze
Rozwarło i stoi ..

A ona promienna,
Ni idzie, ni płynie,
Lecz taje, półsenna,
W słonecznej głębinie.

Przez piersi, przez szyję
Rozwiane w blask włosy,
A słońce ją pije
Jak raune pół rosy...

Tak stoi, Przejasna,
Na rajskiej rubieży,
Aż światłość ją własna
W błękitach rozśnieży...

Aż oczom się oto,
Na niebios przełęczy,
W biel srebrną i złotą
Rozelśni... rozęczy...

Aż w mżące przestworza
Zatai się słońca,
I tylko się zorza
Zostanie grająca...

MARYA KONOPNICKA.

Botticelli.

„Magnificat“.

A więc wielbij, duszo moja, Pana...
Ty kwiat zdeptany i lilia złamana,
Iż cię zasadził wśród ciernia i głogu...
Więc dziękczynienia głos podnieś ku Bogu,
Który ci nadał rękoma obiema
Taki dział bólu, jakiego świat nie ma!

A więc uwielbij, duszo moja, Pana,
Iż służebnicą zostałam nazwana...

Iż na schyloną i niską mą głowę
Wejrzało oko jego piorunowe...
Iż szpony błysków swych zaostrzył złote,
I z nizin — porwał mnie — aż na Golgotę!

A więc uwielbij, duszo moja, Pana,
Że ci twa męka była zwiastowana
Przez rajskich posłów, wśród cichej komnaty,
Że lilii twoich zapachły mu kwiaty,
Tak, że ku chwale twojej i twej cześci,
Z każdej łodygi miecz wywiódł boleści!

A więc uwielbij, duszo moja, Pana. .
Ty więc hyzopu i myrra wybrana,
Iż wielkie z tobą uczynił on dziwy...
Oto już szumią w oddali Oliwy,
Które Pan sadził, iżby się pod niemi,
Z kochania mego pot krwawił po ziemi!..

Odtąd wpatrzone w krzyż wbity w me łono,
Ludy nazowią mnie — Błogosławioną —
Iż służebnicę nawiedzić Pan raczył,
Serce jej przebił i mieczem naznaczył,
Iż odtąd błyszczący nad światem ta rana...

O magnificat!.. Wielb, duszo ma, Pana!

MARYA KONOPNICKA.

IGNOTUS.

„VIRGO NERA“.

A ja cię, duchu ludzki, znam,
Zaklęty w dzieło twoje...
— Tyś wyszedł z życia szerokich bram,
Przez zgasłych słońc podwoje.
Tyś wyszedł z blaskiem porannych zórz,
Zranioną stopą bosą,
I z pod wieczornych, zachodnich róż,
Co sny o szczęściu niosą.

Tyś wyszedł z progu, co ci był
Przystanią cichą, jasną,
A tyleś tylko w piersiach miał sił,
Co lampy, kiedy gasną...
Nie wiódł cię żaden cel, ani ślub,
Dwojący serca bicie,
Jedno czekało ciebie — grób,
Jednoś porzucił — życie.

Na wielkiej, pustej drodze ty
Rozstałeś się z swą dolą...
Lecz już nie miałeś ni jednej łzy,
Z tych łez, co palą, bolą.
Za tobą był twej młodości sen,
Rozwiany i daleki...
I takeś szedł, w gościniec ten,
Jak w morze idą rzeki.

Żaden za tobą nie leciał głos,
Żadnego krzyku echo...
Drzwi domu twego zamknął Los,
I dumać siadł pod strzechą.
Co wzięło życie, co wziął grób,
Rozliczać czyż pomoże?
Niejeden chodzi po świecie trup,
A żyw być trupem może...

Toczą się piany mętnych fal,
Słońce się niebem toczy...

Patrzą, a patrzą w zamgloną dal,
Niepocieszone oczy...

Kto żyć ma siłę — ten życia król,
Kto umrzeć umie — Pan skonu...
Lecz głuchy, tępy, zastygły ból.
Nie ma ni berła, ni tronu.

Z pątniczym kijem drogą swą
Idzie — za gwiazdą tułaczą...
Stokroć szczęśliwsi ci, co ją klną,
Co giną — i co płaczą!
Ale ty szedłeś, milczący gość,
Nie prosząc o gościnę
Życia, ni śmierci... Tobie dość
Płynąć — jak fale sine.

Aż w tej samotnej drodze, raz,
Schyliłeś się, człowieku,
By dźwignąć czarny, czarny głaz,
Co leżał tam od wieku.
Długoś weń patrzył. jak przez sen,
Spojrzeniem lodowatym,
Aż nagleś uczuł, że kamień ten,
Że kamień jest ci bratem.

I wstrząsły ci się w piersiach — lez
Niewypłakane zdroje,
I tak zawyłeś, jak wyje pies,
Gdy wspomni gniazdo swoje.

I buchnął dym, i buchnął żar,
I serce się rozkryło,
I powiał z niego korowód mar,
Co spały pod mogiłą.

I padłeś z jękiem na ów głaz,
Jak gdyby to pierś bratnia,
Pierś, która pierwsza z tobą wraz
Zalkała -- i ostatnia...
I to, coś kochał, i to, coś śnił,
Co było bólu gwałtem,
Wraziłeś w kamień ostatkiem sił,
Czarownym, boskim kształtem.

I cały poryw wraziłeś weń,
Do świtów, do zarania,
I całą gorycz, i cały cień,
I całą rozpacz poznania.
Sięgnąłeś duszą w najrańsze dni,
Dni szczęścia i boleści,
I lilie, co tam pachniały ci,
Wraziłeś w kształt niewieści.

Nie przyjął, nie chciał przyjąć świat
Form ducha, form zapału,
Aż oto głaz ten rozkwitnął w kwiat,
W kwiat cudny ideału.
Nie dłóto dało i nie młot
Tej czarnej bryle życie.

Lecz twój śmiertelny uścisk i pot,
Śmiertelne serca bicie.

I przyszła cicha, wieczna noc,
Żar zdmuchnąć z twoich powiek...
I w kamień weszła żywota moc,
A martwy został człowiek.
Zamknął już oczy — i jeszcze je
Na dzieło swe otwiera...
Tak po nieznanym życia śnie,
Została „Virgo Nera“.

MARYA KONOPNICKA.

HRABSTWO BIALSKIE.

I.

Przez trzy blisko wieki żadnej rodzinie, nie tylko na Litwie, ale na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej, nie służyło stałej szczęście, jak Radziwiłłom. Z każdym pokoleniem rosło jej znaczenie i dostatki i w roku 1760, po śmierci brata, ks. Michała, Hetmana W. Lit. i Wojewoda Wileński, zjednoczywszy dobra linii Nieświeskiej, Ołyckiej i Birżańskiej, posiadał majątek, jakiemu, pod względem przestrzeni i ludności, równego w Europie nie było. Ale też przez lat trzysta umieli Radziwiłłowie nie tylko pomnażać, ale, co rzadsza u nas, i zachowywać fortunę. Jeżeli ostatnia dziedziczka Birżańskiej linii, Ludwika Karolina, na krótki czas dostatki swoje wraz z ręką wniosła w dom Brandenburski i Neuburski, to jednak główne majątki jej powróciły do Radziwiłłów, a inne córki tego domu nie tylko posągami swemi nie uszczuplały jego dostatków, ale, jeżeli u nierały bezdzietne, to bogate zapisy męzowskie przekazywały swoim braciom, a często dzieci ich także zapisami swemi wzbogacały coraz możniejszy i potężniejszy ród Radziwiłłów, któremu, jak domowi Austryackiemu, można było powiedzieć: tu felix Austria nube.

Na całej Litwie jedni Sapielowie równie prawie szczęśliwie przez trzy wieki gromadzili zaszczyty i dostatki, choć te ostatni z Radziwiłłow-kiemi mierzyć się nie mogły. Inne wielkie rody, wznosząc się szybko, równie szybko wygasły, albo rozrodzone widziały dostatki najbogatszej swej linii przechodzące przez kądziel do obcych domów. Tak Kiszkiowie wygasli około 1670 r., choć zawsze możni, jednak od 150 lat widzieli Radziwiłłów wzbogaconych posagiem Anny Kiszczanki na początku XVI wieku. Tak ostatnia dziedziczka starszej linii Chodkiewiczów, synowica wielkiego Jana Karola, wniosła niezmiernie ich dobra w dom Sieniawskich, po których, choć na krótko, odziedziczyli je Czartoryscy. Tak Ogińscy i Pocięje lat sto zaledwie byli posiadaczami magnackich fortun. I Pacowie, tak możni za Michała Korybuta i w pierwszych latach panowania Jana III-go, małą część swoich dostatków przekazali ostatniemu potomkowi, który i tę resztę dla sprawy ojczystej poświęcił.

Pod jednym tylko względem przez trzy wieki nie byli szczęśliwymi Radziwiłłowicie. Po bajecznym Lizdejce, któremu genealogiści sto lat wieku liczą, i synu jego, Wojszundzie, wnuk Lizdejki, Mikołaj I Radziwiłł, miał żyć lat sto, a prawnuk jego, Mikołaj II Stary, lat 111, a nawet 117. Niesiecki podaje, że, widząc go, Aleksander król, w sędziwej, ale żywej starości, pytał się go ciekawie, jakimby sposobem w tak późne lata wiek swój przeciągnął, na co Mikołaj odpowiedział: Od młodości mojej nigdy nie bawiłem się zbytkiem, zdaleka zawsze od gorących trunków bywałem, a samą tylko wodę ze źródła pijałem. Odtąd jednak przez trzy wieki żaden Radziwiłł, wyjąwszy Mikołaja Rudego i Mikołaja Sierotki, nie dożył lat 60-ciu, i dopiero w bieżącym stuleciu potomkowie księcia Marcina i nie magnackiego rodu córki, Trębackiej, zakres ten przeszli, jak ostatni wojewoda Więski, książę Michał, zmarły w 87 roku życia w 1831 r., jak wnuk jego, zmarły w 1885, Generał rossyjski Leon, urodzony w 1808 roku a i z młodszej linii ks. Konstanty, który, licząc lat 76, przed laty 13 zszedł do grobu.

Badając wzrost fortuny Radziwiłłowskiej, widzimy, że córka Mikołaja I, † w 1486 r. dziedzica na Maśnikach, Anna, wydana za Grzegorza Tiedkonisa, umierając w roku 1492, przekazała rodzinie swojej zapisane jej przez męża Birzę, Rawę, Ukzony, Niechniewiczze i Skudutiszki. Możliwym był już Mikołaj II-gi, protoplasta dziś istniejących Radziwiłłów, kiedy jedną córkę jego, Annę, pojął za żonę Konrad, książę Mazowiecki, a drugą, Zofię Annę, Stefan Batory de Somlio, Wojewoda Siedmiogrodzki. Pierwszej synami byli: Janusz i Stanisław, ostatni z Piastów, panujący na Mazowszu; drugiej wnukiem—wielki król Stefan. Syn Mikołaja II, w 1515 roku miał nadany sobie przez

Cesarza Maksymiliana tytuł księcia na Goniądzu i Medelach, ale ostatni z jego synów, także Mikołaj, Biskup Zmudzki † 1546, dobra Goniądz, Rajgród i Knyszyn, nadane ojcu swemu przez Zygmunta 1-go, zapisał królowi Zygmuntowi Augustowi.

Drugi syn Mikołaja II-go, Jerzy, Kasztelan Wileński i Hetman W. Lit. † 1541 roku, dziedzic na Birżach i Dubinkach, po żonie Barbarze Wolskiej wziął Szczuczyn. Córką jego była Barbara, najprzód żona ostatniego z Gaszoldów, następnie królowa polska.

Wiadomo, jak Zygmunt August przywiązał się do rodziny swej drugiej żony i jak obfitym potokiem zlały się na Radziwiłłów godności i nowe dostatki. Brat jej, Mikołaj Rudy, w r. 1549 w grudniu wyjednał znowu tytuł książęcy dla siebie i dla swych braci stryjecznych, piastował nie tylko wielką buławę, ale i wielką pieczęć litewską i pierwsze w Senacie Litewskim zasiadał krzesło Wojewody Wileńskiego. Gorliwy kalwin, stał na czele potężnego wówczas stronnictwa dyssydentów i silnie opierał się Unii Narodów. Choć niemałe położył dla kraju zasługi, jednak i upór religijny, i interes familijny, już i u niego brały, jak widzimy, górę nad interesem kraju. Dwóch tylko miał synów, z tych młodszy, Krzysztof, także Wojewoda Wileński i Hetman W. Lit., dzielny wojownik, w ciągłych był sporach z Chodkiewiczami. Synem jego i Katarzyny Ostrogskiej, która mu w posagu wniosła Romanow i Kopyś, był Janusz, ur. 1579 r., który w r. 1600, po długich i groźących wojną domową zatargach, pojął za żonę Zofię Olelkowiczównę, ostatnią ze swego rodu, która wniosła mu księstwo Słuckie i Kopylskie z 7-miu miastami i 32 folwarkami, obejmujące przestrzeń, równą Województwu Płockiemu lub Rawskiemu. Choć Zofia nie zostawiła potomstwa, księstwa te pozostały przy Januszu i spadkiem przeszły na syna jego, Bogusława, zrodzonego z księżniczki Brandenburskiej, który nie słychanych swych bogactw od wejścia Karola Gustawa do Polski na szkodę kraju używał.

Drugim synem Krzysztofa był także Krzysztof, wielki wojownik, także Hetman W. Lit. Wda. Wileński; ten z Kiszczanki miał jednego tylko syna, Janusza, równie Hetmana W. Lit. i Wdę Wileńskiego, który za ojca i swoje zasługi na sejmie 1649 r. otrzymał na dziedzictwo w Województwie Smoleńskim Nowel i Siebież, mające kilkadziesiąt tysięcy ludności. Pamiętne są jego świetne zwycięstwa nad stratowanymi kozakami i wzięcie Kijowa. Ale ze szczupłym wojskiem w r. 1654 nie zdołał wstrzymać wzrastających sił Cara Aleksego, które po zdobyciu Smoleńska zalały całą Litwę i 8 Sierpnia 1655 r. zajęły Wilno i wydały je na pastwę płomieni. Ratując siebie, przeszedł ks. Janusz na stronę szwedzką, kiedy konfederacja Tyszowiecka już walczyła o oswobodzenie kraju. Oblegany w Tykocinie przez jednego

z jej wodzów, Pawła Sapiehę, swego osobistego nieprzyjaciela, strawiony chorobą i zgryzotami, w 43 roku życia Hetman zakończył smutnym zgonem dnia 31 Grudnia 1655 roku, tak świetnie rozpoczęty zawód, pozostawiając z pierwszej żony, Potockiej, jedną tylko córkę, Maryę Annę, z którą zawarł ślub wyżej wspomniany brat jego stryjeczny, Bogusław. Marya Anna zmarła, mając lat zaledwie 27, w 1667 r., w miesiąc po urodzeniu córki, Ludwiki Karoliny, która, po zaszłej w dwa lata później śmierci ks. Bogusława, wychowywała się w Berlinie pod opieką Elektora Brandenburskiego, i w r. 1681 zaślubioną została jego bratu, Margrabiemu Ludwikowi, a gdy ten zmarł w r. 1687, rękę swą przyrzekła królewiczowi Jakóbowi, ale, wbrew słowu, w r. 1688 wyszła za ks. Filipa Neuburskiego. Po zgonie jej w r. 1695 na dom Brandenburski spadły dobra Seraje i Taurogi, ale nie pozwolono ani mężowi jej, ani córce, Elżbiecie, późniejszej księżnie Pfalc Salzbach, jako cudzoziemcom, objąć w posiadanie reszty niezmiernego po niej dziedzictwa. Przez lat kilkadziesiąt dobra te były administrowane, to przez Sapiehów, to przez Radziwiłłów Nieświeskich, którzy wyręczali się Oskierkami i Niezabytowskimi, aż w r. 1749 stały się własnością ks. Hieronima Radziwiłła. Jaka była ich wartość, wniesić można z zapisu, którym 3 Kwietnia 1681 r. Ludwika Karolina oddała Margr. Ludwikowi wszystkie dobra swoje Litewskie w zastaw, mianowicie: ks. Birzańskie za 120,000 dukatów, Dubinki za 20,000, ks. Słuckie i Kopylskie za 300,000, Romanów za 30,000, Kopyś za 50,000, Zabłudko za 25,000, Kiejdany za 30,000, Bielice za 15,000, razem za summę 590,000. Niema w tem wyliczeniu ani Newla i Siebieża, ani Węgrowa, ani Orli i wielu innych dóbr pomniejszych.

Od trzeciego syna Mikołaja II, Jana, Kasztelana Trockiego, pochodzą wszystkie inne linie Radziwiłłów; pierwszą jego żoną była ks. Bohdanna Łukomska, z której jedna córka, Anna, była zaślubioną Mikołajowi Kieżgajle, hr. na Krozach; wnuk jej, Jan Kieżgajło, umierając w r. 1554, fortunę swoją przekazał Radziwiłłom. Druga zaś córka ich, Zofia, była za Szczęsnym Iliniczem, i także jej syn, Jerzy, bezpotomny, dziedzicem swoim zrobił Radziwiłła. Drugą żoną Jana była Anna Gasztoldówna, siostra ostatniego z tego rodu, Stanisława, męża pierwszej królowej Barbary, po którego śmierci w r. 1542, równie i Gasztoldów dostatki spłynęły do potomków Jana. Trzecią wreszcie jego żoną była Anna, córka Stanisława Kiszki i Anny, ostatniej z rodu Białych, która wniosła w posagu Nieśwież, Otykę i Łachwę. Synem ich był Mikołaj Czarny, ur. w r. 1515 † 1565 r., jednocześnie z Mikołajem Rudym wyniesiony do godności książęcej i jak on zaszczycony szczególniejemi względami Zygmunta Augusta, Marszałek W., Kanclerz W. Lit. i Wojewoda Wileński, Starosta Brzeski, Kowieński, Borysowski

i Szawelski. Żoną jego była Elżbieta ostatnia z Szydłowskich, która wniosła mu w posagu Szydłowiec, Czmielów i wszystkie majątności tej możnej rodziny, i do tytułów księcia na Ołyce i Nieświeżu dodała tytuł hrabiego na Szydłowcu. Godzien uwagi i udzielony mu przez króla przywilej przechowywania w archiwum Nieświeskiem wszystkich dokumentów, dotyczących W. ks. Lit. Z jego synów Jerzy był Kardynałem i Biskupem krakowskim; Stanisław założył linię Ołycką, Albert Klecką. Pierwszy, najznakomitszy z nich i najstarszy, Mikołaj Krzysztof, zwany Sierotką, wstawiony pielgrzymką do Ziemi Świętej, Wojewoda Wileński, żonaty z ks. Elżbietą Wiśniowiecką, głową był linii Nieświeskiej. Mikołaj Sierotka, wraz z bratem swoim, Stanisławem, byli twórcami ordynacyi przez układ, zrobiony d. 20 Lipca 1586 r. w Nieświeżu, mocą którego 1). Dobra wieczyste Radziwiłłowskie z linii książąt na Ołyce i Nieświeżu powinny przechodzić tylko na pokolenie męskie z wyłączeniem córek i ich potomstwa 2). Po wygaśnięciu jednej linii dobra spadają na drugą z wolnym wyborem ostatniego ich dziedzica między pokrewnymi liniami 3). Córki dopuszczają się tylko do podziału ruchomości (z wyjątkiem broni i tego, co według praw litewskich przy dobrach zostawać powinno), a z majątków, stosownie do ich wielkości, mają otrzymać wyposażenie w pieniądze. 4) Główne dobra: Ołyka, Nieśwież, Kleck i Mir, nie mogą być pod żadnym warunkiem alienowane, a w razie nagłej potrzeby, tylko czwarta ich część zastawiona. 5) W braku opiekunów, postanowionych testamentem, rada familijna ma się opiekować małoletnimi. Do tego układu przystąpił brat ich, Albert, na którego prośbę król Stefan d. 16 Sierpnia tegoż roku ustawę tę potwierdził, a Sejm w r. 1589 zaakceptował. Linia Ołycka wygasła na synu Stanisława, Albercie Stanisławie, Kanclerzu W. Lit. † 1656 roku, który, przy całej swej pobożności i hojności na kościoły i ubogich, chciwym był na starostwa, czego dowodzi zawzięty jego spór z królową Cecylią Renatą o podniesienie tenuty dzierzawnej z przeznaczonego jej starostwa Tucholskiego o 12,000 rocznie.

W ciekawych swych pamiętnikach opowiada kanclerz, jak oddanych sobie posłów zobowiązał, żeby opierali się uchwaleniu przez Sejm spłaty długów królewskich, chcąc pokazać, jak pisze, że to skutku bez niego wziąć nie może.

Linia Klecka także wygasła na prawnuku założyciela swego, Alberta, Stanisławie Kazimierzu, Marsz. W. Lit. † 1690 r. i obiedwie te ordynacje przeszły do linii Nieświeskiej.

Mikołaj Sierotka ur. 1549 † 1616, dobra swoje jeszcze przed utworzeniem Ordynacyi powiększył darem ciotecznego swego brata, Jerzego Ilinicza. Ten w r. 1568 zapisał mu obszernie swe dobra: Mir, Lelewo, Dworzyszczka, Czarnawczyce i swoją część Białej, którą książę powiększył późniejszymi nabytkami. Syn jego najstarszy, Jan, zmarł bezpotomnie, nie pozostawiając z ks. Eleonory Ostrogskiej żadnego potomstwa. Drugi syn, Albert, także bezpotomny, po drugiej żonie, Zienowiczównie, wziął w posagu Smorgonie, Głębokie i Bielice. Trzeci, Zygmunt, jako Kawaler Maltański, był bezżennym. Po nich z kolei ordynacyę Nieświeską objął w r. 1642 czwarty i najmłodszy syn Sierotki, Aleksander Ludwik, Marszałek W. Lit. † w r. 1654. Na drugiego jego syna, zrodzonego z Lukrecyi Strozzi, trzeciej jego żony, Dominika, kanclerza W. Lit. † 1697, spadła ordynacya Klecka w roku, jak wyżej powiedzieliśmy, 1690, i od niego pochodzą dziś istniejący Radziwiłłowie. Młodszy syn Dominika: Michał Antoni i Mikołaj Faustyn byli założycielami bocznych linii Radziwiłłowskich. Najstarszy zaś syn, Jan Mikołaj VI, Ordynat Klecki, Wojewoda Nowogrodzki, † 1729 r., z Przebendowskiej zostawił jednego syna, Marcina, Krajczego Litewskiego, ur. 1705 † 1756, który z waryacyi żydem został i wziętym był w kuratelę przez Radziwiłłów Nieświeskich. Ordynacyę po nim objął syn jego z Bełchackiej, Mikołaj Józef Radziwiłł, Wojewoda Trocki, który, przeżywszy synów swoich, życie zakończył w 1813 r. Drugi syn ks. Marcina, Michał, Kasztelan, a następnie ostatni Wojewoda Wileński, urodzony z Trębickiej † 1831 r., nie chciał objąć ordynacyi i ta przeszła na syna jego, Ludwika, ur. w 1773 r. † 1830, który do niej przyłączył i komandoryę Stwołowicką, ustanowioną niegdyś przez ks. Mikołaja Sierotkę, a tego synem był ks. Leon ur. w r. 1808, bezpotomny z Zofią Urusoff, Gen. Adj. wojsk ros. Ks. Leon sprzedał W. ks. Michałowi Borysowczyźnie, nabytą przez ks. Michała, swego dziada, za przysługi wyświadczone Rossyi.

Drugi syn ks. Michała, Antoui, ur. w r. 1775 † 1833. Namiestnik poznański, zaślubiony z księżniczką Fryderyką Ludwiką pruską, po śmierci ostatniego z linii Nieświeskiej, ks. Dominika, odziedziczył w r. 1814 ordynacyę Nieświeską i Ołycką.

Trzeci syn księcia Marcina, Dominik, ur. w r. 1747 † 1803 r. z Marty Czechnickiej † 1855 r. zostawił dwie córki: jedną za Atanazym Raczyńskim, a drugą za kasztelanem Bnińskim. Linia Klecka nigdy w znaczeniu, a tembardziej w dostatkach, mierzyć się nie mogła z ostatnimi ordynatami Nieświeskimi, a jednak pani Raczyńska po ojcu, trzecim synu Ordynata, odziedziczyła hrabstwo Czarnawczyckie, składające się z 25 większych i mniejszych folwarków.

Starszy syn Aleksandra Ludwika, Michał Kazimierz, ur. 1625 † 1680 r., najprzód Wojewoda Wileński, a następnie Podkanclerzy i Hetman polny Lit., VI w rzędu pan na Ordynacyi Nieświeskiej, dołączył do niej Ordynacyę Ołycką. Wzboğaony 15 starostwami, nie szczędził ani zdrowia, ani majątku na posługi ojczyzny. Z Katarzyny Sobieskiej, siostry Jana III-go, pozostawił syna Jerzego, Wdę. Trockiego, młodo i bezpotomnie zmarłego w r. 1689, i Karola Stanisława, Kanclerza W. Lit. ur. 1669 † w 1719 r., żonatego z Anną, księżniczką Sanguszkówną, z której prócz 4-ch córek, miał dwóch synów: starszego Michała Kazimierza i młodszego Hieronima Floryana.

Ksiązę Hieronim, urodzony w r. 1715 † w 1760, Chorąży W Lit., z trzech żon żadnego nie zostawił potomstwa. Tyran i dziwak, rządnością i gospodarnością doszedł do ogromnego majątku, zwłaszcza, gdy po spłaceniu w r. 1749 Elektorowi Palatynackiemu 6,400,000 złp. i załatwieniu pretensyi Sapiehów i innych rodzin summą 2,000,000 złp., stał się zupełnie właścicielem wszystkich dóbr Neuburskich. Dobra jego spadły w całości na ks. Michała Kazimierza, starszego jego brata.

Ten, z kolei IX Ordynat Nieświeski, urodzony w r. 1702, zmarły w r. 1762 Hetman W. Lit. i Wda. Wileński, w r. 1760 został posiadaczem największej w Europie prywatnej fortuny. Prócz ordynacyi Nieświeskiej i Ołyckiej i wszystkich dóbr allodialnych swojej linii, posiadał całą sukcesyę po Sobieskich, to jest 4 miasta i 140 wsi, zowiąawszy się umową z dnia 11 marca 1740 roku wypłacić córce siostrzeńca swojego, królewicza Jakóba, księżnie de Bouillon, jednorazowo 260,000 złotych, płacić jej corocznie 28,000 złp. dożywocia i dozwolić jej rezydencyi w Żółkwi. Wtedy-to do skarbcza Nieświeskiego dostały się pamiątki po Janie III-im. W niespełna miesiąc po zawarciu umowy, zmarła księżna de Bouillon, ale z pretensyami do dóbr tych wystąpił Wda. Sandomierski, Tarło, i temu, po długim procesie i wzajemnych zajazdach, wypadło zapłacić summę 1,089,000 złp. Po żonie swej, Urszuli Franciszce, jedynej córce ks. Janusza Wiśniowieckiego, odziedziczył ksiązę Michał cały jego majątek, położony po większej części na Ukrainie i ceniony wówczas na 14,000,000 złp. Równy temu spadek po bracie księcia Janusza, ks. Michale Serwacym, Hetmanie W. Lit., Wojewodzie Wileńskim † w r. 1744, przez głowę jednej córki jego, Zamoyskiej, wzbogacił rodzinę Muiszchów, a przez głowę drugiej, Ogińskiej, familie Platerów, Przeździeckich i Brzostowskich. Dodajmy do tego Newel i Siebież, obejmujące 48,000 dusz męskich, dochody z dóbr krzesłowych wileńskich, wynoszące 100,000 złp. z licznych i najbogatszych starostw na Litwie, które szacowano na 400,000 złp. rocznie wraz z uposażeniem przywiązaniem do buławy Wielkiej

Litewskiej, a dziwić się nie będziemy, że, dowiedziawszy się o beztestamentowej śmierci brata i o dostającym się po nim całkowitym spadku, mógł ks. Hetman powiedzieć „kropla w morze, rybeńku.“

Hetman, jak wszyscy Ordynatowie Nieświescy, był prawdziwy „Rad żywił“, to też ogromne jego posiadłości, to za bezcen wypuszczane jego przyjaciółom i sługom w zastaw, to administrowane z największą ludzkością i pieczę o dobry byt poddanych, szczupłą stosunkowo przynosiły intratę. Kiedy jednocześnie landgraf Hessenkasselski, którego państwo nie miało 300,000 ludności, uciskiem swojego ludu i sprzedają wojska Anglikom, przy niezmiernych wydatkach na metресy, budowie i parki, ledwie nie wyrównyujące Wersalskim, zbierał skarb z 24,000,000 talarów, kiedy w lat kilkadziesiąt potem dorobkowiec Smithson, założyciel nowego domu książąt Northumberland, zostawiał majątek, przynoszący 700,000 funtów szterlingów rocznie; intratę ks. Hetmana, pana więcej niż tysiąca mil kwadratowych i kilkakroć stu tysięcy poddanych, ceniono na 1,300,000 talarów, często nie starczających na wydatki.

Był to zenit fortuny Radziwiłłowskiej, bo ze śmiercią Hetmana w r. 1762 zaczyna się upadek bogactw i potęgi tego domu. Dwaj jego synowie: starszy, książę Karol, ur. w 1734 † w 1790 r., i młodszy, splotdzony z drugiej żony, Mycielskiej, nie dzielili się majątkami spadtemi po ojcu Hieronimie. Już w roku 1764, kiedy Książę Karol, X-ty Ordynat, wyparty został za granicę przez połączoną z Rosyją partyę Czartoryskich, majątki wszystkie poszły na łup nieprzyjaciół, którzy je niszczyli i wszystkie z nich zabierali dochody. Konfederacya Radomska, zawiązana pod laską księcia Karola, powróciła mu je na krótko, bo po kilkunastu miesiącach stanął on po stronie konfederacyi Barskiej i przez lat dziesięć zmuszony był znów uciekać się za krajem. Skutkiem pierwszego podziału, rząd rosyjski w zabranych województwach białoruskich skonfiskował Nowel, Siebież, Kopyś, a także starostwo tam położone, a dobra Żółkiewskie wraz z innemi w Galicyi zagarnięte zostały przez wierzycieli. Mimo tego wszystkiego, kiedy, przeżywszy brata, książę Karol umierał w 1790, jeszcze fortunę tę szacowano na 200,000,000, a długi obarczające ją na 50,000,000, dochód zaś czysty na 5,000,000 złotych.

Książę Karol Panie kochanku dwa razy był żonaty: pierwszy raz z ks. Lubomirską, starościaną Bolimowską, drugi raz z Teofilą Rzewuską, córką Wacława, naówczas Hetmana Polnego koronnego. Rychło rozwiedziony, nie zostawił z obu żadnego potomstwa. Syn więc młodszego jego brata, ks. Dominik, został jego dziedzicem i XI-m z kolei Ordynatem Nieświeskim, licząc zaledwie siódmy rok życia. Processa między wyznaczonym przez ks. Karola na Opiekuna, ks. Maciejem Ra-

dziwiłem, Kasztelanem Wileńskim, i wdzierającym się do opieki ks. Michałem Radziwiłłem, Wdą. Wileńskim, rychła śmierć matki młodego Ordynata, Zofii urodzonej księżniczki Thurn i Taxis, niesumienny i niedbały zarząd ks. Michała wszystko to gotowało ostateczny upadek fortuny. Książę Dominik, zapóźno oddany na wychowanie księciu Czartoryskiemu, Generalowi Ziemi Podolskich, za dojściem do pełnoletności, otoczony gronem drapieżnych intrygantów i fałszywych przyjaciół, przyspieszył go najprzód lekkomyślnem marnotrawstwem, a dokończył poświęceniem dla kraju. W roku 1811 emigrował do księstwa Warszawskiego i, nie bacząc na zasekwestrowaną przez rząd rossyjski prawie całą fortunę, na czele wystawionego przez siebie pułku ułanów świetnie odbył kompanię 1812 r. Armia Dunajska pod dowództwem Czyczagowa, dążąc ku Berezynie, nawiedziła już i w r. 1792 zrabowany Nieśwież, a wtedy ocalony dotąd i samemu, jak wieść niesie, właścicielowi ukryty, sławny skarbiec Radziwiłłowski, stał się jej łupem. „Radziwiłł—pisze w swoim raporcie do Cesarza Admirał Czyczagow—był świadkiem, jak nikał jego pułk w bitwach i z głodu; resztki jego wyprawił do Nieświeża z 50 wozami, naładowanemi zdobyczą ze złupionej Moskwy. Przybyły tam w chwili, gdyśmy wchodzili do miasta, i wpadły w nasze ręce. Księciu Dominikowi to się nie podobało i pozwolił sobie kilku conceptów, uwłaczających wojskom naszym. W odwet pozwoliłem poszperać w piwnicach jego Zamku. Znaleziono tam skarby, perły, brylanty i t. p. Zabrałem wszystko, co można. Będzie to złożone w Bobrujsku, lub innem miejscu, i W. C. Mość zadecyduje, co z tem zrobić. Sam nie widziałem, ale mówią, że są rzeczy, godne muzeów. Wszystko szacują więcej niż na 1,000,000 Rubli.“

Dodajmy, że szczęśliwym znalazcą tego skarbu był Generał Tucz-
kow, który, jak twierdzą jedni, wziął na męki stare sługi Radziwiłłowskie, jak zaś utrzymują drudzy, miał sobie go wskazanym przez potomka tej samej rodziny, po której Radziwiłłowie wzięli Smorgonie, Głę-
bokie i Bielice. (Zienowicz).

Z cofającym się wojskiem Napoleona, książę Dominik dostał się do Niemiec, pod Hanau raniony śmiertelnie, podobno cięży dwanaście razy pełaszem, ugodzony pięciu kulami, zakończył życie d. 11 listopada 1813 r w Lautrech, zacząwszy zaledwie trzydziesty rok. Rozwiedziony po nader krótkiem pożyciu z pierwszą żoną, Izabellą Mniszchówną, Marszałkówną W. koronną, która następnie wyszła za Marcina Devilla, hrabiego Demblińskiego, Książę Dominik rozwiodł siostrę swoją cioteczną, Teofilę Morawską, zaślubioną Starzeńskiemu, i choć było z nią więcej potomstwa, a jeśli wierzyć księdze złotej Kosińskiego, syn Aleksander ma sobie w Galicyi przyznane nazwisko i tytuł książęcy,

pozostawił jedną tylko prawą córkę, księżniczkę Stefanię, ledwie wychodzącą z niemowlęstwa, a której opiekunem mianował się osobiście Cesarz Aleksander I-szy.

Wdowa ks. Dominika wyszła za znanego Generała Czerniszewa, ale prędko zerwała z nim stosunki i nie przestała nosić nazwiska pierwszego męża. Wdawszy się w romans z młodym i dorodnym oficerem od kiryssyerów, Bezobrazowym, rychło straciła zdrowie i życie.

Cesarz Aleksander I-szy Ukazem wydanym w Chaumont d. 24 lutego 1814 r. ustanowił komisję Radziwiłłowską, pod prezydencją ks. Adama Czartoryskiego (syna), dla oddzielenia dóbr Ordynackich, przechodzących na nowego Ordynata, ks. Antoniego Radziwiłła, syna Michała, od dóbr allodialnych, spadających na księżniczkę Stefanię, i zaspokojenia długów, ciężących na masie. Książę Antoni rościł bowiem do ks. Stefanii i do ogólnej masy pretensję na sumę 35,540.007 złp., nadto za dobra, przez ks. Dominika bezprawnie z ordynacyi wydobyte, na 3,105,000; dalej o lenne dobra Hresk i o dochody z dóbr i lasów ordynackich od śmierci ks. Dominika. Dopiero kiedy ks. Stefania, wychowana w Petersburgu pod opieką Cesarzowych, wydana została za Ludwika ks. Wittgenstein, syna Feldmarszałka, spory te załatwione zostały transakcją ugodową, zawartą w Poznaniu d. 17 (29) kwietnia 1829 r. między jej plenipotentem, Kozuchowskim, i ks. Antonim. Ks. Antoni poprzestał na oddaniu mu na udział ordynacki dóbr oszacowanych na 9,599,907 złp. gr. 24, obciążonych funduszami kościelnymi i szpitalnymi w summie 199,907 złp. gr. 27, a obejmujących miasta Nieśwież, Ołykę, Swierzeń, tudzież Albę i 86 wsi i folwarków, z prawem zamiany niedogodnych wsi na dogodniejsze, według taksy, ułożonej przez arbitrów, na których strony, prześcigając się w delikatności, wybrały: ks. Antoni Feldmarszałka Wittgensteina, a Wittgensteinowie ks. Wilhelma Radziwiłła, syna Antoniego i przyszłego dziedzica Ordynacyi.

Obecnie XIV-ym ordynatem Nieświeskim jest syn Wilhelma Radziwiłła, ks. Antoni, Generał Lejtnant w służbie pruskiej, były Generał świty Cesarza Wilhelma. Przez układ, zawarty z ks. Leonem Radziwiłłem, wszedł on w posiadanie ordynacyi Kleckiej i Dawidgrodzkiej, Cimkowicz, Stwołowicz i Hreska, ordynację zaś Ołykę, więcej niż przez dwa wieki z Nieświeską złączoną, ustąpił stryjecznemu swemu bratu, ks. Ferdynandowi, synowi Bogusława, dziedzicowi hrabstwa Przygodzickiego w W. Księstwie Poznańskim, żonatemu z ks. Sapieżanką.

Posiadłości ordynacyi Nieświeskiej i Kleckiej, leżące, z wyłączeniem dóbr Dawidgrodzkich, w gubernii Mińskiej, obejmują przestrzeni 10,000 włók, czyli 150,000 dziesięcin. Choć stale zamieszkały w Berlinie, terażniejszy Ordynat, zajął się od lat 20 opuszczonym zam-

kiem Nieświeskim i pracuje nad jego podniesieniem. Żonaty z margr. de Castellane, ma z niej dwóch synów: Jerzego, ożenionego z bogatą jedynaczką, hr. Branicką, i Stanisława, tudzież dwie córki: Romanową i Józefową Potockie.

Ks. Stefania, żona Ludwika Wittgensteina, zmarła w 23 roku życia (ur. d. 9 Grudnia 1809 r. † d. 26 lipca 1832 r.) pozostawiła córkę, Maryę, zaślubioną ks. Chlodwigowi Hohenlohe Schillingsfürst, b. Ambasadorowi Niemieckiemu w Paryżu, obecnie namiestnikowi Alzacji i Lotaryngii, dziedziczkę dóbr Bialskich i Sławatyckich w Królestwie Polskiem i dóbr Domaczewskich w gub. Grodzieńskiej, i syna, ks. Piotra Wittgensteina, Generała w służbie rosyjskiej, urodzonego w r. 1831 d. 10 Maja, zmarłego bezpotomnie.

Więcej niż połowa dóbr allodialnych poszła na zaspokojenie długów i rozmaitych pretensyi, a to, co po zamknięciu komisyi Radziwiłłowskiej pozostało jeszcze, to jest dusz około 60,000, wdowiec po ks. Stefanii obciążył pożyczką bankową i kupił za nią hrabstwo Sayn w Prussach Nadreńskich dla dzieci swoich z drugiej żony, ks. Leonilli Barjatyńskiej.

Po śmierci ks. Piotra Wittgensteina dobra jego, przeważnie obejmujące dawną Słuczczynę w Gubernii Mińskiej, i mające jeszcze przestrzeni 47,400 włók, czyli 711,000 dziesięcin, a z dobrami w Guberniach Wileńskiej i Grodzieńskiej mało co mniej, niż 50,000 włók, odziedziczyła córka jego, ks. Hohenlohe, lecz, jako cudzoziemka, nie mająca prawa władać w Państwie Rosyjskiem majątkiem ziemskim, spuściznę swą sprzedać musiała. Jedynie Werki pod Wilnem, ze wspantałą rezydencyą książęcą, pozwolono jej zatrzymać aż do zgonu, a ponieważ umarła w roku przeszłym, więc i te ogólnemu prawu ulegną.

II.

Jak rosła, a następnie zmniejszała się fortuna Radziwiłłowska, tak i pojedyncze jej włości przez czas jakiś rosły i zaokrąglaly się sąsiednimi majątkami, żeby w bieżącym wieku zejść do szczuplejszych rozmiarów. Dobra Bialskie, położone niegdyś w Województwie Brzeskiem, doświadczyły tego samego losu, i w ciągu lat kilkunastu z przestrzeni 4,000 włók spadły na włók 300. Kiedy przed stu ledwie laty latifundia magnatów nie zostawiały miejsca dla szlachty w tej

części województwa, stanowiącej dziś powiat Bialski i część Konstantynowskiego, gdzie Biskupi Łucy posiadali Janów; Radziwiłłowie Białą i Sławatycze; Siedlnicy przy Konstantynowie: Janówkę, Witalin, Bukowice, Nosów, Wólkę Nosowską i Ossówkę; Sapielowie: Pratulini z Kołczynem, Kodeń cały z Dobratyczami, Wisznice z przyległościami i Chomanów; Fleming Terespolszczyznę, a Piszczac z folwarkami swemi, tudzież Huszczą, Tucznią i Wiskami należał do Ekonomii Brzeskiej, i tylko Neple, Krzyczew, Woroblin i Małaszewicze były w posiadaniu szlachty;—dziś Biała, Sławatycze, Kodeń i Konstantynów po kilka ledwo mają folwarków.

W Pamiątkach Soplicy, w rozdziale „Trybunał Lubelski“, opowiada Henryk Rzewuski, że ostatni z rodu Illniczów, Wda. Brzeski, dziedzic licznych włości i przyjaciel księcia Radziwiłła Sierotka, widząc go wybierającego się do Ziemi Świętej i troszczącego się, że po jego śmierci ogromne jego dobra dostaną się krewnym jego kalwinom, zaproponował mu, iżby formalnie rozporządził majątkiem, to jest, iżby zrobili między sobą tranzakcyę na przeżycie, tem bardziej, iż książę był nie żonatym, a Illnicz bezdzietnym, i dodał: „Ja pierwej umrę—wszystkie dobra twoje; Pan Bóg ciebie wprzód zawoła do chwały swojej—Nieśwież, Swierzeń, Korelicze i co tylko posiadasz, będą moje, a obaczysz, czy Radziwiłłowie dyssydenckiego wyznania choć jedną piędź ziemi twojej wydrą.“ Zgoda, powiedział książę. Zaraz obaj panowie pojechali do Brześcia dla przyznania sobie tranzakcyi. Książę Sierotka puścił się na pielgrzymkę. Minął rok jeden i drugi, już tedy Pan Illnicz wyglądał tylko pewnego doniesienia o śmierci księcia, bo chodzący wieści: raz, że z dżumy umarł, inny raz, że bisurmanie go zabili. Wojewoda był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał więc oczekiwać dokładniejszej wiadomości: całe księstwo i kilka hrabstw nie piechotą chodzą. *Ale człowiek sporządza, Pan Bóg rozporządza.* Książę Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa, przy pomocy swego Anioła, przebył i zdrów wrócił: szukał śmierci po szerokim świecie i jej nie znalazł, a ona pana Illnicza w jego własnych dobrach wytropiła. Bo kiedy książę Sierotka już wracał do Nieświeża, w Krakowie ledwo dni kilka zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białą, aby przyjaciela uściskać, aż wjeżdżając do miasta, spotyka kondukt bardzo wspaniały; zapytuje: kogo to prowadzą? i dowiaduje się że Wojewodę Illnicza, którego przed dwoma dniami niedźwiedz na polowaniu rozdarł. Tak więc Biała, Sławatycze, Czernawczyce, Mir i tyle innych dóbr Illniczowskich weszły w dom Radziwiłłów.“

Cała ta historia, choć opowiedziana przez wnuka Radziwiłłówny, jest wierutną bajką, którą powtórzył Bartoszewicz, jako podanie, słyszane od piastunki na gruzach Bialskiego zamku. Widocznie jednak szedł za Rzewuskim, bo z dobrą wiarą powtarza, że jeszcze pod ko-

niec XVII wieku Lubomirscy procesowali Radziwiłłów, zarzucając nieważność owej tranzakcyi. Poważny historyk nie zajrzał ani do akt komissyi Radziwiłłowskiej, ani nawet do Niesieckiego, w którym same daty wystarczają na obalenie całej tej gawędy.

Gdyby nie było urzędowego aktu tej darowizny dóbr Bialskich, który niżej podpisany miał w ręku, już z Niesieckiego przekonać się można, że Jerzy Illnicz, który nigdy nie był ani Wojewodą Brzeskim, ani dziedzicem Sławatycz, nie mógł w chwili wyjazdu księcia Mikołaja do Ziemi Świętej straszyć go tem, iż Nieswież i inne majątki księcia spadły-by na krewnych jego, kalwinów. Bo Sierotka wybierał się stanowczo w podróż dopiero w r. 1581, a już w roku 1569 zostawszy katolikiem, widział wkrótce trzech swoich braci rodzonych również katolikami. Za jego przykładem bowiem powrócili na łono kościoła katolickiego: Jerzy, późniejszy kardynał i biskup krakowski, w r. 1572, a Stanisław i Albert w roku 1575.

Sam fakt zaś darowizny miał miejsce w r. 1568, kiedy księżę Mikołaj, zaledwie 19 letni, był jeszcze kalwinem, może równie jak i Jerzy Illnicz, siostrzeniec i wychowaniec tak gorliwego zwolennika genewskich nowinek, jak Mikołaj Radziwiłł Czarny.

Jest jeszcze i inna tradycya, którą z poważnych ust słyszałem, że sprawcą śmierci Illnicza był nie niedźwiedź, ale własny jego hajduk, Dzik, którego potomkowie, Dzikowscy, za tę przysługę jakoby cieszyli się zawsze opieką i względami Radziwiłłowskiemi. Ale całe życie zacnego i pobożnego Sierotki stanowczo temu zaprzecza. ¹⁾

Jak się z akt komissyi Radziwiłłowskiej okazuje, około r. 1530 Białą posiadał, jako majątek wniesiony przez żonę (jak się zdaje Kiszczankę), Jerzy Iwanowicz Illnicz, h. Korczak, Starosta Brzeski, który miał trzech synów: Jana, Stanisława i Szczęsnego, i córek dwie: Anuę, za Piotrem Kiszką, Wojewodą Połockim, później Starostą Generalnym Żmudzkiem, i Jadwigę za Janem Abramowiczem, Podskarbibm Ziemskim W. Ks. Lit., Starostą Kowieńskim.

Po śmierci Jana dobrami macierzystemi, to jest Białą z Dokudowem, Szereszewem, Wistyczami i Kwasówką, podzielono się w ten sposób, że Stanisław i Szczęsny Illnicze i Anna Kiszczyna na trzy schedy wzięli dobra Bialskie z Dokudowem. Następnie Stanisław Illnicz dziedzic $\frac{1}{3}$ Białszczyzny zmarł bezpotomnie i schedą po nim spadła na dwóch braci i dwie siostry.

Dnia 13 Januarii 1536 r. Jadwiga Abramowiczowa część Białszczyzny, po bracie Stanisławie na nią spadającą, sprzedała za 300 kóp

¹⁾ Dzikowa, późniejsza Dzikowska, była mamką ks. Dominika, za to miała łan ziemi na Pohulance w Sławacinku i dom drewniany z ogrodem na pewną liczbę lat przy zamku Bialskim.

groszy litewskich Annie Kiszczynie. która tym sposobem miała $\frac{1}{3}$ część, odziedziczoną po Stanisławie $\frac{1}{12}$ i nabytą od Abramowiczowej także $\frac{1}{12}$ to jest połowę Białszczyzny; Szczęsny zaś Illnicz miał własną $\frac{1}{3}$ część, odziedziczoną po Stanisławie $\frac{1}{12}$ i takąż $\frac{1}{12}$, po Stanisławie przypadłą Janowi, nabyć lub odziedziczyć musiał, tak, iż był dziedzicem całej drugiej połowy, co okazuje się z listu króla Zygmunta I-go z dnia 8 sierpnia 1540 r., zalecającego Wojewodzie Podlaskiemu, Iwanowi Bohdanowiczowi Sapieże, aby wspólnie z przybranymi od Kiszczynie sędziami dobra te między Szczęsnego Illnicza i Kiszczynę podzielił, co jednak, jak widać z wyroku kommissyi Radziwiłłowskiej z d. 26 czerwca 1825 r., dopełnionem nie było.

Szczęsny Illnicz, zaszczycony w r. 1555 przez Cesarza Ferdynanda I-go tytułem hrabiego na Mirze, także Starosta Brzeski, z Zofii Radziwiłłówny, córki Jana II-go Brodatego, a siostry sławnego Mikołaja Czarnego (ur. 1515 r. † 1565 r.) zostawił jedyne go syna, Jerzego, dziedzica na Mirze, Czarnawczycach, Zelwie i Dworzyszczu, który, będąc bezdzietnym i nieżonatym, po obdarzeniu zasłużonych swych dworzan, całą fortunę swoją przekazał bratu swemu ciotecznemu, księciu Mikołajowi Krzysztofowi Sierotce, przez donacyę, sporządzoną i zeznaną d. 26 sierpnia 1568 r. w Brześciu. Akt donacyi, ciekawy pod względem formy prawnej, spisany był w miejscowem narzeczu, to jest języku ruskim, który był urzędowym aż do końca XVII wieku. Ale z rozwojem szkół i coraz większem zbliżaniem się Litwy do Korony, kiedy w akcie rzeczonym tylko podpis samego Illnicza znajdujemy po polsku, w lat kilkadziesiąt na podobnych aktach znajdujemy tylko intyulacyę i konkluzę sądową po rusku—zeznanie zaś stron już po polsku, i tylko wyroki Trybunału głównego ściśle pod tym względem trzymają się formy, choć i w nich język coraz bardziej zbliża się do naszego. Pisane są kirylicą, którą pod koniec XVIII mało już kto przeczytać potrafił.

Między osobami, w akcie darowizny wspomnianemi, zwraca uwagę nazwisko Pisarza Ziemskiego Brzeskiego, Adama Pocięja, syna Lwa, Podskarbiego W. Lit. Rodzina Pocięjów h. Waga, gniazdowa w Brzeskiem Województwie, dziedzicznie prawie piastowała urząd Pisarzów Ziemskich. Był nim wyżej wspomniany Adam, który z Kasztelaną Brzeskiego został pod imieniem Hippacego Władysława Włodzimierskim i zapisał się w historii naszej, jako sprawca unii kościołów i pierwszy Metropolita zjednoczonej z Rzymem Rusi. Po nim pisarzem był brat jego, Leon. Był nim w XVII wieku syn Adama, Piotr, i Piotra syn, Leonard, który za Jana III umarł wdą Witebskim, Starostą Sochaczewskim, pozostawiając dwóch synów: Kazimierza, który po ojcu i krzesło, i Starostwo odziedziczył, i Ludwika, znowu Pisarza Ziemskiego, dalej Podkomorzego Brzeskiego, Podskarbiego W. Lit., nakoniec Hetmana W. Lit. i Wojewodę Wileńskiego.

Nie był Jerzy Illinicz, zmarły zapewne wkrótce, bo już w 1571 roku kancelarya Lit. tytułuje Sierotkę hrabią na Mirze, właścicielem całej Białszczyzny, jakkolwiek o tem w akcie donacyi nie wspomina, a z daru jego ks. Mikołaj Sierotka posiadał tylko połowę Białszczyzny, obejmującej naówczas miasto z dworami: Sworskim Grabanowem i Worgulami; z wsiami: Hrud, Grabanów, Worgule, Terobella, Sławacin, Wołkowola Szczosnowska i Klonowica. Druga połowa, nie oddzielona od pierwszej, po Annie Kiszczynie spadła na syna jej, Mikołaja Piotrowicza Kiszkę, Wdę Podlaskiego, który ją aktem z d. 26 Augusta 1583 r. w pewnej summie zawiódł żonie swojej Barbarze z Chodkiewiczów, a syn ich jedyny, Mikołaj Mikołajewicz Kiszka, aktem z dnia 8 czerwca 1590 r. dobra te ustąpił na własność matce swojej, która aktem, dnia 27 czerwca datowanym, a 30 tegoż miesiąca 1594 r. w Brześciu przyznany, za summę 70,000 złp. czyli 28,000 kop groszy Litewskich sprzedała je księciu Sierotce. Następnie książę nabył d. 6 czerwca 1597 r. od tejże Barbary Kiszczynnej jej trzecią część dóbr Dokudowskich, składających się z miasteczka Dokudowa i folwarków: Ortel, Dabów, Horbów i Witorów z przyległościami; dalej d. 10 stycznia 1603 r. takąż trzecią część od Lwa Sapiehy, i nakoniec pozostałą część trzecią d. 20 maja 1606 r. od Jana Greny herbu Prawdzic. Syn jego, książę Aleksander-Ludwik, między rokiem 1630 i 1640 nabył Cieleśnicę, niegdyś dziedzictwo Wojnów, a w r. 1649 od Niemierów Woskrzewicę. Powiększona innemi nabytkami Białszczyzna, oprócz wiosek, nadanych, jak Mokransy, Wólka Plebańska, Czosnówka i inne, na fundusz duchowny lub dobroczynny, obejmowała, według Aktów kommissyi, na początku bieżącego wieku następujące folwarki i wioski: 1) Miasto Biała, 2) Sławacinek, 3) Sitnik, 4) Porosinki, 5) Część Oleszczyzna, 6) Sicinek, 7) Olszyn, 8) Woroniec, 9) Ortel, 10) Dubów, 11) Dokudów, 12) Liszyna, 13) Swory, 14) Makarówka, 15) Cełujki, 16) Jagodnica, 17) Muszyki, 18) Wagnanka, 19) Wypełzki, 20) Ciciborek, 21) Białka, 22) Pekowice, 23) Leszczanka, 24) Strzyżówka, 25) Zolanówka, 26) Lachewka, 27) Zalesie, 28) Kłoda, 29) Cicibor, 30) Danówka, 31) Grabanów, 32) Hrud, 33) Horbów, 34) Kowanty, 35) Kielbaski, 36) Łukomce, 37) Roskosz, 38) Styżyniec, 39) Sielec, 40) Subszczyzna, 41) Sokole, 42) Terobella, 43) Worgule, 44) Witoroż, 45) Woskrzenica, 46) Krzymowskie, 47) Rogoźnica, 48) Cieleśnica z Błoniem, 49) Klonownica, 50) Krasne, ogółem włók przeszło 4,000 z odwiecznemi lasami, w których, według opowiadania Kaź. Wł. Wojcickiego, do roku 1823 znajdowały się jeszcze łosie i niedźwiedzie.

Kiedy w r. 1811 książę Dominik Radziwiłł, opuścił Litwę i Rząd rossyjski zasekwestrował tam jego majątki, pozostały mu tylko dobra,

położone w ówczesnem Księstwie Warszawskiem, to jest dobra Sławatyckie, które prawdopodobnie niegdyś jedną z Włodawą składały całość, a jako posag Urszuli, księżniczki Wisniowieckiej, urodzonej z Leszczyńskiej, pierwszej żony księcia Rybeńku, weszły w dom Radziwiłłowski, według taksy, przez rząd austriacki w r. 1805 sporządzonej, ocenione na 2,061,635, złp.; dobra Bialskie, ocenione na 3,026,620 złp.; dobra Ręczajskie w departamencie Siedleckim, folwark Pniewnik w departamencie Płockim; pałac w Warszawie i jurydyka tamże przy ulicy Przechodniej. Z tych więc posiadłości, już obciążonych zastawami i długami, musiał książę opędzać i koszta swego utrzymania, i wydatki, na nabycie od księcia Józefa Poniatowskiego posiadłości, nazwanej Górą Radziwiłłowską, dziś Frascati, głównie zaś na formowanie przez siebie pułk kawaleryi. Zaciągał więc nowe długi i skwapliwie szukał kupca na część pozostałych mu majątków. Jakoż sam, aktem, sporządzonym w r. 1811 w Warszawie, zbył Andrzejowi Serwińskiemu Cieleśnicę z Błoniem i Klonownicę z Wypelzkami, włók przeszło 300 za sumę 360,000 złp., z których Serwiński pozostał dłużnym 50,000 złp., a w roku 1812 sprzedał Zawadzkiemu Krasne i Cełujki za 73,000 złp.

Po śmierci księcia Dominika, do kommissyi Radziwiłłowskiej zgłosili się jego wierzyciele z pretensyami do dóbr, w Królestwie Polskiem położonych, na sumę przeszło 9,000,000 złp. Wiele z tych pretensyi kommissya uznała za nieuzasadnione, lub za niewłaściwie do dóbr w Królestwie zaregulowane. Dla zaspokojenia zaś uznanych za słuszne, pałac w Warszawie sprzedano rządowi, który go dla Namieśtników przeznaczył, za 800,000, a Frascati senatorowi Nowosilcowowi za 80,000. Również sprzedano i Jurydykę Radziwiłłowską, i Pniewnik. Dobra Ręczajskie za dług oddano hrabinie Zofii ordynatowej Zamoyskiej. Księżciu Adamowi Czartoryskiemu za należne mu 1,180,000 wydzielono z Białszczyzny: Woskrzenicę, Sokale, Horbów, Danówkę i Witoroż. Między rokiem 1820 i 1822 sprzedano Worgule, Jagodnicę, Subszczyznę, Łukomce, Terebellę i Cicibor Gruszeckiemu za 556,486 złp., Styżnicę Lewickim za 100,400 złp., Grabanów i młyn Kozułę Popławskiemu za 7,000 dukatów i jego pretensye. W roku 1820 sprzedano Zawadzkiemu Kowanty i Makarówkę za 190,000 złp. W roku 1822 Teodorowi i Ludwice z Kamięńskich Michałowskiemu Roskosz i Hrud za 243,541 złp. W tymże roku Wójcickiemu Kielbaski i Wygnankę za 102,000, w r. 1823 Gałęckiemu Rogoźnicę za 67,000, a w roku 1827 Dabow Barwińskiemu za 160,000 i Robertsonowi Krzymowskie za 16,033. Razem po rok ten, rachując i sprzedane jeszcze przez księcia Dominika Cieleśnicę, Klonownicę i Krasne, ubyło dóbr Bialskich na 3,162,127 złp.

Ks. Antoni Radziwiłł, ordynat Nieświeski, wystąpił przez kommissę Radziwiłłowską o unieważnienie tych wszystkich sprzedaży, twierdząc, że dobra Bialskie, jako należące do Ordynacyi, nie mogły być alienowane, i żądał przyznania sobie ich własności.

Dnia 16 Czerwca 1825 r. kommissya uznała, że tylko ta część dóbr Bialskich, jaka rzeczywiście należała do Jerzego Illnicza i przezeń darowana była ks. Mikołajowi Sierotce, powinna być uważana za dobra Ordynackie nie główne, to jest ulegające obciążeniu i alienacyi. Druga zaś ich połowa, należąca niegdyś do Anny Kiszczynej, tudzież wszystko, co przez późniejsze od ustanowienia Ordynacyi nabycia do dóbr Bialskich weszło, ma naturę dóbr allodialnych i należy do księżniczki Stefanii; że ks. Dominik, na mocy Ustawy Ordynackiej, miał prawo sprzedać Klonownicę i Krasne, a tembardziej Cieleśnicę, która była majątkiem allodialnym; że Woskrzenica i dobra Dokudowskie są osobnym majątkiem. Ponieważ zaś Illnicz, jeszcze przed donacją, z połowy swojej darował wieś Woskrzenicę i Dawikobyły (dziś Kobylany) słudze swemu, Pawłowi Kaweczyńskiemu; ponieważ nigdy schedy Kiszczynej i schedy Illnicza rozdzielone nie były: Kommissya nakazała wymierzyć obszar ogólny dóbr Bialskich w granicach z roku 1568 i połowę, mniej objętością współczesną Woskrzenicy i Kobylan, uznać za własność księcia Ordynata.

Wyrok ten kommissyi wykonany nie był, wskutek tranzakcyi zawartej między stronami w 1829 r. w Poznaniu.

Po roku 1827 z dóbr Bialskich Woroniec i Swory sprzedano księciu Mirskiemu. Na Woroncu mieli zastaw Butlerowie, a potem Kuczynscy złp. 80 tysięcy, ten zastaw nabyli Mirscy, a potem kupili Woroniec, Zalesie nabył Borysławski.

Obecnie dobra Bialskie, spadłe po księżniczce Stefanii hr. Ludwиковej Witgenstein na córkę jej księżną Maryę Hohenlohe-Schillingsfürst, prócz miasta Białej, obejmują tylko folwarki Sławacinek, Sitnik, Białkę, Ortel z Dokudowem i Olszyn, po uwłaszczeniu mieszczan i włościan i zniesieniu serwitutów, z wyjątkiem służących wsi Olszyn, mają przestrzeni zaledwie do 300 włók.

Zamek Bialski, dzwignięty w końcu XVI wieku, przez księcia Radziwiłła Sierotkę, zamieszkiwany był i ozdabiany przez późniejszych dziedziców, jako rezydencya najbliższa Warszawy. Spłądrowany przez Szwedów w 1706 roku, później odbudowany przez księcia Radziwiłła Stanisława Karola, kanclerza W. Lit., po śmierci księcia Hieronima Floryana, Chorążego W. Lit., który dał mu nowy rozgłos swoim okrucieństwem i dziwactwem, za księcia Panie Kochanku zrabowany został w 1764 roku przez wojska familii i rossyjskie. Po powrocie księcia z długiego tułactwa, był przeznaczony młodszemu jego bra-

tu, ks. Hieronimowi, i żonie jego Zofii, księżniczce Turn i Taxis. W nim urodził się książę Dominik, w nim też, przeżywszy brata, w 1790 roku zakończył życie ks. Karol. Opuszczony odtąd przez właścicieli, zrabowany po bitwie Krupeczyckiej w 1794 r. i znowu splondrowany w r. 1812 przez oddział Czernyszewa z armii Czyczagowa, która ze szczętem złupiła w październiku Białską okolicę, zamek Bialski już się nie podźwignął z upadku. Do r. 1870 stał jeszcze korpus główny, choć jeden róg jego od strony rzeki zgruchotał, przed kilkadziesiątu laty, piorun. Postał-by długo jeszcze, gdyby nowi dziedzice, ks. Hohenslohe, nie kazali rozebrać go do szczętu, ogałcając Białą z tej szanownej pamiątki. Dziś z Zamku pozostała tylko wieża, niegdyś panująca nad wjazdem, służąca za więzienie, i część oficyn, zajęta przez administrację miejscową i Zjazd Sędziów Pokoju,—wreszcie mała i zamknięta kapliczka na dawnym podwórzu.

JÓZEF FELIKS BUDZISZEWSKI.

MARMUROWA KOCHANKA.

Powracałem z wczesnej przechadzki w *Cascine*.

Jest to uroczy nad brzegiem Arno ogród, mający dla Florencyi takie samo znaczenie, jakie dla Paryża posiada lasek Buloński, Prater dla Wiednia, lub wreszcie dla filozofujących niegdyś, a dziś wojowniczych mieszkańców Berlina, wilgotny Thiergarten, ze swoją mizerną kolumną zwycięstwa. Słowem, jest to miejsce, w którym, o pewnych godzinach, zgromadzają się wszyscy, nie mający nic lepszego do roboty.

Cascine wszakże, mojem zdaniem, więcej posiadają wdzięku od innych znanych ogrodów w stołecznych miastach. Mniej tu sztuki. Jest to poprostu obszerny lasek z wiecznie zielonych dębów, stuletnich wiązów, rzymskich sosen, laurów i myrtów, przecięty dwiema ulicami dla pojazdów i mnóstwem cienistych drożyn dla pospolitych śmiertelników, przenoszących się z miejsca na miejsce, za pomocą nóg własnych. Środkowym punktem ogrodu jest *Piazzone*, obszerny kwadratowy plac. Piętrowy budynek, stanowiący jedną z jego połaci, był niegdyś wiejskim folwarkiem Toskańskich władców. Podobno przedostał z Medyceuszów, widocznie wielki miłośnik nabiału, założył tu mleczarnię, do której codziennie przyjeżdżał na świeżą śmietaną. Z początku dworacy, a następnie wszyscy, zaliczający siebie do uprzywile-

jowanych warstw towarzyskich, uczuli, za przykładem monarchy, nie-pohamowany pociąg do śmietany i stąd miejscowość ta stała się modną. Obecnie oddawna niema krów ani Wielkich Księżąt Toskanii, pozostał tylko zwyczaj jeżdżenia tam codziennie i przechowało się dawne miano *Cascine*, oznaczające mleczarnię.

W godzinach przedwieczornych, *Piazzone* zapełnia się niezliczoną ilością powozów, dźwigających różnobarwny tłum pięknych i niepięknych przedstawicielek wszystkich prawie, zwłaszcza w zimie, europejskich narodowości. Obok nich, uczeni na stopniach, romantycznie oparci o drzewczki, lub wzniesieni na spokojnego animuszu rumakach, pozują młodzi patrycyusze Florencyi, zachwycając publiczność cudownie ufryzowanymi czuprynami i niewypowiedzianie tkliwemi barwami krawatów.

W owym czasie, pomimo, że gród Medyceuszów stał był się na lat kilka stolicą nowych Włoch, nie utracił jednak jeszcze swego wyłącznie tokańskiego charakteru. Potem, niedługie odegrywanie roli wielkiej stolicy pozostawiło niezbyt estetyczne zmiany w ojczyźnie Dantego. *Cascine* przerobiono z kiepska po angielsku; w mieście pojawiły się nowe budowy w paryskim, mieszczańskim stylu, a nawet niektóre prastare ulice uległy regulacyom i odnowieniom, z którymi im bardzo nie do twarzy. Ta sama gorączka nowatorstwa panuje dziś w Rzymie, i wkrótce zapewne ciche a pełne wspomnień ulice stolicy S-go Piotra przybiorą wymuskany i jednostajny wygląd Wiedeńskich ringów i Paryskich nowych dzielnic. Nie chciałbym widzieć tej blanszującej się staruszki, którą znałem, przed laty, jako poważną i czcigodną matronę.

Otóż, powracałem z niezmienionych jeszcze wówczas *Cascine*, a że słońce już przygrzewało, zwróciłem ze zwykłej drogi, prowadzącej brzegiem rzeki, a wystawionej na południe, i dążyłem powoli przez chłodne *Borgo Ognissanti*. Szedłem bez pośpiechu, zatrzymując się przed wystawami mozaikowych wyrobów, przypatrując się porannemu ruchowi ulicy i w końcu stanąłem na chwilę, aby po raz setny spojrzeć na terrakotę Łukasza della Robbia, zdobiącą fronton kościoła *Ognissanti*.

— Dobry dzień panu—zabrzmiał niespodzianie obok mnie dźwięczny, kobiecy głos.

Ocknąłem się z artystycznego nad terrakotą starego mistrza zachwyty i ujrzałem przed sobą, niemniej zachwycającą, bladą, ocienioną swawolnemi nad czołem włosami, twarzyczkę hrabiny Idy. Hrabina wychodziła z kościoła, w którym zwykle spędzała poranki. Nie wiem, czy to było skutkiem wygórowanego nabożeństwa, czy też powszechnego prawie u kobiet zwyczaju długiego przesiadywania w ko-

ściołach. Upodobanie to nie dziwi mnie bynajmniej, nigdy bowiem kobieta nie jest otoczona takim wdziękiem, jak wówczas gdy w ciemnym zakęcie kościoła klęczy, z oczyma zwróconemi do ołtarza, i ustami szepczącemi ciche wyrazy modlitwy. W starych romansach, miłość najczęściej rozpoczynała się od spotkania w kościele. Dawny zwyczaj przetrwa wieki, dopóki istnieją kobiety i kościoły, a ponieważ płeć brzydka podąża zwykle śladem nadobnych cór Ewy, można więc niepłonną mieć nadzieję, że świątynie nigdy pustemi nie pozostaną. Niech zgryźliwe a chorobliwe umysły dowodzą, że wszędzie jednakowo modlić się można, że Bóg jest na każdym miejscu; nikt o tem nie wątpi, ale nie wszędzie tak wdzięcznie wygląda niewieścia postać, jak na marmurowych płytach kościelnej posadzki. Nie wszędzie szept modlitwy brzmi tak tajemniczo, jak pod wyniosłemi sklepieniami, nie na każdym miejscu, wreszcie, tak uroczo zarysowuje się pochylona w zadumie główka, jak w tem półświetle, przeciskającym się do świątyni przez wązkie, różnobarwnemi szklami ozdobione, okna...

Gdyby Petrarca był ujrział Laurę przy obiedzie, lub na jakim *five o'clock*, nie wywarła-by może na niego takiego wrażenia, jak przytem znanem ich spotkaniu u stóp ołtarza. Było-by się prawdopodobnie skończyło na pospolitym flircie, a ludzkość straciła-by sonety wielkiego mistrza. Co za szczęście, że Laura była nabożną.

Pani Ida nie czekała wprawdzie na Petrarke, mającego uwiecznić jej pamięć kilku secinami sonetów, ale lubiła się modlić i codziennie zrana można było widzieć ją w małym kościółku *Ognissanti*, przy którym mieszkał staruszek ksiądz, rodak ze Żmudzi. Hrabina była błędszą niż zwykle, a w szarych jej oczach widoczne było jakieś nieukontentowanie i rozdrażnienie.

— Dobrze, żem pana spotkała—ciągnęła dalej po przywitaniu.— Niezdrowa jestem i smutna, nie puszczę więc pana; musisz mnie rozrwać i leczyć, jakim chcesz sposobem, byle-bym się nie nudziła.

— Trudne zadanie — odparłem. — Jeśli to choroba ciała, to, wszak pani wiadomo, że nie jestem lekarzem; jeżeli zaś są to cierpienia duszy, to także, może inni skuteczniej, niż ja, potrafią poradzić.

— Nie mówmy o innych. Właśnie dla tego rada jestem z naszego spotkania, że pan jeden, nie udajesz zakochanego i nie prawisz mi nudnych miłosnych frazesów. Baw mnie, jak bawią dzieci, bo mi smutno, i od rana spotykają mnie ciągle nieprzyjemności.

— Cóż za przygody tragiczne spotkały panią? — spytałem.

— Najprzód, zachorował mi stary mój pies, który od kilku lat jest moim nieodstępnym towarzyszem. Przywiozłam go z sobą i chciała-bym, aby wraz ze mną powrócił do domu.

— To wypadek bez wątpienia nieprzyjemny, ale nie wszystkie przecie choroby są śmiertelne. Można się więc spodziewać, że biedne psisko wyzdrowieje. Cóż dalej?

— Powtóre, otrzymałam list od męża, nakłaniający mnie do powrotu. Ja nie chcę wracać; wkrótce nastąpi jesień, a ja nie znoszę chłodu—i owinęła się lekkim okryciem, z poza którego widać było tylko błyszczące oczy.

— Jest to zdarzenie, powtarzające się niemal co parę miesięcy—pocieszałem moją towarzyszkę, — nie ma więc w sobie nic groźnego. Odpiszesz pani, żeś chora, co jest prawdą, i że przekładasz Florencyę nad Żytomierz, co także jest drugą prawdą niezbitą.

— Potrzebie, ledwie przetarłam oczy, wnet służąca doręczyła mi rozpaczliwy list signora Morandini. Wyrzuca mi moją nieczułość, i zrozumieć nie jest w stanie, dla czego go nie kocham. Cóż ja na to poradzę? W końcu grozi, że, jeśli nadal będę równie obojętną, odbierze sobie życie pod mojami oknami. On gotów to uczynić, wszakże Włosi tak żywo odczuwają miłość.

— Niezawodnie — odparłem — odczuwają żywo *il divino amore*, o ile to uczucie przynosi przyjemności, a zwłaszcza przyczynia się do codziennych wygódek życia. Cóż bowiem przyjemniejszego, jak jeździć do *Cascine* w wygodnym powozie swojej bogini, mieć stałe miejsce w jej łoży, od czasu do czasu zjeść obiadek i móżdż opowiadać w kawiarni, lub klubie, o swoich sercowych sukcesach.

— Pan żartuje, a on może cierpi. Z jego twarzy wyczytać łatwo, że to człowiek, co głęboko czuje. Jest mi on zupełnie obojętnym, ale obawiam się, aby nieszczęście nie doprowadziło go do szaleństwa.

— Widocznie mało pani zna Włochów. Wszyscy, z nielicznymi wyjątkami, za pomocą czarnych bród i wielkich oczu przybierają postać bohaterów romansu. Najbardziej tragiczne wyrazy twarzy zdarzało mi się spotykać u kupczyków, sprzedających świece i mydło. Są to jednak najspokojniejsi ludzie w świecie, zajęci jedynie pomadowaniem gęstych kędziorów i nieznacznem rzucaniem małych kulek ołowiu na szalki, dla zyskania kilku gramów wagi. Może pani być przekonaną, że zdesperowany Signor Morandini zje obiad z apetytem, a wieczorem wyszuka nowy przedmiot zachwyty w postaci rudej *lady* lub zwiędłej a zagadkowej francuskiej markizy. Będzie jej opowiadał, że *una bella contessa polacca* miłuje go na zabój, lecz on jedno tylko wulkaniczne uczucie żywi w sercu i poza niem cały świat dla niego nie istnieje.

— Może pan ma słusność, ale niemniej przeto jestem rozdrażniona i smutna. Myślałam, że w modlitwie znajdę ulgę. Modliłam się tak szczerze, tak gorąco...

— A jednak — odparłem — nie znalazła pani uspokojenia. Dziwi mnie to, bo gdyby mnie tak słicznie proszono, jak to pani umie, wyznaję, że nie potrafił-bym odmówić.

— A więc dobrze, proszę mi nie odmawiać i wynaleźć mi jaką rozrywkę — szczebiotała dziecinnym głosem hrabina.

Nie miałem wprawdzie czasu i ochoty do gawędy i włóczęgi, ale silniejszy ode mnie nie zdołali-by się oprzeć woli kobiety, mającej głębokie, długimi rzęsami ocienione oczy, a wypowiadającej swą prośbę z temi miłkkiem i pieśczołliwemi intonacyami głosu, które tylko u dzieci i u trzydziestoletnich kobiet dają się spotykać.

— Jestem na rozkazy — rzekłem z rezygnacją — i na początek radziłbym przejechać się konno. Proszę przywdziać amazonkę, a za pół godziny stawię się z końmi.

— A dokąd pojedziemy? — spytała pani Ida.

— Do Fiesole, wszak to najładniejsza z bliższych wycieczek.

— Ładna, nie przeczę, ale tyle razy już tam byłam. Umie Fiesole na pamięć: naprzód gościniec, wijący się w górę, a na nim kurzawa, zmuszająca do zamykania oczu. Każdy przyzna, że przejażdżka z zamkniętymi oczyma niewiele przedstawia różnaitości. Wprawdzie, podobno król Jan z Luksemburga, chociaż ociemniały, dosiadał rumaka i walczył jak lew pod Crécy, lecz, niestety, nie jestem królem Janem.

— Tylko królową serc — wtrąciłem żartem.

Hrabina z politowaniem popatrzyła na mnie.

— Jak się pan szybko starzeje — odparła — szczęściem nikt nas nie słyzy, bo mogli-by posądzić pana, żeś tańczył angleza pod Blachą. Mniejsza o to, powracam do naszej wycieczki. Otóż polykanie kurzu przez godzinę, potem ruiny etruskie, złożone z kilkunastu kamieni. Na tych kamieniach kilka minut wypoczynku, następnie *trattoria* z przydymioną jajecnicą i kwaśnem winem, wreszcie powrót i powtórne polykanie pyłu bardzo białego, ale wielce niesmacznego. Szukajmy rozrywki w mieście.

— Pójdźmy więc do *Palazzo Vecchio*; przed kilku dniami odkryto tam odwieczny fresk. Znawcy zawyrokowali, że jest dziełem Giotta, lub przynajmniej należy niezawodnie do jego epoki.

— Musi to być bardzo brzydkie — zdecydowała moja towarzyska. — Znawcy są zapewne tego samego zdania, chociaż, z urzędu i dla powagi, czują się obowiązani do zachwytu. Ja zaś nie jestem znawczynią, i nie mam powodu rozrzewniania się nad wypłowiałym freskiem, na którym nic dopatrzeć nie można, prócz plam wilgoci, zwykle bardzo widocznych na tych szacownych zabytkach starożytności.

— Nie lubi pani dalekiej przeszłości; przejdźmy więc do przedmiotów najbardziej nowożytnych i udajmy się do parlamentu, dziś właśnie jest posiedzenie.

Oczekiwałem z niepokojem odpowiedzi. Projekt ten uśmiechał mi się mocno, spodziewałem się bowiem spokojnie zdrzemnąć na miękkich ławkach galeryi.

— Za nic — zawołała hrabina. — Nic tam nowego nie usłyszę. Prawią ciągle o uregulowaniu budżetu i wprowadzeniu oszczędności do wszystkich gałęzi administracyi. Mój mąż w każdym liście pisze mi to samo, i proszę mi wierzyć, przedmiot to wcale niezabawny. Całą duszą jestem zwolenniczką ministrów, opierających się deputowanym z taką energią.

— Eureka! — wykrzyknąłem radośnie, uderzając się dłonią w czoło, z uszczerbkiem świeżo odprasowanego kapelusza. — Mam dla pani subjekt niesłychany, niewidziany, jedyny na całej kuli ziemskiej.

— Cóż takiego?

— Człowieka zakochanego....

— Tylko tyle — przerwała, pani Ida — widziałam ich wielu.

— Zakochanego od piętnastu lat.

— Takiego nie widziałam, wyznaję w pokorze.

— Człowieka, kochającego bez nadziei obudzenia współczucia w sercu ukochanej, ponieważ przedmiot jego zapałów serca nie posiada.

— To być nie może. O mnie to samo mówiono, ale niesłusznie.

— W tym wypadku wszakże jest to prawdą. Od lat piętnastu mój bohater widuje codziennie damę swych myśli, lecz nigdy ani słowa z ust jej nie usłyszał. Nic go jednak nie zraża, kocha stale, szczęśliwszy może od wielu innych, bo go kochanka zdradzić nie może.

— To coś zagadkowego. Któż więc jest tym wzorowym, nigdzie nie spotykanym, kochankiem?

— *Cavaliere* Monaldo Mariani — odrzekłem — którego za kilka minut będę miał zaszczyt pani przedstawić.

— A nieczuła bogini?

— Zgadłaś pani jest to bogini, najpiękniejsza z mieszanek Olimpu: Wenus Medycejska!

— Więc prosto ten *cavaliere* cierpi pomieszanie zmysłów — zaśmiała się hrabina.

— Tak — odparłem — uchodzi on za waryata, jest wszakże człowiekiem spokojnym i uprzejmym, rozsądnie rozprawiającym o wszystkim, oprócz swojej miłości. Pod tym względem nie różni się od innych zakochanych. Uważać go za waryata, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, niepodobna. Jest to, jak Włosi nazywają, *mezzo matto*, w pół

obląkany umysł, zwichnięty na pewnym punkcie. Pani miłości takiej nie powinna uważać za szaleństwo; wszak niedawno jeszcze dowodziłaś, że wszelkie, najbardziej dziwaczne, objawy miłości są możliwe, i że im oryginalniej objawia się uczucie, tem jest szczerzem. Co do mnie, mam go za człowieka bardzo praktycznego. Oddał serce istocie, która mu się wprawdzie nie odwzajemnia, ale w zamian nie łądziła go ani chwili i zawsze jednakowo była zimną i obojętną. My zaś, niby rozsądni, kochamy także najczęście bez wzajemności, — mówię o rzeczywiście, nie zaś o kapryś, popychającym na chwilę kobietę w objęcia kochanka, któremu później zostaje tylko wspomnienie. Chwila upojenia mija jak sen i jak sen nie powraca. Pokochawszy marmurowy ideał, mój bohater nigdy nie dozna rozczarowania, oplacającego drogo przelotny uśmiech szczęścia. Mniejsza, czy to szczęście trwało chwilę, dzień lub lata całe. Minęło, a więc było kaprysem, nie miłością. Anioł, skoro nie jest wiecznie aniołem, staje się pospolitą istotą. Nareszcie, Signor Mariani ukochał piękno wielkie, prawdziwe, ujęte w wieczyste formy marmuru; my kochamy nerwowe, kapryśne istoty z namiętnemi oczyma, którym ognia i blasku dodaje podobno atropina; z twarzą białą, dzięki delikatnej warstwie pudru, i ciężkim warkoczem, kupionym za paręset franków. Pod względem więc nawet plastyki, kochanek Wenus Medycejskiej posiada zdrowszy rozsądek, niż my, mający się za rozumniejszych od biednego szaleńca...

Hrabina przerwała moją, zbyt młodzieńczą, przemowę, dźwięcznym, perłowym śmiechem.

— Wybornie, wybornie — wołała uradowana — prosiłam pana o rozrywkę, ale nie przypuszczałam, że się tak doskonale ubawię. Co za cnotliwe oburzenie na kaprysy, niewierności, przyprawne włosy, puder i inne niegodziwości niewieście. Powinnaś się mocno gniewać za taką obrazę kobiet, ale byłeś pan tak zabawny w świętym zapale, że ci to wszystko wspaniałomyślnie przebaczam. Tem bardziej, że, chociaż włosy mam długie, ale moje własne i dziedziczne, oczom nie dodają blasku, z obawy utraty wzroku, a i zęby posiadam dotąd w komplecie — dodała z uśmiechem, odkrywając w różowych ustach dwa szeregi drobnych i świecących ząbków. — Pudruję się wprawdzie, ale to przecie rzecz niewinna.

Widok uśmiechniętej i, jak dziecko, uradowanej hrabiny, pogodził mnie natychmiast z płcią, przeciw której tak gorąco powstawałem. Podałem ramię pięknej towarzyszce, i w dobrej komitywie podążyliśmy w kierunku galerii *degli Uffizzi*. Mieliliśmy zamiar udać się wprost do galeryi, lecz, przechodząc przez *piazza della Signoria*, zatrzymaliśmy się mimowoli oboje, na widok placu, zawierającego tyle wspomnień dziejowych i dzieł sztuki, iż śmiało i bez przesady można

mu nadać miano muzeum pod gołem niebem. Wychodzących z wąskiej uliczki *Vaccherecia* uderza naprzód swą powagą front *Palazzo Vecchio*, tego najstarszytniejszego zabytku republikańskiej Florencyi. Potężny, z olbrzymich brył kamiennych złożony gmach, z płaskim dachem i wieżycą wysoko wystrzeloną, świadczy o czasach, kiedy go wznosił Arnolfo di Lapo. Działo się to pod koniec XIII wieku, w chwili, gdy świeżo powstały ludowy samorząd miał do walczenia z rozmaitemi stronnictwami, rozdzierającemi stolicę Toskanii. Rezydencya rządu, ciągle narażonego na zamachy przeciwników, musiała z konieczności przybrać wygląd fortecy, nie przestając jednak być artystyczną budową. Takiemu trudnemu zadaniu mógł sprostać tylko geniusz Arnolfa i ofiarność ludu Florencyi. Bogata i potężna kolebka nowej włoskiej cywilizacyi w przeciągu prawie trzech wieków była przedmiotem nieustannych walk domowych pomiędzy stronnictwami, wyrываяcemi sobie po kolei z rąk zwierzchnictwo nad uroczą *città dei fiori*. Dzieje licznych i szybko zmieniających się rządów, uwydatniły się plastycznie na froncie pałacu. Krenelaż, otaczający dach, swojemi równemi, wypełnionemi zębami, przypomina panowanie Gwelfów. Galeria, otaczająca wieżycę, uzbrojona jest w zęby trójkątnie wycięte, używane tylko przez Gibelinów; gzems zaś, zdobiący główną facyatę, składa się z szeregu tarcz herbowych, z których każda jest pamiątką rozmaitych, a często zmieniających się, form rządu. Błękitne tarcze z napisem *Libertas* sięgają epoki ludowego samorządu. Złoty, pełzający lew, powiewał w XIV wieku na sztandarach francuskiego awanturnika, Ghautier de Brienne, znanego pod nazwiskiem Księcia Ateńskiego, który z tytułem protektora władał w przeciągu dwóch lat Florencyą, a wypędzony w roku 1343, udał się do Francyi i w kilka lat potem zginął w bitwie pod Poitiers. Karol VIII, w czasie zwycięskiego pochodu przez Włochy, umieścił tu swoje trzy lilie. Dalej świecą klucze papieskie; a nareszcie tarcza o sześciu kulach, czy też pigułkach, jak twierdzą niektórzy, świadczy o długim panowaniu Medyceuszów. Herby Lotaryńskiego domu znikły z frontonu starego gmachu, a na ich miejscu świeci zdaleka, biały, w czerwonym polu, krzyż rycerski Sabaudzkiej dynastyi. Była także epoka w dziejach Florencyi, kiedy, po powtórnem wypędzeniu Medyceuszów, gonfalonier, Niccolo Capponi, ogłosił się w 1527 r. panem miasta Chrystusa. Pamiątką tego faktu pozostała, nad głównem wejściem do pałacu, tablica z napisem: *Rex regum et Dominus Dominantium*. Panowanie to trwało niedługo, gdyż we trzy lata później, Florencia, pomimo bohaterskiej obrony, zdradzona przez kondotyera Malatestę, została zdobytą przez wojska cesarza Karola V i uznała władzę księcia Aleksandra Medyceusza, ostatniego potomka Kozmy Starego.

Gmach, nazywany rozmaicie: *Palazzo Vecchio, della Signoria*, lub *del Governo*, wyglądał-by o wiele efektowniej, gdyby był postawiony w środku otaczającego go placu. Stoi zaś, jakby w ciśnięty w jednym z jego rogów. Ta niesymetryczność ma źródło w historii tokańskich domowych wojen. Na dzisiejszym placu *della Signoria*, przed sześciu wiekami, wznosiły się domy *Farinaty degli Uberti*, potężnego wojownika. Był on głową patrycyuszowskiego rodu i przywódcą stronnictwa Gibelinów. W roku 1250, demokratyczni Gwelfowie przyszedli do władzy, Farinata więc, wraz z innymi członkami gibelińskiego możnowładztwa, został skazany na wygnanie.

Przy każdej zmianie formy rządu, wywołania takie powtarzały się w owych czasach dosyć często, nie trwały też zwykle dłużej nad lat kilka lub kilkanaście. Nawet wywołańców nie nazywano wygnańcami, *esuli*, natomiast wynaleziono dla nich specjalne miano: *fuorusciti*. Denominacja ta oznaczała właściwie ludzi, którzy się wydaliłi po za mury miasta. Dumny Farinata nie mógł spokojnie przesiadywać na obczyźnie, w oczekiwaniu lepszej doli, udał się więc do Sieny, siedliska Gibelinów, zaciętych wrogów panującego wówczas we Florencyi stronnictwa. Odegrał on tam smutną rolę rzymskiego Koryolana, lub też Radziejowskiego, jeśli zechcemy szukać porównań na kartach ojczystych dziejów. Na czele wojsk nieprzyjacielskich, Farinata rozbił nad rzeką Arbią hufce swoich współziomków i, jako groźny mściciel, stanął u bram rodzinnego miasta. Wodzowie Sieneńscy postanowili zburzyć do szczytu Florencyę i tym sposobem zetrzeć z powierzchni ziemi nienawistne im gniazdo Gwelfów. W tej groźnej chwili, obudziło się sumienie w duszy mściwego Gibelina. Nie pozwolił na zniszczenie miasta i ocalił je od ostatecznej zagłady. Dante w swej pozaświatowej wędrówce, przy spotkaniu Farinaty w piekle, między zdrajcami, każe mu przemawiać następującemi wyrazami:

*Ma fu' io sol colà, dove sofferto
Fu per ciascuno di torre via Fiorenza,
Colui, che la difese a viso aperto!*

(Inf. Cant. X.)

(Lecz byłem jeden tam, gdzie postanowiono zburzyć Florencyę, który jej broniłem z odkrytem obliczem).

Lud florencki jednak nie przebaczył zdrady Farinacie i po latach kilku skazał go znowu na wygnanie. Mieszkanie jego zrównano z ziemią, z zastrzeżeniem, że miejsce to na wieczne czasy powinno pozostać niezabudowanym. Z tego więc powodu Arnolfo di Lapo wznosił pałac, nie na środku placu, lecz w rogu, na uboczu wbrew wszelkim

artystycznym regułem. Ten wyrok ludowej sprawiedliwości i kilka wierszy Boskiej Komedyi zachowały w pamięci Florenczyków imię dumnego Gibelina.

W chwili, gdy z nadobną moją towarzyszką zbliżaliśmy się do placu *della Signoria*, tego, jak go słusznie nazywają, muzeum pod gołym niebem, licznie zgromadzony tłum zatrzymał nas na kilka minut. Był to właśnie dzień targowy, ściągający do miasta tysiące okolicznych wieśniaków i wieśniaczek. W dniu tym plac przedstawia wielce zajmujący i małowidny widok. Język Dantego, Petrarki i Boccaccia brzmi melodyjnie w ustach tego ludu, u którego, dziś jeszcze, nie jeden znakomity pisarz, z innych prowincyi pochodzący, uczy się czystości form i prawdziwie klasycznych zwrotów włoskiej mowy. Arcydzieła rzeźby, zdobiące plac, zgromadzają wkoło licznych widzów, przypatrujących się porwaniu Sabineek Giovanniego di Bologna, Dawidowi Michała Anioła, lub Perseuszowi Benvenuto Celliniego. Toskański lud posiada wrodzony smak artystyczny, rozwinięty pod wpływem bogatej natury i widokiem pomników sztuki od dzieciństwa. Sądy wieśniaków w sztuce zadziwiają nieraz swoją trafnością.

Wówczas właśnie, niedawno, postawiono pod portykiem Orcagna grupę rzeźbiarza Pio Fedi, wyobrażającą porwanie Polyxeny. Grupa składa się z czterech osób. Główną postacią jest Pyrrhus, unoszący córę Hekuby. Prawa jego ręka trzyma miecz, grożący rzucającej się ku niemu matce, nogi zaś depcą ciało zabitego brata porwanej. Najnowszy ten utwór monumentalnej rzeźby florenckiej, zamiast w ogrodzie publicznym, jak to było pierwszym zamiarem, ustawiono w lodży, zawierającej tyle arcydzieł. Dzienniki miejscowe, zawsze skłonne do przesady, gdy chodzi o sławę współziomka, przez dni kilka dowodziły, że i dziś miasto ich posiada artystów, nie ustępujących starym mistrzom najświetniejszej epoki renesansu. Bezstronni zaś sędziowie, mianowicie cudzoziemscy artyści, twierdzili, iż jest to utwór teatralny, obrachowany na efekt, traktowany podług szablonowego akademickiego pojęcia warunków piękna i, że municypium, stawiając go w sąsiedztwie tylu arcydzieł, naraziło artystę na porównania niezbyt korzystne. Wieść o nowej ozdobie lodży Orcagna rozeszła się niebawem w okolicy miasta i przez dosyć długi czas można było widzieć wieśniaków, przybywających dla obaczenia *il nuovo gruppo*. Niegdyś Canova, po wykończeniu monumentalnego pomnika Klemensa XIII, przychodził nieraz przebrany do kościoła Św. Piotra, dla przysłuchania się sądom widzów. Nieodżałowanej pamięci rzeźbiarz, Marcelli Guyski, opowiadał mi, że Fedi także wielokrotnie przesuwiał się wśród tłumu, przypatrującego się jego pracy, i z wycieczek takich zwykle powracał wielce niezadowolony.

Na środku placu, pośród różnobarwnej, giestykulującej i gwarnej, przeważnie wiejskiej, publiczności, oryginalne widowisko zwróciło naszą uwagę. O kilka kroków od wodotrysku Neptuna, w ogromnej, otwartej, jaskrawo pomalowanej landarze, jak z katedry, poważnie i sentencyonalnie przemawiał niemłody już, siwy i otyły mężczyzna.

— Panowie i panie—prawił orator, tubalnym głosem—godni potomkowie lub współobywatele Daatego, Machiawela, Galileusza i innych wielkich mężów z nad kwiecistych wybrzeży Arno, geniuszów, wzbudzających zazdrość całej Europy, świata całego, zbliżcie się do mnie z wiarą i zaufaniem. Widzicie we mnie przyjaciela cierpiącej ludzkości, a niewątpliwie niejednen cierpiący znajdzie się pomiędzy wami, o bohaterscy synowie wyswobodzonej Italii. Pozbyliście się wprawdzie zbirów, białych mundurów kroackich i kijów, udzielanych wam sowiecie w kordegardach, za czasów austriackiej okupacji, życie spokojnie i szczęśliwie pod berłem *del magnanimo Vittorio Emmanuele il re galantuomo*, wszystko to prawda. Pozostały wam jednak inne dolegliwości: bóle głowy, reumatyzmy, a szczególnie ból zębów, ten ból okropny, który przetrwał wszystkie panujące u nas dynastye i trwać będzie zawsze, jeśli nie zasięgniecie mojej rady. Przystępujcie do mnie bez obawy. Nie jestem przecie szarlatanem, jak twierdzą niekczemni oszczercy i niedowiarkowie, lecz doktorem medycyny, chirurgii i najrozmaitszych scyencyi i sapiencyi. Patrzenie, oto są moje dyplomy.

Mówiąc to, przyjaciel cierpiącej ludzkości podniósł do góry ogromną księgę, z kilkunastu arkuszy pergaminu, na których widniały zdaleka wielkie, czerwone litery i najfantastyczniejsze wizerunki zwierząt i ptaków.

— Patrzenie, — wołał z coraz bardziej wzrastającym patosem, — patrzenie i podziwiajcie. Oto dyplom, wydany mi w *la dotta Bologna*, kosztuje samo wydrukowanie dziesięć skudów, siedm *paoli* i trzy bajoki. Ten drugi otrzymałem w Neapolu za wyrwanie trzech zębów kardynałowi - arcybiskupowi. Jego Eminencya, zamiast bólu, doświadczał dziwnie błęgiego, jak mi mówił, nieznanego mu uczucia. Ten zaś ofiarował mi fakultet medyczny w Paryżu za wyleczenie marszałka Pellissier od strzykania w uchu. Piętnaście dyplomów posiadam i najznakomitsi mężowie zasięgali rad moich. Baron Rotschild, który, jak wiadomo, mógł-by kupić całą kulę ziemską i jeszcze-by mu dosyć pozostało na drobne wydatki, prosił mnie ze łzami w oczach, abym został jego nadwornym doktorem, bo żydzisko bardzo się boi śmierci. Odmówiłem, bo moją pracę i naukę poświęcam tylko ojczyźnie, pięknej Italii, wol-

nej i zjednoczonej od Alp do morza. Garibaldi, lew nieustraszony, bohater dwóch światów, dowiedział się o moim szlachetnym postępku i rzekł, ściskając mi dłoń: Doktorze, szanuję cię podwójnie: jako męża niepospolitej nauki, i jako wielkiego patriotę, którego imię pozostanie wiecznie na kartach naszej historii. Panowie, był to najpiękniejszy dzień w mojem życiu.—Otarłszy zwilżone oczy kraciatą chustką, wędrowny Eskulap zwrócił się znowu do publiczności. — Zbliżajcie się, korzystajcie ze sposobności, a będziecie mnie błogosławić. Wyrwanie zęba kosztuje franka, za flaszkę płynu, leczącego siedmnaście chorób, biorę trzy franki. Posiadam także niezawodny środek dla pięknych pań, bezdzietnych, a życzących sobie mieć potomstwo. Cóż jest rozkoszniejszego dla młodej kobiety, jak pieścić pulchne i białe *bambino*, usiłujące wyszczebiotać *mamma carina*. Lekarstwo pewne, wypróbowane i niedrogie. Kupujcie, a po roku przyjdę się dowiedzieć, czy Bóg dał syna, czy córkę. Wolat-bym, aby to był syn, bo Italia potrzebuje tęgich chłopaków do dźwigania karabina. Wówczas piękna i szczęśliwa pani poda mi swą rączkę do ucałowania, co będzie dla mnie najpiękniejszą nagrodą.

W czasie tej kwiecistej oracyi, jakiś wieśniak, z zawiązaną twarzą, zbliżył się do stopnia powozu, prosząc o lekarstwo na ból zębów. Uniwersalny doktor umilkł na chwilę, a my, korzystając z przerzedzenia się tłumu, podążyliśmy szybko ku portykom pałacu *degli Uffizzi*.

Gmach ten, wzniesiony za czasów Kozmy I, podług rysunku Vasarego, stanowi długi a wązki czworobok, zabudowany z trzech stron, a otwarty w kierunku placu *della Signoria*. Wnętrze czworoboku jest więc rodzajem dziedzińca, otoczonego szeregiem doryckich kolumn, podpierających pierwsze piętro pałacu. W niszach, między kolumnami, bielegą posągi znakomitych mężów Toskanii, ustawione tu kosztem ostatniego Wielkiego Księcia, w pierwszej połowie naszego stulecia. Nie wszystkie wprawdzie odznaczają się wysoką pięknnością, lecz, jako monumentalna ozdoba, wiele się przyczyniają do wspaniałości pałacu. Znajdują się jednak wśród nich dzieła znakomitej artystycznej wartości: Bartolini, który zwrócił szkołę florencką ku naturze, jako do źródła prawdziwego piękna, i zwalczył panującą przed nim pieszczotliwą a wymuskaną manierę Canovy, postawił tu jedno z dzieł swojej młodości — posąg Machiawela; najulubieńszy z uczniów Bartoliniego, Giovanni Dupré, wstawiony obecnie przedstawiciel florenckiej szkoły, przyczynił się do ozdobienia gmachu jedną z najlepszych prac swoich, statua 6-go Antonina. Nazwisko pałacu wskazuje, że pierwotnie miało tu być siedlisko władz administracyjnych. Teraz, na dole, mieszczą się

archiwa Toskanii i bogata, należąca do miasta, *Biblioteca Magliabechiana*; pierwsze zaś piętro w całości zajęte przez słynne galerye, których zebranie i urządzenie jest dziełem Kozmy I i jego ulubieńca, historyka sztuki włoskiej, Vasarego.

Na wschodach, prowadzących do galeryi, zbliżyła się do nas *fiioraia* z koszem świeżo rozwiniętych kwiatów.

— Signora raczy zapewne wziąć tę różę, — rzekła ze stereotypem przymileniem. — Jest to najpiękniejszy kwiat, jaki posiadam, mogę go więc ofiarować tylko tak ślicznej damie, jak *la nobile signora*.

Hrabina Ida z jednego względu była podobna do pani Recamier, twierdzącej, że uznanie jej piękności zawsze sprawiało jej miłe wrażenie, chociażby wychodziło z ust zasmolonego, sabaudzkiego kominiarczyka. Z uśmiechem więc przypięła do stanika ofiarowaną różę i w znacznie lepszym, niż na początku przechadzki, usposobieniu, weszła do przedsionka galeryi.

Mijałszy szybko obrazy praojców malarstwa. Madonny Rico di Candia i Pietro Laurati, ś-ta Cecylia pędzła Giotta, i w ogólności zabytki, należące do pierwszej epoki, nie miały szczęścia interesować hrabinę.

— Nie znoszę tych drewnianych postaci, — rzekła mi stanowczo, gdy usiłowałem zwrócić jej uwagę na ciekawę, nawet dla niezawcy, pierwociny sztuki. — Niech pan nie udaje znawcy, bo nim nie jesteś, i śpieszmy do Trybuny; przybyliśmy tu przecie nie dla poziewania przed poczerwiałymi bohomazami, lecz w celu poznajomienia się z adoratorem Medycejskiej Wenus.

Nie opierałem się wszechwładnej woli niewieściej, i posłusznie podążyłem za moją towarzyszką do drzwi Trybuny.

Trybuna, którą Włosi z uszanowania piszą przez wielkie T, chociażby w środku zdania, jest prawdziwą świątynią sztuki. Zgromadzono w niej cudowne zabytki rzeźby greckiej i nieśmiertelne dzieła mistrzów malarstwa, z tego promiennego, jedyne go może, w dziejach myśli ludzkiej, szesnastego wieku. W ośmiokątnej, z góry oświeconej sali, spotykamy tu imiona wielkich artystów, znane każdemu, czyj umysł chociaż trochę zdoła odczuwać wrażenia prawdziwego, wiecznotrwałego piękna. Potrzeba powoli przyzwyczajać się do tego natłoku arcydzieł. Umysł i oczy, zatrzymane przed obrazem Rafaela lub Correggia, odrywają się mimowoli, zwabione widokiem dzieł Pawła Veronese, lub Andrea del Sarto. Po kilku dopiero bytnościach zaledwie można sobie zdać sprawę z otrzymanych wrażeń.

Na lewo od drzwi wchodowych uderza świetnością kolorytu ś-ty Jan na puszczy, pędzla Rafaela, pod nim dwie Madonny tegoż mistrza i sławny portret papieża, Juliusza II. O kilka kroków dalej, portret kobiety, noszącej nazwisko Fornariny. Autentyczność tego wizerunku jest wielce podejrzana, różni się bowiem najzupełniej od portretu kochanki Rafaela w galerji Barberini w Rzymie. Twierdzą także, że ta piękna, czarnooka, skórą pantery okryta kobieta, jest kochanką weneckiego malarza Giorgione, zmarłego młodo z zawiedzionej miłości. Istnieje także tradycya, że portret ten jest pędzla Sebastjana del Piombo, i ma być wizerunkiem znanej poetki, Wiktoryi Colonna. Pierwsza wersja bardziej zasługuje na wiarę, ponieważ malowidło żywo przypomina szkołę wenecką, a zresztą sam strój, przypominający bachantkę, nie służył zapewne nigdy poważnej i idealnej Wiktoryi.

Prawa strona sali mieści w sobie Świętą Rodzinę Michała Anioła, jedno z nielicznych sztalugowych jego dzieł, Madonnę Cor regia a obok nich ś-ta Katarzyna Pawła Veronese uderza zdaleka bogactwem barw, świetnością draperyi i złocistemi falami włosów, spadających na ramiona obnażone. Wprost od drzwi wchodowych, na jednej ze ścian ośmiokątu, króluje Madonna Andrea del Sarto, z cudownie pojętem przez malarza dziecięciem na ręku. Tuż obok wabi zagadkowym uśmiechem i tajemniczym wążkiem Sybilla, obraz Guercina, a na dwóch przeciwległych sobie ścianach widnieją duże, wspaniałe Wenery starego Tycjana. Jedna z nich, tak zwana Wenus z pieskiem, przedstawia kochankę Alfonsa księcia Urbino i należy do najlepszych w tym rodzaju prac weneckiego mistrza, który, jak wiadomo, celował w odtwarzaniu na płótnie piękności kobiecej. Świeżo wyszła z kąpieli, jak o tem świadczy sługa, trzymająca na pogotowiu lekkie, białe okrycie, drży jeszcze od dotknięcia chłodnej wody, i uśmiechnięta, spoczywa, pełna wdzięku, promieniejąca krasą lat ośmnastu. Nie wiem, dlaczego nadano jej miano bogini. Powinna-by po prostu nosić nazwisko kochanki jakiegoś tam książątka, i sam Tycjan prawdopodobnie nie inaczej się na nią zapatrywał, gdyż piesek, spoczywający u nóg swojej pani, równie jak na drugim planie stojąca sługa, będąc akcesoryami czysto rodzajowemi, dowodzą, że malarz nie miał bynajmniej zamiaru nadawania jej charakteru bóstwa, chociażby pogańskiego.

Posągi, znajdujące się w Trybunie, wszystkie, bez wyjątku, sięgają czasów odległej starożytności. Tam więc, na niewielkiej przestrzeni, spotykają się wieki rozmaite i owoce natchnień najbardziej różnorodnych. Święta Rodzina i faun płasający, ascetyczna postać ewangielisty w sąsiedztwie zalotnicy, Chrystus uwieńczony cierniem i pogań-

ska Sybilla, godzą się w artystycznej świątyni, pod jednym dla wszystkich epok, wyznań i natchnień, jasnym sztandarem piękna. A pod cieniem jego, owiana urokiem wiecznej młodości, bieleje Wenus Medycejska. Stary entuzyasta, rzeźbiarz, Władysław Oleszczyński, mawiał, iż dla niej jednej można przedsięwziąć podróż do Florencyi, jak niegdyś Grecy pielgrzymowali do świątyni w Knidzie, dla złożenia czci Praksytelesowi i Afrodycie. Boginię otaczają równie starożytne posągi, przywiezione przeważnie z Rzymu, w rozmaitych czasach. Tańczący faun z czerwonego marmuru, dwaj walczący zapaśnicy, niewolnik, ostrzący nóż na kamieniu, znany pod nazwiskiem *cerrotino*, i mały Apollo, tak zwany *Apollino*, dla odróżnienia od belwederskiego, składają świetny dwór królowej piękności. Wenus została odkopaną w XVI w. pośród ruin willi Hadryana. Chociaż mocno nadwerężoną, zdołano jednak przywrócić ją do pierwotnego kształtu, wszystkie bowiem odszukały się części, oprócz rąk, dorobionych później przez Berniniego. Układ rąk nosi cechę affektacyi, spotykanej we wszystkich dziełach tego rzeźbiarza. Twórcą jej, jak świadczy napis, był Ateńczyk Kleomenes, syn Apollodora, mistrz nieznany, lecz nieustępujący Fidyaszowi i Praksytelesowi. Wenus przybyła z Rzymu w 1680 roku, jako dar, ofiarowany Kozmie II przez papieża.

Wpatrywałem się z zachwytem w cudowne kształty tego ideału piękności kobiecej; hrabina zaś niespokojnie spoglądała wokoło, szukając oczyma zapowiedzianego przeze mnie oryginała. Oczekiwanie skończyło się niebawem, gdyż w kilka minut po nas wszedł do sali *cavaliere* Mariani. Był to mężczyzna czterdziestokilkoletni, mocno już przyprószoney siwizną, z pięknem, wzniosłem czołem i oczyma, pełnemi włoskiej żywości. Przedstawiłem go mojej towarzyszce, i wkrótce pomiędzy nimi zawiązała się ożywiona rozmowa, przerywana czasem nadejściem nowego gościa. O czem-że można mówić w Trybunie wobec tylu arcydzieł? Oczywiście, gawęda nasza toczyła się głównie w zakresie sztuki, i hrabina, słuchając trafnych sądów *cavaliere* Mariani i opowiadań, świadczących o jego wielkiej erudycyi, spoglądała na mnie z uśmiechem, w końcu szepnęła, żem ją zmistyfikował.

— Często pan tu bywa? — spytała naszego nowego towarzysza.

— Codziennie, — odparł — codziennie od lat piętnastu.

— Jesteś pan więc, bezwątpienia, najlepszym w całej Florencyi znawcą galeryi.

— Tak, studyowałem ją niegdyś dość długo, lecz obecnie przychodzę właściwie tylko do Trybuny dla zobaczenia Wenus. Zapewne

słyszała pani o mnie, towarzyszyć jej bowiem zna mnie już od lat trzech, — dodał, wskazując mnie wzrokiem, — nie widzę więc potrzeby ukrywania się z moją miłością dla pięknej bogini. Nie jest to niedyskrecją z mojej strony, ponieważ uczucie moje nie jest, niestety, podzielone.

Spojrzałem zwycięsko na hrabinę, i powoli wprowadziłem signora Marianiego na tor dalszych opowiadań.

— Dawno już, bardzo dawno, — ciągnął dalej *cavaliere*, — od chwili, kiedy przybyłem tu z Pizy, uczułem niezmierne wrażenie na widok tej piękności. Patrzyłem na nią wszakże, jak na najpiękniejszy posąg tylko, bo wówczas sądziłem wraz z innymi, że rzeczywiście jest ona posągiem.

— Więc Wenus nie jest statuą, lecz istotą żyjącą? — zapytała z uśmiechem pani Ida.

— Tak, pani, żyje od wieków i żyć będzie wiecznie, bo jest nieśmiertelną. Starożytna wiara upadła, ustępując miejsca innym wyznaniom, lecz nieśmiertelni bogowie zostali, chociaż niewielu już liczą czcicieli. Ja należę do ich małego grona. Dawniej nie przyznawałem się do tego; dziś wszakże okoliczności się zmieniły, mamy zapewnioną swobodę wyznań, mogę więc głośno wyznawać moją wiarę.

— Lecz jakimi drogami przyszedłeś do tego przekonania? — zapytałem.

— Myśl ta oddawna gnieździła się w mojej głowie; nie mogłem pojąć, aby religia, tak poetyczna, piękna, tak głęboko rozumiejąca wszystkie tajniki natury, była tylko bajką, tylko wytworem wybujałej wyobraźni ludzkiej. Nie przywiązywałem poważniejszego znaczenia do tych przypuszczeń; w końcu przypadek przekonał mnie, że mam słuszność. Byłem wówczas profesorem historii sztuki, i właśnie w półroczu, w którym mówiłem moim słuchaczom o sztuce w Grecyi, jakiś nieuk napisał rozprawę o rozmaitych posągach, wyobrażających Wenus. Ośmielił się wystąpić z twierdzeniem, że Wenus Canovy, w galerji Pitti, ma więcej charakteru boskości, niż Medycejska, nazwana przez niego piękną ateńską heterą. Oburzony, odpowiedziałem, stanowczo zbijając zarozumiałego dylettanta, i broszura moja pozyskała ogólne uznanie estetyków. W kilka dni po wydrukowaniu rozprawy, zaniósłem jeden egzemplarz konserwatorowi galerji *degli Uffizzi*. Wychodząc od niego, wstąpiłem tu. Nie było nikogo. Stałem na chwilę, szydząc w duchu z ignoranta, który śmiał porównać ten ideał piękna do chorobliwej statuy Canovy. Wtem usłyszałem lekki szmer. Był to melodyjny głos, drżący niesłyszanemi nigdy w życiu mojem tonami. Ździwiony,

przysłuchiwałem się, chcąc odgadnąć, skąd dźwięki te pochodzą, i z przerażeniem ujrzałem poruszające się lekko usta Wenus. Bogini zwróciła się do mnie: „dziękuję ci, — rzekła — za obronę od potwaczy. Mnie śmiano nazwać heterą, mnie, którą czczono we stu świątyniach. Minęły czasy mojej potęgi, na ołtarzach pogasły ognie ofiarne, Cytera zaległa pustką, i każdy dziś może się ze mnie natrzasać.“

Bogini umilkła, a na jej niezemijskim obliczu zaświeciły dwie łzy, spływające z wolna.

— O Pani serce! — zawołałem, rzucając się na klęczki, — nie wszyscy zapomnieli czci, tobie należnej; ja podniosę twoje ołtarze, ja zwiastuję światu, żeś nieśmiertelna. — Nazajutrz miałem prelekcję. Wszedłem do audytorium, z postanowieniem ogłuszenia widzianych przez siebie dowodów boskości Wenus. Na wstępie opowiedziałem moim słuchaczom wczorajsze zjawisko, i wyraźnie oświadczyłem, że powracam do wiary naszych przodków, i że tylko przed Olimpem ugnę kolana. Wyznanie moje sprawiło ogromne wrażenie. Całe miasto mówiło o nowym obrońcy bogów. A były to czasy wygórowanego ultramontanismu; jezuici tajemnie rządzą wszystkim, mając łatwy przystęp do Wielkiego Księcia, ulegającego wpływom małżonki. Odebrano mi katedrę profesorską, złamano zawód, od młodości ukochany. Wołałem jednak utracić wszystko, niż wyrzec się prawdy, która oświeciła mój umysł.

Signor Mariani westchnął głęboko, i z uwielbieniem spojrział na marmurowy przedmiot swoich zapalów.

— Od owej chwili, słyszałaś, *cavaliere*, często głos bogini? — spytała hrabina.

— Nie, *pregiatissima contessa*, raz, jeden tylko raz, dane mi było upajać się niebiańską melodyą jej głosu; lecz potem, pomimo moich zaklęć i błagań, pozostała niema.

— Może miłość pana zniewala ją do milczenia; wszak to bogini, zapaly śmiertelnika mogły się jej wydać zanadto wielką śmiałością.

— Wszakże, — zawołał zdegradowany profesor, — boginie dawniej zwracały wzrok łaskawy na nas, pospolitych śmiertelnych. Dyana, chociaż dumna i nieprzystępna, spływała na księżycowym promieniu w objęcia Endymiona. Cóż dopiero łagodna Wenus, przyzwyczajona odurodzenia do hołdów płomiennych. Śmiałość moja nie jest przyczyną jej milczenia, lecz obojętności, w pewnych razach stokroć boleśniejsza od nienawiści. A przytem, — dodał cicho — domyślam się, że serce jej nie jest wolne.

— To tylko przypuszczenie, — przerwała żywo hrabina — każdy zakochany jest zazdrosnym, chociaż niema nawet cienia słuszności w jego podejrzeniach.

— Niestety, przypuszczenia moje nie są urojeniem. Mam współzawodnika, tem groźniejszego, żem ja już stary i siwy, on zaś jaśnieje wdziękiem pierwszej młodości.

Zwrócił nieznacznie wzrok na posąg Apollina.

— Ależ on nadto młody, — wtrąciłem — to prawie dziecko.

— O, mój panie, — szeptał ze smutnym uśmiechem Mariani, — właśnie z tego powodu jest niebezpiecznym. Wenus przecie nie jest dziewczką, rozpoczynającą życie, lecz kobietą w całym rozwoju piękności, owocem dojrzałym, nie zaś niewinnym pączkiem białej róży, a kobiety w tym wieku nadewszystko przekładają młokosów.

— Tak, niewątpliwie, *cavaliere* ma słuszność, — zaśmiała się hrabina.

— Widzisz pan, hrabina potwierdza moje zdanie, — zawołał Mariani.

— Jednak dowodów nie posiadasz pan żadnych.

— Dowodów nie mam. Chciał-bym je mieć, bo wówczas stracił-bym wszelką nadzieję, i może-bym pogodził się z mojem nieszczęściem. Cierpiał-bym i milczał. Nieraz chciałem się przekonać i, korzystając z uprzejmości kustosa, przychodziłem tu po zamknięciu galeryi, w godzinach wieczornych. Wyznaję ci ze wstydem, że całe godziny spędzałem na podsłuchywaniu. Był to postępek nieszlachetny, lecz kto prawdziwie kochał, zrozumie mnie łatwo.

— Mój mąż nie kochał mnie nigdy, — szepnęła, jakby do siebie, hrabina — a postępuje w ten sam sposób.

— Raz jednak — ciągnął dalej swe opowiadanie *ex-profesor*, — wydało mi się, że słyszę głosy w Trybunie. Otworzyłem drzwi i wpadłem do sali z bijącym sercem. Wszystko było na swoim miejscu Wenus, jak zawsze, bieląca na piedestale i Apollino stał naprzeciw, w tej swojej niedbałej postawie, drażniącej mnie oddawna, jako brak należnego uszanowania dla bogini.

— A więc posądzenie było niesłusznem, — wtrąciła żywo hrabina, stającą zawsze energicznie w obronie swojej pci.

— Nie wiem, co mam myśleć. Głosy słyszałem, a przy mojem wejściu zastałem ciszę. To dowodzi tylko, że Apollino zręcznie się znalazł. Każdemu zdarzało się mieć za młodu *certe relazioni*, i mnie również. Wiem więc, że pozory zachować łatwo. Czyż to raz kochanek kłęczy u stóp ukochanej, okrywając jej ręce pocałunkami. Wtem dają się sły-

słyszeć kroki męża, lub natrętnego gościa. W jednej chwili zmiana dekoracyi. Pani obojętnie bawi się nożem do rozcinania książek, a rozczulony przed pięciu sekundami adonis siedzi o kilka kroków z kapeluszem w ręku. Wchodzący słyszy dalszy ciąg rozmowy, która nigdy nie istniała: „więc ostatnia powieść znakomitego X. nie podoba się pani, — mówi z idyotycznym uśmiechem elegancki młodzieniec. — Powieść piękna, ale charakter heroiny nadto przesadzony, — odpowiada pani, tłumiąc niby chęć do poziewania. Wszystko więc w porządku, i szczęśliwy małżonek, powracający od przyjaznej mu francuskiej baleriny, pozostaje w przyjemnem przekonaniu, iż ci państwo rozprawiali o literaturze *e basta*.

— *Signor cavaliere*, — rzekła z komiczną powagą hrabina, — jesteś nie tylko znakomitym estetykiem, lecz także głębokim znawcą życia.

— Ta ostatnia nauka, hrabino, kosztowała mnie drogo, — odparł melancholijnie zagadniony. — Pozbył-bym się jej chętnie jednak i gotów jestem uchodzić za ostatniego nieuka pod tym względem, byle mieć dowód, że równie jak ja, Apollino jest obojętnym dla bogini, bo o jej wzajemności nie marzę nawet. Za stary jestem, trzeba się pogodzić i z tym smutnym faktem.

Gawęda nasza była-by trwała zapewne znacznie dłużej, ale zegar na wieży *Signorie* wydzwonił trzecią godzinę. Sale się wypróżniały, a nareszcie i do nas zbliżył się *custode* ze zwykłym: *Signori, la galleria si chiude*.

Opuściliśmy więc Trybunę, pożegnawszy ex-profesora estetyki, który raz jeszcze spojrział na przedmiot swoich zapalów, i ze spuszczoną głową podążył ku głównemu wejściu.

W kilka miesięcy po tej gawędzie, przechodząc przez ulicę San Gallo, usłyszałem głośno wymówione, chociaż nieco przekręcone, swoje nazwisko. Zwróciłem się w stronę, z której pochodził znany mi głos, i w zakratowanym oknie obszernego gmachu ukazała mi się postać wybladłego i zestarzałego kawalera Marianiego. Gmach ten był, niestety, domem obłąkanych. Kierowany przez dozorcę, ujrzałem się niebawem w niewielkiej, jasnej izdebce, będącej stałym mieszkaniem nieszczęśliwego czciociela Olimpu. Na stole leżało kilkanaście książek i spore foliały zapisanego papieru. Na kominku, pomiędzy dwiema doniczkami kwiatów, bielał gipsowy posążek Wenus Medycejskiej.

Gospodarz uściśnął mi przyjaźnie rękę, a gdy dozorca się oddalił, rzekł, potrząsając smutnie siwą głową:

— Dziękuję ci, żeś chciał odwiedzić więźnia. Widok życzliwej twarzy jest prawdziwym szczęściem dla człowieka, skazanego na spędzenie życia między czterema niemymi ścianami, a od kiedy się tu znajduję, nie widzę nikogo z dawnych przyjaciół.

— Jakim trafem dostateś się do więzienia? — zapytałem, widząc, że biedak nie wie, gdzie się znajduje.

— Niestety, a zawsze z jej powodu, — wskazał ruchem głowy stojący na kominku posążek. — Wkrótce po naszym spotkaniu w *Uffizzi*, byłem tam znowu, nie przypuszczając, że po raz ostatni może oglądam oblicze bogini. Deszcz padał, galerya, jak zwykle w takich razach, była wypełniona przez tłumy tych panów, co, nie mając nic w domu do roboty, a nie chcąc moknąć na ulicy, przychodzą tam dla zabicia czasu. Wenus była otoczona przez kilku takich pseudo-amatorów sztuki. Jeden z nich, Francuz, kupczyk podróżujący, przychodził od kilku dni do *Albergo della Luna*, gdzie zwykle obiadowałem, znałem go więc z widzenia. Bawił on tam publiczność paryskimi błażenstwami, a pod koniec obiadu zalecał obecnym nabycie szczotki nowego wynalazku, zapobiegającej przedwczesnej łysinie. Otóż ten reprezentant fabryki cudownych szczotek, rzucił niedbale wzrok na obrazy, a potem, zbliżywszy się do Wenus, bezczelnie poklepał ją dłonią.

— *Elle n'est pas mal la petite coquine*, — rzekł, mrugając okiem na swych towarzyszy, zanoszących się od śmiechu, na ten płaski i nieprzyzwoity koncept.

Zbliżyłem się do niego i wskazałem mu drzwi.

— Czy pan jesteś dozorcą? — spytał mnie kupczyk z arogancką miną.

— Dozorcą nie jestem, ale w mojej obecności nie pozwolę ubliżyć bogini.

— Jakiem prawem, mój zabawny panie.

— Kocham ją! — zawołałem.

— A więc będziemy rywalami, — odrzekł, śmiejąc się, Francuz, i końcami palców przesłał całus bogini.

Zawrzałem cały i, chwyciwszy śmiałka za kołnierz, z całej siły popychałem go ku drzwiom. Nadbiegł jeden ze strażników i wydarł mi z rąk krzyczącągo i rozczzerwionego kupczyka.

— Przepraszam najmocniej, — tłumaczył się z zakłopotaniem. — Ten pan zachowywał się dotąd zawsze spokojnie, i dlatego nie broniono mu wstępu do galeryi.

— Nie jestem waryatem, — krzyknąłem, oburzony tą nikczemną potwarzą, — a za obrazę bogini przysięgam panu dziś jeszcze moich świadków.

— Sądzę, — odparł uspokojony już Francuz, — że nie ze mną będziesz pan miał do czynienia. Prawdopodobnie nie krew będzie się przelewała, lecz wiadra zimnej wody na głowę pana, szanowny amantcie marmurowej piękności.

Nim zdołał oddalić się o parę kroków, już otrzymał policzek. W oka mgnieniu zostałem pochwycony, związany, straciłem przytomność i ocknąłem się dopiero tu, w więzieniu, oddzielony kratą od świata i od tej, którą na wieki ukochałem.

— Zapewne — rzekłem, chcąc pocieszyć biednego profesora, — uwięzienie to nie potrwa długo. Wykroczenie pana nie było zbrodnią. Spodziewam się — dodałem, żegnając go, — spotkać się wkrótce w Trybunie, a wtedy i Wenus, w nagrodę tyłu poniesionych dla niej cierpień, przestanie nareszcie być nieczułą.

— Wątpię, — odparł z westchnieniem *cavaliere*, — wątpię, i bynajmniej nie łudzę się nadzieją. Nieobecny zawsze traci, powiada doświadczenie wieków. Wenus już oddawna zapomniała o mnie, bo chociaż bogini, jest ona zarazem kobietą światową, otoczoną hołdami. Nie posiada więc zapewne tej świętej pamięci serca, która, pomimo długiego rozstania się, chroni kochanka od zupełnego zapomnienia. Wierz mi, powtarzam raz jeszcze: *l'assente ha sempre torto*.

TOMASZ ZAWADYŃSKI.

Pieśni Bakchylidesa.

Z dwudziestu pieśni Bakchylidesa, odkrytych na egipskim papyrusie, zachowane są najlepiej dwie, właśnie najbardziej interesujące, obie osnute na tle mitu o Tezeuszu. Pierwsza z nich, (XVII ¹⁾, przeznaczona była dla chóru młodzieńców i dziewic na uroczystość Apollina, obchodzoną na wyspie Delos, którą wedle podania miał ustanowić Tezeusz, wracając z Krety, po zabiciu Minotaura. Podanie, stanowiące treść tej pieśni, którego znajomość do zrozumienia jej potrzebna, znali Grecy, jako swoje rodzime, powszechnie, zachowali je zaś Pausaniasz ²⁾ i Byginus ³⁾ mniej więcej w tej formie: Minos, wioząc z Aten wymuszony na Ateńczykach haracz, siedm dziewic i tyłuż młodzieńców, przeznaczonych na pożarcie przez Minotaura, a między nimi także Tezeusza, zapłonął w drodze miłością ku jednej z ofiar, i obraził jej skromność dziewiczą. Młody Tezeusz, potomek Pandyona, syn Pozej-

¹⁾ The Poems of Bacchylides edited by F. g. Kenyon. Oxford, 1897, p. 153.

²⁾ I, 17, 2, 3.

⁴⁾ Post. Astr., II, 5.

dona i Etry, słysząc skargę dziewicy, wystąpił groźnie przeciw królowi, mówiąc, że sam będąc synem boga, może się mierzyć z nim, synem Zeusa. Wtedy Minos, zakławszy wprzód Zeusa, by gromem stwierdził, jak żywą otacza go opieką, powątpiewając o boskiem pochodzeniu Tezeusza, zdjął pierścień z palca i, rzucając go w pełne morze, wezwał młodzieńca, aby odnalazł mu klejnot w głębinie, jako w królestwie własnego ojca. Tezeusz, ufny w opiekę bogów, nie wzywając nawet pomocy rodzica, rzucił się w fale i zniknął z oczu. Pozejdon nie odmówił jednak synowi chwały, wnet otoczyły młodzieńca delfiny i zawiodły go do domu ojca w głębinach. Przyjęty z czcią i obdarzony złotym wieńcem przez Amfitrytę, wrócił bohater ku zdumieniu wszystkich na powierzchnię morza.

TEZEUSZ.

XVII. PIEŚŃ BAKCHYLIDESA.

Po kretańskiej głębinie rączo modra łódź płynie,
 W niej Tezej i siedem ateńskich par dzieci,
 Jasne wzdęły się żagle, wiatr z północy śle nagle
 Atena, władczyni wojennej zamieci.

Wtem Cyprydy natchnieniem w pierś Minosa płomieniem
 Rozkoszy pragnienie się wkrada ponętne.
 A że jedna dziewica najjaśniejsze ma lica,
 Do ust jej przyciska swe usta namiętne.

Jęk wydała strwożona i potomka Pandjona
 Spojrzeniem na swoją obronę przyzywa.

Jego serce ból ścisnął, w ciemnem oku gniew błysnął,
Powstaje, i tak się na króla porywa:

„Synu Zeusa możnego! Strzeż się czynu niecnego,
Bo w żądzы godziwą przekraczasz już miarę!
Nam wyrokiem swym bogi przeznaczają los srogi,
Gdy czas nasz nadejdzie, poniesiem ofiarę.

Teraz precz z tą przemocą! Możesz chęłpić się mocą,
Twa matka fenicka ci to wyjednała,
Która z niebios błękitów do Idejskich stóp szczytów
Urokiem piękności swej Zeusa ściągała,

Mnie zaś życiem obdarza sławna córą mocarza
Pitneja, — królewską on nosił koronę —
Pozejdona kochanka, do ślubnego jej wianka
Dziewiczą zaplotły Nerejdy zasłone!

A więc słuchaj przestrogi! Niechaj chronią cię bogi,
Byś krzywdą nie dotknął tych dzieci mi zdradnie,
Bo jak słońce na niebie, dotknie ramię to ciebie,
A nie wiem już, bogów jak sąd nam wypadnie!“

Tak rzekł młodzian wzburzony, a tłum pobladł strwożony,
Lecz w sercu królewskiem gniew straszny się zrywa,
Za obelgę mąż butny pomysł zemsty okrutny
Już powziął, i tak się wśród ciszy odzywa:

„Ojcze Zeusie na niebie! Jeśli prawdziwie ciebie
Fenicka królowna rodzicem swym zwała,

Z niebios, przez przestwór czysty, grom mi ześlij ognisty,
Niech także na syna spadnie twoja chwała.

A ty, któryś się chlubił, że Pozejdon poślubił
Rodzicielkę twą, Etrę, wśród modrej głębiny,
Patrz na pierścień ten mały, w morskie rzucam go wały,
Ty idź za nim i odwiedź ojcowskie dziedziny.

Gdy w nieprzejrzystej toni oko twe go dogoni,
Ukazuj się rychło z szczęśliwym powrotem,
Bo że przez gromów pana ma prośba wysłuchana,
Odpowie niebawem Kronida swym grzmotem.“

Harda mowa dolata Zeusa, pana wszechświata,
Więc uczcić nad miarę przed ludźmi chce syna.
Zagrzmiał w niebie grom groźnie, tłum pochylił się trwoźnie,
A król z dumą spogląda i mówić zaczyna:

„Widzisz, pyszny młodzianie, jak mnie darzą niebianie,
A teraz pogrążaj się w morskiej głębinie!
Wszak twój rodzic, Kronida, na zgubę cię nie wyda,
I głośno twe imię na ziemi zasłynie!“

Tezej, nieustraszony, na burt wchodzi wzniesiony
I w otchłań szumiącą się rzuca zuchwale,
Głębie się rozstąpiły, nurty wnet go pokryły,
Lubemi ramiony objęły go fale.

Że pobłądził, król czuje, żal mu serce przejmuje,
Więc łódź swą zatrzymać rozkazał załodze,

Ale, z bogów wyroku, cofnąć nie mógł już kroku,
Boreasz ich pognał naprzód po ich drodze.

W oczach ateńskich dzieci żalu cicha łąza świeci,
A pierś ich głębokie rozrywa westchnienie;
Znikł obrońca jedyny, pochłonęły głębiny
Z młodzianem ostatnią ich wiarę w zbawienie.

Lecz ród morskich przezroczy, tłum delfinów, otoczy
Tezeusza i grzbiety posłusznie podaje,
Potem wraz go unosi, gdzie dom ojca się wznosi
I w bogów przybytku młodzieniec wnet staje.

Spuścił wzrok swój nieśmiały, kiedy przed nim powstały.
Uroczę Nereusa dziewice, cud morza,
Barwne włosów przepaski złote wkoło ślą blaski,
Roskoszne ich ciała się błyszczą, jak zorza.

Słyszał śpiewy czarowne, widział płasy cudowne
I ujrzał w pałacu małżonkę rodzica,
Amfitrytę boginię, morskich toni władczynię,
I jasnym spojrzeniem jej ócz się zachwyca.

Ta w szkarłat stroi syna, a we włosy mu wpina
Z rozkwitłych róż wieniec przedziwnej roboty,
Był on ślubnym jej darem, Afrodyta wraz z czarem
Miłości, złożyła jej klejnot ten złoty.

Rozum ludzki nie zbłądzi, wierząc w to, że bóg rządził
Przy łodzi znów Tezej wynurzył się z fali.

Ciężką troską dręczony, westchnął Minos zdumiony,
Żeglarze, czią zdjęci, w morze spoglądali.

I wszedł młodzian dostojny, skroń mu wieńczył dar strojny,
Radosny krzyk dziewic się rozległ dokoła,
Groźniej zabrzmiały fale, młodź w radosnym swym szale
Z okrzykiem otacza go witać wesola.

J. KUBLIŃSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Tadeusz Pini: „Mickiewicz jako wydawca poezji Garczyńskiego“. Lwów, nakładem Tow. lit. im. A. Mickiewicza, 1898, in 8-o str. 48.

Wiadomą jest rzeczą, że kiedy Mickiewicz przeniósł się z Drezna do Paryża (1832), Stefan Garczyński, którego z Mickiewiczem łączyła zawarta w Berlinie r. 1829 znajomość, zamieniona potem w Dreźnie na serdeczną i gorącą przyjaźń, udał się do niego z prośbą o zajęcie się w Paryżu wydaniem jego poezyi, Witwickiego zaś i Domeykę prosił, aby podjęli się robienia korekty i uczynili najniezbędniejsze poprawki. Atoli Mickiewicz sam z miłości dla przyjaciela ofiarował się robić wszystkie korekty i, jak to pisze w listach do Garczyńskiego ¹⁾ „gdzie-niegdzie wiersze przestawiał dla harmonii“, lub usuwał z nich „ciemność“ i uzupełniał „nieskończone rysy kilku obrazów“. To było wszystko, cośmy dotąd o tych poprawkach Mickiewicza w poezjach Garczyńskiego wiedzieli.

Dopiero świeżo, na podstawie otrzymanych autografów poezyi Garczyńskiego z własnoręcznemi poprawkami Mickiewicza (znajdującemi się w zbiorach hr. Leona Skórzewskiego w Lubostroniu w W. Ks.

¹⁾ Patrz Korespondencja A. Mickiewicza I, 116 i 117.

Poznańskiem), rzucił na nie nowe i ciekawe światło p. Pini w rozprawie powyżej przytoczonej. Porównywając skrzętnie pierwotny tekst Garczyńskiego z poprawkami Mickiewicza, wykazał p. P., ile w poezjach Garczyńskiego znajduje się tych rzeczywistych poprawek autora Pana Tadeusza i jakiego są one rodzaju.

Przypatrzmy im się bliżej.

Poeta, pisze p. Pini, poprawiał zwykle w ten sposób, że przekreślał wyraz lub zdanie, które wydawało mu się niestosownem, a nad niem lub obok umieszczał inne. Nieraz, jednym pociągnięciem pióra, z białych, niewyraźnych rysów tworzył obrazy uderzające siłą i plastyką, a nigdy przytem nie zmieniał myśli Garczyńskiego, lecz zastoso-
sowywał się do niej jak najściślej, i w innych, tylko dosadniejszych lub piękniejszych, słowach ją wyrażał.

Autografy poezji Garczyńskiego, przechowane w zbiorach Lubostrońskich, składają się, jak się od p. P. dowiadujemy, z trzech zeszytów. Pierwszy z nich zawiera I część „Wacława Dziejów“, drugi obejmuje część II tego poematu, w trzecim mieszczą się „Wiersze różne“ oprócz „Sonetów wojennych“, których rękopisu dotąd nie udało się odszukać. Otóż w dwóch pierwszych zeszytach, t. j. w „Wacława Dziejach“, niewiele jest poprawek Mickiewicza, znacznie więcej dopiero w zeszycie trzecim.

Wszystkie poprawki Mickiewicza, poczynione w poezjach Garczyńskiego, dotyczą głównie formy, w treści natomiast nie zaprowadzają żadnej zmiany. Przeciż zdarza się, że Mickiewicz nieraz usuwa cały wiersz i wkłada inny, nie pozostający z nim w żadnym związku, i tworzy obraz, nie naszkicowany nawet wprawdzie przez Garczyńskiego, ale myśl tego obrazu przejętą jest zwykle z Garczyńskiego. Autor „Wacława Dziejów“ według p. P., „nie miał zbyt wiele fantazyi ¹⁾, był on raczej umysłem refleksyjnym; nadto styl jego nigdy świetnym nie był“ (str. 8). Przyczyny tego szuka p. P. w całym wychowaniu i wykształceniu Garczyńskiego, który miał się kształcić „od dziecka w szkołach niemieckich“ (str. 8). Co do tego myli się jednak p. P., gdyż Garczyński, urodzony r. 1806 w Kosmowie pod Kaliszem, odbywał nauki w Trzemesznie w W. Ks. Poznańskiem, następnie w Liceum Warszawskiem, a dopiero potem kończył uniwersytet w Berlinie, to też styl jego, kształcony dopiero później na wzorach niemieckich, nie jest znów tak ciężkim i naszpikowanym germanizmami, jakie mu p. P. wytyka. Że młody, niedoświadczony, a przedewszystkiem co do talen-

¹⁾ Prof. Tarnowski odmawia mu jej zupełnie „Refleksyi jest w Garczyńskim wiele, wyobraźni niema ani krzty“, patrz: Studya do historii literatury polskiej. Tom II. Kraków 1896 str. 166.

tu poetyckiego o całe niebo niżej od swego przyjaciela stojący, Garczyński, użył nieraz jakiegoś „szorstkiego lub niezgrabnego“ wyrażenia, które dopiero Mickiewicz gładzić musiał, temu niema się wielce co dziwić. Także przyznaję, przeczytawszy z uwagą rozprawkę p. Piniego, że Mickiewicz nieraz rozwinął jaśniej i piękniej niejedną naznaczony zaledwie przez Garczyńskiego obraz poetyczny; ale, aby aż jednym z dwóch *głównych* zadań Mickiewicza, przy korekcie poezji przyjaciela, było usuwanie właśnie tych germanizmów, tego dostrzedz nie mogłem. Natomiast często wystarczy przeczytać pierwotny tekst Garczyńskiego i poprawki Mickiewicza, aby poznać, ile jakiś obraz zyskał na tych poprawkach wieszczą, zarówno co do jasności, jak siły. Na dowód przytoczmy przykłady: „Wacława Dzieje“ w w. 272 i następne.

Garczyński:

Tak jej się w śnie zdawało—gdy wtem z góry, z dołu
 Nie wiedzieć, jakiś nowy olbrzym w szranki bieży,
 On jeden chce ich wszystkich zbić, zwalczyć pospołu.
 Był to człowiek jej znany z twarzy i odzieży,
 Młody, miły, powabny;—w rękę miecz piastował
 A pierś swą w zbroi światłem tryskającej chował,
 Zaczęła płakać matka—wyciągnęła dłonie
 Ku niemu, lecz napróżno—on nie widział matki;
 Wyciągnęła ku niebu—i Bóg jej wypadki
 Skrył w zasłonie.

Mickiewicz:

Tak jej się we śnie zdało — wtem z góry, czy z dołu,
 Niewiedzieć, jakiś nowy olbrzym w szranki bieży,
 On jeden pragnie walczyć, zbić wszystkich pospołu.
 Był to człowiek jej znany z twarzy i odzieży,
 Młody, miły, powabny;—wielki miecz miał w dłoni,
 Jasną zbroję na piersiach, przyłbicę na skroni.
 Zaczęła płakać matka—wyciągnęła dłonie
 Ku niemu, lecz napróżno—on nie widział matki;
 Wyciągnęła ku niebu—Bóg przyszłe wypadki
 Skrył w zasłonie.

Nie wątpliwie poczynione tu poprawki przez Mickiewicza dodają siły pierwotnym wyrażeniom Garczyńskiego. Porównajmy jeszcze jeden ustęp, mianowicie w. 305 i w. w drugim „Śnie proroczym“ matki Wacława.

Garczyński:

Widziała matka walkę — spotkali się razem.
 Jeden groził szponami a drugi żelazem.
 Aż młody pierwszy strzelił — krew plusła mu z boku,
 Jako deszcz nawałnicy rześisty z obłoku,
 I orzeł na dół zleciał — ale swoje pióra
 Jak wachlarz roztoczywszy, jak baldakim słońca,
 Skrył ziemię czarnym puchem...

Mickiewicz:

Widziała matka walkę — zwarli się zarazem:
 Jeden groził szponami a drugi żelazem;
 Młodzieniec pierwszy strzelił — i krew z orła boku
 Plusnęła nawałnicą jako deszcz z obłoku,
 I orzeł na dół zleciał — ale swoje pióra
 Jak wachlarz roztoczywszy przed obliczem słońca,
 Skrył ziemię czarnym puchem...

Do tego miejsca p. P. trafnie dodaje od siebie: „Warto może zwrócić uwagę, jak starannie Mickiewicz poprawia niejasności, wynikające z błędów stylistycznych przyjaciela. Kiedy Garczyński powiada, że po strzale „młodego“ „krew plusła mu z boku“, to czytelnik rozumie przez „mu“ (p. P. pisze „rozumie *pod nim*“) młodzieńca i dziwi się, dlaczego orzeł spada na ziemię? Mickiewicz zaradził temu nieporozumieniu i równocześnie niezrozumiały „baldakim słońca“ zastąpił prześlicznym zwrotem „przed obliczem słońca“; ale podobnych obszerniejszych poprawek nie zbyt dużo znajduje się w Waclawie. Dotyczą one, jak już wyżej nadmieniliśmy, głównie stylu Garczyńskiego, względnie niefortunnych jego lub niejasnych wyrażen. Tak np. na innym miejscu (Waclaw, w. 120) pisał Garczyński: „wiara wasza utworem jest pychy“, co Mickiewicz zamienił na: „wiara wasza jest to dziecko pychy“; albo (Waclaw, w. 143) Garcz. wyrażenie „jarzmo obce — wiara“ przerobił na „obca przemoc — wiara“, albo w. 158. Z „młota hukiem“ zrobił „młota gromem“ itp. Niektóre zatem zwroty stylistyczne lub słowa Garczyńskiego nie znalazły approbaty Mickiewicza i dlatego zastąpił je innymi, które mu się wydały trafniejszymi lub lepszymi. Takie same stylistyczne poprawki porobił Mickiewicz i w „drobnych wierszach“ Garczyńskiego, których p. P. przytacza kilkanaście. Jednakże po tych, które przytoczyłem, poznał już chyba czytelnik sposób poprawek Mickiewicza, interesującego się zaś szczegółowiej temi rzeczami odsyłam do samej rozprawki p. Piniego, nader sumiennej w tym względzie. Tu nadmieniam tylko, że z pomiędzy 21 liry-

cznych, a 5 epicznych drobnych wierszyków Garczyńskiego znalazł p. Pini w ostatnich trzy razy tyle poprawek, co w pierwszych, grunto-wniejszej zaś przeróbce, powiada, uległy trzy t. j. „Zdrajca“, „Król i giermek“ i „Bitwa pod Grochowem“.

Że na tych wszystkich, najdrobniejszych nawet, poprawkach „genialnego Korrektora“ niejeden wiersz Garczyńskiego tylko zyskał, nie uważał-bym się zaprzeczyć, ale, aby znów w tych pierwotnych wierszach autora Wacława było aż tak dużo tej niejasności stylu, jaką mu p. Pini kilkakrotnie z naciskiem wytyka, tego nie zauważyłem. Oczywiście wstawione przez Mickiewicza wyrażenia i zwroty językowe, jak np. owo „oblicze słońca“ i t. p., także i całe poetyczne obrazy nieraz są ładniejsze, i poprawniejsze, i jaśniejsze znacznie od pierwotnych słów Garczyńskiego, ale... ne quid nimis! Toć z pomiędzy naszych największych poetów właśnie Mickiewicz pisał najjaśniej, najpoprawniej, a przytem górował ponad innymi pięknnością poetycznych przenośni, porównań, obrazów. Z takim artystą słowa i stylu nie mógł się mierzyć skromny Garczyński. Gdyby Mickiewiczowi jakiś inny współczesny poeta polski, czy to Odyniec, czy Witwicki naprzykład, był oddał swe poezye do podobnej co Garczyński „Korrekty“, to kto wie, jakie byłby w nich wielki poeta poczynił zmiany, może nie tylko ślisłe stylistyczne? A jeśli genialny Schiller nie wstydził się niejednokrotnie zasięgać w swych poezyach rad i wskazówek Goethego, słuszną, że i Garczyński przyjął zaszczytne współpracownictwo swego wielkiego przyjaciela, a lubo „chory i drażliwy“ nie martwił się jego „liczne-mi wykreśleniami“.

Reassummując nasze uwagi co do rozprawki p. P., zgadzamy się z nim raz jeszcze, gdy twierdzi, że Mickiewicz w swej korekcie poezyi Garczyńskiego „nieraz kilku rysami podniósł ogromnie malowniczość obrazu i nadał mu więcej życia“; ale zdaleko, naszem zdaniem, posuwa się p. P. w swem uwielbieniu dla „genialnego korektora“, gdy na str. 41 swej pracy do takich aż dochodzi rezultatów: „w kilku takich poprawkach lepiej może i wyraźniej okazuje się geniusz poetycki, niż w niejednym skończonym, własnym utworze, choćby nawet najlepszym (1)“. Także zdaje się nam przeceniać p. P. doniosłość tych poprawek Mickiewicza, skoro mówi (str. 47): „Jeżeli z radością witamy odkrycie nowej jakiejś redakcyi któregokolwiek z poematów Mickiewicza, jakichś odmian tak dobrze znanego nam już tekstu, w nadziei, że może one *rozświecą nieco drogę, jaką przebiegały genialne myśli* poety — to podobną przysługę mogą nam oddać także powyższe poprawki“. Natomiast jesteśmy z całym uznaniem dla sumiennej pracy p. Piniego, który, wykazawszy rzekomo dużo niejasności stylistycznych w autografach Garczyńskiego, znaczny brak fantazyi, „gmin-

ne“ wyrażenia i różne inne usterki, mimo to tak kończy: „Sława autora „Wizyi“ i „Nabożeństwa tegoczesnego“ nie na piękności rymów będzie polegała, opiera się ona na innej, trwalszej podstawie: na podniosłości myśli i szlachetności dążeń“.

Na zakończenie słówko jeszcze. Kiedyśmy brali rozprawę p. P. do ręki, spodziewaliśmy się w niej znaleźć choćby nieco rehabilitacji poetycznej sławy Garczyńskiego, której, wbrew pochlebnym o niej sądom Mickiewicza, prof. Tarnowski ponownie tak dalece zaprzecza, że powiada wprost, iż w Garczyńskim „materiału na poetę nie było nigdy“¹⁾. Jeżeli kiedy, to teraz właśnie miał p. P. sposobność, na podstawie udzielonych sobie łaskawie autografów Garczyńskiego, których, jak wiem, dla tego głównie celu się dopraszał, złagodzić ten, bądź co bądź, sąd wytrawny, lecz za surowy i trzeźwy, i mógł wykazać, że, mimo, nie tak licznych zresztą, poprawek i kresleń Mickiewicza, pozostało jeszcze w poezjach Garczyńskiego tyle oryginalnych i ładnych poetycznych myśli, wierszy, wysłowień, iż one od miana, choćby już nie wieszczą (vates), jak chciał Mickiewicz, ale drugorzędnego poety nie dadzą go odsądzić.

Czemu o tem nie wspomniał p. Pini?

KAZMIERZ BRONIKOWSKI.

Antoni Małecki. „Lechici w świetle historycznej krytyki.“ Lwów. Nakładem Zakładu N. Im. Ossolińskich. 1897.

Ernest Kunik. „Lęchica.“ Lwów. („Kwartalnik historyczny“). Styczeń. 1808.

Rok, który mija już od chwili ukazania się książki prof. Małeckiego pod powyższym tytułem, przyniósł w kierunku, przez to dzieło opracowanym, naukowego pożytku niemało. Skąpa na pozór, ale bogata treścią wiązaną szczegółów, dotyczących t. zw. „kwestyi lęchickiej“, które styczniowy z b. r. zeszyt lwowskiego „Kwartalnika historycznego“ przyniósł nam w rubryce „Lęchica“, uderzającej już swem brzmieniem, to pierwszy, w rozumieniu naukowem, plon wspomnianego studyum prof. Małeckiego. Plon ten, będący poniekąd surową krytyką samego siebie, powiększył tylko naukową jego zasługę przez zasadnicze pogłębienie tego materiału, jaki zasługa ta zgromadziła, uporządkowała i — rzuconym nań snopem światła uprzystępniła dla dal-

¹⁾ Zdanie to wypowiedział prof. Tarnowski jeszcze w r. 1870 w swej prelekcji w Poznaniu o Garczyńskim. To samo powtórzył w II Tomie Studyów do Historji Literatury Polskiej. Kraków 1896.

szych badań literackich i historycznych. Autorem, a raczej źródłem wspomnianej wiązanki szczegółów, które-by cennymi aforyzmami, odnoszącymi się do „kwestyi lechickiej”, nazwać wypadało, jest uczonego akademik petersburski, p. Ernest Kunik, którego „idee lęchickie” podał w „Kwartalniku” do szerszej wiadomości prof. Baudouin de Courtenay. Idee te, rozpatrzone na tle książki prof. Małeckiego, którą w nader ważnych punktach prostują i uzupełniają, stanowią obok niej pierwszy oddawna, a ostatni obecnie i bardzo już poważny wyraz wiedzy w ciekawej, zarówno dla specjalistów, jak i szerszych kół inteligencji, „kwestyi lęchickiej”.

Chcąc zaoszczędzić czytelnikom utrudnionego przez konieczność równoległego przeglądu teorii obu badaczy, a zbytecznego na tem miejscu szczegółowego zapuszczania się w wywody lingwistyki porównawczej, trzymać się będziemy ściśle roli sprawozdawcy, informującego ogół o ostatecznym rezultacie naukowym, jaki z zestawienia prac wspomnianych wynika. Rezultat ten będzie nam nicią przewodnią w krótkim przeglądzie teorii obu badaczy, przyczem ze stanowiska wyłącznie historycznego postaramy się ugrupować odpowiednio do wspomnianego rezultatu, niewyłączając się wzajemnie, a zasadnicze zdobycze obu uczonych, i pominiemy poglądy prof. Małeckiego, obalone przez akademika Kunika, pozostawiając polemikę szczegółową z zakresu, dominującej w tych studyach, lingwistyki, specjalistom filologom.

Upadek Wielkomorawskiego państwa w r. 905—6 (wedle Grota), powołał słowiańskie plemiona, osiadłe pomiędzy Odrą i Wartą (t. j. Wielkopolan) do państwowego życia. Gniezno i Kruszwica, to kolebka tego ruchu, który miał dać życie późniejszej Polsce. Nim ta jednak powołana została do politycznego bytu w szerszych już granicach geograficznych, pod bohaterską ręką Bolesława Chrobrego, dokonali nadwarteńscy Słowianie pod tym ostatnim podboju pobratymców swoich z nad Wisły i Sanu. Pobratymcy ci (Małopolanie), znani w zaraniu dziejów pod mianem Białochrobatów, w przeciwstawieniu do Chrobatów Czerwonych (Rusini halicy), zwali się sami, zdaniem akademika Kunika, jeszcze w wieku VIII, a nawet IX, *Leg*'ami, która-to nazwa przechowała się dotąd w węgierskim wyrazie *lengyel*, oznaczającym Polaka, a powstałym, jak na to istotnie fakty historyczne wskazują, rzeczywiście w epoce wspomnianej, w której Węgrzy pierwsze z Małopolską nawiązali stosunki. Nadmienić przytem należy, że dwie ostatnie głoski w wyrazie *lengy-el* składają się na prototypicki, czyli prawniecki (chazarski) wyraz, *el* = *äl*, oznaczający kraj. Skąd *lengyel* znaczy: kraj *Leg*'ów. Pominięta przez prof. Małeckiego, a zachowana w wyrazie węgierskim forma nosowa nazwy *Leg*'ów, przyniosła tym

razem prawdziwą chlubę lingwistycy porównawczej, stając się, jak widzimy, wskazówką do powstania nader poważnej hipotezy historycznej. Że gardłowa końcówka brzmienia *Lęg* przerodziła się—zapewne w końcu wieku IX — w przydech *ch*, lub może tylko w ten sposób z czasem przez sąsiadów Chrobacyi była pojęta, przyczem *Lęg* zamienił się w *Lęch'a*, zrozumieć łatwo, choć tego p. Kunik nie wyjaśnia. Brzmienie to (*Lęch*) zachowało się też istotnie u plemion bałtyckich w wyrazie *Ienk-as*, oznaczającym Polaka. Jeśli zważymy, że *as* jest końcówką, *k* zaś zastępuje, nieznaną Litwinom, przydech *ch*, prastary *Lęg—Lęch* ukaże nam się znowu w całym swym blasku pierwotnym.

Nim *Lęchow*ie ulegli orężowi Chrobrego pod koniec X wieku, kiedy i Kraków (w r. 999) dostał się pod jego panowanie, na przyrodzonym ich mianie (*Lęch*) odbił się—zdaniem p. Kunika—wpływ pobratymców, a zarazem i czasowych władców Chrobacyi, Czechów, w sposób niszczący nosówkę *ę* przez zastąpienie jej brzmieniem otwartym, zgłoską *e*, czeskiemu językowi w tem złożeniu właściwą. *Lęchow*ie w epoce zhołdowania ich przez przybylców z nad Warty byli już *Lech'ami—Lechitae* w brzmieniu łacińskim, zachowanym nam z pierwszej ręki przez Kadłubka. Pogromcy *Lęchów*, Wielkopolanie, zwali się zaś od czasów najdawniejszych, jak to z całą erudycją wykazuje prof. Małecki, *Polakami* (Poloni itp.). Nadmienić też trzeba, że nazwa ta, należąca do szczepu zwycięzców, przyłgnęła niebawem do pokonanych przez nich pobratymców, i zaznaczyć to spostrzeżenie, jakie nam się tutaj, odnośnie do „kwestyi lęchickiej“, nasuwa.

Państwo polskie powstaje właściwie z chwilą zwycięskiego połączenia się Wielkopolski z Małopolską u schyłku X wieku. Zwycięzcy ci i inicjatorowie tych narodzin, Wielkopolanie-Polacy, dają też słusznie nazwę własną swej politycznej kreacyi. Zwycięzcy ci nadto: najpotężniejszy ze szczepów polskich u schyłku doby przedhistorycznej, a panujący już nad niektórymi z pobratymców wschodnich (*Lęczycyca*, *Mazowsze*) od czasów Mieszka I, mieszkali właśnie nad ożywionym szlakiem bałtyckiego handlu. Nic przeto dziwnego, że nie *Lęchami*, ale *Poloni*, *Poleni*, *Polanii*, *Polani*, *Bolani*, *Pulani*, *Pulanes* itp., zowią po łacinie ówczesnych Polaków (zarówno Wielko-, jak Mało-polan, o ile o tych ostatnich jest mowa), wszystkie bez wyjątku źródła zachodnie, na których, jak to słusznie prof. Małecki nadmienia, opiera się nasza znajomość XI i XII stulecia. Krótkotrwałe było jednak w brzasku doby historycznej przodownictwo Wielkopolski w młodocianej monarchii Piastowskiej. Rzutka i przedsiębiorcza Chrobacya, z Krakowem na czele, zdobyła niebawem palmę pierwszeństwa, rosnącą nad Gopłem, aby wzgórze Wawelu nią przyozdobić. Lat sześćdziesiąt niepełna (Kraków zdobyty w r. 999), t. j. w rozwoju państwa aż nazbyt

krótki przeciąg czasu, wystarczyło na dokonanie tej metamorfozy. Schyłek rządów Kazimierza Odnowiciela († 1058 r.) przyjęć już można za epokę, w której punkt ciężkości młodego państwa przesuwają losy dziejowe nad Wisłę, ze względu na poblizę Rusi, wchodzącej wówczas w grę polityczną, rozszerzających swe dzierżawy, Piastów. O ile więc pół wieku przedtem byli nadwartenscy Polanie uprawnieni do roli reprezentacyjnej w nowej monarchii, o tyle przychodziła obecnie w tej mierze kolej na Lęchów, których najbliżsi sąsiedzi, Węgrzy (Lengyel), Ruś (Ljach) i tatrzańscy górale (lach), podobnem mianem dotąd nazywają, rozciągając oczywiście tę nazwę na wszystkich ich polskich jednoplemieńców. Bylibyśmy zbyt wymagającymi, żądając na każdym kroku od lakonicznych, pogmatwanych, a często błędnych, bo bałamutnych źródeł średniowiecznych, logicznej ścisłości i konsekwencji; nie będzie też może po ustępie powyższym wnioskiem zbyt śmiałym, gdy powiemy, że choć nazwa *Lęch*ów stosować-by się właściwie winna do Małopolan, podobnie jak *Polan* do Wielkopolski, i choć pierwsi twórcy polskiego państwa trwałego użyli mu miana, to jednak, ogółem wzięta, ludność młodocianej monarchii, raz tak, to znów inaczej, była przez sąsiadów mianowana. To też Ruś, Węgrzy i wogóle najbliżsi sąsiedzi i znawcy Chrobacy, pod mniej lub więcej zmienioną nazwą *Lęch*ów pojmowali zarówno (a właściwie) inne, połączone z nią plemiona polskie, zważywszy na przodownictwo Krakowa, — jak odwrotnie znowu, świat zachodni zwał też same plemiona w mniej lub więcej spaconej formie (Poloni, Bulanes!), Polakami, choćby dlatego, że pod tem mianem poznali i sankcyonowali nową kreację polityczną Mieszka i Chrobrego papież i cesarz, a nadto, że pod tą właśnie nazwą, jak wspominaliśmy, znane było szerszemu światu, w dobie przedhistorycznej jeszcze, najpotężniejsze z polskich plemion.

Partykularne miana Łęczyczan i Mazowszan zachowały się przez długie wieki; Lęchowicę utonęli w Polanach: wynagrodził im to jednak los sowicie, czyniąc ich z czasem swymi wybrańcami.

Nie zadziwi nas też na tle uwag powyższych, przypuszczalna, a choćby autentyczna, nazwa *Bulanes* (—Polones?), użyta przez Ptolemeusza (II st.) celem określenia starożytnych mieszkańców naszego kraju, obok np. miana οἱ Λέχαι (a raczej τῶν Λέχων), zastosowanego w tysiąc lat później w tymże celu przez Kinnamosa, (którego cytuje prof. Małecki) nadwornego dziejopisa cesarza bizantyjskiego, Manuela Komuena (XII st.). Równie zrozumiałym będzie też fakt nazywania Polaków: Poloni, Polani, Pulanes itp. przez średniowiecznych pisarzy zachodu, obok nazwy *Ljachy*, użytej w tymże celu przez Nestora. Syntezą tego stanu rzeczy było też orzeczenie Kadłubka (XII—XIII st.): *Poloni, seu Lechitae* w spaconem brzmieniu łacińskiem.

Na tem jednak kończy się okres przedfantastyczny w historii „kwesty lęchickiej“ w Polsce, gdzie już pamięć o Lęchach = Lechach i właściwem ich znaczeniu dogasała. Ciekawe i cenne są wywody prof. Małeckiego o Nestorowych: *Łuticzi* (— *Licicawiki* Witukinda), uważanych błędnie za Lutyków, a będących Łęczyczanami, oraz o serbskiem, używanem jeszcze w XV st., mianie Polaków *Ledjanin* (węg. leng — lend), — pominąć je tu jednak musimy, by nie uszczuplać miejsca właściwemu wątkowi naszego sprawozdania. Mityczny *Lech* nie był jeszcze Kadłubkowi znany; zrodziła się ta postać dopiero w głowach amplifikatorów XIV i XV w. „Pisarzom współczesnym naszej królowej Jadwidze — pisze prof. Małecki — mogło łatwo przychodzić na myśl, że Lechici (*Lechitae* Kadłubka), dlatego są Lechitami, że ich protoplasta zwał się Lech, że: „sicut a Juda Judaei, ita a Lech *Lechitae* nominantur.“ Błędna interpretacja Kadłubka dała tedy w sposób najniewinniejszy początek późniejszym, a nader jaskrawym, błędom naszej historyografii, odnośnie do „kwesty lęchickiej.“

W pracy swej zebrał prof. Małecki nader skrzętnie szczegóły, dotyczące drugiego, t. j. fantastycznego okresu w rozwoju poglądów na „kwestę lęchicką“, z kart naszej historyografii i w sposób barwny je zestawił. Jakkolwiek też „kwestya lęchicka“ została, dzięki krytyczniejszemu kierunkowi badań, całkowicie już w nowszej, po-lelewelskiej historyografii naszej, w znaczeniu dawniejszem zabagniona, pomimo nader ożywionych studyów nad pierwocinami naszych dziejów; to jednak rzeczona część pracy prof. Małeckiego ma tę wielką zasługę, że przedstawiła jaskrawo, dokładnie i we właściwem świetle lęchickie fantasmagorye, unoszące się dotąd jeszcze w gwarze pospolitej, jak opary nad niedawną przeszłością ostatniego ćwierćwiecza w naszej literaturze historycznej. Zapoznajmy się z genealogią i rozwojem tej epidemii lęchickiego zaślepienia, która, począwszy od Długosza, a skończywszy na Lelewelu, grasowała na kartach naszego dziejopisarstwa. Epidemię tę nazywa sz. autor patologicznem zбочeniem, jest ona jednak tylko jedną z ujemnych cech umysłowego rozwoju epok ubiegłych, a nadewszystko — niedawnego romantyzmu, nadającego się już dzisiaj do historycznego traktowania.

Dzięki uznaniu, jakie sobie u pokoleń następnych zyskał Kadłubek, lęchickie jego amplifikacye, mącające podania wielkopolskie z małopolskiemi, zyskały z czasem pewną „tradycyjną“ podstawę. Odpowiedne tej „tradycyi“ poc zucie nie ożywiało jednak narodu i żaden książę urzędownie „księciem Lechitów“ się nie nazywa, pomimo, że od początków wieku XIII, zapewne dzięki Kadłubkowi, zjawiać się w genealogii Piastów poczynają imiona Leszków (*Lestków*, *Ziemowitów* i *Ziemomysłów*), w wieku poprzednim nie używane, a wskrzeszone za-

pewne na rachunek bajecznych przodków, o których Mistrz Wincenty (Kadłubek) tak się rozpisał. Ta uwaga prof. Małeckiego jest bezwątpienia bardzo słuszną, nie wynika z niej jednak przypuszczenie, jakoby imiona te całkiem świeżo w Polsce w wieku XIII utworzone być miały. Trudno też uwagę tę stosować do imienia Ziemomysł; noszący je bowiem ojciec Mieszka I, był już, bądź co bądź, osobistością, co najmniej na poły historyczną. (Por. Balzer, Gen. Piastów).

Polacy, zarówno nadwarteńscy, jak nadwiślańscy, mianujący się już od wieku z górą Polakami, tak się też nadal tylko nazywają, „Lechici“ zaś kwitną w dalszych kronikach wieku XIII wyłącznie o tyle — w braku obumarłej tradycyi żywej — o ile kroniki te są plagiatami z Kadłubka. Miano to ma już jednak zawsze tylko charakter synonimu polskości, przekazanego przez mistrza Wincentego. Na tle naszego kronikarstwa z XIII stulecia istnieje przeto jeszcze pewna w sprawie „lęchickiej“ oględność. Niebawem jednak, bo w wieku XIV, rozbudziła fantazya, podsycona rodzącą się na zachodzie bezkrytyczną refleksją, zaczyna przebierać amplifikatorską miarkę, odgrywając rolę czynnika, zaspakajającego powstającą w umysłach ówczesnych potrzebę doszukiwania się genezy i przyczyn pewnych zjawisk. Wtedy-to, jako pra-przyczyna lęchickiej nazwy Polaków, zjawia się na gruncie polskim *Lech*, przejęty z poematu czeskiego poety, Dalimila (pocz. XIV w.), przedstawiającego „założyciela“ Czech, mitycznego *Czecha*, jako *lecha* (polaka), pochodzącego z Chrobacyi. Podobieństwo, zachodzące pomiędzy owym „Lechem“, ksiąźcem imieniem Piastowskim, *Lestko* (mylnie *Leszko*, lub *Leszek*) i staropolskim wyrazem *leść*, oznaczającym chytróść (fraus), wyradza skutkiem pogmatwanych kombinacji i komplikacji pojęć, baśń, naprzód przez starszą (1314—1359 r.), następnie zaś przez młodszą (1380 — 1385 r.), kronikę szląsko-polską podaną, wedle której mieli Polacy nazwę (lęchicką) zawdzięczać swej prastarej przebiegłości. W końcu XIV, czyli też już w XV wieku, przybywa do kompletu *Czecha* z *Lechem* i *Rus*, ale powiązanie powyższych szczegółów sporadycznych w całość logiczną, a ubarwioną dowolniejszemi jeszcze pomysłami, zespalającemi chrobacko - wielkopolską gmatwaninę Kadłubka z trójcą wspomnianą, zjawia się dopiero u klasycznego twórcy naszych dziejów bajecznych, Długosza, który też pierwszy zaznacza wyraźnie i dobitnie pochodzenie „zdrobniałego“ imienia *Lestko* od *Lecha*.

Tak powstaje „*Leszek*“, którego atoli Miechowita jeszcze i Marcin Bielski (XVI st.) wyłącznie do określenia bajecznych władców Polski używają; później utrwała się ta błędna „lechorodna“ forma piastowskiego imienia *Lestko* na kartach naszej historyografii, sprawiając, że dziś jeszcze nawet mało kto-by się poważał nazwać *Leszka*

Białego, lub Czarnego, Lestkiem, t. j. tak, jak ich nazywali współcześni i jak oni sami siebie we własnych dokumentach mianują.

Po Długoszu mało już dziejopisowie nasi zaglądali do źródeł, porzostając na odtwarzaniu tej tradycyi, jaką on w dziele swem wiekopomnem utrwalił. Miało się tak zarówno z Miechowitą, jak z Decyuszem, Marcinem Bielskim, Wapowskim, Kromerem, Sarnickim i Joachimem Bielskim, piszącymi w wieku XVI. Podobnie działo się też niemal aż do połowy XVIII stulecia. Wielką dopiero w tym względzie zmianę datuje rok 1729, kiedy szląski dyiettant, Sommersberg, wydobyl z pyłu zapomnienia kronikę kanonika Godysława Baszka (XIII st.), i wydał ją po raz pierwszy na widok publiczny w „Silesiacarum rerum scriptores“ pod błędnym tytułem „Boguphali II, episcopi Posn., Chron., Polonor.“

Skutkiem zamazanego i błędnie też wyczytanego w rękopisie tekstu, znalazła się we wspomnianem wydaniu tej kroniki, mianowicie w rozdziale, omawiającym wybór Piasta, wzmianka, że Piast nie pochodził „z plemienia Lechitów“, mających tu zarazem jakoby znaczenie synonimu książęcości. Ponieważ Lęchitów i Polaków nie rozróżniano już wcale, Piasta zaś uważano za Polaka, powstało teraz przypuszczenie, że albo Lęchici i Polacy, to dwa różne indywidualizmy państwowe, albo-li też, jeśli oznaczały to samo, że Piast nie był Polakiem.

„Odkrycie“ to stało się właściwym już zawiązkiem lęchickich fantasmagoryi, a w snuciu na ich temat coraz to bujniejszych pomysłów ubiegali się o lepsze wszyscy niemal historycy ze szkoły Naruszewiczowskiej i Lelewelowskiej. Powtórny w r. 1752, a niesprostowany przedruk kroniki Baszka, dokonany przez księcia J. A. Jabłonowskiego, utrwalił jeszcze podstawę pierwotnego błędu, czyniącego niewinnych Lęchów sfinksem pierwotnych dziejów Polski i zagadką, której odgadnieniem poczęto warunkować rozstrzygnięcie najważniejszych i najzawilszych problematów, tkwiących w zawiązkach i rozwoju późniejszej monarchii Piastowskiej.

Ciekawym i cennym jest bardzo szczegółowy przegląd rozwoju tej „manii“, dokonany przez prof. Małeckiego. Szczupłe ramy niniejszego referatu nie pozwalają nam jednak na stworzenie dokładniejszego obrazu tej interesującej, a oryginalnej ewolucyi; przejrzysty wszelako, barwny i treściwy wykład sz. autora nie domaga się też podobnego streszczenia. Kilka słów wystarczy na jego ogólną charakterystykę.

W szranki wszczętych w roku 1732 przez Gotfryda Lengnicha gonitw za rodowodem Lęchitów pod egidą „kolchicko-sarmackiej“ teoryi, wystąpili pierwsi: Albertrandy, Teodor Waga i Kajetan Skrzetuski. Poglębił jeszcze tę egzotyczną teorię Adam Naruszewicz,

pieczętujący odnośną część swego dzieła bolesną uwagą, iż „trudno przeciwzić się jednosłownemu ogłoszeniu Piasta, być innego, jak Popiel, szeregu (narodowości).“ Jan hr. Potocki identyfikuje już, *ex re* pogłębienia teoryi Lengnich, Słowian z Alanami, a Jan Chryzostom Gatterer—widzi ich w Geto-Dakach na terytoryum dzisiejszej Bułgarii, Tadeusz Czacki dostrzega pierwszy związek pomiędzy Polską a Skandynawią, co głębiej potem miał rozwinąć Szajnocha. Elaborat lorda Macphersona, „Pieśni Ossyana“, dodaje mu otuchy. Błędnie pojmovany, bo aż do zasadniczego dualizmu w rozwoju państwa posunięty, zlepek lechicko-polski zaznacza się nietylko w ówczesnych pracach polskich, ale i niemieckich, Baumanna i J. S. Kaulfussa. Jako poetyczne odbicie przygotowanej przez te dzieła opinii, zjawia się też „Lechiada“ Woronicza. Adam Prażmowski, Józef Ossoliński, Wawrzyniec Surowiecki, a nawet ostrożny i uczony Bandtkie, każdy skądinąd wywodzi Lęchitów; wszystkie te wywody jednak nie były—by może zbiły z tropu Joachima Lelewela, gdyby nie „moje kmety, *lech* i władcy“ zielonogórskiego fabrykatu Wacława Hanki. Ognisty atoli wpływ tego utworu, ułatwiony przez prace wspomniane, zrobił swoje, zamieniając Lelewela w ostatnim okresie jego dziejopisarskiej działalności w najzagorzalszego, bodaj, z zagorzałych, kapłanów lęchomanii. Ustęp: „...Za Władysława Hermana... nastał nowy obyczaj niecofniony... łacina wzięła przewagę. Lechici poczęli godła chorągiewne mieniać, krzyżami obarczać, *kmiece* odrzucać (Lęchici, jako antyteza „stanu“ kmiecego!); swoje hasła i godła ludowi narzucać. W jednej okolicy zamiast topora i zamiast hasła *Starza*, nasuwano *Stary koń*; lud się burzył. W innej zamiast *Pobukoza* wysuwano *Oślą głowę*... Związek małżeński lechity (sic!) z niewolnym gminem staje się kazirodny...“ —nie potrzebuje już dzisiaj komentarzy.

Mniej ostrożnych od Lelewela nie było; zarówno jednak Jan Wincenty Bandtkie, jak Józef Hube, Wacław Aleksander Maciejowski, Szafarzik i in. hołdują najdziwaczniejszym wyobrażeniom, i nie dziwnego, skoro im uległ największy z ówczesnych historyków polskich. Odbicie tego „lechityzmu“ znajdujemy też oczywiście i w poezji, parafrazującej w sposób nietyle intuicyjny, co pogmatwany i niejasny, syntezę współczesnej sobie wiedzy. Lechityzm „Lilli Wenedy“, to klasyczny przykład podobnych objawów,

Wyraźny wpływ lęchomanii wykazuje jeszcze prof. Małecki między innymi w pracach Augusta Bielowskiego, prelekcjach paryskich Mickiewicza, a nawet w niepospolitych dziełach Karola Szajnochy. Nowożytny krytycyzm tego ostatniego bronić go już jednak od podobnego zarzutu powinien, tem więcej, że on-to właśnie stracił pierwszy w swem „Nastaniu szlachty“ kwestyę lęchicką z jej dotychczasowego

piedestału,—skandynawska zaś teoria zasłużonego dziejopisa, raczej niezwykłością swej treści, niż filiacją i metodą, bardzo już ulepszoną, dawne elukubracye łęchickie przypominać może. Antoni Celiński, F. S. Duchński, F. Kozłowski, Teodor Morawski, a nawet młody jeszcze w r. 1862, autor dwóch pierwszych tomów „Dziejów Polski“, Józef Szujski, byli ostatnimi pionierami, w ten, lub inny sposób interpretowanego lechizmu, któremu ostatni „geto-dacki“ hołd złożył jeszcze Julian Bartoszewicz, a którego syntezę znajdujemy we wspaniałej epopei J. I. Kraszewskiego w „Starej Baśni,“

Dziwaczne prądy, grasujące w naszej literaturze na temat kwestyi łęchickiej od półtora wieku, przerwały się jakoś intuicyjnie już od lat dwudziestu kilku; obecnie zaś, gdy po dłuższym spokoju wybiła dla nich godzina sądu, znalazły one w prof. Małeckim swego niepospolitego historyografa.

J. K. KOCHANOWSKI.

Welschinger. Le roi de Rome. 1811—1832. Paryż. 1898 (drugie wydanie).

Zwolennikom i miłośnikom legendy Napoleońskiej sprawił zasłużony i utalentowany historyk francuski, Welschinger, rzetelną przyjemność, odtwarzając postać cesarskiego potomka, na którego w kołysce oczekiwała korona rzymska, i którego, zanim zdołał wyjść z tej kołyski, obsypano zaszczytami i honorami wszelakiego rodzaju, jako sukcesora imperatorskiej sławy po mieczu, a cesarskiego rodu po kądzieli. Z rodziny Napoleona młody potomek jest też bezwątpienia jedną z najsympatyczniejszych postaci i jedynie matka rodu Bonapartych, Laetitia, może rościć z wielu względów prawo do pierwszeństwa; ale owa, duchowo i fizycznie klasycznie piękna matrona, znalazła godnego historycznego portrecistę w postaci Larreya, młody Napoleon musiał dłużej na niego czekać, ale obecnie Welschinger odtworzył go nam w pełni dziecięcej naiwności młodzieńczego uroku i, niestety, chorobliwej męskości.

Welschinger nie po raz pierwszy opracowuje i uświetnia Napoleońską legendę. We wszystkich studyach jednakże okazywał się równie starannym i troskliwym o wynalezienie nowych źródeł i we wszystkich dał nam pełny obraz, któremu jedynie odszukanie prawdy dziejowej przewodniczyło. W ostatniej pracy, królowi rzymskiemu poświęconej, Welschinger zapoznał się z wielu rzadkimi dokumentami, wcale lub niedostatecznie wyzyskanymi przez poprzednich badaczy; prócz tego

przejrzał dokładnie i ocenił krytycznie źródła, zużytkowane dawniej i ogólnie znane, a dziełu swemu dał bogaty podkład polityczno-społeczny i z monografii, młodemu księciu poświęconej, uczynił tym sposobem pracę historyczną, rzucającą na daną epokę dużo ciekawego i oryginalnego światła.

Pominę dzieje narodzin i Chrztu Ś-go młodego Napoleona, z tego względu, że imponujący ceremoniał i niezwykła szczodroblivość Cesarza, jaka się w takich chwilach ujawniała, były już przedmiotem nie jednego opisu, a więc mogą uchodzić za okoliczności powszechnie znane. Faktem jest również znanym, że Napoleon, ujrzawszy się ojcem, i to dorodnego syna, czuł się szczęśliwym i zadowolonym, jak nigdy przedtem, a w poczuciu radości otaczał zarazem żonę i syna dowodami tkliwości i szczerego przywiązania. Marya Ludwika, która w początkach swego pożycia obawiała się męża, będąc matką, pisywała listy do swych przyjaciółek z tem zapewnieniem, że obecnie wszystko się z gruntu zmieniło i że nie ona męża, ale mąż jej się obawia. Względem syna okazywał się Napoleon źródłem niewyczerpanem cierpliwości i wyrozumiałości. Zrazu chciał przez zbytek troskliwości być dla syna wszystkim, ale przekonanie się musiał dość prędko, że się podejmuje rzeczy dla siebie obcych i nieznanych; pani de Montesquiou, guwernantka doświadczona i zacna, zdołała go nareszcie przekonać, że wielki cesarz i jeszcze większy wódz nie są w stanie współzawodniczyć ze zwyczajną piastunką.

Tymczasem cesarski potomek zapowiadał się bardzo dobrze; wyrastał zdrowo i piękniał z każdą chwilą. Matka okazywała mu przywiązanie, które jednakże, wobec uczuć ojcowskich, wydawało się mdłym i biernym. Przyszły nareszcie wrogie chwile 1814 i 1815 roku. Gdy z Tuileryów trzeba było chłopca wywieźć do zamku w Rambouillet, stawiał nieoczekiwany opór i krzyczał, że chce pozostać na miejscu, utrzymując, że gdy ojca niema, on jeden ma prawo rozkazywać. W zamku Rambouillet odwiedzili młodego księcia Cesarz Aleksander I i król pruski; ojca nie miał już młody książę nigdy zobaczyć, ale jego nieobecność niepokoiła go mocno, i często się dopytywał o powody takiego rozdziału.

Nie mając lat pięciu skończonych, już młody Napoleon uważał Blüchera za swego osobistego, największego nieprzyjaciela, a o Ludwiku XVIII zwykł był mawiać, że rozsiadł się w mieszkaniu jego ojca i, co najgorsza, że przywłaszczył sobie jego zabawki. Zgodnie z tajnymi planami księcia Metternicha, przewieziono młodego księcia do Schönbrunn; a podczas rządów studniowych Napoleona, z obawy spisku i porwania księcia, umieszczono go w burgu wiedeńskim. Gdy burza studniowa uspokoiła się, zorganizowano księciu Napoleonowi nowy dwór i całemu otoczeniu i wykształceniu jego starano się nadać

piętno urzędowo-austryackie. Nasamprzód skasowano jego imię Napoleon, zastępując je imieniem dziada, Franciszkiem. Następnie nie pozostawiono mu tytułu króla rzymskiego, jako przypominającego bezpowrotnie minioną przeszłość, a nadano mu dożywotnio tytuł księcia Reichstadt, na mocy którego należał do rodziny cesarskiej i zajmował pierwsze miejsce po austriackich arcyksiężętach. Guwernantkę, panią de Montesquiou, którą dziecko nazywało poufale „mamą Quiou“, oddalono, a na jej stanowisko powołano generałową Mitrowską. Gdy zaś dziecko poczęło w rastać, na czele dworu młodego księcia stanął książę Dietrichstein i wykształceniu jego miano nadać charakter wojskowy.

Welschinger stwierdza, że pedagogów wybierano młodemu księciu starannie, że sam cesarz Franciszek zajmował się troskliwie jego wykształceniem, asystując przy egzaminach i pobudzając szlachetne ambicje swego wnuka. Najwięcej młodego księcia zajmowała historia i statystyka, chociaż zaciekawiała go również w wysokim stopniu sztuka fortyfikacyjna. Nauki w ogóle szły mu dobrze, umysł jego rozwijał się nadszpodziewanie i okazywał przedwczesną dojrzałość. Niewątpliwie ten ostatni objaw był wynikiem osamotnienia, w jakim się młody książę znajdował. Matka bowiem pozostawiła go wcześniej na opiece dziada, a sama pocieszała się w separacji stosunkiem nieokreślonego charakteru, z Neippergiem, i to w oddaleniu, bo w swym księstwie Parmy. Później, gdy Napoleon umarł w 1821 r., połączyła się z tymże Neippergiem morganatycznym węzłem, ale, jak przedtem, tak i potem, obchodziły ją wyłącznie przejażdżki konne, koncerty, tańce, jednym słowem, puste i pospolite rozrywki, w których jednooki marszałek dworu, Neipperg, zajmował niezbędne u jej boku stanowisko.

Młody Napoleon czuł się więc, czyto w Schönbrunnie, czy w Burgu wiedeńskim, zupełnie osamotnionym i osieroconym. Wokoło siebie spotykał zawsze obce, niesympatyczne twarze, gdy tymczasem dziecinne wspomnienia przywoływały mu w pamięci potężnego ojca i inne zupełnie otoczenie na dworze Tuileryjskim. Niejednokrotnie też nabawiał swego dziadka, cesarza Franciszka, kłopotu niespodziewanymi zapytaniami. I tak np. pewnego razu spytał młody książę cesarza Franciszka, czy to jest prawdą, że, będąc dzieckiem w Paryżu, miał paziów? gdy zaś odebrał potakującą odpowiedź, zapytał znowu, czy istotnie był kiedyś królem rzymskim? a wreszcie: co oznaczał tytuł króla rzymskiego. To ostatnie pytanie zastanowiło nieco cesarza Franciszka i po chwili namysłu odrzekł, że i jemu przysługuje dotychczas tytuł króla Jerozolimy, pomimo, że najmniejszej władzy nie ma nad powyższem miastem; otóż tytuł króla rzymskiego ma to samo znaczenie, co przysługujący cesarzom austriackim tytuł króla Jerozolimy.

Kiedy młody książę Napoleon zaczął dojrzewać, przypadek zbliżył doń oficera i podróżnika austriackiego, nazwiskiem Prokesch-Osten.

Oficer ów był starszym o lat kilkanaście od księcia, ale usposobienie entuzjastyczne i uwielbienie dla geniuszu militarnego Napoleona zbliżyły tych dwóch marzycieli do siebie. Prokesch-Osten stał się jedyną osobą, do której młody książę mógł żywić zaufanie, a następnie którą mógł obdarzyć przyjaźnią. Książę Metternich, wiedzący nietylko o każdym czynie, ale nieledwie o każdym słowie cesarskiego potomka, nie był zadowolony z przyjaciela i powiernika, jakiego młody Napoleon w Prokesch-Ostanie pozyskał. Wiedział on dobrze, a raczej słusznie przewidywał, że przyjaźń tych dwóch młodych ludzi podnieci tylko ich wyobraźnię i zbudzi w młodym księciu chorobliwą gorączkę czynu. Istotnie książę Napoleon zwierzał się Prokesch-Ostenowi, iż pragnął-by wypróbować swój charakter i zdolności, biorąc udział w jednej z tych spraw i prądów, które ożywiały ówczesną Europę.

Ciche pragnienie czynu, które się zrodziło w duszy młodego księcia, nie było zupełnie podsycane zarozumiałością ani ożywione chęcią egoistyczną wyniesienia się. Młody Napoleon wyznawał otwarcie, że koronę Francji uważał-by dla siebie za zbyt ciężką i nie czuł-by się na siłach podolanania tak wielkiemu zadaniu. Uśmiechało się natomiast jego młodzieńczej wyobraźni wzięcie udziału w kampanii 1831 r. jaka się w Królestwie Polskiem toczyła. Poczował się do głębokiej wdzięczności dla polskich wojowników za to, że ojca jego nie opuścili w najcięższej życia niedoli, i miał to na pamięci że testamentem otrzymał od ojca tylko dwie cenne szable: Napoleońską z pod Austerlitz i szablę Jana III Sobieskiego.

W roku 1831 zdawała się młodemu księciu uśmiechać dola promienniejsza i szczęście w rodzinnej jego ziemi. Burboni musieli znowu opuścić Francję, która przepelnionia była po brzegi weteranami Napoleońskimi. Ks. Metternich trzymał się wprawdzie ściśle dekretu bannicyjnego kongresu wiedeńskiego, usuwającego Bonapartych od wszystkich tronów Europy, i obwieszczał światu całemu, że Austria nie poświęci ani jednego żołnierza czy guldena, aby księciu Napoleonowi pozyskać tron Francji. Z tem wszystkim cesarz Franciszek, za porozumieniem się z ks. Metternichem, oświadczył wnukowi, że nie miałby nic przeciwko jego wstąpieniu na tron, pod warunkiem jednak, żeby mu naród francuski własnowolnie koronę ofiarował.

Wszelkie złudzenia wkrótce pierzchły i młody książę Napoleon zapoznał się jedynie w 1831 r. z dwoma marszałkami francuskimi; Marmontem i Maison'em, którzy byli zachwyceni młodym księciem, ale nie pomyśleli ani chwili, ażeby można było w nim upatrywać kandydata do tronu Francji. Szczęśliwa okoliczność, mogąca wydobyć potomka cesarskiego z dusznego otoczenia austriackiego, przeminęła bezpowrotnie, a na domiar złego, zdrowie księcia Napoleona zaczęło

okazywać niebezpieczne objawy. Suchoty rozwinęły się z przerażającą szybkością i w 1832 r., w Schönbrunnie, młody książę, w obecności matki, która nareszcie w ostatnich chwilach przybyła do jego śmiertelnego łóża, zakończył swój krótki i niewesoły żywot.

Wkrótce po zgonie młodego księcia rozpuszczono wieści, zniesławiające dwór austriacki i księcia Metternicha pomawianiem o skryte i złośliwe względem potomka cesarskiego zamiary. Przypuszczano między innymi, że rozmyślnie zaniedbywano wykształcenie młodego księcia, aby sobie w nim niebezpiecznego wroga nie wychować. Druga wersja przypisywała księciu Metternichowi jeszcze haniebniejszy zamiar podkopania zdrowia młodemu księciu, nasuwając mu rozmyślnie znaną tancerkę, Fanny Essler. Lecz Welschinger wszelkim legendom podobnego rodzaju kłam zadaje, dowodząc natomiast, że ks. Napoleon odebrał wykształcenie równie staranne, a może staranniejsze, niż inni arcyksiężęta, a co się tycze przygód z tancerką, to są one najzwyczajniejszym wymysłem, gdyż jej młody Napoleon wcale nie znał, ani się z nią nigdy w życiu nie spotkał.

Portret historyczny króla rzymskiego, jaki nam Welschinger dał w swoim studium, posiada istotną naukową wartość. Bogate tło historyczne, jakim autor wizerunek młodego księcia przyozdobił, pozwala nam się zapoznać dokładnie z politycznymi i społecznymi stosunkami ówczesnej Europy; odsłania nam nieprzejrzaną galerię najrozmaitszych osobistości ze wszystkich krain i przykuwa uwagę czytelnika obfitością interesujących faktów, jak i oryginalnością oraz przenikliwością spostrzeżeń. Jednym słowem, „król rzymski“ Welschingera przedstawił po mistrzowsku jedną z najsympatyczniejszych postaci świata Napoleońskiego.

A. REMBOWSKI.

W. Rojan. Szczęście 2 tomy. Lwów 1898 r.

Kilku przyjaciół restauracyjnych zastanawia się nad filozoficzną kwestją: Co jest szczęście. Na to wpada główny bohater, Andrzej Radawiecki, w którego losach powieściowych będziemy mieli upostaciowanie i rozwiązanie zagadnienia. Tak tedy, utwór p. Rojana jest Dumasowskim dramatem, „teza“, w przebraniu epicznym, a pokrewieństwo p. Rojana jest blizkie, i z tego jeszcze względu, że dociekane „szczęście“ uwarunkowane jest stosunkiem mężczyzny do kobiety, i odwrotnie. Ów p. Andrzej właśnie żeni się, miodowe jego miesiące płyną mu słodko,

ale w dalszem pożyciu wspólnem zachodzą różne niepożądane zjawiska,—moralnej tymczasem natury, spieszymy dodać dla uspokojenia czytelnika,—aż wreszcie wszelkie nieporozumienia się wyjaśniają, zarody złego w zawiązku są stłumione, a cierpliwemu czytelnikowi wreszcie pozwolono napawać się widokiem doskonałej zgody małżeńskiej, opartej na zupełnem zrozumieniu przez żonę celów i dążeń męża. Bo ten mąż jest dzielny, a żona, jako kobietka, pusta. Dzielnym zaś, jest p. Andrzej dlatego, że ma zacięcie p. Stanisława Połanieckiego, że poświęca się dla idei, bo mogąc żyć z dochodów majątku swego, mimo to, jest dyrektorem towarzystwa rolniczo-przemysłowego, mającego za zadanie usunąć pośredników pomiędzy wytwórcą a spożywcą, a nadto nie dać krzywdzić rolnika; więc zadawała się mniejszą dywidendą, natomiast pragnie rozszerzyć przedsiębiorstwo i złamać opór niechętnych temu uczestników towarzystwa. Ułatwia mu to okoliczność, że jest „władcą słowa“. Umysł ma tak głęboki i rozległy, iż, pomimo skromności, sobie wrodzonej, wyznać może z dumą: „przedłożyłem“ liczne, rzadkiej wartości prace naukowe, znakomite dyplomy zagraniczne, najpochlebniejsze opinie luminarzy nauki,—a nawet „grę w Monte Carlo poznałem ściśle, podobnie jak wszystko, do czego kiedykolwiek rękę przyłożyłem“.

Wogóle p. Andrzej jest człowiekiem „nie z gliny, lub z francuskiego ciasta, ale z żelaza“, z tego powodu porównywa siebie z Bismarckiem, jest aż tak stanowczym, że „gdy raz wstanie z siedzenia, już po raz drugi w tym dniu nie zajmie tego samego miejsca“. Aż strach! A jak zarazem subtelnie wyszlachetnionym i wyczulonym jest ten człowiek żelazny! Jak rozmarzają czytelnika starania bohatera o usłanie zacisznego gniazdka dla przyszłej żony! „tu trzeba-by ustawić jakiś marmurowy posążek i otoczyć go bluszczem... tu zdała-by się jakaś kryształowa fraszka, tam stoliczek na książki“. Zdumiał się pan Andrzej, gdy służąca chciała „pościelić“ we wspólnej na przyszłość sypialni, on bowiem przez ten pokój mógł tylko na palcach przechodzić... Takie śmieszności autor traktuje zupełnie poważnie, albowiem na umiłowanego przez siebie bohatera spogląda z dołu do góry. I tak go sobie upodobał, że wszystkie inne osoby, z nielicznymi wyjątkami, ukazują się tylko po to, by, odpowiednio do roli, do wymagań tezy, wygłosić kilka lub kilkanaście zdań i zniknąć z widowni. A więc i my, zdążając za autorem, rozstrzygać będziemy warunki szczęścia wszystkich ludzi z żelaza—w ogóle, p. Andrzeja Radawieckiego w szczególności.

Na drodze do zupełnego szczęścia naszego bohatera stoją dwie przeszkody. Jedną z nich są intrygi w łonie towarzystwa, druga zaś oto taka: Niedolega przyjaciel, przybiega do p. Andrzeja na pół godzi-

ny przed ślubem i zaklina go, by się cofnął, bo narzeczona jego ofiarowała poprzedniego wieczoru bukietek fiołków znanemu balamutowi, Jasiowi Marnickiemu, a nadto—pewna panienska została wydalona z klasztoru z powodu bilecików, do tegoż Jasia pisanych, a było to mniej więcej na tydzień przed powrotem panny Heleny Szczytowskiej do domu rodzicielskiego.

P. Andrzej błyskawicznie kombinuje: źle. Ale że, jak to wiemy, nigdy się nie cofa, Halkę w dom swój wprowadził; w każdym poruszeniu myśli swej żony, w każdym spojrzeniu jej oczu, wyczytać może, jak jest w nim zakochana, jak go uwielbia, na jakie wyżyny go podnosi. Mimo to, rzucone ziarnko podejrzania kiełkuje. Dała fiołki Jasiowi, czy nie dała? *That is the question*. To pytanie jak rdza przegryza żelazny materiał, z którego p. Andrzej jest ulepiony. Postępując jednak *szlachetnie*, według upewnień autora i własnych, o nic żony nie pyta, tylko szpieguje i podchodzi. Okazało się jednak, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

P. dyrektor, zajęty sprawami biurowemi, daleko sięgającymi planami reformy i pisaniem epokowego dzieła statystycznego, mniej mógł poświęcić czasu żonie. Ta ostatnia wprawdzie pragnęła uczestniczyć w pracy mężowskiej, ale gdy raz cały ranek spędziła na dodawaniu kolumny cyfr, i tyle różnych sum otrzymała, ile razy powtarzała działanie, poważna praca się skończyła, mimo zachwyków męża i ognistych jego całusów. Perlisty pot już nie okrywał czoła Halki, lecz natomiast zaczęła się ona nudzić i poddawać się wpływowi doktorowej, Filutki, która propagowała dla kobiety emancypację flirtu i zabawy, i nazywała swą 13-letnią Wandkę „rozkoszным dzieciakiem“, ponieważ ta strzelała ślepkami do porucznika od huzarów... Na balach i ślizgawce, obok pani Heleny zbyt często zaczął się uwijać Jaś Marnicki, i nieszczęście było blizkie, ale p. Andrzej gruszek w popiele nie zaspak: żonę w domu zamknął, na bal nie puścił i zmusił do wyjaśnień, z których wynikło, że ongi w romansik z Marnickim wdała się istotnie Helena, lecz Suszkiewiczówna, nie Szczytowska. P. Andrzej wspaniałomyślnie na to: „tem lepiej“. A gdy Jaś zginął w pojedynku, właśnie o Suszkiewiczównę, gdy przeciwnikowi nie udało się wysadzić p. Andrzeja z dyrektorstwa,—wszystko już było dobrze. Żona nagle nabrała chęci do nauczania się tabliczki dodawania, uczony mąż prowadził ją poprzez zakłete labirynty wiedzy, i bodaj czy nie wtajemniczył nawet w magię gry w Monaco. Więc też zgodnie przyszli do następujących wyników: *Frimo*, że Helena „swoją dziecinę, gdy ją wykarmi i nauczy trochę mówić, będzie codziennie paluszkami naginała, tak pięknie naginała, aż w końcu wychowa na prostą i wielką roślinę, taką samą, jak — ojciec“, 2-o Dziewczynkę trzeba giąć poto, by kiedyś, gdy

sama zostanie kobietą i matką, umiała giąć swych chłopców i nauczała córki, jak przyszłych wnuków giąć należy. 3-io „Emancypacja kobiet ma rację bytu, wszelako w pewnych granicach tylko, dla kobiet, nie mających do macierzyństwa powołania“.

Wzbogaciwszy się w ten sposób, jak Halka, po rozmowie z mężem, „o jedną myśl, o jedną zasadę więcej“, muszę złożyć autorowi podziękowanie za informację, że „ludzie w rodzaju księcia-preseza, znani i cenieni przez ogół, zazwyczaj ważniejszymi zajmują się sprawami, niż sprawdzaniem faktów, podawanych w bezimiennych listach, po których zresztą zwykle ocierają chustką ręce“.

No, a teza? Ach, dziesięć rozmaitych. Np. plotek słuchać nie należy, ale w miarę—można. Złudzenie, nieświadomość—warunek niezbędny szczęścia i zdrowia. Bo oto np., nierozsądna emancypantka, wychodząc z tej zasady, że dziecku powinno się zawsze prawdę mówić, wyjaśniła swej córce, że bajka o bocianach jest nieprawdziwą; biedna Michasia stała się chorą „fizycznie i moralnie“. Ale znowu, gdyby p. Andrzej nie mówił.. wszelako zrzekam się dalszych dociekań, nie chciałbym bowiem pozbawić czytelników „Biblioteki“ wdzięcznego zadania, w tem przypuszczeniu, jeżeliby im przypadła do smaku powieść p. Rojana „Szczęście“. Wykryli-by może w takim razie, że w powieści naszego autora występują żywe osoby, że styl jego nie jest naiwnie niedołężny, itd., itd. Ja zaś dodam od siebie, że ważność podjętego tematu nie zastąpi braku talentu pisarskiego, że jasność myśli i jej pogłębienie, jej podnioslejszy nieco polot, może zapobiegły-by temu wrażeniu nudy i płytkości, które otrzymuje czytelnik, w nagrodę kilku godzin, straconych na „Szczęście“ p. Rojana.

A. DROGOSZEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W czasie właściwym wypadło już nam zaznaczyć na tem miejscu urządzenie nowej Narady przy osobie Generał-Gubernatora warszawskiego, i wskazać właściwe jej znaczenie i charakter. Rzeczona innowacya administracyjna w Królestwie Polskiem zwróciła na siebie dość żywą — mniemali-byśmy nawet, niewspółmierną, — uwagę prasy rosyjskiej. Między innemi, szanowny miesięcznik petersburski, „Goniec Europejski“, wypowiedział w tej materji szereg spostrzeżeń, dyktowanych raczej przez życzliwość i dobrą wolę, aniżeli odpowiadających istotnemu położeniu rzeczy. W szczególności, ten ustęp nowych przepisów, a mianowicie punkt III prawa z d. 11 kwietnia r. b. o urządzeniu Narady warszawskiej, który przewiduje odwoływanie się tej instytucji, w sprawach specjalnych, do opinii rzeczoznawców miejscowych, posłużył organowi petersburskiemu za punkt wyjścia dla nazbyt rozległej, a niedość uzasadnionej interpretacji. („Goniec Europejski“, poszyt z czerwca r. b., str. 803). Odpowiedne wyluszczenia „Gońca“ wywołały nawet ożywioną polemikę ze strony rosyjskiej prasy codziennej, a zwłaszcza „Wiadomości Moskiewskich“. — Obecnie, gdy przemówienie J. O. ks. Imeretyńskiego, wygłoszone przy otwarciu czynności

Narady warszawskiej, jasno ustaliło jej obowiązki, cele i granice, miesięcznikowi petersburskiemu wypadło uczynić stosowne sprostowanie. „Mniemaliśmy — pisze „Goniec Europejski“, poszyt z lipca r. b., str. 367, — iż pod mianem osób postronnych (wzywanych do Narady), pojmować należy rzeczoznawców w tem, że tak powiemy, znaczeniu państwowem, jakie zwykło się u nas przyswajać temu mianu od siódmego, a zwłaszcza od ósmego dziesiątka lat, to jest, iż pod temi osobami pojmować należy ludzi, dobrze z warunkami życiowemi obznajomionych, a zatem uzdolnionych do oddania szacownych usług przy roztrząsaniu tej, lub owej sprawy prawodawczej, albo administracyjnej. Tak samo pojęte zostało prawo (z d. 11 kwietnia r. b.), również i przez „Wiadomości Moskiewskie“... Owóż okazuje się obecnie, że jednakowo byliśmy w błędzie i my, i strona przeciwna; albowiem, wobec wyjaśnienia General-Gubernatora waszawskiego, osoby postronne, w tem prawie wzmiankowane, oznaczają rzeczoznawców w znaczeniu proceduralnem, to jest ludzi, posiadających wiadomości techniczne, zawodowe, jak np. lekarzy, inżynierów, technologów i t. d... W ten sposób dalszy spór... staje się zbytecznym“. — Najniezawodniej tak jest w istocie. To też tyle tylko mieli-byśmy do nadmienienia, iż do tego samego rezultatu snadnie mógł być dojść miesięcznik rossyjski od samego początku i niezależnie od późniejszego wyświetlenia, danego przez J. O. ks. Imeretyńskiego. W rzeczy samej, Narada, zaprowadzona obecnie w Królestwie Polskiem, bynajmniej nie jest nowością absolutną, wymagającą jakichciś hypotetycznych interpretacyi. Przeciwnie, jest to trzecia z kolei tego rodzaju instytucya w państwie rossyjskiem, posiadająca wypróbowane pierwowzory pod postacią Narady turkiestańskiej i kaukaskiej, od szeregu lat działających w Taszkencie i Tyflisie na tych samych zasadach, co działająca obecnie w Warszawie. Tę to okoliczność, swego czasu podniesioną przez nas na tem miejscu, powinien był należycie uwzględnić „Goniec Europejski“, a prawdopodobnie w takim razie był-by uchronił siebie — jak również i pisma polskie, które powtórzyły jego pierwotny głos w tej sprawie, — od zbyt pośpiesznych przypuszczeń i wniosków.

Wartkim potokiem płynęły zdarzenia w ubiegłym miesiącu. Wszystko, co nas w tej epoce może głęboko radować i głęboko smuć, zbiegło się niemal pod jedną datę kalendarzową i wytworzyło jakiś zamęt, w którym kronikarz, jak w wielkim kałamarzu, musi umaczać pióro. Festyny w Pradze czeskiej, połączone z owacyjnem podejmowaniem polskich gości, rozruchy antysemitki w Galicyi i ogłoszenie stanu wyjątkowego, odsłonięcie pomników Adama Mickiewicza w Karlsbadzie i Krakowie, zakaz wiecu lekarzy i przyrodników w Poznaniu

i do ostatecznych granic doprowadzony ucisk żywiołu polskiego tamże, wreszcie śmierć Bismarcka i towarzyszące jej zdarzenia — dawka ta, z tyłu pierwiastków złożona, wystarczy w jednej recepcie dla myślącego mózgu i czującego serca.

Kiedy na jednym krańcu Europy machinacje polityki niemieckiej usiłują odsunąć nas od tego wszystkiego, bez czego istnieć nie może nietylko życie gromadzkie, ale nawet życie jednostek, to równocześnie, o kilka stopni geograficznych dalej, rozpędowe koło polityki czeskiej chwyta nas i niesie na swój młyn, z którego ma się posypać mąka przyszłości dla ludów słowiańskich, a plewy powiać na nienawistne plemię niemieckie.

Nie byliśmy nigdy politykami pierwszej wody, ani dyplomataami wielkiego kalibru. Politykę nosiliśmy przy boku w postaci damascenki, a za najlepszych czasów cała dyplomacja nasza była mieszaniną etycznej szczerości i zaściankowej naiwności. Wprawdzie ostatniemi czasami wzięliśmy kilka lekcji polityki na konstytucyjnych klepiskach Galicyi i Niemiec, ale tam mniej sami młóciliśmy, a więcej nas młócono. To też zarówno nieprzyjazne warunki zewnętrzne, jak i różne chybione próby, na fałszywych opierane podstawach, powinny-by już nas przekonać stanowczo, że do nowych programów w dziedzinie wielkiej polityki nie mamy ani szczęścia, ani zgoła odpowiednich zdolności. Przedewszystkiem zdolności, i to nietylko w masach, nietylko w stronnictwach, ale w samych-że przewodcach, którzy zbyt często błakają się po manowcach i ulegają dziwnemu złudzeniu, że znaleźli nowe drogi. Szczęściem, do tej smutnej historii politycznego bałamuctwa uroczystości praskie i krakowskie nie wniosły żadnych wydatnych szczegółów. Było zawiele tu i owdzie czułego patosu, a zamało szczerości, lecz nie rozległy się przynajmniej nuty „brzmiące, jak zgrzyt żelaza po szkle“. Zwłaszcza podczas uroczystości krakowskich przemawiano wogóle poważnie i rozważnie.

Pomnik Mickiewicza na rynku krakowskim stanął nareszcie. Zdaje się, że wszystkie komitety jego budowy głęboko odetchnęły, jak gdyby ów spiż istotnie spadł im z serca. Uroczystość odbyła się wspaniale, choć wysokością nastroju nie dorównała uroczystości sprowadzenia śmiertelnych szczątków wieszczki do Krakowa. Ale natchniona radość przecież powiała nieco po tłumach. Okazyja ta nasuwa nam przypomnienie badaczom i krytykom, że zadanie ich względem Mickiewicza dotąd w bardzo szczupłym zakresie spełnione zostało. Nie uroiliśmy z pamięci kilku dzieł wysokiej wartości, ale w porównaniu z zakresem działalności i twórczości Mickiewicza, dzieła te są zaczątkiem pracy w tym kierunku. Krytyk dotąd postępował z naszymi

poetami albo jak sędzia śledczy, który protokółował ich życie ze stanowiska niemal kodeksu karnego, albo też, jak komornik w czasie zajęcia, spisywał inwentarz niemal w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. W tekst mało się dotąd zagłębiano. Wszak dotąd poezya Mickiewicza nie spotkała się prawie zupełnie z subtelną analizą. Jeżeli społeczeństwo instynktownie odczuwa wyższość dzieł Mickiewicza nad dziełami Słowackiego, lub Krasińskiego, to analiza mniemania tego nie uzasadniła, a nie uzasadniła dlatego, że tej analizy nie było. Dotąd przecież błakają się takie np. twierdzenia, że Słowacki miał bujniejszą fantazyę od Mickiewicza, on, który zaledwie szkicował, lub punktował tam, gdzie Mickiewicz rozaczał całe malowidła. Zwracając raz jeszcze uwagę na brak studyów w kierunku analizy tekstu mistrzów słowa polskiego, przechodzimy do wypadków chwili bieżącej, które nas formalnie za rękę ciągną.

O isłnienie pomnika Mickiewicza w Krakowie odbyło się na posępnem tle zawichrzeń przeciwydywskich. Wypada zaznaczyć, że wyraz „antysemityzm“, ostatniemi czasy obrzydł nawet antysemitom, i że zastąpiono go wyrazem „asemityzm“. Zdawało się, że uczucia względem żydów przybrały były charakter bierny z powodu owego „a privativum“. Tymczasem okazało się, że jest przeciwnie. Ale słowa pozostają słowami, a wrzód kwestyi wzbierał i wzbierał od lat, aż pękł w chwili najniestosowniejszej. Wprawdzie historia nie zna chwil stosownych, ani niestosownych, dla nas wszelako zbieg wydarzeń, etycznie biegunowych, ma znaczenie przykrego i nader bolesnego kontrastu, odkrywającego nam w sposób rażący smutny obraz rzeczywistości i jej ran.

Rozruchy przeciwydywskie, które wywołały zaprowadzenie stanu wyjątkowego w całej niemal Galicyi, były przez wielu baczniejszych obserwatorów stosunków galicyjskich zdawna przewidywane, jeżeli nie słowem pisanem, to wyrażaniem ponownie w dyskusjach. Stanowisko żydów w Galicyi określiły pisma tygodniowe tym razem znacznie sumiennie, nietylko bezstronnie, ale nawet z większym temperamentem, wyrażając się niezwykle stanowczo, a co najważniejsza, dość zgodnie. Najwięksi przyjaciele żydów nie zaprzeczają, że ogół żydowski, powtarzamy, ogół, nie czynił dotąd żadnych starań, aby wspólne życie nasze na tym szmacie ziemi wprowadzić na tory stosunków normalnych. Żydzi odcięli się od nas murem odrębnej kultury, odrębnej szkoły, odrębnego języka, odrębnego stroju, odrębnych obyczajów, a przede wszystkim odrębnej etyki i odrębnego pojmowania obowiązków obywatelskich. Jednostki szlachetniejsze, wyposażone instyuktem gromadzkim i możliwością filantropijnych występów, darzą kraj krociowemi upominkami, godzą nas z żydami, ale godzą pozornie. W istocie bowiem,

uprzedzenia rasowe nie tylko się w ostatnich czasach nie zmniejszyły, ale uległy silnemu spotęgowaniu. Bywają nawet chwile, kiedy żydzi zachowują się wobec naszych gromadzkich zasad wprost wyzywająco. To, czem się, bądź co bądź, ciemny przekupień żydowski w stosunkach do chrześcian kierował, znajduje nagle wyraz i sankcję w żydowskiem piśmiennictwie. W № 28 „Izraelity“ czytamy: „Już czas przestać się bawić w lirykę przebrzmiałych i przegadanych frazesów humanitarnych“. I to się mówi do społeczeństwa, które przymiera głodem, a odżywia się szachrajstwem? Które w ciągu całych swych dziejów nigdy zasad humanitarnych nie wyznawało? „Można humanizm pielęgnować w głębi serca, ale życie trzeba pojmować w duchu czasu, potrzeb i warunków — bez przesadnego oglądania się na lewo i na prawo“. Program podobny może zaprowadzić żydów bardzo, bardzo daleko! Narodzin tego programu mogli-byśmy się doszukać w epoce dawniejszej. W każdym razie, niechaj nam wolno będzie powołać się na bliższe nas czasy, na korespondencje z Jasła, pisywane do berlińskiego „Boersen-Courier“. Trudno mniemać, aby żydzi podobnemi publikacyami rękę do zgody i współdziałania wyciągali. Kwestya żydowska jest zanadto poważna i zanadto obchodzi obie strony, abyśmy, jak to się mówi, traktowali ją z pianą na ustach. Ale poczucie sprawiedliwości nie pozwała nam całej odpowiedzialności za rozruchy galicyjskie zepchnąć na barki ciemnego chłopca, niezdarne go Wydziału krajowego itd. itd. Jeżeli jednak około poprawy etycznej i społecznej ludności żydowskiej nikt poważnie krzątać się nie będzie, to podobna odruchowa samoobrona ludowa, czy akt zemsty, odruchowa, czy podmówiona, wszystko jedno, gdy znajduje przygotowane podłoże, — zawsze i nam, i żydom grozić będzie.

Zaprowadzenie stanu wyjątkowego ostatecznie kres rozruchom położyło.

Zapowiedziany w Poznaniu zjazd polskich lekarzy i przyrodników został cofnięty przez władze miejscowe, a minister postanowienie to zatwierdził. Niemal tego samego dnia, czy nawet istotnie tego dnia, kiedy miał być przypaść wiec uczonych, odbył się w Poznaniu zjazd śpiewaków niemieckich, na którym większą rolę odgrywała polityka, niż poezya tonów.

Ale à propos poezyi niemieckiej!

Jedno z opozycyjnych pism pruskich zauważyło niegdyś, że zjednoczenie Niemiec nie wydało ani jednego poety. Dzieła wysokiego polotu artystycznego, które w okresie ostatnich trzydziestu lat powstały, pod względem myślowym i uczuciowym nie mają nic wspólnego

go z politycznymi ideami narodu niemieckiego. Poezya może wykwi- tać jedynie na glebie szlacheckiej, etycznie podnioslejszej, niż hasła Żelaznego Kanclerza. Próbkę poezji urzędowej zupełnie się nie powiodły. Jeszcze za życia Wilhelma I., którego obecnie panujący wnuk stale „Wielkim“ nazywa, a naród „Sędziwym“ (Wilhelm der Greise), kazano dziaćwie szkolnej na uroczystych obchodach recytować chło- dno-patetyczne dytyramby na cześć „Białobrodego“ cesarza, zestawia- jące go z Barbarossą:

Ave Caesar Imperator,
Barba Blanca triumphator,
Der Du Welschland Macht besiegt!...

Mimo to szowinistyczna ręka Tiedemanów wciąż szuka lutni. Świeżo zakwitł na pnium politycznej poezji niemieckiej nowy kwiatu- szek, wyszperany przez „Gońca Wielkopolskiego“ a podany przez „Głos“. Początek brzmi, jak następuje:

Habe heut zum Mitagessen
Drei Stueck Polen aufgegessen...

a nieco dalej:

Muessen Kerle tuechtig *rackern*...
Polen brauchet man zum Ackern.

Jakże się ton tych wierszydeł różni od podniosłych pieśni Le- nau'a, Uhlanda, Plat-na, poświęconych Polakom! Niemcom wywie- trzała z głowy dawno potężna nuta pieśni Rueckerta o braterstwie ludów. Inne czasy, inne pieśni!... Wiersz powyżej przytoczony jest jednak znacznie szerszym od osławionej szczerości księcia na War- cynie, który przecież był bardzo szczerzy. Określa nareszcie prakty- cznie stanowisko konstytucyjne współobywateli niemieckich pochodze- nia polskiego, spychając ich do poziomu proletariatu rolnego.

Nawa państwa niemieckiego opuściła flagę do pół masztu.
Bismarck umarł.

Człowiek ten, jak się pokazuje, nie tylko żył z planem, ale i umie- rał z planem. Telegram o jego śmierci dogonił cesarza niemieckiego naturalnym porządkiem rzeczy w podróży. Cesarz—według zapewnień pism niemieckich—miał „łzy w oczach“, kazał opuścić flagi, zamknął się na kilka godzin w swoich pokojach, a następnie zdecydował powrócić do kraju, zwołanie parlamentu celem obradowania nad udziałem pań-

stwa w pogrzebie, wysłał do rodziny „wiernego sługi“ telegram kondolencyjny, wartę honorową i, zdaje się, Posadowskiego; nakazał przygotowania do wspianego obchodu żałobnego na „Koenigsplatzu“, jednym słowem okazał dużo „dobrej woli“. Tymczasem owacye te odrzucił — Bismarck z trumny. Do Friedrichsrub spieszy Posadowski (oficyalnie: imieniem kanclerza) z kondolencyą i oświadczeniem, że rzesza pragnie wziąć udział w pogrzebie. Zastaje bramę zamkniętą. Wychodzi naprzeciw niemu dr. Schwenniger, zamienia z nim kilka słów i znika. Posadowski czeka dalej. Hrabia Rantzau wytrzymuje go na dworze przez dwadzieścia minut, a następnie przyjmuje bardzo chłodno, odpychając wszelkie propozycye. Cesarz telegraficznie zawiadamia rodzinę Bismarcka, iż dla zwłok exkanclerza otwiera podwoje grobów monarszych. Hrabia Rantzau odpowiada, że zwłoki spoczną w parku, gdzie ma stanąć mauzoleum. Cesarz wyraża życzenie wzięcia udziału w kosztach budowy tego mauzoleum. Hrabia Rantzau odpowiada, że miasto Hamburg potrzebną na ten cel kwotę już złożyło. Wtem cień Bismarcka z pozycyi odpornej przechodzi w zaczepną. Sekretarz byłego kanclerza, Maurycy Busch, ogłasza w berlińskim „Lokal-Anzeiger“ tekst prośby kanclerskiej o dymisyę z dnia 18 marca 1890 roku. Tekst ten zaopatrzył obszerną przedmową, obszerną i wyczerpującą. Wydobył go z archiwum we Friedrichsrub, a ogłasza jak człowiek, który spełnia rozkaz. Zjawiają się zarzuty nieautentyczności dokumentu. Busch zbija je. Cesarz zaczyna wreszcie pojmować sytuację i odwołuje obchód żałobny na „Koenigsplatzu“. Zasadą Bismarcka było: „Nicht raisoniren!“ Rzuceniem rękawicy z katafalku dowiódł, że zasada ta winna była obowiązywać w Niemczech wszystkich, prócz niego samego.

Dokument ten wywarł silne wrażenie. Sensację spotęgował napis, którego się Bismarck domaga na nagrobku: „Tu leży wierny sługa Wilhelma I“. W powyżej przytoczonym dokumencie widzimy powoływanie się jeszcze na powagę dwóch cesarzów; teraz następuje redukcya do jednego.

Człowieka tego nazywano żelaznym, a żelazo, jak wiadomo, nie należy do metalów szlachetnych. Przez niego ujęły w Niemczech berło hegemonii żywiły najbezwzględniejsze w przeprowadzaniu celów egoizmu zbiorowego. Brutalni Prusacy ubóstwiali w nim istotę, która nietylko była w całym tego słowa znaczeniu brutalną, ale się szczerze i w całej rozciągłości znaczenia tego pojęcia do owej brutalności przyznawała. Pod tym względem dzieje nie dostarczają rychło przykładu „w drugim egzemplarzu“. Słynne odezwanie się jego „ueber die gaenzliche Wurschtigkeit“, z jaką na wszystko patrzył, co w zakres jego celów nie wchodziło, jest myślową kropką ponad i tego charakte-

ru. Czynów jego nie owiewa urok najmniejszy, nigdy nie tchnie z nich wielkość. Z powodu jego śmierci wypłynęły na łamy pism niemieckich przeróżne anegdoty z jego obfitego w wypadki i aforystyczne odezwania się życia. Lubił on w kole poufnem wspominać „dawne dobre czasy“. Sam wiele o sobie opowiadał. Ale w tych opowieściach nie widzimy, aby kiedykolwiek *coś dobrego zrobił*; dowiadujemy się najwyżej, iż *czegoś złego nie zrobił*. Takie anegdotki mogłyby zdobyć życiorys pierwszego lepszego kaprała pruskiego. A jednak ucywilizowana ojczyzna Kantów i Goethych powtarza je w tej chwili z lubością. Bismarck dźwignął do niebywałych szczytów potęgę swojego kraju. Niemcy śniły wciąż o uspionym Barbarossie i jego rycerzach. Brzmiały im jeszcze w uszach szyderstwa Heinego, który nielitościwie drwił z księstw i ksiąstewek niemieckich. Ręka Bismarcka koniec temu położyła, choć podobno nie myśl jego. Dźwignął on wprawdzie Niemcy z politycznego chaosu, ale obniżył zarazem etyczny poziom współczesnych, podeptał wszystkie ideały, w jakie ludzkość wierzyła i wierzyć musi, tak, że mimowoli przypominają się słowa Świętego Augustyna: „Sine justitia quid sunt civitates nisi magna societas latronum?“

Odzywają się w Europie głosy, że dzieło Bismarcka przetrwa wieki. Pozwalamy sobie wyluszczyć skromne nasze zdanie, że zainaugurowaną przez tego człowieka politykę i etykę mogą z powodzeniem uprawiać tylko ludzie jego organizacyi, i że tylko umysły takiej, jak on, kategorii mogą szeregiem nieoczekiwanych powodzeń stłumić głosy opozycyi, że natomiast tak ciężki miecz, dźwignięty przez słabszą rękę, może poprostu rękę tę wywichnąć. A jeżeli rzadko pojawiają się w dziejach Geniusze Dobroci, to nie mamy powodu do przypuszczania, że częściej rodzić się mają geniusze zła, częściej w ogóle, a w Niemczech specjalnie. I dlatego zdaje się nam, że to, co Niemcy na pierwszy szczebel dźwignęło, może je z czasem narazić na znaczne niebezpieczeństwa, podobnie jak się to ma z tlenem, który, nie przestając być sobą i działając niezmiennie, raz organizm odżywia, a w warunkach zmienionych rozkład jego powoduje.

Wiadomości bibliograficzne.

— Wydziały: historyczno-filozoficzny i filologiczny krakowskiej Akademii Umiejętności ogłosiły swoje rozprawy; pierwszy w seryi II tomu X, drugi w seryi II tomach XI i XII.

W publikacji Wydziału historyczno - filozoficznego znajdujemy rozprawy: A. Prochaski: „Na soborze w Konstancyi“; K. Potkańskiego: „Kraków przed Piastami“; A. Brücknera: „O Piaście“; F. Piekosińskiego: „Sejm walny warszawski z r. 1572“; „Laudum Wojnickie ziemi krakowskiej w przedmiocie pospolitego ruszenia spólstwa“; „Czy król Władysław Jagiełło był za życia królowej Jadwigi królem polskim, czy tylko mężem królowej“; „Przywilej króla Kazimierza Wielkiego w przedmiocie założenia sądu wyższego prawa niemieckiego na zamku krakowskim“; „Sądownictwo w Polsce wieków średnich“ i „Moneta polska w dobie piastowskiej“.

Dwa tomy Wydziału filologicznego zawierają: Stanisława Schneidra: „Czy mądrości i cnoty można nauczyć?“ W. Lutosławskiego: „O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona“; Stanisława Witkowskiego: „Prodromus grammaticae papyrorum graecarum aetatis La-

gidorum“; Cyryla Studzińskiego: „Charakterystyka i geneza poetycznych utworów Ambrożego Metlińskiego“; Karola Stacha: „De Philopatride, dialogo Pseudo-Luciani dissertatio philologica“; Stanisława Dobrzyckiego: „O mowie ludowej we wsi Krzęcinie“; Cyryla Studzińskiego: „Geneza poetycznych utworów Markiana Szaszkiewicza“; Bronisława Kruszkiewicza: „Rozzysuz, jego żywot i pisma“; Karola Potkańskiego: „Lachowie i Lechici“; Aleksandra Brücknera: „Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim“ i Piotra Passowicza: „De Flori codice Cracoviensi“...

— W trzecim zeszycie „Przeglądu filozoficznego“ (za kwiecień, maj, czerwiec) mieszczą się artykuły: d-ra Józefy Kodisowej: „Biologiczne zadania psychologii“; Edwarda Abramowskiego: „Dwulicowy charakter spostrzeżeń“. Autoreferat d-ra Józefy Kodisowej, Krytyka i sprawozdania, Przegląd czasopism, Wiadomości bieżące i Bibliografia.

— Walerego Gostomskiego „Historji literatury powszechnej w zarysie“, wyszły zeszyty 10 i 11-ty, zawierające: Klasyczną dobę literatury niemieckiej, Epokę romantyzmu w Niemczech, w Danii, w Niderlandach, w Anglii i we Francji.

— Efektowna publikacja: „Dzieje powszechne ilustrowane“, wydawana w Wiedniu, nakładem Franciszka Bondego, doprowadzona została do zeszytu 226.

— Wyszła w tych czasach książeczka, stanowiąca wygodny przewodnik dla zwiedzających wystawę retrospektywną, podaje bowiem „Krótkie wzmianki o niezujących malarzach polskich“, których obrazy zgromadzono na rzeczowej wystawie.

— Wydano bezimiennie w Warszawie broszurkę: „Adam Mickiewicz, upominek jubileuszowy“, (u A. G. Dubowskiego, 1898).

— Spółka wydawnicza tanich wydawnictw wydrukowała swoim nakładem M. Malinowskiego: „Włościańskie stowarzyszenia rolnicze w różnych krajach“ i M. Brzezińskiego: „O morzach i łądach“.

— Pan J. Poznański przełożył z francuskiego książkę U. Ostrogorskiego: „Kobieta a prawo publiczne“, (Warszawa, 1898).

— We Lwowie wydał p. Bronisław Grubrynowicz broszurę p. t.: „Juliusz Słowacki w świetle najnowszej krytyki“.

— Dr Róża Luxemburg napisała i wydała w Lipsku rozprawę p. t.: „Die Industrielle Entwicklung Polens“.

— Józef Dunin - Karwicki: „Ze starego autoramentu“. Typy i obrazki wołyńskie. Warszawa, 1898.

— Emanuel Hermann: „Przyczynek do psychologii ludów, w popularnym wykładzie profesora J. J. Janzulla“ — przekład Jakóba Winnickiego.

— Dr Józef Zawadzki: „Pogotowie ratunkowe w Warszawie i zagranicą“, Warszawa, 1898.

— Literaturę powieściową pomnożyły Adolfa Dygasińskiego „Szelaży kieleckie“, zeszytiki I i II zbioru nowel, wydane w Kielcach, i Stański: „W złocie“, powieść, wydana w Warszawie.

— W dziedzinie poezyi mamy do zanotowania wiersze: Aldony p. t.: „Pieśni kobiety“, Władysława Zalewskiego p. t.: „Dla niej“ i Stanisława Kosutskiego: „Z bólów duszy“.

— „Lucyan Malinowski (1839—1898)“. Wspomnienie pośmiertne (z portretem), przez Hieronima Łopacińskiego. Odbitka z „Kuryera Niedzielnego“. Warszawa. Druk P. Laskauera i W. Babickiego. 1898.

Jest to treściwy, lecz zwięzły życiorys zmarłego niedawno uczonego filologa polskiego, zawierający główne wydarzenia z jego życia, określający jego zasługi na polu naukowym, oraz uwydatniający jego charakter, jako człowieka.

— „Gwara Kaszubska“, napisał Jan Karłowicz. Odbitka z tomu XII „Wisły“. Warszawa, w drukarni Lubowskiego i Sp., 1898.

W broszurze powyższej gruntowny znawca naszej mowy porusza bardzo żywotną kwestyę sporną o należenie lub nienależenie mowy Kaszubów do języka polskiego. Jest to właściwie krytyka artykułu prof. Baudouina de Courtenay, zawierającego streszczenie pracy G. Ramuła, złożonej Akademii krakowskiej, a zatytułowanej: „Statystyka ludności kaszubskiej“, oraz krytykę słownika G. Ramuła. Dr Karłowicz zbija dowodzenia prof. Baudouina co do odrębnego stanowiska

mowy kaszubsko-pomorskiej, wskazuje na ścisły związek kaszubszczyzny z mową polską, jako latorośli tej ostatniej, a na zakończenie przytacza kilka szczegółów co do wzajemnego stosunku Kaszubów do Polaków, wpływającego na stosunek językowy.

— „Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska“. Nowe wydanie krytyczne według rękopisu, znajdującego się w Bibliotece Cesarskiej w Petersburgu. Przygotował i wstępem opatrzył dr Bronisław Gubrynowicz. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1898. Jest to czternaste z kolei wydanie tego popularnego zabytku literatury naszej XVII wieku.

— „Monologi i dyalogi“ Pawła Kościńskiego (Paul de Coś) i innych. Warszawa. Nakładem księgarni Alfreda Straucha. 1898.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

Memoryał Prądyńskiego.

Wydawca „Memoryału“ w przedmowie utrzymuje, że pracę swą generał Prądyński napisał na żądanie Cesarza Mikołaja I-go, który go powołał do Petersburga, i pozwolił mu korzystać z materiałów, potrzebnych do ułożenia powyższego sprawozdania. Wyjaśnienia powyższego nie mogą uważać za ściśle. Prawdą jest niewątpliwie, co sam autor w końcu memoriału wyznaje, że spisywał swe wspomnienia, spełniając wolę Monarchy, dodaje również, że była to dla niego praca ciężka i bolesna, i że wykonał ją jedynie otrzymawszy wyraźny rozkaz. Nie chciał też być niedyskretnym i, zamykając się wyłącznie w granicach zadania, poruczonego przez Cesarza, zdaje mu się, że je spełnił, a przynajmniej starał się spełnić najlepiej. Cesarz Mikołaj nie powoływał jednak bynajmniej generała Prądyńskiego do Petersburga. Prądyński był jedynie za udział w rewolucji internowany w Gątczyńcu, gdzie napisał swój memoriał, a wątpić należy, czy mu komunikowano jakiegokolwiek dokumenta, potrzebne do pisania historii. Na historię bowiem było jeszcze zawcześnie, a Monarcha polecił mu jedynie spisanie osobistych wspomnień, które-by były niejako usprawiedliwieniem jego postępowania w roku 1831.

Zresztą, sam autor we wstępie do memoryału najlepiej objaśnia znaczenie swej pracy. „Dzisiaj—oświadcza on—nie czuję się na siłach do pisania historyi okropnych wypadków, które wypełniają ten rok nie-szczęśliwy dziejów Polski... a przytem, jakkolwiek przyjmowałem w nich czynny udział, i dzięki pozycji swojej, zebrałem mnóstwo o niej szczegółów, to jednak, część ich pozostała dla mnie nieznaną. Działania wojenne korpusów oddzielnych znam tylko z raportów, otrzymywanych przez sztab generalny, a o niektórych nawet z tego źródła nie można było powziąć żadnej wiadomości, wskutek przerw w komunikacji. Ograniczę się więc do zdania sprawy z wypadków, w których albo sam przyjmowałem udział, albo też o których powiadomiony jestem dokładnie. Jako autor, świadek i opowiadacz, muszę tu mówić o sobie. Z góry wyznaję, jaką obawą jestem przejęty, abym nie był posądzony o zbyteczną miłość własną, mówiąc o sobie dużo. Z drugiej zaś strony, o tchórzostwo, gdybym milczeniem pokrył swój udział w wojnie przeciw Panującemu, któremu właśnie memoryał ten ma być podany. Oba te uczucia są mi najzupełniej obce, postaram się więc tylko godnie odpowiedzieć włożonemu na mnie zadaniu“.

Już z tego przekonać się można, iż Prądyński pozostawiony był w Gątczynie sam sobie, swej wybornej pamięci, i że nawet dokumentów, uzupełniających jego obszerną wiedzę, trudno było na razie znaleźć w Petersburgu, chyba jedynie z wyjątkiem raportów głównej komendy rosyjskiej, z któremi poprzednio Prądyński zaznajomić się nie zdołał. Polski przekład memoryału nastąpił z francuskiego tekstu, który generał Puzyrewski wydrukował w swem cennem dziele, wojnie polsko rosyjskiej w roku 1831 poświęconem. Mam jednak powód niejaki mniemać, że tekst francuski nie był oryginalnym manuskrytem Prądyńskiego, albowiem, zdaje się, że autor memoryału swój napisał w Gątczynie po polsku, i polski oryginał był, prawdopodobnie, przez kogoś innego tłómaczony na język francuski. Prądyński po wyjeździe z Gątczyny mieszkał na wsi w Królestwie Polskiem, i miał ów memoryał polski przy sobie. Uzupełniwszy go, posyłał nawet tajemnie Chłopickiemu do przejrzenia, do Krakowa, z prośbą o poczynienie uwag lub sprostowań na marginesie. Chłopicki ograniczył się na uczynieniu lapidarnej uwagi, zawartej w jednym wyrazie: „łżesz“, zdaje się w tem miejscu zamieszczonej, gdzie Prądyński oświadcza, że na polach Grochowa radził Chłopickiemu, ażeby przed przybyciem korpusu grenadyerów Szachowskiego, uderzył z całemi siłami rozporządzalnemi na armię rosyjską. W każdym razie zaznaczyć należy, że zawartość memoryału Prądyńskiego znaną już była dawniej historykom naszym. Mierosławski Ludwik, w swem obszernem dziele, kampanię w 1831 roku przedstawiającem, cytował wyjątki

z owego memoriału, a zwłaszcza ustępy, dotyczące negocyacji dyplomatycznych, podczas szturm Warszawy.

Memoriał Prądyński jest niewątpliwie ważnym z wielu względów dokumentem, i to zarówno historycznym, jak i politycznym. Wdzięczni więc powinniśmy być generałowi Puzyrewskiemu, iż, publikując tekst francuski, dał tem samem możność rozpowszechnienia polskiego przekładu „Memoriału“, który co najwyżej bardzo mało i niedostatecznie był znanym naszemu społeczeństwu. Historycznym dokumentem do dziejów kampanii z 1831 roku był „Pamiętnik“ Prądyńskiego bardzo ważnym i cennym z tego względu, że w nim mógł autor wiernie skreślić swój udział w tej walce, a to jedno było dostatecznem, aby memoriałowi zapewnić trwałą i niespożytą wartość. Prądyński rozwinął bowiem w ciągu kampanii zdolności strategiczne w sposób zdumiewający, jako wódz pod Iganiami okazał się zdeterminowanym, a jako żołnierz, nieustraszonym, zarówno w ogniu, jak i wobec przemagających sił nieprzyjaciela. Willisen w swem znanem dziele: „Theorie des grossen Krieges“, uznaje zdolności Prądyńskiego i mniema, że były nawet zbyt wielkimi jak na szefa sztabu, dając tem do zrozumienia, że wobec takich zdolności, samodzielność wodza naczelnego musiała być na szwank narażoną. Istotnie też, wyjątkowe zdolności zapewniały Prądyńskiemu wyjątkowy wpływ w armii polskiej. Opisanie więc tego wpływu osobistego było dla historii cennem źródłem, chociaż posiłkujący się niem dziejopisarz powinien zachować niezbędne środki ostrożności, albowiem autor memoriału mógł powiedzieć o wypadkach, a przede wszystkim o kampanii 1831 roku „quorum pars magna fui“, a więc opisy jego i wspomnienia zawrzeć musiały z konieczności dużo pierwiastków politycznych, przystępnych dla namiętności i tendencyi.

Prądyński mimowoli był zniewolony zastanowić się nad powodami rewolucyi 1830 roku, również niejednokrotnie wyrażał swój sąd krytyczny odnośnie do postępowania rządu, sejmu i naczelnych wodzów armii. Znadto zaś był bystrym i przenikliwym, aby nie przewidzieć zarzutów, jakie przeciwko niemu podniosą historycy polityczni i wojskowi za zachowanie się jego podczas szturm Warszawy. Z góry zatem można było oczekiwać, że w jego memoriale ujawnią się pewne tendencje polityczne, dążące do usprawiedliwienia siebie, a potępienia przeciwników. Słusznie więc uczynił generał Puzyrewski, posiłkując się memoriałem Prądyńskiego oględnie i ostrożnie. Łatwo bowiem było z owej oryginalnej dyskretności, jaką autor memoriału względem faktów i ludzi zachował, dostrzedz, że charakter jego nie dorównywał zdolnościom, o których można było powiedzieć, że prawie były genialnemi.

Pomimo, że Prądyński uprzedził o tem, iż mało może powiedzieć o wypadkach, które poprzedziły wojnę, znajdujemy jednakże w memoriale kilka szczegółów o postępowaniu Nowosilcowa, następnie o zachowaniu się ówczesnego naczelnego wodza, które świadczą, iż na odwadze cywilnej mu niezbywało. Słuszności też jego uwagom i spostrzeżeniom nie można było odmówić, gdy utrzymywał, że w rewolucyi polskiej nie było ani śladu nienawiści plemiennej przeciw Rosyi; co więcej, ani wśród narodu, ani również wśród wojska nie było nigdy niechęci ku Monarsze. Co prawda, sam przedstawiciel władzy, przed którym wszystko się korzyło, i któremu potęgę nadał sam Cesarz, przyjął za zasadę osłabiać powagę swojego monarchy, bądź przez wyniosłą impozycyę, okazywaną najwyższemu urzędowi, bądź-to z powodów natury czysto prywatnej. Zdaniem Prądyńskiego, ruch rewolucyjny warszawski w początkach swoich nie był bynajmniej poważniejszym od takiegoż ruchu w Petersburgu w roku 1825. Gdyby też do Warszawy wkroczyły wszystkie wojska, jakie były pod ręką, gdyby dano dowód takiej odwagi, jaką okazał Cesarz w podobnym wypadku, rewolucya stłumioną została-by w zarodku. Wojska polskie, które zewsząd dążyły ku Warszawie, wyruszyły przeciw w celu oddania się pod rozkazy Wielkiego Księcia i służyły jego rozporządzeń.

Jasno i logicznie wykazał Prądyński, na kogo spadała główna wina nieumiejętnego działania, które samorzutnemu ulicznemu ruchowi pozwoliło rozwinąć się w pełną rewolucyę. Również wyrozumiałym i w wielu razach trafnym jest sąd autora memoriału o zachowaniu się rady administracyjnej i sejmu. Dopiero gdy przyszła kolej na wojsko polskie, spotykamy się z zarzutami, w których słuszność niepodobna zupełnie uwierzyć. Prądyński największe braki i demoralizujący wpływ na wojsko przypisuje wprawdzie ówczesnej naczelnej komendzie, w czem, jak to już powtórnie konstatuję, daje dowód niezwykłej odwagi cywilnej; ale niepojętą pozostanie lekkomyślność, okazana w następujących słowach: „Od tego czasu (przed 1830 rokiem), dowódcami pułków i baterii stali się ludzie, którzy zapatrywali się na służbę wojskową wyłącznie tylko, jako na środek zdobycia majątku, ciągnąc korzyści z administrowania tem, co posiadali w swych rękach, i uważając swoje oddziały za rodzaj starostw. Co się zaś tycze generałów, ci po największej części byli ludźmi zużyтыми, traktującymi swoje obowiązki jako synekury, które im pozwalały kończyć swą karierę w sposób najdogodniejszy“.

Sądem doraźnym uczynił więc Prądyński wszystkich wyższych oficerów wojsk polskich niedołęgami, a co gorsza, ludźmi, którzy zapomnieli o elementarnej zasadzie rzymskiego prawa: „suum

cuique tribuere, neminem laedere et honeste vivere". Ważniejszym jest jednak to, iż owe krzywdzące i hańbiące zarzuty uczynił głośno, przyrzekłszy z góry zachować dyskretność w swoim memoriale. Niema najmniejszej potrzeby odpierania nieudowodnionych niczem zarzutów; pozwolę tu sobie jedynie nadmienić, iż żaden z późniejszych pisarzy nie potwierdził takowych, owszem, panowało jednogodne przekonanie, że wszelkie wyzyskiwania swego oficerskiego stanowiska były za naczelnego dowództwa W. Ks. Konstantego niezwykle trudnemi do skutecznienia. Naczelnym wódcą ścigał z nieubłaganą surowością wszelkich samozwańczych starostów, a system denuncyacyjny, panujący wówczas wszechwładnie, dawał gwarancję pewną, iż podobne przewinienia nie pozostaną długo w ukryciu. Gdzież jest więc lista procesów przeciwko pułkownikom i dowódczom baterii? gdzie przynajmniej dowody, że opinia publiczna wytykała i wskazywała podobnych winowajców? Nic z tego nie przytoczył Prądyński, i bez żadnego dowodu zohydził w swym memoriale szereg oficerów, którzy, prawie bez wyjątku, wywalczyli sobie chlubne i nieposzlakowane imię w kampaniach napoleońskich.

Zarzut Prądyńskiego, uczyniony generałom polskim, że byli zużytymi, uważać należy również za nieogłędny i niesłuszny. W owe czasy, gdy memoriał był pisany, we wszystkich armiach europejskich pozostawiano generałów brygad, dywizji i korpusów, pomimo sędziwego wieku, na swem stanowisku. Sędziwość nie przeszkodziła też ani Kutuzowowi, ani Blücherowi, ani później Radeckiemu dowodzić całą armią; tembardziej więc nie uważano za nic nadzwyczajnego spotykać się z starymi generałami niższych stopni. Ale czy owi starzy generałowie wypełniali źle swe obowiązki na polu bitwy w 1831 roku? czy tracili tak wiele na porównaniu z młodymi? O Dwernickim mawiano naprzykład, że nie potrafi dosiąść konia i odbyć kampanii; nie przeszkodziło mu to niejednokrotnie szarżować na czele jazdy i zdobyć sobie przydomka dostawcy armat (Fournisseur de canons. Canonen Lieferant), a Willisen upatrywał w jego temperamentie bojowym dużo podobieństwa do Blüchera. Sierawski, który pod Borysowem w roku 1812 zdobył sobie szlify generalskie, dał na czele młodych pułków dowody nieustraszonej odwagi i niewyczerpanych sił. Wreszcie Sowiński, który pod Możajskiem w roku 1812 utracił nogę, i zginął na stanowisku, które sobie wyprosił, śmiercią bohatera. Wszyscy owi zużyty generałowie w kampanii 1831 roku zachowywali się, jak pełni energii młodzieńcy, a wszystkie błędy, jakie popełnili, spadają w postaci ciężkiej winy na naczelną komendę.

Istotnie, jeden tylko zarzut, uczyniony przez Prądyńskiego generałom polskim, wydaje się być uzasadnionym, a mianowicie, że żaden

z nich nie miał wybitniejszych kwalifikacji na naczelnego wodza. Żaden z nich, zdaniem Prądyńskiego, nie potrafił ułożyć jasnego planu ruchów całej armii, nikt nie umiał przeprowadzić bitwy z zimną krwią i bystrością umysłu, nikt nie pojmował znaczenia jednoczesnego użycia rozmaitych broni w taki sposób, aby pomagały sobie wzajemnie i wspólnem działaniem wywoływały największy, możliwy efekt. Z tem wszystkim, bitwa pod Grochowem przekonała szybko Prądyńskiego, że Chłopicki był nietylko dzielnym żołnierzem, ale i doświadczonym generałem, pomimo, że brak mu było orlej przenikliwości, która potrafi natychmiast dostrzedz błędy nieprzyjaciela i w lot z nich skorzystać.

Najpowierzchniejszą jednak była ocena wojska polskiego, zawarta w memoryale Prądyńskiego. Zdaniem autora, „w epoce rewolucyi, wojsko polskie było doskonale przygotowane do świetnych parad, ale nie do wojny. Jego entuzjazm tylko na czas krótki mógł zastąpić brak karności. Entuzjazm równie szybko znika, jak powstaje, pierwsze niepowodzenie go zabija. Tylko karności, wrodzonej gieniuszowi narodowemu i wzmocnionej przez sam czas, oraz przez instytucje tradycyjne, karności takiej, jaka panowała w wojsku rossyjskiem, jaką się również odznaczali Rzymianie, nie osłabiają ani zwycięstwa, ani porażki“. Dziwić się należy, że Prądyński nie dostzegł, w jak rażącej sprzeczności pozostaje jego paradoksalny ustęp z treścią całego memoryału. Po niepowodzeniach bowiem pod Grochowem, Ostrołęką, entuzjazm zarówno starych, jak młodych pułków, zamiast ginąć, ciągle się potęguje. Karność, ugruntowana na patryotycznym uczuciu, utrzymuje się nieustannie, i żołnierz idzie w ogień nieustraszony, słuchając głosu swych dowódców. Owe też pierwszorzędnne przymioty nieklamanego zapału i wzorowego posłuszeństwa zachowało wojsko polskie nawet podczas śmiertelnych zapasów w szturmie Warszawy, a więc w dobie, kiedy Prądyński zdołał zapomnieć o tem, jakie zajmuje stanowisko i jakie na nim ciąży obowiązki.

Po usunięciu się Chłopickiego, ubiegali się otwarcie o główne dowództwo: Krukowiecki, Szembek, Skrzynecki i nieco później Umiński, gdy przybył do Warszawy. Wojsko i publiczność wskazywały przytem na Rybińskiego, Kołaczkowskiego, Chrzanowskiego i Prądyńskiego. Ci, którzy rozpoczęli rewolucję, pragnęli mieć wodzem Zaliwskiego, albo Sierawskiego. Później nieco Władysław Zamojski, Ramorino i Bem znaleźli się również w szeregu kandydatów na tę godność. Dzisiaj, gdy cały bieg wypadków wykazał wartość tych osób, pisze Prądyński, jestem przekonany, że tylko jeden Chłopicki był odpowiedny na wodza. Jednakże ów Chłopicki, zdaniem autora memoryału, nietylko skrępował organizację armii, ale na polu bitwy pod Gro-

chowem, okazał się duchowym krótkowidzem, nieumiejącym ocenić rad strategicznych Prądyńskiego. Zresztą, Chłopicki, raniony pod Grochowem, znikł z widowni wojennych wypadków, a ambicya fałszywa, przybierająca postać pospolitej buty, nie pozwoliła mu zjawić się na powrót w obozie, aby przynajmniej spełnić obowiązek obywatela - żołnierza, gdy niedanem mu było na stanowisku wodza zjednać sobie powszechnego uznania.

Kwestya naczelnego dowództwa była też na porządku dziennym, i trzeba przyznać, była kwestyą najkapitałniejszą, od której zależało powodzenie i ostateczny ratunek całej sprawy. Prądyński przyznaje, iż jeszcze przed bitwą grochowską wojsko i publiczność wskazały między innymi na niego, jako na jednego z kandydatów na naczelnego wodza. Wojsko i publiczność! To dwa ważne i cenne czynniki, i co one mogły sobie upatrzeć w młodym oficerze inżynierii, który w kampanii 1812 roku nie zdziałał nic sławnego ani imponującego. Współkandydaci Prądyńskiego mieli już pewną przeszłość wojskową. Rybiński naprzykład pod Borodinem na czele batalionu piechoty opanował wzgórze (mamelon), stanowiące główną pozycyę nieprzyjaciela, i nie dał się przez godzinę czasu wyrzucić całemu korpusowi Tuczkowa, który w tem starciu poległ. Chrzanowski zaś i Kołaczkowski, jako oficerowie inżynierii, odbyli wojnę turecką pod rozkazami feldmarszałka Dybicza, a więc polecało ich krajowi doświadczenie świeżo nabyte. Prądyńskiego jednak mogły polecać wyłącznie świetne zdolności na stanowisko naczelnego wodza, i musiało wojsko, zarówno jak i publiczność, o tych zdolnościach coś wiedzieć i mieć o nich należyte przeświadczenie, jeżeli zamieściło go w rządzie swych ulubieńców i upragnionych kandydatów.

Bitwa pod Grochowem wystawiła Prądyńskiemu jak najświetniejsze świadectwo. Być bardzo może, że wojsko nie dowiedziało się tak prędko o jego trafnych i, niestety, nieposłuchanych radach, ale widziano go na czele piechoty, wyrzucającego nieprzyjaciela z Olszynki, a gdy wojsko było już bez naczelnej komendy, on-to wysłał bateryę Skalskiego przeciwko kirasyerom ks. Alberta, i demoralizował racami kongrewskimi ową wspaniałą jazdę. W bitwie pod Grochowem więc rozwinął Prądyński niepospolity talent strategiczny. Wzrok jego na pobojowisku okazał się przednio-orlim, a nieustraszonosc szła z talentem w zawody, i można mu wierzyć, gdy zapewnia, że w Olszynie Grochowskiej miał razem z Chłopickim ubranie podziurawione kulami, jak rzeszoto.

Bitwa Grochowska obudziła wprawdzie w Prądyńskim szacunek dla wojska polskiego, ale nie obudziła w nim bynajmniej świadomości i wiary w potęgę własnego ducha, ani pragnienia, aby dla zbawienia

sprawy stanąć na czele armii która chrzest bojowy przeżyła w tak świetny sposób. Sam też pomagał Skrzyneckiemu do otrzymania naczelnej buławy, nie dlatego bynajmniej, aby go uważał za odpowiedniego, ale że go popierał ks. Adam i że wyobrażano sobie, że gdy Skrzynecki stanie na czele, mając przy swym boku przewodników, dyrygujących jego akcją, wszystko pójdzie lepiej. Przyznaje się Prądyński do tego, że się zawiódł na Skrzyneckim, ale owego przyznania nie można uważać za usprawiedliwienie, albowiem Prądyński wiedział o tem dobrze, że Skrzynecki nie posiadał tej iskry ognia świętego, który tworzy wodza i którego nie można zdobyć ani przez czytanie, ani w szkole, lecz potrzeba się z nim urodzić.

Pomógłszy Skrzyneckiemu do otrzymania naczelnej komendy, Prądyński przypisuje mu zaraz skryte zamiary, które nie mają nic wspólnego z dyskretnością, jaka miała panować w memoryale. Zdaniem Prądyńskiego, Skrzynecki, stanąwszy na szczycie, pragnął zyskać możność utrzymania się na tej wysokości zakończeniem sprawy bez wojny. Powziął więc myśl wystąpienia do feldmarszałka z propozycjami pokojowymi, a uszczęśliwiała go nadzieja, że będzie mógł zastąpić Zajączka na stanowisku namiestnika w Królestwie; po bitwie zaś pod Dembem-Wielkiem, plany jego sięgały daleko wyżej. W krzywdzących insynuacjach względem Skrzyneckiego posunął się Prądyński nawet tak daleko, że pomówił go o robienie oszczędności na stanowisku naczelnego wodza. Taki sąd nieubłagany wolno było wydawać historykowi, mającemu pewne dowody w rękę, w ustach jednak Prądyńskiego owe gołosłowne zarzuty i zjadliwe pomówienia przykre czynią wrażenie, bo zdają się być obliczonemi na odwrócenie uwagi od podobnych negocyatorskich zachceń, jakie ogarnęły Prądyńskiego podczas szturmów Warszawy.

Najważniejszymi dla historyka pozostaną te ustępy memoryału Prądyńskiego, w których opisuje, jak błędy naczelnej komendy nieprzyjacielskiej nasunęły mu myśl zniweczenia armii Dybicza. Z uwagą, pełną niepokoju—pisze Prądyński—śledziłem ruchy wielkiej armii rosyjskiej. Zdawało mi się, że uśmiecha się nam szczęście, którego dotąd nie oczekiwałem. Zdawało mi się bowiem, iż można było wówczas, wyszedłszy z Pragi z 50,000 ludzi (około 20 marca) napisać na obozy feldmarszałka i rozbijać jego armie po kolei, a wówczas, idąc naprzód, oddzielić ostatecznie na cały czas wojny korpus gwardyi od korpusu, którym dowodził generał Toll. Takim marszem zmusili-byśmy obu do odwrotu, zajęli-byśmy gubernie zachodnie, które-by wówczas dały znaczne zasilki do dalszego prowadzenia wojny, i dopiero po tych wypadkach mogli-byśmy zyskać sobie jakiego sprzymierzeńca, albo interwencyę państw europejskich.

Niedość, iż Prądyński orlim wzrokiem ogarnął cały horyzont wojenny i obmyślił po mistrzowsku zgubę nieprzyjacielowi, ale w dodatku przedsięwziął przygotowawczo szereg rekonesansów, które-by zamaskowały jego myśl przewodnią. Okoliczności złożyły się sprzyjająco po temu, ale trzeba było na wykonanie owych rozległych planów pozyskać zgodę naczelnego wodza. Wtedy też mógł się Prądyński stanowczo przekonać, że w dziejach nie powtarzają się podobne zdarzenia, i że stosunek Gneisenaua do Blüchera nadaremnie pragnął on wskrziesić w swoim stosunku do Słrzyneckiego. Bądź co bądź, odbywały się częste narady nad owym planem z naczelnym wodzem, którym assystował Chrzanowski. Prądyński przekonywał, że nawet roztopy wiosenne sprzyjają armii polskiej, albowiem paraliżują działania artylerji, w którą wojsko nieprzyjacielskie było zasobniejsze.

Zanim Skrzynecki zdołał powziąć ostateczną decyzję, wystąpił Chrzanowski z nowym planem, podług którego należało prawie z całym wojskiem iść pod Modlin, na prawy brzeg Narwi, i stoczyć przedewszystkiem bój z gwardją. Chrzanowski i Prądyński bronili gorąco swoich projektów, ale, zdaniem autora memoryału, Skrzynecki nie był zdolny do rozważenia owych projektów krytycznie, a tembardziej do skreślenia planu własnego. Skłaniał się jednak w stronę Chrzanowskiego, uśmiechała mu się bowiem myśl zmierzenia się z gwardją. Projektowi zaś Prądyńskiego zarzucał, iż niepodobna atakować Geismara, gdyż ten zamknął się w wałach i zajmuje miejsce, na którym Polacy dwa razy przegrali bitwę. W każdym razie, Skrzynecki nie był jeszcze zdecydowanym, ale widocznem się stawało, iż albo wpływ osobisty Chrzanowskiego, lub Prądyńskiego zwycięży i skłoni wodza do wybrania jednego z owych projektów.

W tym właśnie czasie—pisze Prądyński—zachorowałem obłóźnie, Chrzanowski objął kierunek w zakresie mojej służby, pod nieobecność więc moją, naturalnie, jego wpływ zwyciężył. Naczelný wódz polecił mu wydać odpowiednie dyspozycje, i to tem chętniej, iż one nie zmuszały go do opuszczenia Warszawy, na co podczas całej wojny zdecydował się z najwyższą niechęcią i trudnością. W tym właśnie czasie, odzyskawszy władzę mówienia, której byłem pozbawiony, natychmiast pobiegłem do Skrzyneckiego, ażeby jak najsilniej zaprotestować przeciwko wszystkiemu, co uczynił, twierdząc natomiast, że nie tylko z lekkim sercem wyrzeka się zwycięstwa, które los nam ofiaruje, ale, co większa, gubi armię i całą sprawę, która wskutek takiego rozdrobnienia sił nie potrwa dłużej, niż miesiąc. Rozpoczęliśmy gwałtowną kłótnię między sobą, rozwinąłem cały zasób swej wymowy, dowodziłem mu, że zwycięstwo nad Geismarem nie podlega najmniejszej wątpliwo-

ści, i że nawet gdybyśmy nie narażali się na walkę z feldmarszałkiem, którego imię miało coś przerażającego dla Skrzyneckiego, to i wówczas taka nowa wycieczka z Pragi uniemożliwi mu przejście przez Wisłę, a przez to tym jednym krokiem ocalimy Warszawę. Zdawało mi się, że ta myśl uderzyła Skrzyneckiego, podwoilem więc usiłowań, aż osłabł w swoim oporze, ale wstrzymywał go jeszcze wstyd fałszywy odwoływania wydanych rozkazów i przerywania akcji, w części już uskutecznionej. Upewniłem go więc, że wszystko, co dotychczas uczyniono, wytłómaczymy, jako bardzo uczony manewr, w celu oszukania nieprzyjaciela. Nakoniec udało mi się wywalczyć zgodę naczelnego wodza na wykonanie mojego planu. Zgoda ta jednak nie poprawiła bynajmniej opinii, jaką już wytrwale żywił o nim Prądzyński. Zdaniem autora memoriału, można było już wtedy przewidywać, w jak opłakany sposób będzie prowadzić wojnę Skrzynecki, który z taką trudnością zdecydował się na krok tak prosty, straciwszy kilka tygodni najgorętszego czasu na wahanie się i rozrzucanie w rozmaitych dalekich kierunkach kilku korpusów, podczas, gdy co najmniej przed piętnastu dniami powinien był wyjść z Warszawy z całym naszym wojskiem i, walcząc bez ustanku, pójść aż za Bug.

Zwróciłem uwagę na ów ważny moment w życiu Prądzyńskiego, dlatego właśnie, że zapewnił mu nieśmiertelne imię w dziejach wojskowości polskiej, a zarazem i dlatego, że przekonać-by go był powinien raz na zawsze, że najświetniejsze plany, noszące na sobie ślady gieniuszu napoleońskiego, nie są wystarczającymi, gdy wykonanie ich zależnem jest od wypadkowego kaprysu naczelnej komendy. Ocenienie planu Prądzyńskiego przez fachowych wojskowych historyków naszych i obcych było najkorzystniejszym, trudno przytem odmówić rzetelnego podziwu i uznania mężowi, który, odzyskawszy zaledwie mowę, pobięgl do Skrzyneckiego, aby go zdobyć i zniewolić do wykonania swego planu. Zachowanie się Prądzyńskiego w przededniu poważnej i szczególniejszej akcji wojennej pozwalało cieszyć się nadzieją, że w stosunkowo krótkim czasie, gieniusz jego strategiczny, dojrzawszy, pocznie wydawać wspaniałe owoce, a w dodatku, że charakter jego w walce z przeciwnościami umocni się i zapewni w przyszłości pomysłem jego oraz planom zupełne zwycięstwo wobec naczelnego wodza.

Plan Prądzyńskiego, dążący do zupełnego zniweczenia armii feldmarszałka Dybicza, został w wykonaniu opóźnionym, i dzięki całemu szeregowi błędów Skrzyneckiego, okaleczonym. Rezultat też bitew pod Wawrem, Dembem-Wielkim i Iganiami był zupełnie skromnym w porównaniu z zamierzonym celem, ale przynajmniej był niezaprzeczoną wawrzynem, który przedewszystkiem powinien był spowić

czoło Prądyńskiego, gdyż cała akcja była poczęta z jego ducha. Jeżeli naczelny wódz nie poczuwał się do wdzięczności dla Prądyńskiego, i własnej miernocie przypisywał laury, które zbierał, to inaczej należało sądzić o armii i kraju, które, niepodobna przypuścić, aby nie dostrzegły, komu zawdzięczają jedną z najpiękniejszych kart wojennej historii.

Przebiegu samej akcji powtarzać nie będę, ani też utyskiwać Prądyńskiego nad tem, że na każdym kroku niedołęstwem wykonania zmniejszono rezultat jego planów. Zaznaczę jedynie, że i tym razem okazał się Prądyński nie tylko wybornym strategikiem, ale i sprawiedliwym sędzią względem swoich towarzyszków. Pisze bowiem, że bitwę pod Dembem Wielkim wygraliśmy dzięki jednemu śmiałoemu krokowi. Myśl, podana przez Chrzanowskiego, należy przyznać, była bardzo szczęśliwą. Kazimierz Skarzyński wykonał zaś ją w sposób jak najświetniejszy. Widzimy więc, że autor memoriału nie zaparł Chrzanowskiemu pomysłowi atakowania całą dywizją jazdy nieprzyjaciela, ani Skarzyńskiemu świetnego wykonania powyższego planu. Zawiszi zatem ani zazdrości, czyli owych uczuć, znamionujących zazwyczaj płytkie umysły i niskie charaktery, nie spotykamy w Prądyńskim, i w uznaniu zasług, czy talentu swych towarzyszków, nie upatrywał on własnej krzywdy, czy też własnego poniżenia.

Nazajutrz po bitwie pod Dembem-Wielkim, Prądyński nalegał usilnie na to, ażeby wódz korzystał z entuzjazmu, jaki w wojsku musiały wzbudzić zwycięstwa, i z całą siłą, bez najmniejszej straty czasu, dążył przeciwko Dybiczowi, przeciwko któremu mógł zgromadzić 40 tys. żołnierza. Ale gdy przedstawiał plan uderzenia na feldmarszałka, a co więcej, rozbicia go, Chrzanowski się irytował, a Skrzynecki żartował sobie z Prądyńskiego. Wojska już ruszały do pochodu, a naczelny wódz jeszcze się nie mógł zdecydować, w którą stronę je posłać. Wtedy-to przyniesiono tekę Rozena, znaną przy trupie jego kozaka służbowego. W owej tece znajdowały się instrukcje Dybicza, przesyłane Rozenowi, i one-to skłoniły Skrzyneckiego do marszu na Siedlce.

Opisując bitwę pod Iganiami, w której komenderował naczelnie Prądyński, przyznaje się otwarcie i szczerze do popełnionych błędów. Przedewszystkiem do obserwowania ważnych punktów przeznaczył za wielkie oddziały wojsk. Tymczasem, mając przed sobą bitwę, należy łączyć oddziały, a nie pozbywać się ich. Przed bitwą zaś pod Iganiami, Prądyński pozbył się 3,000 ludzi, którzy-by mu byli bardzo pożytecznymi podczas walki. Za ledwie też w 6,000 żołnierzy stanął wobec całego korpusu Rozena, a śmiałym i obliczonym naleźycie atakiem wy-

dożył się zwycięsko z bardzo trudnego położenia, w którym go bezczynnością swoją pogрузił Skrzynecki. W każdym razie, w bitwie pod Iganiami, okazał się Prądzyński wyborym i nieustraszonym wodzem. Błyskawicznym rzutem oka ocenił wszystkie właściwości specjalne terenu i potrafił je wyzyskać dla odpowiednich gatunków broni. Przewagę sił nieprzyjacielskich zrównoważył zdeterminowanym atakiem, który podniósł serce żołnierza, nie zdradzając przed nieprzyjacielem niedostatecznych sił własnych. Prócz tego, wszelkie nieprzewidziane z góry zwroty i manewra armii nieprzyjacielskiej nie zastały Prądzyńskiego nieprzygotowanym, ani zdołały zachwiać jego postanowieniem stoczenia wstępnego boju. Nie usłuchał też rad Kickiego, który go namawiał do nieprzyjmowania w tak niekorzystnych warunkach boju, i gdyby nadciągnął z pomocą Skrzynecki, jak to był powinien uczynić, zwycięstwo pod Iganiami zakończonem, a raczej uwieńczonem-by zostało doszczętnem zniszczeniem korpusu Rozena.

W dalszym ciągu w memoryale swym opisuje Prądzyński porażki Sierawskiego, stratę korpusu Dwerwickiego i ze zmiennem szczęściem prowadzone walki Chirzanowskiego. Pominę owe fakta wojenne ze względu, że są już należycie przez historyków wyjaśnione, a zatrzymam się dłużej nad temi ustępami, w których Prądzyński kreśli swe plany akcji zaczepnej i opowiada, jaką ciernistą i krzyżową dolę zgotowała mu ograniczoność i uporczywość naczelnego wodza. „Codziennie — pisze Prądzyński — przedstawiałem naczelnemu wodzowi projekt, który przedewszystkiem zależał na tem, aby zaatakować armię nieprzyjacielską 6 dywizjami, czyli trzema korpusami w ten sposób, aby w razie zwycięstwa wepchnąć ją w widła, utworzone przez trzęsawiska, Kostrzynia i Liwca. Gdyby zaś armia polska została odpartą, aby się mogła cofać do Potyczy, przez kraj, zarosły i obfitujący w naturalne przeszkody, osłaniające odwrót. Prądzyński występował z tej zasady, że jeżeli sami nie rozpoczniemy operacji wojennych w czasie, gdy to będziemy mogli uczynić z korzyścią dla siebie, skończy się na tem, iż zostaniemy zaskoczeni z nienacka w najnieodpowiedniejszej chwili i w sposób dla nas najfatalniejszy. Projekt Prądzyńskiego wywoływał między nim i naczelnym wodzem debaty bez końca, z każdym dniem coraz bardziej męczące. Raz armaty Dybicza miały stać na przeszkodzie jego wykonaniu, to znowu kirasyerzy, a wreszcie i ten wzgląd, że nie można atakować armii na pozycyi.

Pewnego dnia Prądzyński zdołał namówić Skrzyneckiego, żeby z nim pojechał do forpczt, w celu obejrzenia obozu rossyjskiego, który widać był stamtąd dokładnie. Spozrzegł wówczas szance pod Suchą, i od tego czasu na wszelkie propozycje odpowiadał: Jakto? atakować

fortyfikacje? A gdy wszelkie perswazyje nie pomagały, wówczas Prądzyński musiał powrócić do dawnego planu wyprawy przeciw gwardyi. Na tę ostatnią zgodził się wprawdzie wódz naczelny, ale okazał tyle chwiejności i braku determinacyi, że wyprawa, zamiast zniszczeniem korpusu gwardyi, zakończyła się fatalną przegraną pod Ostrołęką.

Zachowania się Skrzyneckiego na radzie wojennej po ostrołęckiej bitwie nie przedstawia autor memoryału w zbyt korzystnym świetle. Podczas drogi do Warszawy zalewał się łzami, powtarzając niestannie: „Finis Poloniae“, lub: przegraliśmy najhaniebniej bitwę. Gorzej jednak, że naczelny wódz nie mógł ukryć swego duchowego rozstroju, i wysłał list do rządu, donoszący, że wszystko stracone. Słusznie Prądzyński zauważył, że dzień Ostrołęki był istotnie dniem hańby, ale tylko dla naczelnego wodza, gdyż armia polska zasłużyła sobie na owem pobjowisku na zaszczytną wzmiankę. Co więcej nawet, Prądzyński, który zarzucał armii polskiej brak karności, utrzymując, że entuzjazm, który pierwotnie ożywił jej szeregi, po pierwszych niepowodzeniach zniknie, teraz przyznaje, że zdemoralizowanie skutkiem klęski ostrołęckiej ogarnęło tylko Skrzyneckiego i zaledwie kilku generałów, wojsko zaś tylko przyszło do siebie i gotowe było wyruszyć przeciwko nieprzyjacielowi.

Ale naczelny wódz bynajmniej o tem nie myślał, i oddał się zupełnie podkopywaniu stanowiska ówczesnego rządu ze skrytym zamiarem pochycenia samemu steru władzy, lub przynajmniej oddania go księciu Adamowi. W tym czasie Prądzyński znowu zachorował, i leżąc w łóżku, mógł się tylko oddawać rozważaniom o położeniu sprawy publicznej i własnej. Wszystko, co robił Skrzynecki przed Ostrołęką i pod Ostrołęką, doprowadziło Prądzyńskiego do przekonania, że gubi całą polską sprawę i skazuje całą armię na śmierć, bez żadnej nadziei wywalczenia jakiegokolwiek rezultatu. „Zdawało mi się — pisze Prądzyński — że jest moim obowiązkiem, tak względem naszej sprawy, jak i względem mych kolegów, zakommunikować rządowi moje spostrzeżenia, które miałem sposobność zrobić, zajmując stanowisko generalnego kwatermistrza. Nadto skłaniał mnie do tego wzgląd i na siebie samego, gdyż uważano mnie ogólnie za kierownika wszystkich operacyi. Nie mogłem więc milczeć, nie przyjmując za niego na siebie odpowiedzialności za wszystkie głupstwa, dotychczas popełnione“. Począwszy więc od księcia Adama, podał Prądzyński kilku członkom rządu myśl, aby skłonili Skrzyneckiego do zrzeczenia się naczelnego dowództwa, za co-by mu powierzono albo gubernatorstwo Warszawy, albo stanowisko członka rządu.

Skrzyneckiego nie tak łatwo było jednak wysadzić z siodła; czuł, iż ma silną partję w sejmie, a w dodatku wszyscy członkowie rządu

podzielali to samo przekonanie i bali się energiczniej wystąpić przeciwko niemu. Skończyło się na tem, że Prądyński wystąpił ze sztabu, a Łubieńskiego zamianowano szefem sztabu, ale i w tem smutnem położeniu wyszła na jaw przewaga moralna Prądyńskiego i jego uznanie, jakie pozyskał sobie w armii. Nowy szef sztabu nie śmiał przedsięwziąć nic samodzielnego i przedstawiał naczelnemu wodzowi jedynie plany Prądyńskiego, tając starannie ich pochodzenie i autora. Nareszcie, gdy niedołęstwo naczelnej komendy stawało się coraz to widoczniejszym, za inicjatywą Niemojowskiego Bonawentury utworzono kommissyę do rozejrzenia spraw wojennych, która się składała z członków rządu, ośmiu członków sejmu i około 12 generałów. Prezesem tej kommissyji został książę Adam, ale wice-prezesem mianowano Skrzyneckiego, wbrew wszelkim względom przyzwoitości. W wigilię posiedzenia, Prądyński otrzymał od szefa sztabu wezwanie, aby przyjął udział w rzeczonyj kommissyji, i wtedy, kierując się głosem swego sumienia, napisał memoriał, w którym wyłożył cały przebieg wojny i uzasadnił przekonanie, że naczelne dowództwo jest ciężarem zbyt wielkim dla sił Skrzyneckiego. Memoriał powyższy zakomunikował Prądyński księciu Adamowi, ale na sessyji znaleźli się wszyscy w przykrem położeniu, z powodu obecności Skrzyneckiego. W dodatku, naczelny wódz oświadczył, że zabrania swoim generałom mówić cokolwiekbądź nad to, co zostało dozwolonem, i zdołał zmusić tym wykrętnym manewrem Prądyńskiego do milczenia. Sessyja przyjęła nawet obrót męczący i śmieszny; jedyną jej korzyścią było to, że wszyscy generałowie jednogłośnie oświadczyli, że uważają sytuację za bardzo ciężką i że nie pozostaje nic innego do zrobienia, jak tylko wyjść z całą armią na spotkanie feldmarszałka Dybicza, aby mu wydać bitwę przy pierwszem zetknięciu się, zanim się wzmocni nowemi posiłkami. Bitwa owa powinna się stać walką na życie i śmierć obu armii.

Nazajutrz po owej bezowocnej sessyji, Prądyński odstąpił kwatery termistrzowstwo generalne Kołaczkowskiemu, a sam objął dyrekcję nad oszańcowaniem Warszawy. Z tem wszystkiem Skrzynecki nie mógł się obejść bez niego, i wezwał go wkrótce do głównej kwatery, w celu, aby wziął udział w naradach, które się okazały bezużytecznemi, a nawet szkodliwemi. Dzięki też nietaktownemu postępowaniu naczelnego wodza, oświadcza Prądyński, spadła na nas ostatnia plaga, od której dotychczas byliśmy wolni, tchórzostwo. Uciekano z szeregów w głąb kraju i dezercya wkrótce wzrosła ogromnie. Młodzi oficerowie czynili osobiście Skrzyneckiemu gorzkie wymówki i zarzuty; główna kwatera więc była widownią skandalicznych scen, które w końcu przekonały wszystkich, że Skrzynecki nie potrafi dowodzić armią. Nareszcie, powtórna kommissyja, zbadawszy wszystkich wyższych i znaczną część

niższych oficerów, przyszła do przekonania, że Skrzynecki jest niezdolnym, i dlatego odjęła mu wzmiankowaną godność, pozostawiając prowizorycznie naczelną komendę w rękach Dembińskiego.

Nakoniec więc pozbyto się Skrzyneckiego. Prądyńskiemu mogło się słuszenie wydawać, że przynajmniej prowizoryczny wódz podda się jego wpływowi, i w tej nadziei skreślił ryzykowny plan, który jednakże mógł być uwieńczony wielkimi rezultatami. Prądyński postanowił z całą armią debuszować przez Sochaczew i Kocieszow, napaść i zgnieść awangardę pierwszego nieprzyjacielskiego korpusu wraz z jazdą generała Nostitza, a następnie iść dalej, nie zatrzymując się nigdzie, w celu wydania bitwy na lewym brzegu Bzury. Prądyński przyznaje, że polskie wojsko, w razie przegranej, mogło być odrzucone do Sochaczewa, ale z drugiej strony, armia nieprzyjacielska, mając za sobą Bzurę, mogła zostać rozbitą. Było to wielkie ryzyko, pisze autor, ale sprawa znajdowała się w stanie tak rozpaczliwym, że można było zaryzykować wszystko. Wydałem więc rozkazy i ruszyliśmy naprzód. Jakkolwiek Dembiński był mianowany tylko prowizorycznie, jednak zbudziła się w nim nagle ambicja. Obraziło go to, że mu dodano doradców. Zauważono, że naradza się ze Skrzyneckim, któremu zawdzięczał swe wyniesienie, i że obaj do owych narad wezwali jeszcze Chrzanowskiego. Ci generałowie rozbudzili w Dembińskim obawę co do rozpoczętego działania, i tenże odwołał wszystko, czyli dał rozkaz do odwrotu.

Tymczasem rząd, korzystając ze swej prerogatywy, przystąpił zaraz do obioru naczelnego wodza i mianował nim Prądyńskiego przesyłając wiadomość do głównej kwatery w Serokach, gdzie takową deputacya z Morawskim, ministrem wojny, na czele, Prądyńskiemu zakommunikowała. W tej ciężkiej okoliczności, pisze Prądyński, było nad czem się zamyślić. Gdybym chciał wybrać drogę pewniejszą i bezpieczniejszą, mógłbym, opierając się na armii, zażądać rozwiązania sejmu, oraz rządu, pochwycić władzę w swoje ręce, aby pogodzić Polaków z Cesarzem i tym sposobem wyciągnąć z tego jak największe osobiste korzyści, ocalając zarazem swych ziomeków i towarzyszków. Nie miałem jednak czasu na wszystkie te rozmyślenia, musiałem zdecydować się odrazu, i jeden motyw spowodował moje postanowienie. Chciałem przede wszystkim zachować nietkniętą opinię swoją, jako uczciwego człowieka. Tymczasem widziano ogólnie, w jaki sposób występowałem zawsze przeciwko sposobowi prowadzenia wojny przez Skrzyneckiego. Nie mogłem więc teraz objąć dowództwa, nie narażając się zarazem na podejrzenia, iż pracowałem nad upadkiem jego, aby zająć samemu posiadane przez niego miejsce, tak, jak on zrobił z ks. Radziwiłłem. Odrzuciłem więc zaszczyt zostania naczelnym wodzem, bez względu

na nalegania ze strony pp. komisarzy, którzy powrócili do Warszawy.

W kilka dni później, minister wojny wraz z kilku postami sejmowymi przybył znowu do głównej kwatery z powtórnią nominacją Prądyńskiiego na naczelnego wodza, z rozkazem rządu i prośbami tych, o których wiedziano, iż mogli wpłynąć na niego, aby przyjął ten ciężar na swoje barki. Sam Umiński nalegał na mnie — pisze autor — osoby bardzo szanowne nakłaniały mą żonę, aby na mnie wpłynęła, a pomiędzy innymi i czcigodny Kazimierz Małachowski, któremu po mnie ofiarowano to stanowisko, a który wyrzekł się go ze względu na swój wiek podeszły. Niepodobna było więcej się upierać, było-by to już bowiem uporem, a nawet tchórzostwem. Oświadczyłem więc pp. komisarzom, że przyjmuję naczelne dowództwo pod jednym warunkiem, którego łatwo będzie dopełnić. Przedewszystkiem obawiam się generała Krukowieckiego, obdarzonego usposobieniem niezgodnem względem tych, co stoją ponad nim, a który obecnie między nami przedstawia w sobie jedyną władzę i potęgę. Pozwolą więc panowie, iż rozpozniemy od upewnienia się względem kierunku jego postanowień.

Zaraz wieczorem udaliśmy się do generała Krukowieckiego, którego wobec komisarzy zapytałem, czy dąży do objęcia naczelnego dowództwa? „Nie—odpowiedział—bynajmniej“. Mam obowiązki względem Warszawy, i im się poświęcę“.—A więc, generale,—zapytałem—jeżeli ja obejmę dowództwo, czy mogę rachować na pańskie poparcie i posłuszeństwo? — „Daję panu na to słowo honoru“ — odpowiedział Krukowiecki, wyciągając do mnie rękę. — W takim razie, — zwróciłem się do komisarzy. — macie panowie we mnie naczelnego wodza. Noc, podczas której byłem naczelnym wodzem, była dla mnie okropną, czułem bowiem cały ciężar brzemienia i odpowiedzialności, które przyjąłem na siebie. Na niepewność losów rzuciłem nietylko siebie, ale i całą moją rodzinę, z którą przychodziło mi pożegnać się raz na zawsze“. W tej dla Prądyńskiiego tak okropnej nocy, przychodziły mu na myśl różne rzeczy, między nimi najpilniejsze, jak naprzykład: wskrzeszenie karności w armii; ale pozostało autorowi dość czasu i na inne sprawy, które mógł być w zupełności i z pożytkiem dla siebie pominąć. Oto bowiem, co pisze Prądyński w dalszym ciągu o marzeniach swych w tej okropnej nocy: „zastanawiałem się głęboko nad kwestyą, w jaki sposób mogę najszerzej korzystać z zakresu swej władzy, aby stać się zupełnym panem swych czynów i uniknąć oporu ze strony swych rywalów i zwierzchników. Mianowicie egzystencya sejmowa, a nawet rządu, stała mi też na przeszkodzie, i była prawdziwem nieszczęściem wobec tej strasznej ostateczności, do jakiej doprowadza-

no naszą sprawę. Postanowiłem nie zwracać na obie te instytucje żadnej uwagi“.

Dnia 17-go sierpnia, gdy o świcie Prądyński siadł na konia w celu udania się do obozu, a następnie, zrobienia przeglądu korpusów, oraz przedstawienia się wojsku w nowej roli, zatrzymał się po drodze u Dembińskiego, aby odebrać od niego dowództwo. „Zastałem tam generała Krukowieckiego — pisze Prądyński, — obadwaj przyjęli mnie bardzo wyniosłe“. Dembiński twierdził, że on tylko może ocalić sprawę, gdyż posiada ku temu środki i uczynił już w tym względzie niektóre kroki; a więc w podatnej chwili oddawać dowództwo znaczyło-by to samo, co zepsuć wszystko i ostatecznie zgubić sprawę. Krukowiecki ze swej strony hałaśliwie oznajmił, że wprawdzie wczoraj obiecał mi swą pomoc, ale, naturalnie, tylko pod warunkiem, iż mu dam wszystkie środki do utrzymania Warszawy, a wiedział, że domagał się rzeczy niemożliwych. Pozostały mi w tych okolicznościach tylko dwie drogi: albo utrzymać całą powagę swej władzy, albo się jej zrzec zaraz. Przy pewnym wysiłku znalazł-bym w swoim charakterze dość energii, aby opornych nauczyć rozumu, do tego jednak potrzebnymi mi były środki. Tymczasem armia dotychczas nie wiedziała nic o mojej nominacji, a rząd, zamianowawszy mnie, przestał o mnie myśleć. Nawet batalion, stojący na straży przy głównej kwaterze, wiedział tylko o tem, że generał Dembiński jest naczelnym wodzem, a Krukowiecki, któremu chwilowy terror nadał powagę, przybył do głównej kwatery ze swoją eskortą. Do moich nieszczęść brakowało tylko skandalu, jaki-by wywołała walka, może nawet krwawa, między dwoma wodzami armii. Nie mogłem na to się zgodzić, chcąc więc ułatwić rozwiązanie tej kwestyi, bez wahania wyrzekłem się dowództwa i przysięgłem obu jedność i zgodę“.

Zatrzymałem się dłużej nad sprawą złożenia Skrzyneckiego z dowództwa, oraz nad zachowaniem się w tej smutnej dobie Prądyńskiego, albowiem dwa owe wydarzenia rzucają pełne światło na charakter autora memoryału. Dotychczasowy przebieg kampanii przekonał Prądyńskiego stanowczo, iż żaden z generałów polskich nie jest zdolnym do komenderowania całą armią, a co ważniejsza, że żadnemu z nich wygórowane i fałszywe ambicje nie pozwalały ocenić i wykonać dobrych rad, udzielanych przez Prądyńskiego. Chłopicki nie uniał się na nich poznać pod Grochowem, Skrzyneckiego obawa przed śmiałą inicjatywą planów owych doprowadziła do katastrofy. W tym nawet wypadku, w którym się Skrzynecki dał powodować myślom Prądyńskiego, nieudolnym działaniem i połowicznym zrozumieniem planu popsuł całą wyprawę, i zamiast całą armię zniweczyć, przyprowadził za ledwie

jeden korpus o poważne straty. Dembiński także zaledwie otrzymał prowizoryczną komendę, a już mu była niewygodną opieka Prądyńskiego, i pragnął się od niej w zupełności uwolnić.

Doświadczenie zatem powinno było nauczyć Prądyńskiego, że jedynie wówczas może liczyć na wykonanie swych planów, gdy naczelne dowództwo spocznie w jego ręku. Znając zaś jego plany i widząc jego zachowanie się w boju, trudno przypuścić, aby nie pożądał tego szaczonego stanowiska, choćby w imię tego, że słusznie i sprawiedliwie mógł się uważać za najzdolniejszego i najodpowiedniejszego. To samo przekonanie podzielał rząd i sejm, przysyłając mu nominację na naczelnego wodza, a w dodatku, wśród generałów polskich było wielu takich, którzy w jego zdolnościach nadzwyczajnych widzieli jedyną rękojmię zwycięstwa. Na to powszechne i dwukrotne uznanie oraz na dwukrotną nominację odpowiada Prądyński odmową, nasamprzód dlatego, że chce zachować opinię uczciwego człowieka, w przeciwnym razie bowiem można go było posądzić o to, że kopał dołki pod Skrzyneckim, a gdy powtórnie otrzymuje nominację, zgadza się pod warunkiem, że mu Krukowiecki przyrzecze protekcję i łaskę.

W obu tych złowróżbnych momentach trudno zrozumieć, a tem trudniej usprawiedliwić postępowanie Prądyńskiego. W chwili wybuchu rewolucyi nie wahał się złamać przysięgi swemu Monarsze, a następnie, zajmując stanowisko kwatermistrza generalnego armii, zapomina, że jedynym celem, jedynym zadaniem, któremu wszystko poświęcić był winien, to była owa starorzymska zasada—suprema lex salus patriae. W owej stanowczej godzinie, i to bezpowrotnie straconej, zamiast ocalenia publicznego, stają przed oczyma Prądyńskiego egoistyczne, i to w dodatku urojone względy. Kto bowiem mógł nazwać Prądyńskiego nieuczciwym człowiekiem, kto mógł posądzać go wprost o dziecinne pobudki, gdy rząd, sejm i najwybitniejsi, oraz najzaciejsi w kraju mężowie błagali go, aby przyjął nominację urzędową? Nie ulega też żadnej wątpliwości, że podczas pierwszej odmowy, sumienie obywatelskie Prądyńskiego uległo pełnemu odrętwieniu. Nic go nie ostrzegało, że tym lekkomyślnym krokiem powiększa jedynie anarchję i podkopuje powagę rządu za to, że tenże uznał w nim zdolności i zasługi.

Następne przyjęcie naczelnego dowództwa pod warunkiem pozyskania aprobaty i poparcia Krukowieckiego, daje o charakterze Prądyńskiego jeszcze smutniejsze wyobrażenie. Kim-że bowiem był w owej dobie Krukowiecki? Niewątpliwie jedyną władzą i potęgą, ale samozwańczą, i którą terror uliczny wytworzył. Jeżeli więc pierwszą odmową Prądyński osłabiał znaczenie rządu i sejmu, to dru-

giem. warunkowem przyjęciem wzmacniał i krzepił uliczny autorytet Krukowieckiego, o którym zresztą był najgłębiej przekonany, że przyczynić się zdoła jedynie do zaprzepaszczenia całej sprawy. Ową straszną noc, która istotnie była straszną dla kraju, ale bynajmniej nie dla Prądyńskiego, przedstawia nam autor memoryału w sposób, który mu nie zdobędzie szacunku czytelnika. Wśród owych medytacji nocnych nasuwa mu się przedewszystkiem, jako wodzowi naczelnemu, na myśl, rodzina, z którą, nie wiadomo dlaczego, dopiero teraz przychodzi mu się pożegnać na zawsze. Następnie, mając zapewnioną protekcję potęgi ulicznej i terrorystycznej Krukowieckiego, zastanawia się nad nicością rządu i sejmu, dzięki którym został wodzem, i obiecuje sobie w przyszłości nic z nich nie robić. Winienem jeszcze nadmienić, że kilka dni przedtem, zastanawiał się prócz tego nad ewentualnością oryginalnego rozwiązania całej kwestyi, i chlubi się, że mogąc za obfite judaszowe srebrniki sprzedać całą sprawę, jednakże tego nie uczynił.

Ustąpienie z dowództwa, które dwukrotnie z rąk rządu i na zalecenie sejmu otrzymywał, motywuje Prądyński chęcią uniknięcia skandalu, a może i rozlewu krwi między dwoma wodzami. Po tem jednak, co dnia poprzedniego uczynił, rezygnacya jego nabierała pozoru twógi przed Krukowieckim, i wydała się być aktem tchórzostwa przed samozwańczą potęgą, która swoje powstanie i wzrost zawdzięczała terrorizmowi ulicznemu. Niepotrzebnie się zresztą obawiał Prądyński skandalicznej walki między dwoma wodzami polskimi, gdyż mogła być mowa tylko o walce między wodzem a uzurpatorem, w której-by Prądyński miał za sobą wszystkie władze, upoważnione reprezentować kraj, a przeciwko sobie kilku albo zaledwie dwóch niesfornych generałów, których łatwo było w przeciągu dni kilku nauczyć posłuszeństwa i karności. Wreszcie, zaprzysiężenie Dembińskiemu i Krukowieckiemu jedności i zgody wyglądało wobec opinii, jaką Prądyński miał o tych-że generałach, na zaprzysiężenie zguby sprawie, bronionej dotąd zaszczytnie przez siebie. W każdym zaś razie, zły duch natchnął Prądyńskiego w owej dobie. Wypróbował on na sobie trafności orzeczenia Schillera: *Es ist der Fluch der bösen That, dass sie fortzeugend böses muss gebähren*. Pierwsza bowiem odmowa, małoduszna i świecąca nicością obywatelskiego sumienia, zrodziła drugą, hańbiącą, bo zdradzającą tchórzostwo wobec brudnej, ulicznej potęgi, a w dodatku, pozbawioną wszelkiego zmysłu politycznego. Jeżeli też pierwsza odmowa podkopała znaczenie rządu i sejmu, druga rozzuchwaliła samozwańczych potentatów ulicy i zaszczerpiła niekarność wśród ambitnych generałów, czyli, jednym słowem, w miejsce rozwijającej się dopiero anarchii, stworzyła demoralizację wyższych ofice-

rów, rządy ulicznych wielkości i ogólne zwątpienie o możliwości zwycięstwa

Zły duch, który opętał Prądzynskiego, zdawał się od chwili zawarcia sojuszu z Krukowieckim i Dembińskim coraz większą mieć nad nim władzę. Posłuchajmy tylko samego autora memoryału. Najważniejszą, jego zdaniem, była wyprawa przeciwko generałowi Rozenowi, przeciwko któremu miał wyjść cały korpus Ramorina i dywizya kawaleryi rezerwowej, czyli około 20,000 najlepszego żołnierza z 42 armatami. Wszystkie nadzieje polegały na tej wyprawie; w istocie bowiem, należało obmyślić takie zwycięstwo, które-by mogło okupić nawet utratę Warszawy. Rozpoczęto narady nad wyborem wodza. Czuliem, że rozwinąwszy całą energię, można-by odnieść walne zwycięstwo, ofiarowałem się więc na dowódcę. Krukowiecki odmówił, twierdząc, że obecność moja była niezbędną w Warszawie. Pozbawiono mnie tym sposobem możności skorzystania ze wszystkich wielkich szans powodzenia, które los ofiarował wysłanemu korpusowi; z drugiej strony, przeszkodzono mi zapobiedz wielkim błędom, które sprowadziły za sobą upadek Warszawy.

Tymczasem wiadomości, jakie otrzymaliśmy o korpusie Ramorina, oraz jego własne raporty, dowodziły nam, że zdolności jego nie odpowiadały zupełnie owemu przedsięwzięciu, które nie zależało bynajmniej na walczeniu dla przyjemności, ale nakładało obowiązek odniesienia wielkiego zwycięstwa w możliwie najkrótszym czasie. Ks. Czartoryski, który towarzyszył Ramorinie i zdrowo patrzył na rzeczy, pisywał codziennie do generała Krukowieckiego, domagając się, aby mnie tam posłano. Prezes rządu zgodził się na to, rozkazał mi udać się do Ramorina w roli doradcy i dał mi list do księcia z prośbą, aby zechciał być naszym pojednawcą w chwilach, gdybyśmy się z Ramoriną nie zgadzali na jedno. Była to bardzo zła kombinacya. Zobaczymy, w jaki sposób, dzięki jej właśnie, Polacy pozbawili się ostatniej szansy, która na samym końcu mogła była poprawić ich sprawę. Zrobiłem wielkie głupstwo, że przez skromność nie na miejscu podjąłem się takiej roli, tembardziej, że wiedziałem, w jak fałszywym położeniu znajduję się względem Ramorina. Powinienem być oświadczyć, że zgadzam się na wyjazd, ale tylko w roli dowódcy armii. Znajdowałem się w pozycji takiej, że nie mogłem się narazić ani na odmowę, ani na posądzenie o ambicję, gdyż niedawno odmówiłem przyjęcia naczelnego dowództwa, a następnie zmuszony do przyjęcia takowego, złożyłem je dobrowolnie.

Pomimo przybycia Prądzynskiego do obozu Ramorina, wyprawa przeciwko Rozenowi chybiła celem. Nie pozostawało zatem nic innego do

czynienia, jak bez najmniejszej straty czasu ruszyć ku Warszawie, aby być w możności wzięcia udziału w jej obronie. Prądyński nastawał też na to z naciskiem, i gdy na radzie wojennej uzasadniał swe zdanie, przybył adjutant naczelnego wodza, hr. Rzewuski, z wyraźnym rozkazem powrotu do Warszawy. Nie było się więc czego wahać, pisze Prądyński. Gdybyśmy natychmiast wyruszyli, przybyli-byśmy w sam czas, aby wziąć udział w szturmie Warszawy, i nie podlega wątpliwości, że tak świetna rezerwa, wpadłszy niespodzianie na atakujące pułki, mogła-by sprawie udać zupełnie inny obrót.

Ramorino czuł jednak, że tylko z jego winy wymknął się nam z rąk Rozen i Brześć Litewski. Może się wreszcie bał odpowiedzialności, na którą zasłużył. Miał przytem jakąś nadzieję nieokreśloną, że, idąc do Brześcia, spotka odpowiednią do naprawienia swych błędów sposobność. Jednem słowem, stanowczo wypowiedział posłuszeństwo i oświadczył, że nazajutrz wyruszy na Terespol. Wtedy oświadczyłem mu ze swej strony, iż nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za liczne jego błędy i za nieposłuszeństwo, które-by mogło spowodować bardzo ważne następstwa, i że wracam do Warszawy, gdzie nie omieszkać zdać raportu prezesowi rządu. Po oświadczeniu tegoż księciu Czartoryskiemu i Zamoyskiemu, wyruszyłem w drogę.

Jeżeli w sierpniu Prądyński mógł dwukrotnie, objawwszy naczelną buławę, oddać sprawie polskiej nieobliczone pożytki, to za rządów Krukowieckiego trafiała mu się po trzykroć sposobność oddania, na skromniejszym stanowisku dowódcy korpusu, znakomitych korzyści militarynych, które-by mogły dla armii nieprzyjacielskiej być ciosem decydującym. Prądyński nie zdoła przekonać czytelnika o tem, że niemożliwym było dla niego wyożnienie na Krukowieckim powierzenia jemu dowództwa nad korpusem Ramorina. Widocznem jest ze wszystkiego, że Prądyński nalegał słabo, kiedy okoliczności nakazywały mu postawić kwestyę w sposób stanowczy, a mianowicie, że albo on sam podejmie się wykonania planów wyprawy przeciwko Rozenowi, albo poda się do dymissyj, zawiadamiając rząd i sejm o powcdach do tak rozpaczliwego kroku. Prądyński wybrał drogę spokojniejszą i wygodniejszą, ale zarazem pozwolił Ramorinie narobić dużo złego, którego nawet trudno było w zupełności wynagrodzić i powetować. Ale nareszcie trafia się oczekiwana sposobność objęcia komendy korpusu Ramorina. Prądyński i tym razem opuszcza ją, jadąc do armii, jako doradca, a nie jako wódz, rozkazujący Ramorinie. Nie zatrzymuję się dłużej nad tym czynem Prądyńskiego, albowiem on sam nazywa owo znalezienie się wielkiem głupstwem. Nadmienię tylko, że owa spóźniona skrucha nie okupuje bynajmniej błędu, czy winy, albowiem jej na-

stępstwa fatalne wytoczyły nadaremnie najserdeczniejszą krew wojska polskiego.

Trzecią sposobność utracił lekkomyślnie Prądyński, żegnając Ramorina w chwili, gdy ten złowrózby najmita okazał nieposłuszeństwo dla rozkazów naczelnej komendy. Prądyńskiego nie usprawiedliwia bynajmniej owa okoliczność, że był jedynie doradcą Ramorina, a nie zwierzchnikiem. Z listu Krukowieckiego do ks. Adama dowiadujemy się, że Krukowiecki, w razie nieporozumienia między dwoma generałami, uczynił rozjemcą księcia Adama. „En toute extremite faites valoir mon nom et mon autorité; je vous y autorise envers tout, envers chacun“ ¹⁾, pisze Krukowiecki, i z tego okazuje się, że ksiązę Adam mógł rozkazywać Ramorinie, a ulegając zawsze chętnie wpływowi Prądyńskiego, na jego kategoryczne żądanie byłby albo zmusił Ramorina do posłuszeństwa, albo też zawiesił go w wykonywaniu funkcji dowódcy korpusu. Prądyński tymczasem, widząc, że Ramorino gubi nieodwołalnie całą sprawę, ogranicza się na akademickim napomnieniu krąbrnego najmita i, grożąc mu zaskarżeniem, wsiada na pocztę, i podąża do Warszawy. Całe owo zachowanie się Prądyńskiego zdumiewa obojętnością na najważniejsze losy kraju, a zarazem i ową rabulistyczną, czy talmudystyczną skłonnością do usprawiedliwienia siebie wykrętnym sposobem, i do zwalania winy niepowodzenia na obce barki, choćby na księcia Adama nawet, i to za to, że za długo ugaszcział wojska śniadaniem w swych dobrach, chociaż owo śniadanie zjadał spokojnie sam Prądyński, i w owej godzinie nie protestował przeciwko niewczesnemu, a nawet zgubnemu wypoczynkowi. Można też śmiało powiedzieć, że w ciągu jednego miesiąca Opatrzność dała Prądyńskiemu pięć razy sposobność zapisania się w dziejach polskich nieśmiertelnemi zgłoskami; pięć razy zmarnotrawił ową sposobność, gubiąc za każdym razem sprawę, którą on jedynie mógł uratować.

W przededniu szturm nadjechał nareszcie Prądyński pocztą do Warszawy, i wówczas, jak to sam w innym swoim dokumencie wyznaje ²⁾, generał Krukowiecki osądził, iż więcej, niż kiedykolwiek, jest on potrzebny przy korpusie Ramorina. Postanowił przeto, że Prądyński niezwłocznie powróci na poprzednie stanowisko, ale już w charakterze zupełnego dowódcy. Przecież pisze dalej Prądyński—gdy w tymże

¹⁾ Karol Forster. Teka nar. Rys historyczny, poparty papierami generała hr. Krukowieckiego. Berlin, 1873, str. 133.

²⁾ Forster. Teka nar. O zdobyciu Warszawy w roku 1831. Sprawozdanie generała dywizyi, Prądyńskiego, kwatermistrza generalnego itd. itd.

samym czasie odebrał Krukowiecki list od generała Wittta, w którym żądano imieniem feldmarszałka konferencyi dla generała Danenberga z osobą, która-by posiadała zaufanie rządu, generał Krukowiecki wstrzymał mój wyjazd, i wyznaczył mnie do onej konferencyi. Jak widzimy więc, szósty raz trafiała się Prądyńskiemu sposobność objęcia dowództwa nad pięknym korpusem, złożonym z 20,000 żołnierzy i 42 armat, i sposobność ową autor memoryału z lekkim sercem z rąk wypuścił, jawnie się jałowych i bezpożytecznych negocyacyi. Prądyński nie zdołał-by wprowadzić na czele korpusu Ramorina uratować Warszawy, ale mógł-by zniweczyć Rozena, i oddać krajowi jeszcze nieobliczonej doniosłości usługi.

Serce rycerskie jednak, ani obywatelskie sumienie nie wskazały Prądyńskiemu drogi obowiązku, pozostał w Warszawie, którą czekały śmiertelne zapasy z przemagającemi siłami nieprzyjacielskiemi, i zobaczymy, czem się, jako utalentowany strategik i doświadczony wódz, wojskom polskim przysłużył, w ciągu dwudniowego szturm. „Podczas mej nieobecności w Warszawie, z powodu choroby Kołaczkowski, poczyniono zgubne zmiany w rozporządzeniach, tyczących się obrony miasta. Podczas nocnego przeglądu fortyfikacyi, doszedłem do przekonania, że nie można ani marzyć o zmianie rozporządzeń, gdyż to wywołało-by tylko rozstrój kompletny. Zresztą, chcąc to uczynić, trzeba było porozumieć się w mieście z Krukowieckim, gdyż na swoją rękę nie odważył-by się na sprawienie takiego zamieszania. Nie było już zresztą czasu na to wszystko. Wiedziałem doskonale, że pojedyncze reduty, oddalone wzajemnie od siebie o 800 sążni, skazane na pierwszy ogień, nie oprą się burzy, która się na nie zwali. O świcie przybyłem do odosobnionego przed Wolą szańca, № 57, z zupełną pewnością, że nie unikniemy zguby“.

Opisując zdobycie redut, Prądyński świadczy, że oddziały polskie wybite były prawie co do nogi, a oddział, broniący reduty № 54, widząc nieprzyjaciela już wewnątrz i wszelki opór niemożliwy, wysadził się w powietrze, zapaliwszy magazyn prochowy. Spotkawszy się za Wolą z generałem Małachowskim, Prądyński dostrzegł, że należy wesprzeć załogę Woli, ale nie mógł obmyśleć skuteczniejszego środka, nad wysłanie adjutantów do Umińskiego, z żądaniem posiłków. Umiński, zaniepokojony fałszywemi demonstracyami nieprzyjaciela, posiłków nie przysłał, skutkiem czego Wola zdobytą została. O tym smutnym, a zarazem skandalicznym wypadku, pisze Prądyński następująco: „Bronił Woli czcigodny generał Sowiński (który usilnie prosił o wyznaczenie mu zagrożonego posterunku) na czele 1.200 żołnierzy z 12 armatami, co stanowiło niezmiernie małe środki dla utrzymania się w tak dużym forcie, który miał tylko ochrony wzmocnione

palisadą i mało wydatne bastiony. Prócz tego, należy przyznać, że samej obronie zbywało na energii. Wódz i żołnierz okazywali tylko odwagę bierną, to jest, pozwalali się zabijać, nie mieli jednak żadnego zapалу, straciwszy go bezpowrotnie wskutek pięciomiesięcznej nieudolności naczelnego wodza, oraz całej seryi klęsk rozmaitych. Wojska polskie z rezygnacją szły na śmierć, w przekonaniu, że takie tylko może być rozwiązanie całej tragedyi. Rosyianie zaś pędzili do ataku z ogromnym zapalem, z przeczcuciem zwycięstwa. Kolumny rossyjskie, zagrzane powodzeniem, po kilka razy rzuciły się do ataku Woli, i docierały aż do pierwszych domów przedmieścia. Byliśmy tam jednak z Małachowskim i, zebraliśmy wszystkie możliwe środki obrony. Za każdym razem nieprzyjaciel był odparty, ze znacznemi stratami nawet w jeńcach. W dniu tym zabito pode mną dwa konie“.

Ponieważ w drugim dniu szturm Prądyński nie ukazał się na pobojowisku, lecz zajęty był negocyacyami, przeto pozwolę sobie scharakteryzować udział jego w boju pierwszodniowym, który zamyka zupełnie, tak świetnie rozpoczętą i tyle nadziei rokującą, jego karierę militarną. Przenikliwym i doświadczoneym wzrokiem dostrzegł Prądyński wszystkie wady fortyfikacyi Warszawy, które Mierosławski pogardliwie zwał: „kretowiskami“ ¹⁾. We wcześniejszem sprawozdaniu ze szturm Warszawy, Prądyński owo błędne utrzymanie szanów zewnętrznych przypisuje Bemowi ²⁾, Mierosławski znowu Kołaczkowskiemu, ale, pomijając zupełnie kwestyę: kto był winien, nie uległo żadnej wątpliwości, że fortyfikacye owe unieruchomiały i więziły oddziały polskie, czyniąc je tem samem niebezpieczniejszemi dla obleganych, aniżeli dla oblegających. Prądyński, pomimo przeświadczenia o tem, że wojsko polskie, dzięki tym kretowiskom, skazane jest na stratę, nie potrafił jednakże w niczem zaradzić złemu, ani odwlec, czy złagodzić katastrofy. Można do pewnego stopnia przyjąć usprawiedliwienie się autora, że zapóźno było zaprowadzać zmiany, które-by wytworzyły chaos. Drugiego jednak usprawiedliwienia, a mianowicie, że musiał-by się naradzić z Krukowieckim, nikt za godziwe i rzetelne nie przyjmie. Na pobojowisku faktycznie nie było naczelnej komendy, a Prądyński dal dowód pod Grochowem, że umie się znaleźć w podo-

¹⁾ Tom VIII, str. 3.

²⁾ *Forster*, Teka nar. O zdobyciu Warszawy w roku 1831. Str. 207: „(gdy chciano te szanice zburzyć). Sprzeciwił się mocno generał Bem, zapewniając, że według jego doświadczenia, nabytego w obronie Gdańska, szanice te mogą i powinny być bronione. Prosił o dowództwo nad niemi, o wolność urzędzenia ich obrony i zaręczał za ich obronienie“.

bnym wypadku, i że nie zwykł się liczyć z błahym formalizmem, gdy każda chwila grozi zagładą. Zresztą, jak się to w pierwszym dniu szturmie okazało, uważał za naczelnego wodza generała Małachowskiego, i potrafił go przekonać o trafności i nieodzowności swych uwag.

Wolskiej warowni wszakże Prądyński, mimo zgody Małachowskiego, ocalić nie umiał, a jakkolwiek nie on, ale Bem pozostanie w tym wypadku głównym winowajcą¹⁾, to jednakże nie poznajemy już w owej gorącej chwili ani determinacyi, ani przedsiębiorczości Prądyńskiego, których przedtem niejednokrotnie dawał świetne przykłady. Nikt takiego wpływu nie wywierał na Umińskiego, jak Prądyński. Gdyby więc osobiście zjawił się w jego kwaterze i zażądał posiłków, niewątpliwie zjawiłyby się takowe przed upadkiem Woli, i ocaliły-by niewątpliwie warownię, zwłaszcza, gdyby na ich czele przybiegł Prądyński, jak to uczynił w Olszynie grochowskiej, lub pod Iganiami. Niestety, posyłanie adiutantów nie jest środkiem pewnym, ani niezawodnym. W oczach też Prądyńskiego wysadził Ordon redutę, upadła Wola, a on, przypatrując się zdala owym klęskom, zdobył się jedynie na lekceważący sąd o obronach wolskiej fortyfikacyi.

Prądyński nie zawahał się nawet rzucić cienia na bohaterską postać Sowińskiego tem niczem nieuzasadnionem pomówieniem, że razem ze swymi żołnierzami okazywał podczas obrony jedynie odwagę bierną, to jest, że pozwolił się zabić, nie okazując należytego zapału, ani energii w obronie. Pozwolę sobie powołać się na dzieło Mierosławskiego, aby przekonać czytelnika, że w tym wypadku Prądyński rozminął się z prawdą najzupełniej, i że pozwoliwszy zginąć bez pomocy temu hufcowi walecznemu, znieważył ich ciekłe krwią mogiły zarzutem, że nie spełnili należycie żołnierskiego obowiązku. Mierosławskiego praca ma w wielu razach przewagę nad memoryałem Prądyńskiego, chociaż i w niej mieści się dużo zjadliwości i trujących pierwiastków, wypiastrzonych na obczyźnie. Mierosławski jednakże był zbyt młodym i podrzędnym oficerem w roku 1831, ażeby potrzebował naciągać i dostrajać historię gwoli usprawiedliwieniu swego postępowania. Następnie jego historycznej pracy nadaje szczególną wartość okoliczność, którą sam autor przedstawia następująco: „W epizodycznych podaniach, nie pozwoliłem

¹⁾ Forster Teka nar. Przypiski generała hr. Krnkowieckiego, zrobione w roku 1832, w czasie wywiezienia go w głąb Rosyi, do Jarosławia, na komunikowanej mu broszurze generała Prądyńskiego, O zdobyciu Warszawy, str. 135. „Wola, lubo mężnie przez osadę broniona, wzięta została tak prędko z winy generała Bema, którego odchodząc do miasta dniem wprzód, dał był rozkaz, aby żadna bateria w szańcach bez jego wyraźnego rozkazu ruchu nie robiła“ itd.

sobie nigdzie puszczać cugli mojej pisarskiej fantazyi, a tylko jestem referentem wzajem się kontrolujących sprawozdań każdego szefa batalionu i mnóstwa niższych oficerów, przezuwających ze mną przez lat kilkanaście i więcej tę jedyną epopeję ich żywota. Jeszcze niezadowolniony zgodnością opowiadań podwładnych, i, ile możności, ściśle przewertowaniem takowych odnośnie do topografii i chronologii bojowej, o tyle tylko zupełną dałem im wiarę; o ile się dokładnie wstać dają w sprawozdania generałów, jeszcze dłużej i staranniej wybadywanych“ itd. ¹⁾

Niewątpliwie, że przy największej ostrożności i do takiej skrzętnej pracy zakraść się mogą niedokładności; autor nawet uprzedza czytelnika, że się z nimi niezawodnie spotka, lecz pomimo to, dziełu owemu należy dać wiarę, zwłaszcza, że uwzględniło wszystkie źródła rosyjskie, naówczas przystępne. Otóż, podług tychże źródeł, które nie miały najmniejszego powodu robić z Sowińskiego bohatera, obrona Woli nosiła na sobie cechy niezwykłej energii i przedsiębiorczości. Do zwalczenia 1,200 naszych wojowników, nieprzyjaciel musiał użyć dwudziestu kilku batalionów piechoty. Prawie przez pięć godzin nadaremnie się kusili o zwycięstwo generałowie: Neidhardt, Lüders, Berg i Martynow, nadaremnie uderzał z niezwykłą walecznością pułk grenadyerów Suworowa, z Martynowem na czele. Martynowa ugodziła kula, a grenadyerzy wdarli się do warowni, wówczas dopiero, gdy już obrońców nie starczyło, a oczekiwana pomoc z Prądzynskim na czele nie przybyła wcale. Z samych też sprawozdań rosyjskich można nabrać dokładnego wyobrażenia o tem, jak umiejętną i energiczną była obrona Woli. Sowiński potrafił skorzystać z każdej właściwości terenu, czy schronu fortyfikacyjnego, i ani na chwilę nie stracił zimnej krwi i przenikliwości umysłu, która mu pozwoliła chwycić w lot każdą sposobność do przedłużenia obrony. Gdy już grenadyerzy Martynowa wdarli się do szaniców Woli i z dział polskich 11 umilkło, spotykamy Sowińskiego przy ostatniej, a jak Mierosławski powiada ²⁾, „samotnej“ armacie, jak ją z paru kanonierami do ostatniego tchu nabijał i wystrzeliwał na świętą feldmarszałka, która z pod 55 barkanu lornetowała szturm do Woli.

Wreszcie, jak pisze Mierosławski, tłum rozjuszonych grenadyerów zaguiata naszą garstkę, przedzierając się do Sowińskiego, który

¹⁾ Tom VIII, str. 567—8.

²⁾ Tom VIII, str. 97—99.

podniesionym z ziemi karabinem odpiera jeszcze pchnięcia najbliższych. aż nareszcie przesyty kilku bagnetami, chyli się na armatę, lecz, nie mogąc zgiąć drewnianej nogi, przyparł się stojącym trupem do wysokiej lawety, niezłomnym posągim, na ostatniej drzazdze ojczyzny, a z tak groźnym jeszcze spojrzeniem — piszą sami Rosssyanie — że broń okrwawiona zabobonnie wypadła z ręki grenadyerom, co go zakłuli¹⁾. Czytałem też w odpisie list generała Korffa, zawiadamiający generałową Sowińską, która go prosiła o wieść, czy mąż jej żyje, o śmierci obrońcy Woli. Generał rossyjski w lakonicznych, ale żołnierską szczerością nacechowanych słowach zawiadomił wdowę o tem, że mąż jej nie żyje, ale dodał: „wszyscy mu tej śmierci zazdrościmy“.

Jeżeli generał Korff ocenił należycie dostojęństwo i majestat bohaterskiej śmierci, to dla Prądzyńskiego ów trup, stojący na szczudle i oparty na lawecie, powinien był stanowić nietylko wyrzut sumienia, ale przykład i opatrnościową wskazówkę, jak należy spełniać swój rycerski obowiązek, i jak potrzeba w drugim dniu gorącego boju skorzystać z błędów, popełnionych pod Wolą. Prądzyński jednakże nie zrozumiał przykładu, jaki mu dał Sowiński. W drugim dniu szturm porzucił zupełnie walczące w jeszcze niekorzystniejszych warunkach szeregi, zapomniał zupełnie o swem stanowisku militarnem, i o tem, że wojsko polskie pozbawione zostało zupełnie jednolitego dowództwa i kierunku. Podjął się za to negocyacyi i zniewolenia rządu oraz sejmu do kapitulowania, zaszczepiając wszędzie paniczny strach i krzewiąc zamęt, przez co najwaleczniejszym odejmował otuchę i mroził ducha.

Nie będę opisywał zachowania się Prądzyńskiego w drugim dniu szturm Warszawy, gdyż znanem jest ono powszechnie. Nadmienię tylko, że nie usiłował uwolnić się od missyi negocyacyjnej, aby wesprzeć walczących, a do nowego swego zawodu, który niegdyś w Skrzyneckim potępił, zabrał się z takim zapalem, że dał piśmienne zobowiązanie feldmarszałkowi, do czego go Krukowiecki zupełnie nie upoważnił²⁾. Ciekawym jest jednak pogląd autora memoryału na zachowanie się sejmu, któremu Prądzyński nie mógł odjąć odwagi i przekonać, że nic niema do zrobienia, prócz jednej kapitulacyi. Przemówienie Prądzyńskiego do „dostojnych połączonych izb“ było tego rodzaju, że mogło wytworzyć paniczny strach i zupełne zwątpienie. Oto bowiem, jak brzmiał jeden z licznych ustępów, obliczonych na sterroryzowanie sejmu i odjęcie mu resztek odwagi: „Nieprzyjacieli, jak już po-

¹⁾ Tom VIII, str. 99.

²⁾ Forster. Teka nar., str. 239.

wiedziałem, o godzinie I-ej rozpoczyna atak; około wieczora będzie panem szańców; w nocy, kolumny jego, upojone powodzeniem, posuną się w miasto, którego pałace się zwaliska może oglądać przyszła zorza. Żołnierz rossyjski pragnie tego wypadku i rabunku, który-by mu towarzyszył: co więcej, po tem, co widziałem, wnosić muszę, iż nawet niektórzy z wodzów nieprzyjacielskich wcale-by się nie gniewali z upadku miasta, którego zamożność i oświata czynią ich niespokojnymi względem przyszłego kiedykolwiek powstania sprawy polskiej¹⁾.

Temu mrozącemu przemówieniu nie uległ jednak sejm cały. Na nieszczęście — pisze w swym memoryale Prądyński — było kilku posłów, którzy kochali się w długich przemowach i chcieli grać w Polsce rolę Rzymian. Ci panowie, jeśli chcieli dowieść swej odwagi, mogli jej dowodzić z bronią w rękach na okopach miasta. Spakowali jednak swoje manatki i gotowi byli do ucieczki w każdej chwili, gdy bezpieczeństwo ich osób bardzo było zagrożone. Przy obecnym stanie cywilizacyi, bardzo łatwo zabłysnąć wspaniałemi frazesami na trybunie, mamy do tego gotowe formuły; trzeba mieć tylko pamięć wyćwiczoną, aby ich użyć stosownie do okoliczności. Czynem tylko można dowieść odwagi w chwilach ciężkich, i ci panowie myślą się, jeżeli sądzą, że byli wówczas odważni. Mieszkańcy warszawscy ani myśleli iść za przykładem Saragossy, albo Moskwy, gdyż to nie przyniosło-by nikomu żadnej korzyści. Cały sejm podzielał te uczucia, z wyjątkiem trzech, czy czterech indywiduów. Nieszczęście mieć chciało, że przypadek pozwolił im sparaliżować wydane już postanowienie ogólne. Na ich czele stał p. Bonawentura Niemojowski¹⁾ itd. Dalsze paradoksalne, a nawet niezupełnie prawdziwe wywody i uzalania się Prądyńskiego możemy pominąć, zaznaczając, że opóźnienie szturm do godziny drugiej, wbrew woli dwóch generałów rossyjskich i gwałtowności samego Krukowieckiego, przypisuje sobie Prądyński, jako zasługę obywatelską, która pomogła do ocalenia miasta. Wspomnienie tego czynu — pisze Prądyński — pozostanie mi pociechą na całe życie.

Poprzednio pomówił Prądyński najniesprawiedliwiej i głośno — wojsko polskie o tchórzostwo, za to, że się miały ujawniać pojedyncze wypadki zbiegostwa, i to nie podczas bitwy. Zapomniał dodać autor memoryału, że przyczyna owego zbiegostwa leżała w pokojowym usposobieniu Skrzyneckiego, którego żołnierz polski posądzał o to, że się rozmyślnie bić nie chce z nieprzyjacielem, i dlatego też służbę swą uważał za zupełnie zbyteczną. Obecnie, krytykując postępowanie po-

¹⁾ Forster. Teka nar, O zdobyciu Warszawy itd., str. 217.

słów opponentów, zarzuca im brak żołnierskiej odwagi, i to, że pakowali manatki, aby uciec na Pragę. Zapomniał jednakże dodać, że istotnie pakował cały sejm manatki, ale dlatego, że rozeszła się wieść, iż Krukowiecki zamierza oddać cały rząd i sejm w ręce nieprzyjacielowi, a w takich gorących chwilach trudno sprawdzać pogłoski i zastanawiać się nad ich prawdopodobieństwem. Obciążając posłów zarzutem braku odwagi i lubowaniem się we frazesach, kiedy jedynie czynem można było stwierdzać męstwo, Prądyński zapomniał o wielu innych, i to ważnych, rzeczach. Zadaniem i obowiązkiem izby poselskiej, oraz całego sejmu, nie było zajmowanie stanowiska i wypełnianie czynności prostych szeregowców. Posłowie winni byli stać na straży dobra i ocalenia publicznej sprawy i odczuwać ducha, który przedewszystkiem ożywiał wojowników nieutrudzonych i niezłamanych. Obowiązkiem ich było podnosić serca, a nie zatruwać je zwątpieniem i trwogą. Prawdą jest, że mowa Prądyńskiego mogła zachwiać przekonaniem i najmężniejszych, ale sejm nie poprzestawał na informacjach generała - dyplomaty, który obleciał tchórzem, miał on relacje nieustające z pobojowiska, które nieco inaczej brzmiały, aniżeli dzwoniące zębami wyznania Prądyńskiego. Dawał więc im przedewszystkiem wiarę, i uczuwał w sobie tego samego ducha i to samo mężne serce, które ożywiało walczących rycerzy. Wymagając od posłów służby wojskowej, zamiast frazesów, czy się Prądyński zastanowił na chwilę nad tem, co on w owej gorącej i rozpaczliwej godzinie ofiarowywał krajowi w miejscy wojskowej służby, do której był obowiązany?. A przecież jego przemowa do połączonych izb nie była niczem innym, tylko frazesem, w którego każdym słowie, każdej literze, czuć było dreszcz trwogi, febryczną trzęsionkę przerażenia i sparaliżowanie woli wobec samego widma zbliżającego się szturm.

Prądyński przypisuje sobie zasługę ocalenia Warszawy i to wspomnienie ma mu być pociechą na resztę żywota. Nadmienić winnem, że przewidywane przez niego zburzenie Warszawy było bardzo problematycznym, a było-by niemożliwym, gdyby, zamiast uprawiać dyplomatyczną sztukę, stał był na czele, a przynajmniej wśród szeregowców, które z niewyczerpanem i niezachwianem męstwem broniły miasta, aż do nocy drugiego dnia szturm. Prądyński szczyci się z obywatelskiej zastugi ocalenia murów i kamienic miasta, ale nie poczuwa się do tego, że zgubił sprawę, która ociekła krwią tysięcy jego towarzyszków, opuszczonych przez niego w najuporniejszych i najrozpaczliwszych walkach. Nie przesądzam bynajmniej, ale w każdym razie pozwalam sobie wątpić, czy w przyszłości historia przyzna ową zasługę Prądyńskiemu, którą on sobie anticipando i samowolnie arrogował.

Prądyński, opisując drugi dzień szturm, w którym wcale nie brał udziału, przyznaje, że kilku generałów rossyjskich i nawet sam feldmarszałek musieli opuścić plac boju; dalej, że wojska, szturmujące do Królikarni, były kilka razy mężnie odparte przez Andrychiewicza, i że pułk czerwonych huzarów gwardyi został w zupełności zniesiony. O Krukowieckim wreszcie pisze Prądyński, że nie zdoła nigdy oczyścić się z winy, że nie pokazał się nawet na placu boju w chwili, gdy krew wojska, którego był szefem, płynęła strumieniami, jak również z tego, że przez uniesienie, które-by nie było do wybaczenia nawet w młodziku, porzucił ster rządu w chwili najkrytyczniejszej. Imiona jego, oraz panów Władysława Ostrowskiego i Bonawentury Niemojowskiego, z powodu czynów, w tym dniu dokonanych, figurują na ciemnych kartach dziejów polskich.

Że Prądyński pomiął w zupełności bohaterskie zachowanie się Bogusławskiego na cmentarzu ewangelickim i Andrychiewicza między folwarkiem Ś-tokrzyskim a rogatką Jerozolimską, nie należy się temu dziwić; nie chodziło mu bowiem wcale o oddanie sprawiedliwości wojsku polskiemu, lecz o wykazanie, że sprawa w tym dniu była nieodwołalnie zgubioną i zaprzepaszczoną. Sąd swój, dotyczący Krukowieckiego, zaostrzył jeszcze Prądyński późniejszymi czasy. W pracy pod tytułem: „Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historii“, oświadczył on dosadnie, że postępowanie Krukowieckiego, przy rozprzężeniu całej sprawy, było czynnością prawdziwego waryata, a nawet tchórzeza ¹⁾. Niestety, w tych bezwzględnych słowach zawarł Prądyński po części ocenienie swego własnego postępowania w drugim dniu szturm. Nawet, otwarcie mówiąc, odpowiedzialność i zarazem wina jego jest o tyle większą, o ile były większemi jego zdolności strategiczne i świetniejszemi jego przymioty bojowe, zalecające go na naczelnego wodza. Wiedział o tem Prądyński, że wojsko w nieodpowiednich fortyfikacjach i bez jednolitego kierunku zginąć musi, widział, że Krukowiecki zapomniał o swych obowiązkach wodza, i zdobył się jedynie na missyę dyplomatyczną, do której nie był powołany, i która nie leżała bynajmniej w sferze jego obowiązków.

Oświadczone już dawniej, że wśród walki ze wszystkich przypadkowych darów bogini wojny najrzadszym jest genialny wódz ²⁾; otóż mo-

¹⁾ Str. 91.

²⁾ *Woidé*. Die Ursachen der Siege und Niederlagen im Kriege, 1870, títom Klingender. Tom I, str. 329. „Von allen Gluckszufällen im Kriege der seltenste (sagt general Leer ist ein genialer Feldherr“.

żna bez przesady powiedzieć, że takiego wodza posiadało wojsko polskie w 1831 roku, co więcej, uważało go za swego duchowego naczelnika, i nie opuściło go nigdy, gdy je prowadził w ogień, a ten wódz stracił serce rycerskie, gdy ono biło młotem w bohaterskich piersiach wojowników, i bawił się w dyplomata, zamiast elektryzować żołnierzy swą obecnością, i zaprowadzić ład, jedność i spójnię w owej bezprzykładnie chaotycznej obronie. Do niego też ostatecznie, a nie do wojska polskiego, można stosować hańbiące słowa Tyrteuszowej pieśni: „miecze były wśród was, a serca brakło wam“. Bezwzględny sąd Prądyńskiego, piętnujący Ostrowskiego i Niemojowskiego, zanadto jest przepełniony gniewem, żółcią, a nawet zgryzotą, aby mógł kogokolwiek przekonać. Mniemam, że owi mężowie, potępieni tak surowo, poczuli się sami zarówno do błędów, jak i do win, ale działali w najlepszej wierze, i na usprawiedliwienie swoje mogli przytoczyć bardzo wiele łagodzących okoliczności. Jeżeli też kto, to Prądyński, nie miał prawa piętnować ich pamięci, nie przypadała mu w żadnym razie rola sędziego, ale podsądnego, który na łagodność i litość sądzących mógł liczyć, jedynie przypominając Grochów, Iganie i Ostrołękę.

Zdaje się, że przytoczone uwagi zdołają przekonać czytelnika o tem, że namiętności polityczne przygłuszały w memoryale Prądyńskiego ducha sprawiedliwości i prawdy. Przedtem napisał on sprawozdanie „O zdobyciu Warszawy w roku 1831“, w odpowiedzi na „Raport ministra spraw zagranicznych“, czytany na posiedzeniu izb połączonych dnia 11 września 1831 roku, który to raport Gazeta Zakroczymska wydrukowała. Jaki ton panuje w odpowiedzi Prądyńskiego, można się przekonać z kilku wyrażeń, zamieszczonych na początku, które brzmią, jak następuje: „Raport, przepełniony fałszami, które i prawdziwość historyczną kaleczą, i mój honor szarpia; winienem historyi, winienem samemu sobie, powstać przeciwko tak błędnemu dokumentowi, jakoż oświadczam głośno i uroczyście, iż wspomniany raport ministra spraw zagranicznych, Teodora Morawskiego, jest potwarczy, złośliwy i napełniony kłamstwami“.

Po takim wstępie, trudno przypuszczać, aby w sprawozdaniu panowało poczucie sprawiedliwości w sądzie a przedmiotowości w zbadaniu faktów. Co jednak dziwniejsza, że nawet generał Krukowiecki, gdy mu zakomunikowano sprawozdanie Prądyńskiego, dostrzegł w niem przeistoczenie tendencyjne faktów, domagając się ich sprostowania ¹⁾. Memoryał wszakże, przeznaczony dla Monarchy, pisany był

¹⁾ Forster. Teka nar., str 231.

w Gątczynie, gdzie Prądyński miał czas na uspokojenie się i opamiętanie duchowe. Autor zdawał się odczuwać potrzebę równowagi, spokoju i dyskretności, ale dobre zamiary spełżyły na niczem. W memoriale panuje rozstrój duchowy, ratujący się paradoksalnością rozumowania, sprzecznościami w dowodzeniu, rabulistycznymi wybiegami i brutalnością wyrażenia, a co najboleśniej, nieubłaganem potępieniem jednych, a lekceważeniem bohaterstwa drugich, co się tłumaczyć da jedynie pragnieniem stłumienia wyrzutów sumienia i chęcią zepchnięcia win własnych na cudze barki. Pozornie jednak panuje w memoriale zupełne zadowolenie z siebie i samozwańcze przyznanie sobie obywatelskich zasług. To samo spotykamy w „Przypiskach“ generała Krukowieckiego, który, potępiając nawet Dembińskiego, za to, że zgubił Wolę, zapewnia, że czynił wszystko, co mu radziła miłość ojczyzny, i że snmienienie żadnego mu wyrzutu nie robi ¹⁾. Pobratymcze dusze w dniach szturm Warszawy odszukały się znowu w swych memoriałach, spokojne, niepoczuwające się do win, i wieńczące się własnoręcznie obywatelską zasługą; ale za to nieubłagane w sądzie o swych towarzyszach, pełne katowskiej, a nie Katonowskiej, dla nich surowości.

A. REMBOWSKI.

¹⁾ *Forster*. Teka nar., str. 135. Pomawiając o zaspianie sprawy Dembińskiego, Krukowiecki zapomniał o drobnym szczególe, a mianowicie, że przed szturmem Woli, Dembiński otrzymał ciężką kontuzję, która go na kilka godzin pozbawiła zmysłów.

CYWILIZACYA I JEZYK.

Szkice z dziejów kultury polskiej.¹⁾

I.

Gwarno w wązkich i ciemnych ulicach starej Pragi; ciasno w szczupłych a ponurych lektoryach; z półmroku kościołów wypływają strojne i barwne tłumy różnojęzykowe na miejsca otwarte; porywane tu ognistemi słowami Niemca Waldhausera, albo Czecha Milicza, wzruszone i skruszone, ślubują odmianę i poprawę, zarzucenie barw i strojów, przyrzekają miłosierdzie ubogim i upadłym. Scena taka powtarza się nieraz, jeden z objawów wrącego w mieście życia.

Już od końca XIII-go wieku przedstawiała Praga środowisko umysłowego ruchu, wzbudzanego ścieraniem się różnorodnych prądów, wzrastaniem dobrobytu materyalnego i znaczenia politycznego; lecz jakżeż potężniał ten ruch od bezpośrednich związków z najcelniejszemi ogniskami kultury średniowiecznej, z Paryżem i Oksfordem, z krajami nadreńskimi i włoskimi, to jest od czasów Karola luksemburskiego,

1) Patrz zeszyt czerwcowy, str. 385 — 420.

ojczyzna dla Niemiec, ojca dla Czech; od założenia Studium Generalnego, przeznaczonego wprawdzie dla krajowców, ściągającego jednak, jak Studium paryskie, klejnot Francji, krocie młodzieży z Czech, Niemiec i Polski, nieuszczerplonego bynajmniej świeżem urządzeniem Studyów wiedeńskiego i krakowskiego, chylących się natychmiast po założeniu ku czasowemu upadkowi.

Pomijamy artystyczne, humanistyczne i inne objawy ruchu tego; górująca w nim średniowieczyzna dążyła ku zagadnieniom religijnym. Jeszcze nie wyla mywał się ten ruch z pod powagi Kościoła, poddawał się szczerze jego sądowi, lecz coraz śmieiej i silniej napadał już na wszelkie nadużycia, szczególnie w życiu duchowieństwa i w gromadzeniu jego dóbr; wołał coraz głośniej o reformę, o zaspokojenie sumień potrwożonych przerażającą ilością zła, wyrodzonego z życia średniowiecznego, gdzie obok przepowiadanej słowami askezy i ciągłego *memento mori*, bezwzględne używanie, ciągle *memento vivere*, zdawało się przytłumiać wszelkie porywy myśli i czucia chrześcijańskiego na zawsze. Tak zbierały się powoli materyały palne; niebawem wybuch ich miał zalać ziemię czeską morzem krwi i ognia, gdy z przeciwieństwami religijnymi zlały się narodowościowe i społeczne.

Czarodziejskim musiał być wpływ, który taki ruch i życie wywierały na Sandomierzanie lub Mazurze, przybyłym do Pragi dla studyów. I snuł się nasz Stanisław, z początku nieco oszołomiony tem wszystkim, później coraz śmielszy, w *tabardzie* i długiej *hazuce* (sukni) po lektorych i kościołach, roznamiętniał się w sporach teologicznych: czy należy często przyjmować sakrament ołtarza, czyli nie; czy w cudach, jakie w Wilsnaku na Marchii za zjawieniem krwi Pańskiej się działy, gdzie to napływający zewsząd pątnicy grzechy swe na wielkiej wadze zbożem, bydłem lub woskiem odważali, nie kryło się więcej przesądów i szalbierstwa, niż wiary i skruchy; czy taki jubileusz, świeżo Pradze nadany, z licznymi a drogiemi indulgencjami, nie zakrawał raczej na wyludzanie grosza; a w sporach tych, rozstrzygali nieraz rodacy, np. Mateusz z Krakowa, jeden z najsłynniejszych teologów studium praskiego. Stanisław jakby między swymi; przesiąkał czeszczyzną, nazbierał piosneczek żakowskich, religijnych, politycznych; wracał do domu z przepisem „postylli studentów praskich“ (Waldhausera), z traktatami Rankonis, Mateusza Krakowskiego, Husa, a może i samego Wiklefa. Cóż za dziw, że, każąc później polskiej gminie, w duchu czeskiej reformy wzywał, aby świeccy przełożeni nadużycia duchownych karali; że zaśpiewał na czeski ład polską pieśń o Ciele i Krwi Pańskiej, której świeckim niegodnie bronią; że liczne czeskie terminy, nie tylko teologiczne, ale i pospolite, wplatał w swą polszczyznę. Tak np. powie on dosłownie: „oto tłuszcze te trzy dni i więcej za Chrystusem chodziły, a nasi

bumbacy (praski wyraz, pijacy!) boją się, aby im nie skłąsł brzuch i omijają kazanie.... niech słyszą i straszą się tem *tatrmami* (kuglarze,—czyż gmina polska słowo to rozumiała?) dzisiejsi ludzie, zamiast słuchać słowa bożego, przechodzą raczej na *frywołty* (hulanki) do karczem, na tańce“. Więc napoły z czeska będzie gromił *świętokradztwo*, *złoczyństwo* (niecnotę) itd.; będzie rozprawał o *podstacie* (substancji), o *istocie* (eksperyment) itd. Inni Stanisławowie całkiem w Czechach grzęźli, wyrobili nawet w końcu nowy typ czeskopolskiego duchownego, fanatyka nieraz i nieuka równocześnie, którego i czeski katolik z niechęcią wspominał.

Nowy obraz przedstawia się oczom naszym. Gdy hufy Zygmuntofskie zalewały kraj, paląc i mordując, nie szczędząc nawet dzieł w łonie macierzyńskim, porwał się naród do broni, otrząsł się z napastników, odpłacił ich najazdy groźnemi wylewami na zewnątrz, do Łużyc i Marchii, i włożył się cały nietylko w teologiczne, ale i nowe rzemiosło wojenne: wyrobił się niebawem na doskonałego żołnierza; spustoszona ojczyzna już rychło nie mogła go wyżywić, więc niedawny „wojownik Chrystusów“ przemienił się w najmitem, służącego i znienawidzonemu sobie Niemcowi (choć pierwotnie nie przeciw, Słowianom; Czechów, co się tego dopuścili, palili własni bracia) i spokrewnionemu z sobą Polakowi. W zaciągach *Żyżki*, *Giskry* lub *Czerwonki* stawał Czech z *kapalinem* na głowie, ze zbroją *jezdecką*, *kolczą*, *kopieniczą*, z *rucznicą* (róśnicą) lub *piszczalą* (pistoletem), włożony w sztukę *Otabowania się*, wyćwiczony, karny, pod *hejtmanami*, posłuszny *hasłu*, wychodził na *harce*, *kopiennicył*, a po *walnej* bitwie *chałpował* (rabował) niemiłosiernie, w czem go jeszcze prześcigali *drabi* i *luzacy*, przepełniający każdy obóz. Z czeskiego uzbrojenia przedostały się wraz z rzeczą i nazwy do dawnego słownictwa obozowego, więc *huczzące działa*, *hakownice* i *polhaki*; *kutrygały* (rodele, puklerze); *szefeliny* (spisy) i pięciolokciowe *rohatory* (włócznie); *szarszuny* (miecze), *koncerze*, *burderze* (bunderze) *koczpergały* (szpady); *delki* (sztylety), *krupierze* (na koniu, pod *masztalerzem*) itd.; wszystko nieforemne, zbyt ciężkie, przygniatające jeźdźca i konia, nieocenione zato w ręcznych zapasach, w zwieraniu się nielicznych, lecz bitnych rot. Od rot tych i hufów szerzyły się naturalnie i wyzwiska: *szelmę* np. wzięliśmy z czeskiego, nie z niemieckiego, dalej *frant*, *fryjerz* itp., i przysłowia różne (zmyć bez ługu, warzyć piwo ze strzechy itp.), trącające rubasnością, ale i otwartością, szczerością obozową, ową słownością, jaką Czech w Polsce słygał.

Niezapominajmy jednakże, że, prócz czeskiej zbroi i taktyki, ceniono dalej, jak i dawniej, czeskie książki (rękopisy). Posiadał je np. król Zygmunt w wileńskiej bibliotece (biblię i dzieło św. Jana Złotoustego), jak je niegdyś posiadała królowa Jadwiga, której cała biblioteka

wymieniona przez Długosza, raczej czeską niż polską się wydają; r. 1519 przepisał p. Piotr Pilecki na Rabsztynie (w Krakowskim) czeską Wojnę Trojańską; niejeden cenny rękopis czeski przechowały do dziś nasze biblioteki, nietylko biblie, kazania (w Dzikowie), modlitewniki (we Lwowie) itd., lecz i epepeje, i poezye czeskie, które bez śladu we własnej ojczyźnie zaginęły. Pierwsi czescy księgarze liczyli stale na zbyt towaru i w Polsce; autorowie przypisywali dzieła polskim mecenasom; rzeczywiście, jeszcze dzisiaj zrozumie Polak łatwiej religijno-filozoficzny język Tomasza Szczyteńskiego, niż język filozoficzny p. Durdika, łatwiej rymowaną kronikę czeską (z początku czternastego wieku), niż historię Palackiego lub Szafarzyka,—cóż dopiero w latach, o których mówimy. I okazuje też wszędzie ówczesny Polak poufałość z terminologią czeską, jego *grodozierzcy* (kasztelani), *chlebojedzcy* (słudzy domowi), *chorągiewni panowie* itd., choć brzmią czysto po polsku, wywołane są czeskim wzorem. Tak-to starsi w kulturze bracia wpływali na młodszych.

Jakżeż przyszło do tej kultury i do tego wpływu? Przecież już w trzynastym wieku mogło się zdawać, że Czesi pod rodzimą dynastją wynarodowią się doszczętnie, jakby jacy Pomorzanie lub Rujanie; królowie i magnaci popierali w zawody napływ obcego żywiołu; pod dworach, grodach i wsiach otaczali się niemieckimi singerami; panowie przezywali swe zamki (a od nich nieraz i swe rody) Rozenbergami, Waldsteinami, Hazenburgami itd. Lecz podobny proces, w innych warunkach, wydał też wręcz przeciwnie rezultaty: co Pomorzanie wynarodowilo, posłużyło Czechom do wzbudzenia i wzmocnienia własnej narodowości, do przejęcia się kulturą zachodnią, a tem samem do wyniesienia się na czoło słowiańskiej cywilizacji średniowiecznej. Ziemia była przedewszystkiem bogatsza i większa, skupiona około jednego rodu i grodu, od wieków chrześcijańska, a położeniem bardzo obronna; więc zawisłość od Niemców nigdy zbyt ciężko nie mogła: okupywano się uznawaniem zwierzchnictwa i wcieleniem do Rzeszy, nie pozbywano się poczucia odrębności; samowiedza narodowa obudziła się wcześniej, niż gdziekolwiek indziej. Taksamo było z literaturą; niemiecka służyła jej za wzór, naśladowano epepeje, kroniki, legiendy, liedy, misterya; lecz formy obce przesiąkały nowym duchem, antagonizmem narodowym (tak jaskrawym np. w kronice rymowanej lub w Ezopie), dążeniem patriotycznym. Obok literatury świeckiej zakwitła i religijna, w pieśniach pobożnych, w przekładach, już od trzynastego wieku, wnosząc się w Tomaszu Szczyteńskim do głębokich rozmyślań nad pięknem i dobrem, nad światem, człowiekiem a Bogiem. Tak-to pojętni uczniowie Niemców wyprzedzili innych Słowian na każdym polu: obyczajowem, umysłowem i społecznem.

Skorzystali z tego najpierw Polacy, bliskością geograficzną, o wiele większą etnograficzną, związkami dynastycznymi, stosunkami politycznymi (choć nieraz wrogimi) dawno z Czechami spajani. Stosunek ten uwidocznił się najdokładniej w literaturze; gdy się bowiem nakoniec obudziła potrzeba pisma polskiego, ksiąg polskich, pieśni polskich, ciągłość pracy umysłowej, jakąśmy w rozwoju średniowiecznym nieraz zauważyli, oddała znakomite usługi: gotowe wzory czeskie języka i pisowni, wyrażeń i form stylu i treści, naśladowano w pierwocinach pracy umysłowej polskiej, ułatwiano sobie tym sposobem zadanie znakomicie, zachęcano się do prób coraz większych i samoistniejszych,

Początkowo bowiem zależność od wzoru czeskiego bywała bardzo znaczną, niemal gorszącą. Wprawdzie nie groziło niebezpieczeństwo, że czeski język literacki przygniecie polski, że powtórzy się w zachodniej słowiańszczyźnie zjawisko południowej i wschodniej, gdzie język literacki (ale zarazem i cerkiewny) narodowe języki przez całe wieki z literatury wykluczał. Coś podobnego, choć w drobniejszych o wiele rozmiarach, powtarzało się u nas w XIV i XV wieku. Posiadamy np. pieśni kościelne, niby polskie, w istocie jednak czeskie, albo co najmniej w języku mieszanym pisane. Np. czytamy w starej pieśni o św. Dorocie: bohu służyła, slibując (ślubując) bohaetwa mnoho złato kamienie draho... tot je welmi (bardzo) tepechu (bili) aż potoci teczechu itd. Jeden z tłumaczy psalterza brał żywcem czeskie formy wzoru; tłumacz biblii również gorliwie z czeskiego przekładu korzystał. I fakta te nie są odosobnione, ani też urywają się z XV wiekiem; najdawniejszy druk polski, coś w rodzaju biblii dla „pauprów“, odzywa się, takąż polskoczeską mieszaniną; jeszcze w połowie XVI wieku pisarze teologiczni świadomie używali terminów czeskich, uzasadniając ich wybór argumentem, że „Czesi są pirwszy niżeli Polacy w tłumaczeniu biblii itd.“ (Hieronim Malecki *postilla domowa*, 1574 r.) Seklucyau, władający znakomicie językiem polskim, gdy w przekładzie ewangelii mniej zwykłych form używał, ostrzegał o nich czytelnika, aby go nie posądzano o czeszczyznę („tam niektórzy drugiego Czechem od Czerwieńska — t. j. niedoszłym — ochrzczą“).

I tak powtarza się ciekawe zjawisko (wniesione w roczniki nie dziejowe, lecz w językowe), że, jak w dziesiątym wieku polskie chrześcijaństwo przybrało szatę językową czeską, tak od r. 1350—1559 język literatury religijnej (a główny dział literatury był właśnie religijnym) wedle czeskiego się kształtował. Tylko nie szedł w ślad za wszystkimi fazami; w pisowni np. nie przyjął jednolitości, wprowadzonej przez Husa, lecz został przy dawniejszej mieszaninie znaczków, tak, że i dziś jeszcze piszemy cz, rz; ale ž, é, ž, ň, ale cie, zie, nie itd., więc te same brzmienia oddajemy w dwojaki, mieszany sposób, jak niegdyś i Czesi, zanim Hus tę niekonsekwencyę usunął.

Naturalnie, nie ograniczały się wpływy czeskie literaturą religijną lub umiętną, której terminy Polacy stale naśladowali. Przewaga królestwa Karolowego nad skołatanem Kazimierzowem, a Pragi nad Krakowem, dążenia Kazimierza do podniesienia dobrobytu i ładu, późniejsza przewaga wojenna Czechów, o której już mówiliśmy, sprawiały, że szerzyły się w Polsce czeskie porządki w państwie, mieście i obozie, a z niemi wzrastała coraz przewaga samego języka. Czeszczyzna uchodziła jeszcze na dworze Zygmunta Starego za gładszą, wykwinniejszą, pieszczotliwszą; chętnie popisywał się Polak, choć w Czechach ani bywał, czeskiem słoweczkiem, doma i u dworu; jeszcze dworzanin Górnickiego (r. 1566) poświadcza to i ubolewa nad tem. Przykładów dostarczy nam choćby Rej, ów zawolany ojciec piśmiennictwa polskiego.

Miewał on nieraz pesymistyczne poglądy na język rodz my, np. gdy twierdził, żeśmy „język swój, acz też nie bardzo foremny, tak byli zatłoczyli a zaniszczyli, żeśmy mu (go) czasem sami właśnie nie rozumieli“. Czuł się więc uprawnionym pomagać sobie zasobami czeskiego języka, jedyne obcego, jaki (prócz łaciny) posiadał, wypełniając *anticipando* program, który później Dworzanin, dla rozumnego wzbogacania „nieforemnej“ mowy polskiej, stawiał; tylko że Rej nieraz, i to bez najmniejszej przyczyny, ot tak sobie, dla gustu i mody, wszelkie granice przekraczał. Rozumiemy np., że zażyje czeskich terminów *blahy*, *burda*, *ładarstwo*, *pokryciec*, (obłudnik) i innych, że powie *czeski kolucik*, *zahrada* zamiast ogród; ale poco pisze np. *ohromny*, *hruby*, *prazen być czego* (zamiast próżen; znaczy minąć, zbyć się czego), *tesar* (por. *tesaczek*) zamiast cieśla, *kulliac* (kuleć), *złotopław*, *hońca*, (gońca), *brana* (brama), *kraszczy* (piękniejszy) i tyle innych. W Postyli jego, słów czeskich, owych *pochwilek*, *pożartków*, *pokrytstw*, *pochtubek*, owych *burzyców*, *spółków*, *upetnych*, *zamulków*, *istot* (zapisów), *powyszszeności*, itd. tyle jest, że mimowoli pytamy, czy nie posługiwał się w niej Rej czeskiemi źródłami? moment, na który dotąd nie zwracano żadnej uwagi.

Inni znowu wprowadzą czeskie słowa dla żartu, z fantazyi, gdy im rymu zabraknie, np. jeśli Kochanowski dla komicznego efektu pisze „kiedy w pytlu *hrosza neni*“; Klonowicz obok czeskiego terminu położy choć na boku karty polski. Tym sposobem wkradają się do polszczyzny czechizmy, i bez żadnej potrzeby, i niczem nie uzasadnione.

Zapyta jednak czytelnik: po czem to poznać czeskiego właza (intruza)? Niemieckich rozpoznać i wyłączyć nie bywa zbyt trudnem; język odmienny, więc słowa zdradzają się natychmiast obcym dźwiękiem lub przynależnością do rodzimych pni niemieckich czy do romańskich; czeski zaś język tak jest zbliżony do polskiego, że i badacz nieraz

zawaha się, czy tożsamość polskiego i czeskiego słowa wyprowadzać ma ze wspólnoty polskoczeskiej, czy z równoległego, samoistnego rozwoju w obrębie każdego z tych języków z osobna, czy z prostego zapożyczenia.

Są przecież cechy, które czeską narodowość właza zdradzają. Mimo ścisłego pokrewieństwa, wiążącego oba języki, zachodzą między niemi i znamienne odrębności: my mamy np. brzmienie *g*, Czesi tylko *h*; my nosowe *ą*, *ę*, oni *u* lub *ie*, *a*; my zmiękczymy *t*, *d* na *ć*, *dź*, zmieniamy *ie* na *io* lub *ia*, oni zachowują *t*, *d*, *e*; my mamy *ł*, *ro* w pewnych razach, oni *la*, *ra* itd. Parę przykładów rzecz objaśni. Polskimi są słowa *gardzić* (*gardzina*, bohater, w dawnym języku), *ganić*, *goły*, itd., lecz nasze dublety z *h*, *hardy*, *hańba*, *hołota* itd., *hrubia*, *hojny*, *ohydny* itd. wykazują wpływ czeski tem samem *h*. Polskim był *Więclaw*, (więcej sławny), czeskim jest *Wacław*; *smętek* *smęcił* niegdyś Polaków, dziś *smutek* *smuci* ich i Czechów; mówimy *nauczyciel*, mówiliśmy więc i *obywaciel* (od *obywać*, *mieszkać*), *obywatel* zaś zdradza te same koła, w których z czeska i *stawami* ziemskimi, zamiast *stanami*, i *sniemami*, zamiast *sejmami*, i *bratrami* (np. *Orzechowski*, *Paprocki*), zamiast *braćmi*, się popisywano. Wzoru *Bogarodzicy* w czeskim pieśniennictwie wprawdzie nie odszukano, lecz *zwolena* (wybrana, zamiast *zwołona*) pierwszej zwrotki trąci czeszczyzną, chociaż samego „zwołić“ Polacy w urzędowym języku jeszcze w XVI wieku używali. Polskimi są słowa *włość*, *włodarz*. *Włodzisław* (np. w nazwach miejscowych, we *Włocławku* i *Włodzisławiu*), dawniej *włosny*, *włodać*; czeskiemi są *Władysław*, *władza*, *własny*, *zwłaszcza*, *właściwy* itd., to znaczy, że nie do rdzennie polskich słów wkradła się od XIV wieku czeska wokalizacya. Polak nie „pożyczył“, bynajmniej słów *smutny* lub *własny*, nazwy *Wacław* lub *Władysław* od Czechów, tylko zastąpił w tych staro-polskich słowach i nazwach wokalizacyę polską przez modniejszą czeską; są to niby mieszzańce i należy je ściśle od wszelkich właściwych pożyczek odróżnić; jest ich zaś bardzo wiele. Nie myślimy jednak uwagi czytelnika dalszemi próbkami mikroskopii filologicznej nużyć, przejdziemy do wniosków ogólnych.

Napływ żywiołu niemieckiego, mieszczan, *rękodzielników*, kupców, górników itd. pozostawił w strukturze językowej grubą warstwę wyrazów technicznych, dla urzędów miejskich, dla rzemiosł, przemysłu i handlu; wyrazów, używanych nieraz wyłącznie w izbie radzieckiej, lub cechowej, w warsztacie, w kramie lub w szybie górniczym, a nieznanych poza ich obrębem. Wyjątkowo rwą się i te wyrazy na przestwór, uogólniają się, nabierają nowego znaczenia, np. takie *sztuki* (już nie *kunszty*) piękne, które z warsztatowego (majster)-sztuku wyszły, chociaż ze znaczeniem i rodzaj zmieniły (jak *zreszta* i inne, *sznur*, *ta-*

ma, sztaba itd). Niemieckie słowo wpłynęło nieraz na znaczenie polskiego: jeżeli np. nasz *pokój* spokój i izbę zarazem oznacza, jak w owym kalamburze Rzewuskiego o paryskim pokoju, który jedni mieli obitym a drudzy malowanym; to urosło to z naśladowania niemieckiego Gemach (pokój, gmach, spokój, gemächlich); podobnie nasz sklep (t. j. sklepienie) dla niemieckiego Gewölbe i kram oznacza, lecz nie w innych językach słowiańskich. Lecz powtarzamy jednak: są to wyjątki; z reguły przyswojony termin niemiecki bywa tylko technicznym, specjalnym, zaściankowym.

Odwrotnie ma się rzecz z czeskiemi. Pojęcia oderwane, religijne, etyczne, terminy umiejętnie, lekarskie, botaniczne, przeważają w Czechizmach polskich stanowczo, skoro głównie drogą literacką do nas się przedostawały. Przymiotników z niemieckiego prawieśmy nie pożyczali (prócz nazw barw itp.), tem więcej zato z czeskiego. Ot takie *niezbędny*, któregośmy tak dalece zapomnieli, że wydawcy starych pism stale je w niezbędny przekręcają (tyle co brzydki, obmierzły); znamy je tylko w tem przeczącem złożeniu, dodatniego „zbedny“ starych Czechów nie posiadamy. Albo przymiotniki na—telny, śmiertelny, czytelny, wierzytelny, skazitelny, rzetelny, gdyby były polskiemu, brzmiałyby wierzycielny itd.; w starej polszczyźnie niebyło śmiertelnego razu lub czasu, był tylko raz lub czas śmiertny; niebyło listu wierzytelnego, był wierzący; rzetelny zresztą brzmiał pierwotnie zrzetelny, t. j. widomy, jawny, później przerobiono znaczenie na „uczciwy“. Tak się ma rzecz i z uprzejmym, dawniej uprzemym, który otwartego, prawego, honorowego oznaczał,—uprzejmy i wiernie nam miły, w urzędowych tytułaturach; potem go z przyjemnym pomieszaliśmy. I moglibyśmy jeszcze całą litanję takich Czechizmów przytoczyć, ale nie zawsze wszystko pewne; a powtóre, wystarczy tu streścić regułę: im więcej wyraz (oderwany, spólny czeskiemu i polskiemu) skomplikowany, np. sprawiedliwy, nabożeństwo itp., tem większą ma się pewność, że pierwotny tłumacz polecił się pomyśleć o odpowiednim polskim wyrazie, że zadowolił się przeniesieniem gotowego czeskiego do swego wykładu; zacy w szkołach słyszeli go od mistrzów, i tak wkradały się przybysze na miejsce terminów swojskich. A były między niemi nawet spójniki, np. „ponieważ“; charakterystyczne *toczuż* dawnych pomników, znane jeszcze w XVI wieku, zamiast to jest, to znaczy, również od Czechów przejęto. Lecz przy tych pożyczkach terminów oderwanych należy znowu i walne zastrzeżenie uczynić: język polski czeskiego wcale nie okradał, wiele tych terminów bowiem jest tego rodzaju, że język polski musiał i samodzielnie na nie wpaść, nie mógł ich ominąć, np. duchowieństwo itp.—Czeskiemu można chyba tylko przyznać, że je już o jakie stulecie wcześniej urobił; tylko uprzedzony lub nieogłędny

badacz pomierza takie wyrazy z właściwymi pożyczkami, nie uzna ich względnej lub całkowitej polskości.

Możnaby wyróżnić jeszcze osobną kategorię: terminy botaniczne. Czesy lekarze (tylko botanika oficyna! istniała dla średnich wieków) tłómaczyli dla celów praktycznych łacińskie nazwy roślin od końca XIII wieku; żacy polscy przywozili z Pragi owe łacińskoczeskie spisy i przykrawali je w Krakowie lub na prowincyi na polski ład; tak weszły w nasz język np. *kortywał*, *kosaciec*, *czyśńiec*, *kurza noga*, *macierzka duszka* i tyle innych. Przytem warto nadmienić, że Czesi, gdy się raz do tłómaczeń zabrali, z rozpędu tłómaczyli wszystko, nawet tygrysy, Merkurych i Wenery—można się i po rękopisach polskich takimi tłómaczeniami ubawić.

Lecz nie same oderwane pojęcia oznaczaliśmy wyrazami bądź to rodzimymi czeskiemi, bądź niemieckoczeskiemi, (których osobno nie chcieliśmy wyróżniać) Od Czech szły i nazwy geograficzne, np.: *Cochy* (*Alwisgran*) *Wiedeń*, *Rakusy*, *Uhry* (częste w szesnastym wieku, Węgry) i i.; szły nazwy monet, urządzeń (np. *berna*, podatek, za Kazimierza Wielkiego), *oprawca* in. Jeden z dawnych terminów prawniczych stał się dziś prostym wykrzyknikiem: stary Polanin, gdy nieszczęście go ćwiczyło, wołał: biado! gorze mnie! ach ja, łacie; lecz już w wieku szesnastym Polacy *niestotali*, t. j. wołali *niestocie*, *niestoty*, *niestety*. Był to stary okrzyk czeski, którym zbrodniarza (na gorącym śladzie) tropiono, wołając za nim *nastojcie*, t. z. prześladujcie, gońcie, to samo co Niemcy ze swoim Zeter. *Nastojcie* (nastawać na kogo) zmieniono u nas po miastach w XV wieku na wręcz bezmyślne *niestojcie*; już w tak zwanych ortelach magdeburckich czytamy: „gdyby nań niestojcie abo ceter potrzykroć zawołano“. *Niestojcie*, termin ściśle kryminalny, spadł w ciągu następnego wieku do ogólnego wyrażania „biady“; „bieda a niestojcie“ czytamy w Kancyonale polskim ks. Wal. Brzozowskiego z r. 1554; „ach niestojcie na ten świat“ w komedyi starego Bielskiego z r. 1557 (w. 1469) itd.

Może jeszcze ciekawsze pochodzenie naszego *nader*. Mówiąc dziś o *nader* niepomysłnym wyniku np. wyborów, ani przypuszczamy, że to dwa słowa, jak w *nawet*. *Nader* pojawia się dopiero w szesnastym wieku, przedtem go niebyło; pierwszy niemal użył go Marcin Kwiatkowski w książeczkach o wychowaniu dzieci (r. 1564); *nadert* rozpustnej swobody (str. 29); potem pisarze ruscy, jak Smotrycki i i.; u Smotryckiego czytamy: „pod nogi w *podert* podścielasz“. Czeskie *drt*, któreśmy *dert* wymawiali (jest zresztą i ruskie, *dert*), znaczy opiłki lub trociny; na *dert* coś zmleć, zetrzeć, skruszyć, znaczy w drobne kawałeczki, na mąkę, zupełnie. *Nawet* i *nader* (skrócone z *nadert*) są to więc słowa złożone; złożenia już nie odczuwamy, jak i np. w sło-

wie psikus; jeszcze w r. 1574 pisano po ucieczce Walezego: rex Henricus wyrządził Polakom psi kus (psotę, psią sztukę, czeskie kus zamiast polskiego kęs).

Z takich-to i wielu innych drobiazgów językowych można więc odtworzyć całą siłę, z jaką kultura starsza Czech na Polskę działała. Z początku był to wpływ jednostronny; biernie przejmowali się nim Polacy; nadeszły jednak czasy, gdy się młodsza brać hojnie odpłacała. Niedgdy przodkowie, w początkach XV wieku, gościnnie przyjmowali uchodzących przed husytyzmem mistrzów i księży praskich, obsadzali nimi i uniwersytet Krakowski; teraz znajdowały przytułek i opiekę stokroć liczniejsze tłumy Braci Czeskich, wyganianych za wiarę. Niebawem zaczyna się żywioł czeski sam kurczyć i zwężać, literatura maleje, język szczupleje; już od połowy XVI wieku poczyna się odwrotny wpływ, wpływ polszczyzny na czeszczyznę; pol-ka pieśń, polska książka trafia coraz częściej pod czeską strzechę, tylko kreślenie tego procesu nie jest naszym zadaniem.

Wobec czeskiego, górującego, ogólniejszego, i wobec niemieckiego, drugorzędnego, wpływu, wszelki inny obcy wpływ w całej tej epoce (1250 – 1550) usuwał się na daleki plan. Łaciny nie umiano; umieli ją tylko księża i żacy, notaryusze i pisarze; do nauki szkolnej zbyt się nie garniono, wiemy to od Reja, o nim samym zarówno (w młodości) jak o innych, o których on pisze: „jeden laik nie umiał kęsa po łacinie, jakoż ich dosyć roście prawie (całkiem) jako świnię“. Wiemy o kasztelanach za Zygmunta Starego, nieumiejących ani czytać ani pisać (jednemu, Rusockiemu, przyczynił się nawet ten brak do tragicznej śmierci); dopiero od połowy szesnastego wieku, gdy dla samych konfesyjnych powodów szkół dobrych się namnożyło, rozlała się łacina po kraju. Toż samo o włoszczyźnie powiemy: Polacy gościli za Alpami już od trzynastego wieku, ale prawdziwy egzodus najzdolniejszej młodzieży, mijającej stary Kraków dla Padwy i Bononii, rozpoczął się dopiero w szesnastym wieku.

Stosunki z Rusią zawiązały się już ściśle; całe ziemice, Przemyską, Halicką itd., włączono do Korony, a unia osobista z Litwą (i Rusią litewską) zacieśniała się coraz bardziej, aż przeszła w parlamentarną. Z przeludnionych mazowieckich i małopolskich dzielnic wynosiły coraz liczniejsze rody polszczyznę na wschód, lecz wzamian nic nie przybywało; do r. 1550 znajdujemy w polszczyźnie, np. czerwonoruskiej, jeden lub drugi termin miejscowy, np. *dziecki* zamiast woźnego, wschodnie *torłop* (stad i tułup i tułów?) zamiast kozucha lub futra, płaconego sędziemu. (koc abo torłop gronostajowy, czytamy w małopolskiem tłumaczeniu ustawodawstwa Wiślickiego, dwa torłopy kun w zapiskach Krakowskich № 4134). W rachunkach dworskich Jadwigi i Jagielly

spotykamy się z późniejszym *roztruchanem*, tam jeszcze *dostuchanem* albo i *hostruchanem* zwanym; o kubkach-*rostuchanach* czytamy nieraz w zapiskach krakowskich; jest to ruskie słowo, w dzisiejszej mowie choć obcięte, ocalałe (stakan). Najdawniejszą pożyczką jest *bojarzyn*, którego na polskim gruncie mylnie z bojem, bitwą, połączono i zamiast wojownika, bohatera od XIV wieku, używano; dalej *wałach* (wałaszyc) stajni królewskiej, (pastuchy i koniuchy wałascy (wołoscy) trzebieniem stad i bydła od dawna się zajmowali). Przez Ruś przeszedł ten wyraz do Polski; inny, z dalszego wschodu, od Persyi, również wtedy tą drogą przywędrował: *Kamcha* (adamaszek); łacińskie „purpura“ przez cały XV wiek u nas kamchą tłumaczono. Ruskolitewski dwór Jagielly przyniósł nam i *praskury* albo *plaskury*, niekwaszone ciasto, z greckiego, proskura (ofiara) przez ruskie proskura; dalej *nascilki*, w owych rachunkach obok obrusów i ręczników często wymieniane; a może i *patuby*, przykrycia wozów królewskich, z ruskiego nazwano. Ubiór i zbroja, idąc od wschodu przez Ruś, to już powoli odmieniały wygląd polskiego ryccerstwa: już kaznodzieje XV wieku obruszali się na tę „pogańskość“, na ten ubiór, „trącający Turkiem, Litwą, Rusią“, nie chrześcijański— „ojcom naszym nie w takich ubiorach Bóg szczęścił do posiadania szerokich ziemie“. Pojawiają się też wyrazy wschodniego pochodzenia dla oznaczania szczegółów ubioru i zbroi, i tak widzimy na głowie wysokie, śpiczaste perskie *kiwiory*, albo *zarkuły* janczarskie, albo okrągłe, małe i ciepłe *szyłki*, *kuczmy*, *jarmulki* (jarmolkami pisze je Strykowski, jamulki zowią się one u Knapiusza, ale w XV wieku znajdujemy jalmurki, np. w zapiskach sądowych krakowskich Nr. 3159; *kiwior* pileus, tamże Nr. 2036 i 4134; u Paprockiego chodzą w kiwiorach „Karwatowie“; na *szarawary* używają *kitajki*, t. j. chińskiej materji (Kitaj—Chiny; kythaka zapisek krakowskich Nr. 3752). U boku wisi *kord*, raczej krótki nóż, niż miecz, gdzie np. Mazur Świętosław (r. 1449) „miecza alibo *noża* dobył“, tam Małopalanin już w kilkanaście lat później „miecza abo *korda* dobył“. Znacznie starszym jest *tłumacz*, który przez Czechów aż do Niemców (Dolmetsch) dotarł i turskim swym początkiem o odwiecznych stosunkach Słowian ze wschodem świadczy. I myśliwstwo nie obyło się bez wpływu obcego, przynajmniej zapewnia nas Maciej z Miechowa (w słynnym dziełku, Opisaniu dwojej Sarmacji, r. 1517 napisanem), że co Polacy białozorem (od białego pierza na brzuchu), Ruś *krzczotem* nazywa; on pierwszy opowiadał o obżartym *rosomaku* i o chyżym *sumaku*, o *morszach* i *worwołu* (wielorybie), o *tatarskiem ziele*, o *kulczybie* (strychnos, wschodnie słowo!); jak Ruś *brahę* warzy a Tatarowie z mleka silno odurzającą *aragę* przyrządzają; przykrywają się *japończą* przeciw deszczowi (ztaąd nasza *opończa*). Kobiety polskie noszą już *kotłki* w uszach; później, np. w biblii Leopolicy z r.

1561, *kołstkami* zwane (od kołtania, kołysania). A może już i *ruble*, nie jako monetę obiegową, lecz jako odważaną ilość srebra, przyjęliśmy; w rachunkach Jadwigi i Jagiellły spotykamy się nieraz z wyrazem *rublon*; w biblii Zofii tłumacz polski oddaje łacińskie *siclus* bądź przez czeskie *zawaše*, lub przez ruskie *rubl*; czytamy u niego nieraz np. pięćdziesiąt rublow, obok dwadzieścia zaważy itd. Lecz wszystkie te wyrazy przypadkowe raczej, oderwane, nie powszechne, nie ważne, żadnych głębszych wpływów ani bliższych związków jeszcze nie dowodzą.

II.

Jeśli, dla najwybitniejszego faktu cywilizacyjnego, pierwszy okres kultury polskiej (950—1250) **chrześcijańskim**, a drugi (1250—1550) **mieszczańskim** lub **miejskim** nazwalibyśmy; nie zawahamy się, trzeci (ostatni wchodzący w zakres szkicu naszego), od r. 1550 (a raczej już od r. 1500) do 1750, jako **szlachecki** oznaczyć. Jeden stan, jedna warstwa uprzywilejowana, zastępuje cały naród: lud nie istnieje; mieszczaństwo uboższe, niszczeje i upada w końcu zupełnie; cała potęga państwowa i cała kultura umysłowa, wszelkie zasoby społeczne skupiają się wyłącznie w szlachcie i szlacheckiem duchowieństwie. Nawet najdalsze obszary Rzeczypospolitej, najodmienniejsze od siebie pod względem geograficznym, etnograficznym i historycznym, nabierają jednolitego pokostu szlacheckiego; ten sam język i obyczaj, strój i duch, byt i przekonania, wiara i przesąd, panują po wszystkich dzielnicach wszechwładnie. Wprawdzie w zaraniu okresu tego szalały burze i nie zanośli się wcale na ową późniejszą jednostajność; zapowiadał się świetny i wszechstrony rozwój kultury, który powoli tylko słabiał, nie odświeżając się więcej nowymi dopytami; podejmowano wielkie zadania dziejowe, aby, żadnego nie spełniwszy należycie, zakończyć apatyczną inercją, liczącą tylko na Opatrzność i na wzajemną zawiść potencji sąsiednich, paraliżującą ich kroki. Tak, co zaczynało życiem, ruchem i wrzawą, kończyło w marazmie i w pełnej zgrzybiałości.

Od r. 1650 reformacja broiła niesłychane dziwy w zapalnych głowach szlacheckich, lecz przesiliła się niebawem i pożarła sama w sobie: nawet pamięć o niej wcześniej drobniała i ginęła; najwyraźniejsze i najtrwalsze jej ślady pozostały w literaturze i języku. Reformacja bo-

wiem poruszyła głowy i pióra w niesłychanej dotąd mierze: spory dogmatyczne. społeczeństwu zupełnie obce, rozuamiętniły je; teraz żadne „posiedzenie“ ani biesiada nie obeszły się bez nich; od argumentów z pisma świętego przechodzono do pięści, a nieraz i do broni. Ożywieniu umysłowemu odpowiadało literackie: liczba ksiąg polskich (nie jak dotąd bywało, kilkunastukartkowych piśmideł) wzrastała szybko i stale; z Królewca zalewali Sekłucyan i Rej tłómaczeniami pisma św. i dyalogami polemicznemi Polskę; od 1560 r. drukarnie: pińczowska brzeska, krakowska, łoska i i., w Polsce i na Litwie, wspierały propagandę; nie obywało się i bez pomocy Braci Czeskich; Katolicy odpierali napady tą samą bronią. Szermierze w tej walce rekrutowali się zewsząd, nawet ze stron, gdzie pisemnym językiem nie zupełnie władano: z Prus królewskich i z Mazurów pruskich, z ziem ruskich lub z obczyzny, jak śród Braci Czeskich; nieraz powstaje wskutek tego znaczne zamieszanie.

Tak np. wydaje Czech, „impressor z Litomyśla“, Aleksander, *žadany* (proszony) *za to* od pobożnych Polaków, w Królewcu 1554 r. Kancyonał, pieśni duchowne: tytuł zapewnia wprawdzie, że tłómaczenia nowo dokonał ks. Walenty Brzozowski, a inni uczeni mężowie z *wielką* pilnością je przejrzeni; lecz jak można było kogo podobną czeskopolską mieszaniną częstować? Natrafiamy tam ciągle na *uczelników* (uczni), *prośpiech* (skuteczność), *dobrorzeczeństwo* (błogosławieństwo); na jeszcze bardziej czeskie *uczastenstwo* (uczestnictwo), na czasowniki jak *obżywiuje*, *splodzuje*, *wzbudzuje* itd.; jest naturalnie i *žadający* w znaczeniu pożądanego, czeskie *žaduci*, już i w średniowiecznych pieśniach kościelnych utarte; i dobrze polskoczeskie *zmarchać* (strwonić, (tenem czas marnie w grzechoch zmarzał); zawsze z *czeska sumnienie*, zamiast sąmnienia; po panu *tużyli*, zamiast tążyli, *zasmucony* itd. Podobnież ówczesne słowniki, np. ów wielki Mączyńskiego z r. 1564, posiłkują się czechizmami, choć już nie w tej mierze, co dawniejsze nieco Murmeliusze i Mimery; wokabularze znowu, wydawane w Królewcu, uczyły panienki nieraz czeskich i niemieckich zamiast polskich słów i zwrotów, np. *procz nie* (dlaczego nie?), *borgować*, do Lemberku (Lwowa), *betar* (desk), *hausknechtel* itd. lecz i polskie ich zwroty nie zawsze fortunnie wypadają, np. jeśli panienka się skarży, że on *pomolczył mi plotki* (zamaczał warkocze), albo jeśli piesek marga z *ogonem*, zamiast ogonem. Mimo tych braków, panienki z tej książki „rady uczyły się polskie“, dowodzą tego liczne jej wydania (1558, 1566, 1568 itd.)

Wpływy czeskie i niemieckie wysiliły się niebawem do szczytu. Czechy istnieją w siedemnastym wieku tylko geograficznie; naród sam traci wszelkie znaczenie, ogładę, mowę nawet. I stosunki niemieckopolskie ulegają zmianie; napływ z Niemiec do miast polskich,

silny jeszcze w XV wieku, ustaje teraz zupełnie; młodzież polska omija Wittenbergę, Lipsk, Strasburg i Heidelbergę; nawet w politycznych stosunkach przeważają węgierskie, tureckie, ruskie, szwedzkie. Niemczyzna nie zdobywa nigdzie nowego terenu, traci co niegdyś nabyła po miastach, targach i warsztatach, liczne jej wyrazy giną zupełnie, albo ocalają w najodleglejszych narzeczach, np. taką *gasę* (Gasse), znaną w Poznaniu ogólnie w XV wieku, lub *wardęgę*, t. j. bydło, znaną również powszechnie, spotykamy w następnym już tylko na Mazowszu. — czytamy np. w ówczesnej kolędzie mazowieckiej „perolmy się si bretkowie tą gasą“ (bieżmyż bracia tą ulicą) itd. Tylko w wojskowości, szczególnie w służbie piechotnej i dragońskiej, żywioł niemiecki nie usuwał się; komenda bywała niemiecką, *holt, wer do* itd.; *kwartier*, albo *frit frit* wołał zwyciężony Hanusz i gorsze odbierał plagi od tego, co to całkiem inaczej rozumiał; *szylkwachy* zaciągano w *lagrze*, gdzie *szancmasjstry, prowiantmajstry* itd. rządzili; *rajtarkoc* przezwano kurtkę (u Reja r. 1543) od *rajtara* ciężkiego, a lepszego *dragona*, co z lontem *zafasowanym* z konia zsiadał dla strzelania w *munderunku*, bił się za *lenung*, stojąc pod *Krigsrechtem* itd. Z języków obcych wysuwa się teraz na pierwszy plan *łacina*, której się Polska szlachecka tak w końcu rozmiłowała, że o potrzebach własnego języka zapominała. Głównem zadaniem coraz liczniejszych szkół było wprawiać w łacinę; każdy inny cel był raczej ubocznym; ze szkół wychodzili też łaciownicy, władający w porównaniu z wiekiem XV poprawnym językiem, mimo nieodzwonnych naleciałości w terminologii np. sędowniczej; barbaryzmy i solecyzmy wyganiano przecież w szkole co sobota bez litości. W życiu, do którego taka szkoła przysposabiała, coraz chętniej posługiwano się słówkiem lub frazesem łacińskim; nałóg ten, świadczący i o braku smaku, i o pewnej leniwości umysłowej, chwytającej raczej za gotową obczyznę, niż wysilającej się na pracę własną, poczyna się od XVI stulecia i przetrwa z górą dwa wieki; nazywają go niesłusznie makaronizowaniem, służącym ściśle ograniczonym celom w poezji humorystycznej. Obok makaronicznych produktów polskich poetów, od czasów Zygmunta Starego aż do biskupa Załuskiego, Minasowicza i i., staje odrębnie ta polskolacińska mieszanina słów i zdań całych, przenikająca wszędzie: do poufnej pogadanki, do listów prywatnych, głównie zaś do mowy politycznej i panegirycznej. Przewaga łaciny, naginanie polszczyzny do jej wymagań, sprawiły w końcu, że i dziś jeszcze nie zupełnieśmy się z niej otrzęśli, mianowicie nasz szyk słów utracił nie jedną cechę słowiańską a przybrał łacińską; rytm cyceroński przebija i dziś jeszcze w naszej prozie poważnej. Tylko wymowa religijna, np. w kazaniach, i poezya nie uległy wtedy tej zarazie, temu łatwemu popisaniu się ogładą i czytaniem; one-to odbijają zawsze od prozy

rażąco: nie można np. równać prozaika Wacława Potockiego z poetą: jego *Wojna Chocimska* napisana jest najświetniejszym wierszem polskim; za to prozaiczna przedmowa do niej (dedykacja Lipskiemu), to barbarzyńska mieszanina polskołacińska. Cóż za dziw, jeśli po tem wyłącznem panowaniu łaciny i w ówczesną poezję, i w dzisiejszy nasz język wkradały się wazy łacińskie, pozostałości od gorzkiej pamięci Alwarów, które wszyscy rozumiemy, chociaż już nie wszyscy ich używamy. Są to po największej części wyrazy oderwane, jakie niegdyś mowę wielkich „statystów“ ozdabiały, wyrazy szkolnej dyalektyki, obce każdej nowożytnej mowie; np. książd Hieronim Powodowski, w „*Korabiu zewnętrznego potopu*“ 1578 r., mając wyliczać dziesięć „predykamenta“ „musi je tu kłaść po łacinie, bo ich naszym polskim językiem, który się więcej kuchnią, niż dyalektyką, bawił (na boku nota: *Polski język o rzeczach kuchennych obfity*), właśnie wyłożyć nie możemy“. Podobne świadectwo z r. 1605 o trudności wykładu umiejętnego w języku polskim przytoczyliśmy w poprzednim artykule (str. 408). Każdy rozezna te wyrazy, chociaż nieraz się zawaha, czy nie raczej z francuskiego, niżli z łaciny wyszły; niektóre z nich wcześniej tłómaczono, np. rzeczpospolitą z republiki; między przysłowiami niejedno w obiegu, nawet w ustach ludu, co niegdyś po łacinie ukute, np. choćby od Horacego, co przez szkołę w końcu aż do wiejskich strzech dotarło. Nie myślimy tu wcale o prostych tłómaczeniach klasycznych frazesów, np. „nie każdemu w drogę do Koryntu“, jak Rej mówi, lub „ruszyć kamaryny“ (biedy śpiącej) itp., lecz o takich np.: czego się nowa skorupka napije, tem zawsze trąci itp. Wpływ łaciny przypomina więc poniekąd wpływ (językowy) czeski; w szkole, umiejętności, literaturze odżyła zamarła mowa, przez nie wpływała na żyjących, bardzo silnie w pewnych sferach, np. w życiu i trybie księży, żaków, lekarzy, prawników; znacznie mniej, albo wcale nie, w innych.

Ubiór księży, przybory kościelne itd. obfitują w podobne nazwy, starsze i nowsze; należą tu infuła, pastorał, ornat, alba, komża, stuła, rewerenda, tonsura (korona), albo cyboryum, monstrancya, hostya, patyna, mszał, organy, celebrować, summa, itd.; wyrazy jak synod, konsystorz, dyecezya, parafia, wityrykusz (kościelny dozorca) albo u protestantów, minister, superintendent, pastor. Na Litwie nazywają od XVII wieku ministra (a nieraz i każdego Kalwina) *bombiza*; opowiadano nam i o pani *bombizinie*; dowcip to szkolny: katolicy wyszydzały ministrów, przywłaszczających sobie katolickie x. (ks., książd), rymując po łacinie *ix pix bombix*, ztąd ich *bombixami*, *bombizami* przezwano (najznakomitsi znawcy języka litewskiego, np. prof. Bezenberger w Królewcu i i., próżno nad tym wyrazem głowę łamali). Przed kościołem sie-

dzą dziady i baby, ze *skaplerzami*, z *mantykami* (torbami), *mendykując* (żebrząc) *parteki* (kawalka) chleba.

Z kościołem w nierozzerwalnym związku stoi szkoła, więc i o niej wspomnijmy. Wszelkie przybory szkolne noszą nazwy łacińskie, atrament (czyrznidła dawnej polszczyzny) kałamarz, membrana, karta, arkusz (porównać można niemieckie *Bogen*), papier, bibuła, skrypturał, linia, kreta, pióro *otemperowane* itd.; wedle opłat szkolnych, jak *kretales*, urobiono i *kozubales*, danina, którą trapieni przez żaczków żydzi dla miłego pokoju składali. W szkole wodzili rej obok mistrza, bakałarza (bakuły), kantora, lokat (podmistrek), suflera – kalefaktor, rybatł, bean i pedan; (stąd *pedant*, *pedanterya*); kantor *repetował z partesów* (nut), stąd przenośnia: mówić z *partesu*. Tu pytamy, czy i staropolskie *fasoł*, kłopot, *fasolować się*, nie stoi w związku z nazwą skały, którą uczniom wbijano ku wielkiemu ich utrapieniu? Czesi używali *fasolovati* o śpiewie, jak my *solmizować*. Podczas *lekcyi* wciągano *noty w pularesy* itd.; mijamy inne liczne terminy, bo oto „niemądra“ *kanikuła* rozpędza żaków; i przed nią, w dzień rekreacyjny, wychodzono *spaciatum* (na spacer; po za szkołą również nie „przechadzano się“, ale „spacyowano“; w *spacerować*, *maszerować* itp. er zupełnie zbyteczne, przeciwnie ogólnemu prawu języka naszego); *grano tam w piłę* itd.

Sama powaga stanu wymagała, aby *medyk*, *cyrulik* i balwierz łaciną pluskał, szczególnie gdy był *au bout de son latin*. Z łaciny tej wsiąkło w język nie jedno; humory i wapory przypominają nam te świetne dla szalbierzy czasy, gdy je w ciele niby to w ciągłej równowadze utrzymywano; flegma, fluks, reuma, katar itd. utrzymały się również; temperament też tu należy ze swojemi odmiankami; o *spinie* my wprowadzie zapomnieliśmy, zato na Rusi łacińska nazwa do dziś przetrwała; z piłką zrobiliśmy *pigułki*; nasze *likwory* dziś smaczniejsze, choć się nimi już nie leczymy, a nasza *dieta* bywa ściślejszą; i w tedy już *aqua vitae* (okowita) nieraz *salwowała pacyenta*.

Jurysta obławiał się przy każdej sposobności: przy testamentach z artykułami i kodycyłami, przy kompromisach i komplancyach, ferując dekret i apellując od niego do trybunału; lecz ponieważ cały język aktowy był łacińskim, więc niema celu wyliczać detentów, reasumptów szczegółowo. I statystycie damy pokój, gdy on zakusy na *absolutum dominium* konfederacją przy dawnych przywilejach, prerogatywach, odpiera, a wszelkiej prywaty się przytem wyrzeka. Uwzględnimy tylko jeden termin, kaptur, t. j. jurydykcyja (sądy kapturowe) za bezkrólestwem—historycy i juryści nasi wywodzą bowiem słowo to, za Krasickim, od łacińskiego *captura*, niby *libera captura* – dozwolone uwięzienie każdego burzyciela porządku publicznego, z zawieszeniem prawa *neminem*

captivabimus nisi iure victum. Zdaniem naszym, dawniejsze tłumaczenie, od czarnych kapturów na głowie, jakie ci sędziowie na znak żałoby i wakującego tronu zarzucali, trafniejsze. Zapisujemy jeszcze wota, wotowania, albo dawniej wotunki.

Prócz tych, że tak powiemy, specjalnych słów, mamy liczne ogólniejszego znaczenia, nietylko dla pojęć oderwanych, lecz i dla przedmiotów i rzeczy codziennego życia. Pomijamy łacińskie nazwy miesięcy, dawniej częściej używane, niż dzisiaj, gdyśmy z nich tylko przy marcu i maju zostali; inne dotarły do kuchni i kredensu, np. kochle, serwety, talerze, kraty—tylko najniesłuszniej jeden lingwista nam nazwę pewnej części ciała z łaciny wywiódł; urosła ona między nami samymi, czytamy np. w polskim Krescentynie z r. 1549: „pierze też godzi się na polawie ku siedzeniu panie grzesznicy“. Ależ i na polu spotkamy się z łaciną; nietylko *łan* ją przypomni, lecz i *gleba*, i *stywa* (kozica u pługa, styk); nawet i *wózek*, *bieda*, od biga, przezwany.

Najwięcej wyrazów dotyczy usposobienia, nawyknień, porywów itd. etycznych i fizycznych. Jacyśmy *kontenci*, że *fatyga* nareszcie ustała, że nic nas więcej nie *turbuje*, żeśmy bez *tumultu* zawinęli do *portu*, załatwili z *sukcesem intus res* (dawniej *interessel*) takim *procederem* i zdobyli z tego *tytułu* rzecz może bez *realnego waloru*, lecz naszym *gustom zaakkomodowaną*. Mówimy jeszcze o *rygorze* rodzicielskim itd, inne terminy stanowczo przestarzały, np. taki *rumor*, *rankor*, *wigor*, *prowent*, *assumpt*, *ansa*, *submitować* się, *solenny*, i i.; nawet *afekty*, które już Górnicki (1587) pochociami zastępował, i *respekty* i *despekty* trącą staroświecczyną. Inne znowu kwitną sobie w najlepsze, kolor i odor (! jakby był Polakiem), sens i honor, natura i norma, koncept i fracya, i kwestya, porcyca, kwota, kwarta, i kwandrans, okulary (dawniej okulały) i sulejaty (bóty, fundusz i familia, kolumna i meta, rudera i ruina itd. itd.—nie potrzebujemy przypominać, że to słowa najczęściej po całym świecie używane. Uderza nas, że dla *impetu*, dla porywczego wybuchu, bywają obce, np. *raptem*, albo *obces*, obcesowy (w dawniejszej polszczyźnie zawsze obses, obsessus t. j. pomieszany, *waryat*, *furajt*, np. rzuci się obses na cię, obses cię zabije, pewnie obses skoczą); dziwnym wyda się nam, że „złote pióro“ Orzechowskiego nie wzdragało się kłaść zamiast ojczyzny (która ojcowiznę znaczyła), patryę, mówić o milej patryej naszej. Charakterystycznym jest również, że, do czego się z wielkim zachodem zabierano, przyczem się na *oracye* sadzono, nazywano z łaciny, a więc np. *quamquam* (właściwie „chociaż“, od którego *arenga* często się zapędzała): p. starosta witał go (r. 1580) od panów z długiem *quanquam*; albo W. Potocki opowiada o sobie: „nim na ławie siędę, na krótkie *quanquam* się zdobędę“; u Kochowskiego mamy

wiersz tak zatytułowany; „na weselu *quanquam* bych też potrafił“, czytamy indziej. Albo *kweres*, zamiast czego i *skweres* (jakby od *skwierku*) mawiają, w gruncie rzeczy tyle co *kwerenda* lub raczej *qua res?* np. uczyni takie *queres* (r. 1575); w społecznym liście zaś: „jakie *quaeres*, jakie inkwizycye itd“. Kto się dziś do ładnej twarzyczki *amprztyfikuje*, czyli sztyfelkuje, używa tylko tej samej *amplifikacyi*, mowy przesadnej, jaką dawny panegirysta łaski mecenasa zaskarbiał itd. Warto wspomnieć i o słowach, łacińskich i rodzimych, zakończonych z łacińska *na—us*, *wzgardliwych*, np. *wagus*, *nygus*, *obdartus*, *lampartus*, *słabeusz*, *chudeusz* itp. Tu należą i *androny*, niedorzeczności, znane i w ruskiem, (np. *androny* jadą u Gogola) z łacińskiej nazwy pierzei, długiej ulicy, od której może i nazwa ciasta, *androtów* (dziś *andrutów*), dla długiego i wązkiego ich kształtu, wyszła, — *androty* między papinkami wymienia już Knapiesz.

Łacina otwierała niegdyś wszędzie przystęp, więc *disce puer latine, faciam te* Mościpanie“ mawiał Batory, a stosował się do tego naród szlachecki, stan miejski w swych nie zaniedbywał. W jezuickich szkołach robiono prędsze postępy w łacinie, jak sam profesor jенеński, Mylius, przyznaje, w rzadkiem, tłumaczonem z niemieckiego, piemku, „Przestroga do Ewangelików itd.“ r. 1596); więc protestanci nie wahali się dzieci do tych szkół oddawać, co Mylius ostro karcił. Jeszcze szkołom komissyi edukacyjnej zarzucali rodzice, że słabo łaciny uczą. Wszystko, co się z ostatniej nędzy gramoliło, znało ten język, a choćby tylko początki jego; wszyscy go używali i nikt przeciw temu nigdy nie protestował, chyba pan starosta Szafraniec na sejmie koronnym 1479 r. w przystępie złęgo humoru, gdy marszałek powiedział: „jam tu jest *accusatus*“, przerywa mu: „mów WM popolsku, wszakżeśmy tu wszystko Polacy“. Ale łacina nietylko w Polsce w szkołach, kościołach, trybunałach i aptekach panowała; panowała ona w równej mierze i za granicą, więc dzielimy z innymi ów balast słów łacińskich, który u nas chyba nieco większy; te słowa łacińskie u nas pozostają wyraźnym dowodem naszego związku nierozzerwalnego z obyczajowością zachodnią, są niby naszą legitymacyą cywilizacyjną.

III.

W inne koła przenosi nas język włoski: z zakrystyi i lektoryów, z *aptek* i od szranków trybunalskich przechodzimy na dwory wielko-

pańskie, między wykwintne towarzystwo, co w cudownej Italii najpiękniejsze lata młodości spędziło. Cecha wyższej oglady wyciśnięta tu wszędzie: naśladowają ją więc i poeci, choć nieraz Włoch ani oglądali prześladowując chętnie język, wolny od szkolarskiej łaciny, włoskiemi wyszukanemi wyrazami; szczególnie w siedemnastym wieku Twardowski, Gawiński lub Kochowski, rzadziej Morsztyn, jeszcze rzadziej stary Polus, Potocki. Wystarczy przebież te włoskie „słówka“, aby się przekonać, co za wyrafinowany smak, przepych i zbytek z nich przemawiają. Zacząć-by można choćby od jarzyn i ogrodowin wykwintniejszych, od owych *vernancyi* np. kalafiorów, któreśmy dziś zmieszali karafiołem, co zupełnie inną roślinę oznaczało, od pomidorów, szparagów, selerów, sałaty, karczochów, kalarepy itd., a skończyć na szczegółach ubioru *alamodnego*, budowy *pałaców*, zakładania *dziardynów*, tajemnic *baletów*, *gorgów* i *treli* w śpiewie, a instrumentów i tonów w muzyce. Tu znajdzie się w końcu miejsce i dla *dżelozyi*, jakby jej małżonek (*becco cornuto*, rogal, tylokrotnie wyszydzany w XVII. wieku) i kochanek, *inamorat*, po polsku nazywać nie umieli. Już od poprzedniego wieku napływało z Włoch, co tylko tchnęło gracyą i smakiem, oglądą i wytwornością, kunsztem i smakiem; tylko u Włochów wyczwał się dworzanin i żołnierz, jeździec i myśliwy. baletnik i muzyk sztuki swej aż do doskonałości. Jak wysoko cenił znawca, p. marszałek Dorobostajski, włoskich *karwalkatorów*, zbyt drogich dla miernej szlachty! Wprawdzie zawodziły nieraz kosztowne *dzianety* na podolskiej grudzie, lecz nie wadziło to przyjmowaniu włoskich przyborów do jazdy, wozów, skoków itd., np. *kaweccanów*; *kurbetów* i *karerów* (*carriera*; u Strykowskiego 1582 r. czytamy nieraz: „karery biegające, „karery wywracaj“ itd.), *karet* i *karoc*. Dawniejsze i słynniejsze od „brytanów“ są psy gończe *medyolańskie*, których nazwa po dziś na Litwie ocalała (medelańskie w Statucie Lit). Z Włoch szły broń i stroje żołnierskie, jak i fortele dobywania *fortec*, więc np. *darda* (spisa), *szpada* i *sztokada* (spada, stoccata), *paweża* lub *pawęża* (pavese, tarcza; jest i czeskie); ulubione między młodzieżą *stradyolki* i *karwatki* przypominały ubiór weneckich żołnierzy; wiele z tego, co do *floty* należy, również z włoska przezwano, np. *bat*, *bacik* (*batto*), *galia* (galea, galera) i i., lecz *koga* (okręt) wprost z łaciny przyszła, bo znajdujemy ją już w pieśniach i legendach z XV. wieku. Do Matki Bożej wołają „bądź Ty nasza koga, bychom morze przebyli, do nieba przyptyneli“; *kordel* (sznur, lina statku) również tu należy, *cordiglio*; K. Twardowski błaga niebios o łaskawy bieg *fuscie* (nawie, fusta) nadwątlonej itd.

Do dawnych tańców, niemieckich i narodowych, do cenara, gonionego, świeczkowego itd. przybywają włoskie *padwany*, *saltarele*,

galardy, kupryole, które wszystkie *galantuomo* i *kortyzanka* umieć winni, jeśli *reputanę* utrzymywać myślą; w *stancyi* (stanza) i *dentro* (w obrębie) *dziardynu* oddają się oni wszelkim śmieszkom, *lazom* (lazzo, ztąd *lasy* u pamiętnikarzy XVII wieku, niezrozumiane przez wydawców), *spasom*, (spasso ztąd *alaspasy* i *halaspasy*, rozrywki, Twardowskiego, Gawińskiego i Kochowskiego) i *bontempom*, wedle najnowszej, *fozy* (wenecka forma słowa, u nas bardzo pospolita w XVII wieku, dla mody, trybu), w *karnawał*, naturalnie z *maszkarami*, *dżogi* (tany, z *giuoco*). Oni już się nie sadzą, tylko *sforcują* (forca=forza), na rozmaite *splendece*, *altece*, *grandece*, *kortece* (grzeczności) i *alegrece*; sprawia im to największą *kontentecę*, chociaż nieraz cała *impreza*, mimo wielkiej *spezy* (kosztu), i za *fraszkę* (frasche, brednie) nie stoi, *speranę* (nadzieję) zawiedzie. Na stół dają im *antypasty* (przedsmaki) i *potazy*, choć polski żołądek na nie sarka: nie przebłagają go i liczne „włoszczyzny“ — „czy ja wół, abym trawę jadł“, pyta rozżalony. Damy stroją się do stołu w *fetocy* (wstążki); dbają przede wszystkim, żeby *cera* była świeża, choćby dla niej *środeczków* i na *wendecie* (targu) nabywać miały. Na wendetę *nęci* nieostrożnych inna nowinka: *faryniarz* urządza *farynę* (loteryę), stawiający wyjmuje karteczkę, ale na niej najczęściej *cyfra* (zero) zamiast wygranej; zresztą któż wie, czy go nie oszukują, boć to sami *birbanci* i *furfanci*, którzy za *bukatę* (kęs, *boccata*) chleba i brata rodzonego zdradzą. Obok wendety dostaniesz i rozmaitej *bewandy* (napitku) a z niej urosną niebawem *bewerry* (pijatyki), skąd do browaryi albo *breweryi* (braveria) najprostsza droga. Więc rozumniejsi przestrzegają i grożą, wydają *Bando* (zakaz) przeciw gorzałce i wszystkim jej naśladowcom (tytuł wcale ciekawej broszury wierszowanej z r. 1716, Michała Karasia); lecz to nie skutkuje. Wyrazu *bando* (wywołanie) używano często, np., „Bando na Aryany“ (słynna swego czasu broszura) itp.; obok niego możemy przytoczyć *fallo* (błąd) np. w „Jedności ś, Cerkwie itd. z r.“ 1632 czytamy „wielkie fallo“, *falluje* (błądzi) itd., *falit* i i.

Oto najpospolitsze słowa włoskie. O silnym wpływie języka przekona nas fakt, że aż w najdalsze zakątki polszczyzny wciskały się najrzadsze, najwyszukańsze terminy włoskie. Zdziwieniśmy np. niepomalu, czytając w tejże prawosławnej broszurce (Jedność itd.) że (czterej biskupowie swemu metropolicie) „ten sekret *palesowati*“ (t: j. odkryli, włoskie *palesare*). Sakowicz (w Okularach itd. 1645 r.) oskarża czernców, że, zrzuciwszy habit zakonny, chodzą jak księża świeccy „w palendrach, rewerendach“; o unitach mówi (w Perspektywie z r. 1642), że chodzą „w palendrach, czamarach“ — obie nazwy włoskie, z pierwszą porównajmy np. tytuł: Tryumf Miłości (Petrarki) w polski kopieniak (płaszcz) ubrany zewleczoney z tuskańskiej ślicznej *palandra*-

ny (palandra, płaszcz). Aryanin Farnowiusz („O znajomości Boga“ itd. r. 1573) i inni każą apostołom „z jednego miasta do drugiego *palantować*“ (palanse=wagus, wałęsający się,—odróżniać należy od tego słowa inne, *palantować*, bić, od palantu). I nasze buza, buzować kogo (złajać) wywodzilibyśmy z włoskiego, *far buzzo*, gniewać się (na kogo), buzzo i buzzone opryskliwy, mruk, a buzzurro prostak, gruby; więc czytamy w Smotryckiego „Obronie Verificaciei itd.“ z r. 1621: „wam la-da buzie wolno na majestat następować“.... „ten zły człowiek nas buzuje“ itd,

Szczególniej wiele terminów przyjęła dawna polszczyzna od „kapelei“ włoskiej. Nie myślimy tu wyliczać instrumentów, np. regałów, sztortów (storta) i i., lecz zaznaczymy choćby kilka nazw melodyi itp., które całkiem polski wygląd przybrały, np. *wycwerki* i *wycwerkować*, Knapiusz objaśnia je łamaniem, strzępieniem głosu, trzęsieniem gardła, lecz obok wycwerków znajdujemy *rycwerki* w XVI. wieku, jest to włoskie *ricerco*, *recercare* (preludya, fantazyja); Jabłonowski utworzył stąd nowe słowo, *wycwier* i *wyćwirny*, wymyślny. Od *gorgów* (trelów, gorgie) poszło gorgolić się, nadymać się, podobnie jak „mówić z partesów, stąpać z tabulatury, przekwintować, wykqwintować“ (stąd wykqwintny), mowę, chód i tryb nienaturalny, wymuszony, napuszony oznaczają: wszystko, może i *biszkunty*, figle, od śpiewu i *not* przejęte, wedle których piosnkę „nócono“ (choć i dziś z nut nucą;—takie u zamiast o szczególnie w obcych słowach częste, np. but, łut, drut, ślusarz, marmur, śrut, luza itp.) Nie mówimy o tańcach i melodyach, o galardach, pasomeziach (u Morsztyna, *passomezi*), kanzonach, motetach, madrygalach itd. Warto też wspomnieć o urządzeniu ważnem, przezwanem z włoskiego: nasza *poczta* (równobrzmiąca z zupełnie jej obcą, staropolską pocztą, upominkiem) z *poszty* (włoskie *posta*) powstała; najdawniejsza „gazeta“ polska, t. j. „Poczta Krolewiecka“, wydawana przez drukarza J. Dav. Zankiera albo Cenkiera, r. 1718—1720, na tytule n. p. *Przemian Poszta albo Poczta wypisuje*; lecz wtedy „obrywka z Gazetow Polskich bardzo licha była“, bo niewielu było, „ktorzyby chcieli Polskie trzymać Gazety“. Poprzedziły je krakowskie, wydawane przez Włochów, *Merkuryusy* i „*Awizy*“ (częste po ówczesnych tytułach, np. „*Świeże Awizy z koła panińskiego*“ itp.)

Najwięcej nowinek włoskich zagęściło się jednak w kulcie ciała i stołu. Minęły te święte czasy, kiedy to szlachcic szubkę baranem podszywał, a pani jego starczył kozuch z pozłotką zimie, haras z barchanem lecie, pacierze bursztynowe, na szyi prosty czeheł, na głowie tócczenice a chomla na czoło; kiedy to na chlebowych talerzach bez ser-

wet jadali, piwo a miód pijali, w piekarniach siadali..... I bogata szlachcianka dawniej dosyć miała, gdy wzięła od rodziców parę pektoralików a krzyżyk od męża i piszczałkę z rubinem dla dzieci, dalej Boże uchowaj napierać się było; i ona w powszedni dzień w letniczku, w koszuleczce białej, a sznóreczka na szyi.. teraz wszystko inaczej. Wspominaliśmy już o włoszczyźnie, o autypastach i potazyach, marcepanach i tortach; na stołach leżały cieniutkie i bieluchne *towalie* (turalnie) serwety, w *kredensach* stały kosztowne szkła (weneckie) malowane, „z Bożą męką“ i *bukale* dla małmazji, kanaru, seku, alakantu, odwilżających gardła, spiekle od *mostardy* i innej korzennej przyprawy. Mężczyźni, osobliwie młodzież, ubrani wedle ostatniej *fozy*, proszą bowiem u krawca „uczyn mi, jako dziś noszą.“—A czemu nie jako wczora. Zaż to inny rok z wieczora? pyta Rej. *Kapelusz* (capeluccio), albo *guler* (galero) na głowie; w *kapie* włoskiej, *palendrze*, albo w *sajanie* (z *sai*, *adamaszku*, *sztametu*), zdobnych *pasamonami*, *puntałami*; ze ściętą bródką, *pontą*, łańcuszno, z rapirem u boku, opatrzonym dla ręki w *fordymment*, w bufiastych spodniach i obcisłych pończochach, w kordybanowym obuciu, zalecają się damom, które o poważnym stroju staropolskim tak dalece zapomniały, że „przydany“ (družba) Zbylitowskiego, zjawiając się naweselu, zdziwiony widzi liczne „damy“, lecz żadnej Polki. Mają perły w uszach, czemu nie i w nosie? ponawieszano na nich *feretow*, *terepeł* (trzeperelle, trepele, t. j. krezy, „których dyabeł trafić pomaga, a jednej paniej były w szyję wrosły“ sarka Widawski; czy: to drapperia?), *fortygalów* z *bramami* i bez nich, *kornefesów* albo *kornufasów*, *maneli* na ramiona i ręce, w których *facelety* (chusteczki) powiewają, *gorgulików* i *gurgielli*, t. j. koszulek, *gorgiera* krezy „(seperelle z gorgulikiem, iścieć skarbu nie umnoży, niżli to na szyję włoży“, skarży Rej r. 1543.); Sukienki z prostej *kanawace* (canavaccio, materya) ani obaczyć, zniknęły stare „smykawice“, obcisłe, długie; w ciężkich sukniach panie same niby ociężałe, młodzież obraca je w tańcach i śmieje się potem: azaż to lekki kozub? Zbytek zbytku, koszt kosztu popycha; w sypialni

Uzrżysz tam niderlandzie opony na ścianach,

I kobierca adziamskie (perskie) i *włoskie szpalery*.

Przy kącie pyszne łoże, nad nim zawieszony

Namiotek z rozmaitych utkany jedwabiów,

Maść od maści śliczniejszych; pościel haftowana,

Koldry albo drotowem złotem *) przeszywane,

Por. „Owo śrebro drutowe, co je włoszek złoci“, Bielski M. w rozmowie dwu baranów.

Albo z brzegów drogiemi perlami osute...
 Wóz musi być z poklatem *włoskim* na kształt brożku,
 Popona złotogłowem podszyta, a w koło
 Frandzami bogatymi pięknie lamowana.
 Srebrne gałki muszą być, srebrne u szlej przęcki itd.

(Ciekliński, Potrójny, r. 1597). Przy wozach kroczą *sztafiry* (staffiere, lokaj), nie wypierający dawnych forysiów i nowszych stan-gretów. „Jak w złocie *dziwoja*“ pisze Bojanowski, „Naumachina cho-cimska“ r. 1622; jest to gioja (drogi kamień, juwel) itd.

Oto główna treść napływowej fali włoskiej. Gdy miejsce Włoch w ogładzie, zbytku i modzie, w galanteryi, elegancyi, rafineryi smaku w kulturze umysłowej, Francya zajęła, ustąpili włoscy przybysze francuskim. Zapomnieliśmy o nich zupełnie; strój zmieniony zatart wszelkie wzmianki o dawnych szczegółach i nazwach włoskich; mało co uszło zagłady; fraszka, dzięki Kochanowskiemu, uwieczniła się, podczas gdy lazy, bontempy i spasy, nie podtrzymane jego sztuką, zaginęły. Najwięcej „włoszczyzny“ zostało w ogrodzie warzywnym; obok niego teatr i balet, śpiew i muzyka, już nietylko u nas, lecz i na całym świecie cywilizowanym, szkołę i mistrzowstwo włoskie ujawniają.

Inne języki romańskie na polski nie oddziaływały. Po hiszpań-skr umiano w XVI wieku, np. *guzmana*, (błazna) i *karawakę*, (krzyż), z hiszpańska nazwano; jeszcze sędziwy Chodkiewicz wybuchał pod Chocimiem zwrotami „kaballerów; lecz w XVII wieku, przy gasnącej potędze państwowej, gasł i urok języka, którym niegdyś Tęczyńscy i Lubomirscy władali. Francuszczyzny uczono się już od XVII wieku; znamy liczną szlachtę średnią, np. około 1620 r., umiejącą po francusku, tłómaczącą książki francuskie (np. p. Bolestraszycki z fatalnym dla siebie skutkiem); od połowy XVII wieku zaczyna francuszczyzna przeważać na dworach królewskich i wielkopańskich, ruguje Włochów zupełnie, lecz dopiero od osiemnastego wieku opanowała ona wszystko, co do ogłady się garnęło.

IV.

Stosunki polityczne łączyły oddawna Węgry i Polskę, jak rodzinne Arpadów i Piastów; cechy ich bywały nieraz wrogie wskutek wzajemnej rywalizacji np. o Halicz. Życie obu państw płynęło jednak odrębnymi korytami, chociaż tu i tam osiągnięto w końcu ten sam cel, wszechmoc oligarchiczno-szlachecką; znano się nawzajem bardzo mało, w średniowiecznej polszczyźnie ledwie jeden i drugi termin węgierski odnajdziemy, np. jobaggiones w trzynastym wieku dla oznaczania kmieci, chłopków. Zmienia się to zupełnie od Jagiellonów; Władysławowie i Ludwik zasiadają na tronie węgierskim, a na ich dworze znajdziemy niejednego Polaka; za Zapoljami odzywają się polskie sympaty, wyrażane i czynną pomocą; wreszcie powołuje naród szlachecki na tron opróżniony Węgra. Od Batorego głównie datują się wpływy węgierskie w Polsce; wpływy te ograniczały się jednak do kół ściśle zakreślonych,

Węgrzyn Polakowi w oglądzie ledwie dorównywał; toć z Krakowa czerpał on wiedzę i wtedy jeszcze, gdy sami Polacy źródła tego już nie cenili. Lecz Batory przyprowadził ze sobą znakomicie wyćwiczoną piechotę węgierską, posługiwał się najchętniej, ku wielkiemu zgorszeniu panów, swymi Węgrami, i uczynił Węgrów strój, uzbrojenie, służbę, nawet frazesy ich mowy, modnemi. O zmianach zaszłych za Batorego poucza współczesny świadek, Andrzej Lubieniecki, w swojej Poloneutychii (pisanej znacznie później, 1615 r.): „rycerstwo polskie zachowało było w zależeniu pola i pokoju długim staroświecką armaturę, godną przeciw kuszom i łukom, nie przeciw ognistej strzelbie; siedło na koniu, blachą okowane, tak wysokie, że zakrywało pół jezdca a ważyło za trzy siodła terazniejsze; pancerz ciężki, tak że nietylko kijem, ale i nahajką można było rycerzowi dobić; ciężka tarcza, szyszak wysoki i szeroki jak pudło, co wszystko razem i w najmniejszy wiatr rycerza umordowało a konia osadniło; i kopia ważyła więcej niż terazniejsze dwie, i były inne rzeczy błazeńskie. Piechota też polska była, że bardziej do błaznów byli podobni, niż do rycerzów, bo je ubierano w szaty szachowane z różnych barw sukna; każda karwatka i szarawara miała w sobie kilka farb różnych; a broń ich miecz a barta (siekiera), ruśnica barzo rzadko; a ci ani wiedzieli, jako szançe robić

abo kosze: Król tedy rozpuścił wojsko polskie, przepisawszy im taki sposób wsiadania na koń, jakiego teraz nasi usarze używają; tak i nasza piechota węgierskiej się jęli we wszystkim akkomodować“ (wydanie z r. 1843, str. 109—111). Podobnie, choć z pewnem zustrzeżeniem, wyraził się Bielski w Kronice (w wieku XV) „drabikowie nasi chadzali z oszczepy a miecze przy boku mieli, pawęży też miewali, które spiąwszy, bywali bezpieczni za nimi jako za murem, ani jazda ledajaka nie przełomiła. Ale już dziś wszystko inaczej, więc niewiem, jeśli tak lepiej, lecz to baczę, że co pierwej Węgrowie piechocie naszej dank dawali, to my dziś węgierską chwalimy (u Łebskiego, Militaria, 1889, str. 144). Odbiło się to natychmiast i w języku, który już przed Batorym niejedno z terminologii szlachecko-państwowej, z kroju i zbroi, był przejął. Ustalało się to później żołnierką polską na Węgrzech przeciw Turkom, jeszcze częstszą węgierską w Polsce, a w XVII i XVIII wieku przyczyniło się zalanie kraju winem, które na Węgrzech się rodziło, lecz w Polsce umierało, i rzeczywiście do szabli i do szklanki głównie ograniczyła się cała nasza poufałość z Węgrami.

Terminy polityczne przejęliśmy dwa: *rakosz*, później *rokosz* smutnej pamięci, pole elekcyjne i tłumy szlacheckie zalegające pole, i spiszek przez nie wywołany. Jeszcze na sejmie elekcyjnym r. 1587 (Acta XI, 195) twierdzono: „iż Wmości do czegoś niezwyčajnego mieć się chcecie, do jakiegoś rokoshu, które słowo językowi polskiemu nie jest znajome“; tymczasem to myłka, słowo i pojęcie choćby od wojny Kokoszej znakomicie się ustaliło, używali go wszyscy, nietylko Górnicki („na miejscu rokoshu na elekcyą“), albo taki Adam Czachrowski, co to w chorwackiej ziemi długo służywszy i po węgiersku wiersz złożyć umiał („aby się schodzili na rozkosz w pole“, — czytamy w jego „Threnach“ z r. 1596 itd.). Drugi niewinniejszy dziś, *orszak* (otoczenie, pochód); węgierskie *orszag* znaczy państwo i tak go Orzechowski w liście do Krowickiego używa: „świat albo orsag nasz.“ Tem liczniejsze inne nazwy, „jezdeckie“.

Więc pan dosiada *deresza* albo *parepy* (paripa wierzchowiec, walach); *hajduk* (sługa, drabant) jedzie za *kotczym* (wozem, koczem) na *łogoszu*, aby go panu w razie potrzeby dodał; żrebcowi opinają nogi w *forgocze* (farkusz rzemień, jak w czeskiem). Wygoliwszy czuprynę, nasadza pacholek *magierkę* (czapeczkę węgierską), nieraz z *forqą* (forgo pióropu-z); zarzuci *kopieniak* (köpenyeg płaszcz), *kontusz* (kontös suknia), *dołman* lub *czuhę* (już Rej r. 1543 skarży się: „ale tam rzadko bywa pan, gdzie rządzi, czuha, dołoman“; po nim często o dołmanie mowa, np. „co u naszych ojców była kurta, to dziś dołoman“, („Co nowe-

go“ z r. 1650), do których później i *bekiesza* futrzana przystąpi; wcześniej-
sza już węgierska *delia* („drugi więc swą wioskę mija, rozwiódła go
z nią delia“, — Rej 1543 r.) i *deluza*. Naciągnął *nadrugi* (spodnie) i obci-
słe *ciżmy* (trzewiki) lub krótkie *bociury*, a w rękę bierze *belę* (siekier-
kę) albo *czekan* czy *nadziag*. Śmieje się z niego p. Bałtyzer z Kalis-
kiego powiatu w swoich „Rozkosznych Biesiadach“.

Pan brat prawie (całkiem) z *magierska* sobie szaty sprawił,

Ale dla nich nieborak siodłaka (chłopka) zastawił.

Inni zowią te „magierszczyzny“ ohydne, lecz moda modą pozostała.

Nietylko w ubiorze męskim przebijała węgierszczyzna; więcej je-
szcze znać ją było w obozie i wojsku, gdzie stary *katana* (katona żoł-
nierz, od niego przezwana „katanka“, jak rajtarka od rajtara, brande-
bura, karwatka, stradyotka, Radziwiłka u żydów litewskich itd.), z bro-
dą katańską (wedle Kochowskiego) rej wodził, czy to w *szeregach* (se-
reg, pułk), czy na *czatach* (csata, walka).¹⁾ Z Węgrów rekrutowali
się tak zwani *sabaci*, o których np. Żółkiewski pisze: „abyśmy się strze-
gli Sabatów od Sambora, jako byli wpadli przed kilku laty“, a p. Ga-
jewski w „Rozmowie Ukrainy z Żołnierzem“ z r. 1619 skarży się, że „za-
ciągamy do Polski, jakbyśmy mieli mało własnego „chłopia“, Węgry,
co nic nie umieją“. Są to węgierscy *szabados*, od wolności, swobody;
przezwni; sławniejsi niż oni, uwijali się dzielni *husarze* na zwinnych
sekielach (konie siedmiogrodzkie), z twarzą nieraz na krzyż ciętą, *kie-
reszowaną* (kereszt, krzyż), za nimi *giemki* (gyermek, dziecko, chłopiec,
harcowali na koniu; na przód darli się ochotnicy wybrani, *elearrowie*
(előjaro, przodujący); żelazne *szyszaki* kryły im głowę, *karwasze* ramio-
na, a *paiż* (pais tarcza) bok, u którego pałasz wisiał. *Dobosze* i *szy-
posze* zajęli miejsce dawniejszych piszczków; i z wieży pobudka (stróż)
dziś grają nam pobudkę, lub pobudka na nas działa, moralna, którą da-
wniej pobiedką zwano, czeskie pobidka) wytrębywał *hejnał* (hajnal, ju-
trzenka); laskę marszałkowską itd. zastępował *palcat* (palcsa, palica,
laska).

Cóż za dziw, że od tej węgierskiej służby i piechoty (która zresz-
tą, jak już Batory mawiał, w Polsce miewała tyle zysku, co wyniosła
w pyskn) i całe węgierskie słowa i zwroty się szerzyły. Szczególniej
po humorystycznych utworach XVII wieku napotyamy często takie

¹⁾ I w polskoruskich tekstach, np. księdza Drobiszewskiego z XVII wieku,
czytam *szereggi*, skąd ruskie słowo poszło; *czata* wtedy nie oznaczała straży przedniej,
lecz najazd, np. pisze Lubieniecki „ziemię moskiewską czatami naszemi wojując“
itp. Na ubiorach i broni połykiwał i *szych* węgierski.

uram (moi panowie), *bizun* (bizoni, naprawdę; czy nie poszła stąd nazwa bizunów, batogów, jakie hajduk—bizon leżącemu na kobiercu odliczał?), więc czytamy np. w Satyrze na twarz dworską: „Uram odstąpcie, han JM. idzie do Pana“; albo w „Intermedyum chełmińskim“: „Uram gazda beszte“ itd., całe węgierskie wiersze, włożone w usta chudego pacholka. Jeden z takich wyrazów zachował się w słowie *besztać*, urobionem od węgierskiego *beszte* (bestya), którego piechota Batorowa tak często używała, że urosło przysłowie: „nie mów królowi beszte, bo cie zetną jeszcze“. Gorzkie było to życie hajduckie: „słuchały“ opowiada o sobie:

Mierzi mię kij i szabla, zkosztuję obucha;
 Aż ja hajducką służyć. Jak ze dźdzu pod ryne
 Trafiłem... Rzekł mi starszy Andrasz: tej nocy strzedz musisz.
 Zbierz (strzeż) karetu, jisty niczego nie skusisz.
 Jeśli co ukradziono, to mię siekierkami
 Trzepali, równie jak trzej kowale młotami;
Beszte bizom tak mówiąc, źle mię to pykują etc.

Ci hajducy byli często Słowakami lub Rusinami z gór, mówili po rusku: tak ich też zawsze W. Potocki i inni wprowadzają. Od nich szły w Polsce nazwy Andraszów, Istwanów, Januszów (Janos, nazwa hajducka, czytamy np. w „Intermedyum chełmińskim“: „tylkoć tak hajdukom mówią, słyszysz ty Janusz“!)—choć byli i staropolscy Januszowie. Ci „Matyasowie“ z gór przymierali często głodem, nim na służbę trafili, stąd mawiają i dziś jeszcze po narzeczach, jak i w XVII wieku np. Kmita i inni: było mi *matjasno*“ t. j. było ze mną źle, smutno itp. Ale węgierski *baciarz* zdaje się u nas nowym. Z handlu winami pozostało np. słowo *antali antalek* (antalag, beczka wina); *maścacz* (słodkie wino) to przeróbka wschodniego masłoku, odurzającego napoju. W tak ścisłych i szczupłych granicach przedstawia się wpływ węgierski, uosobiony w języku; jeszcze słabiej oddziaływali dalsi sąsiedzi na południu.

Mimo ścisłości związków politycznych, jakie nieraz, od Jagiellonów do Sobieskiego, Rumunów z Polską łączyły, wpływów obyczajowych nie wywarły one żadnych, prócz jednego pola, które z polityką i aspiracyami rumuńskimi żadnej nie miało styczności. Rumun zawdzięczał, w jeszcze większej mierze niż Węgrzyn, całą swoją kulturę Słowianinowi, Bulgarowi; bułgarski język był jego językiem piśmiennym, urzędowym i kościelnym przez całe wieki (aż do XVIII); Rumun jesz-

cze za naszych czasów wszystko pisał i drukował cyrylicą, dopiero książkę Kuza narzucił narodowi alfabet łaciński, ale np. zmarły przed dwoma laty książkę Ghika, prezydent senatu, do śmierci swej cyrylicą pisywał; jeszcze dziś chłop rumuński sporządzi sobie za życia epitaf, krzyż nadgroby, z napisem bułgarskim; bułgarska arynga przy testamentach bywała najdłuższy czas obowiązkową. Setki najważniejszych słów rumuńskich (podobnie ma się rzecz z węgierszczyzną, również od Słowian zawistą) świadczą ciągle o dawnej, walnej przewadze słowiańskiej, i Rumun nie miał co wydzielać Polakowi. Od gospodarów wołoskich, lenników polskich, od rodzin takich, jak Mohiłowie, szerzyła się zato znajomość języka polskiego; najznakomitszy oświatą i ogładą Rumun XVII wieku, Miron Costin, spisał przecież dawne dzieje ojczyste dla Sobieskiego wcale niezłym wierszem polskim: liczne rękopisy (sami znamy trzy) świadczą o wzięciu tej epopei między szlachtą. Od Rumuna korzystał Polak w jednej, gospodarczej gałęzi.

Pasterz „wałaski“ od wieków, postępując śladami przodków, pasterzy zabałkańskich, zapełniał trzodami owiec *hale*, *poloniny* i *dziaty* (góry) Karpackie, rozszerzał swe pokojowe zdobycze wolnie a stale, aż dotarł na Morawy, opisałwszy olbrzymie półkole. Pasterz wałaski, z *fujarką*, poprzedzający trzodę i psy, już w XV wieku był tak typową figurą w Polsce podgórskiej i Krakowskiej, że i kaznodzieje o nim wspominać mogli. Otóż z rumuńskiego języka przedostało się wiele słów „pasterskich“, dotyczących hodowli owiec i jej produktów, do języka podgórskiego, polskiego i ruskiego, lecz nie myślimy wymieniać wyrazów specjalnych, już dawniej przez innych badaczy zebranych; poprzestajemy na tych, które ogólniej się przyjęły. Więc z narzędzi muzycznych długa prosta *fujarka*, piszczałka (*flueru*) i *multanki*, „w które na ustach grają“, nieraz w kolendach wspomniane; z ubioru *bunda*, biała lub czarna, kosmata; z produktów owczarskich: *bryndza* i *żętyca*; *koszary*, niegdyś dla owiec tylko przeznaczane, dziś i ludziom służące; i *manalki*, wyraz nowy, stąd może przyszedł. Lecz *Multan* bywał nie tylko pasterzem, kowalem lub konowalem, nietylko *wałaszyl* żrębce; on sprawował i urząd kata z swoim wielkim *multanem* (mieczem, „*multan* w szyję zmierza“, w „Penelopei“ J. A. Kmity z r. 1610, „o *multanie* Gedeonow“ woła Kochowski w „Ogrodzie Panieńskim“).

Przy niektórych wyrazach trudno ustalić, czy je wprost od Rumunów właśnie przejęliśmy, np. *czaban* (wół podolski, lecz dawniej pasterz. jeszcze u Reja zawsze, tak np. „dzikie pola, gdzie się czubani osadzają“ i i.) z rumuńskiego *czoban*, pasterz (czy raczej nie przez ruskie, z tureckiego?) albo *buhaj* (byk), z rumuńskiego *buhaj* (czy przez ruskie

i i.); nawet *bukate*, którąśmy do Włoch odnieśli, można-by od Wołochów (bukata) wyprowadzać; *salasz* lub *szalasz* jednak, pasterski, pewnie od nich przyszedł.

V.

Najniebezpieczniejszymi sąsiadami Rzeczypospolitej od Południa i Wschodu byli Tatarzy i Turcy; tamci, dla nieustannych napadów i grabieży, wyludniających Ukrainę i Podole, sięgających Rusi Czerwonej, grożących Lwowu i Lublinowi; ci, dla strasznej potęgi, która, po zawładnięciu Węgrami, dla samych spraw wołoskich i kozackich do nieodzownych kollizyi parła, jakie się to pod Chocimiem, to pod Kamieńcem rozgrywały. W ciągłych zapasach z Tatarami, zmuszających do zmiany szyku i wojowania, przyjmowano liczne szczegóły z ich własnego uzbrojenia i walczenia; popisывała się niemi i młodzież, nie-służąca w obozach, nadrabiająca miną i strojem; ciągłe stosunki dyplomatyczne z Portą, wielkie missye, poczynawszy od Twardowskiego za Zygmunta Augusta, a skończywszy na Chomętowskim za Augusta II, które i w literaturze liczne i obszerne pamiętniki prozą i wierszem zostawiły (np. „Przeważną legację“ Twardowskiego, lub „Dyaryusz Poselstwa“ Chomętowskiego z lat 1712—1714 przez Gościeckiego), obznajmiały szlachtę z terminami tureckimi, w jakie szczególnie proza i poezya XVII wieku obfitują. Nie myślimy wymieniać tych terminów, dotyczących się tureckich stosunków, urządzeń itp., o ile one tylko temu służą (u Twardowskiego, Potockiego, Gościeckiego), aby koloryt miejscowy wiernie zachować (z wyjątkiem chyba „derbisza“; o „chudym derbiszu“ — nagi, jak święty turecki, tozsamo — nieraz w literaturze humorystycznej mowa). Dla nas tylko te słowa ważne i ciekawe, które w ogólnym języku się przyjęły, jako osad owych wpływów i związków: nie rozróżniamy przytem tatarskich od tureckich.

Orda (*horda*), albo *kosz* tatarski, obóz, z *ordyńcami* i z *kozakami* (lekkio uzbrojonymi), wypadła szlakami dla *jasyru*, *koczując* z miejsca na miejsce *czambułami* (zagonami), ciągnąc w *temrukach*, *kajdanach* (*kandalach*) i *cymborzech* (wiązach), w *arkanach*, w *torkmyszach* (rzemieniach) nieszczęśliwe ofiary, siekąc je *nahajkami* i *basatykami*, *kańczukami* i *karbaczami*, darując je życiem tylko w nadziei okupu, lub spieniężenia na *bazarze*, *aurathbazarze*, jak Twardowski mówi („Targ nie-

wieści“), albo wprost na *majdanie*, placu. I *haracz* roczny, kształtniej upominkiem zwany, nie zapewniał od napadów *chanaji* (tłuszczy) tatarskiej, szukającej *ulafy* (zysku, jeszcze Rej zawsze tak mawiał, później tylko *łafę* żołnierską tak nazywano) nie u chana, ale na Rusi, stojącej otworem. Dowodzili nimi *asawuli*, *ulani* itd. z *buzdygnami* (buławami), pod *buńczukami* (ogonami końskimi na drzewcu, stąd bundziuczyć się). Niesłychaną szybkość ruchów zawdzięczali oni swym *łoszakom* (konie tatarskie, których oni łoszakami zowią, pisze Gwagnin, r. 1611. ruskie łoszad'), *rumakom*, albo, jak je pierwotnie zwano, *ohromakom* (jako bystry ochromak, mawiał Rej), lub *hromakom* (u Strykowskiego), *bedewijom* arabskim, *badrakom* i *bachmatom*. *bulanym*, *karym* i innej maści. Siedzieli na *jarczakah* (lekkich siodłach) i *wojłokach* (wojłokach u Reja), przykryci *burką* (której widok sam, zdradzając Tatarzyna, straszyl), albo *krymką*; do świetnego wystąpienia należały *kutasy*, *czoldary* i *czapraiki* na koniu (choć czaprag i kosztowną zarzutkę kobiety oznaczał, np. w „Penelopi“ J. A. Kmity; i *kanak*, naszyjnik, stąd wzięty). Ulubiona broń, strzała, tkwiła w *sojdadku* lub *kołczanie*; i części jej (*zekir* itd.) przezywał Polak z tatarska; dalej *dzida*; piersi strzegł *hechtyr* (pancerz) i *kalłkan* (tarcza); do ubioru służył *kaf-tan*; w *demezce* lśnił się znakomity *bułat* (stał) — tak wygląda i polski hussarz w opisie u Kochowskiego: „wąs nową fozą (modą) *ballabańską* (tatarskiego atlety), *telej* z turecka, z gęstą strefą złotą, *andzar* za pasem... but z turecka wielki... przy nim albańskie ostrogi“ itd. Lecz nie koniec tym nazwom: *kulbaka*, *tebinki* (rzemienie u siodła—co innego niż tabinki, podeszwa), *temlak* dla szabli itd., a przedewszystkiem rozmaite płaszcze i koce, *czekman*, z którego później i „sukmanę“ zrobiono, jakby od „sukna“ ją wyprowadzając; *kiliny* (*kilimy*, kilimki) i *derby* („co za ojców naszych była gunia, to teraz kilim, derba“, („Co nowego“ z roku 1650); *kirejka* z grubego *kiru*, szarej materyi (Jabłonowski w „Pamiętnem uprowadzeniu“ r. 1745 pisze: „kieręjkę Turczyn, Tatar burkę suszy“); *czuhy* itd. Materyi na to wszystko sprowadzano ze Wschodu i nazywano po wschodniemu, począwszy od drogich *attembasów* (złotogłowia), *tabinu*, *tafty* i *sai*, a skończywszy na prostej *dymce* i *musulbasach*. Gościecki np., bawiąc w bułgarskiej Prewadii r. 1712, zapewnia, że do nas „stąd najwięcej mamusy jak i musulbasy, bo co dom, to ich warsztat, idą tymi czasy“, „za swoje (Turczyn) musulbasy, za garść wełny koziej“, pisze W. Potocki. Aż do obuwia, do *baczmagi* i do *czobotów*, sięgały te nowe mody; tu należy i *taśma*, która jak i *szlak* (szlaczek), nie tylko obramowaniu, listwom itd. służyła, lecz i w polu ślady znać, np. Ulryk Radziwiłł, goniąc roku 1749 hajdamaków (w ciemnych, zielonych czekmanach), bierze po nich „taśmę“.

Znajomość rzeczywiŝta języków wschodnich była nadzwyczaj rzadką, posiadał ją chyba jaki „poturnak“, lecz ze słuźby i obozów, od *kardaszów* (braci) tatarskich, szerzyły się przy ciągłych najazdach pojedyncze wyrazy coraz dalej. Zamiast przewodników, poszukiwano teraz *kałauzów*, choćby i do nieba; kto dobrą nowinę przynosił, żądał i odbierał *musztuluk*, albo *munsztuluk*; u Twardowskiego np. wołają Turcy: „dajcie Laszy munsztuluk, nowina wesola“, albo: „munsztuluk pośle gotuj, nowina wesola“, itp. Co dawniej butynkiem było, teraz w *paju* (dział łupów) chodzi; wziął w paju, pisze Ulryk Radziwiłł, a p. Dobieński w „Świecie wierszów na święta Maryi“ (z roku 1725) żałuje łotra na krzyżu, co „nieszczęśliwy w paju“ (gdy łotr Dyzmas dostał raj). Zamiast rozkazów, mówią o *emirach*, rzadziej i o *bujurdunach*; marsze przerywają *kunaki* (stacye); sławnych rycerzy już Grochowski zowie „delijunakami“ (deli — odważny, szalony), a staropolskich „gardzin“ dawno już *bohater* (stąd i węgierskie Batory) zastąpił. Mikstatników, szrotarzy, tragarzy, zastępują *hamali*; obok hajduków itd. ; zjawiają się *pajucy* (laufry); co w wojsku tureckim byli akandzi, ochotnicy, śpieszący w przedniej czacie na łupy, staje się u nas zbrojnym orszakiem, *achandyją* i *archandyją*, otaczającą pana, lecz Zimorowicz nazywa i „psów archandyją straszną“; podług gawieź *haramzą* przezywają, np. mówią o zaporoskich haramżach, albo harańdzi — od tureckiego *harami*, zbój, którego po dziś dzień w „harmiderze“ używamy; harmider, dziś wrzawa, hałas, słowo przed Zbylitowskim i przed „Zwierzyńcem Jednorożców“ (Fredrów) Glinki (z roku 1668) zupełnie, ile wiem, nieznanie, zwało się miejsce, pełne niebezpiecznej wrzawy; Haramideres, o którym Glinka pisze:

. . . jest to miejsce niebezpieczne w lesie;
 Każdy kupiec tamtędy jako na szauć niesie
 Zdrowie swe rozbójnikom, aż go nazywają
 Dół rozbójniczy drudzy, lecz straż w niem miewają.
 Teraz szaraj cesarski piękny zbudowano,
 Zwierzyniec uczyniono, a zbójców wygnano.

Próbowano przedtem innych wywodów słowa tego, z niemieckiego naprzykład, te próby jednak nie udawały się. Milicyę cesarską stanowili i *Semeni*, których nazwę u nas na kozaków nadwornych przynoszono.

Od Tatarów i Turków nietylko przejmowano stroje i kroje, bronie i konie, bieda zmuszała nieraz, szczególnie w obozach, żywić się ich sposobem, *ciorbą* (polewką), *bastramami* (kawałkami suszonego mię-

sa) i *abuchtami* (ormiański wyraz dla solonego i wędzonego mięsa, koziny); w *saganach* gotowano *sałamacę* i kaszę, do tego miano w *bukławie*, lub *bukładzie* brahę, a w najlepszym razie „horylicę“ — oto „bewandy i frukty ukraińskie“, a i te jeszcze należało wozić z sobą w *sepetech* (skrzyniach), na *samarach* i w *jukach*, jakimi Turcy wielbłądy, a nasi konie i wozy okładali. I ciężko się biedowało dla ciągłej napaści od jednego nieprzyjaciela, a w strachu od drugiego sroźszego, od *dżumy*, gdy złowrogi *tuman* stepy zaściewał, w których się i niszcząca wszystko *szarańcza* wylęgala. Dym *tabaku* i *tiutuniu* odurzał, choć nieprzywykłe mu, głowy; „piją“ go kozacy, a od nich i polski żołnierz go przejął, mimo protestu, jaki szczególnie literatura zanosila przez cale stolecie (XVII) przeciw takiemu „podkurzaniu mózgu, że się rozum zaćmi, fantazja wzburzy“ (słowa Zimorowicza). Szlichtyng, Morsztyn (Andrzej), Trembecki (Jakób) i inni układali w zawody mniej lub więcej udatne wiersze i żarty „na tabakę“. Nie wstrzymało to jej zwycięskiego pochodu; niełaskawe witanie i z kawą się powtórzyło z takim samym skutkiem. Pierwszy Andrzej Morsztyn o napoju tym z obrzydzeniem wspominał:

W Malcieśmy, pomnę, kosztowali kawy,
Trunku dla Turków... Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby,
Niech chrześcijańskiej nie plugawią gęby...

lecz zmieniły się gusta, i właśnie ten „napój“ arcychrześcijańskim został; wschodnie jego pochodzenie wskazują choćby nasze *filizanki* *furfurowe* i *imbryki*, z których go pijemy; takie-to kručze, a panowanie tureckie w Europie pono przetrwa; farfura, porcelana, właściwie „towar chiński“, a imbryki z ibryków, dzbanków, powstały, „sprośne *imbryki*“ Klonowicza, to włoskie: *ebbriaco*, opily.

Wspomnijmy i o słowie, dziś do wyższego języka należącym, choć niegdyś bardzo pospolitem, jak: *catun*, *rydwan* itd., które również z najędźniejszej prozy do poezyi się wzniosły; *kotara*, dziś droga zasłona, niegdyś prosty, pilśniowy namiot (*szater*) tatarski, dawniej i kotarhą zwany, np., Batory w drodze pod Psków „na południe pokarmuje w chrześcijańskiej (zamiast chróściana) kotarze“, pisze Jan Piotrowski; kotarhy słomą, sianem przykrywają u Jana Tarnowskiego itd. Zawój turecki, owo „pudło“ na głowie, zowiemy dziś turbanem, tulbantem i tulipantem: tulipany w ogrodach po nich do dziś zostały, (tureckie: *tulbend*, węgierskie *turban*). I *gajdy* (dudy) z turecka nazwane.

Tatarzy sami, w ciągłych wyprawach na Ukrainę i Podole, mawiali łamaną ruszczyzną; w literaturze stale ich tak wprowadzają, na przykład u Białohockiego w „Brat Tatar“ z r. 1652, mówi „Tatar“ do „Chmiela“: moja nie jesz (ja nie jem), kiszka bolisz, stukasz... Już tebe zjesz (zjem), bo moja (ja) teper hłodna, itd.

I o słowach tatarskich powtórzmy, cośmy powiedzieli o węgierskich i włoskich: nadpłynęły one do języka z falą dziejową, lecz zmieniły się kierunki i odpłynęły one na zawsze—użyje ich chyba Sienkiewicz, dla dokładniejszego odwzorowania ludzi i czasów, i wprowadzi w ambaras, nie tak czytelnika, jak tłumacza, który naprzykład z kunakami, z Lipkami i Czeremisami poradzić sobie nie umiał. Inaczej miała się rzecz na Rusi, gdzie, z powodu długowiecznych stosunków z Ordą, wiele najważniejszych wyrazów, naprzykład w gospodarce państwowej, pieniężnej i domowej, do dziś o dawnych związkach i wpływach świadczą.

VI.

Gdy tak obyczajowość polska, wchłaniając najrozmaitsze obce żywioty, wobec nich niby bierną rolę odgrywała, przyjmowała je na zawsze, lub chwilowo, przetrawiała, lub odrzucała, jako zbytne, niemodne, przestarzałe, przypadająca równocześnie na jej udział zupełnie odmienna rola wobec Wschodu, wobec Rusi i Litwy; co Polska z za granicy nabywała, wszystko obce i wiele własnego, szerzyła ona w obrębie państwowym i nawet daleko poza jego granice. Całe życie, przedewszystkiem klas wyższych, na Rusi i Litwie, polszczało doszczętnie; zostawały imiona, rodowe i miejscowe, lecz zmieniała się treść ich; wpływ polski przenikał wszędzie, a wyrazem jego najważniejszym był język Rusi Czerwonej, Czarnej i Białej, język litewski i żmudzki, obfitujący w niezliczone polonizmy. Wystarczy dziś jeszcze wziąć hyle słownik małoruski, białoruski, litewski: co czwarty lub piąty wyraz wzięty tam z polskiego; a w dawnym języku piśmiennym, znanym z akt urzędowych, z literatury polemicznej, z „wirszów“, zjawisko to występowało jeszcze jaskrawiej. Ileż-to razy tylko piśmownia i końcówki są ruskie, a sam tekst właściwie polski; i najlepszy znawca pomyli się, jeśli nie będzie coraz tu uwzględniał toku polskiej

myśli i wystowienia, bo co tu po rusku wyrażono. pomyślano wprzód po polsku.

Lecz i poza Kijów, Połock i Smoleńsk, dosamej Moskwy, docierała książka polska, szkoła polska, wzory obyczajów i urządzeń polskich, bezpośrednio i pośrednio przez kollegium Mohilańskie (akademię Kijowską, rządzącą się trybem szkół jezuickich), przez stosunki z bojarami, którzy nieraz zdradzali się z zamiarami przeszczerpienia szlacheckiego państwa na własnym gruncie. Najsilniej występowały te wpływy za Zofji i Golicyna, podczas małoletności Piotra Wielkiego, a główne znaczenie reformy Piotra właśnie na tem polegało, że z pominięciem Polski, ponad jej głowę niby, zawiązano stosunki z zachodem i pchnięto państwo na tory zachodnie, dyplomatyczne, wojenne, ekonomiczne, naukowe i obyczajowe. Wykazać to wszystko byłoby rzeczą osobnego studyum, do którego zebrał cenny materiał np. p. Szlapkin w dziele o Dymitrze Rostowskim (r. 1891); zaznaczam tu mimochodem, że znowu język przechował po dziś dzień ślady owych dawnych stosunków. W osiemnastym wieku było ich więcej, kiedy jeszcze np. język urzędowy używał zwrotów, jak: szlachecki, korona itp.; lecz i dziś znajdziemy je nieraz, począwszy od pożywienia (bułka, kuchnia i kucharz); ubioru (pończocha, szpilka); szkoły (tablica, szkoła) mieszkania (komnaty, pokoje, zamek, turma, buda); rzemiósł (malarz, malować, rysować, gwazdać obrazy, sztuka); aż do nazw społecznych (mieszczanin, pan, pani i pański); w wojskowości: pułkownik, porucznik, chorąży, tabor, szereg; dalej: stolica, herb i herbowy, bunt, (węzeł), i oderwanych: powód, cel, szkoda, przedmiot, pozwolić i i. Pomijamy takie, jak owczarnia, szelma, smarować, różaniec, potomek, gwałt, trafić, krochmal, jarmarek, niejedną nazwę botaniczną i i.—niektóre z nich są wprawdzie niemieckie, lecz przywędrowały przez Polskę i Małoruś.

Rzeczą innego studyum było-by znowu wykazywać, jak na Rusi polskiej i litewskiej przemiany szły odrębnymi torami: na Podole i Ukrainę przenosiły się rody polskie, pańskie, magnackie, polonizacja szła tu z góry, popierana miejscami i drogą kolonizacyi. Na Litwie przeciwnie, żadnej immigracyi ani kolonizacyi nie było, rody polskie dostępu tu pierwotnie wcale nie miały, przedewszystkiem od urzędów były wyłączone.—Ile-to zachodu i hałasu było, nimby „Polak“ biskupem wileńskim lub wojewodą uowogródzkim (jak Jabłonowski) został! Na Litwie polszczała tubylcza szlachta (i mieszczaństwo) przez szkołę i kościół, dwór królewski i książkę, przez pobytza Niemnem, pacholikiem, „rękodajnym“ polskim, przez szwagierstwo. Już w szesnastym wieku władano znakomicie językiem pisemnym; trzeba czytać listy Ra-

dziwiłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, aby ocenić ich polszczyznę; znajdzie się tu czasem słowo lub przysłowie ruskie, jak i w listach Zygmunta Augusta, ale to wyjątkowo (np. *staryna*—stąd *starynny*, *mładeniec* i kilka innych). Tylko statut litewski trzymał się dawnych terminów jeszcze i w siedemnastym wieku.

Coraz zwiększała się liczba Litwinów, Białorusów i Małorusów (rodem), biorących udział w polskim ruchu umysłowym, albo ludzi z polskiej krwi na ruskiej ziemi wyrosłych, obznajomionych z językiem otoczenia, nie wahających się słowa jego, uważane jakby za własne, nie obce, wnosić i do języka piśmiennego, od Stanisława Orzechowskiego i Szymona Budnego począwszy, a kończąc ów pierwszy szereg na Klonowiczu i Zimorowiczu. Orzechowski więc napisze „na tym kierchmaszu albo na tym *prazniku*“, *puhami* zamiast *pęgami* (biczami), *sorom* i i. Budny, acz mu się propaganda religijna między Rusią nie powiodła, ruskiego pisma św. był najgorliwszym czytelnikiem i własne tłumaczenie biblii rusyzmami bodaj po bokach opatrywał, np. pisał *działaciele* (robotnicy), *zawidować* będzie; lnu tłąjącego się, po rusku *kurzącego* itp. Klonowicz, Wielkopolanin, dopiero w dorosłym wieku na Czerwoną Ruś przybył, lecz we Lwowie i Lublinie tak się w niej rozkochał, że i najlepsze swe dzieło poetyckie jej opisom poświęcił, i własny wiersz polski ruskimi słowami przetykał: we „*Flisie*“ i w „*Worku Judaszów*“ czytamy np. *hołowieńko*, *izmiennik*, *diedu*, *borzobohaty*, *mołodziec* (*mołojce*), *rysią kużą* (skórą) *przewerniona*, *chorosze*, *pohański*, *złote żniwo*, *chwostem* (ogonem) itd. Zimorowicz, Lwowianin, używa nietylko nieodzownych terminów, aby w sielankach miejscowe tło ruskie wyrazić, lecz i bez tej przyczyny nie waha się wplatać słowa te same, co Klonowicz, i inne, np.: *sobaka*, *wataha*, *pohańcom*, *druhowie*, nie *trunie* (piśnie) za nami itd.

Te przykłady niech wystarczą. Moglibyśmy cały szereg poetów i poezji przytoczyć, Twardowskiego, Potockiego, Gawińskiego i innych; w osiemnastym wieku np. jowialne, w stylu Baki pisane, Refleksye duchowne ks. Mikołaja Juniewica. r. 1753, poświęcone wojewodzie Sołohubowi (sam *powodyr*, tam się *glumią* itd.); we wszystkich znaleźlibyśmy podobne przyczynki. Gdy tak poeci, dla komicznego efektu, dla miejscowego kolorytu lub z prostego nawyknięcia rusyzmów zażywają, brak ich zupełnie w prozie, jeżeli pominiemy liczne dzieła i broszury, wojujące o unię, przez cały ciąg XVII wieku. Autorowie ich Rusini, o ruskie rzeczy im idzie, więc nietylko wyrazy cerkiewne zatrzymują, ale i pospolite, choćby i przysłowia, a najwięcej ostre wyzwiska wtrącają, od Pociēja i Smotryckiego, aż do Baranowicza, Żochowskiego i innych.

Z przytoczonych właśnie okoliczności wynika, że próżno-byśmy się siliłi ruskie słowa polskiego języka pod jakieś ogólniejsze normy czy rubryki wciągać, cośmy dotychczas z wszelkimi innemi czynili, bo są one nieliczne, przypadkowe, dorywcze; wrzucił je jeden i drugi pisarz w siedemnastym wieku, jedne się przyjęły, drugie znowu zanikły. Więc umyślnie, bez żadnego ładu, tak, jak i one do języka się wkradały, wymienimy tu kilka ciekawszych i ważniejszych, które próżno-by kto wytłómaczyć się silił, gdyby nie wskazał ich pochodzenia ruskiego.

Nadwyreżyć (np. oczy czytaniem) zdaje się dobrem polskim słowem, ma przecież i wy i ę, a wszystko fałszywe, jak wdzięki starej kokietki. Przed siedemnastym wiekiem słowa tego nie znano, wprowadzili je półruscy pisarze jako *nadwerezzyć*, np.: których zazdrość ludzka nie *nadwerezyla* pisze A. Tyszka w „Atalancie“ r. 1617; łód *nadwerezony*, Żebrowski r. 1637, z *nadwerezaniem* zdrowia, Karaś „Bando na gorzałkę“ r. 1716; kogo choroba dużo *nadwerezdi*. Niewieski „Rythmy“, r. 1698 itd. Gdyby to słowo było polskim, brzmiałoby *nadwrzedzić* (od wrzodu), ere jest ruskiem, jak w (galicyjskich) czereśniach zamiast trześniach, czerepach zamiast trzopach, czerewach (Klonowicz. Kochowski) zamiast trzewach, czeremchach zamiast trzemchach (por. Trzemeszno). Już dominikanin Okolski pisze „*nudwerezda* prochów“ w kontynuacji dyaryusza (kozackich wojen) r. 1639. Podobnie ma się rzecz z *oszolomionym* (uderzonym w głowę, odurzonym).

Sobor, koncylium, został się od wspomnianej literatury polemicznej, od Smotryckiego i innych; po polsku byłby zborem; podobnie *sojusz* z ruskiego poszedł, po polsku byłby związem. Od tychże polemistów dostaliśmy i *trutnia*, zamiast trątu, jak go jeszcze Klonowicz zowie, np. abyśmy trutniom podobnymi się stali („Elenchus pism uszczypliwych“ r. 1622), i inne przezwiska, szczególnie *durnia*, bardzo częste w owych pismach, mianowicie w „Lithosie“ Pimina z r. 1644, gdzie np. czytamy: „stulże pysk panie mudrohelu (mędrohelem się czynisz, choć oni i o mędrzelach często piszą) miły bałako (bałakać), bakulo, saperdo itd. Obok *durnia* mamy *durzyć*, *durnicę* i *durować*: u Kochanowskiego w „Szachach“ Fiedor tak mówi.

Nieco starszem jest *duży*, pierwotnie silny, później i wielki (jak siła ludzi wiele ludzi oznacza), przyszło ono i z przysłowiem „serdyt a ne duż“, lecz nie silny); *duży* chłop znać silnego, potem i wielkiego, więc w „Polityce pańskiej“ Lipsiusza, tłómaczonej przez ks. Szczerbica (r. 1608) czytamy: „lepiej, że będzie *duży*, niż wielki“ (przy wyborze żołnierza). Mimo trzech wieków, jakie co najmniej temu wyrazowi u nas liczą, język piśmienny od niego stroni. I również stare *harować*

(horować) mozolić, biedzić się, pisarzom XVI i XVII wieku dobrze znane (np. Klonowiczowi i innym), prowincyą pachnie, chociaż go „mistrz“ (Towiański) używał i polecał, i na nim naukę zakładał.

Zato *hoży* panienkom się dostało, pełnym ruchu i wdzięku, gdyż się „godzą“, podobają; pominąwszy h, które mogłoby być i czeskiem, ż zdradza ruskie pochodzenie, jak i w *przedaż*, *sprzedaż* i *odzież* — ż ruskie, zamiast polskiego dz (odziedza); polskimi były, znane i dziś, *przedaj*, (porównaj *przedajny*), i *odziew*, (przyodziewek); u Kochanowskiego jest nawet *nadzieżny* koń, (wobec nadziei). I to są więc mieszańce, nie pożyczki, jak *hardy* itp., w których polskie brzmienie zastąpiono obcem; zamiast *nędzny*, *znędzniały*, poeci XVII wieku używają nieraz *nużny* w podobny sposób. *Ochoczy* znówu i *robotny*, ze względu na swoje cz zamiast c i późne, sporadyczne zjawienie się, rusyzmami się wydają, chociaż mamy we własnym języku przykłady podobnego cz zamiast c, i bez wpływu ruskiego (np. *depczę* zamiast *depcę* i pod.); Knapiusz obu tych słów jeszcze nie zna, ma tylko *ochotny* i *robotny*.

Ramotą nazywamy dziś piśmidło, dawniej *ramoty* i *hramoty* pisma oznaczały, h odpadło, jak w *ruby* z *hruby* (*gruby*), w *rabieży* z *hrabieży* (*grabieży*); od *rabieży*, niby od *rabowania*, należy *rubieże* (granice, właściwie poręby) odróżniać, które w XVII wieku nieraz mieszano; tu należy i *rubaszny*, od *rubacha* i *rubaka* (jak *zawadzaka*, *wereszczaka* itp.).

Opryszkwowie, dawniej i *opryszczkowie* („na Podolu i Pokuciu między opryszczkami żyjący i przewodnią z nimi trzymający“, Sakowicz „Perspektywa“ z 1642 i inni); *hultaje* i *szukajły* rozbijali *kolasy* (nie twierdzimy ruskiego początku słowa, lecz jak od nieba, mamy *niebios*, tak oczekiwaliśmy od koła *kolosa*); stąd ta wielka niepewność dróg, nie tylko na Pokuciu i Podolu, ale i na Pobereżu, tak, że przysłowiono mawiano, (np. Starowolski „Pobudka na zniesienie Tatarów“ 1971), „czyż królestwo nasze zawsze będzie jak na pobereżu wszystkim łotrom na szarpaninę wydane?“ — może *narzeczowe barezyje*, *zberezyje*, *niegodziwości*, z tem w związku pozostają.

Słynne były ruskie czarownice, co na ożogu do Kijowa latały, i Chmielnicki się niemi otaczał; więc *wiedma*, później *wiedźma* z ruskiego przewano, jak i *upiór*, *upierzyc* (zamiast *upir*, z wampiru zruszczone). Nasyłały one i *kottuny* (gościec po polsku) z ich dziwaczniemi zachciankami, i leczyły od nich zamawianiami, o czem szeroko rozpisuje się dr. Syxt (o Cieplicach we Skle, r. 1617), o tej od trzydziestu kilku lat, najpierw na Pokuciu i przy Bieszczadach, zjawionej cho-

robie, szerzącej się bardzo rychło ku Wiśle. *Kottun* nazwany od kietania, kołysania się, jak *kottki*, zausznice, o których wyżej mówiliśmy.

W rubasznej mowie znajdziemy i inne russyzmy, wykluczone z piśmiennego obiegu, np. *morda*, *portki*, *hreczka* (gryka), *korcić* i *czupurny*; naczupurzyć się tutaj należy, czytamy je np. u Juniewicza: „Jegomość durny, niegdy czupurny” itd.; w poezyi, u Mickiewicza np., trafiamy również na jeden i drugi wyraz, pominąwszy *chołodziec* litewski lub *borowik* (grzyb), np. *rozhowory*, podczas gdy u Zimorowicza Demian z Panasem *rozgwary* czynili; *wraży* synu itp. *Rusalka*, acz w końcu z łaciny wyszła (rosalia, uroszystość, jak kolęda), również tu należy.

Znacznie więcej słów takich było w XVIII wieku: czerpali z nich autorowie jak ze skarbcza własnego języka (jeszcze w XIX wieku zaliczano nieraz małopruskie do polszczyzny, a XVII wiek między mazurską a ruską, chłopską gwara, niebardzo rozróżniał); są to słowa charakterystyczne, specjalne, np. dla Kozaczczyzny, są jednak między niemi i słowa ogólniejszego znaczenia. Z przysłowiami wędrowało niejedno; wspominaliśmy już: *serdyt a ne duż*; łącno *durować* kiedy przystępuję; podobnie: nie cięży swe *boroczno* (obrok) koniowi, najdzie swadźba *soroczkę* (wesele koszulkę), *molczanka* nie *puszy* i. Jedno z najciekawszych, jako rażący przykład dowolności językowej, jest słowo *borys* dla grubego chleba; najbystrzejszy etymolog nie odgadł-by nigdy, że pod nazwą tą kryje się imię świętego, Borysa, brata Gleba (w małopruskiej wymowie Hleba, Chleb), synów Włodzimierzowych, męczenników. Skoro imię jednego brata z chlebem utożsamiono, imię drugiego innemu, podlejszemu chlebowi przywłaszczono; czytamy np. w kazaniach kieleckich z początku XVII wieku (Wisła VII, str. 74): „tu (na ziemi) chleb czeladny i *borys*, a tam (w niebie) szczerą ziemią pańską; podobnie u Knapiusza: chleb gruby jako borys litewski chleb *pośledni* i i.; nazwa bułgarska (nie słowiańska) i książęca dla prostego chleba—*awaus* nie ladał

Powszechnie używano *rochmanny* w znaczeniu ułaskawionego, łagodnego, *urochmanić* oswoić, ułagodzić itd., słowo wschodnie, przez małopruskie (*rachmanny*) przejęte. Również *komunik* dla jazdy (z ludźmi komonnymi, komoników o jednym koniu, komonnikiem bez wozów, komonnie się przebrawszy itd.) z ruskiego (*komoń=kón*) poszło. Nakoniec *czolobitną*, *czolobitnią*, dla oznaczenia kornej prośby, z jaką Rusiu przed książęciem czołem bił. I *hałas* z tychczasów pochodzi.

Specjalnemi wyrazami dla kozaków—*serdeniat* i *dejneków* z zakreconym *seledcem* (kosmykiem) na głowie ogolonej, z *samopalem* na ramieniu, a *wekierą* (pałką) *dereniową* za pasem, którym po *kurzeniach* (*sadybach*) na *kobzach* i *bandorach* Chmielnickiego *dumę* (pieśń) przygrywano, a *horelicą* głowy zalewano, nie myślimy czytelnika trudzić:

należała-by tu i ulubiona ich gra w karty (*semodynacet*), i rozmaite przezwiska, *bledyniec* itp. Jeśli np. u Twardowskiego w czwartym „punkcie“ Władysława (z r. 1646) Polacy się Szwedom odgrają:

Cóż, morskich tych *szewłuchów* śmierdzących śledziami
Niemieliby za morze zasiec *nahejkami*?

to autor użył ruskiego słowa, jak np. Okolski w dyaryuszu, gdy przyznaje Kozakom, iż u nich na starszyznę „nielada *szelucha* się obiera, abo nieladą *chirawca* (ślabeusza) między sobą obierają“. Słów takich u Okolskiego i innych dosyć, np. *komesz* trzcina, (wprzód *komeszyną* jawnie skarano—Filoneńkę po straconej sprawie); *wereszka* (dla strzały, przystępionej czy odłamanej, ogólnie znane) i i.

Tylko o jednym jeszcze wyrazie wspomnimy, częstym po pamiątkach XVII wieku, niezrozumiałym nieraz dla nowszych wydawców—*szysz*, co nie „strzałę“, lecz (z wschodnich języków poszedłszy) wolontaryusza, franctireura oznacza, np. w dyaryuszu wojny r. 1633 czytamy „nasi pachółkowie wojskowi giną partim od szyszów, partim od czat nieprzyjacielskich“; Maskiewicz pisze: „napadli na nas szyszowie“; najobszerniej Lubieniecki (str. 181): „szyszowie zaśzbójcy moskiewscy, których się było wiele naczyniło z tych, którym ona wojna majętności, żony i dziatki odjęła, ci mieli zimę onę (1612) po sobie i tak na nartach, abo jak tam zowią na *łyżach* biegając po kilkuset w kupie z łukami, rusznicami i *berdyszami*, naszych w ciągnieniu nabiegali i siła im szkodzili na zdrowiu, na koniach i inszych majętnościach“. Podobnych wyrazów specjalnych, o broni, stroju itd. ruskim, moglibyśmy jeszcze sporą liczbę z owych wieków przytoczyć.

VII.

Ostatniej epoki w dziejach oświaty naszej i naszych słów obcych, doby od 1750 r. do 1990, nie włączamy w zakres tego studium.

Gdy po wiekowym zastoju umysłowość i obyczajowość do zachodu, do jego życia i trybu światła i wiedzy, myśli i mody na nowo się zwróciła, ani olbrzymia niegdyś przewaga łaciny, ani dawny polor włoski w nich już nie przewodziły. Ton i etykieta dworu wersalskiego, mody paryskie, filozofia encyklopedystów, literatura pseudo-klasyczna

stały na świeczniku: ku nim zwracało się i w Polsce wszystko, co do nowej ogłady pretensy rościło, co z wiekowym sarmatyzmem zrywało. I zapanowała gładka, wymuskana francuszczyzna ogólniej, wyłącznie jeszcze, aniżeli niegdyś łacina i włoszczyzna: strój i meble francuskie, i francuskie książki, i nuty, ogród, kuchnia i służba, zabawa i karty, konwersacya i maniery rugowały wszystko, co staropolskie, z zamków i dworów, z salonów i gabinetów, z туаlety i reduty. I znowu odbił się w języku ten przewrót. Lecz cóż nam po tem, po krawcach i modystkach, po fryzyerach i perfumiarzach, po restauracyach i magazynach, u stolika zielonego i na polu wyścigowym, którego terminy angielskie na Francję wędrowały, na giełdzie i po bankach, gdzie dawne włoskie wyrazy (lombardy, bankrut itd.) francuziały, w nauce i literaturze, zbierać wpływy francuskie, wyrażone słowami? Niema tu już żadnych zagadek ani trudności; są co najwyżej jakieś nieporozumienia czasami; (np. „liljowy“ kolor, chociaż nie biały, lecz bżowy—lilas) bransoleta, bagnet i i. są wyjątkowo jakieś samoistniejsze nieco porywy (np. spryt, sprytny z esprit, fluterny z rzadkim przyrostkiem); zresztą wszystko jasne, widoczne, powszechnie znaue. Z przesadnej galomanii, wyszydzauej już w zeszłym stuleciu, otrząśliśmy się nieco później.

Olbrzymi rozwój naukowy i techniczny zalał w tym samym okresie, a szczególnie w ostatnich latach, język nowotworami, czasem zupełnie sztucznymi, dowolnemi (jak np. słowo gaz, wymyślone), najczęściej zaś greckimi (złożonemi), rzadziej łacińskimi (motor itp.) W stuleciu chemii i mechaniki obejść się bez nich niepodobna; zastępować je gwałtem nowoukutemi dziwolągami wydaje nam się nie zawsze trafnem — lecz wyliczać je tu albo zastanawiać się nad nimi znowu niema najmniejszej potrzeby. Każdy je rozezna i zrozumie. a purysta zaledwie na czas zdąży, aby terminy obce coraz nowych od kryć, wynalazków i sportów domorosłemi zamieniał, aby za Eddisonem i Szczepanikiem, za Pasteurem i Kochem nie zbyt w tyle zostawał.

Przedstawiliśmy, jak obce wpływy w ciągu wieków kulturę polską zasilaly, o ile w archiwach języka samego te wpływy widocznieją; zaniedbaliśmy przytem objawy i okazy drobne, np. parę słów szwedzkich (nieraz przez Ruś do nas wędrujących), hebrajskich (dziwnie nielicznych, wobec ilości i dawności Żydów w kraju; lecz wobec odobnionych i żyjących przez całe wieki zupełnie odrębnem życiem, trudno się było czego innego i spodziewać) i innych. Nasuwa nam się jeszcze kilka uwag co do rzekomej przewagi obcych żywiołów, wyrazów „pożyczonych“ w języku polskim. Co o niej sądzić należy?

Przewaga ta, którą niby profesor paryski (L. Léger) stwierdził, a czem się p. Wł. Mickiewicz tak zgorszył, jest tylko pozorną. Należy przedewszystkiem uwzględnić, że wobec wiekowej kultury polskiej i różnorodnych jej dopływów fale słów obcych nadpływały i odpływały stale, że np. wyrazy włoskie, węgierskie lub tureckie miały nader ograniczony czas trwania; nie znał ich wiek piętnasty zupełnie, a osiemnasty tak dalece o nich znowu zapominał, że należało wyrazy te objaśniać, jeśli czytelnicy starych pism rozumieć je mieli. Słów tych wszystkich razem równocześnie w języku wcale nie było; nawarstwiały się one stopniowo; nowa doba, nowe życie, uprzyłybiły je, tylko w literaturze społecznej zostawał ich osad. Któryż Polak przyznał-by się np. do *katany* lub *sabata*? on ich przecież nie rozumie, trzeba mu powiedzieć, że są to słowa, węgierskie i wytłumaczyć mu, co znaczą i jak się do języka polskiego dostały. Czas je przywiał, czas je odwiał i dowodzą one, nie ubóstwa języka polskiego, lecz bogactwa i dawności literatury, która je zapisała i tem tylko od zupełnej niepamięci ochroniła, dalej bogactwa wpływów ościennych, jakie potężne państwo bez drobnostkowych obaw o zachowanie samobytności wchłaniało i przetrawiało. Otóż bardzo znaczna część obcych słów polskich należy do tej właśnie kategorii, do takich **przelotnych** pożyczek; one charakteryzują pewną dobę języka, pewną gałąź życia narodowego w danej chwili, lecz nie stanowią samego języka, samego życia.

Innej części słów „obcych“ wcale do „obcych“, do „pożyczek“ odnosić nie wolno. *Hańba* jest słowem czeskim, a *sprzedaj* ruskiem; mimo to słów tych Polak ani od Czecha, ani od Rusina nie pożyczał nigdy. Miał on swoje własne, prastare słowa *ganbę* i *sprzedaj*, ale, ocierając się o Czechów i Rusinów, rozmiłowawszy się w czeszczyźnie a wsłuchawszy w ruszczyznę, zastąpił on własne g czeskiem h, a własne j ruskiem ż, przyczem postępował tak dowolnie, że w *sprzedaży* pierwszą połowę słowa zostawił polską (nie przejął ruskiego pro) i tylko w drugiej ustępstwo uczynił. Ktoby więc podobne słowa „obcemi“, „zapożyczonemi“ przewał, wykazał-by tylko nieogłędność albo stroniczość swego sądu; są to—a jest ich bardzo wiele!—słowa polskie, zabarwione tylko z obca pod wpływem ościennych, pobratymczych narodów; są to pożyczki **mniemane, rzekome**. Cóżby powiedział p. Léger o piśmiennym języku ruskim, obfitującym w znacznie większej mierze w słowa cerkiewne, t. j. bułgarskie? Nie mamy się więc czego obawiać; język nasz wytrzyma śmiało wszelkie próby statystyczne, wszelkie obliczania „obcych“ żywiołów; wykaże tem świetniej tylko żywotność i siłę, z jaką obce domieszki przetrwał i zespolił, albo odrzucił.

Wskażmyż jeszcze dwie fazy w rozwoju języka, piśmiennego szczególnie, starszą i uowszą, obie tem samem dążeniem nacechowa-

ne. W przełomie od wieku średniego do nowego, około r. 1500, zarzucił język szereg dawnych słowiańskich terminów, albo usunął je do narzeczy, albo zapomniał o nich zupełnie; tak utraciliśmy np. terminy stopni pokrewieństwa: dziewierza i szurzę, zołwicę i jątrzewkę, niesiorę i czędo; słowa jak gospodzin i skomroch (kuglarz), trzem (pałac) i szłom (hełm), wrzemię (czas) i gorze (bieda), stredź (miód) i wełnę (falę), gozd (gaj) i źrzeb (los); przymiotniki, jak golemy (wielki) i urępnny (piękny); czasowniki, jak lelejać (kołysać), bakać (hałasować), kiełzać (ślizgać) itd. itd. Pod wpływem piśmiennego, tj. na poły czeczizującego, języka, te jędrne i barwne wyrazy wyszły z obiegu, zastąpiono je mniej wyrazistymi, bledszymi, ogólniejszemi; język zyskał na przejrzystości, ale stracił na dosadności, malowniczości i różnolitości.

Coś podobnego w jeszcze znaczniejszych rozmiarach powtórzyło się w polszczyźnie czasów Stanisławowskich. Cały szereg „staropolskich“ terminów, własnych i obcych, wychodzi wtedy również z obiegu; wystarczy porównać język satyr Naruszewicza lub Piotrowskiego z językiem satyr Krasickiego, aby przekonać się, o jakie straty wyłączna dbałość o gładkie, potoczyste, wytworne, salonowe wyrażenia język przyprawiała; w tem usuwaniu szorstkich może, chropawych nieraz, zato silnych i malowniczych zwrotów i słów późniejsza proza z wielką szkodą języka postępowała konsekwentnie, wygładzała go i polerowała niemiłosiernie, aby powtórzyć wzór francuski, barbarwny, spokojny, chłodny, ale wymuskany, salonowy, comme il faut. Tory te zarzucił dopiero romantyzm; jemu zawdzięczamy, najpierw w poezyi, za którą o wiele później i proza podążyła, odświeżenie słownictwa i stylu.

W całym przebiegu tego studyum uwzględnialiśmy wyłącznie język piśmienny, a pomijaliśmy *gwary ludowe*, które w pasach pogranicznych, wystawione na o wiele silniejsze wpływy ościennie, obcemi słowami i zwrotami całkiem inaczej przesiąkły, niżeli gwary środkowe. Tak np. gwary kaszubskie, pruskie i szląskie rażą germanizmami, w szląskich i czeczizmy spotykamy, w górskich słowackie i węgierskie słowa, w gwarze lubelskiej ruskie, w augustowskiej litewskie; słów tych jednak nie używa i nie zna ani ogół, ani język piśmienny, są one charakterystycznymi dla okolicy, nie mają znaczenia dla języka, chociaż się ich nieraz, szczególnie w poufalej lub żartobliwej mowie, na szerokich obszarach używa; wyliczanie ich należy do słowniczków gwarowych; spostrzeżeń i wywodów ogólnych one nie zmieniają.

Niebezpieczny człowiek.

P O W I E Ś Ć .

I,

Tomasz Worczyński ukończył właśnie kurację w Karlsbadzie, (prowadzoną z wielką systematycznością i rygorem), i wybierał się do Wiednia, gdy otrzymał list z włoską marką i pieczętką pocztową: Roma, zapraszający na ślub. Antolski, jego przyjaciel, zakochał się w Rzymiance, która, jak twierdził uroczyście i poważnie, jest cudem świata; za trzy tygodnie otrzymać miał ten cud na własność wyłączną i dożgoną. Worczyński musiał na ślub przyjechać — tego Antolski wymaga od jego przyjaźni; ślub w Rzymie, a potrzeba przecież koniecznie, aby stanął ktoś w kościele i ze strony nowożeńca. Obliguje więc Worczyńskiego ze wzdłędu na przyjaźń przedewszystkiem i głównie, a ubocznie i dodatkowo przez usprawiedliwioną zupełnie w tym razie próżność: wie, że za Worczyńskiego wstydzić się nie będzie (pachleba!). Worczyński zaś nie pożałuje drogi: przypomni sobie Włochy, piękne, wiecznie młode Włochy, i spędzi czas, jak długo będzie chciał, w towarzystwie wypolerowanym aż do końców paznogi u nóg, i wcale zajmującym, gdzie w dodatku znajdzie kilka kobiet wprost uroczych. „Pozwolę ci, jeżeli będziesz chciał, kochać się w mojej żonie“ — pisał Antolski, który mówił, jak skończony cynik, a czuł, jak młody poeta.

Skończywszy czytanie listu (cztery bite strony), Worczyński uważał ten ślub w Rzymie za lichy koncept.

— Powinienem może być wdzięczny, że nie przyszło mu do głowy zaprosić mnie na ślub do Lizbony, — pomyślał.

Ani mu się nie śniło jechać do Rzymu, aby obejrzeć nadzwyczajne cudo w jego ojczyźnie, z narodowym kwiatem pomarańczy u skroni. Za świadka Antolskiemu służył-by chętnie, i nawet z życzliwością (od pewnego czasu Worczyński czuł jakąś ogólną życzliwość dla tych wszystkich, co się żenili). Ale jechać z Karlsbadu do Rzymu?!

Ożenienie się z cudzoziemką (Worczyński nigdy nie był w stanie zrozumieć, jak można pokochać kobietę, z którą nie ma się wspólnych najbliższych rzeczy), uważał za koncept również mało udany, ale w każdym już razie za lepszy od ściągania ludzi, choćby na własny ślub, z drugiego końca świata. Z Karlsbadu do Rzymu?!

Wzruszony trochę obszarem i serdecznym tonem epistoły Antolskiego, postanowił odpisać mu czule.

I wybierał się w dalszym ciągu do Wiednia.

Ale wieczorem poszedł na „Violette“, i to go zachwiało. Słodka śpiewność włoskiej muzyki przypomniła mu lekkość i przezroczystość włoskiego nieba, „nad Alp śniegiem rozwieszzone Włoch błękity“ i „cento città d'Italia“, z których każde jest skamieniałym snem artysty. Nie widział Włoch już bardzo dawno, — był tam jeszcze za młodych lat, bardzo wtedy szczęśliwy. Napływać mu zaczęła do duszy fala wspomnień; powoli Wiedeń zrobił się w wyobraźni jego szarym, jak zmierzch późnej jesieni, a Włochy świeże i promienne, niby ranna zorza.

W drodze do hotelu, pogwizdując melodyę toastu „za zdrowie miłości“, zaczął sobie czynić wymówki:

— Nie pojmuję, dlaczego mnie, którego nuda tyle razy żarła, jak zły zwierz, nie przyszło nigdy na myśl do Włoch wrócić...

Oddał więc pokłon prawdzie, która powiada, że najprostsze rzeczy są często najtrudniejsze do znalezienia, i myślał o Antolskim z rozczuleniem. Ma chłopak fantazyę, prawdziwie. Ślub bierze z Rzymianką i w samym Rzymie (szkoda, że nie napisał, w którym kościele, Worczyński znał je kiedyś wszystkie, aż do naskromniejszych kapliczek, któremi nsianą jest Via Appia).

I zanim usnął, postanowienie pojechania do Włoch było zrobione, a sen go chwycił w chwili, gdy myśl jego błądziła o zachodzie słońca naokoło tych mizernych i samotnych resztek, dziś kratą otoczonych, a gdzie niegdyś bił „puls świata“, forum romanum...

W parę dni potem, w nocy, w szarym płaszczu podróżnym i białej czapce chodził Worczyński po debarkaderze tryesteńskim, pełen słodkich rojeń, zamyślony i melancholijny. W głębi duszy obawiał się jednak nieco, żeby go Włochy nie zdradziły. Czy ukażą się mu tak samo młode, słoneczne, wdzięczne, z tą tajemniczą duszą rzeczy pięknych, która tęsknotę zostawia na pamiątkę znajomości, jak wtedy, kiedy sam był młodym i poczynającym życie? lat temu prawie dwadzieścia...

Noc była ciemna zupełnie, bez gwiazd na niebie. Ledwie mógł dostrzedz ostre kontury żelaznej ściany statku, podnoszącej się tuż nad trotuarem. Na pokładzie było gwarno i prawie hałaśliwie. Worczyński miał w duszy pragnienie samotności. — Żeby mi się jeno udało znaleźć kącik na przodzie statku — myślał. Chciał tymczasem raz jeszcze przejść tę ulicę, wchodzącą tak daleko w morze, gdy przeraźliwy, barbarzyński świst znieważył jego melancholię. Spojrzał na zegarek i pośpieszył na pokład. Tu ledwie zrobił parę kroków, usłyszał dźwięczny głosik kobiecy, zapytujący po polsku:

— Więc, panie, o której będziemy w Wenecyi?

Pośpiesznie skierował kroki w stronę przeciwną.

— Ci muszą być wszędzie, — pomyślał z pretensją. — Byle tylko dyabeł nie przysłał mi znajomych.

Wziął składany fotel z płóciennem siedzeniem, i poszedł na przód statku. Ale tam zajęli już wszystkie miejsca tacy, jak on sam, amatorowie dobrego kącika. Postanowił więc ulokować się gdziebądź.

— Dzień dobry panu, panie Worczyński, właściwie, dobry wieczór.

Masz tobieł znajomy, także szczęście...

Był to malarz, Owczarkiewicz.

Worczyński podał mu rękę bez odrobiny entuzjazmu.

— Pan do Wenecyi? — pyta Owczarkiewicz.

— Do Wenecyi.

— I ja do Wenecyi.

Worczyński uprzejmie porusza brwiami.

— Pan zna Wenecyę? — prowadzi Owczarkiewicz badanie.

— Znam.

— Ja po raz pierwszy,

Worczyński robi ruch głową, niewyrażający nic.

— Pan sam?

— Sam.

— Ja w towarzystwie.

Worczyński rozgląda się wkoło.

— O! mam już kącik! — woła.

Owczarkiewicz nie nalega.

Pyta jeszcze, ale już w formie pożegnalnej:

— A z Wenecyi dokąd?

— Do Rzymu.

— A ja jeszcze nie mam planu. Do zobaczenia.

— Do miłego.

Worczyński istotnie upatrzył sobie kącik, troszkę może zablizko komina, ale na samej krawędzi, tuż nad wodą, i zajął go pośpiesznie. W tej chwili najmilszy człowiek nie był-by dla niego pożądanem towarzystwem, cóż dopiero Owczarkiewicz, którego osoba mogła być mu tylko niemiłą w każdej chwili życia.

Ten Owczarkiewicz, przed kilku laty, zanim zaczął malować wprost na handel, na samym początku swojej kariery, miał nieco talentu, odrobinę naiwnego, ale szczerego odczucia natury, trochę czegoś, co szło od płótna, co się udzielało. Worczyński kupił na prezent dla kobiety, w której się wtedy kochał, mały pejzażyk, kawałek półka z kwitnącą białą gryką — za dwieście rubli; było to w pracowni malarza. Owczarkiewicz zaproponował, że sam oprawi obrazek, jak będzie najlepiej. Worczyński dołożył jeszcze trzydzieści rubli na ramę. I od tego czasu ani ram, ani obrazu, ani malarza. W jakiś rok potem, Worczyński spotkał go raz w towarzystwie, a że był człowiekiem raczej dobrym, do artystów miał słabość i o dwieście rubli wcale mu nie chodziło, sam podszedł do niego pierwszy z wyciągniętą ręką. ¶

Statek tymczasem wyjechał na pełne morze, i światła, które świadczyły o istnieniu lądu i miasta, powoli gasły jedno po drugich. Jedno tylko migало długo, wytrwale i jakby uparcie — światełko latarni morskiej, — ale i to w końcu utonęło w morzu. Ciemność zupełna otoczyła statek ze wszystkich stron, noc głęboka, jednostajna, na górze i na dole.

Powietrze było chłodne, wilgotne, słone, ostre, rzeźwiące, i Worczyńskiemu, pomimo zmęczenia, z powodu długiej podróży, wcale się spać nie chciało. Czuł w sobie duszę świeżą, jeżeli już nie chciwą życia, to jednak jeszcze ciekawą go, ze startą w tej chwili skorupą codzienności i powszedniości; czekał z rozkoszą na Wenecję, której pałac dołów, rzeźbiony w starej kości słoniowej, miał w oczach, wieszował sobie, że nie pojechał do nudnego Wiednia, doprawdy, niczem już nieodróżniającego się od pierwszego lepszego ludzkiego zbiorowiska, i posyłał wdzięczne myśli Antolskiemu, który w tak szczęśliwą chwilę dał mu dobrą radę przypomnienia sobie Włoch.

— A co? nie śpi pan?

Znowu Owczarkiewicz.

— Myślę o tem właśnie.

— Czy to warto, panie. Za pół godziny rozwidni się trochę i będzie można zobaczyć Adryatykę. A niedługo i Wenecya. Wjedziemy do niej o wschodzie słońca. Jak to mądrze te Austriacy ułożyły. Widok musi być przepyszny? co?

— Prawdopodobnie.

— Pan przecie zna Wenecję?

— Znam, alem wjeżdżał od strony łądu, koleją.

— Przez Pontebbę?

— Przez Pontebbę. Dobranoc panu!

I zaczął się otulać płaszczem, jakby przygotowując się do drzemki. Zaledwie jednak Owczarkiewicz odszedł, Worczyński pożałował swojej szorstkości; nie pragnął on utrzymania z nim stosunku w ogóle, a jego towarzystwa teraz w szczególności, ale czy nie odepchnął go zbyt brutalnie?.. Owczarkiewicz, który niejednemu Worczyńskiemu w ten sposób sprzedał swój obraz, nie był wart wiele, Worczyński zaś miał zasady mocne, a poczucia moralne wyrafinowane, niejednokrotnie też bolał nad tem, że tak mało jest sprawiedliwości na świecie, ale czego nie lubił ponad wszystko, to samemu tę sprawiedliwość czynić.

Pod wpływem wyrzutów, zawołał zaraz za nim:

— Panie Owczarkiewicz!

Owczarkiewicz wrócił do niego rozjaśniony.

— Mój panie, która to godzina? — zapytał, aby cośkolwiek mu powiedzieć.

Owczarkiewicz sięgnął z pośpiechem do zegarka.

— Po drugiej już siedm minut. O, niech no pan spojrzysz tam, cała ćwierć horyzontu zbladła już i wyjaśniła się. Ma ona ton wypłowiałego sukna, jak stary szynel gimnazysty, nie prawdaż?

— Rzeczywiście, — potwierdził uprzejmie Worczyński.

— Niedługo to kolorem nabierze.

Podniósł głowę do góry.

— Jest trochę wiatru; żeby tak niebo się oczyściło, mieli-byśmy piękny widok na wschód słońca.

Potem zagadnął:

— Wie pan, kto z nami jedzie? Pani Tonczyńska z Warszawy, z dwiema córkami. Pan zna...

— Nie mam przyjemności.

— A one pana znają.

Worczyński przeląkł się odrobinę.

— Doprawdy?

— To jest, ze słyszenia, ze słyszenia. I powiem panu, że pragnęły-by poznać pana.

Zrobił w tem miejscu małą pauzę, a widząc, że Worczyński nie reagował na tę prawie propozycję najmniejszym ruchem, dodał z pośpiechem:

— Panny są bardzo ładne i zajmujące, inteligentne, sprytne, kokietki...

— Więc się pan nie nudzi, — rzekł Worczyński, zamykając rozmowę.

Zimno mu się przytem zrobiło od tych kilku godzin, spędzonych na powietrzu. Pożegnał więc Owczarkiewicza i zeszedł na dół, gdzie kazał sobie podać szklanke herbaty.

Przez chwilę myślał teraz o tych pannach, które go chciały poznać. Wcale go to nie wzruszało. Wiedział, że ma w Warszawie, pomiędzy kobietami, trochę popularności, jako jeden z najprzystojniejszych i najbardziej eleganckich mężczyzn, zwłaszcza od czasu głośnego pojedynku z niezwykłym hrabią S., który w Worczyńskim właśnie znalazł zwycięzcę. Z ciekawością kobiet spotkał się nieraz — i nie dlatego z pewnością będzie deranżował się teraz, kiedy tak mu dobrze samemu, z własnymi myślami o Włoszech.

Pijąc herbatę, układał plan: zabawi tydzień w Wenecyi, gdzie już teraz iunemi oczyma patrzeć będzie na Tycjana, Tintoretta i Veroneza. Potem tydzień poświęca na włączęgę po małych miasteczkach Toskanii, na które dawniej uwagi nie zwracał. Tydzień we Florencyi. Potem do Rzymu na ślub Antolskiego — a w Rzymie, ile tam Pan Bóg da. Antolski pisze o kobietach oryginalnych i czarujących... Worczyński nie wierzy, aby mogło mu kiedykolwiek uderzyć serce dla kobiety, której-by nie mógł powiedzieć: „kocham“ po polsku. Ale niech-by jaka Włoszka dokazała choć tego, żeby mu nerwy do rozkoszy zdradzały. Dawno już serce jego nie biło miłością, a od roku gnuśność ociążała stępiła mu nawet zmysły. Nieraz zapytywał siebie z niepokojem:

— Azali to już starość?

Choć życie lubił bardzo, śmierci się nie bał. Ale starości się bał. Miał lat, co prawda, czterdzieści trzy, i pozór jeszcze czerstwy, ale co już był nawyrabiał! Ciągłe żył w ogniu i lata powinny mu się były liczyć potrójnie, jak na wojnie.

Głupstwo robi Antolski, że się żeni z Włoszką, — choć, jeżeli jest tak na śmierć zakochany... Dostać kobietę, którą się kocha, którą się kocha na śmierć, to warte więcej, niż wszystko inne na świecie; na to wszelka cena jest „za bezcen“. Bądź co bądź, dobrze robi, że się żeni. Człowiek nie powinien się zanadto oddalać od normalnej linii życia. Istnieje instytucja domowego ogniska, należy z niej korzystać. Ze wszystkiego w życiu należy korzystać. Brawo, Antolski!

Teorię tę nieraz wygłaszał w gronie przyjaciół. Pytali go, kiedy ich zaprosi na wesele. Odpowiadał, że prędzej, czy później, ale niezawodnie zaprosi, czeka jeno, aby wstąpiło w niego „powołanie do małżeństwa“, a jest pewien, że doczeka się.

W rzeczywistości, uważał praktykę swojej teorii za rzecz niezmiernie delikatną; ożenił-by się z pierwszą kobietą, w której-by zdolny był choć trochę się zakochać, — zdawało mu się, że stan małżeński jest tarczą przeciw dolegliwościom i nudzie starości — wątpił jednak, czy serce jego, które przemarnowało i puściło z wiatrem tyle uczuć złotych i prawdziwych, zachowało zdolność do jeszcze jednej młodości

Szklanka herbaty ogrzała go dostatecznie.

Wrócił na pokład w samą porę, aby przyłączyć się do garści pasażerów, która, zebrana na tyle statku, przypatrywała się widowisku, jakiego wspaniałości żadne pióro, ani żaden pędzel nie mogły dać należyście odczuć.

Nocny wiatr oczyścił niebo, pozostawił tylko tu i owdzie poszarpane resztki chmur, — kilka kłębow w górze, a niżej i na samym dole, ponad wodą, trochę pasm, niby włókna, długich i cienkich; włókna te przecinały liniami mocnego, ciężkiego fioletu czerwoną przestrzeń wschodu. Tarcza słoneczna wytoczyła się z wody, od mgieł aż purpurowa, i taka niepospolicie ogromna, ledwie na samych ostrzach odrobinką złota świecąca; na wodzie położył się od niej ślad szeroki, krwawy, na tysiące cząsteczek poszarpany. Tarcza, ku górze się wznosząc, przechodziła przez fioletowe włókna, które przed jej obliczem rozrzmieniły się do czerwoności, i stały się prawie przezroczyste, a ta czerwień rozchodziła się po nich wszcz, siłę jednak tracąc w walce z fioletami, aż wreszcie im ku końcowi zupełnie ulegając. Cały ten kawał nieba wraz z wodą, w której się odbijał, był ciemno-czerwony, krwawy, szkarłatny. Powoli jednak nasiąkał złotem, które rozświecało tę gęstą czerwień, czyniło ją lżejszą i przejrzytszą.

Owczarkiewicz, spostrzegłszy Worczyńskiego, stojącego o kilka kroków z tyłu, odłączył się od towarzystwa pań i przystąpił do niego:

— Panie, jaki mocny ton! — rzekł ze szczerą admiracją malarza, stojącego przed arcydziełem.

W tej chwili był prawie sympatyczny.

Ale trwało to krótko, bo zaraz potem Owczarkiewicz trącił go łokciem dyskretnie w ramię i, pokazując ruchem głowy na swoje panie, rzekł przyciszonym głosem:

— Panie, ja pana przedstawię...

— Niech Pan Bóg broni! — zaprotestował ten żywo.

— Będzie się pan bawił, zobaczy pan.

— Nie, panie, nie. .

Owczarkiewicz nalegał.

— Nie, ja jestem w podróży..

— Wszyscy jesteśmy w podróży.

Wreszcie zdobył się na energię:

— Panie, nie chcę! — rzekł krótko i stanowczo.

I cofnął się zaraz o kilka kroków ku poręczy.

Tarcza słoneczna zmniejszyła się już do zwykłych prawie rozmiarów, i złościła się coraz bardziej; dolne włókna stały się napowrót kawałkiem zwykłej, szarej chmurki; natomiast kłęby chmur, zawieszane w górze, na niebie lekko rozświeconem, żywo zarumieniły dolne swe krawędzie.

Worczyński rozkoszował się tą grą rozżłoconej czerwieni.

Ukradkiem przecież spojrział raz i drugi na te panie z Warszawy, które tak życzyły sobie z nim znajomości. Panny były niebrzydkie istotnie, ale co je zdobiło głównie, to świeżość i młodość; blondynki obie, o włosach płowych, ubrane zgrabnie, wesole, kręciły się ciągle naokoło swych parasolek. Spostrzegłszy zaraz, że są obserwowane, — same zresztą rzucały spojrzenia poza siebie, na Worczyńskiego, dosyć nawet bezceremonialnie — zaczęły się śmiać jeszcze głośniej, kręcić jeszcze bardziej i zasypywać Owczarkiewicza kwestyami, na których im widocznie nic nie zależało.

Nie podobały się Worczyńskiemu.

— Sztuczne, — osądził.

Trzecia kobieta, mama, była jeszcze zupełnie młoda i świeża, i wyglądała na starszą siostrę swoich córek; musiała bardzo wczesnie wyjść za mąż. Włosy miała ciemniejsze znacznie, z rdzawym połyskiem, rysy regularniejsze i na ustach uśmiech, odbijający jakąś ogólną dla ludzi życzliwość. Ten uśmiech pociągnął trochę Worczyńskiego.

— Dalibóg, — pomyślał — że z nich trzech wybrałbym mamę...

I przeszedł na drugą stronę statku.

Stąd również było na co patrzeć. W dali, na skraju wody, pokazały się długie, lekkie, wystające nierówności, jakby silniejszy podmuch wiatru falę tak postawił; nieruchomość tych delikatnych nierówności, ich kolor jednostajnie siny, wskazywały, że to była ziemia.

— Oto i laguny! — ucieszył się Worczyński.

Na statku zapanował ruch, zwykły dojazdowi. W kajutach nie było już nikogo, jedni z pośpiechem zamykali swoje kufry i dopinali

walizy, inni wytężonym wzrokiem wypatrywali Wenecyi: wszystkim się zdawało, że statek wlecze się żółwim krokiem.

Dopłynął wreszcie lądu, okrążył go, minął, i teraz sine brzegi porozrzucanych na wodzie wysp widać było na wszystkie strony. Worczyński stał nieruchomy i wpatrzony. Co za doskonałą myśl miał jechać do Włoch. Jeszcze kilka minut, jeszcze kilka minut i ujrzy miłą kopułę kościoła Santa Maria della Salute, ostre zakończenie Campanilli i lwa weneckiego na słupie. O! już, już się wychylają z wody koniuszki wież, oto i ona, Wenecya, najpiękniejsze cacko na świecie, — nigdy nie zdetronizowana pani Adryatyku, królująca nad tem morzem czarami swego wdzięku — pewniej, niż w dawnych czasach panowała nad niem siłą i postrachem.

II.

Cały dzień nazajutrz przesiedział w kawiarniach, w cieniu majestatycznych Prokuratoryi, przypatrując się gospodarstwu gołębi na tym jedynym placu ś-go Marka, który oddawna przestał żyć własnem życiem, dla siebie, i żyje tylko dla tych, którzy przyjeżdżają tu ze wszystkich stron świata, odetchnąć pyłem jego wspomnień. Rozkoszował się Worczyński ciszą wenecką i wypoczywał po zmęczeniu nużącej podróży. Dla urozmaicenia sobie czasu przeczytał *Le Figaro*, i dziwnemi mu się wydały te echa nerwowego i gorączkowego życia w tej muzealnej ciszy placu ś-go Marka, nad którym czas, zdawało się, stanął. Potem jeszcze raz sięgnął do listu Antolskiego. Ot, kocha się chłopak, niech-że mu Pan Bóg da wszystko dobre razem z tą Włoszką, która umiała napełnić jego serce takim entuzjazmem. „Czy ona mnie kocha również? — pisał—czy ona mnie kocha wogóle? Nie wiem. I powiem ci, że jest mi to prawie wszystko jedno. Uśmiecha się do mnie, spędza ze mną długie godziny, nie okazując najmniejszego znużenia, i zgadza się być moją. Uważasz, najpiękniejsza, najpowabniejsza, najbardziej czarująca kobieta na ziemi zgadza się być moją. Ja niczego więcej nie żądam od niej, od życia, od Boga. Nawet myślę sobie, że gdybym wymagał, aby mnie kochała, jak ja ją kocham, byłby to grzech po prostu, pycha, coś, co mogło-by słuszną karę na mnie sprowadzić; byłbym wtedy podobny, zdaje się, do człowieka, którego Pan Bóg uczynił największym bogaczem na świecie, i który robi Panu

Bogu wyrzuty, że jeszcze pozostało na ziemi tyle złota, którego on nie ma...“

— Pojadę, pojadę, na jego ślub, — myślał Worczyński — jeżeli nie dla niego, to dla siebie. Miło jest przeziębionemu człowiekowi stanąć na słońcu, miło i takiemu, w którym wyschły źródła radości, obejrzeć się o człowieka, promieniejącego szczęściem.

Pod gorącym wrażeniem zażądał pióra i papieru, i napisał do Antolskiego kilka słów. (Nienawidził wogóle stosunków epistolarnych, i nigdy nie przeszedł w listach swoich na drugą stronę papieru).

„Jadę — odpisał mu — na twój ślub, tylko powoli. Licz na mnie. Jestem już w Wenecyi. Jak Ty się kochasz?.. niech Cię.. Winiszuję ci, zazdroszczę — jak zazdroszczę, żebyś wiedział — i ściskam“.

Kazał wysłać ten bilecik, wzrokiem wrócił do gołębi, a duszą w dalszym ciągu zazdrościł Antolskiemu jego nadzwyczajnej zdolności do kochania.

I tak prawie aż do wieczora przesiedział pod Prokuratoryami, rano w lewej galerii, po południu w prawej, i dopiero kiedy słońce przechyliło się ku morzu, a upał przygasł, wyszedł, niby z nory, na plac, i stanął przed kościołem, aby obejrzeć złociste mozaiki.

— Moje uszanowanie! — posłyszał nagle tuż za sobą znany głos, który go już parę razy rozdrażnił na statku.

Odwrócił się i podał chłodno rękę Owczarkiewiczowi, uważając, że ten wyzyskuje jego miękkość i uprzejmość ponad miarę.

Nie spodziewał się przecież, że ten do Worczyńskiego przystąpił z bardzo daleko idącym postanowieniem. Ledwie bowiem puścił rękę Worczyńskiego, zrobił gest i zdecydowanym głosem rzekł:

— Pozwoli pani, że przedstawię jej, pan Tomasz Worczyński... pani Tonczyńska...

Worczyński zgrzytnął zębami, ale kluby dobrej szkoły, w jakiej był całe życie, opanowały go natychmiast, i wobec wyciągniętej uprzejmie ręki pani Tonczyńskiej, w jednym mgnieniu oka stał się światowym mężczyzną, stojącym wobec kobiet.

— Moje córki, — rzekła pani Tonczyńska.

Panny kiwnęły głowami.

— Zdaje się, że odbywaliśmy razem podróż z Tryestu, — rzekł.

Worczyński zwrócił się z tym frazesem do mamy, ta jednak, po skończeniu ceremonii przedstawienia, natychmiast cofnęła się na dalszy plan z macierzyńską rezygnacją, panny zaś wysunęły się naprzód i podjęły rozmowę.

— Myśmy przyjechały dziś rano, ale chyba już mogły-byśmy wieczorem jechać, prawda, Aniela?—rzekła starsza panna Tonczyńska.

— Pracowałyśmy przez dzień, ja już nóg nie czuję.

— A pan? — wtrącił Owczarkiewicz.

— Ja siedziałem w kawiarni.

— Cały dzień? — zapytała starsza panna Tonczyńska.

— Cały dzień.

— Należy pana podziwiać, — rzekła młodsza, tonem jednak bardzo grzecznym. — Ale pan pewno zna Wenecyę?

— Trochę.

— Skoro jednak mowa o kawiarni, może-byśmy odpoczęły, jak myślisz, Wańdziu?

Mama widocznie się nie liczyła w tej rodzinie.

— Już czas chyba, — rzekła panna Wanda.

— Skorzystamy z pańskiego doświadczenia,—zwróciła się panna Aniela do Worczyńskiego. — Niechże pan zaprowadzi nas do kawiarni, gdzie są dobre lody.

Widocznem było, że panny nie myślały go puścić tak zaraz. Worczyński zaś natychmiast pogodził się z sytuacją, jakiej dobrowolnie przyjąć nie chciał, i nawet nie był niekontent. Trochę towarzystwa kobiecego zawsze mu robiło przyjemność; nie była to przyjemność dość intensywna, aby wzbudzić w nim energię wyszukania sobie tego towarzystwa wszędzie tam, gdzie je można było znaleźć, ale skoro ono samo się szczęśliwie znalazło, przyjął je, po pierwszym zgrzytnięciu zębami, z uśmiechem.

Towarzystwo więc całe skierowało się pod Prokuratoroyę,—Worczyński z panną Wandą, Owczarkiewicz z panną Anielą, a mama, choć w jednej z nimi linii, ale sama.

— Bardzo pan się na pana Owczarkiewicza gniewa za ten akt gwałtu?—rzekła panna Wanda;—ale to nie jego wina, doprawdy. Siostra i ja bardzo chciałyśmy pana poznać. Słyszałyśmy wiele o panu. Ma pan opinię, pewnie wie pan o tem dobrze, człowieka niebezpiecznego. Moja siostra i ja nie spotkałyśmy jeszcze człowieka, który był-by niebezpieczny...

— Ależ to są... konfidencye! — rzekł ze szczerą wesołością Worczyński.

— Może, może... Będzie się pan śmiał z naszej naiwności.

— O! z naiwności?! — zaprotestował z naciskiem Worczyński.

— Czy jak pan to chce nazwać... Ale proszę być choć trochę wspaniałomyślnym.

— Dobrze, proszę pani. Będę, będę wspaniałomyślnym.

Weszli pomiędzy marmurowe stoliczki kawiarni.

— Więc to tu. Ciekawam, czy lody będą dobre?

— Nie jadłem tu lodów, ale Baedeker powiada, że we Włoszech wszędzie lody są dobre.

Rozmowa stała się ogólna.

Lody były dobre.

— Baedeker nie kłamie nigdy.

Kto? Baedeker? Panny nie miały Baedekera.

— Panie dużo podróżują?

— Co rok gdzieś wyjeżdżamy.

— I bez Baedekera? — pomyślał Worczyński. — Prawdziwie... po polsku.

Robił się wieczór, dwa wulkany nad Torre dell' Orologio uderzyły w dzwon siedm razy młotami, gołębie poszły spać, kawiarnie zapełniły się cudzoziemcami, na marmurowe flizy placu napływać zaczęły z miasta Wenecyanki, kobiety z ludu i klasy średniej, pomiędzy którymi Owczarkiewicz napróżno upatrywał owych złotych piękności Tycyana, o skórze olimpijskich bogiń i włosach tonu wypolerowanej miedzi.

— Ani jednej blondynki i ani jednej ładnej, — zaczął się gniewać. Worczyński zapewnił go:

— Panie, te złote damy Tycyana — to fikcja.

Owczarkiewicz głową pokręcił:

— Czyż to prawdopodobne, aby można było tak malować z głowy.

Worczyński z Owczarkiewiczem zaczęli coraz goręcej mówić o malarstwie.

Panny zaraz przestały słuchać. Poprzykładały do oczu swoje *face-à-main'y* i rozglądały się po placu.

Naraz gwałtownym ruchem Wanda nachyliła się do Anieli i szepnęła jej coś.

Aniela szybko zwróciła się we wskazaną stronę:

— Oni, wiesz, oni. Doprawdy, obadwaj.

Tonczyńska, która słuchała wszystkiego uważnie, ale biernie, zwróciła się do córek:

— Co? co?

Panny, po kilku pensyonarskich, szorstkich ruchach, zaraz wróciły do zwykłej pozy światowej.

— Mateczko, Wanda spostrzegła znajomych naszych.

— Znajomych?

-- Tak, pan Toczewski i pan Ilirycz.

Tonczyńska podniosła głowę ruchem ożywionym, na twarzy jej malowało się zdziwienie, bez niespodzianki jednak.

— Co? Ilirycz? Toczewski?

— Idą po tamtej stronie, mateczko.

Worczyński, po dyskretnych ale nieomylnych znakach, zaczął odgadywać sytuację. Ci panowie dla tych panien tu przyjechali. Niespodzianka—stary kawał dobrodzieja-amora. Kochają się. Obaj w jednej, czy każdy w swojej? Ponieważ te panny nie natrafiły jeszcze na „człowieka niebezpiecznego“, jak ze wzruszającą szczerością wyśpowiadała się Wanda...

Jedno z nazwisk wymienionych nie było obcem Worczyńskiemu.

— Ilirycz? — rzekł — czy nie kompozytor?

— On właśnie, — rzekła Wanda. — Pan zna może jego rzeczy?

— Znam suite. Zdolny człowiek.

— A nie zna pan walca pod tytułem „Aniela“.

— Aniela? nie znam.

Walc „Aniela“, rozumiem... Wiedział już coraz więcej.

Ci panowie spostrzegli w końcu Tonczyńskich, do czego nie mało przyczyniła się parasolka jasna mamy, wykreślająca w powietrzu przyjaźne sygnały. Panny, z chwilą, gdy ci panowie zaczęli się zbliżać, opuściły swoje obserwacyjne face-à-main'y, i jedna zwróciła się z rozmową do Worczyńskiego, druga do Owczarkiewicza.

Worczyński, zainteresowany trochę kawałkiem życia, jaki tak niespodziewanie stanął przed jego oczyma, postanowił sobie zaobserwować powitanie.

— Który z nich jest muzyk? — zapytał cicho panny.

— Ten młody.

Ta wskazówka wystarczała, jeden bowiem z tych panów był w wieku troszkę więcej, niż średnim, niski, gruby, z dużą, różową, wypasioną twarzą, bez zarostu, z nosem zadartym do góry; drugi był jeszcze młodzieńcem, jasnym i szczupłym.

Mama powitała ich serdecznie uśmiechami, uściśnieniami ręki, szeregami zapytań. Obie panny — chłodno; ani uścisku, ani uśmiechu, ani zapytania. Jeszcze Wanda spojrzała przynajmniej na Toczewskiego i czekała, co ten powie. Aniela i tej łaski nie zrobiła Iliryczowi; podawszy mu niedbale końce palców, wróciła natychmiast do przerwanej niby rozmowy z Worczyńskim:

— Więc nawet pan nie był jeszcze w Akademii? Na mnie „Wniebowzięcie“ zrobiło wielkie wrażenie, i gdybym nie była tak zmęczona,

bo przedtem widziało się taką nielitościwą masę nowych, wspaniałych rzeczy. . a widział pan kopię tego Jowisza, którego Napoleon zrabował do Luwru... w pałacu dożów...

Wszystko to było bez związku z poprzednimi kwestyami; widocznie mówiła cobądz, aby Ilirycz zobaczył, że nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

Ten zaś stał przed nią pokorny, na wszystko zrezygnowany, zakochany widocznie na śmierć.

Tonczyńska wymieniła nazwiska panów.

Ilirycz spojrział na Worczyńskiego, z którym Aniela prowadziła ciągle zawziętą rozmowę, wzrokiem prawie bolesnym.

Worczyńskiemu aż przykro się zrobiło, że nie może go zaraz wziąć pod ramię, odprowadzić na stronę i powiedzieć: „żebyś pan wiedział, do jakiego stopnia jest mi to wszystko jedno...“.

Tymczasem Tonczyńska pośpieszyła na pomoc biednemu chłopcu, który nie wiedział, co z sobą robić.

— Tu jest krzesło, panie, — zwróciła się do niego, wskazując mu miejsce przy sobie.

Worczyński, który nie uronił z całej tej ciekawej sceny ani jednego gestu, odczuł delikatną i dobrą duszę w tej młodej mateczce. Nachylony ciągle ku Anieli, nie słuchając jednak jej paplaniny, spojrział uważnie na Tonczyńską i na jej miły uśmiech.

Niezawodnie, — pomyślał sobie — gdyby mnie tak wszystkie trzy spotkały na gorze Ida, bez chwili namysłu dał-bym jabłko mamusi.

III.

Nazajutrz spędził ranek w pałacu Dożów.

Kiedy wyszedł około południa na plac, zmęczony i oszołomiony więcej jeszcze, niż zachwycony, spostrzegł Tonczyńską, samą, przy białym stoliczku kawiarni.

To kółko polskie, w którym znaleźli się przypadkowo, obudziło w nim, dzięki temu, co już o niem wiedział, trochę ciekawości.

— *Je ferai parler maman* — postanowił, uważając, że to jest łatwy sposób dowiedzenia się więcej i niezbyt nieprzyjemny.

Worczyński wiedział, że jak chce, potrafi być bardzo miłym.

— Pani sama?

— Chwilowo, — rzekła, wyciągając doń rękę — moje panny i kawalerowie poszli na wierzch Campanilli. Dla mnie, starej, to za wysoko.

Worczyński na seryo się zastanowił, z jakim spokojnem przekonaniem, bez cienia kokieteryi, powiedziała ona to słowo brzydkie: starej. Czy te panny wszystko jej odebrały?

— Ma pani rację, — rzekł, siadając przy niej — takie uciechy nie dla nas, starych.

Tonczyńska spojrzała na niego niewinnie.

— Pan?! — zaprotestowała grzecznie, z uśmiechem.

— Ile pani ma lat? — zapytał, bardzo pewny swego efektu.

Tonczyńska cofnęła się lekko na krześle ze zdziwienia.

— Ja, bo, proszę pani, — rzekł zaraz, zdejmując kapelusz i nachylając głowę, aby pokazać, że pokrytą jest już tylko rzadkimi włosami, — ja bo, proszę pani, mam lat czterdzieści trzy.

— Mężczyźnie inaczej się liczy.

— Musiała pani wyjść bardzo młodo za mąż? nie prawdaż?

— Istotnie, — rzekła, już doskonale nastrojona — wyszłam za mąż w ten sam dzień, kiedy skończyłam szesnasty rok życia.

— Panna Wanda ma dziś?.. — pomagał Worczyński.

— Lat osiemnaście. Anielka jest o rok młodsza.

— A więc siedemnaście a osiemnaście, — liczył głośno — mamy trzydzieści pięć. Widzi pani, że jestem zupełnie *un galant homme*, prowadząc z panią tę arytmetyczną rozmowę.

Nie nalegał, i zmienił zaraz przedmiot, zapytując innym tonem, poważnie i od niechcienia:

— Dokąd państwo jadą z Wenecyi?

— Nie wiem stanowczo; córki miały zamiar przejechać przez Szwajcaryę i może zabawić kilka dni w Paryżu. Ale może zmieniają projekty...

To trochę poirrytowało Worczyńskiego. Córki miały zamiar! córki może go zmieniają! Jak można być tak pod pantoflem u córek, u takich córek...

— A to się zgadza z pani zamiarami? — zapytał z odrobiną naciśku na słowie pani.

Zupełnie go nie zrozumiała.

— O! jak one będą chciały.

Przez chwilę milczeli.

— A pan długo ma zamiar zabawić w Wenecyi? — zapytała.

— Parę dni. Potem jadę do Rzymu.

— Gorąco jeszcze będzie.

— Tak, to też jadę nie śpiesząc się i trochę rzemiennym dyszlem; będę się zatrzymywał po małych miasteczkach włoskich, a potem, jadę nawpół tylko dla mojej, nawpół, a przynajmniej w jakiejś części, dla cudzej przyjemności. Mam przyjaciela, który się śmiertelnie zakochał we Włoszce, i śpieszę—śpieszę powoli, jak pani widzi—na jego ślub.

— Jak to można żenić się z cudzoziemką! — zawołała żywo.

— Nie prawdaż? Ale, skoro zakochał się śmiertelnie, a innego sposobu niema... Miłość, to jest jak ten koń farysa wiatronogi, przed którym „lasy z drogi, góry z drogi! Wichry, huragany z drogi“...

Umyślnie mówił do niej, nie jak do mamy dwóch panien dorosłych, ale jak do kobiety, i teraz już był pewien, że są dobrymi przyjaciółmi. Przystąpił więc do zaspokojenia swojej ciekawości.

— Panie nie będą się nudziły w Wenecyi...

— Istotnie, Wenecya jest cudowna, zupełnie inna, niż wszystko, co się widziało.

— Tak, Wenecya naprzód jest zupełnie inna, niż wszystko, co się widziało, a potem, szczęśliwy przypadek zesłał paniom przyjaciół...

— Rzeczywiście...

— Jeżeli — uśmiechnął się dyskretnie, aby niedyskrecyę kwestyi zlagodzić — to był istotnie przypadek, który ich tu zesłał?..

Przyjaźnym uśmiechem potwierdziła domysł Worczyńskiego.

Ten więc śmiało się posunął, czując, że stąpa po przygotowanym już gruncie.

— Może wypada mi pani powinszować?

— O, nie, — odrzekła szczerze i prosto, z powagą i bez uśmiechu — ja nie myślę, aby to była już ta mąka...

— Z której będą bułki, — dokończył. — No, panny są jeszcze tak młodziutki.

— Właśnie, — potwierdziła Tonczyńska bardzo pośpiesznie.

— Któż to jest ten pan Toczewski?

— Adwokat, zajęty jednak więcej interesami, niż sprawami sądowymi.

— Bogaty?

— Zamożny. I interesy mu się udają, jest na drodze do fortuny.

— I zakochany w pannie Wandzie?

— Podobno, choć mnie się niepodobna ten sposób...

— A panna Wanda?

— Lubi go trochę, troszeczkę. Właściwie... Pan go widział, człowiek nie młody, i nie ma powierzchowności, która-by za nim przemawiała...

— Więc, zalety serca, charakteru?

— Nie wiem, ja go znam bardzo mało. Wandzia go nie chce zrazić...

— Odrobina praktyczności nie zaszkodzi kobiecie.

— Właśnie. Wandzia ją posiada, tę odrobinę.

Rozumiem, rozumiem wszystko — pomyślał Worczyński. — Pan zakochany w pannie, tylko nie sercem, ale zmysłami; panna trzyma go w rezerwie, bo może się trafić kto lepszy. Trzyma go i drażni, bo to jest najlepszy sposób trzymania. I jak to ta mamusia delikatnie wszystko opowiedziała, wszystko i bez osłonek, a ledwie brzegu dotknąwszy. Eh, mamusia jest wcale intelligentna.

— Jakoś długo siedzą na tej wieży.

— Tylko co poszli, kiedy pan tu się zbliżył.

— I Ilirycz jest z nimi?

— Naturalnie.

— Temu to przez oczy patrzy, że jest strasznie zakochany w pannie Anieli.

— Zdaje się.

— I to także widać, że bez wzajemności.

— Tak, Anielka go wcale nie kocha.

— Partya to nie jest...

— Tak, on majątku nie ma. Ale Anielka będzie miała posag, mogła-by sobie pozwolić na każdą partyę. Majątek tak mało, tak mało przyczynia się do szczęścia. Ilirycz ma talent, ma przyszłość, jest bardzo intelligentnym, bardzo dobrym, bardzo delikatnym człowiekiem. Anielka była-by z nim szczęśliwą, ale cóż?...

— Widzę, że temu to pani dobrze życzy.

— Ach, panie, on jest taki biedny...

Mamusia jest dobra, — myślał Worczyński, bardzo tem współczuciem ujęty — i bardzo miła. Nie, dalibóg, że gdybym tak był Parysem...

— Ale ja panu opowiadam i opowiadam, — rzekła, zmieniając ton, — a zapominam, że to wszystko może pana bardzo niewiele bawić.

— Proszę pani, co my, starzy, mamy lepszego do roboty, podczas gdy młodzież zrywa nogi po wieżach, jak uciąć sobie miłą pogawędkę.

— Jest pan łaskaw. Ale oto i nasze towarzystwo.

Zbliżali się do kawiarni, Aniela, bardzo ożywiona, z Owczarkiewiczem na przodzie, Wanda, słuchająca uśmiechniętego Toczewskiego, za nimi, i na końcu Ilirycz sam, smutny, niemogący udawać nawet, że Wenecya cokolwiek go zajmuje.

IV.

— Panie Worczyński, pan to będzie wiedział, pan to powinien wiedzieć: czy jest jaka recepta na powodzenie?

— Jest, panno Wando, tylko, pani wie, jak to bywa z receptami: jednemu pomoże, drugiemu zaszkodzi, a na trzecim nie okaże żadnego skutku.

— Jednakże? jednakże?

— Powiem więc pani to tylko, czego ja używałem, aby mieć powodzenie: nie dbałem o nie ani odrobiny.

Panna Wanda pokręciła swoją płową główką, i przy sposobności szepnęła na boku siostrze:

— Wiesz jednak, *il est fort*.

Panna Aniela była mniej więcej tego samego zdania:

— Jak on się wyróżnia od tych wszystkich, których znamy.

— Tak, on jeden wcale nie dba o nas, ani o mnie, ani o ciebie, — ani o ciebie, to przyznasz.

— Nie dba, albo robi wszystko to, co potrzeba, aby wydawało się, że nie dba.

— Myślisz?

— Patrz, nie chciał się z nami za nic poznać, ale skoro się poznał, nie wygląda na to, aby od nas uciekał, prawda?

— Zdaje się.

— A przecież w Wenecyi nie trudno było-by zgubić się.

— Może ty masz rację. Ja przed chwilą właśnie pytałam go o receptę na powodzenie. Wiesz, co mi powiedział? „Ja używałem jednej: nie dbałem o nie wcale“.

— Widzisz, to metoda.

— Wiesz, Anielciu, ty jesteś sprytniejsza ode mnie. Zajdziesz daleko, dziecko...

Worczyński istotnie ich nie unikał. Spotkawszy towarzystwo na placu w rannych godzinach, przyłączał się do niego, razem odbywał przejażdżki w żałobnej gondoli, wśród zmarłych pałaców, razem jadł lody po południu w cieniu Prokuratoryi, a wieczorem obiad u Bauera, przy osobnym stoliku, słuchając canzonet i stanzów, płynących wraz z wieczornym chłodem z kanału przez otwarte drzwi sali jadalnej. Wszyscy ofiarowywali mu ciągle pierwszą rolę w tem kółku, a on robił wszystko, co mógł, aby nie grać żadnej, pozostać prostym towarzyszem podróży, którego narzucił przypadek, a którego jutro bezpowrotnie usunie, dla siebie zaś być biernym obserwatorem tego skrawka życia polskiego, rzuconego na senne tło weneckie.

Ale trudno mu przychodziło tę bierność utrzymać. Panny widocznie zagięły na niego parol. Miał przy sobie prawie zawsze to jedną, to drugą, zadające mu kwestye niedyskretne i impertynenckie, upojone własną pustotą, ciekawe go poznać, a niezdolne zrozumieć, szczęśliwe z podwójnej gry, którą miały sposobność prowadzić, dokuczając swoim wielbicielom. Panny nie robiły sobie konkurencyi, ich stosunek wzajemny oparty był widocznie na lojalności rywalizacyi.

„Jak nie ja, to ty, — wszystko jedno która“.

Worczyński nie miał ich nigdy dwie naraz; nie przeszkadzały sobie. Jeżeli zwrócił się do jednej, druga natychmiast, czy potrzeba było, czy nie, zostawiała ich samych, wynajdując sobie zaraz coś do roboty. Starły się pomagać nawet jedna drugiej.

Wzruszające — myślał Worczyński z ironią.

Szczególniej dokuczała mu Wanda, której może Worczyński żywiej się podobał, niż Anieli, i która widocznie drażniła Toczewskiego w sposób wyrafinowany. Aniela, traktująca Iliryca tak, jakby go nie było na świecie, miała jeszcze w rezerwie Owczarkiewicza, którego błazeństw słuchała bez przykrości i nudy, a który mocno nią wydawał się zajęty.

Owczarkiewicz udawał sto razy lepszego znajomego Worczyńskiego, niż był, a Worczyński ledwie że mógł go znośić. Ile razy wychodził za malarstwo, — za „kolor“, „rysunek“ i „sentymet“ — okazywał się pustym, płaskim, ograniczonym. Toczewskiemu nadskakiwał bardzo, liczył się z nim, pochlebiał i napomynał o swoich obrazach, które zostawił „zupełnie wykończone, tylko je powerniksować“ w pracowni; widocznie miał ochotę sprzedać mu jeden z nich. Poza oczy jednak robił łatwe koncepty z jego mniej udatnej powierzchowności, rozlanej twarzy, małych oczu, zadartego nosa. „Wiecie, — mówił — że ten Toczewski jest bardzo miły przy stole, ale robił-by jeszcze lepsze wra-

zenie — na stole, zwłaszcza wielkanocnym; — trzeba-by mu było tylko wsadzić czerwone jajko w zęby“.

Panny bardzo się śmiały.

Przy wszelkich zbiorowych zabawach, na gondoli, w kawiarni, w restauracji, teatrze, Owczarkiewicz energicznie komenderował:

— Niech jeden płaci za wszystkich, potem się rozliczymy!

I wieczorem, przy rozrachunku, albo obiecywał zwrócić pieniądze „jutro“, albo znikał bez ceremonii, a nazajutrz przy jedzeniu wybierał sobie spokojnie wino droższe, niż inni.

Worczyński, wciągany przez panny w grę zazdrości bez swojej woli i przyjemności, musiał robić coś dla utrzymania dobrego stosunku z obu wielbicielami. Z Ilirychem było to zupełnie łatwą rzeczą. Chłopiec chodził wszędzie za towarzystwem, nieodłączny jak cień, i jak cień smutny i milczący. Worczyński kilkakrotnie próbował wciągnąć go do rozmowy, ale zaniechał tego, widząc, że Ilirycz nie jest w stanie wyłobyć z siebie nic zajmującego, ani nawet inteligentnego.

Najlepiej pozostawić go w spokoju — postanowił.

Czuł jednak, że biedny chłopiec nie ma do niego żadnej urazy, ani niechęci.

Worczyński jednak najwidoczniej Toczewskiemu zawadzał, gdyż, pomimo grzeczności, z jaką się zawsze do niego zwracał, czytał niejednokrotnie w małych, niespokojnych, stalowych oczkach jego, iż rad był-by go wepchnąć do jednego z tych cichych i samotnych kanałów, gdzie żywa dusza nie pośpieszyła-by na ratunek tonącemu.

— Głupi, — myślał w takich razach Worczyński — nie rozumie bałwan, że ona robi to tyle dla mnie, ile i dla niego.

Podzielał sympatyje i antypatyje Toczyńskiej, która trochę się znała na ludziach. Od pierwszego poznania wiało od Toczewskiego nieszczerością; był ciągle jednakowo i banalnie grzecznym, i nawet w chwilach, kiedy, jak pod koniec obiadu, pod wpływem wina i humoru, coś serdeczniejszego ogarniało wszystkich, nie odkrywał swojej prawdziwej natury. Wobec arcydzieł budownictwa i malarstwa równie banalnie, jak zawsze, kiwał uśmiechniętą twarzą — i nigdy nie wypowiadał swoich wrażeń, o niczem nie wyrażał swoich opinii. Potakiwać nie chciał, bojąc się, aby nie posądzono go, że własnego sądu nie ma; przeczyć nie śmiał, niepewny, czy to, co naprawdę myśli, nie jest głupstwem. I tkwił w tem towarzystwie, jako pierwiastek zawsze obcy, niezdolny na chwilę nawet dostroić się do ogólnej harmonii.

Panował jednak mocno nad zazdrością, którą Wanda go dręczyła, jak też i nad momentami radości, jakie mu czasem wydzielala łaskawie i ręką nawet dość szczerą. Był on poddany wszystkim rygorom i dobrodziejstwom prostej a tak skutecznej metody „bacika i pierniczka“.

Worczyński zgadywał w nim duszę pospolitą i serce twarde.

— Tak się ta urocza idylla i skończy—myślał—że on ją dostanie później, czy prędzej. I będzie wtedy miała za swoje.

I życzył drugiej paninie Toczyskiej drugiego Toczewskiego.

V.

— Panie Worczyński, mam na dziś doskonały projekt, — rzekł Owczarkiewicz (wszyscy się zwracali do Worczyńskiego z projektami, choć ten nigdy nie chciał nic decydować),—pojedziemy na Lido, gdzie jest podobno pierwszorzędny zakład kąpielowy, zrobimy sobie w morzu małego kontredansa—w dwie pary, panie w szóstej figurze dobiórą jednego pana, ponieważ jest nas trzech — to nam wyrobi doskonały apetyt na śniadanie, które tamże sobie obstalujemy.

— Ja się nie kąpię w morzu, ale myśl dobra, i będę służył państwu do śniadania.

— Żebyście wiedzieli, cośmy z pannami Toczyskimi wyrabiali w Abbazji..- Uczyłem pannę Anielę pływać.

— I nauczyłeś pan?

— Kto wie, może-bym i nauczył, żebym sam potrafił choć troszkę... Panie Ilirycz, co pan myślisz o projekcie?

Ilirycz na wszystko się zgadzał z jednakową obojętnością.

— A pan, panie Toczewski...

W Toczewskim zagrał przedewszystkiem niepokój; nie kąpał się jeszcze nigdy w morzu.

— Widzi pan, ja nie umiem pływać, a może tam jest głęboko.

— Żarty, panie. Trzeba iść z pół godziny w morze, aby woda dosięgła brody...

Toczewski się rozjaśnił.

— I będziemy kontredansa tańczyć?

— Zrobimy przynajmniej rrrrond...

— I z paniami?

— Ma się rozumieć.

Zaświeciły mu się oczki.

Skoro panie się zjawiły, Owczarkiewicz wyłuszczył im zaraz swój projekt. Kąpiel morska?.. Ależ doskonale! Pyszna myśl! Brawo, panie Owczarkiewicz.

— Należy się panu za ten pomysł order z muszli, — zawołała Aniela.

— Hm! wolał-bym ostrygę samą.

Panny zaraz skoczyły do hotelu wziąć swoje kostiumy kąpielowe.

— Kostiumy? — zapytał niespokojnie Toczewski Owczarkiewicza. — Panie, a jakże my?

— My sobie wynajmiemy na miejscu.

Worczyński zwrócił się do Tonczyńskiej, która została na placu z panami.

— Pani używa morskich kąpeli?

— Wzięłam kilka w Abbazyi, ale mi nie służy.

— I mnie również. Usiądziemy sobie nad wodą, i będziemy gawędzili.

Panny się zjawiły wkrótce i mały, jak dziecinna zabawka, stateczek, zawiózł towarzystwo na oddaloną wyspę.

— Bardzo dobrze się składa — zauważył Owczarkiewicz, obserwując kołysanie się statku — będziemy mieli wcale porządne fale.

Aniela zbliżyła się do Worczyńskiego:

— Czy to prawda, że pan nie będzie się kąpał?

— Prawda, paui.

— A cóż pan będzie robił?

— Będę bawił mamę pani.

— Nie, panie, co to za przekomarzanie się?! gotowa jestem się założyć, iż robi pan na złość.

— Ależ, panno Anielo, kąpiele mi nie służą.

— Jedną?!

— Jestem po bardzo poważnej kuracyi.

— Nie, doprawdy, kokietuje pan.

— Przecież, w takim razie, zapewniam panią... poszedł-bym się właśnie kąpać.

Panna Aniela, choć odważna, zarumieniła się trochę.

Wkrótce stateczek zamieniono na tramwaj, obiegający dokoła wysepkę i ciągniony przez sławnego, głośnego, jedyne go na całą We-

necyę konia, o którym matki weneckie mówią swoim dzieciom: „jak będziesz grzeczny, to zawiozę cię na Lido, gdzie zobaczysz żywego, prawdziwego konia“.

Oto i kąpiele.

Wstąpili na długi most, który wyglądał jak ogon drewnianego, potwornego ptaka, leżącego na morzu z szeroko rozwiniętymi skrzydłami. Każde z tych skrzydeł miało swoje przeznaczenie: — lewe prowadziło do kąpeli dla panów, prawe do kąpeli dla pań.

Była to niespodzianka, wobec której nikt nie śmiał powiedzieć ani słowa.

Same tylko oczy Owczarkiewicza zdawały się dziwić:

„Co? co? to tu osobno“?!

I surowej udzielać nagany:

„Barbarzyńskie zwyczaje“!

Wszyscy byli zawiedzeni, ale jedno drugiemu nie spojrzęło nawet w oczy. Panie poszły na prawo wzdłuż długiej, drewnianej galeryi, panowie udali się na lewo. W środku, w dużym, otwartym na morze, budynku restauracyjnym pozostali Tonczyńska z Worczyńskim, i zajęli jeden ze stolików, opartych o galeryjkę.

VI.

Tonczyńska ożywiła się pod wpływem tych względów, jakie okazywał jej on jeden, a taki elegancki i świetny, i od tego ożywienia, ruchy jej stały się żywsze i młodsze, uśmiech zawsze słodki, trochę śmielszy, wyrazy dobitniejsze i zdania pełniejsze.

Miała tylko skrupuły.

— Będzie pan żałował, że nie pozostał w Wenecyi, — rzekła.

Worczyński uspokoił ją zupełnie uwagą:

— Tam morze nie jest tak zajmujące.

— To prawda, — odpowiedziała z przekonaniem.

A morze dnia tego było istotnie dość zajmującym, bo rozdrażnione przez wiaterek, lecący po wodzie, rzucało na brzegi wysepki setki fal zielonych, które rozbijały się i tonęły w piaskach obronnych; atak fal na budynek kąpielowy, stojący w morzu, i czołem drewnianego wału sprzeciwiający się najazdowi, wywoływał żywszy gniew fal niecier-

pliwszych, — trwał też na dole ciągły łoskot walki, a od czasu do czasu wylatywały wysoko w górę setki wodnych pereł, z których kilka padało na obrus restauracyjnego stolika.

Tonczyńska patrzyła z uwagą na ten pochód fal, które biegły — szereg mniejszych i pospolitych za jedną większą, energicznie wydetą ponad tafelę wodną, jakby do góry zadartą, pianą na grzbiecie osypałą, niby oddział żołnierzy za kapitanem, powiewającym białym pióropuszem swego hełmu.

Worczyński patrzył na Tonczyńską, która wydawała mu się dziś młodszą jeszcze, i krytykował jej szarą, pospolitą suknię, czarne rękawiczki, kapelusz z przeszłorocznego sezonu i wyszłą z mody parasolkę.

Pomyślał z energią:

— Ehl jak ja-bym ją ubrał i puścił na salony!

I już widział swoich przyjaciół z klubu, którzy oglądali się na ulicy za Tonczyńską, ubraną przez Worczyńskiego, pytając jeden drugiego: „słuchaj, nie wiesz, kto to jest“?

Jak to ona może pasować — myślał — z takimi kartami.

Od wiatru powietrze zrobiło się przenikliwe.

— Jak zimno, — rzekła Tonczyńska — żałuję, że się pozwoliła moim pannom kąpać.

— W wodzie jest ciepiej. A zresztą... chciał-bym widzieć panią, niepozwalającą czegoś swoim pannom.

— O! niech pan nie myśli, że ja jestem istotą bez woli i energii, — rzekła z zacięciem, tonem istotnie takim, jak się mówi do kogoś, dobrze znajomego, — trzeba panu wiedzieć, że sama zajmuję się sprawami i interesami, a to nie jest łatwo, bo to majątek ziemski...

— W jakich stronach?

— Godzinę szosą od Warszawy.

— I państwo tam mieszkają?

— Teraz, od lat dwóch, jak mi panny podorastały, w Warszawie. Ale co tydzień jestem w Zadębiu i sama rządzą...

— Od dawna?

— Już lat dziesięć.

— Że też to pozwolono pani tak długo być wdową...

Tonczyńska wzrok puściła po gniewnych ciągle falach Adryatyku.

— Żyłam samotnie, na wsi, doprowadzając do porządku interesy, trochę zawikłane, jeżeli niezachwiane; sama nigdzie nie bywałam, nikt też i nie bywał u mnie. Pozatem — dodała wolniej — nie miałam najmniejszej ochoty powtarzać raz drugi, po próbie, która...

Zatrzymała się.

— Rozumiem, która niezupełnie była udana.

Tonczyńska potwierdziła milczeniem.

— Jednakże, — nalegał — jednakże... Czyż nie miała pani konkurentów?

Zrobiła się weselszą.

— Ot, zamajaczyło się tam coś, ale tyle i tego, że zamajaczyło.

— A widzi pani. I ktoś to był?

— Sąsiad, nie stary człowiek, bardzo poważany, radca towarzystwa, zamożny przytem...

— I kochała go pani?

— Ja ledwie go znałam, a i on mnie mało. Mówiono, że podobałam mu się i zaczęto nas swatać. Ale jak o tem dowiedziały się dzieci, — były jeszcze w domu — tak rozpacz. Za nic w świecie nie chciały, aby matka drugi raz za mąż wyszła. Postanowiły uciec z domu. I już były obie na drodze do Warszawy, w nocy, Wandzia prowadziła Anielcię za rączkę po szosie...

— One nie wiedziały, że pani była nieszczęśliwa?

— Skąd-że?! — rzekła prawie z dąsem, potem dodała łagodnie: — ostatnich lat parę życia mieszkał mój mąż za granicą i tam umarł.

Worczyński kiwnął parę razy głową, ze współczuciem dla Tonczyńskiej, z wyrzutami dla gałgana jej męża.

— Panienci — rzekł po chwili — już wtedy miały swoją wolę. Obiecywały...

— A tak, — rzekła z nutką żalu w głosie, wrażeniem chwili owładnięta i popchnięta na drodze szczerości może dalej, niżby sama chciała, — tak, i jest to moja wina; przyznać to muszę sobie zupełnie; ale ja byłam tak młodą, i tak wcześnie zostawiona sama sobie. Gdyby to można, z dzisiejszem doświadczeniem wrócić o lat kilkanaście wstecz... o, dziś wychowała-bym je inaczej. Ale, panie, ja tak nic nie znałam świata wtedy ani życia, przytem tak bardzo je kochałam, — było to przecież wszystko, co miałam na świecie. I jednego tylko pragnęłam, o jednym myślałam, o jedno się starałam: aby i one mnie kochały. Jak ja-bym mogła im czegoś zabronić? zmarszczyć się na nie? Bałam się. Myślałam zaraz, że mogą przestać mnie kochać. Wprawdzie i mnie rodzice wychowali samą tylko dobrocią, ale wtedy czasy były inne, prostsze jakoś, nie takie, jak dziś. Młoda panienska teraz na pensyi już znajduje się wobec tylu nowości, haseł, zadań, zagadnień, że aby utrzymać młodą główkę w porządku, potrzeba albo prawdziwej miłości i zaufania do starszych, albo wyjątkowej równowagi i rozsądku. Ja zaś byłam tak długo naiwna i nieprzygotowana, że kiedy moje panny wró-

ciły do mnie na wieś z piątej klasy, na wakacje, to mnie samej przez pewien czas zdawało się, że one są mądrzejsze ode mnie. A cóż im?!

— A potem?

— Potem było zapóźno odzyskiwać wpływ. Przywykły już rządzić się same, własną głową, co najwyżej radząc się jedna drugiej. I im więcej w las, tem więcej drzew. Kiedy wróciły na następne wakacje, przekonały mnie, że dzisiaj panna powinna być przygotowaną do walki o byt, że powinna wszystko wiedzieć i wszystko czytać. I nasprawdzały sobie książek — jakich książek?!

— Należało spróbować...

— Próbowałam, próbowałam, i nieraz. Podsuwałam im książki, które są zdolne myśl podnieść i serce pogłębić. Nie lubią i nie rozumieją. Zaczynałam z nimi rozmowy i dysputy—one mnie uważają za tak już starą, jakbym wróciła z tamtego świata.

Zatrzymała się nagle, spostrzegła i zaniepokojona spojrzała na Worczyńskiego:

— Ale ja, ot, obgadałam własne córki.

Worczyński położył komicznie rękę na piersi:

— Przysięgam, że nie powiem dalej.

Ale widząc jej prawdziwe zakłopotanie, dodał:

— Proszę pani, przypadek dziś nas zbliżył, a jutro każde z nas pojedzie innym pociągami w inną stronę, aby się pewnie nigdy już nie spotkać.

— Bo one w gruncie są dobre. Tylko takie jeszcze młode. I jeżeli dostaną także dobrych ludzi na mężów, mogą być bardzo szczęśliwe...

— Niezawodnie, niezawodnie — potwierdził mocno. Żał mu było już tej mateczki, która miała pogląd na wszystko taki jasny.

Pomyślał jednak sobie:

— Tak, tylko one się na dobrym człowieku nie poznają, tylko one dobrego człowieka na męża — nie zechcą.

VII.

— Jakto? więc już mamy się rozstać, panie Worczyński, i dzisiaj?

— Będziemy za panem tęskniły, panie Worczyński.

Worczyński ukłonił się pannom.

— I dokąd panu tak pilno?

— Zaczynam się po prostu włóczyć. Padwa, Ferrara, Cremona Mantua, Rovigo... panie długo pozostają w Wenecyi?

— Ehl mamy już dosyć, co, Anielko?

— Całkowicie. My jedziemy na dwa, trzy dni do Medyolanu a potem nad jezioro czterech kantonów, albo do Interlaken. Tak chciałaś, Wandziu?

— Zobaczy się w drodze.

— A panowie?

Owczarkiewicz był trochę zakłopotany i niespokojny.

— Ja zobaczę, zobaczę.

Anielka spojrzała na niego ironicznie.

— Niech-no pan nie udaje, pojedzie pan także do Medyolanu.

— A pan?

— Ja paniom będę również towarzyszył,—rzekł Ilirycz, i patrząc na Anielę, jakby prosząc ją o słówko zachęty, dodał: — jeśli panie pozwolą.

— Ach, panie Ilirycz! — odpowiedziała Anielka ze zwróconą względem niego bezwzględnością — koleje są dla wszystkich.

— To będziemy wszyscy prawie w Medyolanie,—rzekł Toczewski — bo właśnie ja tam mam do załatwienia jeden interes, i to nawet dosyć ważny.

— Jak to dobrze się składał — rzekła Wanda, patrząc na niego przymrużonemi oczyma, z lekkim odcieniem szyderstwa.

— A więc dziś pożegnalny obiad, — zawołał Worczyński,

— Konieczniel

— Naturalniel

— W Café Quadri, o siódmej, zgoda?

— Stoil

Uklonił się i rozstał. Postanowił pożegnać towarzystwo, z którym przepędził kilka dni, względnie nawet miłych, kosztem szampańskiego wina, i postanowił pozostawić mamusi, która była prawdziwą perłą tego towarzystwa, pamiątkę po sobie. Tą pamiątką będzie prosta „dobra rada“.

Oto co jej powie na pożegnanie:

„Niech pani nic a nic nie wierzy córkom, które powiadają, że pani jest starą, ani też niech pani nie wierzy sobie ani odrobiny. Pani sama nie ma o tem pojęcia, a córeczki pani znają się może na wszystkim, ale z pewnością nie na tem. Jest pani i młoda, i ładna, i świeża (zakonserwowana, jak ananas w cukrze), i miła, jest pani jednym słowem — do zakochania, do za-ko-cha-nia... czy pani była łaskawą słyszeć? Mówi to pani zaś nie pierwszy lepszy chłystek, lecz człowiek, który się zna na tych rzeczach, jak mało kto lepiej i jak mało kto równie, amator i koneser — specjalista. Może więc pani dobrodziejka wierzyć jego słowom, jak słowom pacierza. Życia pani nie zmarnowała jeszcze, o! wcale, zrobiła sobie tylko pani długą, długą pauzę, w czasie której naciągnęła pani dobrodziejka słodkimi sokami, niby grusza przez długie i gorące lato. Był-by to, powiem pani dobrodziejce otwarcie i po prostu, był-by to grzech, żeby nikt nie miał tych słodkości skosztować. Ot co! do widzenia, szanownej pani. Ale, ale, oto mój adres, raczy szanowna pani zawiadomić swego sługę o dniu ślubu, miło mi będzie et caetera...

„Ot, co jej powiem“.

Było mi przyjemnie popatrzeć na jej miłą twarzyczkę i na jej miłą jeszcze naiwność, więc wywdzięczę się za tę przyjemność hojnie.

U drzwi hotelu zatrzymał go ktoś z tyłu za rękaw. Obejrzał się. Był to Owczarkiewicz.

— Mój panie, ja mam do pana wielką prośbę,— rzekł— widzi pan, bardzo mi zależy, żeby pojechać z Tonceżyńskiemi razem, powiem panu otwarcie, zaszłapałem się w pannie Anieli... Ale widzi pan, nie wystarczy mi. Właśnie mi doniesiono, jeden z przyjaciół, mogę pokazać panu list, ol.. nie, nie wzięłem go jak raz dziś z sobą... Towarzystwo Zachęty sprzedało mój pejżaż, i tam leży w kancellaryi dla mnie dwieście czterdzieści rubli, już po odtrąceniu procentu, i jak tylko przyjadę, oddam więc panu z wdzięcznością... Zresztą, nie potrzeba mi więcej, jak sto rubli, jakie trzysta franków...

Worczyński odmówił stanowczo.

Nie, mój kochany, — pomyślał — takie sztuki z obrazami, to się tylko raz udają.

I był nawet zadowolony z odmowy.

Przytem sprzyjał on Iliryjczy, i miał współczucie dla jego biedy. Jak panna nie będzie miała nikogo innego przy sobie do flirtu—pomyślał—to z musu i nudy zajmie się choć trochę tym, który będzie pod ręką i jedyny.

Miał wyjechać nazajutrz rano.

Ale w ciągu dnia zawahał się. Przyszło mu do głowy, czyby nie puścić się razem z towarzystwem do Medyolanu. Ostatecznie nie nudził się w tem kółku, w Medyolanie był wszystkiego przez dwadzieścia cztery godziny przed dwudziestulaty (jeszcze wtedy nie była skończoną katedra), a trzeba przecież zobaczyć jaką minę ma północny, zamysłony i chmurny gotyk pod pełnem uśmiechów niebem włoskiem). Ostatecznie zaś — jedno miasto włoskie mniej, jedno więcej?!

Głównie jednak chciało mu się popatrzeć i posłuchać, postudycować tę ładną mamusię, którą uważał za swoje odkrycie. Tak, bo on odkrył w tej mamie, tak bez pretensyi ubranej, i tak swobodnie poruszającej się na drugim planie, w tej mamie, której ludzie składali banalne hołdy konwencyjonalnego szacunku — kobietę. Gdyby ją ubrał i przez tydzień choć potresował, zgłupieli-byście, moi panowie.

Worczyński miał jakby w żyłach z krwią zmieszaną ciekawość do kobiet; te, które kochał, nie wystarczało mu kochać tylko; traktował on je jeszcze jak książki, które przeczytywał od pierwszej do ostatniej kartki, ciekaw wymiarów ich inteligencji, głębi charakteru i każdego najdrobniejszego szczegółu, który mógł ich dusze charakteryzować. Dlatego też był miłym i dla kobiet, do których nie miał wcale zamiaru się zalecać, i posiadał kilka dobrych, szczerych, serdecznych przyjaciółek, które nigdy nie były jego kochankami. Umiał cały wieczór rozmawiać ze staruszkami, które miały przeszłość bogatą, popioły rozgrzebując.

Tonczyńską zaczął właśnie „czytać“, i pierwszy rozdziałek nie był nudny. Gdyby tak jeszcze jeden...

I postanowił pojechać do Medyolanu.

— Zrobię im niespodziankę — ułożył sobie.

Wyjeżdżały właśnie kurierskim pociągiem, dziś jeszcze, parę minut przed północą.

— Tem lepiej.

Przy obiedzie wypił więc toast za zdrowie „miłych towarzyszek podróży“, i pozwolił się pożegnać, ale nie powiedział pięknej mamusi ani słowa z tego, co ułożył, zostawiając ten cenny prezent na prawdziwe pożegnanie.

Kiedy zjawił się w nocy na foksalu, panny podskoczyły z radości.

— Jak to ładnie z paną strony.

— Dziękujemy. Przyszedł pan nas odprowadzić?

— Tak, pani, i to do samego Medyolanu.

— Co? pan jedzie z nami do Medyolanu?

— Do samego.

Spodziewał się nowego wybuchu radości i, zdziwiony, spostrzegł, że panny nic na ten efekt nie reagowały, tylko spojrziała jedna drugiej jakoś wymownie w oczy.

Zwrócił się do Tonczyńskiej, ta nie miała na twarzy ani śladu uśmiechu; w jej oczach było coś, jakby bodaj że przerażenie.

Tylko panowie ściskali mu przyjaźnie ręce.

Worczyński był wprost zdumiony:

— Co to, u licha ciężkiego, może znaczyć?!

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O I-szej i II-giej Części
Mickiewiczowskich
„DZIADÓW“
słów kilka.

I.

Nazywamy dowolnie pierwszą Częścią „Dziadów“ luźne, po śmierci poety wydane, „Fragmenty“, lubo nie zostało dotychczas wyjaśnionem, czy rzeczywiście stoją one w stosunku poprzedniości do „Dziadów“ Części Drugiej, owszem, lubo jest zupełnie wątpliwem, czy wogóle obie te części wypełniają sobą już uporządkowany pod względem planu poetycki pomysł. Otóż, wszystko zdaje się świadczyć, że, co do obu tych „Części“, poeta uporządkowanego pomysłu nie miał; że, owszem, pomysł sam, pod innym wpływem powzięty, a pod innym rozwijany, próbom uporządkowania poddawał się — z natury dwoistości swojej — opornie i ostatecznie cech jednolitego dzieła nie przyjął. W tej chwili wszakże sprawa stoi tak, że fragmenty owe, obejmujące

przeszło 500 wierszy, bezładnie na 22 kartkach pokreślonego autografu spisanych, wydane zostały w edycji pośmiertnej, jako Część „Dziadów“ — I sza.

Fragmety te obejmują:

1-o. Monolog Dziewczyny w samotnym pokoju.

2-o. Scenę Starca z wnukiem i „Piosnkę“ tegoż wnuka.

3-o. Scenę Guślarza i Chóru Młodzieńców.

4-o. Pieśń i monolog Gustawa, tudzież scenę pomiędzy Gustawem i Myśliwym Czarnym.

Zaznaczam tu, że wyrażenia „primo“, „secundo“, „tertio“, „quarto“, nie przesądzają bynajmniej porządku, w jakim fragmety owe powstawały, i że, co za tem idzie, nie są dostateczną wskazówką ich następności względem saufych siebie. Faktem jedynie pewnym jest, że w tece poety znalazły się po śmierci jego owe niewydane urywki, że je jako I-szą Część „Dziadów“ wydano, i że za taką powszechnie, lubo całkiem bezkrytycznie, przyjęte zostały.

Było-by rzeczą wdzięczną powszechność tę i tę bezkrytyczność powyższego mniemania szczegółowo zbadać i przywieść na całym obszarze literackiego materyału, jakiego dostarczają piszący o Mickiewiczowskich „Dziadach“.

Dla celu wszakże, jaki sobie w niniejszem studyum zakładam, wystarczy, gdy, trzymając się tylko jednego z pisarzy takich, na tle jednej tylko z książek jego, wywody moje rozwinę, i jedynie w sposób dodatkowy, powołam się na materyały uboczne.

Da to całej tej pracy pożądaną przejrzystość i prostolinijność, o którą nigdy dosyć dbać nie można, gdy chodzi o wyświeetlenie jakiejś spornej kwestyi.

Autorem, którego tu trzymać się zamierzam, jest dr Józef Kallenbach, profesor fryburskiego uniwersytetu. Książka, na której się oprę, jest dwutomowe dzieło jego pod tytułem: „Adam Mickiewicz“, wydane w 1897 roku, w Krakowie.

Otóż dr Kallenbach, przyjmując Fragmety owe bezspornie za Część I-szą „Dziadów“, nazywa je:

1-o. „Szczątkami pierwotnej Części pierwszej „Dziadów“, (stron. 119, tom I).

2-o. „Pierwszym planem, pierwszym pomysłem jakiejś całości, rysującej się w wyobraźni poety“ (str. 121. tom I).

3-o. Luźnemi scenami (disiecta membra“), w pośpiechu rzuconemi na papier, jako podstawa późniejszego, artystycznego połączenia“ (t. stron.).

4-o. Obrazem pierwszych zawiązków poematu, który z czasem wybujać miał ponad zamysły poety (str. 133, tom I).

Nareszcie, 5-o. „Ważnym i niezbędnym prologiem do tego, co nastąpi w części II-giej“ (str. 127, t. I).

Pewnego razu, Wiktor Cousin, wszedłszy na katedrę w Sorbonie, tak zaczął swą lekcję:

— „Mamy cztery filozoficzne systemy: spirytualizm, sensualizm, sceptycyzm i mistycyzm. Są one, a zatem są prawdziwe; są cztery, a zatem są fałszywe“.

Otóż, to samo właśnie można-by powiedzieć o pięciu określeniach owych przez dra Kallenbacha.

Są one, a zatem są prawdziwe; jest ich pięć, a zatem są fałszywe,

Jakoż istotnie: gdyby jedno z tych określeń tłómaczyło wszystkie cechy Fragmentów owych, cztery pozostałe były-by całkiem zbędne. Sama zaś ich mnogość wskazuje *nieujęcie* przedmiotu w jego właściwej istocie.

To nieujęcie bije w oczy przy każdym z tych określeń, a to pod dwojakim względem.

Po pierwsze: każde z nich jest gołosłowne, żadnym, ani rzeczowym, ani logicznym dowodem nieoparte; i po drugie: wszystkie przeczą sobie wzajem.

Kiedy dr Kallenbach nazywa „Fragmenty“ owe „szczętkami pierwotnej Części pierwszej „Dziadów“, niewątpliwie rozumie to tak, że jakaś pierwotna pierwsza Część „Dziadów“ istniała, oraz że istnieć przestała. Inaczej bowiem nie mogły-by się pozostać z niej „szczętki“, który-to wyraz określa bezspornie jakieś resztki, jakieś pozostałości z czegoś, co istniało w swoim czasie, jako całość. W takim-to znaczeniu mówimy: „szczętki fortuny“, „śmiertelne szczętki“ i t. p.

Ale gdzie dowód na to, że całość taka rzeczywiście istniała? Że istniała *taka* „Część pierwsza“ „Dziadów“, której „Fragmenty“ te są szczętkami?

Takiego dowodu dr Kallenbach nam nietylko nie daje, ale żadnym wywodem logicznym domysłu swego nie popiera.

Przyjmijmy wszakże rzecz tę — bez dowodu. Jeżeli jednak „Fragmenty“ z pośmiertnej teki są *szczętkami* jakiejś Części pierwszej (patrz str. 119). jakim sposobem, pytam, mogą one być na str. 121: *pierwszym planem, pierwszym pomysłem* dzieła?

Bo jeśli to jest *plan i pomysł*, „pierwszy plan“ i „pierwszy pomysł“ „jakiejś całości, rysującej się dopiero w wyobraźni poety“, — ca-

łość ta, jako skończona część pierwsza „Dziadów“, istnieć jeszcze nie mogła, i zatem idzie — nie mogła zostawić po sobie „szczątków“.

Czy są wszakże fragmenty te pierwszym planem dzieła? I czy nim być mogą?

Otóż, ktokolwiek zna matematyczną niemal ścisłość pierwotnych rzutów kompozycyjnych Mickiewicza, kto choć pobieżnie zbadał naturę tej arcylogicznej twórczości, ten ma wszelkie prawo powątpiewać o tem. „Pierwszy plan“, „pierwszy pomysł“ Mickiewiczowski mógł wyglądać tak nawet, jak ów dziennik podróży jego: „Berlin—befsztok; Weimar—Göthe. Bonn—kartofle...“, ale nie mógł być czemś, co już to za „plan“, już to za „szczątki“ brać można, nie mógł być „luźnemi scenami, w pośpiechu rzucanemi na papier“ (121 str.), które, jakakolwiek ich treść, nie posiadają ani jednej kompozycyjnej, a więc ciągłość pomysłu wyrażającej, linii, a to tak dobrze w stosunku do samych siebie, jak i w stosunku do całego dzieła.

„Plan“, to z natury swojej coś, co się linią taką w dziele wykreślać musi; co nią wskroś dzieła prześwieca, i co się przy badaniu da zawsze odnaleźć i wskazać. Tymczasem wszelka próba rozważania tych fragmentów, jako „planu“ dzieła, nietylko rzeczy nie rozjaśnia, ale ją zupełnie gmatwa i zaciemnia.

Sam dr Kallenbach doznał tego na sobie, i to w wieloraki sposób. Przedewszystkiem nie wie on, jakie miejsce naznaczyć ma monologowi „Dziewczyny z samotnego pokoju“, i monologowi Gustawa. Już to próbuje on je połączyć i utrzymuje, że „oba te monologi. Gustawa i Dziewicy, należy oceniać wspólnie“ (str. 122, tom I). Już to godzi się na rozdzielenie, i nazywa je „ramą“, ujmującą luźne sceny Guślarza z wieśniakami i Starca z wnukiem“, ktorej-to dowolności w traktowaniu znieść-by nie mogła żadna *istotna* część *istotnego* „planu“ dzieła.

Ale po tej pierwszej trudności przychodzi druga: Na scenie ukazuje się Guślarz, oraz Chór Młodzieńców, i oto dr Kallenbach powiada (str. 126, tom I), że: „Chórowi temu z Guślarzem na czele różne dotychczas przypisywano znaczenie“. Pytam się, czy gdybyśmy istotnie mieli tu „najwidoczniej“ — jak mówi dr Kallenbach — „do czynienia z pierwszym planem“ dzieła, czy było-by wogóle możebnem przypisywać tak decydującemu w dziele momentowi „różne znaczenie“? Czyby, owszem, choćby wszystkie inne wskazówki zawiodły, ta właśnie, i ta jedna nie była dostateczną do zaznaczenia takiego genetycznego związku i takiego stosunku następcości pomiędzy fragmentami, nazwanemi Częścią pierwszą „Dziadów“, a Częścią ich drugą, iż wogóle nadawanie momentowi tak ważnemu „różnego znaczenia“ okazać-by

się musiało niemożliwem zgoła? Bo jeśli co, to pojawienie się Guślarza i Chóru w tej, przyjętej za „pierwszą“, części, musiało-by mieć w części, przyjętej za drugą, swoją ciągłość, że tak powiem, a to w znaczeniu tożsamości ludzi, charakterów i pojęć. Musiało-by ją mieć tak dalece, że nikomu, ani prof. Tretiakowi, ani prof. Kallenbachowi nie przyszło-by do głowy wyjaśniać na swój sposób znaczenie tego pojawienia się Guślarza i Chóru. Czy jako *Część I-sza* bowiem, czy jako *plan*, fragmenty te dostarczyły-by niewątpliwie dosyć światła na to, aby intencje poety oświetlić, dać je zrozumieć jasno, bez wahania i bez nieodownych przy wahanii takim pomyłek.

Tymczasem wszakże przychodzą gorsze jeszcze zawikłania. Zjawia się „Starzec i Dziecię“. Zjawia się tak wprost, bez żadnego przygotowania, „w rękopisie zaraz po ostatnich słowach Guślarza“, mówi z pewnem zafrasowaniem dr. Kallenbach, i to, „jako całość odrębna“ (str. 126, tom I).

„Co przeszedł w życiu swoim ten tajemniczy Starzec, jaka jego rola w „Dziadach“? — Naprawdę gubić się zdaje w domysłach dr. Kallenbach na str. 131 swej książki. A zauważmy, że mówi to o jednym z fragmentów, które nazwał *planem*, więc co do których, uznawszy w nich *zamysł* rozporządzający dzieło, a tem tylko plan wszelki być może — powinien-by mieć pewność, dającą się albo dowieść, albo wywnioskować logicznie. Nigdy zaś „gubić się w domysłach“, co już samo było-by złem, a gorszem jest jeszcze, gdy pisarz, podejmujący takie zadanie, gubi się w nich „naprawdę“.

Ale prof. Kallenbach przyznaje się nietylko do owego błędzenia w labiryncie domysłów; mówi nam także, iż ulubiona piosenka (Ballada) o zaklętym młodzieńcu, przemienionym w głązy, nie rozwiązuje zagadki, lecz, owszem, zwiększa trudność zrozumienia“ (str. 131, tom I). Mówi nadto, iż „Ballada ta sprawia mu niemały kłopot“. „Bo, że Porajem ma być poeta, a zwierciadłem, przed którym zwolna kamienieje—wspomnienia nieszczęśliwej młodości“, to dr Kallenbach rozumie. „Ale dlaczego śpiewa piosnkę tę dziecię już teraz, zanim Gustaw poznał Dziewczynę samotnego pokoju, dlaczego starzec żąda tej piosnki — daremnie badać“ (str. 132 tom I).

Szczególny, zaprawdę, „plan“ dzieła, gdzie co chwila spotykamy się z postaciami i z faktami, co do których, idąc za linią planu, więc za linią dzieła, „gubić się trzeba naprawdę w domysłach“; te zaś domysły „nie rozwiązują zagadki, ale, owszem, zwiększają trudności zrozumienia i doprowadzają do wniosku, że je „daremnie jest badać“.

Otóż, zamiast tych domysłów i tego wniosku, powinniśmy byli znaleźć w książce dra Kallenbacha udowodnienie, że fragmenty z po-

śmiertnej teki albo istotnie są „szczętkami“ I-ej Części „Dziadów“; albo też, że są istotnie „pierwszym planem i pierwszym pomysłem dzieła“.

W pierwszym razie powinien nam być dać dr Kallenbach i rolę logicznej rekonstrukcyi, owej domniemanej Części I-ej „Dziadów“; w drugim, należało mu koniecznie wykazać dane, na jakich opierając się, przyszedł do wniosku, że kartki autografu są „planem“. Uzasadnieniem pierwszej hipotezy było-by wykazanie ciągłości tak materyi fragmentów, jak zaznaczonych w nich sytuacji, oraz pojęciowych i uczuciowych motywów, względnie do części „Dziadów“, nazwanej II-gą. Uzasadnieniem hipotezy drugiej było-by wskazanie linii „planu“ tego w samem dziele, linii, choćby najulotniejszej, byle nieprzerwanej. Na nieszczęście, dr Kallenbach nie spostrzegł się, że, przyjąwszy fragmenty raz za „szczętki“, drugi raz za „plan“ dzieła, nazywa je trzecim razem „ważnym i niezbędnym prologiem do tego, co nastąpi w Części II ej“ (str. 127, tom I).

Ale pytam, jak może być „ważnym i niezbędnym prologiem“, a zatem czemś rzucającym światło swoje na rzecz, która ma nastąpić, a która bez tego „ważnego i niezbędnego prologu“ nie mogła-by być zrozumiałą, coś, w czym „trzeba gubić się napróżno“, coś, co „nietylko nie rozwiązuje zagadki, ale zwiększa trudność zrozumienia“, i co „badać było-by daremnie“.

A przecież to wszystko właśnie mówi dr Kallenbach o „ważnym i niezbędnym prologu“ owym, między 121 a 132 stroną swej książki, sam czyniąc arcyproblematycznymi i „ważność“ takiego „prologu“, i jego „niezbędność“ także. Wogóle, wszystkie te wątpliwości i trudności, w jakie dr Kallenbach popadł przy próbach wyjaśnienia fragmentów owych przez podstawianie pod nie coraz to innego znaczenia, z których żadne nie okazało się zadawalniającem, wygląda wprost jak bór, przez który komentator przedrzeć się nie mogąc, kończy materję swoją, pełen zniechęcenia, temi słowami:

„Mamy tu prawdopodobnie do czynienia z powodem (zamieszania tego) głębszym, który ukrył się na zawsze“ (str. 137, tom I).

Gdy wszakże zbyt smutną było-by rzeczą takie zagubienie wszelkiego śladu twórczej myśli wielkiego poety narodowego w wielkiem narodowem dziele, i gdy abdykacya taka z poszukiwania śladu owego żadną miarą nie może być przyjętą za ostateczne zamknięcie tej sprawy, spróbujmy raz jeszcze iść na poszukiwanie owego śladu. Spróbujmy sprawdzić, spróbujmy przekonać się raz jeszcze, czy rzeczywiście „ukrył się on na zawsze“, czy rzeczywiście „daremnie było-by badać“, czy rzeczywiście jest to taki bór, w którym każdy krok nowy „zwiększa trudności zrozumienia“, w którym nie „nie rozwiązuje zagadki“, i w którym trzeba „napróżno się gubić“.

Może być, iż ta próba okaże się niedostateczna. Ale będzie to przynajmniej dowód, żeśmy nie rzucili tej kwestyi, jako nierozwiązalnej, zanim środki ku jej rozwiązaniu wyczerpane były. Będzie to razem podstawa do nowych badań, gdyby te okazały się potrzebnymi.

Będzie to ruszenie ważnej sprawy z mielizny takich ogólnikowych prejudykatów, jak „uawawsze“, „daremnie“, „napróžno“, i t p., na której to mieliżnie ugrzęzła,—i puszczenie jej znowu z prądem żywej myśli i żywych usiłowań naszych,

Powiem odrazu co mnie do tego ośmiela.

Zaraz po summarycznych a tak sprzecznych określeniach „Fragmentów“, przystępuje Dr Kallenbach do rozpatrywania „po kolei“, — jak mówi—ich pojedynczych części. A czyni to, nietylko nie próbując wyjaśnić, na jakiej mianowicie podstawie „kolejność taką przyjmuje ale nie troszcząc się o nią tak dalece, że gdy mu przychodzi mówić o pierwszym wileńskim wydaniu Dziadów, wydaniu obejmującym, jak wiadomo, część II-ą i część IV-ą—pisze tak:

„Kiedy poeta z czterech części Dziadów „dwie postanowił wydać“ (str. 119. Tom. I.)—i t. d., zapominając najzupełniej, że owe dwie Części: II-a i IV-a „wydane w kwietniu 1823 r., nie mogły być „wybrane przez poetę z czterech części Dziadów“, już dla tej przyczyny, że część ich III-a, napisaną została w 9 lat później dopiero, a mianowicie w r. 1832 w Dreźnie.

Że, co większa, nietylko w chwili owego zauważonego przez D-ra Kallenbacha „postanowienia poety wydania dwóch części Dziadów z części czterech“, Część ta III nie istniała, ale „że jej materya, to jest wyprawki, treść jej stanowiące, zaszyły w pół roku zaledwie po owem kwietniowym wydaniu wileńskim, bo w październiku 1823 roku. Ona zaś sama wydana została poraz pierwszy w Paryżu, w listopadzie 1832 r.

Daty te zbyt są powszechnie wiadome, i zbyt elementarnie obowiązują piszących o Mickiewiczowskich „Dziadach“, aby przypuszczać było można, że D-r Kallenbach ich nie zna. I nie było-by zgoła powodu powoływać tu ich nieścistości, gdyby nieścistość ta nie była charakterystyką traktowania całej tej sprawy w książce, o której tu mowa.

Otóż ta nieścistość właśnie ośmiela mnie całą tę materyę raz jeszcze podjąć, pod nowe światło ją podstawić i przekonać się, czy owe, tak ogólnikowe „nazawsze“, „daremnie“ i „napróžno“, i t. d. mogą, czy powinny być uważane za rozstrzygające rzecz całą.

II.

Punktem wyjścia dla wszelkiego ścisłego badania może być tylko fakt pewny i niezaprzeczalny. Ta metoda poszukiwań naturalistyczna jest oraz metodą poszukiwań logiczną; jedyną zatem, jaką w każdym badaniu przyjąć można i należy.

Otóż takim punktem wyjścia w materji, która nas zajmuje, jest pewny i niezaprzeczony fakt, że jądro formalnego pomysłu Mickiewiczowskich „Dziadów“ stanowi *obrzęd ludowy*, obchodzony na Litwie jako święto umarłych, jeszcze za czasów młodości poety, a w zmeinionej nieco formie i dziś jeszcze nawet.

Z obrzędu tego otrzymał poeta wrażenie bezpośrednio, żywe.

— „Miejsce samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne (tej uroczystości)—pisze Mickiewicz w przedmowie do wileńskiego wydania „Dziadów“ z 1823 r.— silnie przemawiały do mojej imaginacyi“.

Jest to niezawodny ślad pierwszego potrącenia twórczości w kierunku dzieła, potrącenia, które poeta chciał mieć wiadomem powszechnie i postawionem jasno.

Niema też pod tym względem dwóch zdań, i wszyscy piszący o „Dziadach“ zgadzają się na taką właśnie, wskazaną przez samego poetę, ich genezę.

Oo wszakże zauważyć należy, to, że potrącenie powyższe odnosi się przedewszystkiem do *pomysłu* dzieła.

Cóż to jest bowiem owo: „miejsce samotne, czas nocny, fantastyczne obrzędy“, które imaginacyę poety uderzyły mocno.

Jest to *scenerya* obrzędu, rozstrzygająca o formalnych, zewnętrznych cechach dzieła, o jego *pomyśle* samym, czyli tem, co się w imaginacyi poety odbiło *obrazem*.

Ale w zajmującej nas sprawie, kwestya pomysłu dzieła, jakkolwiek ważna, decydującą być nie może.

W sprawie, która nas zajmuje, stawia się, i to jako naczelną się stawia, kwestya *natury* dzieła.

Otóż nie ulega wątpliwości, że co do *natury* dzieła, to jądrem i zawiazkiem dzieła jest nie *scenerya* obrzędu, nie „miejsce samotne, czas nocny i fantastyczność“, w której-to ramie bardzo różne co do *na-*

tury swojej *pomysł* pomieściły się dalej—ale, że jest nim *ludowość* obrzędu tego.

Śpiewy obrzędowe i inkantacje—pisze poeta w tejże, powołanej powyżej, przedmowie,—są po większej części *wiernie*, a *niekiedy dosłownie z gminnej poezji wzięte*“.

Co to znaczy? Znaczy to, że poeta, do którego *imaginacy sceneryu* obrzędu—(miejsce samotne, czas nocny, etc.) przemawia tak mocno, iż staje się pierwszym potrąceniem twórczości jego w kierunku *pomyślu* dzieła, że poeta, w samym już akcie twórczości, ulega *naturze* obrzędu, to jest *ludowości* jego, w tym stopniu, iż powtarza „wiernie a niekiedy dosłownie“ to, co w obrzędzie jest tej ludowości poetyckim wyrazem, a mianowicie „inkantacje i obrzędowe śpiewy“, wprowadzając tym sposobem do dzieła swego tę *ludowość* jako pierwiastek, którego autentyczność chce mieć słowem swoim stwierdzoną.

I to jest najważniejszym momentem całego naszego badania.

Daje nam on nie tylko pewny i niewzruszony punkt wyjścia dla badania tego, ale zaopatruje nas takim światłem, które niechybnie do rozjaśnienia nastroczających się wątpliwości doprowadzić musi.

Jeżeli bowiem wrażenie, jakie poeta otrzymuje ze sceneryi obrzędu („miejsce samotne, czas nocny, fantastyczność“)—wprowadza nas, że tak powiem, do wnętrza samego poety, wskazując pobudzenie twórcze, jakiemu ulega, i nastrój twórczy, w jakim się znajduje,—to to wprowadzenie „wiernie, a niekiedy dosłownie“ tego, co jest *naturą* obrzędu, a mianowicie wyrazem *ludowości* jego, pozwala nam wniknąć w samą istotę, w samo wnętrze *dzieła*, jakie pod wpływem nastroju tego i tego pobudzenia powstaje, pozwala nam ująć żywiołowy pierwiastek dzieła.

Niepodobna sobie sprawy tej wyobrazić inaczej, jak w ten sposób, że poeta, do którego *imaginacy*, „miejsce samotne, czas nocny i fantastyczność obrzędu przemówiły mocno“, pod pierwszym zaraz wrażeniem, bezpośrednio i za świeżej pamięci, zapisuje sobie owe „śpiewy obrzędowe i inkantacje“, o których mówi, że są „wiernie a niekiedy dosłownie“.

Otóż, chociażby zapisek taki był najulotniejszym świstkiem, choćby obejmował tylko kilkaście słów nawet, ma on znaczenie kamienia węgielnego dla całego dzieła.

W każdym razie bowiem obejmował on sobą to, do czego poeta przywiązywał taką wagę, że chciał to w dziele swoim *wiernem* mieć i mieć *dosłownem*.

Przez tę „wierność i dosłowność“ wskazuje poeta nie tylko, że czerpał *ludowość* dzieła swego u samego *ludowości* tej źródła, bo z poe-

zyi gminnej; wskazuje nadto, że dokonał jakby transfuzji elementów poezji gminnej do powstającego dzieła swego, w chwili zawiązku jego, w momencie bezpośredniego potrącenia twórczości, w momencie, w którym dzieło, jako embryon, element taki przyjął i na nim rozwijać się mogło.

Gdy się rozwinie, gdy spotężnieje i wzrośnie, obejmie sobą cały świat ducha od ziemi do nieba. Geniusz poety wprowadzi do niego wzloty najwyższe, pęd najogromniejszy. materiał pojęciowy i uczuciowy najszerszy, zagadnienia najsubtelniejsze i najbardziej złożone. "

Ale obok tego, mimo to i przez to nawet samo, pierwiastek ludowości wystąpi w dziele zawsze, zawsze się da w niem odszukać, i będzie postawem wszelkiego wątku, jaki poeta osnuje na nim, i wszelką osnowę taką nawskroś przejmie i przeświecili sobą.

Cała scenerya dzieła: „miejsce samotne, czas nocny, fantastyczność obrzędu“, może uleść zmianie. Może wystąpić jako jedna z naczelných linii dzieła, ale może też zatrzeć się w niem całkowicie lub częściowo, na rzecz innej linii, rysującej się pod wpływem innego pobudzenia, innego motywu.

Scenerya ta „uderzyła niezawodnie“ imaginację poety „mocno“ z dziełem się jego przecież nie złączyła, nie zwarła.

Ale pierwiastek ludowości wsączył się w dzieło sposobem wprost organicznym. On żyje w niem i dysze wtedy nawet, kiedy przepływa jak krew „w niewidzialnych cieśniach“. On przemawia do nas nie tylko głosem Guślarza, chóru i widm w ustronnej kaplicy części, zwanej II-ą. On jawi się nam nie tylko „upiorem“.

On tętni żywym pulsem w całej części IV-ej. On jest modlitwą księdza za czyścowe dusze, on jest pojawieniem się pośmiertnem Gustawa, przestraczem dzieci, głosem kołatka-lichwiarza, ślepym lotem ómy nocnej, kolejnem gaśnięciem świec z wprost ludowem hasłem: „życie mija, czas ucieka“. On jest liczeniem bijącej północy, wprowadzeniem gałęzi jodłowej jako przyjaciela, on łzami jest obnoszonego po świecie kamienia, wreszcie poselstwem Gustawa w sprawie zachowania samego obrzędu Dziadów.

Co większa, ten pierwiastek ludowości przebija nicią złotą w całej części Dziadów III-ej. W tej zatem, która powstała po tylu latach, po tylu odmiennych wrażeniach, licząc od chwili, kiedy Mickiewicz tworzył swoje wileńskie „Dziady“, że nie było-by zgoła dziwnem, gdyby nic tę z postawu swego upuścił, zatracił.

To więc, że jej nie upuścił, że jej nie zatracił, stanowi dowód niezbitý organicznego zespolenia pierwiastków ludowości z najgłębszym substratem dzieła, z samą istotą jego.

Czemże bowiem są te złe i te dobre duchy, które stają po prawej i po lewej stronie więźnia, te Anioły stróże, a nietykalność tego, za kogo się modlą; te oznajmienia wyroków bożych, te sny, te rajskie i piekielne wizye, te szatany, które szponami szarpią duszę i bodą rogami, ta walka złego z dobrem, widzialna i upostaciowana, jeśli nie żywem odbiciem ludowości w jej pojęciach o stosunku świata do zaświata?

Więcej powiem:

W tym najwyższym wzlocie, na który geniusz ludzki kiedykolwiek się wazył, w wielkiej Improwizacji Konrada, jest coś z ludowej bezpośredniości w stawianiu się człowieka przed obliczem Boga.

— „Jak chłop nie mógł sobie rady dać, tak poszedł do pana Boga, tak mówi: Panie Boże, itd.

To bajka tylko, tak. Ale w tej bajce tkwi w zawiązku cały motyw tego odniesienia się bezpośredniego do nadziemskich potęg, tego pędu i tej siły, która Konrada przerzuca „za gwiazd kołowroty“.

A potem ta postać prostacza a wzniosła X. Piotra, te próby mąk piekielnych, te egzorcyzmy, ten instynkt ślepej matki, ta burza mącąca muzykę taneczną, ten piorun, zapowiedziany i uderzający,—w tem wszystkim jest ślad żywy organicznego wsiąknięcia w dzieło *pierwiastku ludowości*, motywów pojęciowych i motywów uczuciowych ludu.

Duch poety złączył się tu, zwarł z duchem ludu. W piersi poety były w owej chwili dwa serca: własne jego serce i serce ludu. On i lud stanowili jedno natchnienie, jeden geniusz i jednego twórcę.

Było-by rzeczą niezmiernie dla pisarza wdzięczną temat ten rozwinąć szerzej, swobodniej.

Gdy jednak nie pozwalają na to nietylko ramy studjum tego, ale inne także względy, poprzestać trzeba na tych luźnych i ogólnych rysach, a idąc śladem wskazanego powyżej pierwiastku ludowości w dziele, spróbować, czy z tem właśnie światłem w ręku nie da się oznaczyć właściwe miejsce i właściwy stosunek Fragmentów z pośmiertnej teki, zwanych częścią pierwszą Dziadów, do części zwanej Drugą.

Mniemam, że na drodze poszukiwania tego będzie można rozjaśnić wątpliwości i rozwiązać trudności, jakie fragmenty owe nastroczą, tak przez swój charakter ogólny, jak przez poszczególną treść swoją, trudności, które bądź omijane były przez piszących o Mickiewiczowskich „Dziadach“ bądź—lubo podjęte—przecież nie zostały oświetlone żadnem takim światłem, które-by, z natury dzieła samego dobyte, dostatecznie rozjaśnić je mogło.

III.

Gdy pewnym i niezaprzeczalnym faktem jest, że pierwsza pobudka twórczości w kierunku dzieła wyszła z bezpośredniego wrażenia, jakie poeta otrzymał z obrzędu ludowego „Dziadów“, jak nas w tem upewniają własne jego słowa, równie pewnym i równie — logicznie biorąc — niezaprzeczalnym faktem być musi, że jądrem i zawiązkiem dzieła jest w niem to, co najwierniej odpowiada:

- 1-o. Istocie samego obrzędu,
- 2-o. Sceneryi tegoż obrzędu,
- 3-o. Ludowości jego.

Czyli: co odpowiada temu wszystkiemu, co się na wrażenie owo, na owo pierwsze pobudzenie twórczości w duchu poety złożyło, i co się przedewszystkiem w wyrazie tejże twórczości, w dziele samem, odbić musiało.

Otóż jedyną sceną, która powyższym cechom pierworodztwa ściśle odpowiada w dziele, jest scena w kaplicy, z Części, zwanej Drugą.

Przedmiot jej, obchód pamiątki zmarłych, jakoteż wywoływanie i zaklinanie widm, stanowi właściwą *istotę* „Dziadów“.

Scenerya jej: ustronna kaplica, czas nocny, fantastyczność obrzędowej akcji, jest właśnie tą *sceneryą*, która imaginacyę poety „uderzyła mocno“.

W niej-to wreszcie, w tej Części właśnie, znajdujemy nietylko owe „inkantacye i obrzędowe śpiewy — wiernie, a niekiedy dosłownie z pieśni gminnej wzięte“, co już samo było-by wystarczającą podstawą dla naszego twierdzenia, ale nadto, znajdujemy w niej takie uczuciowe i pojęciowe czynniki, jakie tylko z bezpośredniego potrącenia umysłu poety przez silny prąd ludowości, do dzieła wejść mogły, i istotnie weszły.

Jakąkolwiek czynniki te, w samym akcie twórczym, przyjęły następnie postać, przyjęły ją tylko ze strony formalnej. Treścią zaś swoją, samą swą istotą, nie oddalają się one od poziomu ludowych uczuć i ludowych pojęć, a to tak dalece, że, idąc śladem tej ich *ludowości*, łatwo jest rozpoznać granice pierwotnego pomysłu dzieła, i jasno je, na przestrzeni dzieła, wykreślić.

Zrazu pomysł ten był jednolity. Nie było jeszcze mowy o tem, że to będzie Część I-sza, lub Część II-ga dzieła, i że wogóle rzecz ta obejmie coś więcej, nad obraz samego obrzędu. Był motyw, wywierający silne wrażenie, i był, wrażeniu temu ulegający silnie, duch poety — oto wszystko.

Rozmiar obrzędu stanowił w owej pierwszej chwili o rozmiarze samego dzieła, a treść obrzędu o jego treści. Był to pomysł względnie prosty. Kunsztowniejszy zapewne, niżeli budowa tej lub owej ballady, z których niejedna rówieśnicą mu była, ale jednak — prosty.

Akcya jego jednolita, odbywa się rzadnie, w oznaczonym miejscu i w oznaczonym czasie, przedmiot jej postawiony jasno, prowadzony konsekwentnie, przez szereg jawień się i zniknięć mar, wywołanych przez Guślarza, przy ciągle odpowiednio zmieniających się obrzędowych scenach, oraz przy stopniowaniu wrażeń i refleksyi gromady ludowej — „Chóru“.

W całym tym pierwotnym pojęciu mamy do czynienia z pierwiastkiem jednolitym, z elementem, określonym jasno. Jest to staro-litewski obrzęd „Dziadów“, czyli po naszymu „Zaduszek“, miejscami wiernie, miejscami w poetyckiej parafrazy podany, na ludowej wierze w męki czyscowe i na pobożnej chęci ulżenia mąk tych duszom pokutnym oparty, a to:

Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowem zwszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy, i płacze rzewnie...

które kategorie mąk są bezsprzecznie wyrazem ludowej wiary i ludowych pojęć. Rzecznikiem tych pojęć i tej wiary, a zarazem inicjatorem obrzędowej akcji, jest Guślarz (gęślarz), starzec. Dlatego starzec, że pierwotna mądrość ludowa, pierwotna wiedza, będąca koniecznym atrybutem władzy takiego Guślarza, powstawać mogła, i, w braku źródeł jej teoretycznego nabywania z ksiązek, powstawała istotnie tylko na drodze nagromadzonego w długim życiu doświadczenia własnego, oraz na drodze nagromadzonej pamięci doświadczeń cudzych. Czyli zawsze na drodze empiryi, już to pośredniej, już to bezpośredniej, wymagającej, bądź co bądź, znacznej długowieczności, która-by warstwy doświadczeń takich gromadzić mogła. Ale oto w samym obrzędzie, w samej scenie w kaplicy, tworzenie się takie mądrości ludowej obserwować możemy.

Jest tam chwila, kiedy Guślarz na widok cierpienia wywołanej mary, dowiaduje się o winie jej, i łącząc w pojęciu winę tę i to cierpienie, jako naocznie oglądany pewny skutek pewnej przyczyny, wyciąga z tego wniosek doświadczalny, i tak przemawia do Chóru:

Bo *sluchajcie i zważcie* u siebie,
Że wedle bożego rozkazu itd.

A Chór:

Bo *sluchajmy i zważmy* u siebie...

I oto mamy przed sobą drogę przekazywania mądrości i drogę nabywania jej, jej narastania.

Oto się przed nami rozkrył nagle głęboki szyb tej mądrości, którą kopalną zwać-by — zda się — można, i w oczach naszych kładzie się nowa jej warstwa, nowy jeszcze jej pokład, na drodze *pośredniego* doświadczenia nabyty, ale z *bezpośredniego* rozważania przyswojony, i bezpośrednio wrażeniem przekazany.

Otóż tego doświadczenia, tej wiedzy, tej mądrości — nie posiada sam przez się Chór. Chór jej nie gromadzi. On tylko wrażeniu jej ulega. Wrażenie to wszakże przerabia Chór nie na wiedzę, ale na pierwiastki uczuciowości.

Chór jest pierwiastków tych wyrazem właśnie. W pierwotnym pomysle „Dziadów“, wyobraża on sobą gromadę, lud. Ma też wszystkie cechy ludowej gromady. Nie wielce się zdobywa na własne zdanie; trwoży się ciemnością i ciszą; oczekuje rzeczy nadzwyczajnych, o których — co do ich przyczyn i skutków — nie rozumuje; a gdy owe przyczyny i skutki ogląda naocznie, wniosków z nich doświadczalnych nie wyciąga sam przez się. Powtarza już to słowa Guślarza, już to słowa widma, ulegając stale ostatniej w czasie, a więc najwyższej impressyi, słowem, jest doskonałym obrazem głęboko ludowego braku inicjatywy, a zarazem głępkoko ludowej uczuciowości.

Ten chór, to dowód cudownego niemal, bo instynktownego wniknięcia poety w sam rdzeń ducha ludu. Jest on zarazem niezawodnym wskazicielem i granicznym słupem pierwotnego pomysłu dzieła.

Co do Guślarza, ten, lubo charakteru swego, wpółkapłańskiego, świadomy, wyróżnia się od Chóru tylko stopniem inicjatywy w obrzędowej akcji. Mówi on: „zapalcie len“, „zapalcie zioła“, „zapalcie smołę“, „zamykajcie drzwi kaplicy“, jednym słowem, przewodniczy obrzędowi, jako *wiedzący*, co czynić, jak czynić. Jest on wyobrazicielem mą-

drości ludowej, ale czarodziejskiej mocy wywoływania mar zagrobowych — sam przez się — nie posiada. Posiada ją... *Gusło*.

Gusło, obrzęd ludowy, z wiary ludowej siłę swą czerpiący, i owszem, będący sam wiary tej wyrazem, ten jest wszechpotężnym czynnikiem pojawiania się i znikania widm, dopóki akcja cała jest czysto ludowa, i dopóki elementy obrzędu, jego pojęciowe i uczuciowe pierwiastki są elementami czysto-ludowemi.

Gusło traci moc wtedy, kiedy na tle obrzędu występują uczuciowe i pojęciowe pierwiastki samego poety: dopiero widmo Gustawa, widmo „z raną w piersi“, widmo, do którego „uśmiecha się pasterka w żalobie“, władzy jego nie ulega i, mimo zaklęć Guślarza — nie znika. Pozostawia też ono i Guślarza, i Chór w niepewności, tak co do przyczyn pojawienia się swego, jak i co do pojawienia się tego skutków. Te przyczyny i te skutki leżą stanowczo poza obrębem uczuciowych i pojęciowych czynników obrzędu, i jako takie, z granic obrzędu występować muszą. Jakoż występują, powodując sobą zarazem szereg poprzedniości, oraz szereg następczości, które-by nam je tłumaczyć były w stanie, a które w tej chwili zajmować nas nie mogą. W tej chwili zajmuje nas wykreślenie granic pierwotnego pomysłu dzieła, a to idąc śladem *ludowości* jego, jedynym śladem, który nam użycza dostatecznych wskazówek do oznaczenia, co w dziele było *wpierw*, a co *potem*, w miarę, jak *ludowości* tej bliższem jest, lub dalszem, a to wbrew bałamutnej, i nic wspólnego z *naturą* dzieła nie mającej, płataninie sprzeczności i domysłów, w których tę sprawę uwikłały wywody całego grona krytyków.

Zanim nastęrczy się nam sposobność poznać to grono chociaż mimochodem, obaczmy, jaki jest obszar tego pierwotnego pomysłu dzieła. Obszar pierwotnego pomysłu dzieła równa się ściśle obszarowi samego obrzędu.

Rozpoczyna go głęboko nastrojony głos Chóru:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie.., Co to będzie!..

Po którym idzie zaraz wstępna inkantacja Guślarza:

Wzywam was, wszystkie duszeczki..

kończy się zaś obszar ten inkantacją, towarzyszącą rzucaniu „garści maku i seczewicy po rogach kaplicy“, w czasie której-to obrzędowej akcyi „bije północ, kogut pieje“, czyli nadchodzi chwila, odejmująca

„gustu“ czarodziejską moc jego. To „bije północ...“ tak, jak i obie owe inkantacye, są niewątpliwie z tych, jakie poeta „wiernie“, lub nawet „dosłownie“ z pieśni gminnej do dzieła swego wprowadził.

A to ich pochodzenie jest dowodem pierwotności pomysłu *rzeczywym*, nieulegającym zgoła zaprzeczeniu.

Na tym to obszarze jawią się wywołane przez Guślarza mary, — nie te wszelako, o których mówi Inkantacya. Nie widzimy między nimi ani tej, „która marznie na dnie rzeczki“, ani tej, która „w surowem wszczepiona drewnie, i piszczy, i płacze rzewnie“. Owszem: z tych kategorii mąk, w pojęciu czysto ludowem, więc takich, które dojmują mocno, bezpośrednio, fizycznie, zjawia się tylko jedna mara, ta, „która w smole płonie“.

Ale też co do tej jednej tylko upewnieni być możemy, że do ostatecznie skryształizowanego dzieła weszła z pierwotnego pomysłu bez zmiany — ze strony formalnej. Owszem, że weszła do niego wprost na prawach owej „wierności“, a niekiedy „dosłowności“, którą poeta zachował przy transfuzji żywiołu ludowego do swojego dzieła.

Jakoż, cały ten obraz zjawiającego się na „Dziadach“ „Pana“, krzywdziela włości, jest bezpośrednio wzięty z ust i wyobrażeń ludu. Potępieniec bucha piekielnym ogniem, głowa jego, jak głośnia, goreje. Głód szarpie mu wnętrzności. Pragnienie go pali. Jest to prastary głód i prastare pragnienie „bogacza“, który błaga z głębi gorejących czeluści brata Łazarza, aby palec umaczał w rosie i kroplę chłodzącą na spiekły język mu spuścił. Zjawieniu się tej strasznej mary towarzyszą wyroczone, w baśniach i pieśniach ludowych złowróżące ptaki. Szarpią potępieńca puhacze, sowy, zwolują się kruki i wrony, one-to zwiastuny klęsk, które w najdawniejszych pieśniach ludowych oblatują pola nieszczęścia i winy.

Nie miałś litości, Paniel

I oto podnosi się tragiczny głos skargi skrzywdzonych na krzywdziela. Jest to cały dramat sam w sobie, którego przejmujące duszę sceny są obrazem i winy i sądu, i nieszczęścia i pomsty zarazem.

Otóż jest niewątpliwem, że zjawienie się tej „mary“ w szeregu innych zjawień najkonkretniejsze, i wprost kipiące prawdą ludowej doli i ludowych pojęć, wzięte zostało bezpośrednio z ludowej tradycyi, z ludowej pieśni, z ludowego podania, z ust ludu i z duszy ludu.

W samym poecie ani takie tradycye, ani takie obrazy nie tkwiły wówczas, jako pojęciowe i uczuciowe pierwiastki. Była epoka, i trwała ona długo, bo aż do paryskiej Trybuny, a i wtedy nie uległa zupełnemu wygaśnięciu jeszcze; była epoka, w której porządek społeczny wyda-

wał się pocie bógim i nienaruszalnym. Patryarchalność wychowania w domu rodzicielskim, położenie służby, takiej starej, śpiewającej kantyczki, Gąsiewskiej naprzykład, albo tak zwanego dla swych nieprawdopodobnych, opowiadanych dzieciom, baśni, „Ulisesa“, i innych, nie pokazało mu obrazów ciemności i krzywdy. Nie dało mu ich uczuć. Stan okolicznej, drobnej szlachty, która otaczała Nowogródek, nie wykrywał ciemnoty i nędzy chłopca. Owszem zastaniał ją sobą. „Józia“, ta z sierpem na snopie w polu siedząca i śpiewająca przy dźwięku gitary: „Przybywajcie mi rycerze“, nie była zwykłą „chamką“, przeciwnie, była jak gdyby łącznikiem jakimś między wsią a dworem. Jak chłopka, żęła zboże, a jak szlachcianka, śpiewała. Nie było więc przed oczyma młodzieńca wprost i bezpośrednio tej głębokiej przepaści, która dzieli stany, i która dzielić może społeczność ludzką na czyniących i cierpiących krzywdę. W całej też owoczesnej twórczości poety nie widzimy, aby mu się ten motyw nawijał pod pióro. Aby mu na sercu leżał.

Nawet nieśmiertelna „Oda do młodości“, choć rozbrzmiewa wielkiem hasłem: „w szczęściu wszystkiego są wszystkie cele“, w tym najogólniejszym wyrazie społecznej etyki zamyka wszystkie aspiracje swoje, nie odnosząc do ludu żadnej w szczególności.

Kiedy „Tadeusz“ chce obdarzyć „poddanych“ wolnością, nie mówi, że działa im się krzywda; mówi, że praw do ziemi tej nabyli pracą, jakby okazyjonalnie tylko, przy ogólnem szczęściu, przy ogólnej radości, chce, aby i oni „zapomniani“ nie byli.

Dopiero później, w Trybunie... Ale i później nawet, i w Trybunie, gdy poeta pisze: „nowy się świat rodzi“, nie pisze, że się rodzi „pod strzechą“. On się według niego rodzi w „tawernach niemieckich“, w „foburgach francuskich“, nawet w „chatach włoskich“, ale nie „pod strzechą“. Tę „strzechę“, tę „naszą strzechę“, uważa poeta i teraz jeszcze za „Piastrów“, ciszy i błogosławieństwa pełną, za szczęśliwą strzechę. Istotnie, rzeczy się miały tak, że na ową kwestję krzywdy nie była wówczas jeszcze przyszła pora. Wogóle, na „forum“ oficjalnem krzywda ta żyła, krwawiła się i gorzała tajną zgorzelą w głębokich pokładach naszego społecznego życia, ale nie buchnęła jeszcze krzykiem i płomieniem. Śpiewał o niej lud, bo ją cierpiał, a lud cierpienia swoje składa w swej pieśni, jako swoje historyczne dokumenty. Śpiewał o niej, i mówił o niej, i płakał na nią, i przeklinał, i czekał pomsty.

Musiał przeklinać, musiał czekać pomsty, bo inaczej nie pojawiłby się na „Dziadach“ potępiony duch krzywdziciela - „Pana“.

Ale jeśli tak było, to i cała scena także weszła do dzieła, musiała do niego wejść wprost z pieśni i powieści gminnej. I to jest ważnym momentem w kwestyi, która nas zajmuje.

Cały ten bowiem obraz, cała ta massa uczuć i pojęć, i łez, i cierpień ludzi, cała ta ogromna fala ludowości, uderzyła w dzieło wprost ze źródła swego, z duszy ludu, bez przyczynienia się niejako do tej transfuzji całokształtu uczuć i pojęć owoczesnych samego poety. Jest to więc dowód niezbity, że dzieło zawarło w sobie całe warstwy *ludowości* czystej, rodzimej, tak, jak ona bytowała sama w sobie, nie przetrawiona, nie zassymilowana niejako przez ducha poety, ale wchłonięta wręcz przez samo dzieło jego, które na mocy natury swojej stało jej otworem.

Wypadek nader rzadki w dziejach twórczości poetyckiej wogóle, a w sprawie, która nas zajmuje, decydujący, jako dowód i zasada razem.

Bo jeśli dzieło wchłonęło samo przez się niejako i bez udziału całokształtu uczuć i pojęć owoczesnych poety całą tę masę ludowości, to nie mogła ona w niem pozostać martwą. Przeciwnie, musiało ją dzieło to przerobić na żywe soki swoje, na żywą moc swoją. Musiało na tej właśnie ludowości rość, rozwijać się, nią dyszeć i dać jej żywy obieg w żywej swej istocie.

I tak się też stało.

Mogło pojawienie się „dziatek“, mogło pojawienie się „dziewczyń“ (Zosi) uleść ze strony formalnej takim modyfikacyom, które na tle obrzędu ludowego i jego surowości, jego prostoty i prawdy, noszą ślady postronnych wpływów. Mógł, owszem, cały obrzęd przyjąć także ze strony formalnej zewnętrzne jej cechy, które, lubo istoty jego nie sięgają, prostotę jego i prawdę jego wyrazu zewnętrznego każą. Ten jeden obraz, ta sama wielka tragedia „krzywdy“ żadnym wpływom nie uległa i żadnym modyfikacyom naruszyć się nie dała. Stoi ona przed nami w całej grozie swej prawdy i swej bezpośredniości. Stoi, jako jeszcze jeden słup graniczny, wskazujący nam jasno i wyraźnie obszar czystej ludowości dzieła, tak, jak się ona odbiła z żywiołową siłą w pierwotnym pomysle jego.

I tu jest punkt drgający, żywy, tu zawiązek wszystkiego, co się z momentu tego rozwinąć miało pośrednio, czy też bezpośrednio. Tu jest złożony — że tak powiem — akt stanu cywilnego, który pierworodzstwo oznaczonej powyżej w granicach swych i w naturze swej sceny w kaplicy stwierdza, i który ją — lubo dla późniejszych względów, pomieszczoną została w Części dzieła zwanej „Drugą“, do rewindykowania należnego sobie pierwszego w niem miejsca uprawnia.

IV.

Ale dla ustalenia merytów praw tych, wykazać nam trzeba, jak, w jaki sposób, w jakiej mierze odnosi się do niewątpliwych, powyżej zaznaczonych, cech pierworodztwa, ta Scena z „Fragmentów“, którą dr Kallenbach kwalifikuje — między innymi wielu orzeczeniami swojemi — także, jako „szczętek pierwotnej pierwszej Części „Dziadów“.

Jak mianowicie odnosi się scena ta do:

- 1-o. Istoty obrzędu,
- 2-o. Sceneryi obrzędu,
- 3-o. Ludowości obrzędu,

które-to trzy kategorye są równie niewątpliwie znamionami pierwotnego pomysłu dzieła, jak niewątpliwie stanowią one części składowe bezpośredniego wrażenia, bezpośredniego impulsu, jaki sam przedmiot wywarł na twórczość poety, uderzając imaginację jego „mocno“.

Sceną z „Fragmentów“, odnośną do sceny w kaplicy, nazywam tę scenę, do której, jako osoby działające, wchodzi; Guślarz i Chór, te zatem, które powinny okazać się identycznymi z osobami, występującymi przy samym obrzędzie.

Jest to niezawodnie punkt porównania, jedynie obowiązywać nas mogący i obowiązujący istotnie. A to tembardziej, gdy sam dr Kallenbach identyczność osób tych w Scenie z „Fragmentów“ i w Scenie z kaplicy przyjmuje.

Otóż, okazuje się, że Scena z „Fragmentów“, przy bliższem jej zbadaniu, ani jednej z owych cech pierwotności pomysłu, z owych czynników pierwszej pobudki twórczej w duchu poety — nie odpowiada; że nie odpowiada ani istocie obrzędu, ani sceneryi obrzędu, ani także ludowości jego.

Co do pierwszego z tych trzech zasadniczych punktów, zauważyć przedewszystkiem trzeba, iż przedmiotem i treścią wyżej powołanej Sceny z „Fragmentów“ nie jest obrzęd „Dziadów“, tak, jak jest on treścią i przedmiotem Sceny w kaplicy, ale że Scena owa obejmuje, przygotowania do tegoż obrzędu (o czem wie i dr Kallenbach także) lubo tylko ze strony formalnej.

Istotnie, mamy tu do czynienia z pewną grupą ludzi, która się w scenie tej, tak samo, jak w scenie w kaplicy, z Guślarza i Chóru składa, i która mówi nam o bliskim obrzędzie „Dziadów“. Obrzędu tego przecie nietylko nie sprawuje, ale nadto nie śpieszy, aby w nim osobisty wziąć udział. Owszem, postanawia (Chór Młodzieńców) wcale się na obrzęd ów nie udawać, ale pozostać na polowie drogi, między wsią a cmentarzem, na którym mają się odbyć „Dziady“.

Jakoż jest to postanowienie mądre. Ten Chór Młodzieńców taki, jaki jest, zgoła-by na obrzędzie „Dziadów“ robić co nie miał, jak się o tem przekonamy na właściwem miejscu. Tutaj zaznaczam tylko, że przedmiot sceny tej nie mógł być tym przedmiotem, który imaginacyę poety „uderzył mocno“, i że nim istotnie nie był, jako nietylko nieobejmujący sobą samej istoty obrzędu, ale także i istotnych do obrzędu tego przygotowań.

Ale przedmiotem silnego wrażenia nie była *scenerya* także. „Czas“ nie był „nocny“ — w części tej mowa jest o wieczornej porze; *miejsce* — droga pomiędzy wsią a cmentarzem — nie było „ustronnem miejscem“. W całym też wystąpieniu Guślarza, jak Chóru, niema nietylko żadnej „fantastyczności obrzędowej akcyi“, która, według słów poety, była trzecim z czynników, jakie imaginacyę jego „uderzyły mocno“, ale przeciwnie, znajdujemy w wystąpieniu tem brak akcyi takiej także, która-by przygotowaniom do obrzędu służyć mogła. Więcej powiem: znajdujemy w wystąpieniu tem wprost zaprzeczenie wszelkiej „fantastyczności“ zgoła. Znajdujemy jakiś trzeźwy i z wszelkich marzeń wytrzeźwiający realizm.

Wzywa wprawdzie w scenie tej Guślarz do udziału w obrzędzie. Ale wezwanie to stosuje do żywych, a nie do umarłych. Cała ta przemowa jego jest *inwokacyą*, lecz nie jest *inkantacyą*, nie jest zaklęciem, zamówieniem, nie jest gusem, nie jest obrzędową, lub przygotowawczą do obrzędu akcyą, której „fantastyczność“ przeto wyraźnie zaznacza, jako jeden z czynników pierwotnego impulsu twórczości w kierunku dzieła.

Co do punktu trzeciego, co do pierwiastku ludowego, który poeta wprowadza do owego dzieła „in extenso“, w postaci „obrzędowych śpiewów“, oraz „inkantacyi“, wziętych „z pieśni gminnej wiernie, a niekiedy dosłownie“, to nie znajdujemy go w scenie „Fragmentów“ w najmniejszej nawet mierze, podczas gdy właśnie na tej ludowości, jak na węgielnym kamieniu, cała scena z kaplicy zbudowaną została, od podstaw uczuciowych, aż do swych pojęciowych szczytów.

Guślarz ze sceny z „Fragmentów“ nie jest postacią ludową, a chór z tej sceny nie jest ludową gromadą. A to tak dalece nie jest, że ani Guślarz z „Fragmentów“, ani Chór, nie mogą — ściśle rzeczy biorąc — być uważanymi za jedno z Guślarzem i Chórem z kaplicy, że zatem nie są postaciami, związanymi z pierwotnym pomysłem dzieła, że niepodobna łączyć ich z sobą i nadawać im znaczenie tożsamości, ciągłości, identyczności, jak to czyni dr Kallenbach, przyjmując „Fragmenty“ z pośmiertnej teki za „pierwotną pierwszą Część „Dziadów“, w stosunku *poprzedniości* do sceny z kaplicy stojącą, która *poprzedniość* tylko na takiej tożsamości, identyczności i ciągłości polegać-by mogła.

Otóż, przeczę ciągłości tej, tej tożsamości, tej identyczności czynników owych, tak samo, jak przeczę i owej *poprzedniości* także. A to na zasadzie zupełnie różnych pojęciowych i uczuciowych pierwiastków, w skład obu scen tych, owej z kaplicy i tej z „Fragmentów“, wchodzących, które-to pierwiastki stanowią istotne i zasadnicze czynniki psychiczne, tak samego obrzędu „Dziadów“, jako też istotnych *poprzedniości* obrzędu tego, gdyby się one wykazać dały.

Przypatrzmy się bliżej twierdzeniu temu, a to podstawiając pod jego światło osoby, działające i występujące w obu powyżej oznaczonych scenach.

Przedewszystkiem Guślarz.

Guślarz ze sceny w kaplicy, to prawie jeden z ludowej gromady; jeden taki, który *wie*, jak i co czynić, aby żywa moc „gusła“ spełnić się w obrzędzie mogła. Jest on wyobrazicielem mądrości, prawda, ale mądrości ludowej. Ta mądrość ludowa, cała na doświadczeniu długich lat, na faktach pośrednio albo bezpośrednio zaobserwowanych, przeżytych, oparta, różni się zasadniczo, podstawowo, od mądrości nieludowej tem, że w skład jej nie wchodzi, lub wchodzi w nader małej mierze, pojęcia oderwane, abstrakcyjne, będące właśnie tej mądrości nieludowej nietylko charakterystyczną cechą, ale jej istotą samą i jej materią samą.

Otóż, gdy Guślarz ze sceny w kaplicy przemawia w inkantacji swojej:

Wzywam was, wszystkie duszeczki,
W którejkolwiek świata stronic,
Czyli która w smole płonic,
Czyli marźnic na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary,

W surowem wszczepiona drewnie,
 Gdy ją w piecu gryzą żary,
 I piszczy, i płacze rzewnie,
 Każda śpieszcie do gromady,
 Gromada zaraz się zbierze,
 O to obchodzimy Dziady...
 Jest jałmużna, są pacierze,
 I jedzenie, i napitek...

A gdy Guślarz tak przemawia, słyszymy tu z ust jego formuły ludowej wiary, i stare formuły ludowej mądrości. Męki czyścowe wielorakie są i straszne, ale „jałmużna“ i „pacierze“ wybawić z nich mogą. „Gromada“ jest siłą, która i po śmierci poratować może.

„Każda śpieszcie do gromady“. Jest na to stare prawo z przed wieka, od pradziadów jeszcze przekazywane z ojca na syna: „Oto obchodzimy Dziady“. Związek z Gromadą nie ustaje i poza grobem jeszcze. Związek bratni. Cóż to są te „czyscowe duszeczki“? To ojcowie i matki, to dzieci, to bracia, to siostry, to drużba, to sąsiedzi. To taka znów gromada zaświatowa. A jakież ten zaświat? Ej, nie tak znów bardzo różny od tego tu świata! „Duszeczki“ potrzebują na równi z „jałmużną“ i „pacierzami“, „jedzenia“ i „napitku“. Cierpią więc głód i pragnienie tak samo, jak cierpią żar upalenia w smole, jak cierpią mróz na dnie rzeczki, jak cierpią nieznośne, pobudzające je do „pisku“ i „rzewnego płaczu“ wszczepienie w surowem drewnie. Jakież inne męki dla umarłych swoich może wymyślić owa ludowa wiara, jak nie te, które i żywym dokuczyły-by srodze? Jak nie te, przy których wspomnieniu i żywi czują żar, i dreszcz, i ciśnienie serca? I jakąż inną ulgę tym mękom może wymyślić ta ludowa mądrość, jak nie tę, która by i żywym ulżyć także mogła? Jałmużna i pacierz to i żywego pokrzepia na duchu, a gdy sobie chłop podje i wypije, to dużo wytrzymać może. Tego uczy doświadczenie, jakie w skład tej ludowej mądrości wejść mogło i weszło. Cała też ta inkantacya musi być jednym z tych obrzędowych śpiewów, które poeta wprowadził do dzieła z pieśni gminnej „wiernie“, a może nawet wprowadził ją „dosłownie“. Pachnie ona starym wiecem kmiecym, pachnie ziołami obrzędowych snopów, pachnie jodłami borów i surową ziemią, na której się zrodziła. Jest ludową. Jest tak głęboko, tak wskrós ludową, że poeta ulega jej pierworodnej sile, neutralizuje się wobec niej, i nie śmie obok tej prawdy ducha ludowego i tej prostoty jego, dwóch potężnych czynników wszelkiej poezyi gminnej, stawiać poezyi ducha własnego, tylko ją tak, jak jest, w żywiolowej pierwotności, do dzieła swojego wprowadza,

a to w całym, czysto-ludowym całokształcie jej pojęciowych i uczuciowych czynników.

A teraz zobaczymy, jak przemawia Guślarz z „Fragmentów“.

Guślarz z „Fragmentów“ przemawia tak:

. . . Kto z ziemi patrzył ku słońcu,
Myślą z orły szedł w przeloty,
I nie znał ziemi . . .

.
Kto marzeń tknięty chorobą,
Sam własnych sprawca katuszy,
Darmo chciał znaleźć przed sobą,
Co tylko w własnej miał duszy.

Kto
Mruży oczy, by żyć wiecznie
Z tem, czego szukał na jawie i t. d.

Pytam się: czy jest to też sama osoba, którąśmy słyszeli przemawiającą w kaplicy. Czy jest to też sama mądrość ludowa, która tu sobie wyraz właściwy znalazła?

Czy nie mamy tu, owszem, do czynienia z mądrością, w której skład weszła niesłychana ilość abstrakcyi, i abstrakcyi z abstrakcyi zrodzonych. Z mądrością nieludową zgoła. Z umysłem skomplikowanym, subtelnym, który się cały w świecie oderwanych pojęć obraca, niemi operuje, i do nich, świadomy zresztą ich abstrakcyjnej natury, konkretne przywiązuje znaczenie.

Czy ten filozofujący i rezonujący Guślarz może być owym inicjatorem potężnego Guśła, owym inkantatorem, wywołującym zagrobowe mary? Inkantatorem! Ależ Guślarz z „Fragmentów“ nie posiada wcale tego półkapłańskiego charakteru, w którym występuje Guślarz z kaplicy, przywołujący „duszeczki czyscowe“ na Dziady. On jest inkwatorem tylko. On przywołuje żywych. I rzecz szczególna. Przemawiając do żywych, mówi jak do duchów, gdy Guślarz z kaplicy do widm, jak do ludzi przemawia. Tak się tu przechyliły szale abstrakcyi, i taką przewagę wzięły pojęcia oderwane nad prosto z ziemi wyrastającą, i wciąż czującą się w niej prakorzeniami swemi — mądrością ludową.

Ale i to nawet, co treścią uczuciową tę inwokację i tę inkantację zbliża: pierwiastek cierpienia,—oddala je zarazem na sto mil od siebie i obcemi je sobie czyni, przez naturę cierpienia tego.

Inkantacja, mówiąc o „duszach“, mówi o cierpieniach fizycznych: ona mówi o paleniu w smole, o marznięciu na dnie rzeczki, o wszczepieniu w surowem drewnie, mówi o *męce*. Inwokacja zaś przemawiając do ludzi, mówi o cierpieniach rozczarowań i zawodów, wlotów i upadków, przeciwstawienia marzeń i snów jawie—słowem mówi o tych cierpieniach, które nazwać musimy „pathos“, a dla których uczucia potrzeba jest duchowej kultury w jednostce ludzkiej, wysokiej kultury duchowej; powiem nawet: kultury przesubtylizowanej. chorobliwej nieco. I jeszcze uwaga:

Na męki wywoływanych duszyczek czyścowych inkantantora odrazu w wierze i mądrości ludowej znajduje ratunek, pomoc.

On, wywołując duszyczki owe, z całą pewnością wie, że im ulgę przynieść mogą „jałmużna, pacierze, a także jedzenie i napitek“.

Ale inwokujący Guślarz z Fragmentów wiary takiej nie ma. Nie jest też pewnem, czy tym co „myślą z orły idą w przeloty“, tym co są „tknięci marzeń chorobą“ i tym „co oczy mrużą, by żyć we śnie“—czy tym wszystkim duchom bolejącym poradzić coś zdoła. Dobiera on je raczej sobie w Inwokacji swojej te duchy, jedno takie, które prędzej w nadszłości swojej głos jego posłyszają, które prędzej w wehemencji swojej ku niemu pośpieszą.

— Dobrze!—powie mi kto.—Ale tu przecież poeta przemawia sam za siebie.

Przyjmuję ten zarzut.

Owszem, podnoszę go.

Jako broń własną, zaczepną, go podnoszę. Przemawia poeta sam! A więc—nie Guślarz przemawia. Ergo: po za osobą Guślarza stoi osoba samego poety. Ergo: Guślarz ten nie może być identycznym z Guślarzem ze sceny w kaplicy, poza którym osoba poety nie stoi, który jest owszem postacią samoistną i w samej sobie doskonałym swe usprawiedliwienie mającą. Ergo: Guślarz z Fragmentów nie stoi w stosunku tożsamości i w stosunku ciągłości do Guślarza z kaplicy. Ergo: scena z Fragmentów nie może stać do sceny w kaplicy w stosunku poprzedniości, tylko na zasadzie tożsamości i ciągłości czynników działających w obu scenach oprzeć się i uzasadnić daje. Ergo: myli się D-r Kallenbach, przypisując im stosunek ten, całkiem bezkrytycznie, i kwalifikując scenę ową z Fragmentów już to jako „szczętek pierwotny pierwszej części Dziadów“, już to jako „pierwotny plan pierwotnego pomysłu“, już też jako „prolog“, bez którego późniejsza owa scena zrozumiana być nie może. Ergo: wszystkie te określenia podstawy

żadnej nie mają, a D-r Kallenbach myli się, tak co do tych twierdzeń swoich, jak i co do wielu innych, w materyi tej zawartych. A o to mi właśnie chodziło.

A teraz zobaczmy.

Chór:

— Chór—wyobraziciel zbiorowego uczucia gromady ludowej, tak, jak Guślarz jest wyobrazicielem ludowej zbiorowej mądrości, trwa jako taki—na całym obszarze obrzędowej sceny w kaplicy.

Czy to trwoży się i niepokoi, czy powtarza słowa Guślarza, czy też słowa widma, zawsze występuje on jako zbiorowa osoba.

Przyjąć go nam nieraz trzeba za konstrukcyę psychiczną jednolitą, a to w znaczeniu jednolitej gromady ludowej.

I to tak dalece, że ilekroć chór ten głos zabiera, oczekujemy po nim, mamy prawo oczekiwać po nim wyrazu doskonałej jednolitości uczuciowych pierwiastków, których jest wyobrazicielem.

Jakoż nie zawodzimy się w tem ani razu.

Jako chór rozpoczyna on obrzędową akcyę, jako chór ją kończy.

Tymczasem z chóru, który się pojawia w scenie z Fragmentów, i który powtarza formułę „ciemno wszędzie, glucho wszędzie, co to będzie?“, która-to formuła, jako taka, wiąże go z chórem ze sceny w kaplicy, bardzo prędko wydziela się samoistny chór Młodzieńców, tak, że o jednolitości chóru tego, jako osoby i konstrukcyi psychicznej—zupełnie tu mowy być nie może.

Owszem. Nic nas nie upewnia w tem, że z chóru tego nie wyłączymy jeszcze inny jaki pierwiastek;—a to tak dalece nie upewnia, że powstawały już i roztrząsane były wątpliwości, czy występujący w tejże scenie starzec należy do chóru tego, czy też nie należy. (Prof. Treściak „Mickiewicz w Wilnie i w Kownie Tom III“).

Otóż ta rozdzielność chóru tego, ta możność wydawania z siebie różnorodnych konstrukcyi psychicznych, ten jego heterogenizm, zasadniczo różni chór ten od jednolitego i jednolitą konstrukcyę psychiczną stanowiącego chóru ze sceny w kaplicy, a to w sposób nie dopuszczający zdania, jakoby oba te chóry stały do siebie w stosunku tożsamości, w stosunku ciągłości, a zatem i w stosunku poprzedniości także.

Ale oprócz tej zewnętrznej, choć ważnej, jest jeszcze inna, stanowczo, bo wewnętrznie, rozróżniająca między sobą oba te chóry, cecha.

Chór ze sceny w kaplicy jest bierny. Nie zabiera on głosu dla wyrażenia swego zdania: nie przedsięwzięje też na swoją rękę żadnej

czynności na przestrzeni całego obrzędu, o ile mu czynność taka przez Guślarza wskazaną nie jest. Jest wrażliwą i przyjmującą wrażenia gromadą ludową, z całą cechującą gromadę taką biernością w słowie i inercją w czynie.

Tymczasem Chór z Fragmentów jest pełen inicjatywy.

On nie tylko wyłącza z siebie samorzutnie swoje indywidualne pierwiastki psychiczne w grupie Młodzieńców, ale nadto obiera sobie samowolnie stanowisko „w połowie drogi między wsią a cmentarzem“ i wybór ten samodzielnie motywuje.

Co większa, zaczepia Chór ten „młodą wdowę“ swą ku niej zwróconą pęsną, a nawet i Starcowi daje nauki, trącającą samodzielną życiową mądrością.

I tu jeszcze jedna cecha Chóru tego. Cecha najważniejsza. Kiedy Chór z kaplicy mówi:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie? Co to będzie?

czujemy szczerą słów jego.

On naprawdę trwoży sobą i oczekuje rzeczy tajemniczych. On naprawdę *nie wie*, co będzie.

Może usłyszy pisk złego ducha. Może obaczy potępieńca, plonącego jak ognista głownia. — Może...

Bierny i wyczekujący, jest oraz Chór ten *niewiedzącym*. Ulega on chwilowemu wrażeniu wiedzy Guślarza, ale jej nie gromadzi, to jest właściwa jego cecha, jako wyobraziciela pierwiastku uczuciowości ludowej w przeciwstawieniu do Guślarza, wyobraziciela mądrości ludu, *wiedzy* ludu.

Tymczasem Chór z Fragmentów, lubo także mówi: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie“—ten Chór—*wie* co będzie.

On *wie*, że młoda niewiasta pocieszona być może; on *wie*, że ten, po kim ona płacze, ręki jej nie ścisnie, że „okiem ku niej wzajem nie błysnie“. Więc przedewszystkiem nie wierzy w to, aby ten oplakiwany choć marą ulotną, choć na „Dziady“, mógł wrócić z mogiły.

Nie wierzy tedy w samą istotę Dziadów. To jest mądry Chór. Chór rezonujący. To jest Chór tak mądry i tak rezonujący, że staje się wprost zaprzeczeniem pierwiastku uczuciowego, który sobą wyobraża Chór ze sceny w kaplicy.

On wyraźnie mówi, że „tęsknota sercu i myślom szkodzi“. Owszem, on stawia jasno zasadę racjonalizmu swojego:

„Kto z nas w młode swoje lata
Nie działa rzeźwem ramieniem,
Ale sercem i marzeniem,
Taki zgubiony dla świata.“

Ale czy nie jest to zaprzeczeniem tych właśnie sił i czarodziej-
skich mocy, które widma wywołać są zdolne?

I czy nie jest to zaprzeczeniem, zaparciem się samego obrzędu
Dziadów, gdy Chór ten naucza „młodą wdowę“ co jej czynić należy:

„Dla niego *na mszę* daj, młoda wdowo“.

Lecz gdy da „na mszę“, gdy ksiądz tę mszę odprawi w kościele,
nic tu już nie będzie „po garściach maku i soczewicy“, po obrzędowych
śpiewach oraz inkantacjach Guślarza, nic po ziołach święconych, nic
po paleniu kądzieli, nic po „zwyczaju ojców“, nic po całej „fantastycz-
ności obrzędu“, nic po Dziadach samych.

„Daj na mszę!“—oto wszystko, co ten mądry, ten wiedzący Chór
odpowiada na lzy i na zalamane ręce młodej wdowy.

Śmiało rzec można, że w całym Mickiewiczowskim dziele i na
przestrzeni całej jego twórczości nie znajdujemy drugiego przykładu
tak chłodnego racjonalizmu, jaki nas w tym Chórze z Fragmentów
uderza.

W Chórze Młodzieńców, a więc w takim Chórze, który już przed-
tem grzmiał od ziemi do nieba nieśmiertelną Odą, nieśmiertelną apo-
teozą uczuciowych potęg.

Lecz jeśli tak jest, jakże przypuszczać można, aby z tego racyo-
nalizmu, jaki sobą wyobraża Chór, i z tych abstrakcyi pojęciowych, ja-
kie sobą wyobraża Guślarz ze sceny z Fragmentów, wywinąć się mógł,
jako z *przedwstępnych przygotowań* swoich, owszem, jako ze swoich
czynników, sam obrzęd Dziadów, a to z całą fantastycznością swoją,
która poetę uderzyła mocno? Obrzęd, któremu tak abstrakcyjność ta,
jak i ten racjonalizm, wręcz przeczy?

Jak można przypuszczać, aby ta oschła mądrość Guślarza i aby
ta gorzka, przedwczesna *wiedza* Chóru z Fragmentów, zejść mogły do
głębokiej prostoty uczuciowej Chóru, który *nie wie*, do głębokiej pro-
stoty Guślarza, który wie to, co wiedzieli Ojcowie starzy.

Jak można przypuszczać, że scena ta jest prologiem lub częścią prologu—planem, lub częścią planu sceny obrzędowej.

Że stoi do niej w stosunku poprzedniości.

Że osoby, występujące w obu tych scenach, należy uważać za te same osoby, za takie mianowicie, które w scenie z Fragmentów na obrzęd idą, a w scenie z kaplicy na obrzęd już przyszły?

Jak można to wszystko przypuszczać, kiedy pierwszy głębszy rzut oka wykazuje zupełną *różność* elementów każdej z tych scen obu? Kiedy wykazuje owszem, że lubo scena z fragmentów stroną swą formalną wyobraża chwilę przedobrzędową, przez naturę przecież swych czynników nigdy-by do obrzędu nie tylko wejść nie mogła, ale musiała-by owszem obrzęd udaremnić sobą, gdyby do niego wejść miała.

Jeżeli przygotowania do „Dziadów“ były, to były niezawodnie inne.

Żywił ich stanowiąc mogły owe milczące, w skupieniu i oczekiwaniu dążące na miejsce obrzędu gromadki ludowe, o których Chór Młodzieńców,—w połowie drogi między wsią a cmentarzem stojący—wspomina.

Gromadki te bowiem, i tylko one, niosły z sobą i w sobie te uczuciowe i pojęciowe pierwiastki, które się na psychologiczny moment samego obrzędu złożyć miały, i złożyć mogły. One-to, te gromadki, miały i mogły być po dojściu na miejsce obrzędu właściwym Chórem, elementem dopełniającym, i owszem, warunkującym, tak akcyę obrzędową Guślarza, jak i moc samego guśla, z wiary ludowej płynącą, a zatem warunkującym istotę samego obrzędu.

Mimo więc formalnej strony akcji w tej scenie z Fragmentów, a za taką uważam tak Inwokacyę Guślarza, jak i wystąpienie Chóru, mimo tej strony akcji formalnej, która nam o przygotowaniach do obrzędu mówi, należy nam za pierwotny i pierwotnem wrażeniem w umyśle poety odbity przyjąć ten Chór, który jest czysto ludowym Chórem w swych pierwiastkach uczuciowych, a za pierwotnego Guślarza tego Guślarza, który jest mocen zaklinać zagrobowe mary, tego, w którego rękę i słowie guślo potęgą się staje, tego, w którego usta mógł poeta włożyć „wiernie“, a nawet dosłownie, obrzędowe śpiewy, z pieśni gminnej wzięte. Tu bowiem drga żywy impuls dzieła; tu się rozpala ognisko jego pierwotne. Gdyby tak być nie miało, gdyby jądrem i zawiazkiem dzieła nie była czysto ludowa scena w kaplicy, gdyby ona nie była *pierwszą*, i gdyby ją abstrakcyja i racjonalizm czynników ze sceny z Fragmentów poprzedzać miały, dzieło nie przyjęło-by nigdy tych wier-

nych a niekiedy dosłownych wstawek z pieśni gminnej. Taka transfuzya żywiołu wręcz ludowego była-by w niem niemożliwa. Ono-by jej nie wyżyło, nie zniosło.

Tymczasem całe to dzieło wyrosło wprost z gruntu ludowości. Ono się z niego rozwinęło pośrednio lub bezpośrednio, jak czarodziejski kwiat z nasienia swego. Ono w każdej swojej części,—co mówię!— w każdym swym calu i na całkowitym obszarze swoich wielkich działów jest żywym zaprzeczeniem wszelkiego racjonalizmu i wszelkiej abstrakcyi.

Tak jest, wszelkiej abstrakcyi. Nie marzenia to bowiem, nie oderwane pojęcia, przynosi Konrad w swej potężnej missyi tam, gdzie graniczy

„Stwórca i natura“...

On przynosi tam swój ból żywy, swoją żywą mękę On, pieśniarz, król pieśni, w samej nawet dziedzinie pieśni, przeczy niejako jej abstrakcyjnym zadaniom i celom.

On chce stworzyć „pieśń żywą“, „pieśń szczęśliwą“.

On chce ją stworzyć nie z dźwięków ulotnych słowa i tonu, ale chce ją stworzyć z ludu swego, ze swego narodu.

V.

Niepodobna przypuszcic—powiada pan Piotr Chmielowski w swojej Biografii Mickiewicza,— a mówi to właśnie o owych dwóch scenach, tej z Fragmentów i tej z kaplicy—„niepodobna przypuszcic, aby Mickiewicz chciał naprawdę kreślić *dwa* odrębne *obrazki* tego samego przedmiotu, i to w dwu po sobie następujących częściach.

Prędzej natomiast uwierzyć można— a są to zawsze jeszcze słowa p. Chmielowskiego— iż parę razy *próbował* obrazek taki *odmalować*, a *do druku wybrał* ten, który mu się wydał *najlepiej wykończonym*.

A ja powiem:

Zarówno fragmenty z pośmiertnej teki razem z ową powołaną wyżej sceną, jak i treść Części „Dziadów“, Drugą zwaną, to nie *obrazki*

żadne! To są potężne odbicia już to duszy samego poety, już też duszy ludu razem z rudymentami jego etyki, jego poezji, jego filozofii. To są ogromne zarysy ogromnego dzieła i ogromnej psychicznej materji.

A więc nie *obrazki* żadne!

Nie żadne — powtarzam *obrazki*, które-by się miarą tej krytyki pokryć i wymierzyć daly! To raz.

A potem: Co nam do tego, w co panu Chmielowskiemu jest „*wierzyć łatwiej*“? My mamy prawo wymagać, aby pisarz, chwytający się takiego przedmiotu, „*wiedział*“ o nim, aby go czuł w każdym jego tętnie, a nie aby „*wierzył*“.

A jeśli wiedzieć nie może, aby uczynił logiczny wysiłek i wywnioskował, dowiódł nam; dla czego wierzy. Aby nam to naocznie pokazał tak, iżbyśmy mogli *wierzyć*, że on *wierzy*.

O co tem więcej dopominać się możemy, gdy nas pan Chmielowski zbywa tanim argumentem, że z dwóch „*obrazków*“ Mickiewicz „*wybrał do druku*“ ten, który mu się *lepiej wykończonym wydawał*.

Otóż—aby do tej materji, ubocznie tylko poruszonej, nie powracać więcej, zauważę tutaj, że wcale nie stopień *wykończenia* różni odnośnie sceny z Fragmentów i sceny w kaplicy, ale różni je cały świat odrębnej treści duchowej, odrębnych pojęć, uczuć i pobudzeń twórczych.

Że scena z Fragmentów nie jest wcale *gorzej wykończonym obrazkiem* w stosunku do sceny obrzędowej w kaplicy, która podług pana Chmielowskiego jest *obrazkiem wykończonym lepiej*—ale, że jest ona, ta scena z Fragmentów, w stosunku do części dzieła zwanej Drugą,—blokiem, noszącym luźne zacięcia potężnego dłóta, odrzuconym.

Odrzuconym nie dlatego bynajmniej, iżby twórca, po pierwszym rozmachu ręki, znaleźć miał inne, doskonalsze cięcia, ale odrzuconym dlatego, że materyał, w który uderzyło dłóto—wcale nie najpierwszem cięciem—zawiódł.

Zawiódł, jako materyał poprostu.

Nie był tym, jakiego szukało dłóto, i jakiego wymagał przedmiot dzieła. Był materyałem, klóącym się z pierwotnym pomysłem dzieła. Zostały jednak na tym porzuconym bloku silne, mistrzowskie cięcia, zostało potężne poetyckie *torso*, samo w sobie mające swój świat różnolitego piękna, świat, który się w zupełności ni- wyłonił wprawdzie, ale który się już pierwszemi owemi zacięciami dla bacznego oka ujawnia, dając świadectwo genialnej, uderzającej w blok, *ręce*.

Mógł się pomylić poeta. co do materyału, ale się nie pomylił co do siły cięcia. Ręka go nie zawiódła, nie zawiódło dłóto.

Nie myli się mistrz taki!

A jeśli się nie myli, nie potrzebuje potem ważyć i mierzyć po sklepiarsku, na funty i luty, stopnia „wykończenia“ dzieła.

Gdyby Mickiewicz tak postępował, gdyby mógł tak ważyć i mierzyć, tak wybierać i tak się zastanawiać, co *do druku wybrać*, byłby może istotnie twórcą „obrazków“, ale nie byłby potężnym twórcą „Dziadów“.

Że nim jest jednak, niech mu to będzie prawem obrony, prawem nietykalności w każdym takim wypadku, w którym-by piszący o nim, nie mogąc się wznieść ku jego wielkiemu duchowi, usiłował zniżyć ducha tego aż do swojej miary.

Jest wszakże w tej sprawie, której merita sięgają głębiej, niżli się wydawać na pierwszy rzut oka może, i nie na tym poszczególnym wypadku oparte,—jest w tej sprawie także i komiczna strona. Owe „dwa obrazki“ pana Chmielowskiego powiększają mianowicie w nadspodziewany sposób kłopoty D-ra Kallenbacha, a zarazem inwentarz jego definicyi Dziadów z pośmiertnej teki.

Jaktol Już nazwał Fragmety owe „szczętkami pierwotnej pierwszej części Dziadów“, i „planem pierwotnego pomysłu Dziadów“, i „ważnym, niezbędnym do zrozumienia części II-iej prologiem“, i jeszcze nie dość tego. Owszem, nazwał je nawet ramą—a tu się okazuje nie żadna rama. Okazuje się, że to są *obrazki*, *„dwa obrazki“*.

Na miłość boską, tego już zanadto! D-r Kallenbach próbuje się bronić: Wszakże scena Guślarza i Chór z Fragmentów nie przedstawia obrzędu Dziadów, nie może być tem samem *obrazkiem* tego obrzędu: nie może owszem, być nawet *szkicem*, to jest *mniej* wykończonym, lub może *gorzej* wykończonym, *obrazkiem* obrzędu.

I ma rację. Staję po stronie D-ra Kallenbacha na tę jedną chwilę! Na tę jedną, bo już w następnej stać przy nim nie mogę. Nie mogę stać przy nim wtedy mianowicie, kiedy nad *obrazki* pana Chmielowskiego przekłada prolog lub inną jaką z w.elu swoich definicyi.

Zaprawdę, albo się bardzo mylę, albo takiego chaosu definicyi nie widziano jeszcze u nas w stosunku do żadnego dzieła!

Otóż cały ten chaos pochodzi—o ile sądzić mogę—z dwóch przyczyn: z wewnętrznej, organicznej, w samej naturze umysłu krytyków z zawodu leżącej, i z zewnętrznej, losami samego dzieła zaważonej.

Co do pierwszej, zauważyć należy na usprawiedliwienie tak pana Chmielowskiego, jak i D-ra Kallenbacha, jak zresztą innych wielu, że krytyk z zawodu jest to pisarz nieposiadający właściwości twórczych.

Ten brak, ten niedobór twórczego uzdolnienia, ta, że tak powiem, impotencya twórcza, nie pozwala mu wejść w naturę samego aktu twórczości, i trzyma go zawsze nazewnątrz tajemnic takiego aktu.

Musi ona zamykać przed krytykiem wszystkie arcana twórczości, całą Eleusis poetyckiej „psyche“.

Krytyk z zawodu nie wejdzie nigdy do wnętrza świątyni twórczego geniusza. Będzie on owszem zawsze zmuszony stać w przedsionku tej świątyni i patrzeć przez szpary owego „Velum“, które się między duchem twórczym a światem zewnętrznym rozciąga.

A kiedy nam powiedzieć zechce, co przez szpary owe zobaczył, uczyni to zawsze w wyrazach i znakach, będących miarą własnego jego ducha i umysłu — i niczem więcej.

Co do drugiej przyczyny chaosu owego, co do jego przyczyny zewnętrznej, to w danym wypadku leży ona w fakcie, iż Fragmenty z pośmiertnej teki wydane zostały całkiem bezkrytycznie, jako Część I-a Dziadów, i że równie bezkrytycznie za Część tę Dzieła powszechnie przyjęte zostały. Kiedy pania Karolina Jaenisch, poznawszy wileńskie wydanie „Dziadów“, to jest ich Część II-ą i IV-ą, zapytała poety, co się stało z Częścią I-ą, poeta zamyślił się na chwilę, a potem odpowiedział:

— Zniszczyłem ją.

Odpowiedzi tej, która widocznie miała na celu przerwać mniej dyskretne pytania, nie należy brać całkiem dosłownie. Nie należy, mianowicie, brać jej w tem znaczeniu, jakby I-a Część „Dziadów“, istnieć miała jako taka, a potem *zniszczoną* była.

Przypuszczeniu takiemu przeczą najmocniej zachowane w pośmiertnej tece Fragmenty. Fragmenty te noszą widoczne ślady luźnych rzutów kompozycyjnych, wybuchów twórczości bezplanowej jeszcze i nie zorganizowanej.

Noszą ślady bądź zamysłów inscenizacji Części IV-jej dzieła, bądź charakterystyki figur, o których niewiadomo jeszcze, w jakim momencie psychicznym ujęte zostaną, jak wyglądać będą, o których nawet i to wiadomem nie jest, czy do Dramatu wogóle wejdą, czy nie wejdą.

Nadewszystko noszą Fragmenty te ślady silnej wewnętrznej rozterki, której-to rozterce ulegał duch poety w samym już akcie tworzenia.

Najgłębszym elementarnym powodem rozterki tej, była dwoistość wręcz przeciwnych sobie światów, z których każdy domagał się głosu i miejsca dla siebie, tak w duchu poety, jak i w samym dziele.

Obrzęd Dziadów z jednej strony porywał poetę. Był to motyw silny, prosty, wskroś ludowy, motyw, którego każdy moment był żywą poezją. Motyw, który nie tylko sam przez się był szeregiem gotowych obrazów, z całym czarodziejstwem światła i cieniów, kolorytu i linii, tła i fantastycznych na tle tem poruszających się i działających postaci, ale nadto

kipiał cały przebogatym materiałem psychicznym, z najgłębszych szymbów duszy ludu dobytym, owszem, kipiał samą duszą ludu, mając przytem bajeczną perspektywę, aż w zaświat gdzieś, aż tam... gdzie rozum nie sięga.

Była to poprostu pieśń, która sama śpiewa.

Ale duch poety był wówczas także taką pieśnią, która sama śpiewa. A pieśń ta miała także swój porywający, silny, żywy motyw, miała także swoje czarodziejskie i światła, i cienie, i barwy, i linie, i także kipiała aż, potężnym materiałem psychicznym. Materiał ten leżał w duszy samego poety, i w głąb tej duszy właśnie miał ogromną, wprost zawrotną perspektywę.

To była miłość poety.

Otóż obie te pieśni targnęły strunami razem i chciały brzmieć razem. Sam motyw Dziadów, motyw wręcz dramatyczny, i jako taki stawiający się odrazu, sam już ten motyw udzielał coś z drżenia swego, ze swej wehemencji, owej drugiej pieśni, pieśni miłości, która tak samo miała już swój cmentarz szczęścia, swoje widma wspomnień, i swoje namiętne widm tym inkantacye.

Ale jak dwie rzeki, buchnąwszy całym warem wód swoich w jedno łożysko, długo się złączyć i ukoić nie mogą, ale toczą swe nurty każda dla siebie, że tak powiem, i własnym swoim pędem, a to aż do linii fal swoich, aż do ich koloru; tak dwie te pieśni, z których każda śpiewała sama, buchnęły w łożysko poetyckiego pomysłu niepowstrzymaną siłą własnego tonu i własnego pędu.

Przyjdzie czas, kiedy się one ukoją, zestroją.

Przyjdzie czas, kiedy się złączą w akord tak ogromny, w melodyę tak potężną, że ucho nasze nie rozróżni prawie, która z dwóch pieśni owych śpiewa. Owszem, utworzą one razem nową siłę żywą i nową pieśń żywą.

I wtedy-to powstanie Część Dziadów Czwarta, powstanie jedyna w swoim rodzaju kreacya poetyczna, w której geniusz i duch ludu, porwane pędem twórczego natchnienia, złączą się, stopią nierozzerwalnie z geniuszem i duchem poety, ku stworzeniu nieśmiertelnego piękna.

Teraz wszakże od tego momentu jesteście jeszcze daleko. Teraz geniusz ludu szumi jeszcze potężnie własnym skrzydłem swoim, a geniusz poety wzbija się ku słońcu na własnych orłowych lotach.

Teraz stają obie te żywe pieśni odpornie do siebie; każda z nich domaga się własnego głosu i wyrazu. Każda chce być sobą i śpiewać za siebie. Są tu jeszcze te dwie rzeki, które, choć razem płyną, nurty ich przecież zachowały własny pęd i własną swą barwę.

Jest to dopiero ferment, zaczyn ogromnego dzieła, coś, co się burzy, co się przerabia w sobie, coś, co się w splywie swoim nie wykla-

rowało, coś, co się staje. Moment ogromnie psychologiczny i niezmiernie interesujący. Moment, w którym dzieło samo wydało, wywiodło na jaw, tajniki aktu tworzenia, tajniki, które niezawodnie sam poeta chciał mieć takimi, gdy na przytoczone powyżej pytanie panny Karoliny Jaenisch odrzekł po prostu:

— „Zniszczyłem“.

Łatwo było poecie „śpiewać okropnie“ i „śpiewać miłośnic“ „o strachach i o Maryli“, gdy szło o to tylko, aby Marylę nastraszyć balladą.

I tu wchodziły pierwiastki ducha ludu i pierwiastki ducha samego poety. Ale nie były to jeszcze dwie potężne rzeki, razem się rzucające w tragiczny nurt nieskończoności. To były jeszcze dwa jasne strumienie, jeden letniej pogody błękit i jeden brzeg kwietny odbijające w swych szemrzących wodach. To była jeszcze Tuhanowiecka sielanka. Ohwila ta była krótką.

A kiedy przeszła, zobaczył poeta, że mu śpiewać „o strachach i o Maryli“ — niełatwo jest razem. Tragedya osobistych uczuć, gdy ich się poeta dotknął tylko, zrywała się własną swą burzą wypełniała sobą, chciała przynajmniej wypełnić sobą cały horyzont poetyckiego pomysłu. Za nic jej była wtedy pomysł tego ludowość, za nic sam obrzęd Dziadów. Pod jej-to potężnym podmuchem, pod jej wpływem, Guślarz z Fragmentów przestaje być Guślarzem z Kaplicy, a Chór z Fragmentów mówi słowa gorzkie i rozczarowane głęboko.

Pod jej wpływem mąci się przejrzystość pierwotnego pomysłu odtworzenia samego obrzędu Dziadów. Owszem, sam pomysł ten, już skryształizowany w swej naczelnej scenie, pęka, pryska w sztuki, z których każda świeci własną swoją tęczą. Wdzierają się, chcą wtargnąć do dzieła elementy, obce mu naturą swoją i najgłębszą treścią swoją. One mu się przeciwstawiają, walczą z niem, prą na nie, i padają w tej walce olbrzymów potężnym żywiołowym gruzem, tragiczną ruiną rzeczy, która nie istniała jeszcze w sobie, a już się rozpadła.

Ten ferment, ta burza, ta walka, stanowią właśnie ową rozterkę w duchu samego poety, a ten potężny gruz, zaścielający ogromne bojuwisko sprzecznych elementów, stanowi „Fragmenty“ z pośmiertnej teki.

Wątpliwą jest rzeczą, czy Michał Anioł zgodziłby się na to, aby jego nieskończona i nieśmiertelnym kształtem dopiero wydzierająca się z marmuru „Madonna“ zajmowała miejsce w kaplicy Medycejskiej, obok „Pensierosa“ i tragicznej w swem uśpieniu „Nocy“. Owszem, tem wątpliwszą było-by to rzeczą, gdyby Michał Anioł, znalazłszy ten blok marmuru niezdolnym do wyrażenia sobą już poczętej w natchnio-

niu twórczem wizyi, sam go był w połowie pracy odrzucił, i gdyby marmur ten nie był dziełem nieskończonym, ale—poniechanem.

Analogia jest zbyt żywą, aby nam jasno tłómaczyć nie miała, dlaczego Mickiewicz, zapytany przez pannę Karoline Jaenisch, co się stało z Częścią I-ą „Dziadów“, odpowiedział po chwilowym namyśle:

— „Zniszczyłem“.

VI.

Ale ta rozterka w duchu poety, której niewątpliwym śladem są „Fragmenty z pośmiertnej teki“, zostawiła także ślady i w samej obrzędowej scenie. w części dzieła, Drugą zwaną. Zostawiła je na ich powierzchni tylko, i tylko w zewnętrznym wyrazie niektórych jej momentów, niemniej przecież są ślady te odbiciem wpływów, które—lubo obce naturze poety, wywarły się na formę tej części dzieła, a to wbrew najgłębszym i najszlachetniejszym dzieła tego elementom.

W młodości mojej—mówi Mickiewicz w pomieszczonej wyżej przedmowie do wydania wileńskiego „Dziadów“—w młodości mojej obchodzono jeszcze w niektórych zakątkach Litwy „obrzęd“... itd. A ja dodam, że obchodzono go nietylko w młodości poety.

„Zakątki Litwy“ od tego są zakątkami Litwy, aby się w nich życie Litwy przytębiało przed trzeźwością czasów gdzie miało. I teraz jeszcze, w noc listopadową peruszają się w zakątkach owych zapadłe kurhany. I teraz „duszyczki wszczepione w surowym drewnie“ „piszcza“ na ognisku, a inne marzną na dnie rzeki, a inne płoną w smole.

I teraz jeszcze padają garście maku i soczewicy wraz z modlitwą, ku ich wybawieniu. I teraz wywoływane są imiona tych, których w chacie brakło.

„Miejsce samotne“, stara drewniana kaplica w Tuhanowiczach, dziś jeszcze na wzgórkach za ogrodem stoi tak, jak ją poeta wprost z „Murowanki“ widzieć mógł, jak ją widział nieraz z okna pokoju, w którym mieszkiwał z Zanem.

On kaplicę tę znał dobrze, z jej poczerniałym dachem, z jej małą kopułką, zakłętymi drzwiami i przyzbą ze zmurszałych belek.

Więc to wszystko poeta czuł, rozumiał, widział i słyszał, stokroć żywiej, stokroć bezpośrednio, niżeli opowieść o zatopionym i głosem podwodnych dzwonów odzywającym się Świtezi grodzie, któ-

ra zresztą i teraz usłyszeć można od pastusząt bosych, pomiędzy Płuzynami, Rajcami i Mirotyczami, ku samej aż Świtezi.

A mówię to dlatego, aby zaznaczyć niewątpliwy i ważny fakt, że poeta znał czynniki obrzędu bezpośrednio, że je znał takimi, jakimi były w całej swej *prawdzie* i w całej *prostocie*, a to tak dobrze *miejsce*, jak i *ludzi*.

Mogły czynniki owe, przeniesione w sam moment obrzędu, ukazać się poecie pod innym kątem widzenia, sub specie aeternitatis.

„Czas nocny“ nadał niezawodnie ludziom i rzeczom fantastyczne kształty; samotna kaplica z za ogrodu uczyniła się „ustronnem miejscem“ schadzki widm i duchów; bezlistne gałęzie drzew szumiały mocniej zagrobową skargą; głos Chóru bardziej zdawał się tajemniczy i przestraszony drżący: głęboką ciemność wypełniały tłoczące się na obchód Dziadów mary, cisza oczekiwania i niepewności była wprost—aż głucha.

To wszystko być mogło i—powiemy odrazu—niewątpliwie było. Ale to wszystko, samej istoty czynników obrzędu, ich *prawdy*, ich *prostoty*, nie mogło naruszyć i zmienić.

Nie mogło naruszyć i zmienić ich *ludowości*.

Owiewała je poezya grozy i głębokich żywiołowych wzruszeń—ale były sobą. Rysowały się na tle fantastycznym obrzędowej akcji—ale były sobą.

Jakkolwiek tedy silnie mogła być uderzona imaginacya poety tą fantastycznością, czuł on, wiedział, do czego odnieść to wrażenie, gdy sam je na części składowe rozkłada: („czas nocny, miejsce ustronne“...) zdając sobie z natury wrażenia tego sprawę z rzadką jasnością i precyzją. Gdy owszem, w samym akcie twórczości wie on i nie zapomina, gdzie bije jej źródło uroku, źródło prawdy i prostoty, źródło ludowości, i gdy do źródła tego, do pieśni gminnej, sięga po „inkantacye i obrzędowe śpiewy“, jako po żywą treść i po żywą siłę dla swojego dzieła, stwierdzając *ludowość* i podnieć twórczych, jakim uległ, i swego dzieła.

Tymczasem, w samej już obrzędowej scenie, spotykamy momenty jakiegoś niedostroju, jakiegoś niezharmonizowania głęboko ludowej treści z zewnętrznym treścią tej wyrazem.

Nie chodzi tu—rzecz prosta—o pominięcie przez poetę znamiennych kategorii mar, o których mówi Inkantacya wstępna. Nie chodzi o to, że z widm, jakie w niej Guślarz wywołuje, nie widzimy w obrzędowej scenie: ani tego, „które marznie na dnie rzeczki“ ani tego, które „piszczy w surowem wszczepione drewnie“, ani takich, które-by na skrzydłach listopadowego wichru zlatywały się „z którejkolwiek swiata strony“.

Nie wiemy zresztą, nie możemy wiedzieć, czy mary te w pierwotnym pomysłe dzieła, nie istniały zgoła. Owszem, one mogły istnieć w tej najpierwszej chwili, gdy treścią pomysłu tego był sam obrzęd Dziadów.

Ale nie chodzi o to.

Widmo „Pana“ nietylko wystarcza za wszystkie inne kategorie zupełnie, ale zarówno z artystycznych, jak i psychologicznych względów — wyłącza je sobą.

Z artystycznych: gdyż tło, wypełnione całym tłumem mar takich, nie uwypuklało-by dostatecznie tego, co przyjsć miało, aby tę scenę w kaplicy połączyć z inną częścią dzieła, i z innym jego momentem, z momentem, dotyczącym samego poety.

Z psychologicznych: gdyż gromada ludowa nie po to schodziła się na Dziady, żeby potępieńców oglądać. Ona się schodziła po to, aby przypomnieć dusze i imiona blizkich, rodzonych, więc tych, których winy tak aż ciężkimi być nie mogły. Gdyby bowiem były, musiałyby widma owe tak samo odejść bez pomocy, bez ulgi, bez ratunku, jak odszedł „Pan“, ścigany przez kruki i wrony, a gromada nie mogła-by mieć przeświadczenia o skuteczności „jałmużny i pacierza“, „jadła i napitku“, nie mogła-by mieć wiary w skuteczność samego obrzędu. Sama już wstępna inkantacya podaje obraz mąk tych, tej kary, w jakiejś złagodzonej, w jakiejś niewydalającej duszyczek z obrębu dawnego życia, formie.

Te tylko, które w smole płoną, niewątpliwie już w czyscu, w takim ludowym czyscu, buchającym żarem płomieni—goreją. Ale te inne „duszyczki“ nie są jakby czyscem tym objęte. One piszczą wszczepione w surowem drewnie, w borach Litwy może. One „marzną na dnie rzeczki“, którą ta gromada zna, znać musi, kiedy imienia jej Guślarz nie wypowiada nawet. One cierpią gdzieś blisko, we wsi, za wsią może, ale blisko. One są swoje.

I było to ze strony poety odczute głęboko, i głęboko pomyślane, że tylko widmo potępieńca, „które w smole płonie“, do gromady samej nie należy, że stoi na zewnątrz niej, że jest „Panem“, a więc takim, który i za żywota stał na zewnątrz obrzędu, na zewnątrz wiary ludowej, na zewnątrz guśla samego i jego potęgi, więc takim, któremu guśło to, na wierze ludowej oparte i w obrzędzie swój wyraz mające, pomódz nie mogło zgoła. Jakoż nie pomogło, a przecież—skutkiem szczęśliwie postawionego stosunku widma do gromady, guśło to nic nie utraciło na sile, na uroku, na powadze swojej. Nie o to więc chodzi. Chodzi o to, że widma, które się na „Dziadach“ zjawiają, nie są utrzymane w pierwotnej swojej prostocie i prawdzie; w prawdzie i w prostocie, zgodnej z ludowością dzieła. Chodzi o to, że przynoszą one

z sobą jakiś powiew sentymentalizmu, jakąś barwę sentymentalizmu, i to tak wybitną, że nawet najpowierzchniejsi badacze „Dziadów“ są nią uderzeni, że ją spostrzegają i zaznaczają zgodnie.

Czego wszakże nie spostrzegają i nie zaznaczają, a co im właśnie zachowuje wszystkie tytuły do powierzchowności sądu, to fakt, że tak barwę tę, jak i ten powiew sentymentalizmu, widma owe przynoszą *z sobą*, lecz *nie w sobie*. Nie w naturze zatem, nie w istocie swojej, lecz tylko w *zewnętrznym*, właśnie z tą ich *naturą*, z ich *istotą*, klóącym się *wyrazie*.

A że tak jest, to zaraz zobaczymy bliżej.

Kiedy sobie uprzytomnić zechcemy taką gromadę ludową, ciągnącą na „Dziady“, to uderzy nas wszystkich tej gromady matka, oplakująca pomarłe bez pory dzieciny. Taka matka - zuzula, płacze i boleje na przestrzeni całej pieśni gminnej, w całej słowiańszczyźnie. Ona jest tej pieśni motywem naczelnym, najszerzej rozwiniętym, najgłębiej dotkliwym. Płacze matka u pustej kolebki w chacie, płacze poległego syna na wielkim bojuwisku śmierci. Na mogiłę trzy kukułki lecą, na mogile trzy kukułki żałośnie kukają. Ta jedna u głowy zabitego, ta druga u nóg zabitego, a ta trzecia u „serdeczka“ jego. Ale gdy noc przyszła, noc czarna, odleciała ta jedna, co kochanką była, odleciała druga, ta, co siostrą była, a została ta trzecia, ta u „serdeczka“ samego, została *matka - zuzula*...

Otóż, niezawodną jest rzeczą, że w samym Chórze, w samej gromadzie ludowej stać tam musiała u drzwi kaplicy taka matka żałośliwa, podnosząc oczy we łzach ku potężnemu gusłu, które się w obrzędzie czyniło. Przyszła tam, aby zobaczyć kochanie swoje, aby się jeszcze popatrzeć na te drogie główki, aby te głoski usłyszeć, ten szczebiot ptaszęcy, po którym oto chata zaniemiała, zagłuchła w sobie. A jak ta matka, stojąca wśród gromady, jest tam na miejscu w prawdzie i w prostocie swej żalności, tak samo na miejscu zupełnie jest zjawienie się dwojga jej umarłych dzieci. Zjawienie też to, jako takie, niczem *naturą* swoją i *istotą* swoją z granic obrzędu nie występuje i ludowości dzieła nie kazi. Była płacząca matka, więc mogły być i duszyczki dziełek. To jest proste, i to jest prawdziwe — w swej treści.

Ale i zjawienie się dziewczyny Zosi, wietrznicy wiejskiej, jest usprawiedliwione. I wbrew temu, co utrzymuje prof. Tarnowski, zaznaczam, że widmo to, *naturą* swoją, *istotą* swoją, ludowości obrzędu nie kazi. Utrzymuje mianowicie prof. St. Tarnowski, że ta dziewczyna, pasterka, to — w pełnej epoce romantycznej przypomnienie chyba klasycznej poezji. Jakies *mimowolne* odbicie rzeczy, których się Mickiewicz naczytał i nasłuchał za młodu. A gdy tak mówi prof. Tarnowski

w Krakowie, prof. Kallenbach przyklaskuje temu we Fryburgu, i zgadza się na to.

Tymczasem na to zgodzić się nie można. Tembardziej nie można przyklaskiwać temu.

Należy, owszem, z wszelką stanowczością zaznaczyć, że to zjawienie się dziewczyny tylko w pełnej epoce romantycznej miejsce mieć mogło, i że wcale nie stanowiło odbicia rzeczy klasycznych, „których się Mickiewicz za młodu nasłuchał i naczytał“. Tembardziej zaś nie stanowiło odbicia rzeczy tych „mimowolnego“. Jakoż *upiorowość* dziewczyny tej, wietrznicy niezaślubionej, a więc nieochrzczonej bólem życia, macierzyństwa, ciężkiej pracy i twardej doli u własnego ogniska i we własnej chacie, jest wzięta wprost z pojęć ludu. Jest to owa „Latawica“ z podań i pieśni gminnych, którą dech wiatru ponosi, i której ziemia ani utrzymać, ani przyciągnąć nie ma siły.

„Niech mnie pochwyć!“ — woła widmo dziewczyny. Lecz nie inaczej i siłę nieczystą, taką „Latawicę“ w powietrzu noszącą, usiłuje przełamać, pokonać, zniszczyć obrządek ludowy. Tak dla ściągnięcia na ziemię „porwanego złym wichrem“, wbija lud w próg chaty nóż poświęcony, a potem uderza nim w powietrze, tak dla ściągnięcia „Latawicy“, nieznającej spokoju po śmierci, rzuca w powietrze wrzeciono, nawinięte przędzą — tą szarą, wżgardzoną przędzą doli i niedoli. Nie jest to więc żadna reminiscencya klasycyzmu i żadne „odbicie“ jego, ta dziewczyna tchem wiatru niesiona. Jest to, owszem, jedna z najcudniejszych ludowych fantazyi, która się tylko i właśnie „w pełnej epoce romantycznej“ w poezyi naszej pojawić mogła. Zgoda więc prof. Kallenbacha na wywody prof. St. Tarnowskiego jest zbyt pośpieszną i tylko na nieznamości podań i guseł ludowych, tych wielkich czynników poezyi gminnej — opartą. Ale jeśli pojawienie się i „dziatek“ i dziewczyny wietrznicy, naturą swoją, swoją istotą, z chwilą obrzędu nietylko się zgadza, ale stanowi niejako przyrodzoną treść jego; to strona formalna pojawienia się tego i zewnętrzny wyraz obu tych momentów rozchodzą się z sobą dość znacznie.

Miejsce surowej prostoty i prawdy zajmuje tu pieszczoność mowy, miejsce głębokiej, namiętnej uczuciowości, jakaś czułościowość wyrazu, miejsce formy obrzędu — forma „widowiska“.

Widzimy ślady wahania się poety. Nie niszczy ono, nie jest w mocy zniszczyć głębokiej ludowości, tkwiącej w treści dzieła, ale wprowadza formy, które treści tej albo nie są właściwym wyrazem, albo też są jej wyrazem niedostatecznym.

Jakaś miękkość, jakieś znane już zresztą z niektórych „Ballad“ spieszczanie imion i rzeczy, wlewa się do dzieła i pokrywa surowe rudymenty ludowości jego lśniąca i szemrzącą falą. Fala lśni i gra,

mieni się i dźwięczy, ale nie ma głębokiego tonu prostoty, nie ma dzwону prawdy, właściwej naturze dzieła. Przychodzą nadpisy takie, jak: „Duo“, „Arya“, „Recitativo“, obce zarówno samej istocie obrzędu, jak i temu żywemu, niezniszczalnemu tętnu szczerzej ludowości, która jest i materyą, i duchem tej części dzieła. Jednem słowem, zaczyna się panowanie *sentymantalizmu*.

Jak się to stało? Jak się to stać mogło, że poeta tej materyi wprost Dantejskiej, już po pierwszych, szerokich, też Dantejskich ry-sach, pozwolił odlać się—w niektórych momentach swoich—w formy, które materya ta widocznie rozpiera sobą, i które nie mogły razem z materyą ową zrodzić się w duchu poety?

Jak mógł próbować, jak mógł chcieć pogodzić formy owe z potężnym pierwiastkiem ludowości dzieła? Tej ludowości, która tak szeroko, tak szczerze i tak namiętnie bucha z inkantacyi Guślarza, z bierności Chóru, z obrzędowej akcji, z widma „Pana“ i ponurego orszaku jego dręczycieli, z całego głębokiego nastroju, z całej fantastycznej sceneryi samego obrzędu? Jak mógł pozwolić na wkroczenie pierwiastku, najbardziej przeciwiącego szczeroci natchnienia, które się wprost żywiołowo zespoliło z duszą ludu i z pieśnią ludu, aby wprost z pierwotnych pokładów poezyi gminu i ducha gminu dźwignąć nieśmiertelne dzieło; jak mógł pozwolić na wkroczenie tak przeciwnego naturze swojej sentymantalizmu?

VII.

Mickiewicz był głęboko uczuciowym, i to nam tłómaczy w zupełności fakt, że sentymentalnym nie był.

W wybornej biografii, którą nam dał syn poety, materya ta, lubo dotknięta mimochodem tylko, daje nam przeciwz wrażenie zupełnie pewnej obserwacyi, oraz istotnej prawdy: „Poeta—mówi nam ta biografia—nie ukrywał odrazy do ludzi nienaturalnych, brzydził się przesadą; lubił przestawać z ludźmi zdrowego rozsądku i rozumu. Od dzieciństwa szukał ludzi uczuciowych. *Nie był nigdy* ani w rozmowie, ani w obejściu *sentymentalnym*“.

Gdy wszakże, wobec tego nieulegającego zaprzeczeniu świadectwa, pierwiastek sentymantalizmu spotkać można tak w niektórych „Balladach“ („Rybka“, „Świtezianka“, „To lubię“, „Kurhanek Maryli“, „Dudarz“), jako też w najmocniej sprzeciwiącej mu się naturą

swoją obrzędowej scenie „Dziadów“, zachodzi pytanie: jaka siła, lub raczej, jaka słabość pozwoliła pierwiastkowi temu mieszać się z natchnieniem twórczem poety, wtargnąć do niektórych dzieł jego, i albo w nich wybujać, jak w wyżej nadmienionych „Balladach“, albo też pasorzynie się owinąć około prostych, szczerze ludowych i głęboko uczuciowych motywów, jak w „Dziadach“.

Odpowiedź na to jedna tylko być może:

Tą siłą i tą słabością zarazem była miłość poety dla „Maryli“, było już to poddawanie się dobrowolne, już to uleganie bezwiedne jej wpływom.

Maryla była wskroś sentymentalną. Leżało to w duchu epoki, we wpływach wychowania i lektury. Nadewszystko we wpływach lektury. Owa, należąca do „Fragmentów“, scena uniesień „dziewczyny z samotnego pokoju“ nad romansem pani Krüdener, owe przemowy do „Waleryi“, bohaterki romansu, i do „anielskiego Gustawa“, kochanka nadzwyczajnego, którego inna szuka próżno całe życie — cała owa tak charakterystyczna scena i ta bijąca z niej żądza oderwania się od powszedniej, więc wzgardzonej, rzeczywistości; ta żądza bujania myślą i marzeniem w krainie ułud, w krainie wyobraźni, to wcale nie jest poetycki wymysł. To, owszem, jest bardzo prawdziwa prawda. Poeta znał dobrze tę heroinę samotnych dumań, gorączkowo przejmującą się losami bohaterów romansu, który, niespodzianie, przez związek swój z dziejami serca poety, stał się tak pamiętnym u nas. Już sam fakt, że Maryla, wyszedłszy za Puttkamera, a zatem zaparłszy się uczucia swego, przez lat dwa de facto była jeszcze panną Marylą Wereszczakówną, a panią Puttkamerową tylko de nomine, stawiając się w roli istotnej heroiny romansu, i wytwarzając wprost niemożliwą do wytrzymania drażliwość w stosunku swoim do poety. Już sam ten fakt świadczy, że gruntem tego charakteru była czułość, była sentymentalność, było rozmarzenie, przyznające w krainie wyobraźni prawa uczuciu, które nie miało dość siły, aby się zmanifestować aktem woli w dziedzinie rzeczywistości. Że wpływ tego sentymentalizmu musiał się wywierać na wrażliwą naturę rozkochanego poety w pierwszej zaraz chwili niemal poznania się z tą „panną, tak różną od innych szlachcianek“, tego dowodzić niema tu potrzeby. Że pochlebiał on Maryli, wpływ ten, to także jest rzecz jasna. Nie umiała ona cenić, nie kochała może zresztą poety do tego stopnia, żeby z nim życie chcieć dzielić; ale chciała być muzą i natchnieniem poety, bo to wydawało się jej pięknem, romantycznym i sentymentalnem.

Na szczęście wpływ sentymentalizmu Maryli na poetę nie był ani ciągłym, ani trwałym. Był silny i miał momenty silnego odbicia w dziele; przemijał wszakże na mocy reakcji wielkiej głębi uczuć

i wielkiej ich prostoty, które-to pierwiastki tworzą jedną z najwybitniejszych cech ducha poety.

Najsilniej ulegał wpływowi temu Mickiewicz w Tuhanowiczach, przy bezpośrednim obcowaniu z Marylą, co się jawnie pokazuje z faktuury ballad i romansów, do których pomysł tam powstał.

I między Balladami przecież są takie, nad którymi wpływ ten nie miał mocy. Taki „Tukaj“, taka „Pani Twardowska“, takie „Lilie“ wolne są od niego zupełnie. Trysnęła w nich ludowość czysta, świeża, razem ze swą dramatycznością, ze swą starą mądrością, ze swoim humorem.

Ale i oddalenie nawet nie zawsze chroniło poetę od wpływu sentymentalnej kochanki. Owszem, ten sentymentalizm stanowi najbardziej charakterystyczną cechę jej listów, czy to bezpośrednio do poety zwracanych, czy pośrednio — w korespondencji Maryli z Zanem i z Czeczotem.

Gdy pisze: „pisze najczęściej w nocy“, co samo przez się nie byłoby dziwnem, gdyby Maryła godzin takich nocy nie notowała w listach. Ale ona właśnie je notuje. Ona pisze: „12 w nocy“. „2 w nocy“. Czyniąc sobie z nocy tej tło, na którym i jej pisanie wygląda więcej marzycielsko i sentymentalnie, właśnie, jak na heroinę książkową przystało. Maryła lubi mówić o tem, że wszystko śpi dokoła, a tylko ona jedna czuwa. Czuwa, marząc, pisząc, czytając, żyjąc, lub żyć usiłując jakimś odmiennem, jakimś egzotycznym życiem na tle tej litewskiej wioski i tego litewskiego dworu.

To, że najczęściej pisze po francusku, i że wogóle pisze lepiej po francusku, niż po polsku, nie liczy się nawet. Takie były czasy; ale że nawet ta francuszczyzna, składała się na odrywanie piszącej od rzeczywistości, to też zaprzeczeniu nie ulega. Często też Maryła list po polsku napisany, podpisuje „Marie“, mimowoli jakby zaznaczając egzotyzm swego ja, swojej duchowej istoty. Zna ona sama sieć o tyle, że zdaje sobie sprawę i z sentymentalności własnej, i z siły pobudzających ją czynników. Żądając naprzykład od Zana wyjątków z Chateaubrianda, pisze: „Lękam się tylko obrazów czułych, gdyż te mogły-by większą jeszcze rewolucyę zrobić w mojej głowie“.

To są słowa bardzo charakterystyczne. „Czułe obrazy“ nie działają na jej serce; one działają na jej „głowę“. W głowie-to panuje ten zamęt rozmarzenia, który Maryła nazywa „rewolucyą“, i o której powiększenie się lęka. Jest to jasność sądu, która jej bystrości umysłowej zaszczyt przynosi. O sprawach serca rozstrzygają względy praktyczne swoją drogą, a swoją znów sentymentalizm zostaje na długo bussolą życia, i równie długo wywierać pragnie swe wpływy.

„Ponieważ pan przedsięwzięsz przetłómaczyć na nowo Wertera, — pisze Maryla, już jako pani Puttkamerowa, do Mickiewicza — chciejże poprawić w tem dziele wady Goethego, który zepsuł złem zakończeniem najpiękniejszy romans. Nadaj więcej sentymentalności Werterowi“.

Otóż, zetknięcie się ducha poety z tą rozmarzoną heroiną sentymentalizmu, i to na drodze pierwszego, gwałtownego ze strony poety uczucia, musiało mieć wpływ doniosły, i miało go istotnie.

Czuł to poeta sam. On wpływ ten przeceniał, owszem, i chętnie, wtedy już nawet, kiedy gieniusz jego wleciał tak wysoko, że żaden powiew sentymentalizmu dosięgnąć sfery jego nie zdołał, i wtedy jeszcze przyznawał się poeta do tego wpływu. Owe słowa Maryli: „Oto poezya! Napisz coś takiego!“, wyrzeczone po wysłuchaniu opowiedzianej przez rybaka baśni nad Świteznią, zapadły mu głęboko w duszę. Jeszcze w Paryżu, opowiadając fakt ten, dodaje:

„Odtąd wziąłem swój kierunek“. Ale było to złudzenie. Było to takie samo złudzenie, jak gdyby Pigmalion utrzymywał, że go Galatea do życia zbudziła. Prawdą, przeciwstawiającą się temu złudzeniu, był fakt, że ludowość, poezya ludowa, zapadła o wiele wcześniej w duszę poety, i zapadła głębiej. Tam, na dnie tego wielkiego ducha, leżały wrażenia i wzruszenia sielskiego, anielskiego wieku.

„Żyjąc to na wsi, to w mieście małej, — mówi o ojcu Wł. Mickiewicz — zetknął się bezpośrednio z chłopem, i do woli czerpał z kryształowego źródła ludowych podań i ludowych pieśni“.

A dalej mówi:

„Wiele Adam zawdzięcza baśniom i legendom ludowym. Szczęśliwym trafem znalazł od najmłodszych lat około siebie osoby, karmiące dno jego miodem ludowej poezyi. Kiedy w Paryżu przyniesiono mu zbiory pieśni i bajek gminnych, litewskich, krakowskich, ruskich, galicyjskich, powiedział Adam przyjacielowi: „Dziwna rzecz, ale ja te wszystkie pieśni słyszałem i wyuczyłem się ich dzieckiem w Nowogródku, w rodzicielskim domu. Służąca nasza, stara Gąsiewska, umiała je wszystkie i śpiewała z dziewczętami, przychodzącemi praść. Mogę dziś jeszcze każdą zanucić“.

Otóż, wobec tych faktów, niepodobna jest przypisywać słowom Maryli: „oto poezya!“, wagi jakiegoś objawienia, jak to się samemu poecie zdawało.

A ta zachęta: „napisz coś takiego!“, nigdy-by nie odniosła skutku, gdyby dusza poety nie była już wtedy lutnią, naciągniętą złotemi strunami poezyi ludowej. Strunami, które niedotknięte nawet, dźwięczały własną śpiewnością swoją.

Był wpływ; nie tylko nie zaprzeczam temu, ale zadaniem mojem w tej chwili jest wykazać siłę jego i jego naturę. Ale wpływ ten właśnie najmocniej przez tę naturę swoją klócił się z prawdą i prostotą poezji ludowej. On nie tylko się z nią klócił, ale i przemagał ją nawet nieraz: on ją przemagał w zewnętrznym wyrazie, w nastroju, w głosie, a to jakimś delikatnym i łagodnym wdziękiem, który jest zaprzeczeniem surowego piękna, prostoty i prawdy ludowej. Gdyby nie on, nie ten wpływ sentymentalizmu Maryli, zobaczyli-byśmy na „Dziadach“ „Latawicę“, jak ją lud widuje. Zobaczyli-byśmy ją nagą — bo na koszulę nie sprzędła lnu we własnej chacie, wychudłą — bo nie zaczynała czarnego chleba, czarnej chłopskiej doli, osłoniętą włosami, których przy oczepinach na dzieży nie tknęły obrzędowe nożyce weselne, z wiankiem ognistych maków, tego kwiecica, co sny daje, zamiast jawy, twardej jawy życia. Taką-byśmy ją zobaczyli. Mogła-by ona i wtedy zawołać: „Niech mnie pochwyć za rące!“, ale nie mogła-by nam opowiadać winy swej i swej pokuty w „aryi“, „duecie“, ni w „recitativie“.

Gdyby nie ten wpływ sentymentalizmu Maryli, zobaczyli-byśmy na „Dziadach“ owe pomarłe bez pory dziecięcki, też tak, jak je lud widuje. Zobaczyli-byśmy je w zgrzebnych koszulinach, dźwigające brzemia chrustu i ciężkie wiadra wody — za niepracę swoją. A dziecięcy te przemówiły-by do matki własnym swoim głosem, głosem skargi żalostnej a cichej, tak, iżby matka oścień nowego bólu uczuła. Ona — współwinną z duszyczkami dzieci. To-byśmy zobaczyli, i to-byśmy usłyszeli. Nie było-by „widowisk“, lecz były-by „Dziady“. One są i teraz — te „Dziady“ proste, silne, rzewne i surowe zarazem. Ale żeby je w tej ich prawdzie zobaczyć, otrząsnąć z nich trzeba te pyłki kwietne i motyle, dobyć z nich trzeba ich własny kolor i ich własny ton, jako pierwotnego pomysłu poety, którego duch twórczy z duchem ludu złączony, odciągnięty zo-tał na chwilę w stronę wpływu, obu tym duchom w naturze swej obcego.

Pomysł bowiem uczynienia „widowiska“ z obrzędowej sceny i owe objaśniające nadpisy powstały właśnie z tego samego źródła sentymentalizmu, które się wsącżyło do szerokiej, do wielkiej i głębokiej rzeki ludowości dzieła.

Był poeta wrażliwym na muzykę; był na nią wrażliwym wyjątkowo i do końca życia. Ale przede wszystkim i w muzyce nawet wzruszała go *ludowość pieśni*. Jeżeli improwizuje, to nie przy żadnych operowych „aryach“ i „duetach“. Improwizuje przy prostej pieśni wiejskiej:

Pójdźcie, pójdźcie gąski moje...

lub przy tej drugiej, znanej z fleciku Freyenda w konradowej celi:

Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły...

I ta więc jego wrażliwość na muzykę nie mogła być pierwszym powodem do wprowadzenia owych „recitativów“ i „duetów“, kłócących się zewnętrznym wyrazem swoim z żywiołem ludowości w dziele i w duchu poety. Pierwszym powodem był i tu także niezaprzeczony wpływ sentymentalizmu Maryli. Maryla była muzykalną. Nietylko grała, ale i komponowała także.

Oto co pisze w jednym z listów swoich:

„Posyłam walca, w którym malują się wszystkie poruszenia mojej duszy“.

I mogło to być prawdą. Mogły istotnie „wszystkie poruszenia“ tej duszy malować się w owym „walcu“. Ale nie ulega wątpliwości, że wielka, że ogromna dusza ludu, nietylko w żadnym walcu nie mogła być odmalowaną, ale że wyrazem jej nie mogła być żadna z tych form muzycznych, które się znalazły w „Dziadach“, kto wie, czy nie dla dania oddźwięku tej duszy, której wszystkie poruszenia malowały się w owym przesłanym walcu. Bądź jak bądź, pewną jest rzeczą, iż wprowadzenie tych zewnętrznych form nieludowych do wskroś ludowego dzieła, nie wyszło z pomysłu, z duchowej inicjatywy, z natchnienia — samego poety. Owszem, w tych samych właśnie zewnętrznych, kłócących się z duchem dzieła cechach, leży ślad silny i pewny tej rozterki, jaka się odbywała w duchu twórcy. Jest ślad tego chwiania się, tego wahania się, tego niezestroju, o którym mówiliśmy wyżej, i który niezawodnie świadczy o postronnym wpływie.

Co jest zastanawiającem, to to, że wpływ ten nie odbił się wcale w odnośnej (przedobrzędową chwilę wyrażać mającej) scenie z „Fragmentów“.

I tu jest punkt, z którego rzucić można głębokie i wykrywające prawdę spojrzenie, tak w duszę poety, jak i w dzieło samo. Bo jeżeli się nie odbił, to znaczy, że mu poeta albo wcale nie ulegał w chwili tworzenia „Fragmentów“, albo też, że mu nie ulegał w tym stopniu, żeby ślad wpływu w dziele widocznym został.

Gdy zaś niewątpliwym faktem jest, że sentymentalizm Maryli i sentymentalizmu tego wpływy odbiły się, i to bardzo wyraźnym śladem się odbiły, na wcześniejszych niż „Dziady“, „Balladach“, należy wnioskować z tego, że brak śladu takiego w owej, przedobrzędową zwauej, scenie z „Fragmentów“, nie jest dowodem *nierozwinięcia się jeszcze* wpływu tego, ale owszem, jest dowodem jego osłabienia, jego, że tak powiem, przekwitu, zaniku i—co za tem idzie, że sce-

na ta z „Fragmentów“ żadną miarą wcześniejszą, niż scena w kaplicy—podlegająca temuż, co i „Ballady“, wpływowi—być nie może. Że zatem nie może być ani „pierwotnym planem dzieła“, ani „szczątkiem pierwotnej Pierwszej Części dzieła“, ani „ważnym i niezbędnym prologiem“ do Części, zwanej Drugą, jak to wszystko bezzasadnie utrzymuje dr Kallenbach.

Wszystkie kategorie wezwań Guślarza w scenie z „Fragmentów“ są obrazem psychicznych stanów poety, tak wyraźnym i tak jasnym, że oglądamy w nim całość pierwiastków, składających się na stan ten, a to od fizycznego niemal bólu i ściśnięcia serca, aż do dziwnego, z miłości i wzgardy razem złożonego, uczucia, z jakim się wyznawca ideału patrzy na ideał ten, z wyżyn swych strącony.

Co do Chóru, to Chór posuwa się jeszcze dalej. Jest on swobodnym tą swobodą, co to nic już do stracenia nie ma. Miłość zawiodła, a szczęście umarło. Szkoda łez i szkoda oczu — tęsknota myśli i serce psuje—co umarło raz, nie wstanie. „Daj na mszę!“. Powiedz „Wieczny odpoczynek...“ wszystkiemu, i dosyć! Więcej nawet: Chór jest zuchwiałym niemal, gdy bawiąc się w alluzye, mówi:

Od lasu para gołąbków leci,
Para gołąbków — a orlik trzeci.

Ten Chór w tej chwili przejmuje niemal ton „Myśliwego Czarnego“, który się ukaże wkrótce; on dla niego grunt już sposobi.

Otóż, skoro pewnem jest, że ani Guślarz ten nie jest guślarzem z obrzędowej sceny w kaplicy, ani Chór nie jest tej sceny chórem, ale że i Guślarz ten, i Chór ten jest wyrazem głęboko rozczarowanej i cierpiącej duszy samego poety, postaram się wykazać, że „Fragmenty“, w których skład scena owa wchodzi, nie są czem innym, jak potężnym gruzem, zaścielającym wielkie bojowisko spriecznych żywiołów, które skłóciły się z sobą tak w dziele i w duchu samego poety.

VIII.

„Dziady“ powstawały jako—dramat. Kiedy Guślarz we wstępnej inkantacyi swojej wzywa na obrzęd „Dziadów“ wszystkie dusze:

. . . w którejkolwiek świata stronie,
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czy piszczy wsczepiona w drewnie.

to od tych kategori mąk, do ich personifikacji w szeregu widm, był dla poety bardzo mały przedział.

Owszem. Żadnego przedziału nie było, zważywszy, iż w poetyckiej wyobraźni, w poetyckiem czuciu, same te kategorie były szeregiem mar, odrazu już przybierających kształty, odrazu już plastycznych, jakby naocznie widzianych, i same z sobą element dramatyczności niosących. Dramatyczność zresztą, i jako forma, i jako idea, leżała w samej już naturze obrzędowej „Dziadów“.

Dawał obrzęd scenę, dawał osoby działające, dawał akcję. Był Guślarz, był Chór, było „miejsce samotne“, było wywoływanie. To pod względem formalnym.

Pod względem zaś samej istoty obrzędu, to jest uczuciowych i pojęciowych czynników, które go stworzyły, to dramatyczność tkwiła i w nich także. Stanowiło ją mianowicie pojęcie winy, klócej się z jakąś odwieczną zasadą moralnej równowagi świata, i poczucie konieczności ekspiacji, równowagę tę przywracającej, — najstarsza niezawodnie, i najgłębiej w psychice ludzkiej wszczepiona idea dramatyczności, która jest zarazem ideą głęboko ludową. Tak tedy, „Dziady“, nie wychodząc istotą swoją z czysto ludowej pojęciowej i uczuciowej sfery, powstawały w pierwszym zawiązku swoim odrazu jako dramat. Powstawały tak i dlatego także, iż obrzęd ten za czasów poety nie był legendą, baśnią, podaniem, jak przedmiot „Lillii“, lub „Switezi“ naprzykład, ale istniał żywy, niósł z sobą życie, ruch, akcję, i pierwiastkami temi oddziaływał na wyobraźnię poety wręcz i bezpośrednio.

To, co w balladach jawiło się w perspektywie opowieści, a więc w tem oddaleniu, które dla siły i wibracji lirycznego tonu jest koniecznym, tu cisnęło się żywe i wołające o życie, razem ze swą akcją, ze swym ruchem, na plan pierwszy, na proscenium samo. Ale dramatyczność, tkwiąca w przedmiocie pierwotnego pomysłu dzieła, w obrzędowej jego treści, rozszerzyła się w zetknięciu z duchem poety, w którym także odgrywał się wielki dramat życia, rozgorzała ducha tego treścią i buchnęła szerokim płomieniem uczucia gwałtownego i szukającego sobie także gwałtownego wyrazu.

Nie stało się to odrazu. Owszem, nie mamy żadnego dowodu na to, aby pierwotny pomysł „Dziadów“ obejmować miał coś więcej, nad samą obrzędową scenę. Do odtworzenia sobie w myśli granic pomysłu owego jest niezawodnym kluczem przedmowa do wileńskiego wydania

„Dziadów“, w której poeta spokojnym i obiektywnym tonem w-kazuje jasno i źródło natchnienia, i kierunek natchnienia. W pierwszej chwili, w pierwszym pomysle, w pierwszym pobudzeniu twórczem, chodziło niewątpliwie o sam obrzęd tylko, którego żywioły wystarczały zupełnie, i na podniecie twórczości poetyckiej, i na poetyckie dzieło.

Ale mogło to być tylko w pierwszej chwili; w chwili względnego szczęścia, względnego spokoju, kiedy poeta, tworząc, słyszał jeszcze dźwięczące i wywierające swój wpływ magiczny, słowa Maryli: „napisz coś takiego!“, i kiedy słów tych żaden zgrzyt nie głuszył; w chwili, kiedy nawet surowy pierwiastek ludowości w dziele korzył się razem z sercem poety przed wpływem ubóstwianej a sentymentalnej kochanki, nie bez walki zapewne, ale bez zwycięstwa. Chwila ta wszakże przeminęła szybko, a ta, która po niej przyszła, miała tragiczne rysy zabitego szczęścia. Mniejsza o to, że szczęście było tylko marzeniem, że nawet może uludą tylko było. Był to jeszcze jeden rys tragiczny tej tragicznej maski, rys, który sobą wyraża największą, wprost trującą gorycz.

W formę dramatu, w którą przedmiot pierwotnego pomysłu, mocą natury swojej, odlewał się sam przez się, buchnęły teraz roztopioną lawą wszystkie skłócone pierwiastki ducha samego poety. Analogie przyciągały się, zahaczały, zazębiały wzajem. Tło, scenerya, tak blizkie, tak znane z owej chwili marzenia szczerego, wywoływały obrazy, które były i rozkoszą, i katuszą razem. Napięcie namiętnych uczuć było tak gwałtowne, że pękło-by serce poety, gdyby z niego nie wyrzucił tego jęku, tego płaczu, tego zgrzytu, który mu rozsadał piersi. Mickiewicz nie miał natury kontemplacyjnej, jak Krasiński, jak Słowacki nawet. On miał naturę w wysokim stopniu czynną. On nie mógł dać się przegryzać bólowi swojemu, beczynninie założywszy ręce. On reagował i fizycznie i moralnie na ten ból gryzący. Fizycznie — męcząc się do wyczerpania sił ruchem uadmiernym, (na który tak się skarżyli w swoim niepokoju Zan, Czeczot i poczciwy „Onufer“ Pietraszkiewicz: („Adam chodzi i chodzi“) moralnie, rzucając w namiętny ruch, w namiętą akcję twórczą, własną swoją duszę, zmuszając ją niejako do głośnego krzyku, który się stał nieśmiertelną pieśnią.

Wspomniałem o analogiach. Te były liczne. Sama treść obrzędu, owa ponocna schadzka duchów, które cierpią, owo jawienie się mar już pożegnanych, owo życie, chwilowe choćby, tego, co umarło, owo prawo głosu tego, co grób zdusił, oniemiał—to wszystko było jakby gotową formą, w którą spłynęła owa rozżarzona lawa namiętnej rozpaczy i gwałtownych pragnień. I tak wybuchło szerokiem płomieniem ognisko ogromnego dzieła. Dzieła tak ogromnego, że przyjdzie czas, kiedy je poeta nazwie „jedynie czytania godnem“ z tego, co sam stworzył,

i zawrze w niem, lub zawrzeć zechce, cały obszar życia, cały obszar czucia i cierpienia — nie za siebie tylko.

Czasu tego i tego, co ten czas z sobą przyniósł, nie obejmuje zakres roztrząsań naszych. Ale dla wejścia w ducha tych roztrząsań, dobrze nam jest podnieść niekiedy wzrok na te ogromne, rzucające się wichrem nieśmiertelnych natchnień płomienie, które uderzyły z ogniska, przedmiot roztrząsań stanowiącego—aż tam, „gdzie graniczy Stwórca i natura“.

MARYA KONOPNICKA.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika Londyńska.

Porównano już oddawna życie londyńskie do istnienia gąsienicy i motyla: motyla, lśniącego świetnemi barwami przez trzy miesiące wiosennego sezonu, i szarej poczwarki—gąsienicy, która przez dzie więć pozostałych miesięcy skrzydła mu do lotu przygotowuje. Z niej wykluwa się motyl, więc choć skończył się jego żywot efemeryczny, myśl nasza, krążąc wśród nadzwyczajnych, zwrotnikowych upałów, po przeredzonym Londynie, wśród pożółkłych trawników i przekwitłych kwiatów, wśród opustoszałych pałaców, licząc siedemnaście zamkniętych teatrów, spostrzegając zagasłe światło na wieży parlamentu, i wśród tylu symptomatów zastygłego organizmu pięciomilionowego olbrzyma nad Tamizą, zwraca się mimowoli do trzech poprzednich miesięcy. Wrzało wtedy życie takie pełne, takie rozmaite, takie błyszczące, że porywać się zdawało w swój prąd i wir gorączkowy nawet chłodnych, zdawna z niem obyłych obserwatorów. Gdy w rannych godzinach, pod cieniem klonów i kasztanów na *Rotten Row* w Hyde Parku, kłusują zwartemi kolumnami dziarscy sportsmani i wiotkie amazonki, gdy po południu we wspaniałych pojazdach ukazują się tam, istna rozkosz dla oczu, wykwintne damy, udające się z jednej recepcyi na drugą, gdy cały ten wielki świat rodu i fortuny wchodzi w chwilo we zetknięcie z gapiącą się nań gawiedzią; to trzeba przyznać, że rów-

nie pięknego letniego salonu pod otwartem niebem nie posiada żadna inna stolica, jak ten niezrównany Hyde Park. Skarżą się jego bywalcy, że niektóre aleje otwarte zostały dla pospolitych rowerów, tak jak srożą się niektóre błękitnej krwi antenatki, że mężczyźni poważają się tam pokazywać z fajeczką w ustach, podczas gdy przed laty kilkunastu nie ośmielali się palić tu nawet hawańskiego cygara; ale pomimo tego demokratyzowania się Parku, który warstwy towarzyskie uprzywilejowane przywykły były uważać za swą wyłączną własność, nie stracił on swego uroku, i dzień ten jest straconym, gdy się w tym lub innym jego zakątku nie odpoczęło, nie podumało chwil kilku.

Ale podczas wiosennego sezonu na odpoczynek niema czasu. Owe „*upper ten thousands*,” t. j. dziesięć tysięcy stanowiące przyzwołe towarzystwo angielskie, mieszka na prowincyi, albo podróżuje przez rok cały, a do Londynu zjeżdża tylko na ten krótki karnawał: należy go tedy zużytkować całkowicie, wyzyskać wszystkie salonowe i artystyczne rozkosze, jakie tu wówczas napotkać można. Rej wodzą kobiety, i dziwić się nie można, że one, które tu przybywają w początkach maja świeże i promieniejące, stopniowo z róż przemieniają się w białe, a czasem i w żółte narcyzy. Siły fizyczne nie są w stanie podolać tej nieprzerwanej seryi rautów, przyjęć, balów, obiadów, bankietów. Samo zmienianie pięć lub sześć razy dziennie stroju musi być ciężarem. Jedynym sekretem, który uzdalnia te delikatne córy Albionu do wytrwania na wielkoświatowym posterunku, aż do chwili tradycyjalnej, gdy wyścigi w Godwood i regaty w Cowes dają pożegnalny sygnał sezonowi, jest korzystanie ze świeżego powietrza, o ile to jest możliwem. Więc ranne konne przejażdżki, które się odbywają po późnym powrocie z balu, długie partye cricketa albo lawn-tennisa, żeglowanie po Tamizie, wycieczki na pikniki w okolice, *polo* w parku Hurlingham, wyścigi, jazda na mail-coachach, gdzie delikatne dłonie kobiece po mistrzowsku kierują oporną nieraz czwórką: oto co im pozwala odetchnąć po *drawing rooms* Królowej, po dworskich balach i koncertach, po wieczorach, spędzonych w teatrach lub Operze Covent-Garden.

Ta ostatnia zrobiła w tym roku śmiałą innowacyę. W Londynie, więcej jeszcze niż w innych stolicach, Opera jest salonem, gdzie wielkopańskie towarzystwo bierze muzykę i śpiew za pretekst, aby się w pewnych dniach zebrać, zobaczyć znajomych, pokazać nowe stroje, zaćmić rywalki blaskiem brylantów—institucyą, która abonentom daje patent salonowej dojrzałości. Może to towarzystwo ziewać dyskretnie za wachlarzami, słysząc rok w rok kilkanaście razy jedną i tę samą partycę, bo nie zadaje sobie pracy wejść w jej ducha, a pozwala tylko

kołysać jej dźwiękom swoje potargane nerwy. Trzeba chyba mistrzowskiego śpiewu naszych Reszków, albo jakiej Melby, lub Calvé, ażeby wyrwać tę martwą, ale wystrojoną publiczność z jej odrętwienia. Istotni melomani, ci, dla których muzyka jest najwyższą manifestacją sztuki, dla tego, że najmniej ujętą, najwięcej eteryczną i najwyższego wtajemniczenia potrzebującą, cierpieli niezmiernie nad upośledzonym stanowiskiem, na jakie opera jest skazaną w Londynie. Niema jej tutaj przez rok cały z wyjątkiem krótkiego sezonu, a w tej porze opery obcinane, sfałszowane, skrócone, ażeby nie męczyć wykwintnej publiczności, drażnią tylko prawdziwych znawców. A gdy idzie o utwory Wagnera, to taka ich poniewierka wydawała się im bluźnierstwem, świętokradztwem. Postanowili złemu zaradzić, urządzając specjalne przedstawienia wagnerowskiego Pierścienia Nibelungów. Sprowadzono z Niemiec słynnego dyrektora orkiestry, Motlla, i kilku śpiewaków rozgłośniej sławy znalezione abonentów na dwie serye Nibelungów i dawano je w dniach, gdy nie bywało reprezentacyi w Covent Garden. Te specjalne przedstawienia zaczynały się po południu, a kończyły przed północą. Orkiestra grała w ukryciu, sala była pogrążona w ciemnościach, a żaden widz nie wpuszczany do sali po rozpoczęciu przegrywki: zrobiono, co się tylko zrobić mogło, ażeby zaszcześcić na gruncie angielskim świętą gałązkę z Beyreuthu. Namiętni miłośnicy muzyki wagnerowskiej spodziewali się, że ożywiający ich płomień udzieli się także i profanom. Zawiedli się jednak. Wykwintne towarzystwo uchyliło się od uczęszczania na przedstawienia Opery w godzinach, przeznaczonych na inne światowe obowiązki, bez strojów balowych, bez odwiedzin po łóżach, bez jarzącego światła, uwydatniającego jego piękność. Melomani, po większej części kolonia niemiecka, stracili także na animuszu w miarę postępu tych przedstawień. Skarżyli się na mizerną *mise en scène*, na posledniego gatunku dekoracye, na usterki śpiewaków i wybuchnęli głośną protestacją, gdy król tenorów, Jan Reszke, poważył się, śpiewając Siegfrieda, opuścić niektóre w swej roli ustępy, podrzędne i będące po prostu amplifikacją uprzednio słyszanych. Zadowolnił ich wymagania na następnem przedstawieniu, ale talizman stracił się czar. Przedstawienia jako tako dowlokły się do końca, przy coraz bardziej opustoszałej sali. Z góry można przepowiedzieć, że nie ponowi się w przyszłości tego rodzaju próba. Opera będzie, jak była dotąd w Londynie, nie artystyczną biesiadą, ale światową rozrywką dla towarzyskiej śmietanki.

Na sezon londyński przypada także otwieranie wystaw artystycznych w coraz pokaźniejszej liczbie. Pomiędzy temi „Salonami“ pierwsze miejsce zajmują te, które Akademia Sztuk Pięknych urządza u siebie w Burlingtonskim Pałacu, a grono niezależnych artystów w New Gallery. Zacierą się atoli w ostatnich czasach to jaskrawe przeciwieństwo, jakie ongi, za istnienia Grosvenor Gallery, istniało pomiędzy obu artystycznymi obozami: akademickim i tym drugim, z różnorodnych złożonym żywiołów, a z tych lub owych powodów opponującym Akademii. Większa część tych samodzielnych artystów, gdy udowodniła, że posiada istotny talent i oryginalność, znalazła sobie miejsce w gronie purpuratów Akademii. Jak dawniej z pomiędzy Prerafaelitów przedostał się tam Millais i umarł jako ich prezydent, tak następnie adoptowała ona wielkiego portrecistę, J. S. Sargenta, chociaż sympatyzował z impresjonizmem, tak przyjmie prawdopodobnie niezadługo do swego grona p. Guthrie, najbardziej utalentowanego malarza, niedawno wysochuionej szkoły glosgowskiej. Ci chyba, co umarli przedwcześnie, nim ostatnie strzały umilkły na polu bitwy, jak się to stało z Dantem Gabrielem Rosettim, nie weszli do tej ziemi obiecanej. Najlepszym dowodem, że rozbrosiły się już nienawiści i że w imieniu wspólnej czci dla piękna podali sobie po bratersku dłonie przedstawiciele wręcz przeciwnych kierunków, jest gościnność, z jaką Akademia otworzyła swe sale dla obrazów Sir Edwarda Burne-Jonesa i nawet zaprosiła go na towarzysza. Jeżeli nie został Akademikiem, to wynikało to z zamiłowania w odosobnieniu, jakie tego wielkiego artystę cechowało.

Śmierć jego, w czerwcu, obudziła żalosne echa i pozwoliła zdać sobie sprawę ze stanowiska, jakie w sztuce współczesnej zajmował. Stał samotny, niby jeden z tych rozłożystych, wyniosłych cedrów, co przerywają monotonię rzymskiej Kampanii. Był on istotnie synem swej własnej pracy, swego własnego natchnienia. Z urodzenia Burne-Jones należał do zamożnej kupieckiej rodziny prozaicznego Birminghamu i był przeznaczony do podniesienia jej „respectability“ godnością pastora. Ale, spotkawszy się na ławkach oksfordzkiego uniwersytetu z Williamem Morrisem, poetą i artystą, który miał tak wysoko trzymać przez cały ciąg życia pochodnię ideału, i wprowadzony przezeń do grona pre-rafaelitów, którego Ruskin był teoretykiem, a Rosetti natchnionym inicjatorem, porzucił wszystkie zamiary i cele i cały oddał się służbie plastycznego piękna. Z niemałym mozołem przychodziło mu, samouczkowi, łamać się z technicznymi trudnościami zawodu malar-

skiego, ale przewyciężyła i żelazna wola, i to nieustanne wpatrywanie się w wizję świetlaną, która przemykała się przed oczyma jego ducha i którą chciał pochwycić i ucieleśnić. Łatwo zrozumieć, że jego ideał piękna był ideałem pre-rafaelickiego bractwa, że tak samo, jak Madox Brown, jak Rosetti, jak Holman Hunt, Burne-Jones był romantykiem i ascetą. Trzeba się cofnąć do zarania sztuki, do starowłoskich mistrzów, jak Cimabue, Mantegna, Fra Angelico, ażeby znaleźć mu duchów pokrewnych, całkiem wyzutyh z materii. Najbliżej stoi Botticellego. Burne-Jones nie prznosił na płótno postaci codziennych i nie kopiował żywych modeli—wydawały mu się pospolitemi i płaskimi. Studyjąc poetów, greckie i średniowieczne mity i legendy, przenikał się ich nastrojem, a bujna wyobraźnia jego tworzyła typy najodpowiedniejsze dla tych bohaterów fantazyi. Malował sny swoje i rojenia, i ci, którzy w jego duchową naturę wnikać nie mogli i nie umieli, szydziłi z jego pomysłów i z formy, w jaką je odziewał. Była wprawdzie zawsze w jego kompozycjach jakaś niezręczność, jakaś niepewność, pokazująca, że się borykał z techniką, zanim całą swą wizję na jaw wyłonił; była pewna jednostajność typów, poza któremi nie widział piękności, była pewna maniera i nawet afektacja melancholicznego ascetyzmu. Ale natomiast jaki szeroki wiew skrzydeł, jaka czystość natchnienia, co za atmosfera duchowego piękna! Gdy na obrazie „Złote wschody“ przesuwają się teoria bez końca uroczych dziewic, niema powodu wykazywać, że to są wariacje jednego nieledwie i tego samego typu, lecz należy oddać hold tej nadziemskiej harmonii i temu rytmowi, któremu żadna artystyczna natura oprzeć się nie potrafi. Gdy się wpatruje w obraz „Le chant d'Amour“ czuje się, że tu o żadnej ziemskiej, o żadnej cielesnej miłości niema mowy; a w stal zakuty młody rycerz, co się wsluchuje w dźwięki organów, tak samo jak pasterz po drugiej jego stronie, są zdjęci świętym dreszczem zachwytu. Gdy stoimy przed „Zaczarowanym Merlinem,“ albo przed „Zwierciadłem Wenery,“ ogarnia nas nieprzewyciężone uczucie tęsknoty ku wyższym podniebnym strefom. Ale arcydziełem Burne-Jonesa jest, mojem zdaniem, „Miłość wśród Ruin“. Niepodobna połączyć tej kompozycyi z żadną opowieścią, szukać dla niej czasu, środowiska, działaczy; a dość tylko wobec tych dwóch postaci fantastycznie pięknych odczuć tęsknotę, którą one dyszą, zagłębić się w otchłań miłości, która ich pochłania, aby się samemu poczuć i czystszy, i lepszym

Burne-Jones był poetą pędzla i wyznawcą sztuki wyrafinowanej, czysto intelektualnego pierwiastku. Tłum, co go z razu nie rozumiał, stopniowo i powoli został przez artystę pobity i ujarzmiony. Gdy przed kilku laty uorganizowano zbiorową wystawę jego dzieł, to żniwo trzy-

dziesiętletniej niezmordowanej pracy wyrwało okrzyk podziwu. Prostacki i profani uczyli, że są świadkami świętych misteryi, artyści ugięli czoło przed mistrzem, co, nie dbając o poklaski, o popularność, tworzył wspaniałe dzieła dla szczupłego grona amatorów, a przede wszystkim dla siebie samego. Powodzenie wystawy było ogromne; Gladstone, stojący wówczas u steru władzy, uczynił go baronetem, a cena jego obrazów dosięgła wysokości niebywalej. Jak przez długie lata szykaną i obojętnością, tak następnie apoteozą nie dał się Sir Edw. Burne-Jones wykoleić. Szedł dalej spokojnie, niezwruszenie, malując nowe, wykończając dawniej poczęte twory. Ze słyszenia przynajmniej, jeżeli nie z widzenia, znają czytelnicy takie obrazy, jak Król Cophetua, jak Briar Rose, jak Merlin i Viosana, jak Cyrce, Perseusz. Mistyczny nastrój może się wzmagać, forma stawała się wszelako coraz pełniejszą bez zmiany stylu i metody.

Gdy aureola powodzenia opromieniała w ostatnich latach życia twórczość Burne-Jonesa, i gdy ci, co mu nowe przepowiadali tryumfy, mogli wyobrażać sobie, iż artysta napawa się słodyczą, jaką daje osiągnięcie wysokiego celu; on sam, jak nam pośmiertne pozwalają sprawdzić zwierzenia, patrzył bez żalu, z samowiedzą blizkiego zgonu, na koniec uporczywej walki. Zdawać sobie sprawę, że się jest epigonem szkoły, co się przeżyła i rację bytu straciła, czuć, że cała pokrewna artystyczna rzesza innym hołduje ołtarzom i na innych wykształca się metodach, pojmować, że pomiędzy ideałem, we własnym wypielegnowanym wnętrzu, a całym światem okólnym niema związku i jednolitości, jakże to boleśnie, jak głęboko musiało ranić artystę!

Sztuka angielska, która w ciągu trzech lat ostatnich straciła takich mistrzów, jak Lord Seighton i Sir John Millais, takie talenta, jak Calderon i Moor a nakoniec takiego potężnego, oryginalnego artystę, jak Burne-Jones, musi niemałe czynić wysiłki, ażeby te szczyty zapełnić i żywotności swej nie uszczuplić.

Coraz żywszy udział bierze Londym w artystycznym ruchu, pragnie wyrwać berło pierwszeństwa innym stolicom i stać się nowożytnymi Atenami. Nie łatwe to było zadanie, szczególnie, gdy się bie-

rze na uwagę, jak wielce zacofanym był Londyn przed kilku dziesiątkami lat. Można powiedzieć, że rozbudziła się Anglia w tym kierunku dopiero po pierwszej międzynarodowej wystawie, która zmusiła ją do uznania, że na drodze estetycznego wykształcenia pozwoliła się o wiele wyprzedzić społecznościom stałego ładu. Książę Albert, małżonek królowej, wziął sprawę tę w swe ręce i przyczynił się wielce do popchnięcia jej na właściwe tory. Pierwszym krokiem było zakładanie szkół rysunku: cały kraj został niemi usiany, i nie ulega wątpliwości, że wyroby przemysłowe, rzemieślnictwo, odczuły natychmiastowo, iż umiejętnie i wykształcone kierują niemi ręce. Sztuka ozdobnicza w niezliczonych swych praktycznych zastosowaniach przeniknęła do wnętrza angielskich domów i zrewulucjonizowała ich fizyognomię. Niestrudzony Ruskin agitował za uczynieniem środowiska życiowego o ile można najpiękniejszym, i jak Mojżesz uderzeniem laski stworzył estetyzm. William Morris, poeta, wziął się do artystycznej produkcji, stworzył zakłady, gdzie przędzono tkaniny ścienne gobelinowo, wyrabiano mozaiki, kuto miedź i żelazo, malowano papierowe obicia, etc. Ażeby tym pięknym płodem artystycznej twórczości nadać odpowiednie ramy, młode pokolenie budowniczych wzięło się do budowania pięknych domów, szukając typów nie w grecko-rzymskiej architekturze, dla klimatu tutejszego niewłaściwej, ale w renesansie epoki Tudorów. W oczach naszych powstał w ostatniej ćwierci stulecia nowy Londyn, o wiele piękniejszy od dawniejszego.

A przebudowanie miasta-olbrzyma jest tutaj znacznie trudniejszym, niż na stałym łądzie. Naprzód nie istnieje tu prawo wywłaszczania w imię użyteczności publicznej. Następnie nie było instytucji, którejby upiększenie stolicy leżało na sercu. Nakoniec nie trzeba zapominać, iż Londyn zbudowany jest na gruncie, będącym własnością kilkunastu magnatów. Posiadają oni całe dzielnice miasta, z tysiącami domów, wydzierżawianych na 99 lat. Czekają zazwyczaj końca dzierżawnego terminu, ażeby zburzyć stare domostwa, otworzyć nowe ulice i zapęłnić je piękniejszymi, a zatem zyskowniejszymi domami. I tak się dzieje, że gród nad Tamizą pozbawiony jest harmonii, symetrii, jednolitości: w bezpośrednim sąsiedztwie pałacowych dzielnic mieszczą się niechlujne nory proletaryatu.

Ale i pod tym względem czasy zmieniły się na lepsze. Londyn ma obecnie ciało municypalne—Radę londyńskiego hrabstwa, która wzięła się na dobre do hausmanizowania stolicy. Przeprowadzone są ulice szerokie i jasne przez serce ohydnych dawniej dzielnic, ulepszone są i rozszerzane parki i skwery, budowane gmachy o monumentalnych frontonach. Słychać ze wszęch stron o nowych robotach publi-

cznych. Ma powstać nowa wspaniała ulica, która przetnie od Strandu, obok starodawnego teatru Drury Lane, ponurą, sromotną i niezdrową dzielnicę miasta i otworzy komunikację z dworcami dróg żelaznych przez Holborn: będzie to istotne dobrodziejstwo dla zatłoczonego centrum miasta. Ma być przedłużone ocembrowane, wspaniałe, granitowe, wybrzeże Tamizy, aż do Parlamentu, obecnie bowiem posiada takie wybrzeże jedynie dzielnica Chelsea, a inne częściami tylko.

Rząd ze swej strony także poczuł się do obowiązku nie traktować dalej Londynu po macoszemu. Zażądał i otrzymał od Parlamentu sumę 2,500,000 f. szt. Zużytkuje je naprzód na wybudowanie dwóch pałaców dla ministerjalnych wydziałów, na ulicy Whitehall, która wiedzie od placu Trafalgaru z kolumną Nelsona do Westminsterkiego Pałacu i Opactwa, i która, rozszerzona, stanie się prawdziwą *via triumphalis*. Większą połowę tej sumy obraca rząd na dokończenie Muzeum South Kensingtonu. Przed trzydziestu laty, z inicjatywy ks. Alberta, zbudowano jedno skrzydło dla tego Muzeum i pomieszczono w niem nieoszacowane skarby artystyczne. Przedewszystkiem obejmuje ono okazy sztuki ozdobniczej i zabytki takie, jakie mieszczą się w drezdeńskim *Grüne Gewölbe*, albo paryskim *Cluny*. Stało się ono ogniskiem i instytucją centralną tego artystycznego odrodzenia, o którym wyżej była mowa, szczególnież od chwili, gdy otwarto przy niem departament Sztuk pięknych i Nauk ścisłych, dwie najznakomitsze szkoły techniczne stolicy. Zbiory dzieł sztuki wzrastały przez zakupy, dary i fundacye. Oddawna przekroczyły mury zbudowanego dla nich gmachu i trzeba je było tymczasowo mieścić w drewnianych pawilonach i szopach. Był to wieloletni skandal, że w Londynie, najbogatszem mieście w świecie, nie było funduszu na dokończenie jedyne go pod słońcem muzeum sztuki ozdobniczej i że nagromadzone tam zbiory artystyczne były z góry skazane na zagładę w płomieniach. Nareszcie będzie temu położony kres i rozpoczęte już zostały prace dla dokończenia Muzeum South Kensingtonu. Ma ono nosić wtedy nazwisko Muzeum Wiktorji i Alberta i, prócz swego specjalnego przeznaczenia, przyczyni się jeszcze pośrednio do upiększenia tej najwspanialszej dzielnicy miasta. Nieopodal, wprost tego Muzeum, wznoszą się: Muzeum Nauk Przyrodniczych, Galerye sztuki Indyjskiej, Instytut Kolonialny i cała grupa innych artystycznych zakładów.

Mnożą się one i usprawiedliwiają nadzieje Anglików, że niebawem żadna inna stolica nie będzie mogła rywalizować i liczbą muzeów z Londynem i ich bogatą zawartością. Wystarczy zresztą wyliczyć po prostu nabytki ostatnich czasów, ażeby stwierdzić dokonane postępy. Istnieje

kolosalne Muzeum Brytańskie. Oprócz biblioteki i jedynej kolekcji rzeźby starożytnej, zawiera ono w górnych swych galeryach, obok wielu innych działów, wielce ciekawy dział etnograficzno-kolonialny. Zbiory Brytańskiego Muzeum są tak ogromne, że chociaż wydzielilo ono z siebie całą część zoologiczną i pomieściło ją w oddzielnym pałacu dopiero co wzmiankowanym, braknie mu miejsca. Zakupiono niedawno od księcia Bedford, właściciela tej części Londynu, całą ulicę, przylegającą do centralnych gmachów muzeum, i zabrano się do zburzenia jej i wybudowania na jej miejscu przestronnych skrzydeł i pawilonów. Druga wielka artystyczna instytucja, National Gallery, odpowiadająca, co do malarstwa, paryskiemu Luwrowi, także rozszerzyła się znacznie, a na zburzonych koszarach, które do niej przytykały, zbudowała szereg sal wspaniałych. Ale ten nowy przyrost, chociaż jeszcze nie uporządkowany, okazuje się za ciasnym, i dyrekcyja Galeryi Narodowej zamierza jeszcze inne sąsiednie koszary zagarnąć. *Cedant arma togae!* A tymczasem inaugurowano piękny budynek obok tej Galeryi, chociaż od niej niezależny, poświęcony Galeryi Portretów wszystkich narodowych znakomitości. I pod historycznym, i pod artystycznym względem, jest to cenny dodatek do instytucji londyńskich publicznej użyteczności.

Lecz i to wszystko nie wystarczało jeszcze. Skarżyli się ustawicznie artyści angielscy, że niema gmachu, w którym-by sztuka krajowa rozpostrzeć się mogła wygodnie. Z Narodowej Galeryi wypierają ją wielcy wszechświatowi mistrzowie, a w stolicy Wielkiej Brytanii o historycznym przebiegu jej krajowej sztuki można było tylko dorywcze i niedokładne powziąć wiadomości: najświetniejsze obrazy nowoczesnych malarzy, zakupione przez zarząd Galeryi, albo przekazane jej zapisami mecenasów sztuki, leżały przez długie lata w piwnicach, butwiejąc w pakach niedostępnych. Słusznem tedy było wymaganie przedstawicieli i orędowników współczesnej sztuki otwarcia dla niej oddzielnego muzeum, takiego, jakie Paryż ma w pałacu Luksemburskim. Skarb państwowy, w którym nigdy nie braknie milionów na pancerniki, był atoli głuchym na narzekania i tłómaczył się brakiem funduszów. Na szczęście dla angielskiego społeczeństwa, inicjatywa obywateli podejmuje się przedsięwzięć, od których rząd centralny się usuwa. Tak się też stało w kwestyi galeryi sztuki krajowej. Bogaty rafiner cukru, p. Henryk Tate, jako lubownik malarstwa, utworzył był [sobie prywatny zbiór, obejmujący najznakomitsze płótna nowoczesnych angielskich malarzy. Nie tylko podarował je krajowi, jako zarodek instytucji, ale własnym sumptem wznosił piękny pałac na wybrzeżach Tamizy na pomieszczenie tej galeryi, która otrzymała nazwę Galerya Tate. Ku zdziwieniu publiczności, gdy wiosną tego ro-

ku galerya otwartą została, zobaczyliśmy tam zbiór nie improwizowany, ale systematyczny oraz zasobny. Wiele obrazów, które tułały się w Galeryi Narodowej, albo po innych zbiorach, napłynęło tutaj i znalazło się w swem właściwym środowisku. Powtórzył się tu raz jeszcze wypadek wyżej wzmiankowany z okazji innych instytucyi. Nie upłynęło kilku miesięcy od inauguracyi, a już Galerya Tate pokazała się niewystarczającą. Na szczęście przewidziano tę ewentualność i, bez szkody dla artystycznego wyglądu gmachu, wznoszą dziś przy korpusie dwa przestronne skrzydła.

Ale i to jeszcze nie wyczerpało artystycznego dorobku Londynu. W myśl aksjomatu—*on ne prête qu'aux riches*—spadły nań dwa legaty. Pierwszy po Lordzie Fryderyku Leighton, byłym prezydencie Akademii sztuk pięknych. Posiadał on uroczą willę w Holland park, dobrze znaną całemu artystycznemu światu. Jest tam atrium greckie o fontannach szemrzących w marmurowym basenie—ramy dla kompozycyi Almy Tademy—jest szereg pracowni z mnóstwem dzieł sztuki i z nieocenionym zbiorem rysunków, studyów i kartonów samego Leightona. Można tu śledzić całe pasmo pracowitego jego żywota, cały rozwój jego twórczości. Te wille i te zbiory bezdzietny artysta zapisał Akademii. Jest to—*si parva licet componere magnis*—fundacya tego samego rodzaju, co Chantilly księcia d'Aumale, dla Instytutu francuskiego.

Drugi zapis jest szerszego jeszcze rozmiaru i większej bez porównania wartości. Słynna kolekcya obrazów, rzeźb, sprzętów, mebli, rupieci i cacek XVIII-go wieku, będąca własnością Sir Ryszarda Wallace, syna margrabiego Herdford, zbiór, który całe ubiegłe stulecie reprezentuje w najdoskonalszych i najrozmaitszych jego arcydziełach, zapisany został przez tego magnata-artystę i przez zmarłą świeżo jego wdowę, Lady Wallace, Londynowi, z tem jedynem zastrzeżeniem, ażeby jej nie rozdrobniono, ale przechowano w organicznej, syntetycznej całości. Była trudność, co do pomieszczenia tego zbioru, którego pieniężna wartość wynosi blisko 30 milionów rs. Ale znaleziono taki sposób zwalczenia jej, który byłby po myśli testatora: zakupiono od spadkobierców właśnie ten Herdford House, zbudowany przez zapisodawcę, jako gniazdo i jako najwłaściwsze ramy dla jego kolekcyi. Bez opuszczenia swego pierwotnego siedliska, uwydatnione i umieszczone w najlepszem świetle, przedstawia się te skarby jeszcze przed zimą oczom publiczności. Londyn będzie miał w tem muzeum Sir R. Wallace instytucyę artystyczną, jakiej żaden inny kraj nie posiada.

Do działu literatury biograficznej, najpopularniejszej tutaj gałęzi piśmiennictwa, przybyła niedawno książka, nietylko ciekawa sama w sobie, ale będąca symptomem ducha, ożywiającego społeczność angielską. Mam na myśli biografię wieśniaka, Józefa Arch, wydaną nakładem hrabiny Warwick i z jej przedmową. Spotkać te dwa nazwiska, tak jaskrawego przeciwieństwa, skojarzone we wspólnej pracy i stawające solidarnie przed narodem, jest nie tylko rzeczą niespodziewaną, ale prawie nieprawdopodobną. Józef Arch, to proletaryusz w całym słowa tego znaczeniu, i nie tylko proletaryusz, uosabiający w sobie upośledzone pokolenia wyrobników wiejskich, lecz jednocześnie potężny agitator, który cisnął rękawicę średniej i wielkiej własności rolniczej pod hasłem polepszenia warunków życiowych tej warstwy społecznej, do której swem pochodzeniem, urodzeniem, wychowaniem i zatrudnieniem należał. Przez długi szereg lat, gdy się walka na całej przestrzeni kraju toczyła, i gdy, za poradą i pod przewodnictwem tego wieśniaka z Barfordu, wytwarzały się zmywy folwarcznych parobków, imię jego było postrachem Anglii zachowawczej, a klasy społeczne, żyjące z rolnictwa, widziały w Józefie Arch demona buntu i przewrotu. Hrabina Warwick to najwyższe uosobienie arystokracji rodu i fortuny, najbardziej wyrafinowanej kultury, to typ najdoskonalszy wielkiej damy, która podług kontynentalnych pojęć powinna lgnąć do kastowych przywilejów, a na agitatora, jak Józef Arch, spoglądać z mieszaniną strachu i pogardy. Ale w Anglii przedstawiciele wielkich historycznych rodów inaczej zadanie swe społeczne rozumieją. Nie przestając stać u szczytu towarzyskiej drabiny, są nawskroś przejęci duchem czasu i obracają wszystkie czynniki, wszystkie siły swego uprzywilejowanego stanowiska, na pożytek narodu, na obywatelską jego służbę.

Gdyby dramatycznemu pisarzowi przyszło na myśl napisać sztukę o starożytnym tytule „Chłop i Hrabina,” to jego *dramatis personae* nie były-by w tym razie pospolitymi, zdawkowymi figurami. Lady Warwick jest najpiękniejszą kobietą tego świata londyńskiego, który wyidealizował i podniósł w eteryczne sfery pojęcie plastycznej doskonałości. Słynie z wytworności i elegancji, daje ton modom. Jej bale i zabawy nie mają sobie równych. Przed dwoma laty dała w swej rezydencji, zamku Warwick, najwspanialszej magnackiej siedzibie Wielkiej Brytanii, bal kostiumowy, który stał się artystyczną ewokacją dworu i otoczenia Maryi-Antoniny. Ale omylił-by się wielce ten,

kto-by sądził, że blask wielkoświatowego życia pochłonie działalność tej królowej piękności i zbytku. Żadna strona umysłowego życia narodu nie jest jej obcą. Hrabina nie uważa się za pisarkę z zawodu, a przecież niejedną z jej krytycznych „essayów“ zablysnął szerokością poglądów i szczęśliwą formą. Nie trudno pojąć, że bystrość jej inteligencji i urok rozmowy postawiły ją na świeczniku i nie jest tajemnicą, że Księżę Walii, rzadki znawca ludzi, otwarcie widzi w niej swoją Egeryę. Ale oryginalnością jej jest, iż pojęła ważność społecznego ruchu chwili naszej, i że sympatye jej bez wahania stanęły po stronie żywiołów, dążących do emancypacji i do równouprawnienia. Gdy powstała agitacya niewieścia za ulegalizowaniem społecznej niezależności kobiety, Lady Warwick, nie wpadając w żadne śmieszności formy i w żadne ostateczności doktryn, tak zwanych „Nowych Kobiet,“ stanęła po ich stronie. Teoretycznie pisze się ona na program, jaki sformułowała genialna Olivia Schreiner w swojej *Story of an african farm*, praktycznie przyczyniła się do znalezienia zarobku dla wielu dziewczyn, zakładając pracownie i magazyny ubiorów kobiecych. Gdy ustanowione zostały rady gminne z atrybucjami administracyjnego samorządu parafii, Lady Warwick postawiła swą kandydaturę, została wybraną i pokazuje się pełnym działalnościami „radczą,“ doglądającym szkółek, szpitalów, bibliotek, komunikacji, straży ogniowej, higienicznych instytucji. Jej patryotyczne uczucia zamaifestowały się niedawno jaskrawo, gdy stanęła po stronie Jamesona i Cecyla Rhodes, po ich niefortunnej awanturze afrykańskiej: w jej przekonaniu walczyli oni za wielkość brytańskiego imperyum i jeżeli przedsięwzięcie się nie powiodło, to nie było powodu potępiać ich i czynić kozłami ofiarnymi.

Teraz czytelnik zrozumieć potrafi, że Lady Warwick musiała z sympatją spoglądać na tego wieśniaka, którego rodzina należała do klienteli hrabiów Warwick, na tego człowieka prostego, samouczka, ale o żelaznej woli, energicznej inicjatywie, z szlachetnym zapałem pracującego nad polepszeniem materialnego bytu swych współbraci. W swej przedmowie do jego pamiętników, hrabina z naciskiem uprzedza, że Józef Arch jest sam odpowiedzialny za swoje idee, na które ona nie wszędzie się pisze, ale oddaje ona hołd uczciwości jego zamiarów, wysokiemu a bezinteresownemu celowi, do jakiego zdążył, a przede wszystkim podziwia, iż przeprowadził wielką społeczną reformę, nie przekroczywszy nigdy, ani na moment, legalnych ustaw i obowiązującego prawa. Józef Arch nie był rewolucjonistą, ale agitatorom. Skoro dzięki jego usiłowaniom klasa wiejskich wyrobników zorganizowała się, znalazła wskutek swej organizacyi daleko pomyślniejsze ekonomiczne warunki bytu, podwojony zarobek, skoro

inicjatywa jego dała popęd rządowi do przeprowadzenia ustaw, które radykalnie zmieniły położenie milionów wiejskiego proletariatu, zatem Józef Arch, jest zasłużonym obywatelem ojczyzny, publicznym działaczem, któremu klasy wyższe winny okazywać szacunek i sympatyę. Lady Warwick tak jest przejęta potrzebą solidarności i wspólnego działania klas przewodniczących i uprzywilejowanych z demokratyczną masą, że nie wahała się, podczas ostatniej bytności następcy tronu, ks. Walii, w zamku Warwick, zawieźć go w odwiedzinę do skromniutkiego cottage, gdzie Józef Arch, obecnie 72 letni, ale zawsze jeszcze dziarski i jędrny starzec, pędzi swój żywot spokojny, jak marynarz, co zawinął do przystani. Gdy się widzi przyszłego monarchę Wielkiej Brytanii i kwiat arystokracji krajowej, zawiązujących przyjacielskie stosunki z prostym wieśniakiem dlatego, że dokonał obywatelskiego dzieła, że się stał narzędziem społecznego postępu, to można zdać sobie sprawę o sile fundamentów, na których ustrój narodowy Wielkiej Brytanii spoczywa, zdać sobie sprawę i pozazdrościć.

Podniósłszy moralne znaczenie owej unii klas, której *Pamiętniki Józefa Arch* są symbolem, niema potrzeby nad nimi samemi się rozwodzić. Opowiadane tam zdarzenia należą do historii wewnętrznej społeczeństwa angielskiego i prawdopodobnie są znane niejednemu z naszych czytelników. Autor rozstrzuwa całe pasmo swego żywota, jednemu poświęconego zadaniu, z godną uznania prostotą. Nie wysławia swych bohaterskich czynów, ale niema w nim także najmniejszego śladu udanej pokory: czuje swą indywidualną wartość, to widoczna. Szczególniej zajmująca jest pierwsza połowa tej autobiografii, gdy Arch kreśli nam obraz bytu wiejskiej ludności środkowej Anglii w pierwszej ćwierci naszego stulecia i trudności materyalnych, z jakimi miała do walczenia jego rodzina, która, posiadając swój własny domek, znajdowała się w daleko korzystniejszych warunkach od innych. Nic ciekawszego nad opis, jak to wiejskie chłopię, wychowane na Biblii i na Shakespearze—nie trzeba zapominać, że to jest hrabstwo nieśmiertelnego Williama—wzrasta, na pozór spokojne, oddane wyłącznie ręcznej pracy, jak się staje dzielnym parobkiem, znającym wszystkie rodzaje zajęć wiejskich, a obserwującym bacznie stosunki gospodarskie i całą hierarchiczną drabinę ludzi, od których byt wyrobników zależy. Łatwo zrozumieć można, że ci wyrobnicy nie mogli być zadowoleni z tygodniowego zarobku 10 do 12 szylingów. Gdy się weźmie na uwagę, że ta potężna „*Agricultural labourer's Union*“ utworzona w r. 1872, zdążyła poprostu do podniesienia raty zarobkowej z 10 do 16 szyl. tygodniowo, to pojąć nam trudno zawzięty opór, jaki napotkała ze strony farmerów, i prześladowania, jakie zwalczyć

była zmuszoną. Niestrudzona działalność organizatora tych Unii, Józefa Archa, osiągnęła skutek, świadczący, jak istotnej odpowiadały potrzebie. Przebiegał kraj od jednego krańca do drugiego, miewał po kilka mów dziennie, po wsiach i na polach, i jedne Unie tworzyły się po drugich. Liczba ich po upływie lat dziesięciu liczyła się na tysiące, summy, któremi rozporządzały i któremi utrzymywały robotników pozbawionych zarobku, były potężne; dopiero gdy większa połowa hrabstw przyłączyła się do tej agitacji, gdy ruch emigracyjny wzrastał, bo wielka część wyrobników wołała osiedlać się za morzem, anizeli pracować w warunkach nie zabezpieczających minimum potrzeb materialnych, dopiero wtedy fermerowie zgodzili się na podniesienie raty zarobkowej. Sprawa, której Józef Arch życie swe poświęcił, zatryumfowała istotnie w 1882 r., gdy Parlament zawotował *Lotment Act*, ustawę, mocą której drobna własność gruntowa stała się możliwą, i w 1884, gdy przez *Franchise Act*, ten wiejski proletaryat otrzymał naraz prawo głosowania. 2,000,000 nowych obywateli przybyło wtedy Anglii. Weteran tego emancypacyjnego ruchu, Józef Arch, wchodzi wówczas do Parlamentu, i z małemi przerwami od 1885 zasiada stale w Izbie Gmin. Tak przedostawszy się do najpoważniejszego publicznego ciała, nie stracił on swej prostoty, nie udawał gentlemana. Koszta jego wyborów ponosiły Unie robotnicze, one także płaciły mu skromne dyety na utrzymanie w Londynie podczas kadencji parlamentarnej. Działalność jego w obronie interesów ludności wiejskiej była tam niez mordowaną, i gdy przed paru laty ustanowione zostały rady wyborcze parafialne, to ostatnie słowo emancypujące lud wiejski, praktyczne jego wskazówki nie pozostały bez wpływu. Odkładając na teraz autobiografię Józefa Archa, chętnie powiadamy wraz z nim, że walczył za dobrą sprawę i że ją wywalczył.

Pisma tygodniowe, poświęcone krytyce literackiej, mają zwyczaj prowadzić statystykę najpoczytniejszych książek po obu stronach Atlantyku, które każdy wielki sukces piśmienniczy solidarnie adoptują. Jeżeli wykazom tym statystycznym ma się dawać wiarę, najszerszej czytaniem powieściami w chwili obecnej są *Helbeck of Bunnisdale* pani Humphry Ward i *Evelyn Innes* Jerzego Moore. Prawdopodobnie dodać będzie można do nich ostatnią powieść Antoniego Hope

Rupert of Hentzau, gdyż powodzenie jej jest olbrzymie. Ten fawor publiczny zdaje się być uzasadniony i nie często pojawiają się prawie jednocześnie utwory belletrystyczne o tak niezaprzeczonych zaletach.

Stauowisko pani Humphry Ward jest już ustalone w piśmiennictwie angielskiem i nikt nie podaje w wątpliwość, że jest ona spadkobierczynią George Eliot'a, najpierwszą z żyjących autorek angielskich. Było-by obrazą mieszać ją z całą legią powieściopisarzyk tuzinkowych, albo, co gorzej jeszcze, z tą rzeszą, która pod dowództwem Sary Grand, Joty, Dixon, etc, zaczęła, stając w obronie pokrzywdzonej płci żeńskiej, pisać sprosne, kwestyi płciowej poświęcone, romanse. Pani Marya H. Ward jest myślicielką poważną i artystką o kunsztownej formie. W żyłach jej płynie krew Arnoldów, rodziny *par excellence* intelektualnej. Słynny doktor Arnold, najpierwszy z pedagogów angielskich, zwierzchnik szkoły Rugby, był jej dziadkiem, a Maciej Arnold, poeta i essayista pierwszego kalibru, jej stryjem. Od niego zaczerpnęła niewątpliwie ten wysoki polot moralny i tę psychiczną głębię, która w każdym jej utworze się ujawnia. Umysł jej szeroki z trudnością utrzymuje się w szrankach dogmatycznej wiary, ale jej agnostyzm jest dalekim od wszelkiej napaści na kościoły i religie: nikt delikatniejszą ręką nie dotyka tego najważniejszego z zagadnień. Można powiedzieć, że absorbuje ona jej analizę i stanowi osnowę jej twórczości. W prawdzie w dwóch ostatnich swych utworach, *Marcella* i *Sir George Tressady*, zajmowała się zagadnieniami socjalistycznymi w ich oddziaływaniu na społeczeństwo, ale w obecnej powieści powraca znów do tematu religijnego, stanowiącego tło *Robertla Elsmere'a*, z którym, okrągło przed dziesięciu laty, wystąpiła w tak piorunujący sposób. Odtąd talent jej zmężniał i dojrzał, przestała kreślić typy abstrakcyjne, obracające się mechanicznie, i powieści jej zyskały, jeżeli się tak wyrazić wolno, więcej przejrzystości, wzięwszy ostateczny rozbrat z pedantyzmem. W *Robertcie Elsmere* odzywała się niezaprzeczoną nuta prozelityzmu i trzeba było wraz z autorką oburzać się na martwy organizm anglikańskiego Kościoła i iść wraz z jej misyonarzem siać ciepłe słowo pomiędzy zezwierzęcony proletaryat stolicy. Obecnie w *Helbeck of Bannisdale* spotykamy się z jaskrawo nakreślonym przeciwieństwem dwóch postaci, z których jedna jest, jeżeli nie fanatycznym, to gorliwym, nawskroś przejętym Katolicyzmem mężczyzną, a druga dziewczyną, wychowaną i ukształtowaną umysłowo w atmosferze anty-katolickiej, anty-kościelnej, czującą wstręt i pogardę do wszelkich religijnych doktryn. Talent autorki pokazuje się w obiektywności, z jaką potrafiła odsonić nam duchowy nastrój obu swych bohaterów, nie biorąc strony żadnego, nie wiedząc propagandy,

ani w tym, ani w owym kierunku. Gdy raz rozumieiny całokształt duszy Allana Helbecka, to jego ascetyzm, jego całkowite poświęcenie się Kościołowi, jest dla czytelnika, nie tylko naturalnem, ale koniecznem, i nie dziwimy się, że dla takiej podniosłej, szlachetnej natury nie było możliwem zjednoczyć życie z Laurą Fountain, dyszącą fanatyczną nienawiścią dla tej wiary, bez której on istnienia nie pojmował. Porwani jesteśmy potężnym dramatem duchowym, z którym mamy tu do czynienia. Autorka nie szczędziła barw świetlanych, ażeby narysować uroczą postać Laury. Nie porcelanowa to marionetka, ale pełna gorących namiętności, rządząca się uczuciami natura. Przez płomienną miłość dla swego ojca, przez *pietas* dla jego pamięci, tak ma zakorzenione w sobie uprzedzenia przeciwko religii, że się z nich wyzuć nie potrafi, nawet gdy się nauczyła czcić etyczną wzniosłość Allana, nawet gdy się jej serce rwie do niego miłością. Ta walka tragiczna, tocząca się w jej duszy pomiędzy poczuciem tego, co uważa za swój obowiązek, a aspiracyami ku zapewnieniu sobie marzonego szczęścia, jest porywająca. Katastrofa, stanowiąca epilog tej walki, jest opłakany, ale logicznym jej kresem. Autorka była nieubłagana w swej logice i w całej koncepcji charakterów i kształtujących je motywów. Dusze, co się wzniosły na wyżyny religijnego ideału, nie mogą się zgodzić na mizerne półśrodki, zaspakajające zwykłych śmiertelników. Pani Humphry Ward dała, bądź co bądź, dodatnią rolę w tej powieści katolicyzmowi, od którego osobiście dzieli ją przepaść. Trudno nie uznać zasługi takiego wysiłku, wysiłku, którego w samej powieści dostrzedz nie można.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w nowej powieści Jerzego Moore'a także kwestya katolicyzmu zajmuje miejsce wybitne. Każdy bystrzejszy spostrzegacz społecznego ruchu w łonie angielskiego narodu musi uwzględnić coraz potężniejszy prąd niedawno jeszcze wyłączenie protestanckiego kraju ku powrotowi do swojej pierwotnej wiary. Niema tedy powodu dziwić się, że powieściopisarze orientują się także w tym kierunku. Każdy czyni to po swojemu. Jak się z góry spodziewać było można, Jerzy Moore, przywódzca szkoły naturalistycznej, w innym zupełnie duchu zbliża się do zagadnień religijnych, aniżeli pani H. Ward, o podniosłym psychicznym ideale. W tej syntezie bydlęcia i anioła, która podług nieśmiertelnych słów Pascala stanowi człowieka, p. J. Moore, naturalnie, uwzględnia przede wszystkim pierwsze. Ale i on nawet w swej obecnej powieści, *Evelina Innes*, nie jest już takim krańcowym naturalistą, jakim był ongi, gdy pisał *Mummer's wife*, *Mike Fletcher*, a nawet niedawno jeszcze swoje arcydzieło, *Esterę Waters*. Powodowany wojowniczym swym temperamentem, walił wtedy obuchem, bo natrafiał na zwarte szeregi

nienawistnej sobie, ckliwej, konwencyonalnej powieści. Ale w ostatnich lat dziesiątkach horyzont jej się rozszerzył, realizm zatryumfował na całej linii, i nie ma już potrzeby uderzać na pokonanego przeciwnika z taką jak przedtem gwałtownością.

Jest tedy nawet p. J. Moore bardziej umiarkowany w kolorach, ukazujących się na jego pałecie, co atoli nie przeszkadza, że jest i teraz, jak był dawniej, malarzem *con amore* wszystkich ujemnych pierwiastków i stron w życiu indywidualnem i zbiorowem.

Każdy, co z literackim jego zawodem jest obeznany, wie, że był on specjalistą, jako krytyk malarstwa, i że walczył zacięciem za impresjonizm i plain-air. Francuscy mistrzowie tej szkoły: Degas, Rafaëlli, Claude Monet a przede wszystkim Manet, i angielscy, jak Whistler, mieli w nim oddawna gorliwego rzecznika. Ale niespodzianką jest dla czytelnika zaznajomić się z nim, jako muzykiem. Powieść obecna została przedstawiona w ogłoszeniach i reklamach, jako „muzykalna“. Są w niej istotnie całe stronicy i całe rozdziały poświęcone dyskusyom o Wagneryzmie, ale dochodzi się do wniosku, że wpływ muzyki na człowieka nie jest, zdaniem autora, uszlachetniający, ale że najbrudniejsze namiętności i nałogi plenią się na tym samym gruncie, co i muzykalne inspiracye. Bohaterką powieści jest Ewelina Innes, córka wielkiego śpiewaka i sama posiadająca głos nieporównany. Piękna a uboga, ambitna a bez żadnych wyższych zasad, bez trudności daje się namówić bogatemu a starzającemu się baronetowi, Sir Owenowi Aster, ażeby przyjęła jego protekcyę i wraz z nim zamieszkała w Paryżu, poświęcając się kształceniu na wielką teatralną śpiewaczkę. Autor opisuje z obfitością realistycznych szczegółów życie tej pary, z gruntu materyalistycznej, chociaż trafem oboje zrodzeni byli w Katolicyzmie. Ewelina pod dyrekcyą swego doświadczonego kochanka traci wszelkie żywioły religijne, lecz jednocześnie staje się genialną śpiewaczką, po sześcioletnim pobycie w Paryżu i Włoszech. Ale nie zaznała ona prawdziwego szczęścia i czuje całą czczość swego życia. Czyni wysiłki, aby się z niego otrząsnąć, gdy się znajduje pod wpływem Monsignora Mostyn, w którym nie trudno dostrzedz podobieństwa do wzniosłej figury kardynała Manniuga, to znowu radykalne upośledzenie moralne, które ją cechuje, popycha ją do głębszego upadku i Ewelina staje się jednocześnie kochanką kompozytora, Ulicka, dzięki studyum nad rolą Isoldy, uosabiającej miłość cielesną.

Gdy nas autor doprowadził do ocenienia całej zgnilizny swej bohaterki, oddającej się dwom ludziom, i gdyśmy żywili obawę, że będziemy raz jeszcze wtajemniczeni w zakulisowe misterye teatralnej Gehenny, gotuje nam niespodziankę. Wskutek ponownego spotkania się z Monsignorem Mostyn, Ewelina odkrywa mu całą otchłań swego

występnego życia, i cały bezmiar niesmaku i ohydy, które nią owładnęły. Kapłan przemawia do tej zranionej i upadłej natury i w scenie istotnie pięknej skłania ją do pokuty. Śpiewaczka, będąca u szczytu sławy i powodzenia, żegna się ze swymi dwoma kochankami, porzuca tryumfy swego zawodu i rozkosze materialnego bytu i chroni się, jako nowicyuszka, do klasztoru w Wimbleden. Autor zapowiada nam, że dalszy ciąg jej życia znajdziemy w następnej powieści, pod tytułem: *Siostra Teresa*. Będzie najbezpieczniej wstrzymać się z sądem o etycznym *credo* autora, dopóki nam w tym przyszłym utworze nie wykaże, czy rzeczywiście uważa siłę religii za wystarczającą do odrodzenia istoty tak głęboko upadłej, czy też, posuwając do ostateczności swój materialistyczny nastrój umysłowy, każe nam być świadkami ponownej i ostatecznej reakcji zmysłów przeciwko duszy. Są tacy, co podejrzewają p. Moore'a właśnie o takie przewrotne zamiary.

Wspomnianem było wyżej, że do tych dwóch powieści, stojących na czele literackiej produkcji, przybyła jeszcze trzecia, wielce popularna, płodnego pióra p. Antoniego Hope. Pisarz ten w krótkim przeciągu czasu wzbił się do wielkości i sławy. Podczas gdy teoretycy grzebali uroczyście romantyzm, starając się wmówić w społeczeństwo, że jest za starem i za dojrzałym, ażeby je bawić jeszcze mogły awanturnicze historye, gdy utrzymywali, że epoka Dumasa Ojca bezpowrotnie przebrzmiała, P. Hope, alias p. Hawkins, który bez wielkich successów szukał uprzednio swej drogi na powieściowej niwie, naraz ogłosił swego *Prisoner of Zenda*. Niepotrzeba zapewne przedstawiać czytelnikom osnowy tej powieści, która z błyskawiczną szybkością obiegła obie półkule i była i na nasz język przetłómaczona. W Anglii jedne edycje sypały się po drugich, a na scenie, jako dramat *de cape et d'épée*, granym był bez końca. Najwyższą pochwałą, jaką można dać autorowi, było porównanie jego bohatera, Rudolfa Rassendylla, do nieśmiertelnego d'Artagnana, a nadzwyczajne przygody, fantastyczne awantury, nieprawdopodobne wypadki, żywość opowiadania, sympatyczne typy, walczące z czarnymi charakterami, wszystkie te dobrze znane, a z wysokości kurulskiego krzesła krytyki potępione, cechy charakterystyczne Muszkietierów, pochwyciły społeczeństwo angielskie i wywołały okrzyk zapału. Uczuliśmy wdzięczność dla autora, że nas uważa jeszcze za dość młodych, dość naiwnych, że pokłada dość wiary w świeżość naszej wrażliwości, ażeby taki dać nam pokarm. Pisał inne powieści, czytano je, chwalono półgębkiem, ale widocznie *Prisoner of Zenda* nie był zapomniany. Tak wytrwale przypominano autorowi, że *Trzech Muszkietierów* miało dalszy swój ciąg i nakoniec część trzecią, że dał się skusić i teraz puścił w świat drugą część swej słynnej powieści pod tytułem *Rupert of Hentzau*. Znajdujemy tu te sa-

me osobistości dobrze nam znane, czerwono włosą królową Flawię, króla Rudolfa, jego sobowtóra, angielskiego szlachcica, te same dwa stronnictwa, walczące o zwierzchnictwo w Rurytanii, walczące zarówno podstępami, intrygą, jak ostrzem swej broni. Są tu takie same heroiczne pojedynki i starcia, taka sama rycerska walka o honor królowej, jak w prototypie Dumasowym i w pierwszej części tej powieści. Czyta się i tę drugą z tem samym zajęciem i większej pochwały oddać autorowi nie można. A zasługuje jeszcze na inną pochwałę. Ażeby zrobić niemożliwą pokusę do napisania trzeciej części tej samej powieści, p. A. Hope zabił wszystkich swych bohaterów, nietylko króla, nietylko Ruperta, ale nawet Rassendylla. Wprawdzie zostawił przy życiu Flawię, ale nie przewidujemy sposobu, ażeby romantyczne przygody mogły mieć dla nas jeszcze powab jakikolwiek. Właśnie dlatego, że to ostatni akt tej interesującej bajki, rozkoszujemy się nią na dobre. Jedyną trwogą zdejmuje piszącego przypomnienie, że, ulegając pressyi czytelników, ongi, Ponson du Terrail, romansopisarz uwielbiany przez odzwierne paryskie, wskrzesał swego legendowego Roccambole'a. Kto wie, czy nam i p. Hope podobnego nie wypłata figla.

DR M. NEKANDA TREPKA.

FLOKSY.

Znowu foksy liliowe
Zakwitnęły tam, za rzeką,
Więc spuściłem smutnie głowę
I lzę czuję pod powieką.
Ach, bo lato już przemija,
Pierwszy z drzewa liść opada,
Melancholia znów, jak żmija,
Do mej duszy się zakrada.

Jak dziewczyna rozkochana,
Strojna w dzwonki, chabry, róże,
W kwieciu tonąc po kolana,
Niby w srebrnych wód lazurze,
Przeszła wiosna, czas uniesień,
Marzeń, wzlotów nad poziomy,
I już oto jesień, jesień
Ślad zaciera jej znikomy.

Jesień! jesień! Znać ją wszędzie:
W srebrnych mgłach na nieboskłonie,
Rozrzuconych, jak łabędzie,
Ciemnych wód prujące tonie,
W tchnieniu wiatru, w lasu szumie,
W skardze niwy spustoszałej,
W tej tęsknocie, w tej zadumie,
Która świat ogarnia cały.

Już i floksy kwitną oto,
Ale czas ich wnet przeminie,
Chryzantemów błysnie złoto,
Barwne astry, georginie.
Koło bytu wciąż się kręci,
Wszystko wraca, wszystko mija,
A na ludzkinj dnie pamięci
Wiecznie dyszy głodna żmija...

II.

Jeszcze lato, jeszcze lato,
Jeszcze słyhać pieśń żniwiarzy,
Jeszcze bocian ponad chatą
O wybrzeżach Nilu marzy.
Jeszcze w polach owsy stoją,
Mak w ogrodach, a drzewina,
Jak rycerze pod swą zbroją,
Pod owocem się ugina.

Lecz gdym ujrzał, że już kwitną
Wonne floksy tam, za rzeką,
Marzeń moich nić błękitną
Wicher uniósł gdzieś daleko.
I jesieni blada mara
Zabłysnęła przed mym wzrokiem,
Za nią jakaś pustka szara
Z tchnieniem zimnem a szerokiem.

Ach, bo floksów rój skrzydlaty
W sercu uczuć budzi tyle!
Przypominał mi przed laty,
Że wytchnienia przeszły chwile,
Że już czas porzucić wioskę
I do miasta wrócić znowu,

Gdzie powitać miałem troskę
Grecko-łacińskiego chowu.

Dziś te kwiaty szepcą z cicha,
Gdy obrócę wzrok w ich stronę,
Że i z życia już kielicha
Lepsze krople wysączone.
Wiem, choć serce mi się ścisła
I zachodzi łzą powieka,
Że i na mnie jesień blizka
We floksowym wieńcu czeka.

III.

Idealnych wzlotów siła
W jednych skrzydłach nie spoczywa,
Lecz przed nami wieki żyła,
Po nas — wieki będzie żywa.
Ludzkie serca wszystkie razem
To ogniwa w tym łańcuchu,
Co za wyższych sił rozkazem
W górę wiedzie w wiecznym ruchu.
W pojedynczym ludzkim sercu
Bledną gwiazdy ideału,

Niby kwiaty na kobiercu,
 Ścierające się pomału.
Lecz tych gwiazd promiennych właśnie
 Nad sercami taka władza,
Że co w jednym sercu zgaśnie,
 To się w nowych stu odradza.

Więc choć jesień już w naturze
 Rozpościera władzę swoją,
Niewiędnące marzeń róże
 Wszystkim wichrom się ostoją.
Wiatr gałęzie drzew pokruszy,
 Kwiecia zbraknie wnet w dolinie,
Tylko w wiecznej ludzkiej duszy
 Wiosna nigdy nie przemieni!

SELIM.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Józef Jankowski. „Rytmy i rymy“. Warszawa, 1897.

Tytuł zbiorku poezji p. Jankowskiego jest wielce zawodny. Rytmy i rymy... rozważa czytelnik — to zapewne rzeczy drobne, w których autor wyraża przelotne nastroje, migotliwe uczucia, refleksye... Pod względem zewnętrznym znajdę tam pewnie wielkie wyrobienie formy, kunsztowne rytmy, wyszukany dobór rymów, niezwykle zwrotki, a już najpewniej wielką wykwiutność dykcji... I ten talent widocznie, jak tylu innych—najmłodszych—rozpryskuje się w brylantowe często i cudne iskry, w drobniuchne i świetlne pyłki. Otóż czytelnik zawiedzie się w tych przypuszczeniach. Wymyślnych zwrotek p. Jankowski nie używa nigdy, pod względem końcówek i miar właśnie panuje u niego wielka prostota. Nie braknie wogóle u naszego poety rzeźbiarstwa, dążenia do misterności w formie. To wszystko atoli jest tylko faktem do zaznaczenia, nie czynimy mu z tego powodu zarzutów bynajmniej... Ale i na nie kolej przyjdzie, gdy czytelnik co krok spotka takie niezręczne jakieś zaniedbanie stylu, które może uchodzić w tak

marnych „humorystycznych“ rymach, lecz zgoła nie w tym wypadku, kiedy poeta przemawia całkiem poważnie i usiłuje odpowiednie w słuchaczu wywołać wrażenie. Uroczysty nastrój pierzchnąć musi, jeżeli w najpatetyczniejszych ustępach czytający spotka zwroty, podobne tym: „I tak patrzył smutnie, z takim niebem i przysługą“, „Nie wyśmiejesz żony—dziecka, kiedy inak nie ze świecka (?) o mgły srebrne się zahaczę“, „Wreszcie—z lepszą otuchą ugięła kolana, I z wystugą, z natchnieniem, z lepszą częstką (?) ludzi, Tak została modląca..“ Ale dość tego. I niekoniecznie w końcówkach wiersza dobiera sobie p. Jankowski swoje „przysługi“, bo rymuje dość łatwo, a nawet własnowolnie powiększa trudności wierszowania, pisząc np. 5-cio zgłoskowcem cały „żart satyryczny“—„Lalkę“. Przeczytać 36 stronic tym ucinanym wierszem jest rzeczą prawdziwie nużącą; wiersz ten przecież, nieprzyczyniający się z pewnością do zwięzłości i wytworności formy, szczególnie jest upodobany przez poetę, jak wogóle wszelkie skoczne miary, np. 8-zgłoskowy trochej, którym również pisuje p. Jankowski większe sceny, np. „Władka“, „U świtu“.

Tytuł zbiorku pod innym jeszcze względem wprowadził czytelnika na błędne tory. Niewielką tylko część książki wypełniają drobniejsze liryki. Reszta—to są rzeczy, oddalające się od zwykłych u nas jedno lub dwustrofowych „nastrojów“, mikroskopijnych „fragmentów“, „urywków“ i t. d. Mamy tu utwory większych rozmiarów, bardziej epickiej, niż lirycznej natury. Wyobraźnia poety, jakkolwiek niebłysłokotliwa, zdolna jest skupić się w sobie, rozwinąć pomysł i zamknąć go w zokrażoną, skończoną całość. Ta właściwość talentu p. Jankowskiego nadawała-by mu znaczną przewagę nad niejednym z najmłodszych, gdyby nie pewne okoliczności, które ją wielce obniżają. Pierwszą z nich, i to jedną z najważniejszych, jest pomieniona już jakaś ochromiałość stylu. Nie może też czytelnika zadowolić sposób, w jaki poeta rozwija swe pomysły. Wogóle czuje on wielki pociąg do zagadnień filozoficznych. Oto np.: „Adam—egzegeza poetycka“: Adam po wygnaniu z raju miota się tu bardzo, lecz po bajronowskim Kanie tematy biblijne są rzeczą niebezpieczną i ryzykowną dla poety. W innej „egzegezii“ — „Świadomość grzech“ (powiedział-bym w egzegezii Sonaty Kreutzera), autor przedstawić pragnie męki wrażliwego sumienia, wypływające ze świadomości fałszu w stosunkach obu płci, w formach przez ogół za naturalne uznawanych. Ale nie czuć tu głębi istotnie filozoficznej, retoryka nie może przemawiać do naszego uczucia.

Prostsze tematy lepiej się udają p. Jankowskiemu. Ale i tu często jakiś błąd w rozwinięciu pomysłu, jakaś linia niedociągnięta, czy przeciągnięta, psuje nam ogół wrażenia. Oto np. w „Masce“ dwoje ludzi, kochających się niegdyś, spotykają się na balu maskowym. Rozstali się

przed laty dziesięciu. Z powodu nieporozumienia, dumy, która zamykała usta: stęskniona kobieta chce przyjrzeć się ukochanemu pod maską. Rozmowa wpadła na tor liryczny, prowadzi do zwierzeń. Wzruszona maska daje się poznać, ale mimo próśb i zaklęć odchodzi, bo odejść musi, i zostawia poetę pogrążonego w rozpacz, lecz ten po chwili uspakaja się myślą, że pozyskał świetny powód do poematu i *stante pede* rozpoczyna snuć wątek, właśnie przed chwilą opowiedziany w imieniu samego autora. Zamiast tragedyi — sztuki łamane.

Albo znowu inny poemacik „Władka“... Jest to szereg listów 18-letniej dziewczyny, którą doświadczony widocznie młodzieniec rozkochał, uwiódł i porzucił. W listach tych tyle jest naiwnego oddania się rozkwitającemu uczuciu, że niektóre z nich naprawdę posiadają woń majowego kwiatu. Lecz oto naraz bohaterka pisze do swego ubóstwionego Janka, gdy ten potajemnie ją odwiedził, korzystając z nieobecności matki: „Co to wczoraj było, luby? Czy anielskie jakieś śluby? Nowe żary, upojenia, Przepaść słodka i nęcąca...“ Jakkolwiek wielką była ufność dziewczęcia w umiłowanym przez nią Janku, jakkolwiek czuła się już żoną jego, związaną z nim na całe życie, — niepodobna nam w tym liście nie czuć fałszu psychologicznego. A szkoda, bo rozdzwięk wkradł się do smętnej melodyi, w którą poeta włożył wielki i szczery żal nad losem kwiatu, brutalnie zdeptanego...

I tak bywa nieraz. Poza często przybieraną maską ironii Hei-nowskiej, poza lekkomyślną napozór żartobliwością, lub znowu koturnową powagą, ukrywa się prawdziwa twarz poety z wyrazem rzewnego smutku. Takim on jest w wielu swych lirykach, i w najsympatyczniejszych swych opowieściach. Takim się np. ukaże w najpiękniejszym może obrazku swoim „Siostra Łucya“. Zawiedziona w miłości dziewczyna zostaje zakonnica; w poświęceniu dla cierpiących znalazła ulgę i pozbyła się wszelkiej goryczy i żalu do ludzi, do losu. I spotkała znów na łożu boleści tego, który ją niegdyś ukrzywdził; odżyły pogrzebane, jak się zdawało uczucie, i oto, klęcząc przy łożu nieprzytomnego poety, modli się o uzdrowienie dla niego i o... przebaczenie dla siebie za występne, bo ludzkie, bo takie silne ukochanie śmiertelnej i niedoskonałej istoty... Lecz ile rzewności w tym obrazku, tego nie zdoła ujawnić powtórzenie zewnętrznej niejako jego treści. Inny obrazek „U świtu“ zaczyna się lekko, żartobliwie i zwolna dopiero koloryt odcień smutku przybiera. Poeta jakby ukrywał się ze swym uczuciem, by go nie zraniono szyderstwem. Niekiedy znowu w owej masce przybranej czuć niewiarę poety w swe siły, niewiarę, która się wypowiada w sposób bolesny i ujawniający prawdziwą głębię uczucia. „Ja nie mam — powiada on — w rękę lutni, Od której blasków łuny

Lecz sobie gram i serca Własnego targam struny. Nietylko więc to życie I trud pieśniarskiej doli, Lecz i ta lutnia we mnie, O, jak ta lutnia boli". Szczere to z pewnością wynurzenie, a szczerłość zawsze podbija. Szczerłość i rzewność uczucia sprawiają, że, pomimo liczne rozdźwięki, pomimo, że wyobraźnia poety obraca się w ciasnym kole pomysłów o podkładzie niemal wyłącznie erotycznym,—mimo to wszystko, zamykając książkę poety, chcemy mu powiedzieć, że nie zawsze jego słowa odbijały się bez echa od serca słuchacza.

M A.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dreszcz grozy przeszedł znowu Europę...

W Genewie, nad brzegiem jednego z najpiękniejszych jezior całego świata, na wolnej ziemi Helwetów, w otoczeniu cudownej przyrody alpejskiej, spełniono najohydniejszą zbrodnię, na której widok wzdrygnąć-by się musiała natura, gdyby posiadała czucie i myśl.

Zamordowano wyostrzonym pilnikiem kobietę słabą i bezbronną, cichą i zboląłą, smutną żalobnicę, którą życie srogo i okrutnie pokrzywdzało, raniąc jej serce, niezabliźnione po tylu ciosach, jakich jej los nie oszczędzał prawie od najwcześniejszej młodości.

I znalazła się brutalna, gruba, nieczuła ręka, która to serce przebodła nawskroś, skrytobójczem żelazem ugodziła w pierś tak zaciekle, z taką zwierzęcą passją, że oprócz zadanej rany, złamała jeszcze i żebro.

Nie trzeba wiedzieć nawet, kto był ofiarą tego zamachu, — dość tego, iż mord tak niehumaniczny popełniono na kobiecie sędziwej, zaskoczonoj znienacka w jasny dzień, o południu, aby zadrzeć z oburzenia i z grozą nad ohydą samego faktu.

A jakżeż uczucia te spotęgują się, gdy się rozważy inne szczegóły sromotnego morderstwa.. Prosty, nieokrzesany robotnik, włóczęga z kraju do kraju, dezterter z wojska, syn służącej i niewiadomego ojca, opętaniec idei przewrotu, człowiek młody o zdziczałych instynktach potwora, bez czci i wiary, który z cynizmem przechwala się z popełnionego czynu, i przyznaje z dumą, że od trzynastego roku życia swego był już anarchista, nie kochał nikogo, tylko nienawidził wszystkich bogatszych, nie wierzył w nic, oprócz we własny nóż, nie pragnął niczego, tylko zabić jakąś dostojną i wielką osobistość „dla zasady“,—człowiek taki, rzuca się, jak ryś, na kobietę, którą przypadek sprowadza na jego drogę, i morduje ją jedynie dlatego, że los pozwolił jej nosić koronę wielkiego państwa i zasiadać na tronie.

Obojętnem mu to zupełnie, kogo zabija, byle swym krwiożerczym instynktom zadosyć uczynić, bo mord sam w sobie jest dla niego ideałem i potrzebą, bo jego rozbestwiona natura chce niszczyć i pastwić się, bo celem jego — anarchia, zamach na wszelki ład i porządek, na wszelkie prawo ludzkie i Boskie.

Nie rozumuje, nie wybiera, nie potrzebuje żadnych szczególniejszych pobudek, żadnych osobistych pretensyi, żadnych krzywd do pomśzczenia, żadnych korzyści do osiągnięcia, — chce tylko zaznaczyć swe wywrotowe dążenia i przelać czyjąś krew publicznie, aby wiadziano, że w łonie ludzkości zbiera wrzód niebezpieczny i grozny, pełny rozkładowych jądów i trującej zgnilizny, wrzód anarchii.

I człowiek ten, jeśli go wolno bez ubliżenia ludzkości człowiekiem nazwać, nie jest oderwaną jednostką, wyjątkowym okazem psychopaty lub kryminalisty, ale członkiem całego stowarzyszenia, całej bandy rozbójników i złoczyńców, która ośmiela się mianować stronnictwem społecznem, całego obozu, który wywiesza sztandar farbowany na czerwono krwią, przelewaną nie w równej walce, ale w skrytobójczych zasadzkach, w zamachach i mordach politycznych.

Na zebraniu po norach i szynkowniach, stronnictwo to, złożone z najgorszych wyrzutków społeczeństwa, roztrząsa sprawę reformy, podsycy jaskrawemi frazesami rozpalane namiętności i feruje wyroki śmierci na najwyższe głowy w państwach, układa plany działania terroryzmu, i mianuje wykonawców z pośród najczelniejszych, najzgnilszych moralnie jednostek, niemających nic do stracenia.

I na jednym z takich zebrań, z których w ostatnich czasach wyszli oplakanej sławy bohaterowie zamachów we Francyi, Hiszpanii i Włoszech, zabójca Cesarzowej austriackiej, Parmeńczyk, Luccheni, wykrzykuje z emfazą: „Zobaczycie, że nie jestem tchórzem!“, zaprzysięga dać dowód swojej odwagi (1), i puszcza się na oślep w świat, jak rozjuszony byk, aby zgładzić ze świata pierwszą lepszą nkoronowaną,

czy umitrowaną osobistość. Wszystko mu jedno, kto będzie ofiarą: ks. Orleanski, król Humbert, cesarzowa Elżbieta, czy ktokolwiek inny, byle mu się pod nóż nawinał.

Okropną jest ta psychologia zbrodni dla zbrodni, przerażającą samą w sobie a sromotną, jako objaw tak wielkiej prostracyi moralnej, której przyczyny i grunt, na jakim się rozwija, muszą nasuwać bardzo głębokie i bardzo smutne refleksye.

Nigdy ziemia wolna i niezależna, hołdująca najszlachetniejszym hasłom liberalizmu, nie była szkaradniej splamioną i zbezczeszczoną, jak tym rozlewem krwi nad Lemanem, nigdy niewdzięczniej nadużyta za swobodę, jaką zapewnia wszystkim, którzy na nią wstępują.

Odczuła to cała Szwajcarya i zasepiła się podwójnym smutkiem, raz, z powodu śmierci tak dostojnego gościa, który z całym zaufaniem i miłością do jej gór i mieszkańców przybył po spokój, wypoczynek i wytchnienie, drugi raz, z powodu pokrzywdzenia zasad i ideałów wolności przez zbrodniarza, wyzyskującego w najbrutalniejszy sposób swobodę na swywołę a wolność na rozluźnienie wszystkich praw i obowiązków człowieka i obywatela danego kraju.

Na szczęście dla honoru rzeczypospolitej helweckiej, morderca cesarzowej Elżbiety nie był ani jej synem, ani poddanym; przybył z Włoch, z tego kraju najjaskrawszych dziś kontrastów między tem, co piękne a dobre, najbardziej krańcowych różnic między celem a środkami wolnomysłnej organizacji i rozwoju społeczeństwa, najsmutniejszych przeciwieństw między cywilizacją a kulturą moralną, najsilniejszych antagonizmów między oświatą a etyką.

Ohydny zamach na życie cesarzowej Elżbiety wzbudzić musiał tem większe oburzenie nad czynem zbrodniarza, a gorące współczucie dla niewinnej ofiary, że osobistość jej samej, jak i ukoronowanego wdowca w ciężkiej żalobie, cesarza Franciszka Józefa I-go, otaczały szacunek i sympatya całego świata cywilizowanego. Sympatya ta gruntowała się nietylko na uznaniu wysokich osobistych zalet monarszej pary, ale wzrastała przez ogólnoludzkie względy i współczucie dla nieszczęść i smutków, jakimi los tak srogo doświadczał rody Habsburgów i Wittelsbachów, połączone przez małżeństwo cesarza Austrii z księżniczką domu Bawarskiego przed laty czterdziestu czterema.

Trzeba by sięgnąć daleko w mytyczną przeszłość, z której geniusz Eschylosa i Sofoklesa czerpał tematy do wstrząsających tragedyi klasycznych, aby znaleźć równie od losów gnębioną rodzinę, nad którą zawisła jakaś złowroga *ananke*.

Nieszczęścia politycznee kojarzyły się od pół wieku z osobistemi w panującej dynastyi Habsburgów, i miał słuszną nieszczęsną brat rozstrzelanego w Meksyku Maksymiliana, ojciec w kwiecie wieku zmar-

nowanego arcyksięcia Rudolfa, małżonek zamordowanej nad genewskim jeziorem Elzbiety, szwagier króla-samobójcy Ludwika II-go, obłąkane-go Ottona na tronie bawarskim i spalonej żywcem w Bazarze paryskim ks. d'Alençon, stryj zaginionego bez wieści arcyksięcia Jana Salvatora, miał słuszną, kiedy na wieść o zamachu ostatnim, padł na fotel zalany łzami i z bolesnym wyrzutem jęknął:

— „Niczego mi los nie oszczędził!“

Tak, niczego, co tylko ludzkie serce zdruzgotać może.

Jeżeli nie padło jednak pod tyłu ciosami, to dlatego, że nie utraciło — wiary, która dlań była zawsze „jedyną ucieczką“ w najcięższych doświadczeniach życia, jak szlachetnie wyznał sam monarcha w depe-szy dziękczynnej na kondolencyjny telegram Leona XIII.

Jakąż otuchą, jakim protestem i jakim upokorzeniem dla anar-chizmu brzmią te proste słowa w ustach najboleśniej pokrzywdzonego monarchy w obec czynu i zasad przedstawiciela partii wywrotowej, której nóż może ugodzić w serce, ale nie dosięgnie w niem wiary, co uczy cierpieć, wytrwać i przebaczać!..

*

*

*

Trzy wydatniejsze momenta zapisały się w kronikach społecznych ostatnich kilku tygodni: otwarcie politechniki w Warszawie, a szkoły handlowej w Łodzi i zatwierdzenie Towarzystwa rolniczego w gubernii Kieleckiej.

Wszystkie trzy fakta mają znaczenie poważne, odpowiadające żywotnym potrzebom chwili; dalszy ich rozwój i skutek zależeć będzie od warunków, które zadecyduje przyszłość. Na razie spodziewać się wolno, że wyniki ich będą dodatnie w ogólnej summie i spełnią oddawna żywione nadzieje i życzenia. Społeczeństwo potrzebuje coraz więcej zdolnych, wykształconych i odpowiednio urobionych sił do organicznej pracy w tym kierunku, który zapewnia jeszcze najbardziej praktyczne korzyści dla ogółu, a więc w kierunku przemysłowo-handlowym i rolniczym.

Nietylko samo poprawienie interesów materialnych, ale i podwyższenie intelektualnego poziomu w tych warstwach, które u nas mają jeszcze szersze pole do działania, uważać trzeba za jedno z najważniejszych zadań w dążeniach i postępowym rozwoju społeczeństwa.

Przemysł nasz w swym rozpędowym ruchu chromał i zahaczał się o dwie wewnętrzne przeszkody, nie dostawało mu wykwalifikowanych należycie kierowników z żywiołu swojskiego, i posługiwać się musiał dobrym, powolnym, nawet tanim, ale mało rozwiniętym i oświeconym robotnikiem.

Dla dostarczenia mu w odpowiedniej ilości pierwszych, brakło właściwej w kraju instytucji naukowej z szerszym programem i w wyższym stylu, dla poprawienia drugich, ogólny stan oświaty i ciągle jeszcze ubóstwo jej środków w warstwach najniższych stanowi trudność nie łatwą do przezwyciężenia.

Na wybitniejsze i bardziej odpowiedzialne posady dyrektorów, kierowników, inżynierów, chemików, mechaników, technologów i t. p. trzeba było dotąd sprowadzać, albo cudzoziemców, albo posługiwać się nie zbyt licznym procentem swojaków, którym szczęśliwy los pozwolił wykształcić się w jednym z wyższych, specjalnych zakładów naukowych w Petersburgu, Rydze lub za granicą.

Komu nie było danem znaleźć dostateczne środki do odbycia takich studyów, musiał poprzestawać na wykształceniu średnim, zatrzymywać się w połowie drogi, rezygnować z dalszych i wyższych celów w swoim zawodzie i pozostać niedouczonej, niedojrzałym, nierozwiniętym należycie fachowcem, dla którego pozostawały albo mniejszej kondycji zajęcia praktyczne, albo widoki nieszczególne empirycznego wyrobienia się na drodze samouctwa.

I jedno, i drugie, miało swoje strony ujemne; wytwarzało całe zastępy połowicznych specjalistów w dziedzinie przemysłowo-fabrycznej, a niezadowolonych ze swego losu dążycieli w życiu prywatnem, którzy się czuli *sui generis* zredukowaną jednostką społeczną, po przymusowem zrzeczeniu się swoich wyższych aspiracji w tym lub owym kierunku.

Obcy żywioł, cudzoziemcy zabierali też posady, stanowiska, pensye wyższe, trudne do zdobycia siłom miejscowym w kraju, zmuszonym pokutować za winy niepopelnione, z braku stopni naukowych i kwalifikacji, których nie miały gdzie zdobywać.

Od dawna też, bo niemal od pierwszej chwili rozbudzenia się u nas żywszego ruchu przemysłowego, dawała się uczuwać potrzeba naukowej instytucji, kształcącej na wyższą skalę fachowców w zawodach praktycznych i specjalnych.

Długie lata mówiono, rozprawiano, pisano o politechnice, jako o tym zbawczym środku, który miał złemu zaradzić. I oto dopiero w roku zeszłym ta pilna sprawa została pomysłnie załatwioną, a organizacya poszła krokiem pośpiesznym.

Dość zważyć, iż zaledwie 1-go kwietnia roku bieżącego związał się komitet zarządzający politechnikę. W ciągu pół roku niespełna wyszukano i odpowiednio urządzono pomieszczenie w gmachu prywatnym przy ulicy Marszałkowskiej, w possessyi p. J. G. Blocha, zaopatrzone laboratoria we wszystkie niemal niezbędne pomoce naukowe, skompletowano skład pierwszych profesorów i odbyto egzamina.

Politechnika tedy istnieje, chociaż zawsze jeszcze w okresie prowizorycznym niejako, gdyż do funduszu zakładowego braknie pół miliona rubli, który ma być zebrany drogą dobrowolnych składek, braknie własnego gmachu, który ewntualnie ma stanąć na gruncie sześciu dziesięcin, ofiarowanym przez miasto.

Kraj może przeto z chlubą spoglądać na wyczekiwaną tak długo instytucję, jako na dzieło, do którego w znacznej mierze sam się głównie przyczynił, jako na ważny krok postępu w samodzielnem poparciu własnych interesów.

W przemówieniu inauguracyjnym do młodzieży, dyrektor Lagorio dał jej kilka szlachetnych rad, wzywając do korzystania ze złotych lat młodości w celu zdobywania poważnej wiedzy: „Pracujcie i korzystajcie z cza-u—mówił—który ulata bezpowrotnie. Praca naukowa uszlachetnia ducha, ona też jenynie daje zadowolenie, które nie pozostawia gorzkich mętów po wychyleniu kielicha. Pracujcie, nie dla zdobycia dyplomu, lecz dla pozyskania wiedzy“. Ten sposób nauki bowiem zapewnia dopiero prawdziwy pożytek w obywatelskich jednostkach dla kraju, społeczeństwa i państwa.

Z karyerowiczów i pospolitych zjadaczy chleba ogół pociechy mieć nie może; powinna-by ucząca się młodzież głęboko odczuć tę prawdę i przejąć się wczesnie duchem obywatelskości, który w przyszłej pracy i obowiązkach ma ją ożywiać.

Do powodzenia wszakże studyów, jak to trafnie zaznaczył przełożony nowego zakładu, potrzebne jest, obok pilności, zupełne wzajemne zaufanie nauczycieli i uczniów, a słowa te, wypowiedziane z nadzieją, że go nie zabraknie, wzięła zapewne do serca nietylko młodzież, ale i jej przyszli kierownicy, jako wskazówkę z ust samego Dyrektora.

Do jakiego stopnia odczuwaną była gorąco potrzeba Instytutu politechnicznego, świadczy natłok kandydatów, którzy zgłosili się z prośbą o przyjęcie; na 250 miejsc wakujących, wniesiono 621 próśb, z których nie uwzględniono tylko malutkiej cząstki. Do egzaminu konkursowego dopuszczono 601 kandydatów, których wszelako połowa stanęła tylko, by się poddać egzaminowi. Reszta, wobec zbyt licznej konkurencyi, odstąpiła dobrowolnie, nie mając nadziei przedostania się

przez ten tłum tak gęsty. Ostatecznie z 337 młodych ludzi, stojących do egzaminu, przyjęto 250, a wskutek przedstawienia i przychylnego poparcia próśb kilkunastu nadliczbowych, z decyzji pana ministra dozwolono powiększyć liczbę słuchaczy do 270.

Pouczające mogą być statystyczne cyfry w tym pierwszym zaciągu techników krajowych:

Na ogół przyjętych do Instytutu kandydatów, przeszło z Uniwersytetu 82 czyli 30%, z gimnazyów klasycznych 32%, ze szkół realnych 31%, z innych zakładów 4%, z korpusu kadetów $\frac{1}{2}$ %. Z okręgu naukowego warszawskiego stawiała się większość, bo 65% studentów, reszta przybyła z poza Warszawy.

Co do wyznania, w liczbie przyjętych, jest na 270 słuchaczy: prawosławnych 27, katolików 187, innych wyznań chrześcijańskich 13, żydów 40.

Następnego dnia po uroczystem otwarciu politechniki w Warszawie, odbyło się w Łodzi otwarcie siedmioklasowej Szkoły handlowej, założonej z inicjatywy i za staraniem zgromadzenia kupców tamtejszych, zostającej w zawiadywaniu ministryum finansów. Historia tej nowej, a w swym rodzaju pierwszej instytucji naukowej w Król. Pol. skiem tak się przedstawia: na zasadzie ogólnych przepisów ministryum Skarbu, najwyżej zatwierdzonych 15 kwietnia 1896 r., zaprojektowano 16 lutego r. z. założenie szkoły handlowej w Łodzi, na posiedzeniu miejscowego kupiectwa. Ministryum 26 kwietnia r. b. udzieliło sankcyi powyższemu projektowi, 20 czerwca zorganizowano Radę opiekuńczą, złożoną z pp. Edwarda Herbsta (prezesa), oraz z członków, pp. Juliusza Kunitzera, Alfreda Biedermanna, dr. Adolfa Hoffrichtera, Ludwika Meyera, J. K. Poznańskiego i Markusa Silbersteina: dnia 24 lipca mianowano dyrektorem szkoły p. Garszyna z wyboru Rady i skompletowano ciało nauczycielskie. Lokal wynajęto tymczasowo na trzy pierwsze klasy, które zajmują dziewięć pokojów. Cały gmach oddano na użytek Szkoły; prócz sal wykładowych znajdują się w nim sale do gimnastyki, sala dla komitetu pedagogicznego i kancelarya. Przybory szkolne, jako to: ławki, tablice, katedry i t. p. sprowadzone w jak najlepszym gatunku i według ostatnich wymagań. Do chwili otwarcia zgłosiło się 540 kandydatów, z których zaledwie 360 może znaleźć pomieszczenie w łódzkiej Szkole handlowej.

Fakt powstania nowych, i to tak poważnych, uczelni w kraju, obok dodatnich stron swoich, odsłonił zarazem i ujemne ogólniejszej natury, mające związek z wielce żywotną kwestyą oświaty i szkolnictwa, nietylko u nas, ale i w całym Cesarstwie, i w sąsiedniej Galicyi. Coraz głośniejsze i coraz dobitniej rozbrzmiewają utyskiwania na rażący

stosunek zakładów naukowych do ilości całych tłumów, żądnych nauki i światła. Żądza ta wzrasta i jest pocieszającym objawem obudzenia się zdrowego instynktu maluczkich i ciemnych w dążeniu do oświaty, jest zadatkiem bardzo ważnych czynników na drodze postępu, cywilizacji i oświaty.

Kiedy do niedawna jeszcze oblegane były przeważnie szkoły średnie przez młodzież, próbującą się wcisnąć do jakiegokolwiek klasy, dziś coraz częściej taki tłum kandydatów zbiera się u ciasnych drzwi szkół początkowych i, niestety, odchodzić musi zawiedziony i smutny, że ma zapartą z konieczności drogę do nauki i oświaty.

Potrzeba szkół elementarnych staje się kwestyą palącą.

Gdybyśmy posiadali szczegółową i dokładną statystykę, moglibyśmy rozporządzać materiałem bardziej przekonującym od tego, który tylko z pojedynczych danych daje się wysnuć. Weźmy dla przykładu jedynie Łódź i Warszawę, ponieważ na razie najwięcej się o tych dwóch miastach mówi i pisze.

W Warszawie, pomimo 32 nowych szkótek ludowych, założonych w roku bieżącym, natłok dziatwy, garnącej się do elementarza, był tak znaczny, iż połowę próśb musiano pozostawić bez uwzględnienia, ci zaś, którzy w połowie czerwca lub później zgłosili się o przyjęcie, nie mają nawet nadziei dostania się za lat dwa na ławkę szkolną, o ile dotychczasowe warunki się nie poprawią.

Łódź ma 380,000 ludności, a posiada wszystkiego 22 szkoły elementarne miejskie, z których cztery przypada na zakłady żeńskie, reszta zaś na mieszane. Obliczono, że około 38,000 dzieci z musu pozbawionych tam jest corocznie możliwości pobierania nauki w szkołach, i że podwójna, a nawet potrójna ilość zakładów początkowego nauczania nie była-by za wielką w stosunku do ogółu ludności. Na razie chodziło-by o utworzenie przynajmniej pięciu jeszcze szkół elementarnych kosztem jakichś 100,000 rs. Łódź bogata, fabryczna, przemysłowa, miasto milionerów, rosnące, jak na drożdżach, mogło-by się zdobyć na ten wydatek, po prostu obowiązkowy, w imię oświaty i interesów własnych. To bowiem, cośmy mówili wyżej o szkopułach w należytym rozwoju naszego przemysłu, ma pośredni związek z ciemnotą i zbyt małym rozwojem umysłowym klas pracujących, pośród których procent analfabetów jest po prostu sromotnym wyrzutem dla społeczeństwa, mającego pretensję do tytułu narodu cywilizowanego.

Jeżeli się uwzględni, że w takiej Łodzi na 1,000 mieszkańców zaledwie dziesięcioro dzieci może pobierać naukę w szkole, jeśli w takiej Ostrołęce dla 508-ga dziatwy zabrakło miejsc na ławce szkolnej, jeżeli są całe gubernie, w których ten stosunek nie jest wcale lepszym,

a porówna się z niemi inne mniejsze kraje europejskie, to smutek i wstyd nad naszym zacofaniem osiada w sercu.

Nie mówmy już o Szwajcaryi lub Stanach Zjednoczonych, gdzie dbałość o oświatę służyć może za wzór troskliwości społeczno-państwowej, i gdzie niemal każde dziecko ma zapewnioną dla siebie naukę; porównanie było-by niestosownem, ze względu na zasadnicze różnice organizacyi, warunków i zamożności.

Różnica wypadła-by nietylko na naszą niekorzyść, ale i wielu innych krajów europejskich.

Istnieje wszelako pewien wzgląd, ważniejszy może od organizacyjnych, czy materylnych przeszkód w powiększaniu szkolnictwa u nas; oto brak szczerzej i głęboko odczutej woli w tych warstwach intelligencyi, która-by mogła złemu zaradzić, brak dostatecznej ofiarności nie jednostek, z których po większej części ściągą się haracz na rozmaite cele publiczne, ale ofiarności zbiorowej, brak wrzeszcie należyście energicznej inicjatywy, która-by nie ustawała zniechęcona u samego początku.

Przy porównaniu przeto z działalnością innych społeczeństw w tym kierunku uwzględnić-by należało, raczej stosunek proporcjonalny nie tych, co *nie mogą*, ale tych, co *nie chcą*, lub nie umieją, tą żywotną sprawą oświaty zająć się tak skutecznie, jak-by potrzeba.

Zapewne, że zadanie to trudne, wymagające zachodów, pracy, wytrwałości, poświęceń, a zwłaszcza kosztów, kosztów dużych, które ponosić może tylko społeczeństwo, miasto, gmina, wreszcie jakaś grupa ludzi, oddanych szczególnie sprawom humanitarno - społecznym; o fundusze bowiem przy pierwszym kroku rozbijać się muszą wszelkie dążenia na tej drodze tych, którzy pragnęli-by posłuchać nawoływań poety i „nieść przed ludem oświaty kaganiec“. Przy dobrych chęciach niepodobna jednak obejść się bez samego kagańca, i to bez kagańca z oliwą, jeżeli ma choć drobny płomyczek rozpraszać zmroki i ciemności.

Dzisiaj, kiedy wśród tego ludu budzi się samorodnie skłonność i pragnienie oświaty, kiedy w coraz szerszych warstwach „ciekawość“ do wiedzy, do drukowanego słowa, do książki, wzrasta, kiedy najubożsi z maluczkich przyprowadzają swoją dziatwę pod próg szkoły i żebrzą dla niej, jak o chleb powszedni, o strawę duchową; staje się to tem pilniejszą rzeczą obywatelskiego sumienia, postarać się o skorzystanie z chwili i zadosyćczynić rzeszom, łakującym światła.

Nadarza się zresztą i inna wyjątkowo pomyslna sposobność, którą wytworzył zwrot w życiu szerokich mas od czasu wprowadzenia monopolu; zorganizowane kuratoria trzeźwości zastanawiają się właśnie

nad tem, czem ludowi zastąpić ubytek trunków wysokowych, których konsumpcya została ograniczoną?... Odpowiedź była-by łatwą: *spiritusem*, ale nie tym, który rozpaja i rozpala ciało, lecz tym, który oświeca umysł i rozgrzewa serce.

Oto chwila właściwa do duchowego poczęstunku umysłowych prostaczków, oto sposobność dania im czegoś bardziej pożytecznego, umoralniającego i żywotniejszego od zabawy i przyjemności—poprowadzenia ich ku światłu wszelkimi godziwemi ścieżynami, gdy na szerokie gościńce nie pora jeszcze.

Intelligencya nasza spotkała się z bolesnym zarzutem, że ociążała, zobojętniała, stała się nieczynną i zesła ze stanowiska, na którym stać-by powinna, jako powołana przodownica na drodze społecznego rozwoju.

Niechajże temu posądzeniu zaprzeczy i dowiedzie, iż pojmuje i odczuwa swoje obowiązki.

Głos w tej właśnie sprawie odezwał się bardzo energicznie i stanowczo, przemawiając do inteligancyi prowincjonalnej w osobach obywateli ziemskich, duchowieństwa, wyższych oficyalistów, lekarzy, aptekarzy, budowniczych, inżynierów, urzędników prywatnych i t. p.

„Zasłanialiście się brakiem możności, brakiem drogi i oparcia, brakiem upoważnienia do pracy obywatelskiej—powiada do nich:—broniliście się przed pomówieniami o niechęć i niedbalstwo, głosząc o dobrych swych chęciach i nieprzepartych trudnościach—oto dzisiaj droga przed wami otwarta. Niech kuratorya zadrgają życiem i zapłoną gorączką pracy, niech znajdą się w nich wszyscy ci ludzie, dla których gmina wciąż jeszcze jest niedostępna, czy niemila. Chodzi tu o coś więcej, niż o spełnienie obowiązku; chodzi też o honor. Jeżeli społeczeństwo, zyskawszy podstawę prawną dla pracy obywatelskiej, nie wypełni własną treścią podstawionej mu formy, powtórzy się znów widowisko, którego historia nie wybaczy.

Bo stoimy w tej chwili przed sądem historii.“

Jakkolwiek złożenie całej odpowiedzialności w tym wypadku na intelligencyę jest zapewne rozumowaniem nieco krańcowem bez brania w rachubę postronnych względów i warunków, które praktyka życiowa dorzuci do tej sprawy, niemniej wezwanie powyższe posiada w sobie wiele dobrej racyi i niepowinno przejść mimo uszu tych, do których wystosowaniem zostało.

Przyszłość rachunki podkreśli i zamknie, ale terazniejszość ma obowiązek dbać o to, by zapełniła jak najwięcej pozycyi w ogól-

nym bilansie, i to pozycyi dodatnich, choćby one z najmniejszych sum się składały.

Trzecim wreszcie faktem ogólniejszego znaczenia jest zatwierdzenie przez Ministerjum rolnictwa, po porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych i gen.-gubernatorem warszawskim, ustawy Towarzystwa rolniczego w Kielcach. Ma ono cel żywotny i nader ważny dla ziemian gubernii Kieleckiej: przyczyniać się połączonemi siłami swoich członków do rozwoju i udoskonalenia rolnictwa i przemysłu wiejskiego, a to za pomocą badań różnych gałęzi gospodarstwa, wskazywania jego braków, szukania środków do zaradzenia im skutecznego, tworzenia delegacyi i urządzania wycieczek agronomicznych, rozpowszechniania żywym słowem i drukiem wiadomości teoretycznych i praktycznych z zakresu rolnictwa, założenia biblioteki i Muzeum, wskazywania sposobów melioracyjnych na wzorach zagranicznych i w państwie rosyjskiem, urządzania konkursów ua maszyny ulepszone i narzędzia rolnicze, zakładania stacyi i pól doświadczalnych, ferm, ogrodów, szkółek leśnych, wspierania już istniejących zakładów tego rodzaju, pośredniczenia w rekomendacyi i wskazówkach pożytecznych rolnikom, zakładania biur informacyjno-komisowych i magazynów, wreszcie urządzania wystaw, licytacyi i zachęcania do pracy ziemiańskiej przez nagrody honorowe i t. p.

Członkami Towarzystwa mogą być tylko poddani rosyjscy, jest ich trzy kategorie: rzeczywiści, honorowi i korespondenci. Wpisowe rs. 5, wkładka roczna rs. 10. Sprawami Towarzystwa zawiaduje Rada, mająca swoją siedzibę w Kielcach.

Jak widać z tego ogólnikowego streszczenia, Towarzystwo ma program szeroki i pole do pracy i popisu otwarte w rozmaitych kierunkach; od gorliwości rozumnej a praktycznej członków zależeć będzie pożytek, który osiągnie w przyszłości, a dla gubernii innych może się stać wzorem samopomocy i gospodarstwa, które oby podniosło i utrwaliło dobrobyt ziemiański, będący zawsze jeszcze u nas podstawą dobrobytu ogólnego.

Sposobność do owocnej w skutku pracy podana, niech tylko siły i dobre chęci starczą.

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 14 lipca 1898 roku odbyło się w Krakowskiej Akademii Umiejętności posiedzenie Kommissyi historii sztuki, pod przewodnictwem prof. dra Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący złożył naprzód ukończony i świeżo wydany zeszyt II i III tomu VI Sprawozdań Kommissyi. Następnie przedstawił fotografię rzeźby, wyobrażającej św. Annę samotrzecią, w ołtarzu barokkowym kościoła Bernardynów w Krakowie z końca wieku XV-go, najbliższą szkole Wita Stwosza. W rzeźbie, mimo przeróbek, uwydatnia się pierwotny charakter. Znanym jest dobrze piękny ołtarz drewniany, barokkowy, św. Stanisława z początku wieku XVII w kościele Panny Maryi w który wprawione są 4 rzeźby, oraz 2 wypukłorzeźby z pierwszych lat wieku XVI: te dotąd zbadane nie zostały, a są bardzo piękne i zajmujące, jak np. scena zabicia Świętego z ciekawą architekturą, z ołtarzem i z retabulum renesansowem na ołtarzu. Powtarzaną jest wieść, że Wit Stwosz wykonał dla Maryackiego kościoła ołtarz św. Stanisława, — wspomniane części są jednak w stylu o wiele dojrzałsze. Referent przypuszcza, że pierwotnie ten ołtarz mógł być

dziełem Stanisława Stwosza, syna i ucznia Wita, o którym pisał p. L. Lepszy; w każdym razie rzeźby te są niepospolite, i wymagają bliższego rozbióra, co jednak uskutecznione być może jedynie po zdjęciu z nich fotografii.

Z kolei prof. dr Maryan Sokołowski przedstawił referat o pomnikach brązowych, przeważnie wielkopolskich, ilustrując go szeregiem fotografii z mało znanych dotąd zabytków. Pomniki te dzieli referent na trzy grupy. Do pierwszej należą nagrobki flandryjskiego pochodzenia, które z Bruges szły do Anglii, do Niemiec północnych, do Polski, wskutek jej stosunków z Hanzą, ale z tych ani jeden dotąd się u nas nie dochował. Grupę przejściową stanowią prawdopodobnie brzozy północno-niemieckie, do których należy—jak się zdaje—grawirowana płyta bezimienna w katedrze w Poznaniu, o późnem obramieniu, z postacią nieznanego kanonika, trzymającego kielich z hostyą, w stroju z pierwszej połowy wieku XV, oraz z tarczą i bardzo pięknym aniołem, trzymającym banderolę z napisem: „Utinam“. W drugiej połowie XV wieku sprowadzają się brzozy nagrobkowe z Norymbergi, kto wie jednak, czy nagrobek w kościele Dominikanów w Poznaniu z roku 1488, przedstawiający Feliksa Paniewskiego, kasztelana lwowskiego, którego fotografię także referent przedstawił, tak piękny i starannie wykonany, da się przypisać Piotrowi Vischerowi. Do tej grupy i do typu norymberskiego należy piękny pomnik Mikołaja Tomickiego († 1478 ?), ojca biskupa krakowskiego, Piotra, w kościele w Tomicach, wykonany umysłem syna w roku 1524; jest on już zupełnie renesansowy, o przepysznym rysunku i perspektywie, o wybitnym charakterze polskiej twarzy; być może, że wyszedł z pracowni Hansa Vischera, syna Piotra, z którym Tomicki w stosunkach zostawał. Tę drugą grupę ilustruje również piękny pomnik Jana Karnkowskiego, biskupa kujawskiego († 1538 r.) w katedrze we Włocławku, wykonany za życia jeszcze w roku 1536, jest utworem o pysznej ornamentacyi renesansowej; na tle zasłony wieniec trzymają dwa *putti*, ubrane w sukienki, na banderoli napis: „Donec in carne Deum videam“, dalej infula i herb Junosza. Grupę trzecią wreszcie stanowią nagrobki polskie z odlewni krakowskiej, a do niej między innymi należy np. pomnik Andrzeja Grodzickiego († 1550 r.) w katedrze w Poznaniu, o robocie znacznie grubszej, ale z cechami dobrej szkoły.

Prof. M. Sokołowski podał następnie streszczenie najnowszych badań, dotyczących podniesionych po raz pierwszy przez siebie w nauce Przedstawień Trójcy Św. z trzema twarzami na jednej głowie. Jak referent w jednej z dawniejszych rozpraw swych dowiódł, typ ten idzie z Francyi, i rozwija się tam prawdopodobnie pod wpływem celtyckich tryad. Do tegoż samego wniosku w ostatnich czasach doszedł dr Juliusz

Schloyer, w pracy, temu samemu przedmiotowi poświęconej. Oprócz Francyi i Włoch, a mianowicie Toskanii, najczęstsze są takie przedstawienia w ziemiach słowiańskich; dowodem tego, oprócz polskich i ruskich przykładów, podanych już poprzednio przez referenta, są najnowsze rezultaty badań dra Zbita w południowych Czechach i u Słowaków, gdzie cały szereg podobnych przedstawień Trójcy znalazł się i świeżo został publikowany. Jeżeli zatem u ludów słowiańskich typ ten tak był zakorzeniony, to może przyczynił się do tego również jakiś stary kult pogański, a praca prof. Pokrowskiego w Petersburgu zwraca znów uwagę na rozpowszechnienie się tego typu w Rossyi za Katarzyny II i na trudności, z wykorzeniem go związane.

Wreszcie przewodniczący przedstawił dalszy ciąg rozprawy dra Jerzego Kieszkowskiego o zabytkach w kościele w Szydłowcu, mianowicie o tryptyku z początku XVI wieku w ołtarzu wielkim, oraz o pięknym gobelinie z roku 1735, przedstawiającym scenę z Don Kiszota, prawdopodobnie wedle kartonu Coypela.

Nakoniec prof. dr Jerzy hr. Mycielski odczytał referat p. t.: „Malarz Kucharski i pani Geoffrin“. Nawiązując rzecz do swych trzech poprzednich komunikatów, dotyczących twórczości Kucharskiego we Francyi, oraz z drukowanych przez prof. M. Sokołowskiego dokumentów o nim z roku 1765 przytoczył nowe szczegóły, jakie w tej mierze mieści w sobie znana korespondencja króla Stanisława Augusta ze słynną panią Geoffrin. Wynika z niej, że już w roku 1763 bawił Kucharski w Paryżu pod opieką pani Geoffrin, jako stypendysta Poniatowskiego jeszcze przed jego elekcją, że ona-to następnie przez lat kilka nim się głównie zajmowała i donosiła królowi o jego postępach w pracowniach Karola Vanloo i Vien'a, że mu stypendya królewska stale wypłacała i na prace jego wpływała. Trwało to aż do roku 1767, z którym ustała pensya Stanisława Augusta, niezadowolonego z drobnego rodzaju robót młodego malarza, a chcącego go nakłonić koniecznie do tworzenia historycznych, wielkich płócien w t. zw. podówczas „wielkim stylu“. Kucharski nie miał do nich ani zdolności, ani ochoty, i wskutek tego przyszło zapewne do zerwania na razie stosunków między nim a królem, co też niezawodnie przyczyniło się do jego osiedlenia się stałego we Francyi, gdzie między rokiem 1780 a 1795, stał się wysoko cenionym i bardzo modnym portrecistą i miniaturzystą dworu i arystokracji.

— Zeszyt IV interesującego wydawnictwa: „Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek XIX wieku“ opuścił prasę i zawiera życiorysy oraz portrety Leona Borowskiego przez Ferdynanda Hösicka (dokończenie); Jana Sniadeckiego przez S. Dicksteina; Józefa Maksy-

miliana Ossolińskiego przez dra Wojciecha Kętrzyńskiego; księdza Hugona Kołłątaja przez Aleksandra Kraushara; generała Dezyderego Chłapowskiego, przez Zygmunta Glogera; Jana Rustema przez prof. Wojciecha Gersona; Fryderyka hrabiego Skarbka przez Piotra Chmielowskiego i Jana Chrystyana Arnolda przez dra Józefa Peszkego.

— Profesor Uniwersytetu krakowskiego, dr Fryderyk Zoll, wydał w Krakowie drugi tom cennego swego dzieła: „Pandekta, czyli nauka prawa cywilnego, prywatnego“.

— Jako odbitka z „Przeglądu filozoficznego“ wyszła rozprawa dra J. Wł. Dawida: „O wykładzie psychologii, jako nauki doświadczalnej“.

— We Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta ukazała się broszura Zygmunta Gargesa, traktująca „O podatku rentowym“.



Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie trzecim

Z ROKU 1898.

Filozofia:

Str.

Dr Henryk Struve. — przez K. Kaszewskiego 1 i 198

Historya.

Cywilizacya i język, szkice z dziejów kultury polskiej, — przez A.

Brücknera 417

Memoryał Prądzyńskiego, — przez A. Rembowskiego 385

	Str.
Kartka z życia społeczeństwa kresowego, — przez Fr. Rawitę Gawroń- skiego	93
Hrabstwo Białskie, — przez Józefa Feliksa Budziszewskiego	307

Szkiec antropologiczne:

Kosmos i jego budowa w pojęciach ludów, — przez L. Krzywickiego . .	241
---	-----

Literatura.

Sweet Boy, obrazek z życia (dokończenie) — przez Jana Ładę	58
Wspomnienie, nowella — przez A. Suszczyńską	217
Marmurowa kochanka, nowella — przez Tomasza Zuwadyńskiego . .	325
Niebezpieczny człowiek, powieść — przez Wincentego Kosiakiewicza .	459
Z drgnień serca (poezya) — przez Zofię Mrozowicką	87
Zastęp młodzieńczy (wiersz) — przez Laskezę	144
Z cyklu „Madonna“ (poezye) — przez Maryę Konopnicką	302
Floksy, (wiersz) — przez Selima	557

Krytyka.

Karol Potkański: „Kraków przed Piastami“ i „Lachowie i Lechici“; Leon Dembowski: „Moje wspomnienia“; Welschinger: „Le roi de Rome“ — przez A. Rembowskiego	147, 153, 156 i 365
Tadeusz Pini: „Mickiewicz, jako wydawca poezyi Garczyńskiego“ — przez Kazimierza Bronikowskiego	352
Antoni Małecki: „Lechici w świetle historycznej krytyki“; Ernest Kunik: „Lęchici“ — przez J. K. Kochanowskiego	357
Eliza Orzeszkowa: „Iskry“ nowelle; Jan Szutkiewicz: „Jeden z wielu“; W. Rojan: „Szczęście“ — przez A. Drogoszewskiego	162, 167 i 370
Stanisław Wyspiański: „Legenda“ — przez Maryę Krzymuską	171
Józef Jankowski: „Rytmy i Rymy“ — przez M a	562

Kronika zagraniczna.

	<i>Str.</i>
<i>Rzymska</i> , — przez A. Darowskiego: Wycieczka do grobu Leopardego. — Dzieje poety pesymizmu. — Czterechsetna rocznica spalenia we Florencyi Savanaroli i jego dzisiejsza rehabilitacya. — Stacya naukowa krakowskiej Akademii Umiejętności w Rzymie	39
<i>Paryska</i> — przez Sewerynę Duchińską: Literatura podróżnicza i książka profesora Hermelina: „A travers l'Europe“. — Kazimierza Waliszewskiego: „Marysieńka“. — Ernest Legouvé i jego „Ostatnie wspomnienia“. — Książka Juliusza Bretona: „Savarette“. — Dwie wystawy sztuk pięknych. — Uczczenie pomnikiem pamięci Verne'tów. — Dzieło księcia de Broglie: „Voltaire za czasów wojny siedmioletniej“	274
<i>Londyńska</i> — przez dra M. Nekandę Trepkę: Londyn żyjący życiem gąsienicy i motyla. — Demokratyzacya Hyde-Parku. — Wagnerowski „Pierścień Nibelungów“ nad Tamizą. — Salony sztuk pięknych: Akademia i New-Gallery. — Edward Burne-Jones. — Architektoniczny wzrost Londynu. — Biografia wieśniaka, Józefa Arch, i przedmowa lady Warwick do tej książki. — Nowe powieści pani Humphry Ward, Jerzego Moora i Antoniego Hope	538

Kronika miesięczna.

<i>Lipiec</i> : Sprawa kodyfikacyi. — Przyszłość naszego prawa cywilnego. — Stosunki miejskie i kredyt prowincyonelny. — Politechnika warszawska. — Jubileusz Palackiego	177
<i>Sierpień</i> : Narada przy osobie General-Gubernatora warszawskiego. — Pomnik Mickiewicza na rynku krakowskim i uroczystość w Krakowie. — Zaburzenia przeciwyżydowskie w Galicyi. — Poezya hakatyistów. — Śmierć Bismarcka	373
<i>Wrzesień</i> : Tragiczna śmierć cesarzowej Elżbiety. — Otwarcie politechniki w Warszawie i Szkoły handlowej w Łodzi. — Zatwierdzenie ustawy Towarzystwa rolniczego w Kielcach	566

Wiadomości bibliograficzne.

	Str.
Lipiec	187
Sierpień	381
Wrzesień	581

579

